

KSIĘGA ŚWIATA.

0075.9



WIADOMOŚCI

Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH, HISTORII KRAJÓW I LUDÓW,

ŻYWOTY ZNAKOMITYCH LUDZI.

PODRÓŻE, OPISY CIEKAWYCH MIEJSCOWOŚCI, WÓD SŁYNNIEJSZYCH, ODKRYCIA I WYNAŁAZKI,

WAŻNIEJSZE ZAJĘCIA PRZEMYSŁOWE,

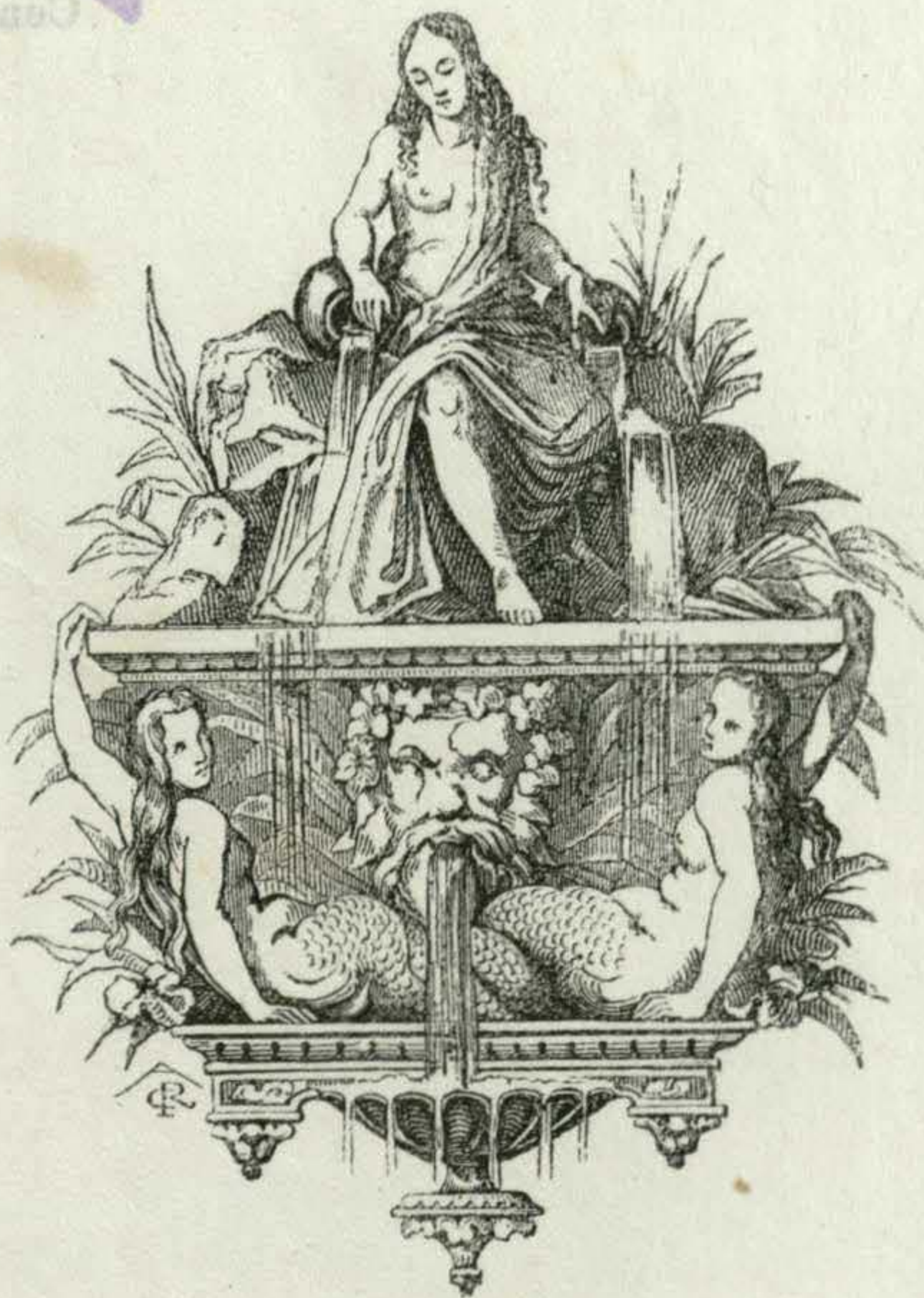
OBRAZY TOWARZYSKIE, STATYSTYCZNE, EKONOMICZNE,

i t. p.

Z RYCIAMI NA STALI CZARNEMI, KOLOROWANEMI, ORAZ DRZEWORYTAMI.



CZĘŚĆ DRUGA.



WARSZAWA.

NAKŁADEM S. H. MERZBACHA KSIĘGARZA

PRZY ULICY MIODOWEJ N. 486.

1855.

INSPIRUM ZOCIOGICZNY
POLSKIE I AGENT NAUK
BIBLIOTEKA
Nr. P. 2790

opis
KONKURS

KSIĘGA

WIA DOMORCI

Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH, HISTORII KRAJOWEJ I PRACY

TYMOTY SZANOWNITELNY

PODRÓŻE, OPISY GIERAWYCH MIEJSCOWOŚCI, POD SZYLNICTWEM, ODKRYCIA I WYNAJDKI

WAŻNIEJSZE ZAJĘCIA PRZEMYSŁOWE

OBRAZY TOWARZYSKIE, STATYSTYCZNE, EKONOMICZNE

WYDZIAŁ NAUK I SZKOLNICTWA, KRAJOWY, DZIAŁ DRUKARNI

Wolno drukować pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

w Warszawie d. 22 Listopada (4 Grudnia) 1855 r.

Cenzor F. SOBIESZCZAŃSKI.

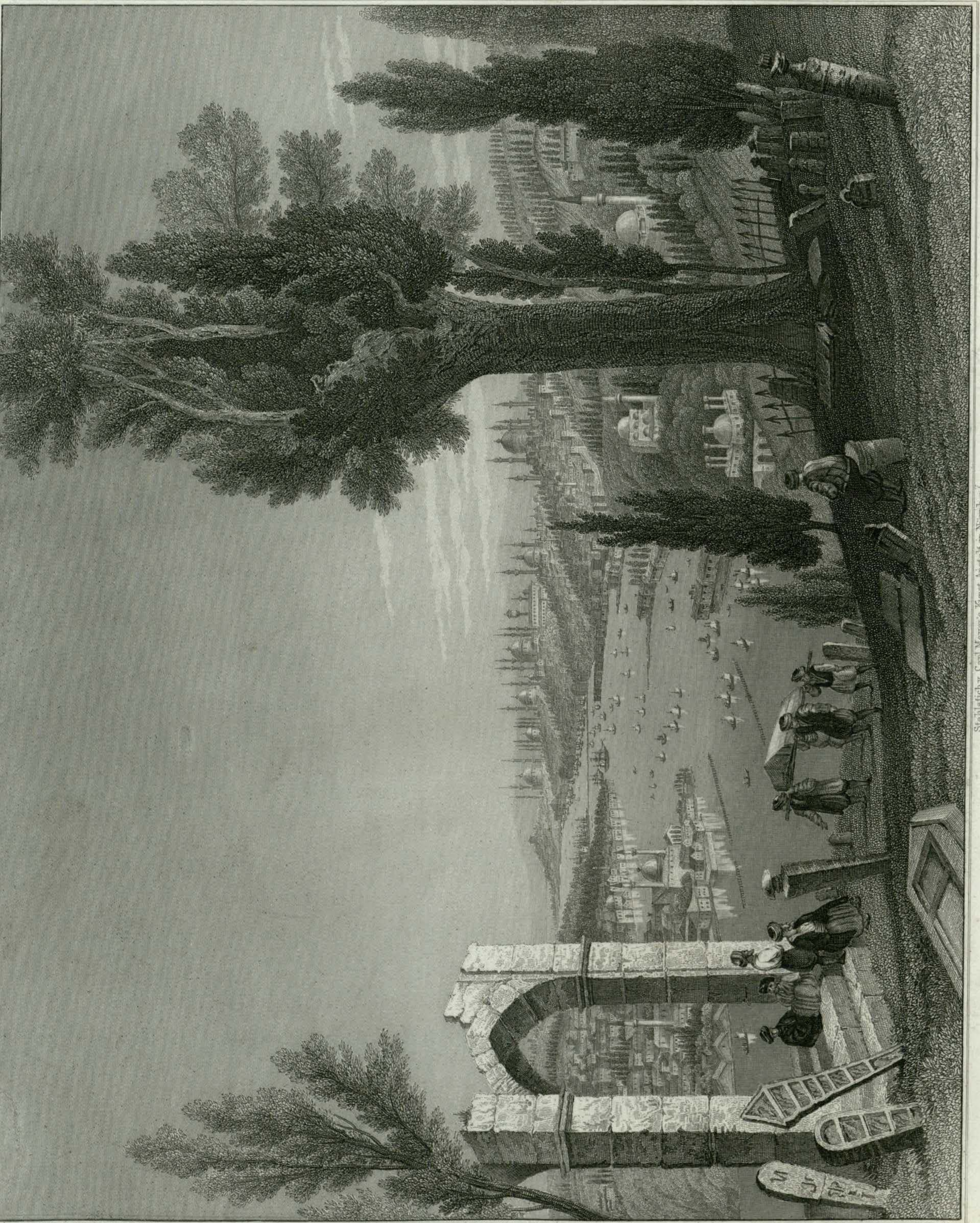


WARSZAWA

ZAKŁADEN S. N. WERZBACHA KSIĘDZANA

w Drukarni J. Jaworskiego.

1855



Städlich v. Carl Meyer's Kunst-Anstalt in Nürnberg

Konstantynopol.

KSIĘGA ŚWIATA.

WSPOMNIENIA Z KONSTANTYNOPOLA.

(Wyjątek z podróży T. Gautier).

Zwiedzając w r. 1852 Konstantynopol, mieszkałem przez czas pobytu swego w tém mieście na pierwszém piętrze jednej z narożnych kamienic cyrkułu Franków. Uliczka mieszkaniu mojemu przyległa, prowadziła od głównej ulicy przedmieścia Pera do małego cmentarza, i nosiła tradycyjne nazwisko *Derwisz Sokak*; lecz nazwa ta, pochodząca zapewne od którego z sąsiednich khanów lub meczetów, przypadkowo tylko doszła do mojej wiadomości; bo w Konstantynopolu po rogach ulic żadnych niema napisów, a nawet domy nie są numerowane, co naturalnie utrudnia niezmiernie wybrnięcie z odmetu krzyżujących się zaułków i domów.

Dom w którym zamieszkałem był murowany, zaleta rzeczywiście niepoślednia w mieście tak często nawidzaném przez pożary. Dla większego nawet bezpieczeństwa drzwi były z żelaza i okiennice z grubej blachy, tak iż na przypadek ognia sypiące się iskry nie mogły już wzbudzać obawy. Apartament mój obejmował coś nakształt sali, z pobielonemi ścianami, ze stropem drewnianym, pomalowanym na szaro i niebiesko, umeblowaną, oprócz wielkiego dywanu, w stół i zwierciadło weneckie w złoconych ramach; za salą była sypialnia z żelaznym łóżkiem i komodą. Wszystko to, prawdę powiedziawszy, nie miało wcale pozoru wschodniego, a przecież gospodyni moja była Smyrnanka, a w bladłej twarzy jej młodej synowicy z pod kruczych splotów błyszczały oczy razem tęskne i namiętne, typu prawdziwie azyatyckiego. Sługa Greczynka, której prześlicznie było w zgrabnie na głowie upiętej chusteczce, i chłopiec niedorostek z wysp cykladzkich, dopełniali grona domowników,

nadając otoczeniu mojemu niezwykłą jakąś barwę. Synowica umiała trochę po francuzku, stryjenka po włosku, mogliśmy więc porozumieć się jako tako. Konstantynopol, mówiąc nawiasem, pod względem języków istnym jest Babellem; w codziennych życia stosunkach potrzeba koniecznie znajomości języków: greckiego, tureckiego, włoskiego i francuzkiego, których brzmienia pomieszane, szczególniej w przedmieściu Pera, bezustannie się rozlegają. W Konstantynopolu Mezzofanti jaki nie wzbudziłby wcale ciekawości, a Europejczyk, posiadający tylko swój język ojczysty, z zadziwieniem przysłuchuje się tej szermierce lingwistycznej.

W miejscach które zwiedzam po raz pierwszy największą przyjemność sprawiają mi samotne przechadzki, zagłębianie się ciche w rozmyślaniu o nieznanym mi przedmiotach; bo czeze i nieznośne gadulstwo zwykłych przewodników osłabić tylko może wrażenie wywołane widokiem wspaniałych cudów przyrody lub pomników historycznych. To téż, w czerwonym fezie i zapiętym pod szyję surducie, puściłem się w miasto bez planu, dość obojętny na spojrzenia ciekawej hałastry, bo broda od półroka zapuszczona i twarz ogorzała, przy ubiorze na poły miejscowym, nadawały mi zupełnie powierzchowność Turka zreformowanego.

Pierwszym celem méj wycieczki był ów cmentarzyk graniczący z ulicą na której obrałem pomieszkanie. Leży on na wzgórzu rozciągającym się od brzegów Złotego rogu ku przedmieściu Pera. Słońce jaskrawym blaskiem oświecało posępne cyprysy, ocieniające niezliczone grobowce marmurowe, z dość pociesznie rzeźbionemi zawojami i napisami z koranu. Znaczna ich część, ulegając pra-

wu ciężenia, pochyliła się to w prawo, to w lewo, albo zapadła w ziemię do połowy. W tym dziwnym przybytku umarłych najmniejszego zresztą niema ładu ani składu; kilka tylko ścieżek, brukowanych i odgrodzonych szczątkami grobowców, przerywa go przekątnie, a tu i owdzie sterczą tarasowate kopce, obmurowane lub obwiedzione poręczami, zawierające sklepienia grobowe znakomitszych rodzin. W otwartych miejscach cmentarza swobodnie pod gołym niebem pracują sobie cieśle i stolarze; tu jaki próżniak wschodni spoczywa pod cieniem drzewa lub kurzy fajkę, siedząc podkurczony na pomniku; tam wolnym krokiem przechadzają się zasłonięte niewiasty; owdzie dziatki igrają na mogiłach i przekupnie rozkładają swe towary. Gdzieindziej znowu kury spokojnie dziobią ziemię i pasą się krowy; rozliczne ptastwo gnieździ się w gałęziach cyprysów, a psy włóczęgi, jakich pełno w tém mieście, szukają schronienia w zapadłych dołach grobowych. Słowem niema tu ani śladu owój ciszy uroczystej, owego spokoju, jakim tchną zwykle u nas miejsca spoczynku pośmiertnego.

Wprzód jeszcze nim spuścić się miałem ku Złotemu rogowi, stanąłem na najwyższym punkcie wzgórza, napawając oczy i duszę precudnym z tego miejsca widokiem. Z jednej strony cmentarz z swojemi cyprysami i grobowcami; dalej ceglane dachy i czerwono malowane domy przedmieścia Kassim-basza; po drugiej stronie zwierciadła zstoki, rozciągającej się od Seraj Burnu aż do wód słodkich, a potem faliste wzgórza, na których właściwy Konstantynopol amfiteatralnie się rozpościerał. Sinawe kopuły bazarów, białe minarety meczetów, łuki starożytnego wodociągu, wyglądające zdaleka jak czarna koronka, wierzchołki cyprysów i platanów, szczyty domostw najrozmaitszych kształtów, a w głębi obłoki dymu buchające z parowców Bosforu, — wszystko to razem czarowną przed wzrokiem moim roztoczyło panoramę.

Po kilku minutach niemego uwielbienia puściłem się ścieżką na dół, w labirynt okopconych domów, zamieszkałych po większej części przez węglarzy, kowalów i wyrobników z fabryk żelaznych. Użyłem wyrazu *domy*, ale to raczej nory podziemne i szałas, siedliska nędzy najokropniejszej. Obrzydły także widok sprawiają stworzenia wszelkiego rodzaju snujące się w tém śmieciuku.

Tu tragarz Arnauta lub Bulgarczyk jęcząc ugina się pod brzemieniem dźwiganego towaru; owdzie żebrak, okryty łachmanami, wyciąga rękę po jałmużnę; tam znowu święty uliczny w tym samym celu bez końca klepie pacierze. Stare, brzydkie kobiety bez zasłony, z bezczelnym gestem, klóć się, zrzędzą i gwarzą. Miejscami ujrzysz osła nalożonego węglami albo starém żelaztwem, a rzadko wychudzoną szkapinę, wlokącą za sobą obciążony wózek dwukołowy.

Takimi przedziérając się zakątami, stanąłem wreszcie u brzegu Złotego rogu. Wielki arsenał tutejszy, zbudowany w stylu europejskim, którym Turcy bardzo szcycić się lubią, właśnie dlatego że podobny do gmachów europejskich, nie ściągnął mojej uwagi. Oko moje z zachwyceniem spoczęło na porcie zapelnionym okrętami i tysiącami zgrabnych łodzi wiosłowych uwijających się w różnych kierunkach, spoczęło na brzegu przeciwnym, gdzie w butnym majestacie swoim królował pyszny Carogród.

Istotnie widok ten tak jest jedyny w swym rodzaju, że zdaje ci się iż to złudzenie czarodziejskie, dekoracya teatralna z jakiej baśni jaskrawej poezyi Wschodu, w której malarz puścił wodze rozbujalój wyobraźni swojej. Pałac Seraj Burnu z swojemi dachami chińskimi, z białemi wyzębionemi murami, z zakratowanemi kioskami i ogrodami z cyprysów, taksusów, sykomorów i platanów; meczet sułtana Achmeta, z otaczającemi kopułę jego sześciami białemi minaretami; przepyszny kościół św. Zofii, której kopułę, wzniesioną na 165 stóp, podpiéra 170 kolumn; meczet Bajazeta, okrążony chmarami gołębi; Jeni Djami; wspaniały meczet Solimana Wielkiego, którego kopuła połyskuje jak stalowa przyłbica; wieża seraskiera i kolumna cesarza Teodozyusza, z której r. 1204 rycerze czwartej wojny krzyżowej zepchnęli samozwańca Murzuflusa, — wszystkie te przedmioty, na jasno-błękitném tle widokregu, zdwojone falami Bosforu, przypominają Fata Morgana pustyni.

Wprawdzie za zbliżeniem się znika ta uluda i miasto w nagięj przedstawia się rzeczywistości; z owych pałaców błyszczących zostają tylko rozległe, lecz niepozorne i w części już zniszczone zabudowania; owe śnieżnej białości minarety znajdziesz obrzucone niezgrabnie grubą warstwą wapna; ulice wąskie, strome, w najwyższym stopniu nie-

schłudne, i nic w nich zgoła nie napotkasz poetycznego. Lecz mniejsza o to! Wszak wszystko w świecie opiera się na złudzeniu, a tu złudzenie, przyznać należy, jest urocze.

Stałem tak długo na pobrzeżu, wiodąc oczami za lotem mew, za szybkimi jak błyskawica ruchami lekkich łodzi tureckich; chwyciłem chciwie charakterystyczne cechy fizyognomij otaczających mnie ludzi różnej narodowości, a potem wzięła mnie ochota udać się rzuconym tu mostem do właściwego miasta; ale przy opóźnionej już porze zamiar ten niebezpiecznie było wykonać. Zwróciłem się więc napowrót ku przedmieściu Pera, kierując się tym razem na prawo, wzdłuż dawnych murów genueńskich, gdzie teraz ciągnie się rów napelniony gruzem i różnymi nieczystościami, i dostałem się tą drogą do wieży Galaty, widzialnej w znacznym oddaleniu, i, równie jak wieża seraskiera, otoczona zawsze ogniami strażniczymi. Jestto budowla w stylu średniowiecznym, którejby zamiast półksiężycy przystała raczej chorągiewka starych zamków rycerskich.

U stóp tej wieży nędzne domki mieszkańców tworzą sprzeczność rażącą ze znakomitym rzeczywistości jej ogromem. Wystawili ją w wieku XII Genueńczycy, ci kupcy-wojownicy, odgrywający wtedy znakomitą w Konstantynopolu rolę. Obwarowane ich magazyny zajmowały całą dzielnicę miasta i oprzec się mogły natarciu chciwej łupu czeredy, którego też nieraz doznawały.

Wróciwszy do siebie znalazłem zastawiony obiad z sąsiedniej garkuchni, i szybko się nim nasyciłem, lecz bardziej, wyznając, z obrzydzenia, jak z rzeczywistego zaspokojenia apetytu; bo pierwsze te próby kuchni konstantynopolitańskiej źle mi wróżyły na przyszłość. Co do napojów, mniej dbałem o to że wino czarniawe z Tenedos, jakie mi podano, przesyłane bywa w nieschludnych skórkach kozich; ale za czystą wodą źródlaną nieraz zatęsknić mi przyszło.

Ponieważ pobyt mój w Konstantynopolu przypadł właśnie podczas Ramazanu, postnego miesiąca Mahometau, miałem więc sposobność przypatrzenia się dziwnemu w tej porze życiu ich codziennemu.

W Paryżu myśl sama przechadzania się po północy na cmentarzach Montmartre albo Père Lachaise przeraziłaby nasze modne towarzystwo.

W Konstantynopolu przeciwnie podobne przechadzki nocne pospolite są w czasie Ramazanu. Miejsce zebrań publicznych na przedmieściu Pera słaba tylko spróchniała poręcz oddziela od większego i mniejszego cmentarza, co nie przeszkadza bynajmniej żyjącym przeléwać się w zmarłych dziedzinę. Jakoż wieczorem stoły i krzesła dla gości na obu rozstawiają placach, na obu też zarówno słyszeć można wesołej muzyki dźwięki.

Wiadomo że w czasie Ramazanu Mahometanie dniem tylko surowy post zachowują, wieczorem zaś i w nocy, od ukazania się gwiazd aż do ich zniknięcia, wolno im jeść i pić co się podoba. Wtedy na ciemnych zwykle ulicach Konstantynopola rzęsiście jaśnieje światło, widać wszędzie nieprzeliczone tłumy snującego się ludu, i niema już nawet mowy o zachowaniu zwykłych przepisów policyjnych. Giaurom nawet wolno nocować w właściwym mieście, co w innym razie byłoby dosyć niebezpiecznym.

Korzystając z zaproszenia młodego mieszkańca Konstantynopola, któremu byłem polecony, jednego wieczoru postanowiłem przepawić się do miasta. W Top Hana już ciżba była wielka, i śmiało rzec można że na żadnej maskaradzie nie znajdzie większej różnorodności ubiorów. Byli tam Bułgarowie w ciężkich swych szubach i okrągłych futrem lamowanych czapkach; Czerkiesi smagłej postaci i szerokiej piersi; Georgianie w krótkich opiętych tunikach i kapach ze skóry lakierowanej; Arnauci w haftowanych kaftanach; Żydzi w swych długich chałatach; greccy wyspiarze z bufiastymi spodniami i białymi fartuchami; zreformowani Turcy w surdutach i fezach czerwonych; staro-tureckie postacie w kaftanach i zawojach; Persi w wysokich czarnych czapkach z baranków; nareszcie Turczynki z osłonami, z pod których oczy tylko i nos wyglądały, i mniej starannie zakwefione Armenianki w fijołkowych sukniach. Liczne kawiarnie w Top Hana tak były przepełnione, że nowi przybysze z trudnością tylko znajdowali pomieszczenie. Na stołach mnóstwo naczyń z kawą, wodą z lodem, sorbetem i cukierkami, które Turcy niezmiernie lubią. Gdzieniedzie odzywa się śpiew jednotonny jakiego samouczka wschodniego, z towarzyszeniem przeraźliwej piszczalki i tamburina.

Po szybkiej przepawie wylądowaliśmy na przeciwległym brzegu, w bliskości wielkiego kiosku,

niegdyś letniego mieszkania sułtana, dziś obróconego na odwach. Razem z nami przybyło kilka łodzi okazałych, wiozących baszów i znakomitych urzędników. Dostojnicy ci zaraz po wyjściu na ląd posiadali na pysznie przystrojone rumaki, czekające tam na nich pod dozorem czarnych niewolników, Arnautów i sług policyjnych, a zgromadzona tłuszcza rozstępowała się przed nimi z uszanowaniem.

W mieście gdzie w innym czasie niepodobna wieczorem wyjść bez latarki, z obawy nadkręcenia karku, teraz po sklepach i kramach pełno lamp kolorowych, latarni, woskowych świec i pochodni. W sklepach, a raczej budach, z jedzeniem największa panuje czynność, ze strony właścicieli pod względem przyrządzania potraw, ze strony gości pod względem zaspokojenia głodu po poście czteronastogodzinnym. Z mięsów najpiérwsze miejsce zajmuje pieczona w zwitkach baranina.

Znajomy mój zaprowadził mnie do cukierni, podobno jednéj z największych w Konstantynopolu, a przecież w ciupce gdzieśmy siedzieli zaledwo trzy osoby pomieścić się mogły wygodnie. Właściciel, prawdziwy Turek, z ogorzałą cerą, czarną brodą i twarzą wyrażającą dobroduszną głupotę, przyniósł nam białe i czerwone *Rahat-Lokum* (rodzaj ciasta) i mnóstwo silnie woniejących słodyczy, które jednak zepsutemu podniebieniu mojemu niekoniecznie smakowały. Filiżanka dopiéro wybornej kawy Mokka, bez śmietanki i cukru, zatarła nieprzyjemne, jak dla mnie, wrażenie tych specyałów.

Znaszego miejsca widok na rojące się po ulicach tłumy był otwarty. W téj zgrai różnorodnej przekupnie sorbetu, wody, ciast i cukierków z krzykiem torowali sobie drogę; wysocy urzędnicy na koniach, mając przed sobą kawasów czyli służących, za sobą niosących fajki, gwałtem lud rozpychali; dziwnie zbudowane karoce tureckie chwiały się straszliwie na nierównej drodze, kierowane przez obok idącego woźnicę. Cała ta ciżba fantastyczna tak mnie zajęła, oczarowała urokiem nowości, iż nie spostrzegłem się jak wybiła piérwsza i młody mój znajomy przypomniał że czas powrócić do Pery.

Nocna ta wycieczka nastreczyła mi sposobność uczynienia kilku uwag porównawczych. I tak kawiarnia turecka (*Café ture*) na paryzkim bulwarze

du Temple jest zapewne, podług naszych pojęć, urządzona na sposób wschodni; ale to tylko igraszka rozkołysanej wyobraźni, bo w rzeczywistości nie niéma prostszego nad kawiarnią turecką. Najsłynniejsze nawet tego rodzaju zakłady w Konstantynopolu, mają zwykle izbę nie większą jak 12 stóp w kwadrat. Ściany, obrzucone wapnem, do wysokości około trzech łokci pokryte są deskami, a przy nich obiega w koło szerokie nakształt ławki podwyższenie, wysłane słomianemi matami. W środku izby znajduje się rzecz uważana za wielki zbytek na wschodzie, — wodotrysk słabym strumieniem bijący z marmurowego zbiornika. W jednym kącie stoi piecyk żelazny, w którym kawę przyrządzają w małych miedzianych naczyniach, po filiżance, za poprzedniém zamówieniem. Po ścianach tu i owdzie wiszą małe lusterka, ażeby goście przekonać się mogli, czy toaleta ich należycie została ukończoną; w Turcyi bowiem każda kawiarnia jest zarazem golarnią i salonem do strzyżenia włosów. Siedząc raz wjednym z tych zakładów z podkurczonemi nogami, paląc fajkę i zapijając kawę, sam byłem świadkiem jak w przeciągu kwadransa tłustemu Turkowi ogolono głowę, Persowi z orlim nosem przystrzyżono wąsy, a jakiemuś modnisiowi greckiemu ufarbowano brwi i rzęsy.

Że Turcy wszystkie twory plastyczne potępiają jako bałwochwalstwo, to fakt w ogólności prawdziwy, niemniej jednak licznym podlegający wyjątkom. W kawiarniach przynajmniej ściany bywają nieraz całkiem pokryte malowidłami i rycinami, tworzącemi pstrą mieszaninę osób i wypadków wschodnich i europejskich. Ujrzysz np. świętego tureckiego, obok Napoleona, kręcącego się derwisza przy grupie tancerzów hiszpańskich i t. p.

Gdy w Turcyi zażadasz kawy, podadzą ci jednocześnie i szklanekę wody, którą Mahometanie piją zwykle przed, Frankowie po kawie. Opowiadano mi o tém charakterystyczną anegdotkę. Pewien Europejczyk, mówiący biegle po turecku i po arabsku, noszący przytém odzież turecką i doskonale obznajmiony ze zwyczajami wschodniemi, poznany został w kawiarni syryjskiej przez prostego Beduina. Zdziwiony Europejczyk zapytał poczem go poznano: „Po tém, odpowiedział Beduin, że piłeś wodę po kawie, nie przed kawą.“

Jakkolwiek w kawiarniach wschodnich żebrak okryty łachmanami usiąść może obok Turka bo-

gato przybranego, a ten ani się odsunie od niego, ani jakimkolwiek znakiem okaże mu swą pogardę, to przecież klasy wyższe zwykły do takich uczęszczać zakładów, gdzie podobnego zetknięcia obawiać się niema powodu. Kawarnie np. wewnętrznego miasta, mianowicie w bliskości starego seraju, zwidzane są prawie wyłącznie przez osoby znakomite. Znana przychylność wyznawców Mahometa dla zwierząt różnego rodzaju staje się przyczyną że wewnątrz najbardziej nawet uczęszczanych kawiarni jaskółki swobodnie murują sobie gniazdko, i zabawnie to patrzeć jak młode ich pisklęta, podrosłszy trochę, wyścibiają główki z otworów, ciekawie przyglądając się gościom, jakby się poczuwały w towarzystwie swoich równych.

Niekiedy ciszę kawiarni tureckich przerywają wędrowni grajkowie i śpiewacy, których tony piskliwe, jednostajne niebardzo głaszczą ucho Europejczyka, ale Turków wprawiają w zachwycenie, objawiane niekiedy głośnami okrzykami uwielbienia.

Sklepy wschodnie podobnież bardzo się różnią od europejskich. Najwykwintniejsze magazyny Konstantynopola, pod względem smaku urządzenia, nie mogą iść w porównanie z prowincjonalnymi zakładami miast europejskich. O wystawach sklepowych niema ani mowy; kupiec turecki siedzi sobie spokojnie z fajką w głębi swojej izby, zostawiając kupującemu mozól wyszperania i wydobycia gdzieś z kąta żadanego towaru. Dopiero gdy go zapytasz o cenę, otwiera leniwie usta, a potem wyciąga rękę po pieniądze; bo zwykle, choć ceny bywają wygórowane, prędko dobija się tu targu. Kobiety tylko lubią się kramarzyć, choćby dlatego że wychodząc za sprawunkami mają jedyną sposobność rozmawiania z innym mężczyzną, jak z swoim panem. Zamożniejszym z nich towarzyszą najczęściej niewolnice z wielkimi workami do schowania zakupionych towarów. Płeć piękna nigdy w Turcyi nie trudni się sprzedażą, a jeśli niewiasta odziedziczy jaki handel, to zarząd jego powierza któremu z swych mężkich krewnych lub przyjaciół.

WARSZAWA W KOŃCU ROKU 1702.

(Trzeci wyjątek z „Dziejów Warszawy“).

Skutki klęski pod Klissowem.—Król August w Warszawie.—Saska kępa.—Rabunki po mieście i okolicach.—Zjazd panów.—Nieporozumienia króla z księciem prymasem.—Posiedzenia traktatowe.—Król wyjeżdża do Torunia.—Kara śmierci.—Porwanie Herona.—Spokojna zima.

Karol XII wychodząc z Warszawy mówił otwarcie że wybiera się na króla Augusta, który opuściwszy stolicę ciągle stał w Krakowie, naradzał się z hetmanami i ścigał do rplitój z Saksonii wojska niemieckie. Jednakże jakkolwiek bądź postawa szwedzka mało budziła zaufania w sprawę Karola. Dlatego młody bohater wychodząc z Warszawy, posłał rozkazy do generała Guldensterny i do marszałka Menera żeby pierwszy z Pomeranii, a drugi z Wilna wkraczali do Polski. Zdawało się chwilę że król szwedzki przegra sprawę z Augustem,

przynajmniej elektor saski pisał list do Warszawy, do kardynała w którym poufnie zwierzał mu się że ma dość siły na odparcie nieprzyjaciela, że owszem sam pójdzie go naprzód szukać i zuchwałstwo Szwedów poskromić. Po wyjściu Karola na południe wyjechał z Warszawy i sam kardynał, a stolica z niecierpliwością patrzyła na Kraków i pytała się co będzie z tego wszystkiego?

Pochód Karola był wolny i w ogóle zawsze z nim Szwedzi strasznie długie odbywali podróże. Włókl się odewsi do wsi, od miasteczka do miasteczka, jakby o zebranym chlebie. Tą razą włókl się długo, bo oczekiwał Menera, który pospieszał z Litwy, a miał się z nim połączyć przed bitwą. Ale dlaczego August czekał? trudno tę zagadkę rozwiązać. Karol więc pokolei odwiedzał to Tarczyn, to

to Nowe Miasto nad Pilicą, wreszcie od Lublina spotkał nadciągającego Menera. Nazajutrz bój nastąpił, bo i August przywłókł się przecie z Krakowa. Nagle, kiedy w Warszawie spodziewają się jakichś wieści o zwycięstwie, pada piorunem wieść na miasto o klęsce pod Klissowem. Wieść najprzód niepewna, potem najpewniejsza, bo są urzędowe raporta, latają po rękach inne listy króla i hetmana Lubomirskiego do prymasa. Karol wkroczył do Krakowa, nałożył kontrybucyą na miasto, akademią i kościoły, a tymczasem August obraduje pod Sandomierzem, chce szlachtę zawiązać w konfederacyą, szlachta się burzy, zabiła Lipskiego wojewodę kaliskiego podejrzanego o przyjaźń ze Szwedami i z królem ciągle wojuje. Wreszcie August ustąpił, przysiągł znowu na zachowanie wolności narodowych, i dopiero to wtedy stanęło: żeby rplita sama wystąpiła jako pośredniczka do ugodzenia królów szwedzkiego i polskiego. Z każdego województwa wybierze się po dwóch pełnomocników, ci zjadą gdziekolwiek bądź, ale najlepiej do Warszawy; z wyznaczonemi od Karola XII ministrami układać się będą o warunki zgody. Kanclerze obojga narodów mieli pisać do księcia prymasa, żeby powagą swoją dopomógł do tego traktatu.

Uchwały te pod Sandomierzem stanęły w początkach września (1). Zostawiwszy więc Szwedów pod Krakowem, którym inne przybyły posiłki z Pomeranii, Król August wybiegł pod koniec lata do Warszawy z przybocznym orszakiem. Przyjechał z Puław prosto do Ujazdowa, zjadł tam obiad w pałacu i dopiero pod wieczór wjechał do stolicy razem z nieodstępniemi panami wojewodą malborskim Przebendowskim i referendarzem koronnym Szembekiem. Krom tych otaczał króla orszak innych panów polskich i niemieckich: w ogóle od Niemców aż tam się ćmiło, naszych zaś było jak na lekarstwo (9 września). Zaraz za swoim monarchą przybywali Sasi i zaleli całą Warszawę, tak że miejsca nawet nie starczyło dla nowych wojsk i gości; ztąd kilka tysięcy Sasów musiało przepłynąć Wisłę i rozłożyli się obozem za Pragą na Kępie, która potem od nich wzięła swoje *Saskiej kępy* nazwisko. Naturalnie za wezbraniem téj nagłej

ludności poszła zaraz w tropy drożyzna, témbardziej, że nadzwyczajny podatek nałożono na miasto. Król żądał żeby Warszawa tylko ludzi z wojska jego, t. j. samych Niemców żywiła. Chciało wprawdzie miasto uderzyć w pokorę, i, myśląc że się wyprosi, błagało króla o posłuchanie, ale elektor dorozumiał się o co idzie i odłożył do jutra, to jest do sądu ostatecznego, posłuchanie. W istocie go dzien był oplakania los Warszawy w owéj chwili: dopiero co zdarł ją Szwed, teraz zdiérali Sasi, wyjdą Sasi znowu przyjdą Szwedzi. Bo to było bardzo naturalne, i nawet już rozpowiadano, że August przed obawą Karola niedługo w stolicy pogości. Bądź co bądź, miasto dopiero teraz zaczynało biędę swoją i więcej się obawiało przybycia Szwedów, jak tęskniło do nich.

Źle tedy, bardzo źle było Warszawie. Frócz obawy, rzeczywiste ją gniotło nieszczęście. Za Sasi przywalały chorągwie nadworne Tatarów i Wołochów, sławnych rabusiów. Rozgościwszy się sławni ci rycerze, niczego w spokojności nie zostawili; w mieście wprawdzie przycichli cokolwiek pod bokiem królewskim, ale téż wycierpiały dwukrotnie za to okolice. Wszystkie wioski były splądrowane, zajrzeli wszędzie rabusie i na pola i do stódół, zboże gwałtem zabiérali, bydło uprowadzali, odpędzali pastuchów, jawnie i tajnym sposobem kradli na wszystkie strony. Przekupki i szynkarki w mieście odpokutowały również: gdzie tylko znalaziono jaką karczmę, zaraz szturmowano do niéj, a wódka jaką tam naprędce znalaziono poszła w podział. Wiecznie zatem pijani żołnierze całe miasto niesfornemi krzykami napelniali.

Król niewidzialny był zresztą cały piérwszy dzień swego pobytu w Warszawie. Nazajutrz następowała niedziela, a więc, podług zwyczaju w święto takie, król pokazywał się publicznie i publicznie mszy słuchał u św. Jana w kościele. Tą razą nie było ani tego ani tego, wszystko się odbyło w cichości i prywatnie. Tłumaczono tę okoliczność wypadkiem, że król miał ogromny katar; wistocie tak było, ale dla tak lekkiej słabości niegodziło się przestępować ceremoniału dworskiego, boć to dawało powód do liczniejszych a coraz mniej prawdopodobnych wniosków. Wieczorem nadjechał biskup chełmiński i zaraz się zgłosił o posłuchanie. Król, czy nie chciał go widzieć, czy udawał, dosyć że zwłóczył ciągle i dopiero wieczorem bi-

(1) Załuski Epistolae historico familiares. Tom. 3 stronica 257, 275, 276 i t. d.

skupa do siebie przypuścił. Co tam z sobą panowie rozprawiali, Bóg święty raczy wiedzieć, to jednakże pewna, że na twarzy królewskiej poznać było można frasunek. Ba, jakże frasunek być nie miał, kiedy podkanclerzy litewski pan Szczuka donosił królowi że generał szwedzki Maidel spustoszył do szczytu jego dobra Szydrę i że prostym krokiem zmierza do Warszawy. Lada chwila więc spodziewać się można było gości. Król na zwiady wysłał kilkuset swoich Wołochów, a potem cały korpus sześciotysięczny musiał wyprawić w stronę Łukowa, dlatego żeby w Warszawie był cokolwiek bezpieczniejszy.

Zjeżdżali się tymczasem ze wszystkich stron panowie i posłowie do traktatu. Przyjechał wojewoda łęczycki Towiański, najserdeczniejszy przyjaciel księcia prymasa, z synem swoim podczaszym koronnym, przyjechał i sam książę prymas. Z kolei zawitali wojewoda i kasztelan kaliski Maciej i Jędrzej Radomiccy, partyzanci króla Augusta świeżo na te dostojności mianowani. Dalej rój kasztelanów większych i mniejszych, pan Gnieźnieński, panowie Rogoziński, Nakielski i Raciążski. Rozdawał im król jegomość wakanse, starostwa, krzesła wyższe i przywileje podpisywał. Kardynał z Towiańskim i z biskupem chełmińskim pojechali do zamku; ale król nie chciał rozmawiać z temi panami, tylko najprzód osobno kardynałowi dał posłuchanie. Kiedy książę odszedł, zaproszono biskupa, ale trzy ojczenasz nawet nie wyszło, już z pokojów wracał ksiądz Potocki goniąc za prymasem. Musiała tam ostra prowadzić się na zamku rozmowa króla z Radziejowskim, bo odtąd nogą kardynał niepostal na pokojach; jeżeli zdarzyła się jaka sprawa do której załatwienia potrzeba było obecności albo współdziałania prymasa, król znosił się z nim przez podstawione osoby, przez referendarza koronnego np.; a to rzecz ważna, że o te sprawy zważano się z obudwu stron umawiano, a nikt, jeden drugiemu, ni król kardynałowi ani kardynał królowi, ustąpić nie chciał.

Kwasy te powstały z powodu, że Radziejowski tak bardzo zaprzyjaźnił się ze Szwedami: czy było więc dlaczego czy nie było, dosyć że król księciu nie ufał. Przybiegł potem do Warszawy skłopotany starosta inowrocławski Wojciech Dąbski, który województwo łęczyckie chciał skonfederować za sprawą królewską. Już tryumfujące listy pisał do

Warszawy, i złote góry, zasługując się panu, obiecywał, kiedy powstały huki, a pan starosta, unosząc głowę przed szlachtą, wpadł ze swojemi przyjaciółmi do Warszawy przebiérając się do wojska i pełen nadziei, że tu zastanie samego króla jegomości. Widział się zaraz z Augustem, który wyjawil mu życzenie swoje żeby województwa które nie były pod Sandomierzem, przystąpiły do uchwał w obozie konfederackim wydanych. Tak wszędzie, gdzie spojrzeć, była niepewność.

Panowie doradzali królowi żeby drugi raz odważył się na bitwę i stoczył ją dla sławy własnej i sławy narodu polskiego; szło o to żeby się jakoś dzielniej względem Szwedów postawić. Król się krzywił na tę myśl, o której jednak rozprawiano chwil kilka. Były powody za, były i przeciw, ale to co przeciw bitwie mówiło, przeważało szalę, i król nie dał sobie ani wspominać o nowych bitwach.

Karol XII zaciągał w Krakowie chorągiew leką polską. Dalej spalił się cały zamek na Wawelu, i o to, nie bez powodu, posadzano Szwedów. To wszystko były powody do wielkiego nieukontentowania jakie panowało w Warszawie. Naturalnie im więcej się pomnażała liczba szlachty w mieście, tém więcej było wrzasku, więcej niezgody. Szczególniej posłowie do traktatu, łęczyccy, płoccy i ciechanowscy, głos podnosili, a wielu z nich z zapalem tłumaczyło swoje uczucia, że gotowi oddać życie swoje, krew wylać za godność majestatu. Płoccy jednakże powstawali na Sasów, oskarżali ich, domagali się gwałtem kommissyi któraby rozsądziła sprawę pomiędzy nimi a wojskiem niemieckim. Zwiększał się orszak gości. Przyjechał biskup żmudzki Kryspin, podkanclerzy koronny Tarło, podskarbi nadworny Miączyński, i pan Stanisław Morsztyn piérwszy kommissarz do traktatu.

21 września na pokojach zamkowych otwarto posiedzenie. Zasiadli kommissarze wyznaczeni pod Sandomierzem, i posłowie wybrani tylko co na sejmikach wojewódzkich. Przeczytano najprzód uchwały sandomierskie, potem zwrócono na to uwagę, że niéma w izbie księcia prymasa; wysłano więc po niego z zaproszeniem deputacją, żeby prezydował na kommissyi. Posłuchał Radziejowski, przyjechał natychmiast i zajął piérwsze miejsce które mu należało. Wtedy przeczytano instrukcye, akta odnoszące się do rzeczy, ale skończyło się na tém, bo kommissarzów było niewielu; radzi

nieradzi więc obecni odłożyli posiedzenie do dnia następnego. Nazajutrz kommissarze przysięgali według dawnego zwyczaju na swój tymczasowy urząd; ale trudność nowa się pokazała, że z Wielkopolski nie było kommissarza; bez niego oczywiście niebyła reprezentowana całość rplitój, a przemawiać w imieniu Wielkopolski, kiedy prowincya do tego nie upoważniała, sprzeciwiało się prawom narodowym. Otóż prymas wynalazł naprędce sposób: poradził żeby obecni senatorowie wielkopolscy osobno pomiędzy sobą się znieśli i sami wyznaczili na komissarza pana Leszczyńskiego, starostę ostrzeszowskiego, który się wtedy znajdował w Warszawie, ale ma się rozumieć tymczasowo, poddając zawsze ten wybór pod zatwierdzenie szlachty. Z tą radą prymas poprzedniego dnia jeszcze wystąpił; więc nazajutrz po przysiędze senatorowie z Wielkopolski znieśli się z sobą i obrali Leszczyńskiego. Prymasowi wiele o tego starostę chodziło, chciał jakiegokolwiek Leszczyńskiego mieć w kommissyi, bo stary jego przyjaciel Rafał podskarbi z synem Stanisławem tylko co drapnęli na Śląsk, z obawy przed Sasami, i przynajmniej na teraz do rplitój wracać nie myśleli. Jednakże wystąpiła i opozycya przeciw prymasowi: dwaj Radomiccy, wojewoda i kasztelan kaliscy nie chcieli Leszczyńskiego, dlatego raniutko wymknęli się z Warszawy, żeby nie głosować za nim, a nie mieli odwagi jawnie rzucić na szalę swojego veto. Wzbraniał się i Leszczyński sam, bo znał że stanowisko jego w kommissyi niezupełnie prawne, ale wreszcie uległ prośbom i zasiadł krzesło. Dużo jeszcze było kłopotu z przysięgami, wreszcie wszystko ułatwił książę prymas, spisano u niego akt pełnomocnictwa, sekretarzem poselstwa wybrano Piotra Tworzyjańskiego skarbnika krakowskiego, który zaraz wziął wszystkie do siebie papiéry i wyjechał naprzód jako goniec do króla szwedzkiego z uwiadomieniem, że poselstwo się zbliża; niedługo zaraz po nim wyjechali i sami kommissarze. Na tém zalimitowały się obrady szlacheckie w Warszawie, bo teraz rzecz cała już zależała od układów. Wyznaczono dzień 23 października na następne zebranie się, którego miejsce wyznaczono w Warszawie, albo gdzie będzie stosowniej, a zawsze przy boku królewskim. Spodziewali się albowiem wszyscy że na ten dzień powrócą już kommissarze z obozu szwedzkiego, a właśnie w tymże czasie miał się odbywać sejmik wiel-

kopolski, więc nieformalności jakich tymczasem użyto, łatwo będzie można naprawić. Proszono też króla żeby do tego czasu mieszkał w Warszawie i czekał na skutek. Obiecał, ale nie dotrzymał słowa, kardynał zaś drugiego zaraz dnia skoro świt wyjechał do Radziejowic, nie pożegnawszy się z panem a dawszy mu poznać że tak szczerze zabiegał o zgodę przy nim, jak i przy Karolu szwedzkim.

August był tylko na wylocie w stolicy, wojska swoje jeszcze z pod Sandomierza pchnął ku Prusom i tam ciągle myślą swoją zmierzał. Co więc miał nieczynny siedzieć w Warszawie, wolał wybiegnąć do Torunia, i w samej rzeczy tam wyjechał, obiecując że na 28 października powróci znowu. W ostatnich chwilach swego pobytu w Warszawie odebrał wiele nieprzyjemnych nowin, z których najsmutniejszą ta była, że Szwedzi Częstochowę oblegli. Dalej martwiło go postępowanie Rafała Leszczyńskiego: podskarbi napisał list do króla jeden, a drugi do województw wielkopolskich, obydwa pełne żółci. Dostało się w nich szczególniej Przebendowskiemu, i tak bardzo, że pan wojewoda odpisywać musiał Leszczyńskiemu i szeroko niewinność swoją tłumaczyć. (13 września z Warszawy) (1). Wreszcie zajmował się król w Warszawie poruszeniem szlachty. Wydał uniwersały pod dniem 26 września, w nich zwoływał sejm wielkopolski i jenerał mazowiecki zaklinając na miłość Boga i ojczyzny żeby szlachta szła do konfederacyi i powstawała przeciwko Szwedom. Podobnie uniwersały od siebie rozpisywał Dąbski marszałek wielkopolski.

Może by to i zdało się na coś, bo szlachta sieradzka, sandomińska i krakowska dobrze już zaczynała witać Szwedów; ale nadzieje pokoju prędko się rozchwiała. Szwed kładł różne przyczyny umyślnie żeby do traktatu nie przystępować. Głównie odpowiadał kommissarzom polskim: że pod Sandomierzem byli tylko Małopolanie, ale nie Litwa i nie Wielkopolanie, więc to nic dla niego nie znaczyło, bo on by chciał układać się z całą rplitą, nie z jej częścią. Szwed pomiarkował, że w Warszawie zaszły nieformalności. Ztąd wrzała znowu gniewem Warszawa, a raczej ci panowie w stolicy, co jeszcze w niej pozostali przy królu po rozjechaniu się reszty.

(1) List ten znajduje się w Załuskim tom 3, stro. 265.



1.

2.

3.

W takim stanie rzeczy bezpieczniej było w Toruniu, a ponieważ król według uchwały pod Sandomierzem miał prawo zwołać wielką radę gdzie mu się będzie podobało, i na téj zasadzie kommissya w Warszawie przed limitą postanowiła, że niekoniecznie zjechać się ma w stolicy, August więc do Torunia zwołał kommissarzów i posłów na radę. Wielkopolska go nie zawiodła, wybrała na sejmiku także posłów do Torunia, cała udając się do konfederacyi przeciw Szwedom.

Warszawa zatem pod koniec roku była poza wypadkami politycznymi: wszystko co żyło wybięrało się do Torunia. Przez stolicę chyba została droga dla panów litewskich. Wprawdzie i tak dosyć ruchu było w mieście; w październiku miała się tutaj np. odbyć rada senatu; zjeżdżali się więc ci i owi senatorowie, ale zeszło jakoś na niczem, bo książe prymas nie przybywał, a miał teraz nowe powody niechęci do króla Augusta. Życzył sobie aby podczaszy Towiański dostał podkomorstwo koronne, a tu jakby naumyślnie otrzymał ten urząd mąż kochanki królewskiej, pan Jerzy Lubomirski. Dzień za dniem więc zwłóczył i nieprzyjeżdżał do Warszawy. Rada senatu skończyła się więc na projekcie; Szwed odrzucił i tak warunki zgody. Kiedy więc w Toruniu na dobre trwały obradowania, a Litwinów aż sześćdziesięciu, każdy ze świetnym orszakiem, przyjechało do Warszawy jako deputaci wyznaczeni do boku królewskiego, Szwed prawym brzegiem Wisły zwolna pomykał ku Warszawie od Krakowa. Jednocześnie król August niby to karciał swawolę swoich żołnierzy.

Mówiliśmy o Wołochach jak dokazywali po mieście i okolicach. Jeden z nich brewerye wyrabiał w klasztorze księży Reformatów i skazany był na śmierć. Wielkie prośby zanesiono przed króla, żeby go ulaskawić: dosyć będzie wyroku, mówili, na postrach innym, ale król pokazał się niewzruszonym, i biednemu Wołochowi ucięto głowę na rynku warszawskim. Księża Jezuici assystowali mu przy śmierci (1). Drugim wypadkiem, który także nieco gwałtowniej poruszył miasto, było porwanie posła francuzkiego Herena, który przyjechał do Karola XII, przez pana Bretsnejdera, który to zdziałał stosownie do rozkazu królewskiego. August II niewiele sobie robił kłopotu ze swojemi politycznymi nieprzyjaciolmi, jeżeli mógł im poradzić. Otóż Herena złapano i odwieziono do Torunia.

Nadchodząca zima, a przynajmniej początek jęj, były zresztą dosyć pomyślne dla Warszawy. Sasiwojskami swemi zajmowali Prusy, Pomorze, Kujawy i poblizsze im ziemie mazowieckie. Szwed pod Krakowem i na Rusi swobodnie się rozwalał, a jednym tylko oddziałem zwolna pomykał się przez Lubelskie pod nadbrzeża Wisły i tameczny kraj niszczył. We środku zatem położone województwa łeczyckie i rawskie miały tylko kwarcianych na karku, a przy takich okolicznościach upiekło się i Warszawie, która ani szwedzką ani saską, ani polską nie była, a więcęj jak neutralne miasto czekała zmiłowania się losu.

(1) Zaluski stronnica 294.

J. Bartoszewicz.

BIELUŃ.

Komuż, równie w miastach jak po wsiach, nie jest znana owa roślina tak bujnie rozpościérająca się pod płotami, po placach, podwórzach, na każdym gatunku ziemi, a szczególniej po rozwaliskach upadłych budowli, po gruzach, pustkach, dawnych gnojowiskach; roślina na której widok roztropne wieśniaczki ostrzegają słusznie swe dzieci żeby się

do niej nie zbliżały, ani téż jęj kolczystemi makówkami nie bawiły, mówiąc im że to jadowita trucizna. Takim jest rzeczywiście *bieluń*, o którym w niniejszym artykule mówić zamierzamy. Już sama woń odrażliwa wszystkich surowych części bielunia, przynajmniej gatunku najpowszechniej znanego, odstręcza od niej każdego i czyni go podej-

rganym; rogiaty téż, kolczysty owoc zdaje się wołać: nie dotykaj mnie! Mało nawet widać na bieluniu uszkodzeń od owadów, co to i najostrzejszego smaku innych roślin nie omijają, i nikt téż nie widział aby ptastwo jadło jego nasienie. Czyliżby więc tak pogardzona, nietylko od ludzi ale i od zwierząt, roślina, miała być zupełnie nieużytecznym, niepotrzebnym chwastem, podlém zielskiem na ziemi? — Nie! — Wszystko co stworzone ma pewny cel, pewny użytek w ogólnym szeregu stworzeń, który zbadać i poznać człowieka jest powołaniem; pomimo odrażliwą woń poznał on już lekarskie skutki bielunia, a czas pokaże co więcej odkryć w nim zdoła. Niektóre gatunki tej rośliny wchodzą, jak dalej zobaczymy, między ozdoby siedzib ludzkich dla swego okazałego pięknego kwiatu, nie przestając jednak dla zdrowia ludzi być niebezpiecznymi.

Gdyby pomiędzy roślinami stosunki powinowactwa tyle miały znaczenia co między ludźmi, bielun słuszenie mógłby się szczycić takimi krewniakami, którym dziś niemal świat cały hołduje. Do jednej i téj saméj co bielun familii *psiankowej* (Solaneae) należą: *kartofel* (Solanum tuberosum), *tytuń* (Nicotiana) i wiele innych, a wszystkich przymioty w najwyższym zwykle stopniu bywają dodatnie lub ujemne. Nikt pewno nie uzna za przysługę dla ludzkości pomysłu używania tytoniu w jakikolwiek sposób, i zdaje się że niegdyś tę roślinę mijano z taką samą odrazą, z jaką dziś unikamy jéj powinowatej, bielunia; a jednak dziś jego konsumpcya stanowi jedną z najważniejszych gałęzi handlu i przemysłu. Ileż za to rzeczywiście szacownych zalet posiada kartofel, którego sprowadzeniem do Europy admirał Drake, nie wiedząc o tém, większą ludzkości wyświadczył przysługę, aniżeli odkrywcy kalifornijskich i australskich kopalni złota.

Jest jeszcze u nas roślina z téj saméj familii, lubiąca, równie jak bielun, zajmować opustoszałe place, podpłocia, obszerne nie dość starannie utrzymywane dziedzińce i podwórza wiejskie, wszędzie gdzie żywniejszy, opuszczony, w siedzibach tak wiejskich jako i miejskich, znajdzie się kawałek gruntu. Rośliną tą, równie jak bielun obmierzłą, jest *lulek pospolity* (Hyoscyamus niger), zjadliwa, zabójcza trucizna, ale razem i lekarstwo apteczne, którego jednak bez przepisu doświadczonego lekarza używać nie można. Tu wreszcie należą: *pokrzyk wilcza jagoda*, czyli tak sławna w aptekach

Atropa belladonna; *Mandragora* (Atropa mandragora), tak niegdyś słynna; znana prawie każdemu *psianka słodkogorz* (Solanum dulcamara) i inne gatunki psianki właściwej; *garliczka sennica* (Physalis somnii), tudzież *wzdętka garliczkowata* (Nicantra Physalodes). Wszystkie wymienione, właściwie obce u nas lub przybyłe z obcych krajów, rośliny mają w sobie pierwiastki gwałtownie działające na organizm ludzki, i w ogólności na zwierzęcy, a te pierwiastki znajdują się we wszystkich ich częściach, tak nad ziemią, w liściach, łodygach, kwiatkach i nasionach, jak i w ziemi, w korzeniach. Chemia śledziła już te zjadliwe pierwiastki i stosownie do łacińskiego rodzajowego nazwiska roślin opisała je pod nazwami daturyn, nikotyn, solanin i t. d., które im dzielniejszymi są środkami w dobrze poznanych i pomyślanych celach lekarskich, tém zgubniejszą téż działają gdy użyte niewłaściwie.

Po tych ogólnych uwagach nad osobliwszemi familją *psianek* składającymi roślinami, wracamy się do szczególnego jéj rodzaju bielunów.

Bielun dziedzierzawa, także *dendera* zwany (Datura stramonium), u Niemców *Stechapfel*, u Francuzów pospolicie *Pomme épineuse*. Z tego tylko gatunku u nas rodzaj powszechnie jest znany, chociaż w bogatszych cieplarniach widzieć się zdarza więcej gatunków, zalecających się pięknym, okazałym kwiatem, a niektóre nawet są krzewami znacznej wielkości. *Dziedzierzawa*, której obraz przedstawia załączona tu rycina, jest u nas jak się zdaje przybyszem, według jednych z Indyj wschodnich, a według drugich z Ameryki. Należy, podług układu Linneusza, do klasy pięcio-pręcikowej, rzędu jednosłupkowego, a w naturalnej familii, jak już wyżej powiedziano, liczy się między rośliny *psiankowe*. Jestto roślina roczna, do dwóch przeszło stóp bujnie wyrastająca, a chociaż nie jest wybredna w wyborze gruntu, rzecz jednak dziwna że nie wydała się na pola, zarośla i do lasów, ale trzyma się siedzib ludzkich po wsiach i miastach, na pustych placach, podwórzach, gruzach, gnojowiskach. We wszystkich swych częściach, a szczególnie w nasieniu, bardzo jadowita. Łodyga jéj jest okrągła, gładka, dwudzielna, bardzo gałęzista; ztąd francuzcy wieśniacy za lichtarz jéj używają, to jest dorosłej, uschlęj ucinają z jednej strony równo wierzchołki gałęzi, z drugiej korzenie pieńka, w który, do góry przewrócony i na sto-

le postawiony, jak w lichtarz, świecę zatykają. Liście dziedierzawy są duże, ogonkowate, jajowate, gładkie, kątowato-ząbkowate; kwiaty pojedynczo z kątów między gałęziami wyrastające są okazałe; ich kielich pięciokątny, korona biała lub jasno-niebieskawa, lejkowata, fałdowana, w pięć zębów na obwodzie wybiegająca; torebki nasienne jajowate, wielkości orzecha włoskiego, trwałą częścią u spodu kielicha opatrzone, kolcami silnymi najeżone, na cztery części rozpękające się; nasiona, niemal wielkości konopi, nerkowate, pomarszczone, czarne. Roślina ta, ze wszystkich swych części, wydziela woń przykrą, odrażającą; smak jej jest gorzki, ostry, obrzydliwy, czém wszystkiém przezorna natura zdaje się ostrzegać o jej szkodliwości dla człowieka. Narkotyczna ta trucizna dawana bywa przez złośliwych ludzi w zamiarze odurzenia, a w Turcyi i w wielu innych krajach mieszają ją do opium dla wzmocnienia jego skutku. Lekarze, acz z wielką ostrożnością, używają jej na choroby nerwowe, szczególnie w stanie tynktury przyrządzonej z winem (tinctura narcotica Hufelandii). W Niemczech, mianowicie nad Renem, napotyka się drugi w Europie dziko rosnący gatunek *Datura Tatula*, którego nasienie równie zjadliwą jest trucizną.

Najjadowitszym jednak i najgwałtowniej działającym jest gatunek rosnący w Indjach wschodnich i w Chinach, *Datura ferox*. Mówią że dosyć jest sokiem z jego liści zwilżyć brzegi kieliszka, a to już wystarczy do sprawienia szaleństwa w osobie któraby się tego kieliszka ustami dotknęła.

Mniej niebezpieczne są gatunki należące do roślin zdobnych, i dlatego hodowane w wazonach po zamożnych, cieplarniach. Takiemi są: *Bieluń kolczysto-gałęzisty* (*D. ceratocaula*), którego ojczyzną jest wyspa Kuba. Gatunek ten ma wielkie, piękne białe kwiaty, które w kątach na obwodzie fijołkowo są zafarbowane, wieczorem przyjemną woń wydają, o 5 godzinie pod wieczór otwierają się, dopiero o godzinie 9 dnia następnego zamykają, a kwitną od początku lipca aż do października. Rozmnaża się z nasienia, wymaga ciepła i przedniej ziemi. *Bieluń drzewiasty* (*D. arborea*) podobny do okazałego drzewka, pochodzący z Peru, drugi *B. wonny* (*D. suaveolens*), rosnący w Meksyku, oby-

dwa wydają wielkie, białe, przyjemne pachnące kwiaty. Gatunek *B. czerwony* (*D. sanguinea*) z południowej Ameryki, również drzewny lub krzewny, zdobny jest wielkimi, od spodu żółtymi, w drugiej górnej połowie krwisto-czerwono-pręgowanymi kwiatami; dla ostrożności jednak roślin tych nie trzymają na noc w pokojach podczas ich kwitnienia, ale je wystawiają zewnątrz lub do przysionków. W południowych Niemczech chowają je w ogrodach, w miejscach osłoniętych, gdyż w mieszkaniach nabawiłyby ludzi zawrotu głowy. W Peru używają nasienia gatunku *sanguinea* do przyrządzenia napoju odurzającego.

Najpowszechniej atoli hodowane bywają, jako zdobne gatunki, *Datura fastuosa* i *Dat. Metel*. Pierwszy, z Egiptu pochodzący, ma wewnątrz białe, zewnątrz fijołkowe kwiaty, okazałe, przyjemnej i mocnej woni. Najlepiej jest trzymać go z wazonem w oknie aż do rozkwitnienia. Piękne są także odmiany jego z białym i białofijołkowym kwiatem. Przy końcu miesiąca marca zasięwa się nasienie w wazoniku, utrzymuje ciepło, miernie wilgotno; młode roślinki przesadzają się osobno do wazoników, w ciepłym miejscu utrzymują, stopniowo do chłodniejszego otwartego powietrza przyzwyczajają i w końcu maja na otwarte powietrze wynoszą, lub też w oknie, jak się powiedziało wyżej, ustawiają do czasu aż zakwitną.

Tak samo postępuje się z gatunkiem *D. Metel*, pochodzącym z Azyi, który się odznacza wielkimi białymi kwiatami. Mieszkańcy w Goa używają nasienia tej rośliny dla odurzenia tych których baczności nad sobą obawiają się.

Jak inne tak i powyższe gatunki bielunia lubią pulchną, żyzną ziemię liściową lub z dobrze przetrawionym gnojem umieszoną, z dodatkiem pewnej ilości piasku, a latem wymagają obfitego polévania.

Dwom ostatnim, łagodniejszym gatunkom czasami mszyce dokuczają i delikatne ich łodyżki i listki niszczą; najlepszym środkiem na te szkodnice bywa dym tytoniowy, który je zabija, lub woda z mydłem, którą skropione wymiérają. Zamiast jednak skrapiania tą wodą, lepiej będzie użyć delikatnej szczoteczki, którą w wodzie mydlanej umoczywszy, odwilża się gałązki napastowane i razem mszyce z nich zmiata.

WODY W GASTEIN.

PRZEZ Dra. TRIPPLINA.

POŁOŻENIE I HISTORIA.

Wioska Gastein i wody tamiczne, a w odległości dwóch godzin drogi z tamtąd miasteczko Hofgastein z filialnym kąpiel zakładem, leżą w przesłicznej alpejskiej dolinie okręgu salzburgskiego, na 3226 stóp nad powierzchnią morza, tuż przy granicy Karyntii, o 12 mil od Salzburga.

Kąpiele te znane już były Rzymianom, i bez zapreczenia są jedne z najdawniejszych w Niemczech. Od r. 1436 wiele znakomitych osób odwiedzało je i używało wód tamicznych. Niezamożni a nawet ubodzy chorzy tém bardziej się tu udawali, i w roku już 1489 trzeba było wybudować dla nich szpital w Gasteinie. Pierwsze naukowe wiadomości o skuteczności tych wód udzielił Teophrastus Paracelsus, który między 1538 a 1541 rokiem w pobliżu Gastein mieszkał. Cesarz Mateusz 1613 r. wydał oddzielne rozporządzenie co do zaprowadzenia porządku w Gasteinie. Cesarz Ferdynand II 14 lipca 1621 i Ferdynand III 15 czerwca 1642 zaprowadzili znaczne ulepszenia. Artykuły rozporządzenia tego tyczą się tylko policyi, bezpieczeństwa i spokojności miejscowej. Artykuł 3 brzmi naprzykład: „Nadzorca kąpeli baczyć winien ażeby nieczystej, nieporządnej osoby lub z ciałem zaraźliwie dotkniętém do kąpeli nie dopuszczać.“ Artykuł 11. „Nikommu niewolno wrzucać do wody jakichbądź przedmiotów lub prać bielizny na pomostach i t. d.“ Kiedy nareszcie w r. 1671 zakład kąpeli przeszedł pod zarząd lekarski, sława jego szeroko i daleko zabrzmiała. Mimo to było jeszcze wiele niedogodności. Podróżni musieli mieszkać w drewnianych chatach i domach. Dopiero 1804 r. książęcy zamek, wybudowany w 1794 r., na ogólny oddano użytek, wanny skasowano, baseny obszerniejsze i ogólne łaźnie (omnibussy) urządzone. W drugim dziesiątku naszego stulecia wybudowano sztolnię nad źródłem, której silne, opoczyste sklepienia nie

dozwalają innym wodom zamącać uzdrawiających źródeł. W tym także czasie poznano się na skuteczności parowych kąpeli i wybudowano przy źródle najważniejszego źródła oddzielny zakład parowy. W pobliżu książęcego źródła została wystawiona studnia dla ogólnego użytku.

Kiedy liczba gości coraz bardziej powiększała się, tak dalece że nie wszyscy mogli się pomieścić w Gastein, założono 1830 r. w Hofgastein filialne kąpiele, za pomocą 2235 rur drewnianych sprowadzając wodę z Wildbad-Gasteinu. Chociaż woda 4000 sążni czyli dwie godziny podziemnej drogi odbywa, przyplywa jednak na miejsce w porze niepogodnej na 28°, w pogodnej zaś od 30—33° ciepła podług Réaum, więc jeszcze tak gorąca, że często trzeba ją ochładzać przed kąpielami.

OPIS MIEJSCOWOŚCI.

Gastein jest to mała wioska, i nie może być większą, ponieważ brak dogodnego miejsca na budowlę. Cały wąwóz między górą Graukogel na 9000 stóp wysoką i Schneebergiem na 6000, zaledwie ma szerokości 600 stóp. Znaczną część tej przestrzeni pokrywa majestatyczny wodospad Achy, przy której brzegach obu zabudowali się mieszkańcy Gasteinu. Dawniejsze domostwa zniknęły, terazniejsze, po większej części z kamienia, przyozdobione balkonami i tarasami. Czystej ich powierzchni odpowiada wewnętrzne urządzenie; suche, zdrowe, nietylko strzegą chorego od ostrego powietrza, ale wygodę z przyjemnością łączą. Leżą, jak już wspomniałem, na wybrzeżach pięknego wodospadu, na prawym brzegu Achy: dom chirurga Lajnera, o 22 numerach i 4 kąpielach; domy Mozera i Pascha, pierwszy o 22 numerach i 9 kąpielach, gdzie piękna marmurowa łaźnia, drugi zaś o 10 numerach i 4 kąpielach; dom Straubingera o 70 numerach i 24 kąpielach, trzechpię-

trowy, na dole wspaniała sala jadalna, przy niej sala billardowa, a obok oficyna o 12 pokojach, z której widok na wodospad; zamek książęcy, na przeciwko domu Straubingera, oparty o spadzistą skałę, o 2 numerach i 7 kąpielach, między którymi jedna marmurowa. Na lewym brzegu śpionionej rzeki leżą: tak zwana Solitude (ob. drzeworyt) przy urwisku wąwozu, w pobliżu wodospadu. Wielki ten, biały dom, z jasnymi żaluzjami, mieści 20 pięknych, mieszkalnych stancji, trzy kąpiele, przy nim cienisty ogród z szerokimi, wygodnymi ścieżkami. Dom Prowenchera na rogu głównej ulicy, urządzone starannie i smakownie, ma ogródek niewielki, 28 numerów i trzy kąpiele. Prałatura o 12 numerach i 2 kąpielach. Bellevue, na wysokiej skale zbudowany hotel, gdzie zarówno piękne urządzenie jak widok, o 12 numerach, za nim odnowiony dom o 5 numerach, 2 kąpielach i lazienki szpital dla chorych ubogich.

Prócz tego Gastein posiada jeszcze ładną willę z ogrodem, gdzie najwyszukańsze alpejskie rośliny pielęgnują. Należy do arcyksięcia Jana, i dotyka się potężnej skały, na której wierzchołku Bellevue zbudowane.

Z powodu braku płaszczyzn Gastein bardzo jest ubogi w place. Największy plac Straubingera, przed domem tegoż właściciela, zawiera 50 stóp w kwadrat. Na plac zamkowy wchodzić trzeba po wschodach o 24 stopniach. Szpaler nareszcie jest to przechadzka pod dachem, 70 najmniej sążni długości, 32 stóp szerokości a 16 stóp wysokości, z obu stron opatrzone szklanymi oknami, na trzy stopy wysokimi, z których piękny widok na uroczą dolinę. *Hofgastein* leży głębiej w dolinie, w jej najszerszej części, i z tego powodu więcej posiada placów. Wszystkie tu domy po większej części nowe, białe tynkowane, o małych okienkach, niektóre mają balkony i piękne ogródki. Z mieszkań gość każdy powinien być bardzo zadowolony; są tu piękne drogi i widoki, ale mało cienia. Oprócz obszer-nych i dobrze urządzonych kąpeli dla gości, znajduje się tu od 1833 r. zakład kąpeli dla wojskowych.

O K O L I C A.

Okolica alpejskich kąpeli niezrównane ma krajobrazy, co raz ujrzone na zawsze utkwia w pamięci. Gdzie się wzrok zwróci, wszędzie napotyka wspaniałą przyrodę alpejską, nad której pięknosciami

mi unosi się mimowoli. Okrąg salzburski, zwłaszcza też romantyczna dolina Gasteinu, obfitują szczególnie w piękne widoki. Majestatyczna dolina ta, zewsząd Alpami zamknięta, na 11 godzin długa, i w całej długości przerznięta szumiącą Achy wodami, odznacza się szczególnie masywnym charakterem gór i wysokością wzniesienia.

Potężny łańcuch środkowych Alp, do którego góry należą, rozciąga się od Wallis i doliny Rodańskiej przy Genewskim jeziorze, przez całą Szwajcaryę, Tyrol aż do Salzburga górnego. Najwyższe masy kolosalnych pasów alpejskich są granitowe i częścią w olbrzymich pyramidach sięgają ku niebu, częścią też tkwią w wiecznym objęciu śniegu i lodu. Najwyższe: Ankogel, Kreutzkogel, Szarek, leżą ku południowi i dochodzą od 8 do 10,000 stóp wysokości. Niższe warstwy Alp leżą jeszcze bardzo wysoko, na przykład: Nassfeld 4,000', płaszczyzna na Bocksteinie 3,456', pochyłość doliny Hofgastein'u 2,697' nad powierzchnią morza.

Wyżej wzniesione Alpy, uwieńczone lasami zielonemi, okryte chatami, dostarczają doskonałych pastwisk dla trzód licznych. Na niższych warstwach świetnieją szersze i węższe doliny, obficie w wody zaopatrzone, częścią zabudowane, częścią też pokryte uroczymi łąkami, gdzie pracowita ręka człowieka wesołe powznosiła wioski.

Gdzie tylko można było, porobiono drogi, wiążące na wierzchołki gór, do uroczych dolin i wiosek. Na spadzisty wierzchołek Gamskarkogla, najwyższej góry w okolicy Gasteinu, na 3000' nad Wildbadem, a na 6000 nad powierzchnią morza wzniesionej, prowadzi droga kręta, którą nawet konno bezpiecznie można odbywać. Wszedłszy w nią od Hofgasteinu, najwygodniej spostrzega się z góry część doliny Tyrolu, i wzrok panuje nad dziwaczniemi kształtami skał rozlicznych. Potężna góra Radhausberg 9000' wysokości, w wielu miejscach powydrażana; można ją wskrós przejechać aż do Nassfeldu. Ścieżka dwóch godzin długości prowadzi przez Beksztajn, przez wąwóz Karbach i urwisko aż do wejścia do kopalni górniczych. Kto się ośmieli w głąb' puścić na maszynie, którą górnicy odbywają drogę 800 sążni długą w koło jam i przepaści niezgłębionych, może w przeciągu pół godziny stanąć u celu. Na Pokhart droga wiedzie przez Nassfeld, przez dziką okolicę, gdzie dwa

małe jeziora, w pobliżu których dwa źródła wypływają, oba trujących własności. Z wysokości Pokhartu spostrzega się cały amfiteatr gór, mianowicie téż góry Rauris i Ankogel.

Wygodne drogi wiodą do przyjemnych dolin pobliskich. Nassfeld, mokre pole (Campus humidus u Rzymian) jest najwyższą doliną w Europie. Nazwę nadała mu wilgoć, która tam nigdy nieznika. Niezliczone źródelka spływające ze skały na bagniste łąki i wodospad, przypędzają tam ciągle wody, które bezprzestannie płynąc po skale, podobne do zasłony z gazy srebrnej, zachwycają wzrok patrzących. Dolina *Anlaufthal* przy Böckstein, pośród wysokich, spadzistych ścian skalistych. Kilka wodospadów pienisto ciskających się z nich, przerywa jedynie uroczystą miejscą tego ciszę. Pojedyncze skały wznoszą się prawie prostopadle w górę i między temi olbrzymami kamiennymi wije się droga częścią przez łąki zielone, częścią pod sosnami i jodłami, na prawo przy szumiącym potoku. Długo bardzo idzie się po skalistym, kamienistym gruncie, jakby po morzu jakim z najróżnorodniejszych, po większej części białych i gładkich, kamieni. Z obu stron często spostrzega się wielkie fijołkowe kamienie, dochodzące niekiedy 4—5 stóp □ powierzchni i które dziwny kontrast tworzą ze świeżą łąk zielonością. Dolina ta zdaje się być ojczyzną arniki, (1) której uzdrawiającej potęgi doznają często mieszkańcy. Na kwadrans drogi niedaleko od wzgórza *Anlauf*, wchodzi się jakby do wielkiego kotła, gdzie potok Hökar ze spadzistej spływa ściany; o pół godziny drogi dalej staje się przy wspaniałym wodospadzie *Tauernfalle*; o dwie godziny zaś jeszcze dalej przed olbrzymimi pokładami wspaniałego *Ankogla*. Ztąd przykrą i spadzistą drogą dochodzi się szczytu *Korntarna*, gdzie można jeszcze widzieć ślady pogańskiej czy téż rzymskiej drogi. W pobliżu jest płaszczyna z kąd nawet góry *Wloch* widzieć można. Obok *Nassfeldu* i *Pokhartu* znajduje się nader urocza dolina *Angerthal*, z wielą widokami dzikiej potężnej piękności. Dolina *Keczachthal* jest to dziki romantyczny wąwóz, wspaniałe pustkowia, obwiedzione dziwaczными skałami olbrzymiego *Tizlkarasu* i *Kesselalpu*. Dostyc uciążliwa droga wiedzie przez wioskę *Badbrücken*, u stóp *Gasteinu*, i las jodłowy do téj doliny.

(1) *Arnica montana*, kozłek lekarski.

Najbardziej uroczą wioską w okolicy *Gasteinu* jest *Böckstein*, gdzie 33 domów zamieszkuje górnicy, z pięknym kościołem, zbudowanym w kształcie rotundy na wzgórzu, przy końcu opisanéj przedtém doliny *Aufthal*. Wygodna ścieżka i droga do téj wioski: przechodzi się najprzód wzgórze, potém przyjemną dolinę z łąkami zielonemi. Po drodze ku *Böcksteinowi* znajduje się *Glorietka* patryarchy *Władysława Pyrker*a, piękne bardzo miejsce, z kąd cudne krajobrazy widać naokoło.

Droga z *Wildbadu* do *Hofgastein* bardzo jest wygodna, przebywa się ją w godzinę po szose; kto może chodzić, zapewne woli odbyć tę wędrówkę pieszo przez dolinę *Badbrücken*. Wspomnieć także trzeba o parkach angielskich i aleach pod *Hofgastein*. Dodać jeszcze należy drogę do tak zwanego źródła zdrowia (*Gesundheit Brunnen*). O pół godziny drogi od *Hofgastein* leży starożytny zamek *Weituwsel*. Ciekawe tam są do oglądania niektóre z dawnych obrazów familijnych, kaplica zamkowa z freskami z r. 1593, i kręcone schody, wiodące kiedyś do komnaty *fraucymeru*.

Dla gości zwiedzających kąpiele dwa najmiłsze spacery są: szwajcarski domek i kawiarnia angielska, na pół godziny drogi od *Gastein*. Piękny widok z obu tych miejsc na dolinę, na *Gamskarkogel* 7000' wysoki i na wyniosłą ścianę *Werfen*.

Przy szose, za ledwie na kwadrans drogi od *Gastein*, znajduje się mlęczarnia, mały ładny domek który zdaje się wisieć na skale. Dokąd się tylko uda wędrownik, czy do parku ks. *Szwartzenberga*, czy téż do parku przy górze *Reichenberg* z pawilonem, wszędzie znajdzie wygodne, równe drogi, ławki, nawet powozy i lektyki dla słabszych. Najbliższa okolica *Gasteinu* podobna jest do wspaniałego parku z cienistymi ulicami.

Największym jednak cudem natury w tych kąpielach alpejskich w pobliżu źródeł mineralnych, jest wspomniany wodospad *Achy*, jeden z najpiękniejszych w Europie co do wspaniałości, różnaitości i czystości wody. Najlepiej patrzeć nań z placu przed kościołem, i z mostu. Most tak zwany wysoki (*Hohenbrücke*) wiedzie przez wodospad. Ztąd ciska się on z okropnym łoskotem z wysokości 630 stóp. Szum tak jest głośny, że go na kwadrans drogi słychać. Po ulewie huk odgłos jest straszny; zdaje się jakby spieniony potok rozerwać chciał odłamy skał, co go więżą w granitowe karby.

W dziwnie romantyczną dolinę Gasteinu, która mieści w sobie tyle cudów twórczej przyrody, wchodzi się przez wspaniałą przesmyk zwany Klamm, drogą zwężoną z obu stron przez skały śmiało sterczące lub głębokie przepaście. A jednak jest to jedyna droga którą do Gastein dostać się można, przynajmniej z tej strony, gdzie wodospad ciska się wrzękę z wściekłością. Jedyne też to przejście do doliny Gastein, która zewsząd spadzistemi i niedostępnymi skałami otoczona jest tak dalece, że byłoby niewczesną śmiałością puszczać się niebezpieczną a mozolną drogą po górach Mallure i Nassfeld, pokrytych śniegiem przez większą część roku.

KLIMAT I MIESZKAŃCY.

Wysokie nader położenie kąpielni alpejskich, jak również wysokość i kierunek gór opasujących to miejsce, warunkują klimat tameczny. Gastein jedyną jest cieplicą na północnej stronie łańcucha alpejskiego, odznaczającą się położeniem, okolicą i klimatem.

Średnia temperatura roczna 7° Réaumura, średnia letnia temperatura od 11—12° R. W późniejszych miesiącach letnich termometr podnosi się od 20—24° R., w zimowych opada od 12—18° Réaumura niżej zera. Wieją tam ostre wiatry z północnej i zachodnio-północnej strony, sprawiając nieraz szybkie zmiany powietrza, ale góry otaczające półkolem dolinę Gasteinu wstrzymują gwałtowne zapędy, a nawet napad wschodnich wichrów miarkuje Arlek i góry przy dolinie Keczachthalu. Sirokko też, który tu czuć się daje na wiosnę i w późnej jesieni, łamie siłę swą o pasmo górzyste, a spiekły powiew jego przez wyniosłość lodowatych i śnieżystych okolic znacznie się ochładza. Tym sposobem wiatry mniej są uciążliwe dla mieszkańców, a tworząc ciągle zmiany powietrza, w górzystych okolicach atmosferę przeczyszczają, w dolinach zaś na wyższy stopień ją podnoszą.

Klimat więc nie jest ostry, ale świeży; atmosfera przenikliwa, czysta, bez mgły wilgotnej, podsycana wyziewami aromatycznej roślinności alpejskiej; powietrze wzmocnione, ożywione, zdrowe.

Na wiosnę, chociaż śnieg i deszcz pada, bywają i dnie cieplejsze; noce chłodne. Przy końcu marca a na początku kwietnia śnieg znika w dolinach; promienie słońca skupiają się w nizinach, po-

łudniowe wiatry silnie wieją, i nagle zamiast białej widać zieloną oponę; najbujniejsza roślinność rozciąga się od dołu aż do przednich Alp, granicząc wydatnie ze lśknącą, śnieżystą zasłoną.

Latem upał rzadko bywa przykry. Niezliczone źródła alpejskie raźnie spływające po górach, Achatocząca nurty po dolinie, wodospad przy Wildbadzie, cieniste lasy i gaje, utrzymują świeżość i wilgoć w atmosferze. Późnym latem za to pogoda bardzo jest zmienna: wieczorem burza, zrana śnieg! Burze przechodzą zazwyczaj, nie rozjuszając się zupełnie, ale po nich deszcz następuje. Może też tumany i mgły u wierzchołków, przy silnym grzaniu słońca i powiewie sirokko, często deszcz sprowadzają. Nagłym takim ochłodzeniem atmosfery towarzyszy czasem i śnieżysta zawieja. Zaledwo jednak przez dzień jeden pokrywa zlekka góry, i potem zawsze jak najpiękniejszej pogody spodziewać się można.

W jesieni piękny czas najtrwalszy: Dnie są ciepłe, jasne i do nieopisania pogodne, wieczory zaś i ranki chłodne.

Zima surowa ale nie burzliwa, i łatwo znieść zimno, bo niezmiennie, owszem prawie zawsze jednako umiarkowane.

Woda, wypływając ze skał granitowych, czysta jest, jasna jak kryształ, latem chłodna + 5—6° Réaumura, w zimie cieplejsza. Zawiera 70 części azotu i 30 części kwasorodu: bardziej więc obfituje w kwasoród od powietrza atmosferycznego. Roślinność nader jest bujna, ale nierodzą się tam owoce prócz leśnych wisien i dzikich malin. Skąpa jest także produkcja innych artykułów żywności, które zkadinać przywozić trzeba. Flora podobna jest do norwęgskiej i szwajcarskiej, a nawet pod pewnym względem do flory okolic przybiegunowych.

Mieszkańcy należą do silnego plemienia: dobrze zbudowani, trwałego zdrowia, czerstwi, żyjąc po prostu, stosując się do przyrody, późnych lat dochodzą. Wyjątkowo tylko natrafić można łatwe do wyléczenia cierpienia trzewiów brzusznych, systemu gruczołowego, i w zimie ciężkość oddechu. Za miejscową chorobę uchodzi wole, dochodzące nieraz do niezwykłych rozmiarów. Przypisują je częstemu używaniu wody z gór, płynącej przez cieniste doliny, gdzie słońce mało ich dochodzi. Spotkać można wiele starych kobiet, z czarną szyją i licem ospowatém, a młode dziewczęta

prędko bardzo brzydą. Zawczesna i zbyteczna praca cielesna mają być tego powodem. Kobiety noszą na głowie wysokie, okrągłe, słomiane kapełuszki męskie na czarno farbowane; ozdabiają je często wiankiem z kwiatów. Najbrzydsze nawet i najstarsze z pomiędzy nich mają zwykle rodzaj strzały jakiejś zatkniętej w warkocz, albo też gwóźdź, różę lub inny kwiat za uchem. Niektóre udają się na spoczynek o zachodzie słońca i do ósmej z rana nie wyśpią się jeszcze, inne znów nadzwyczaj są pilne i pracowite. W ogóle mieszkańcy, spokojnego i wesołego usposobienia, zajmują się rolnictwem, łąkami, szczególnie zaś hodowlą bydła i tak zwanym alpejskim gospodarstwem.

FIZYCZNE I CHEMICZNE WŁASNOŚCI CIEPLIC.

Najdawniejsze podania o Gasteinie i wszystkie następne zgadzają się na to, że ciepła woda w Wildbadzie zawsze się u stóp Graukogla wydobywała, z kąd też od niepamiętnych czasów góra ta nazywa się kąpielną (Badberg). Północna gałąź góry składa się po większej części z grubych warstw granitu i gnajsu, kryształów feldspatowych, szarawy szwajtki i kwarc w sobie mieści, a w pobliżu jej często na ślady rodzinnego wapienia, natrafic można, z którego odłamów po obu brzegach Achy następujące wypływają źródła:

1. *Książęca* (Fürstenquelle), najwyżej położone, niedaleko od zamku, przy moście *Schreckbrücke*. Przy wypływie strzeże go sztolnia góralska na 14 sążni długości od połączenia się z obcą wodą. W przeciągu 24 godzin wydaje 16,000 stóp kubicznych, na 37° R. ciepła, mineralnej wody, którą zaopatruje kąpiele arcyksięcia Jana, Straubingera, Prałaturę, Solitude, Provenchères i studnią ciepłą.

2. *Zródło doktorskie* (Doctorquelle) wytryska nieco głębiej i bardziej na północ, w pobliżu tak zwanego lekarskiego domu; dostarcza w przeciągu 24 godzin 3053 stóp kubicznych 36° R. ciepłej wody, którą za pomocą maszyny sprowadzają do zamku w Gastein.

3. *Banieczna kąpiel* czyli *źródło chirurgiczne* (Schropfbad-Chirurgenquelle) jeszcze bardziej ku północy wypływa; dostarcza na 24 godzin 3840 stóp kubicznych wody, na 36° R. ciepłej, ściekającej do zakładu kąpielno-baniecznego, jak równie do kąpeli w mieszkalnym domu chirurga będących.

4. *Zródło główne* (Hauptquelle) wypływa najgłębiej z tej strony pasma górnego; dostarcza na 24 godzin około 70,000 stóp kubicznych wody, temperatury 38° R. Pływie przez nową sklepioną sztolnię 14 sążni długości, zaopatrując kąpiele Mitterwirta, szpital kąpielny, zakład Grabenwirta i w Hofgastein.

5. *Zródło Ferdynanda* wypływa także po prawym brzegu Achy, na 24 godzin dostarcza 960 stóp kubicznych wody, z temperaturą 33. R. Przeznaczona jest do zaopatrywania ogólnej łaźni.

6. *Zródło wodospadowe* (Wasserfallquelle) tryska z twardego gnajsu, przy środku najwyższego upadku wodospadu, i na 24 godzin wyrzuca 800 stóp kubicznych wody, cieplej 28° R., którą kąpiel Thierbad zapelnia.

7. *Zródło Gratenbäcker*, najniższe i najodleglejsze ze wszystkich, płynie po lewym wybrzeżu rzeki z odłamów twardego gnajsu, rozlewa na 24 godzin 800 stóp kubicznych wody, temperatury 29° R.

Od niepamiętnych więc czasów źródła te, na każde 24 godzin, rozlewają masę wody 100,000 stóp kubicznych, do czego jeszcze niedoliczamy ilości niepospolitej, jakiej dostarczają inne poboczne źródła, których dotychczas jeszcze nie używają.

Stopień ciepła w pojedynczych źródłach od 38 do 28° R. zniża się, i tak zawsze bywało, o ile stwierdzają postrzeżenia. Jakość więc i ilość ciepłej wody, oraz miejscowość jej początku, żadnej nie uległa zmianie. Trwale te zjawiska, uznane za działanie jednej przyczyny, pozwalają wnioskować o jej niezmienności. Przyczyną zaś tą jest wulkaniczny proces, albo też ciepło w głębi ziemi niezawisłe od promieni słonecznych, a udzielające się mineralnej wodzie. Ztąd też ciepło wód mineralnych niewiele się różni od ciepła które ogień na ziemi wznieca, coby było trudno gdyby inny proces ożywiał ciepłem te wody.

Grunt w Gastein jest wulkaniczny; pod gnajsem pokładem spoczywającym nad ogniskiem ciepła znajdują się źródła. Rozgrzana pod spodem woda mineralna wydobywa się na powierzchnię ziemi, tém cieplejsza im z większej głębi przynosząc się prędzej drogę odbywa; bo jak wiadomo, im bliżej środka, tém większe ciepło w naszym planecie.

Temperatura więc cieplic zawisła od głębokości, w której się woda w ziemi z ciepłem spotyka, jak niemniej od większego lub mniejszego pokładu skalistego, od rozdrobnienia i zdolności do przyjęcia ciepłika tegoż pokładu, przez który się plyn do góry wydostaje.

Według mniemania doktora Kiene mineralna woda jest spodoskładem gazów, co rozwijają się ciągle w głębi wulkanicznego ogniska, wznoszą i skupiają się w chłodniejszych warstwach gór pierwotnych, zanim znów w wodę się przemieniają.

Woda cieplic jest bezbarwna, czysta i przezroczysta. Najdrobniejsze nawet kamyki dojrzeć można na dnie każdego strumienia. Nie zmienia się wcale, choćby przez całe dnie w otwartych bassenach, a całe lata w zakorkowanych butelkach stała, chociaż rozkład jęj zaraz przy ochłodzeniu następuje, a w sztolniach źródeł, na spodzie i ścianach sadzawek cembrowanych, po 36 godzinach widać tak zwany szlam kąpielny.

Przy suchém powietrzu woni w wodzie poczuć nie można; w sztolniach i bassenach wydaje woń mdłą, nieco zwięrzęcą; przy wilgotném powietrzu słyhać ją zlekka wątrową siarkową.

Smak przy picciu także jest mdły, podobny do dystylowanęj wody, a po wypiciu zostawia smak jakby po rosole niesolonym, mięsnym. W oziębionym stanie smakuje jak woda ze studni.

Woda w cieplicach jest także nader miękka, jakby zamydłona. Gdy się w nięj kąpie, zdaje się jakby unosiła i ułatwiała pływanie. Ale żeby specyficznie lżejszą być miała od zwyczajnęj wody, jak dotąd utrzymywano, tego nowa analiza Wolfa nie potwierdziła. Zniżywszy wodę mineralną do największego stopnia skupienia, to jest do $+ 4^{\circ}$ R, ta specyficzna jęj waga wyrównywa wodzie dystylowanęj.

Woda ta, pozostawszy przez czas niejaki pod wpływem atmosferycznego powietrza, wydaje z siebie tak zwany szlam kąpielny. Jestto galaretowatobiaława masa, którą w wielkięj ilości w zaczątku źródeł znaleźć można. Nieco dalej, gdzie już woda po kamykach i skałach mruży, tkanka szlamu staje się włóknistą, pilśniowatą i subtelniejszą, barwy jasno-zielonęj. Obfituje w azot części zwięrzęcych, bo w nięj tworzą się pierwsze zarodki zwięrzęcęgo świata: płazy i wymoczki. Kiedy woda mineralna bez przyplýwu i odpływu przez ty-

dzień spokojnie pod działaniem atmosferycznego powietrza postoi, albo płynie z bardzo daleka, i straci właściwą sobie temperaturę, pozostawia wtedy ciemny osad, gnije i odrażającą woń wydaje.

Naprzekór różnicy temperatury, stosunek części składowych w pojedynczych źródłach jest zupełnie jednakowy, co za dowód służyć powinno, że wszystkie z tegoż samego pierwotnego źródła biorą początek. Stałe części bardzo miernie w sobie zawierają; w 16 uncjach wody zaledwo $2\frac{1}{3}$ ważnych części się mieści, mniej więc jak w jakimkolwiek inném mineralném źródle. Najważniejszym ze stałych części jest siarczan sody. Innych części, jak siarkanu i węglanu wapna oraz krzemienia, w bardzo podrzędnych i odległych proporcjach znajdowano albo tylko ślady, albo ich zupełnie nie było. Również skąpą i nietrwałą jest treść części płynnych. Ilość gazu węglowego, gazu wodorodno-siarkowego i azotu jeszcze po dziś dzień nie jest znaną dokładnie. Gaz wodorodno-siarkowy, przeważny przy zmianie powietrza i najdotkliwszy dla powonienia, oddziaływa słabo na srebro. Wszystkie te gazy zdradzają byt swój przy zaczątku źródła, słabo tylko wiążą się z wodą i ulatniają się bezprzestannie i prędko, częścią z powodu specyficznej swęj lekkości, częścią przy zniżaniu się temperatury wody.

Woda w Gastein, jak każda inna, ma co do objętości dwie części wodorodu, a jedną kwasorodu. Jednak z powodu rozkładu części składowych: kwasu solnego na chlor i wodoród, można ją podnieść do trzech części co do objętości.

ODDZIAŁYWANIE WÓD W GASTEIN NA ORGANIZM CZŁOWIEKA I PODOBIENSTWO ICH DO INNYCH CIEPLIC.

Sławę, której Gastein używa, zawdzięcza znamienitemu, wielostronnemu a uzdrawiającemu działaniu swych cieplic. Przy skąpęj ich treści co do chemicznych składowych części nie wiadomo jak to działanie wyjaśnić. Przypuszczają że w nich się mieści dużo bareginy; o tym pierwiastku jednak, który szybko i zupełnie ulatnia się, tak dobrze jak nic nie wiadomo.

Przekonały nas jednak inne źródła mineralne, że o ich działalności na organizm ludzki nietylko z chemicznego stanowiska sądzić potrzeba. Woda w Gastein pobudza silną elektryczność, a to działanie

wypływa ze składu jęj cieplic. Soda, oraz inne części składowe, w połączeniu z innemi działaczami wody mineralnej tém są dzielniejsze, im w większej ilości woda się do kąpeli dostarcza, gdyż za pomocą tego przyływu i odpływu odnawianie i przemiana pierwiastków bezprzestannie się uskutecznia. Przez silne ścieńczenie głębiej wnikają, a ilość w jakiej przy ciągłej przemianie przyływają kąpiącemu się, sprawia może iż obficie organa ciała naszego przejmują niż inne treściwsze wody mineralne. Kiedy stykanie się tak blizkie pierwiastków z chorým ciałem przez 3 do czterech tygodni się odbywa, to można już na pewno spodziewać się właściwych, a nie do uwierzenia skutków.

Gasteińska woda jest chemicznie czysta, niezwykle miękka i klarowna. Własności te pozwalają jęj lekko a głęboko wniknąć w organizm, rozpuścić tam pierwiastki zwierzęce i oddzielić się; bo im czystsza woda, im mniej obcych pierwiastków w przyrodnie ciepłym płynie się mieści, tém jest wnikliwszą i stosowniejszą.

Woda Gasteińska posiada także wysoki stopień specyficznego ciepła, z którym z powodu czystości silnie będąc spojona, nabiera niezwyklej terapeutycznej dzielności. Z powodu tego ciepła głębiej wnika w organizm, wszczepia ożywiającą siłę swoją energiczniej w trzewia środkowe, niż treściwsze wody mineralne tegoż samego stopnia ciepła. Ciepło jest dynamiczną spojnią przymiotów, a wielka o zaleta cieplic Gasteińskich, że zwolna chłodną, więc długo działają. Z powodu tych przymiotów, które głównie zawdzięcza ciepłu, tak się skutecznie użyć daje do kąpeli.

Dziwnie przyjemne wznieca uczucie woda tutejsza na powierzchni ciała użyta; zdawałoby się że w tym płynie zawarta jest jakaś magnetyczna, nerwy gła-szcząca, i fantazyą wzniecająca siła. Całą powierzchnią skóry pokrywają świecące pryskające perelki, ciało nabiera mocy i życia, pleć staje się dziwnie czystą i świetną, a wszelkie bóle ustają.

To lube uczucie trwa przeszło pół godziny, czasem i godzinę nawet; potem ustępuje jakiemuś uczuciu omdlenia i ospałości, uchylają się brzuszce od palców. Wtedy opuścić należy kąpiel i położyć się spać. Otóż są pierwsze skutki kąpeli; skutki zaś odleglejsze dopiero po 7—10 kąpielach czuć się dają. Wówczas kąpiele, zamiast wzniecać żywot-

ność, apetyt i siły, zaczynają osłabiać, oddziaływać ujemnie, ale bez gorączki, i wówczas dopiero, znikać zaczynają z ciała, a zwłaszcza z wstawów, wszystkie owe chorobliwe przypadłości: sztywności bóle, nabrzmałości; często także na skórze objawiają się krytyczne wysypki niezmiernie swędzące, abscessa, czyraki, wrzody, do świertzby podobne liszaje, nawet rany oddawna zagojone otwierają się, i kule lnb inne obce ciała w organizmie zawarte wychodzą z niego. Nerki i pęcherz są widownią dziwnych, zastanawiających procesów, a wszystkie objawiają się uryną pod względem chemicznym nadzwyczaj interesującą. Słowem odbywa się w organizmie człowieka w skutek kąpeli Gasteińskich jakieś odrodzenie prawdziwie zdumiewające. Rozumié się naturalnie samo przez się, że te krytyczne objawy są mniej więcej wydatnemi w każdym systemie i organie: w piersiowych, brzusznych i urynowych.

Wapory tutejszej wody wzmacniają działalność skóry, nietylko jęj napawność, lecz także jęj wydzielność, i tenże sam wywierają wpływ na błony śluzowe.

Szlam, również jak nasz ciechociński, wybornie leczy owe zastarzałe, z osłabienia pochodzące, wrzodowate wyrzuty, a wszelkie stwardniałości i nabrzmałości rozmiękcza.

Powietrze alpejskie i wody zwyczajne tych gór życiodawczych o wiele popiérają działalność mineralnych cząstek zawartych w źródłach. Czyste powietrze aromatycznemi wyziewami i wody kwasorodem nasycone, bujną roślinność wzniecające w płodach ziemi, również silnemi żywiołami obdarzają organizm zwierzęcy.

Rzętyca czyli *serwatka*, otrzymywana za pomocą kwasu żołądkowego cielęcia z mléka owiec i krów tutejszych, tyle zawiera pierwiastku zwierzęcego czyli osmacomu, tyle cukru mlécznego, że nią żywić można bez żadnego innego pokarmu osoby nie strawić nie mogące, beżsilne i do suchot piersiowych i brzusznych skłonne.

Sok wyciśnięty z roślin leczy wszelkie choroby gruczołów i naczyń limfatycznych.

Podobieństwo Gasteińskich wód do innych wykazuje się gdy je porównujemy do *Pfëffer-skich* w Szwajcaryi, do *Wildbadskich* w Würtembergu, do *Ciepickich* w Czechach, do *Warmbrunu*

Landeku w Szląsku, do *Lenku* w Wallizyi, do *Schlungenbadu* w Nassauskim, do *Tyffer* i *Neuhaus* w Styryi, do *Cieplie* w Illyryi, do *Iwonicza* w Galicyi.

Jednakże zupełnego podobieństwa wód gasteińskich do jakichkolwiek właśnie wymienionych nie uznajemy. Gastein posiada swą specjalną właściwość, objawiającą się przedewszystkiem na nerwach z kolumny pacierzowej wynikających, a zwłaszcza na organa płciowe oddziaływających.

ZASTOSOWANIE GASTEIŃSKICH ŻYWIOŁÓW ZDROWIA, I ICH PRZECIWWSKAZANIA.

Pora lekarska Gasteinu zaczyna się w miesiącu kwietniu, kończy zaś w środku października, lecz lato jest najwłaściwszym czasem używania kuracji dla bardzo osłabionych osób; przyduszone i nierozwinięte jeszcze siły balsamiczna wiosna alpejska najłatwiej ze snu swego zbudza.

Kąpiele są, jak już wiemy, najdzielniejszym środkiem lekarskim w tém miejscu. Liczba kąpeli tu branych jest niezmierną, i wszelkie ułatwienia do nich znajdują się tutaj w domach prywatnych i zakładach publicznych.

W szpitalu dla ubogich chorych mieści się w przecięciu 300 pacjentów używających codziennie, i to bezpłatnie, kąpeli, lekarstw, wyżywienia i rady lekarskiej.

Wanny kąpielne różnej są wielkości, na stóp 3 do 4 głębokie, w ziemi na jedną stopę zatopione, a po części tak obszerne, że przeszło 2000 stóp sześciennych wody w sobie zawierają, co w wysokim stopniu przykłada się do skuteczności kąpeli, bo ułatwia kąpiącym się użycie swobodnego ruchu. Po za punkt przesycenia nie można kąpać się w tutejszych wodach, a ten już się po 15—18 kąpielach zjawia. Łatwo jest wprawić się w gorączkę dość mocną zbytmiemi kąpielami, a gorączka ta bywa czasem połączoną z pokrzywnicą lub nawet z różą. Rozumić się samo z siebie, że wówczas zaprzestać należy kąpeli.

Wszystkie z osłabienia młéca pacierzowego wypływające choroby i cierpienia cudownie leczą kąpiele w wodach tutejszych, nawet takie cierpienia, które się w kształtach najwięcej zastraszających, objawiają, jakoto: suchoty młéca pacierzowego,

epilepsy, osłabienie systematu uro-poetycznego, hysteria, hypokondria, melancholia, trzęsienie rąk tak zwane pisarskie, migreny, zawrót głowy.

Przyrządy do dawania dusz i ciągłych szprycowań, do wszystkich organów zastosowanych, ułatwiają kuracyą zewnętrzną, do której należy także użycie pary wodnej i szlamu.

Wewnętrzna kuracya odbywa się, jak już wiemy, za pomocą wody mineralnej, której się pije od dwóch stopniowo aż do sześciu, a nawet ośmiu, kubków na dwie godziny, rano, przechadzając się ciągle wolno bez wyteżenia. Osoby skłonne do kongestji studzić muszą wodę mineralną aż do 32° R. Niezmierna ilość piaskowych i śluzowych substancyj odchodzi uryną z organizmu w skutku użycia wewnętrznego téj wody mineralnej.

Rzętyca przywraca siły osobom osłabionym, sok z roślin zatrutej krwi czystość oddaje, powietrze alpejskie i woda z zwyczajnych krynic odświeża zgorączkowany organizm.

Szkodliwemi mogą być wody Gasteinu tym, którzy cierpią na zbytę drażliwości mózgowéj lub krwistéj, na krwistość, kongestie, zapalenia, krwotoki czynne, na kacheksye, to jest zbytę zepsucia krwi, na gorączki hektyczne, puchliny wodne, raka, skorbut, syfilis, suchoty lub tuberkuly w płucach, wybujałości tłuszczowe, wzdęcia arteryj, aneurysma, ścieśnienia kanału urynowego, polipy maciczne. Osoby w ciąży będące także do Gasteinu jechać nie powinny.

JAK SIĘ MA ZACHOWAĆ PACYENT W GASTEINIE.

Mieszkanie. O to tutaj nie trudno: mieszkań porządnych, wykwintnych nawet, dostaniesz tu za tańsze pieniądze niż u nas. Dom Staubingera, zamek, „la Solitude“ Prałatura, Provenchères, Hofgastein, Bellevue wygodnych i tanich dostarczą mieszkań, byleby się je listem pisanym zawczasu do Dr. Kiena, lekarza kąpielnego, listem cokolwiek obciążonym, rozumić się, zamówiło.

Sposób życia podczas kuracyi jest tenże sam, jaki każdy człowiek rozsądny zupełnie instynktownie przedsięwzięmie w każdym miejscu kąpielném. Wstaje się rano, ubiera się wygodnie i dość ciepło, obuwie kładzie się nie zanadto lekkie ani cisnące, pozostaje się jaknajwięcej w powietrzu, czyta we-

sołe nauczające książki, je do syta ale nie do przesyty. Żaden porządny człowiek nie upija się, ani zgrywa w karty w miejscach kąpieli, ale ludzie posiadający wytrwałość, zręczność i energią chodzą na długie spacery, puszczają się nawet na polowanie lub na łowienie ryb; bo tu dzikich kóz, orłów i pstrągów mnóstwo.

Kto nie umie w pięknościach przyrody, w rozmowach z ludźmi naukowymi, oświeconymi znajdować jednej z największych przyjemności życia, tego życie dalibóg mało się komu na co dobrego przyda. Lecz ten co do grubiej przywykł materii, i życia rozkoszy pojąć nie zdoła chyba w ochocie bliźniemu szkodę przynoszącej, ten, byleby tylko serdecznie zechciał, przesadzony z brudnej widowni swego niepotrzebnego życia pośród tych cudów

natury tak okazałej i miłej zarazem, może się nauczyć ubóstwiać Boga w Jego najpiękniejszych dziełach, może się zmiękczy na widok ludzi nie dybiących na czas, honor i pieniądze swych bliźnich dla zabicia nudów, może zasmakuje więcej w czystych krynicach alpejskich, jak w fałszowanych trunkach, dukatami z potu ludzkiego zbitymi płaconych.

Ale gdyby te piękne korzyści można osiągnąć bez cierpień i chorób, bez reumatyzmu i podagry, bez wód mineralnych i Gasteinu, bez powietrza alpejskiego i obcej ziemi, toby daleko lepiej było.

Tego więc ziomkom życzy autor niniejszego artykułu, i to z całego serca.

NORYMBERGA.

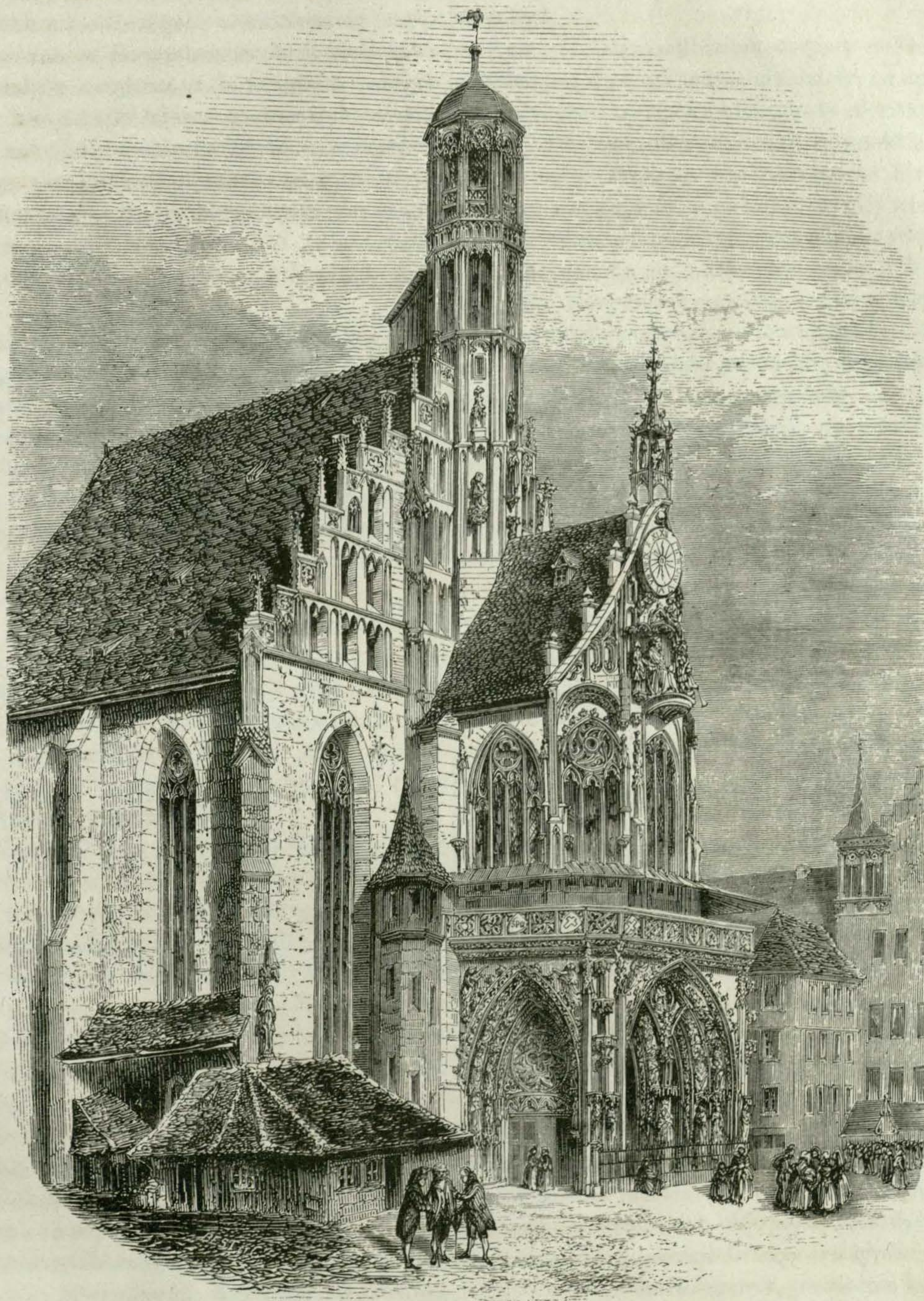
Jeżeli kiedy w drodze prawdziwej doznałem przyjemności, pisze znakomity podróżnik francuzki X. Marmier, to niezawodnie w chwili gdy jadąc z Bambergu ujrzałem w oddaleniu zczerniałe mury starodawniej warowni i dzwonnice jakiegoś kościoła, a poczytliw, odwróciwszy się do mnie z swojego siedzenia, rzekł głosem donośnym: „Ot i Norymberga, a tamte wieże to kościół św. Sebalda.“ Oddawna już tak gorąco pragnąłem być w tém mieście, tyle się o niem namarzyłem, tylekroć odtwarzalem je w wyobraźni swojej z licznymi jego pamiątkami, że teraz, kiedy wniść miałem nareszcie w ten przybytek średniowiecznej sztuki, myśl moja wyprzedziła zbyt dla niej leniwie wlokący się powóz, i porzucając terażniejszość, cofnęła się trzema lub czterema wiekami nazad, w dziedzinę kronik i podań.

Norymberga jest córką wieków średnich, jak Rzym przedstawcą starożytności. Wieki średnie dały jej wszystko: bogactwa i potęgę, sztuki plastyczne i poezją, pomyślność i sławę; zrobiły ją miastem rzeszy jaśniejącem i swobodnem; otworzyły jej swoje skarby i przechować kazały potomnym przejścia swego ślady.

I otóż gród młodzieńczy bierze się do dzieła; wzrasta i wzrasta ciągle, podczas gdy inne miasta pobratymcze w niemowlęctwie jeszcze zostają; rozkrzewia przemysł i handel, korzysta z nowych wynalazków, i sam wynajduje. Tym sposobem rękodzielnie jego wzrastają, a środki piędźne, czerpane z obrotu handlowego, stawiają go w możności oparcia się napadom panów i rycerzy. Norymberga w wiekach średnich była Kartaginą swego czasu; podobnie też jak niegdyś chwalono przemysłność Kartagińczyków, istnieje u Niemców przysłowie: „Wszędzie sięgnie ręka Norymbergi.“

Roku 1273 Rudolf I Habsburezyk mianował Norymbergę miastem rzeszy niemieckiej; już wtedy wyrabiała ona mnóstwo przedmiotów codziennego użycia, a dochód z nich miała tak wielki, że mogła płacić cesarzowi rocznego podatku 2,000 dukatów. Z handlu to wypłynęły bogactwa tego miasta, a z bogactw powstała w niem klasa patrycyuszów.

Od r. 1350 do 1452 Norymberga rozszerza się i możniejsze; posiada już stale na swym żoldzie dwustu jeźdźców, a może z łatwością postawić ich do tysiąca. W r. 1356 Karol IV zwołuje w jej mury



Kościół Panny Maryi w Norymberdze.

słynny ów sejm rzeszy niemieckiej, na którym wydano złotą bullę. Pod rokiem też 1356 w archiwach miejskich znajduje się pierwsza wzmianka o używaniu prochu strzelniczego, a w kilkanaście lat później wyrabiana w Norymberdze broń ręczna takiego już nabyła rozgłosu, że ją w dalekie rozsyłano strony. Roku 1368 miasto zostało wybrukowane; roku zaś 1380 w zbiorze praw miejscowych znajdujemy ustanowiony podatek od gier kartowych; co dowodzi że Norymberga i pod tym względem zdążała za postępem czasu. W 1390 senator jakiś zakłada fabrykę papieru o kilkunastu foluszach.

Na początku XV stulecia jeden tylko Augsburg współubiegać się mógł z Norymbergą w rozwinięciu przemysłu. Roku 1424 cesarz Zygmunt powierza Norymberczykom do zachowania klejnoty koronne państwa niemieckiego, których straż pozostała przy nich aż do ostatnich wojen współczesnych. W 1420 miasto nabywa od hrabiego Fryderyka przyległe okręgowi swemu dobra za 120,000 florenów złotem.

Roku 1440 jeden z obywateli norymberskich wynajduje przedziałnię jedwabiu; około 1452 zjawiają się okulary, a r. 1517 strzelby ręczne z zastosowaniem platyny. W 1560 r. wynaleziono wiatrówkę, i jednocześnie na większą skalę zaczęto odléwać nie tylko narzędzia wojenne, lecz także sprzęty rozmaite i dzieła sztuki.

Od końca XV do połowy XVI wieku pomysłność i oświata Norymbergi do najwyższego doszły szczytu. Sztuki obrazowe i poezja niesłychanego w tém mieście nabierały rozwinięcia, i arcydzieła mistrzów w różnych zawodach imię jego słynnym czynią w Europie. Albrecht Dürer staje się tém dla Niemiec, czém Rafael dla Italii; w pracach Piotra Vischer'a odradza się wdzięk i doskonałość tworców starożytnych; Wit Stwosz krakowianin (1) i Adam Krafft rzeźbiarze zapelniają miasto i kościoły licznymi, a wysokiej wartości, artystycznej pomnikami; dawne podania ludowe znajdują zbieraczy i nakładców; biblie, kanycyonały, stare kroniki i dzieła współczesnych autorów tysiącami rozchodzą się z Norymbergi; Koburger w drukarni swojej zatrudnia stu ludzi; Pirkheimer, przyjaciel

Dürer'a, odznacza się pismami treści religijnej i polemicznej; Hans Sachs nareszcie, genialny ów szewc-poeta, staje na czele Meistersänger'ów niemieckich.

Rzeczywiście, jeśli dzieje oświaty w Niemczech głównie na dwa rozpadają się działy: na epokę średniowieczną i na epokę bieżącą, to pierwszej ogniskiem była Norymberga, druga za punkt centralny obrała sobie Weimar. Można napisać historią literatury niemieckiej, a pominąć w niej wiele miast innych, lecz niepodobna pomyśleć nawet o niej bez zatrzymania się na Norymberdze i Weimarze.

I otóż Norymberga, ciałem i duszą dziecię wieków średnich, po przejściu ich tęskni ku nim i upada. Wieki średnie dały jej wielkie rękodzielnie, zapatrujące całe Niemcy w artykuły przemysłowe, a nowożytność nie zostawiła jej nic prawie, prócz pierników i zabawek dziecięcych; wieki średnie wypiaستowały w niej grono wielkich ludzi, a w czasie nowożytnym zdążyć zaledwo może za ruchem gdzieindziej poczętym; wieki średnie zrobiły ją grodem potężnym rzeszy, a w nowożytności skarłowaciała na podrzędną miescinę królestwa bawarskiego; wieki średnie obywatele jej wyniosły na patrycyuszów, a w epoce nowoczesnej patrycyusze ci spadli na kramarzów. I jakżeż się tu dziwić że ona dziś jeszcze lgnie wspomnieniami do błogiej owiej epoki swego bytu, że z dumą przechowuje pamiątki lepszej przeszłości, że wzdycha za powrotem tego co było. Szkoda cię Norymbergo! szkoda was wieki średnie! Nie wróci się świetność pierwszej, nie wróci drugich wiara i natchnienie!

Jeżeliście teraz ciekawi, czytelnicy, poznać dokładniej ten gród starodawny, to proszę z sobą przez posępne sklepienie przierzynające mury cytadeli. Puśćmy się potem pieszo w te uliczki ciasne, kręte i dosyć nieporządne, pośrodku domów rozrzuconych częścią na wzgórzu, częścią po równinie, to śmiało naprzód wysuniętych, to znów cofniętych w ustronie, niby dumni, tłumem gardzący patrycyusze, a wszystkich prawie nacechowanych piętnem zgrzybiałości. Tu małe z okragłemi szybami okienka, owdzie smagle wieżyczki narożne; a na drzwiach stare legendy, po łacinie lub po niemiecku, ustępy z pisma świętego polecające Bogu siedziby ludzi, posążki Bogarodzicy, świętych i apostołów. A dalej mosty staroświeckiej budowy, pomnik z piętnastego i szesnastego stulecia; wzdłuż

(1) Obszerną wiadomość o życiu i pracach tego mistrza podaliśmy w tegorocznej Księdze Świata, na str. 35 i następ.

rzeki rękodzielnie i mieszkania prywatne, nieszykownie rozłożone, jedne od drugich dziwniejsze kształtem i pstrocizną. Znać że to wszystko powstało zwolna, w miarę gustu i potrzeby budujących, a nie według z góry powziętego planu. Tej właśnie różnolicości malowniczej nie znajdzie w żadnym może z innych miast niemieckich, bo te, w miarę wzrostu materialnego, odmładzały się podług mody. Norymberga przeciwnie, podobna do naszych prababek, którym w dzień ślubu wręczano suknię przekazywaną z pokolenia na pokolenie, nie zmieniła dotąd swój szaty średniowiecznej.

Pragniecież teraz obejrzyć dom w którym żył i pracował Hans Sachs rzemieślnik-poeta? znajdziecie go w tej oto uliczce noszącej jego nazwisko. Nic w nim nie zmieniono; tylko że zamiast co dawniej robiono tam pieśni i bóty, dziś w nim sprzedają piwo, i tylko oberżysta, za znak swego szynku, wywiesił nade drzwiami wizerunek poety. Dalej nieco jest dom Dürer'a, budowla nadzwyczajnej prostoty: dwa piętra, dach w sposób szwajcarski naprzód wysunięty, mury czerwono pomalowane, okienka małe, łuczyste, a szyby w nich spojone ołowiem. Tu Dürer, marząc o swych Madonnach, ze wzrokiem ku niebu wzniesionym, siedział zadumany, gdy zrzędna połowica jego, wpadając niespodzianie, zawołała z gniewem: „Ależ Albrechcie, kto słyszał tak próżnować!“ A mistrz obrócił się ku niej i rzekł łagodnie: „Zaprawdę, mówię ci że pracuję.“

Pospieszmy ztamtąd zwidzieć znakomitsze pomniki Norymbergi; w istocie niemałe to zadanie. Uderza nas najprzód cytadella malowniczo na skale zbudowana, gdzie Gustaw Adolf, w czasie wojny trzydziestoletniej, opierał się Wallensteinowi. Obecnie zawiera ona szacowny zbiór starożytnych orężów i malowideł.

Kościół św. Sebalda, jedno z najciekawszych zabudowań Norymbergi, pochodzi z wieku dziesiątego; chór jednak i wieżę południową ukończono dopiero r. 1377. Styl jej gotycki odznacza się prostotą i śmiałością, ale w nim znać wyraźnie różne epoki budownictwa. We wnętrzu znajdują się przesłiczne malowidła na szkle; dalej obraz Wohlgemuth'a, nauczyciela Dürer'a, i inny samego Dürer'a; grób Chrystusa Pana, w trzech wypukło-rzeźbach Adama Kraffta z r. 1501. Są tam i inne rzeźby kamienne tegoż mistrza, zrobione kosztem je-

dnego z obywateli norymberskich, Marcina Kroeztel, który będąc w Jerozolimie, zmierzył odległość od domu Piłata do góry Kalwaryi. Wróciwszy do miasta rodzinnego, wytknął od swego mieszkania takąż samą przestrzeń, podzielił ją na siedm niby stacyj, i w każdej stacyi umieścił wypukło-rzeźbę Kraffta. Nareszcie w tej świątyni jest wspaniały grobowiec św. Sebalda, arcydzieło Piotra Vischer'a, najdoskonalszy może odlew bronzowy jaki nam przekazały wieki średnie.

Niedaleko tego kościoła, na placu, mieści się wodotrysk kamienny, godny pod każdym względem uwagi znawców. Jestto wieżyczka gotycka, wysoka stóp sześćdziesiąt, podzielona na piętra, z kolumnami i łukami. Wnęki podłuczne obejmują posążki ludzi uwielbianych w wiekach średnich: elektorów Moguncyi, Trewiru, Saksonii, Brandenburgii, Godfryda de Bouillon, Ludwika IX króla Francyi, Karola Wielkiego, Judasza Makabeusza, Jozuego i Dawida, Juliusza Cezara, Aleksandra W. i Hektora. Dziwna ta mieszanina znamienitości różnego rodzaju doskonałym jest odbiciem owego ducha pobożności, bohaterstwa i erudycyi cechującego wieki średnie. Na jednym z wyższych pięter znajdują się jeszcze posągi Mojżesza i siedmiu proroków.

Mijając plac ozdobiony tym pięknym wodotryskiem, przybywa się do kaplicy św. Maurycego, wystawionej w r. 1313, a dziś ciekawej głównie z powodu zawartych w niej obrazów. Jestto zbiór rzeczywiście rzadki i szacowny, złożony z malowideł szkoły bizantyjskiej i staro-niemieckiej. Utworzono go ze szczątków galeryi Wallensteina i augsburskiej, tudzież ze słynnej galeryi braci Boisseree, której część znaczna znajduje się obecnie w Monachium. Kilku artystów miejscowych powzięło i wykonało szczęśliwą myśl upowszechnienia w dobrych litografiach arcydzieł tej kaplicy.

Dalej nieco, na placu targowym, napotykamy kościół katolicki N. P. Maryi (Frauenkirche), zbudowany w połowie XIV stulecia przez Fryderyka Ruprechta i Sebalda Schönhofer (zob. dołączony drzeworyt). Okazała ta świątynia odznacza się przepyszną w stylu gotyckim fasadą, z rzeźbami Schönhofera i Kraffta. Wnętrze jej zawiera piękne malowidła na szkle i kilka starożytnych posągów. Zespolenie architektury greckiej z gotyką czyni

gmach ten jednym z najbardziej zajmujących pomników budownictwa w Norymberdze.

Ztamtąd mimochodem zwidźmy ratusz, dla nacieszenia się obrazem Albrechta Dürera, wystawiającym zwycięstwo Maksymiliana I, a teraz spieszmy do kościoła św. Wawrzyńca, najpiękniejszego z tyłu pięknych świątyni Norymbergi, podziwiamy jego wieże wysokie, kwadratowe, prześliczny fronton zakończony łukiem i główne wrota ozdobione płaskorzeźbami świętych, modlących się w pobożnym uniesieniu; zajrzyjmy potem do wnętrza pełnego wytworności i smaku, gdzie lekkie bez głównic kolumny wybiegają aż pod sklepienie, i rozdzielając się na ramiona, opasują takowe jakby bluszczu gałązkami; wejdźmy nareszcie do tych długich, w tajemniczym zmroku pograżonych kapliczek i na chór uwieńczony okazałym balkonem. Tamto znajdziemy owe obicia starożytne, zachwycające wdziękiem i prostotą rysunku, a ciekawe dla badających dawne ubiory; znajdziemy tam obrazy szkoły bizantyjskiej i staro-niemieckiej, i najpyszniejsze na szkle malowidła; znajdziemy w końcu słynne arcydzieło Adama Kraffta: kamienne cyboryum złożone na barkach Kraffta i dwóch jego pomocników, przyklękniętych jakoby pod brzemieniem własnego pomysłu. Dzieło to, mające 64 stóp wysokości, przedstawia sceny z męki Zbawiciela. A jakaż cudna w niém robota! Patrząc na nie pojąć niepodobna tej lekkości w ciosaniu kamienia, w wykonaniu żeń kolumn, kapiteli, łuków, ozdób, co wszystkie razem stanowią niby wykwinną koronkę dłutowaną, nie ustępującą w mi-

sterności owym rzeźbom wykonywanym w miniaturze z kości słoniowej, albo wzorom starannie bieglą rękę z papieru wystrzyżonym.

I cóż wam powiem więcej o tych cudnych pomnikach Norymbergi? Chcąc je opisać jak należy, potrzebaby pióra poety i nauki matematyka; ja zaś, niestety, nie jestem ani jednym ani drugim. Mnie westchnąć tylko wolno za epoką wieków średnich, gdy w myśli porównywaną ją z terażniejszą. Wtedy umiano jeszcze kochać, wierzyć, wtedy czynem urzeczywistniano słowa ewangelii, że wiara góry przestawia. Rzuciwszy okiem na olbrzymie katedry Strasburga i Kolonii, czyliż uznać nie musimy że jedna tylko wiara wzniesć mogła kamień za kamieniem, ozdoba za ozdobą, te gmachy niezmierne, jakby utkane z haftów i koronek, a istniejące od wieków? Ale artysta rzucający w przestrzeń zuchwale tych tumów sklepienia, miał wiarę; wyrobnik pracujący z taką wytrwałością i zręcznością nad ich wzniesieniem, miał wiarę; miał ją i naród cały podtrzymujący usiłowania artysty i wyrobnika. Wszystkie te wielkie przedsięwzięcia nie były dziełem jednego człowieka, lub choćby też kilkuset jednostek, ale całego narodu, całego nawet chrześcijaństwa. Dziś brak nam tej wiary i wynikającego z niej zespolenia w czynie, dlatego pomysły nasze rozpryskują się i maleją. Nie mamy celu wspólnego, bo każdy pracuje dla siebie, a choćbyśmy mieli i cel, to zbywa na środkach najpotrzebniejszych. Zaprawdę, gdyby dziś nie istniała katedra strasburska, to pewnie w roku Pańskim 1855 nie pomyślanoby o jej dźwignieniu.

SPRAWIEDLIWOŚĆ MEKSYKAŃSKA.

(Opowiadanie podróżnika).

Najbogatszym i najznakomitszym portem na oceanie Spokojnym, w czasie panowania Hiszpanów, był port San Blaso. W nim gromadziły się bogate galiony, prowadzące handel z Chinami i będące

celem napaści wszystkich korsarzów i piratów; tu mieszkali kupcy, mający taki szacunek w całej Hiszpanii, że przysyłane przez nich do metropolii worki złota i srebra, przyjmowane były bez rachunku.

by. Ich pieczęć, z oznaczeniem ilości pieniędzy w każdym worku znajdujących się, była dostatecznym poręczeniem dla najpodejrzliwszych nawet umysłów.

W czasie mojej bytności w San Blaso miasto przedstawiało same już ruiny; dawniejsze jego bogactwo zostało tylko w podaniach.

Poruczywszy konia opiece i gościnności *lepera* (meksykański lazzaroni), zajmującego cały pałac, (prawda że rozwalony, i z którego główna tylko sala dawała jakiegokolwiek schronienie w czasie deszczu), udałem się na przechadzkę po wybrzeżu morskiem.

Przystań San Blaso leży o pół mili od miasta, a droga do niej wiedzie przez głęboki, rozpalony od promieni słonecznych piasek; dlatego też niezmiernie się ucieszyłem, ujrawszy na brzegu morskim rodzaj szalasu z gałęzi bambusowych, nad wejściem którego zdaleka dojrzyć było można pyszny napis: *fonda*, to jest hotel. Wszedłem tam aby wypocząć.

Przy stole o trzech nogach, zbitym z dwóch nieheblowanych desek, na trzcinowej ławeczce, siedział młodzieniec lat szesnastu lub siedemnastu, w ubiorze majtka, a naprzeciw niego podżyły Meksykanin, obwinięty do pół ciała starą bawełnianą płachtą, dopijał szklanki limonady.

Spotkanie z Europejczykiem na wybrzeżu oceanu Spokojnego, przyjemnym jest zawsze dla ludzi cywilizowanych; dlatego też młodzieniec, gdy tylko mnie spostrzegł, usunął się nieco i wskazał mi miejsce obok siebie.

Po czczych wyrazach, zaczynających zwykle rozmowę dwóch osób które się po raz pierwszy w życiu z sobą spotykają, młodzieniec opowiedział mi swoją historią.

Był on Anglikiem; przed dwoma laty przybył tu na okręcie *Scolfield*, i z niecierpliwością oczekiwał chwili powrotu do ojczyzny.

Matka, mówił on, nie chciała mnie puścić, ale ojciec koniecznie wyprawił mnie w podróż. Ciężkie to życie żeglarza; lecz mam nadzieję że wkrótce ujrzę w Londynie matkę i siostrę, które mnie tam z niecierpliwością wyglądają. Ta myśl daje mi siłę do znoszenia gorzkiej terażniejszości.

— Czy dawno już jesteś w San Blaso? zapytałem.

— Już z miesiąc, odrzekł, a jeszcze dwa tygo-

dnie mamy tu pozostać, dla nabrania ładunku drzewa brezylii.

— Jakże czas przepędzacie?

— W najnieznośniejszy i najgłupszy sposób, odpowiedział młodzieniec. Uplywa już trzy tygodnie jakem się poznał z tym oto zuchem, co siedzi naprzeciw, i odtąd jesteśmy nierozłączni. Przybył on z Tepina z trzema baryłkami wódki, z którą miał wsiąść w San Blaso na statek przewoźny, i zawieźć ją do Masatlan, na targ; lecz spotkał się zemną, a ja z nudów zabrałem z nim znajomość. W ciągu dwóch pierwszych tygodni wypiliśmy dwie baryłki wódki; mój towarzysz osądził że z trzecią nie warto już jechać dalej, i został w San Blaso.

— A czemużecie nie wypili i trzeciej baryłki?

— Dalibóg, nie wiem dlaczego. Meksykańczyk powiada że ją trzeba zachować na później, na jaki nieszczęśliwy wypadek, i od tygodnia zmusza mnie do ciągłego częstowania siebie, a to, przyznaję, już mi diabelnie dokuczyło; gardło ma nienasycone jak piasek w pustyni, i gotów przepić wszystkie pieniądze, com je odłożył na podarunki dla matki i siostry.

Pomówiwszy jeszcze chwilę z Anglikiem, pożegnałem się z nim, a najawszy łódkę, wypłynąłem na morze, aby obejrzeć przystań, mającą sławę jednej z najpiękniejszych w świecie. Wysiadłszy po powrocie na brzeg, ujrzałem tłum obszarpanych Meksykańczyków, po większej części mieszkańców San Blasò, a wpośród nich kilku angielskich majtków.

— Co tam takiego? zapytałem, zbliżywszy się do jednego z leperosów.

— Nic wielkiego, łaskawy panie, odparł zagadnięty; zabito człowieka.

Nie wiem z jakiego powodu, serce moje ścisnęło się jakimś tajemnym przecuciem; pomimo wstępu do podobnych widoków, przebiłem się przez tłum ciekawych, a ujrawszy młodego Anglika leżącego na ziemi z przerznietym gardłem, zdziwiony i oburzony zawołałem:

— Kto go zabił?

— Ja, łaskawy panie, rzecze z nadzwyczajną spokojnością ten sam Meksykanin, którego przed dwiema godzinami widziałem przy jednym stole z zabitym.

— Zacóżes go zamordował, nikczemniku?

— A panu co do tego? odparł. Niech mnie prowadzą do alkaldy, tam będę się tłumaczył. Zresztą ja tu zupełnie jestem niewinny.

— Do alkaldy go, do alkaldy! krzyknęli Angli- cy, i uchwyciwszy mordercę, poprowadzili go do niedalekiej chatki. Dostojny urzędnik zajęty był właśnie rozwieszaniem bielizny do suszenia; pani alkaldowa bowiem pełniła obowiązki praczki. W kilku słowach opowiedziano mu cały wypadek.

— Niema się co namyslać, rzecze alkald po chwili milczenia; odprowadzić zabójcę do San Blaso, niech posiedzi tymczasem w więzieniu.

— Niech wasza miłość pozwoli objaśnić jak się rzecz miała, odezwał się obwiniony,

— Milcz łotrze, rozbójniku! krzyknął zapalczywie alkald.

— Cóż robić, pójdę do więzienia, kiedy wasza miłość nie raczy mnie wysłuchać, odparł zabójca. Jednak chciałbym pomówić parę słów na osobności.

I zbliżywszy się z pośpiechem do alkaldy, szepnął mu coś na ucho, czego nie mogliśmy dosłyszeć. Wyrazy zabójcy sprawiły czarodziejski skutek na alkaldzie; twarz jego natychmiast się wypogodziła i zlagodniała.

— To co innego, bracie, zawołał, jeśli masz pilny interes i nie możesz siedzieć w więzieniu bez znacznej straty, to zaraz rozpatrzemy twoją sprawę. Mów!

— Oto tak było: rzekł zabójca. Ten człowiek z trzech baryłek wódki, przywiezionych przeze mnie, dwie wypił.

— Więc ci pozostała jeszcze jedna, pochwycił alkald.

— Została, przysięgam. Ten człowiek bezbożnie odmówił mi pary kieliszków, o które go prosiłem. Odmowa pozbawiła mnie cierpliwości; nalegałem więc silniej. On zaczął mi grozić; pomyślałem przeto że lepiej uprzedzić groźbę, poderznałem mu gardło. Ot i wszystko.

To bezczelne wyznanie wzbudziło oburzenie w obecnych Anglikach.

— On kłamie, zawołał jeden z nich, łamanym hiszpańskim językiem. Ja opowiem jak było w istocie!

— Milczć, oszczerco, nie pytam ciebie! zawrzasnął alkald; a obróciwszy się do oskarżonego, rzekł głosem łagodnym:

— Ty, braciszku, zanadto się pogorączkowałeś. Zresztą chodziło tu o twoje własne bezpieczeństwo... musiałeś się bronić.

— Prawda, zanadto się pogorączkowałem, odrzekł zabójca z zadziwiającą prostodusznością, lecz odebrałem już zato karę. Jestem bowiem przekonany, że gdybym nie tak gwałtownie nalegał, Anglik zapłaciłby mi za obie, a nawet za trzy baryłki wódki. Teraz straciłem te pieniądze; ale to własna moja wina. Na drugi raz nie będę tak zapalczywym.

— To dobrze, że się otwarcie przyznajesz do przewinienia, rzecze alkald; to dowodzi że szlachetną masz duszę. Idźże, a na przyszłość bądź ostrożniejszym.

Wydawszy tak pamiętny wyrok, sędzia wstał, uklonił się obwinionemu, i znowu się wziął do rozwieszania mokrej bielizny. Będąc dosyć obznajmionym ze sprawiedliwością meksykańską, mogłem przewidzieć że taki będzie wyrok sędziego. Inaczej jednak zdawało się majtkowi, któremu alkald nie pozwolił opowiedzieć wypadków. Z oburzeniem poskoczył do sędziego i krzyknął:

— Takito twój wyrok, łotrze!

Na te słowa wściekły alkald rzucił się na niego, lecz powściągnawszy gniew swój, obrócił się do tłumu leperosów i rzekł:

— Pochwycić go, i do więzienia!

Naród meksykański z całej duszy nienawidzi cudzoziemców, a szczególnie Anglików; wszyscy więc rzucili się do spełnienia rozkazu. Dwudziestu ludzi uchwyciło nieszczęśliwego majtka i powlekło go ku miastu.

— Widzicie do czego to gniew niepotrzebny doprowadza, nauczającym tonem przemówił zabójca, oswobodzony z rąk Anglików; oto do zapomnienia wszystkich obowiązków, do znieważenia najświętszej z ustaw... władzy sądowej.

Przyniesiona niedługo potem alkaldowi baryłka wódki, wyjaśniła mi nagłą jego łagodność dla mordercy.

Poszedłem do siebie; przez cały dzień jednak nie w usta włożyć nie mogłem, a noc przepędziłem bezsennie; bo ciągle stawały mi na myśli biedna matka i siostra zabitego, które, nie wiedząc o tym, straciły syna i brata za to, że im chciał przywieźć meksykański podarunek.

KUROPATWA.

Kuropatwa, ptak znany wszędzie na lądach dawnego świata, należy do bardzo licznego wrodzaje i gatunki rzędu ptaków zwanych *kurzemi* (Gallinae lub Gallinaceae); nazywają je także *grzebiąciami* (Rasores), ztąd że szukając sobie pożywienia, grzebią ziemię nogami. Cechy wszystkim do tego rzędu należącym ptakom wspólne są te: że mają dziób krótki, wypukły, u niektórych przy nasadzie woskówką opatrzony; szczęka górna sklepista, od dolnej dłuższa i haczykowatym końcem za nią wystająca; w ogólności dziób zawsze krótszy jest od głowy, a nozdrza w nim poboczne łuską sklepistą przymknięte albo piérzem kutnerowatém pokryte; nogi krótkie lub mierne, silne, do grzebania usposobione, łuską pokryte, z trzema palcami naprzód, a jednym w tyle wyżej od tamtych osadzonym, nieruchomym, krótszym; palce przednie przy nasadzie są błoną spięte; skrzydła stosunkowo krótkie, zaokrąglone, wypukłe, a w nich lotki tęgie, ku cięłu zakrzywione; ogon różno-kształtny, a w nim sterówek, równiej częstokroć długości, mianowicie u samców, od 12 do 18. Na głowie u większej liczby miejsca gołe; grzebienie, zoby, brodawki, wyrosty, po największej części pięknego czerwonego koloru, częstokroć także, szczególnie u samców, na głowie różnego kształtu czuby z piérzy różnego koloru. Prawie wszystkie tu należące ptaki mają lot ciężki, do długich podróży niezdolny. Po największej części żyją w wielożeństwie. Samiec, z kilkunastą częstokroć żyjący samicami, zwykle od nich okazalszy i daleko świetniej ubarwiony, chodzi z partesa, nadyma się, i broni w zaciętych walkach przystępu rywalom do swych towarzyszek, którym częstokroć, jakby w chęci lepszego przypodobania się, wskazuje przywoływaniem ziarko przez siebie znalezione; za to zaś samice nie tylko nieodznaczają od niego pomocy w pielęgnowaniu potomstwa, w wysiadywaniu jaj, ale owszém niektóre kryć je muszą, aby ich nie potłukł i nie powypijał. Gniazd prawie wszystkie samice nie ścielają, tylko zwykle znoszą jaja w dołku lekko rozgrzebaniej ziemi, a znoszą pospolicie po kilkanaście. Wylęgle pisklę-

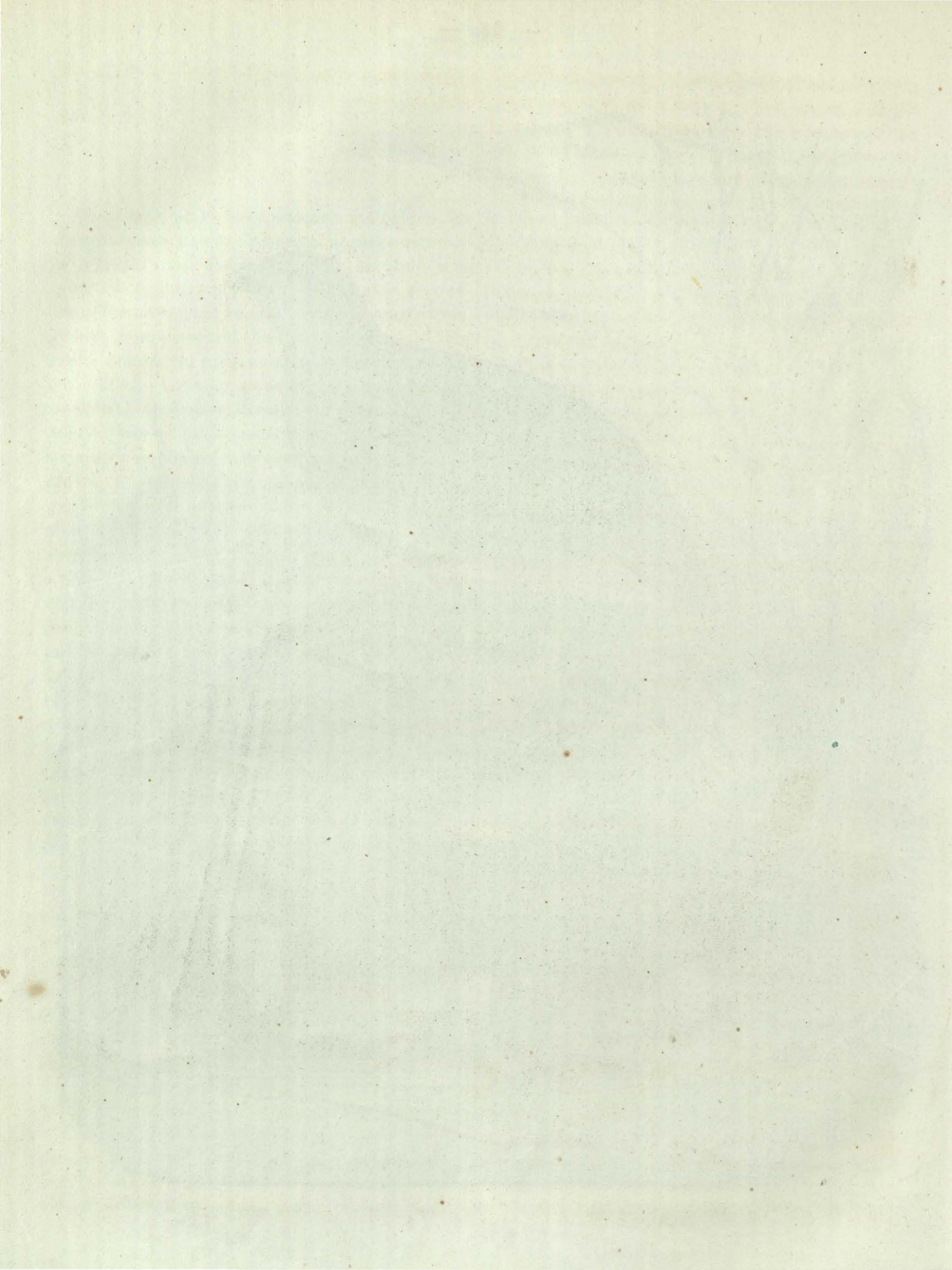
ta tak są już silne, iż obeschnąwszy, zaraz zgniazda wyruszają; matka je zwykle stadkiem wodzi, zér wyszukuje, i znaleziony pokazuje, od nieprzyjaciół je właściwym głosem ostrzega, śmiało i zapalczywie broni, a gdy się najedzą, nachodzą, żeby wypoczęły lub ogrzały się, pod swe rozpostarte skrzydła przyjmuje. Wylęgle z jaj już są całe puchem okryte, doskonale widzą, a w kilka dni tak im lotki podrosną, iż podlatywać mogą. Pokarmem ich z początku są owady, robaki, jagody; później, gdy latać mogą, jedzą wszelkie ziarno, paki drzew, trawy, liście ziół. Ziarn i robaków na pokarm szukając, ziemię bezustannie grzebią, do czego téż dogodnie mają krótkie, zwykle paznogciowate, pazury; lubią także grzebać suchy piasek, prochy, kąpać się w nich i wygrzewać na słońcu. Wszystkie są ptakami miejscowemi, wyjąwszy chyba przepiórki, które na zimę do cieplejszych krajów odlatują. Prawie wszystkie są ptakami okazałemi, i wyborne, muskularne, a przytém zdrowe mają mięso. Niektóre oswojone liczą się do najpożyteczniejszego domowego ptastwa.

Z pomiędzy krajowych i europejskich należą do tego rzędu następujące rodzaje: *paw* (Pavo), *kur* (Gallus), *bażant* (Phasianus), *indyk* (Meleagris), *perlica* (Numida), *gluszec* (Tetraco), *kuropatwa* (Perdix). Do innych części świata należy szesnaście rodzajów, których tu nie wymieniamy, jako mniej zajmować mogących ogół czytelników, a wracamy do opisu na początku artykułu zapowiedzianej rzeczy.

Kuropatwa (Perdix) stanowi w tym względzie najliczniejszy, bo w ornitologii hr. Tyzenhauza ze 44 wyliczonych i opisanych składający się gatunków, które się dzielą na 4 grupy, jako to: *kuropatwy frankoliny*, *K. właściwe*, *K. przepiórki* i *K. przepiory*.

Kuropatwa właściwa (Perdix cinerea *lac.*, *Perdrix grise fr.*, *Repphuhn* lub *Feldhuhn* albo *Räbhuhn niem.*) o której wyłącznie mówić tu zamierzamy, ma twarz, brwi i gardziel blado rude; szyję, piersi i boki siwo-popielate, falisto-czarno po-





pruszone; na bokach plamy rdzawe, nad brzuchem u samca wielka plama w kształcie podkowy ciemnokasztanowata; płaszcz szarobrunatny, czarno popstrzony; na skrzydłach każde pióro białoplamiste; w ogonie sterówek ośmnaście. Długość tej kuropatwy wynosi 12 do 14, a szerokość w rozpostartych skrzydłach do 20 cali.

Młode, zaraz po wylęzieniu, pokryte są puchem wełniastym. Pokrycie to na wierzchnich częściach ciała jest żółtawo-brunatne, tu i owdzie czarnobrunatno uplamione, i plamy te szeregami są rozłożone; na dolnych zaś częściach jest żółtawo-białe, boki rdzawo-żółte; nogi i dziób mają kolor żółtawo-cielisty, oczy żółto-brunatne. Widzieć się zdarza różne odmiany w ubarwieniu ptaków tego gatunku: całe białe, blado popielate bez śladu rdzawego koloru, białe z blado-rdzawymi odcieniami na głowie, całe ciemne i t. d.

Kuropatwa właściwa, już w najodleglejszej starożytności znana, zamieszkuje całą środkową Europę i wielką część umiarkowanej Azji. W Europie rozpościła się ku północy aż za środek Szwecji, a ku południowi aż za środkową Francją i do górnych Włoch; napotymano ją nawet w północnej Afryce. U nas i w Niemczech, w okolicach dla niej dogodnych, jest pospolita, ale nieumiarkowane, bez żadnego względu polowanie, liczbę kuropatw coraz bardziej uszczupla, co jeśli tak dalej potrwa, ptak ten, stale się zwykle swych miejsc rodzinnych trzymający, całkiem w niektórych okolicach zostanie wytępiony.

Najulubieńszymi są dla przepiórki najżyźniejsze, najlepiej uprawne okolice, tam gdzie się dużo sieje różnych gatunków zboża, rzepaku, maku, konicyzny i t. p. Przekłada ona pola równe, uprawne doliny, nad okolice wysokie lub górzyste. Gdzie pola równe, lub przynajmniej lekko pagórkowate, żyzne przedzielone są tu i owdzie obrzedniami drzewami, widniami gaikami, krzakami, tam pobyt dla kuropatw bywa najprzyjemniejszy; lubi także w bliskości urodzajnych, zbożem okrytych niw bujnie zarastające łąki i strumyki. W krajach wino-rodnych w bliskości winnic łatwo napotkać można kuropatwy. Lato jednak przepędzają z największym upodobaniem wpośród niw zbożowych; na jesień ciągną do gajów, zarośli, do winnic i w ogólności pomiędzy drzewa i krzaki; na zimę chętniej zbliżają się ku wsiom i miasteczkom, i czę-

stokroć przed zimowemi zawieruchami kryją się pod płoty, parkany, szukając tam ochrony od ścigających je w tej porze nieprzyjaciół. Na wiosnę stadka rozłączają się parami, a wtedy napotykamy je w okolicach które sobie obrały do gnieźdzenia się.

Kuropatwa jest u nas, równie jak w całej środkowej Europie, ptakiem miejscowym, nie opuszczającym na zimę okolicy w której się narodził; lecz podobno tylko w cieplejszych krajach takim zwyczajem utrzymuje się, gdyż spostrzeżono że w północnych Niemczech przy końcu października i w listopadzie zbierają się w stada 50—500 sztuk liczące. Takie różnicę mają od innych cokolwiek szczuplejszą objętością ciała, czarniawymi nogami, wielką przezornością i płochliwością, ale bynajmniej nie są oddzielnym gatunkiem ani odmianą. Być to może skutek mniej żyznych, mniej dostatnich w pożywienie okolic, z których kuropatwy, dla braku potrzebnego w zimie pokarmu, zmuszone bywają wyruszać i szukać gdzieindziej wygodniejszego pobytu. U nas i w środkowych krajach Niemiec bardzo rzadko wędrują, chyba tylko wtedy gdy pole, okolica w której się wylęgły niema żadnych krzaków, zarośli, drzew, tak iż po sprzątnieniu zboża, kartofli, kapusty i innych roślin, nie znajdują dla siebie na zimę żadnego schronienia.

Kuropatwa, równie jak wszystkie pokrewne jej gatunki, chodzi jakby zgarbiona, głowę nieco na bok, a grzbiet wypukło trzymając. Czasem stoi cicho, głowę i szyję do góry wyciągnawszy i na nogach się wspinając, jakby chciała przejrzeć okolicę i dowiedzieć się czy nie grozi jej jakie niebezpieczeństwo. Gdy je spostrzeże, uchodzi szybko, lekko, cicho, lub przysiada płasko na ziemi; w naglejszej napaści lub zagrażającym zbliżką niebezpieczeństwie, zrywa się ciężkim ale szybkim lotem. W locie jej wtedy słyszeć się daje głośny, jakby brzękliwy szum; gdy zaś ma usiąść, nim to nastąpi, wprzód częstokroć ulatuje cichutko znaczną przestrzeń, bez najmniejszego szelestu, nic skrzydłami nie poruszając, i wtedy bardzo zręcznie omija gałęzie, drzewa i inne w locie zawady. Takimże obyczajem przebiegają czasami dobrowolnie pola, łąki, szybko i gwałtownie się zrywając, a cichutko opadając. Usiadłszy, z przyczyny gwałtownego, ciężkiego lotu nie mogą powstrzymać za-

pędu, jeszcze po ziemi pewną przestrzeń ubiegają; lecz tylko na ziemi siadają, a nigdy na drzewach lub innych wyniosłych przedmiotach. Jak wiadomo są to ptaki bardzo towarzyskie; na wiosnę tylko widać je parami. Stare, wypielegnowawszy dzieci, zawsze i wszędzie je potem z sobą prowadzą, dopóki się z tego młodego potomstwa, pod wiosnę, pary znowu nie uformują. Nim to nastąpi, powstają między młodem kogutkami zacięte walki o samiczkę; zwycięzca przez całe życie trzyma się wywalczonęj towarzyski.

Rodzina kuropatwa żyje oddzielnie, i wtedy dopiero łączy się z innem stadem, gdy strzałami myśliwych lub przez jastrzębie zostanie uszczuploną. Między członkami jej widać zawsze tkliwe przywiązanie, szczególnie jednak głowa rodziny, stary samiec, we dnie i w nocy czuwa nad wszystkiemi.

Stare lub dorosłe złowione kuropatwy nigdy się oswoić nie dają; biegają, tłuką się bezustannie po klatce, i częstokroć głowę sobie rozbijają, do góry się zrywając i mocno uderzając; młodziutko nawet złowione rzadko się kiedy oswajają. Dla osiągnięcia tego skutku należy znalezione jaja kuropatwy podłożyć pod kurę nasiadka, a wylęglym kuropatwom dawać delikatniejsze jadło, np. mrówcze jaja i t. d.

Na wolności kuropatwa żywi się wszelkiego rodzaju owadami, ziarnem większej liczby gatunków zboża, tudzież makiem, prosem, konopiami, różnemi trawami i t. d. Chętnie także zjada delikatniejsze listki różnych ziół, np. sałaty, koniczyiny i rozmaitych gatunków warzywa. Ostatni ten rodzaj pokarmu głównym bywa jej pożywieniem w zimie, byle się do niego dogrzebać i znaleźć go pod śniegiem mogła. Podczas niektórych zim, kiedy grubo śniegu napada, kiedy po odwilży nastanie mróz i zetnie w twardą skorupę wierzchnią warstwę śniegu, wtedy mówię wiele kuropatw z głodu wymiera. Zdarza się często znachodzić w ich żołądku drobne kamyczki, gruby piasek, który, jak się zdaje, nie z głodu, ale dla ułatwienia strawności, połykały. Lubią też tarzać się i kąpać w piasku, kiedy tymczasem bardzo rzadko, i to tylko dla napicia się, widzieć się je zdarzy nad wodą.

Jak wszystkie ptaki kurzego rzędu, tak i kuropatwa wiele jaj znosi; stare pary znoszą ich więcej, a młode mniej. Liczba ich bywa od 10 do 20, kształt gruszkowaty, skorupka dość gładka, a kolor,

im właściwy, mniej więcej żółtawo-popielaty. Zdarza się czasem widzieć je uplamione i nakrapiane takimże, ale daleko ciemniejszym, kolorem. Ponieważ znajdowano gniazda z 26 jajami, domyślać się więc należy że je zniosły dwie samice, z których jedna przez śmierć lub dla innej przyczyny gniazdo swe porzucić musiała, i nie miała czasu założyć sobie drugiego.

Gniazdo swe kuropatwa ściele zwykle w małym dołku, jako tako tylko wyłożonym ździeblami słomy, liśćmi i gałązkami. Miejsce dla niego obiera na mocno zarosłym polu, w zbożu lub koniczyinie, albo w krzakach blisko pola, na łąkach, między płotami dla uprawy leśnej grodzonemi i t. d. Zwykle w miesiącu maju, a czasem nawet w kwietniu, już w niem są wszystkie jaja. Samica siedzi na nich tak pilnie i tak troskliwie, iż częstokroć nie ustępuje z nich przed zbliżającym się kosarzem, a tak niekiedy odkosy głowę traci. Zwyczajnie jednak samiec ostrzega ją o zbliżającym się niebezpieczeństwie, a wtedy ona cichutko opuszcza gniazdo, aby go nie spostrzegł nieprzyjaciel. Wysiadywanie trwa trzy tygodnie.

Zważywszy na mnogą liczbę jaj w gnieździe, zdawaćby się mogło że kuropatwy niezmiernie mnożyć się powinny. Nastąpiłoby to rzeczywiście, gdyby ony mniej miały nieprzyjaciół. Między ssąciami zwierzętami głównym ich przeciwnikiem jest lis, po nim dopiero kuna, łasica, tchórz i wpółdziczały domowy kot; pomiędzy ptakami: jastrzębie, sowy i różne gatunki kruka, które nietylko polują na stare kuropatwy, ale i jaja ich niszczą. Szczególniej atoli tęgie zimy, a zwłaszcza późno zachodzące wiosenne przymrozki, wiele przeszkadzają rozmnażaniu się kuropatw.

Ptaki te bywają pospolicie upodobanym przedmiotem polowania. Wyszukuje ich myśliwy za pomocą wyzła, umyślnie w tym celu układanego. Znalazszy czyli zwietrzywszy kuropatwy, pies stawa, kuropatwy się zrywają, a myśliwy śrótownym ubija je wystrzałem. Po chwili spłoszone stado zapada znowu, i to zwykle w niezbyt wielkiej odległości; myśliwy więc ściga ciągle za niem, i tak całkowicie nieraz wybić je może. Niektórzy strzelcy, mylniej w tej mierze trzymając się zasady, usiłują ustrzelić najprzód stare, samca i samicę, w tej myśli że młode, pozbawione przewodnictwa przezorniejszych rodziców, łatwiej się upolować dadzą. Rzecz

atoli jest taka: gdy się parę sztuk młodych zastrze-
li, pozostała przy życiu reszta zawsze się trzyma
rodziców, i tak ścigać można dalej całą rodzinę;
przeciwnie gdy się ubije stare, wtedy młode roz-
prasza się, padają na ziemię, i przyczajone leżą
tak nieruchomie, że i najlepszy pies częstokroć je
pominie, albo też, niedosyć jeszcze będąc ostro-
żne i przezorne, stają się łupem rozmaitych drapie-
żnych zwierząt. Oszczędzanie stariej pary powinno
być zasadą roztropnego myśliwca i ztąd, że taka
para w następną wiosnę więcej zniósłszy jaj, więcej
wyhoduje potomstwa niż para młodych, i rozmno-
żenie będzie pewniejsze.

Oprócz polowania z palną bronią, są jeszcze ró-
żne sposoby łapania kuropatw w zastawione sieci,
sidła, zbrożki, łapanie przy pomocy umyślnie w tym
celu ułożonego psa i sokoła i t. p., ale to są wszyst-
ko mniej szlachetne sposoby polowania; po naj-
większej też części wyszły już ze zwyczaju, lub uży-

wają ich tam tylko, gdzie w porządnie zaprowa-
dzonych rewirach kuropatwy bywają oszczędzane
i chów ich pod pewną zostaje opieką. W takich to
miejscach łapia je w jesieni, karmią w umyślnie
urządzonych, obszernych kurnikach przez zimę,
a wiosną je znowu na wolność puszczają. Gospo-
darstwo to bardzo roztropne i chwalebne.

Porównywając użytki z kuropatw ze szkodami
jakie one zrzędzić mogą, znajdziemy znaczną prze-
wagę pierwszych. Nietylko bowiem szacowną jest
kuropatwa ze swego tyle lubionego i wybornego
mięsa, ale nadto użyteczną w polach przez to, że
wytępia mnóstwo szkodliwych owadów i chwastów,
których zjada nasiona. Ziarna zboża i innych go-
spodarskich roślin zjada tylko te, co się na ziemię
w polu wykruszyły i dla gospodarza już są straco-
ne, a szkody jakie zrzędzić może w młodych usie-
wach stosunkowo bardzo są małe.

E. L. b. pr. n. p.

OBRAZY AMERYKI.

HAWANA I WYSPA KUBA.

Zostawiłem poza sobą (1) wszystko co przypo-
mnieć może zimę i śniegowe jej zamiecie. Nade-
mną rozciąga się niebo zwrotnikowe. Widokrąg,
zamiast płaskich pobrażów stałego lądu Ameryki,
odrżyna w oddaleniu szarzejące wierzchołki Kuby.
Zdaje mi się żem przeniesiony nagle z morza pół-
nocnego na śródziemne. Wdzięczne i śmiałe razem
kontury leżącego przed nami brzegu gorące oblę-
wa światło. Słońce chyli się właśnie za góry, z któ-
rych jedna, tam w głębi, wygląda jak olbrzymia
piramida w złocistym zawieszona tumanie. Statek
nasz pospiesza, aby przed nocą jeszcze dosięgnąć
portu Hawany; ale piloci hiszpańscy, zwyczajem da-
wnym, nie wypływają po zachodzie słońca, a bez

(1) Słowa są znakomitego pisarza francuzkiego J. J. Ampere, który świeżo, bo w r. 1852, odbył podróż do Hawany.

nich trudno tu się obejść. Noc jest przepyszna,
przepędzimy ją na pokładzie!...

Nazajutrz ze dniem zawinęliśmy wreszcie do sla-
wniej owiej przystani hawańskiej, którą żeglarze,
nie bez przyczyny, za najdogodniejszą w świecie
uważają. Rzeczywiście zagłębia się ona między
okalające ją wzgórza, i skręca aż za miasto, two-
rząc tym sposobem najdoskonalsze, jakie tylko
wymarzyć można, schronienie. Wzgórza powle-
czone są zielonością, przerywaną miejscami ko-
biercem żółtego kwiecia, wieńczoną indziej grupa-
mi smagłych drzew palmowych. Na prawo, białe-
mi lub żywo ubarwionemi domami, rozsiadło się
miasto. Niewielka łódka niesie nas ku brzegowi.
Zaledwośmy wysiedli pod ogromną szopą, obej-
mującą cały plac przeznaczony do ładowania i wy-
ładowania okrętów, dla osłony widać od skwaru
słonecznego, znalazłem się wśród ciżby hałaśliwej

tluszczy, w której ludność różnego koloru skóry widocznie przemagała nad białą. Ci ludzie, nawpół nadzy i rzadkiej niekiedy kształtności, podobni są do żywych posągów hebanowych lub brązowych. Pracują śmiejąc się, krzycząc i śpiewając, gdy w Stanach zjednoczonych przeciwnie wszystko odbywa się w milczeniu. Dziwna to, zaiste, i trudna do wytłumaczenia sprzeczność charakteru czy zwyczaju.

Hawana tę ma szczególność, że z powierzchniowością grodu hiszpańskiego łączy ruchliwość handlową miast Stanów zjednoczonych. Przyjrząwszy się mimochodem tej zgrai ożywionej, weszliśmy do miasta, którego ulice, w ogólności dość ciasne, i domy kamienne niezwykle, a zatem miły dla mnie, przedstawiały widok. Znużony już byłem jednostajnością owych miast nowożytnych Ameryki północnej, gdzie długie i szerokie ulice ciągną się bez końca pomiędzy rzędami ceglanych gmachów. Tu wszystko odmienny ma charakter. Kościoły nie noszą już tej cechy budownictwa pseudogotyckiego czy greckiego, jaką niezręczne naśladownictwo naznaczyło je w Stanach zjednoczonych. Struktura domów daleką jest wprawdzie od piękności architektonicznej; styl w nich hiszpański z zeszłego stulecia, trochę może niezgrabny i przeciążony, lecz pełen przyjemnej dla oka różnorodności. Zabudowania w części białe, w części zielono żółto, niebiesko i czerwono pomalowane, samą już pstrocizną rozweselają. Dachy, zwyczajem wschodnim, wszędzie są tarasowe; niebo nad nimi pogodne i świetne; mężczyźni noszą białe spodnie i słomkowe kapelusze. Wszystko przypomina kaniulę, a mamy 31 stycznia.

Hotel w którym stajemy utrzymywany jest przez rodzinę przesiedleńców z St. Domingo. Sypialnie, podobnie jak w Hiszpanii, małe, opatrzone kratą żelazną i okiennicami, ale bez szyb. Łóżka w nich na pasach i bez materaców, zapewne dla chłodu. Najbardziej jednak w tym hotelu podobał mi się taras obszerny, z którego widok na domy i wieże miejskie, w malowniczym rozrzucone nieładzie. W Stanach zjednoczonych na miejscach publicznych nie spotykałem zwykle jak kilku biédaków czytających gazety; żadne z nich nie było uczęszczane w oznaczonych godzinach, jak Corso w Rzymie, Chiaja w Neapolu, pola elizejskie albo lasek buloński w Paryżu. Tu przeciwnie znalazłem za miastem prześliczną przechadzkę. Długa alea cią-

gnie się od morza wzdłuż wałów, przerywana poprzecznymi drogami. Około zachodu słońca zbiera się tutaj towarzystwo hawańskie, nietyle pieszo jak w powozach, a szczególnie w wolantach. Wolanty te na bliższą zasługują uwagę, bo stanowią jeden z rysów charakterystycznych fizyognomii miasta. Są to powozy odkryte, jednokonne, o dwóch siedzeniach, z wysokimi bardzo kołami, powożone przez Negra poczytliwa, w których damy hawańskie wieczornego używają chłodu. Lubię przyglądać się tym wolantom dziwnego pozoru, unoszącym po kilka samych kobiet; lubię śledzić zaguby powiewających ich sukien i błyszczące ich spojrzenia!... Przybywszy na drugi koniec miasta wjeżdża się na plac kwadratowy, w którego środku wytryska fontanna, otoczona kwiatami i krzewami zwrotnikowemi, i rozlega się odgłos muzyki wojskowej. Światło księżyca dopełnia uroku tych nocnych przechadzek. Niebo nieporównanego błękitu podobne jest do olbrzymiej fali lazuruwej, zawieszony nad naszymi głowami. Palmy wachlarzowe rozsądzone około wodozbioru przeciągłe i niepewne rzucają cienie. Nigdzie, zaprawdę, w posród miasta i tłumu miejskiego nie doznałem tylu wrażeń poetycznych; nic nie dorówna wdziękowi tego zebrania w sercu stolicy, pod cieniem palm i cykasów. Szkoda tylko że gnusność właściwa Kreolezykom nie dozwala kobietom hawańskim przechadzać się pieszo. W Kadyksie, w Sewilli, ludność co wieczór także schodzi się na placach publicznych; ale piękne Andaluzyanki nie kryją ani wciętych swych kibici, ani miniaturowej drobności nóżek. W Hawanie przeciwnie kobiety dobrego tonu pozostają w wolantach, wieńcem w nich plac otaczając. Z siedzenia swego rozmawiają one ze znajomymi mężczyznami, przez co naturalnie, prócz twarzy, niepodobna przybyszowi przyjrzeć się ich wdziękowi. Żona teraźniejszego gubernatora chciała zreformować ten zwyczaj; ale zgorszenie było tak wielkie, że musiała wyrzec się zamiaru.

Jednakże wspaniałość tej natury zwrotnikowej, wykwiśnięcie i ożywienie miasta na połę hiszpańskiego, ani nawet powabne wejrzenia Hawanek nie zaciągają smutnego wrażenia wywołanego widokiem ludności niewolniczej, chociaż los jej, według tego com zauważył, wydaje się dosyć znośnym. Właściwa Hiszpanom pobłażliwość wyradza w stosunkach tej klasy do jej panów coś nakształt ro-

dzinnęj poufalości, którą gdzieindziej wyklucza dumna i surowość rasy anglo-saksońskiej. Niewolnicy nazywają tu swych panów *nino*, a panie *nina*; jest to miano pieszczotliwe, nadawane zwykle młodym chłopcom i dziewczętom. Właściciel każdy, najmując Negra do pracy wyrobniczej, zostawia mu prawo rozrządzania tém wszystkiém co zarabia w godzinach nadobowiązkowych: skoro zaś ten ostatni uzbiera sto piastrow, właściciel przyjąć musi tę sumę na rachunek, i tym sposobem niewolnik, składając po trosze, nareszcie się wykupuje. Oddzielnie ustanowiony syndyk broni ich w obec prawa, i wolno im opuścić pana, gdy niekontenci z swego położenia. Rzeczywiście téż przesąd przeciwko kolorowym nie może tu być równie silnym jak w Stanach zjednoczonych, bo pomieszanie ras nierównie bywa częstsze. Mówiono mi że w Hawanie niejedna rodzina biała ma w swoich żyłach krew czarnych. W Stanach zjednoczonych nie przyjętoby za nic w świecie w lepszym towarzystwie człowieka pochodzenia afrykańskiego; tu przeciwnie patrzą na to przez szpary, a nawet za pewną opłatą każdy może *wybielć*, czyli właściwiej mówiąc *uchodzić za białego*, pomimo że cerę jego gdzieindziej uważanoby za wątpliwą.

Nie łatwiejszego, zaprawdę, jak przywyknąć do życia południowców; i ja téż w dni kilka przyłgnąłem do jego rozkoszy. Wstaję raniutko przed wschodem słońca i wchodzę na dach tarasowy, tworzący nad mojem mieszkaniem przyjemną bardzo przechadzkę. Wszystkie domy w okolo urządzone są podobnie: niewidać nigdzie owych nieznośnych spiczastych dachów stolic europejskich. Używam tak przez chwilę rannego chłodu, i czekam zjawienia się słońca, które wschodzi z za murów nawpół zapadłego kościoła. Dla podróżnika przybywającego ze Stanów zjednoczonych sam widok już ruiny musi być powabnym; a cóż dopiero gdy z za tych ruin wynurza się gwiazda dzienna! Szkoda tylko że wspaniała ta scena trwa dosyć krótko; jest to właściwość wspólna wszystkim krajom podzwrotnikowym. Schodzę potém na dół, by przebiez miasto przed upałem; zaglądam do dziedzińców i klasztorów, gdzie pełno wszędzie kwiatów i kłębów bananowych; odwidzam wreszcie codzienn plac gdzie sprzedają ryby. Ileżto razy targ ten przeklinałem w Rzymie, bo tam on szpeci pyszny łuk Oktawiana. Ale w Hawanie ryby najżywszemi bly-

szeją barwami: czerwone, różowe, zielone, złociste, prawdziwie olśniewającą przedstawiają mieszaninę. Siadając pod drzewem dającym widok na przystań, spoziéram na statki wpływające wązką jej szyją, jak rozpiętymi żaglami mijają warownią i przesuwiają się wzdłuż wzgórzów, co zielonemi stoki wdzięcznie się uśmiechają do miasta. Nakoniec wstępują jeszcze do kilku znajomych sobie Hawańczyków, i wróciwszy do hotelu zastaję wyborny obiad, sporządzony na sposób francuzki. Po obiedzie, z krajowém cygarem w ustach, wybieram się z towarzyszami do Alamedy, by widzić damy ulatujące przed wzrokiem naszym w wolantach, jak piękne ptaki zwrotnikowe.

Słońce jak wschodzi, tak zachodzi tu bardzo szybko, sprowadzając grę kolorów niewysłowionęj piękności, o jakiej my w bladym klimacie swoim, nie mamy nawet pojęcia. Piérwsze gwiazdy występują na tle ametystowém: potém widokrąg zachodzi kolejno barwą fioletową, różową, pomarańczową, i robi się noc zupełna. Wtedy publiczność wraca do miasta osamotnioną teraz letnią promenadą; bo nie należy zapominać iż jesteśmy wśród zimy, na którą w tym roku narzekają że ostra. I rzeczywiście w miesiącu styczniu mamy tu tylko temperaturę naszego lipca.

Promenada o której wspomniałem ciągnie się wzdłuż pobraża. Okręty czarno i wybitnie odrzynają się na tle mglisto-białego światła, jakie księżyc rozléwa na wzgórze przyległe i na morze. Z téj ciszy nroczystej wchodzimy nagle w odmet gwaru miejskiego, wstępując do ładnie urządzonej kawiarni, gdzie zwykle Hawańczycy schodzą się na lody. Ztamąd sam jeden wracam niekiedy do Alamedy, tak ożywionęj przed chwilą, a teraz szeleszczącęj tylko wierzchołkami drzew palmowych i szmerem wodotrysków. Kąpię się w chłodzie wieczoru i zachwycam jego pięknością. Nie mogąc oczu oderwać od tego nieba cudnego, co jakby z gorącą miłością ziemię zdaje się ogarniać, powtarzam w myśli słowa Byrona: „Nie, piękna nocy, tyś do snu nie stworzona!“ i mimo poetycznego wykrzyknika spieszę jednak do domu na spoczynek, gdzie w izbie swojej za kratami, zbierając wrażenia całodzienne, zasypiam przy śpiewie *serenos'ów* (1).

(1) Tak nazywają w Hawanie stróżów nocnych, którzy, podług zwyczaju hiszpańskiego, z rodzajem wolnej i poważnej psalmodyi ogłaszają godzinę i stan pogody.

W dniu przeznaczone na widowiska idziemy do teatru. Rzut oka na wnętrze wielkiego teatru w Hawanie prawdziwie jest olśniewający. Sala ogromna, stroje świetne, a loże, przejrzystą tylko odgradzone kratą, pozwalają nakonieć swobodnie przypatrzyć się wdziękowi kobiet. Są one w ogólności bardzo piękne; jest to typ hiszpański, dosadniejszy trochę i mniej delikatny, lecz nader pociągający. Goszczą tu czasami dość dobre trupy włoskie; w tym roku jednak Hawańczycy poprzestać musieli na balecie francuzkim i farsach hiszpańskich, tudzież na sztukach łamanych towarzystwa ekwilibristów i linoskoków. Obok teatru odbywają się bale publiczne, gdzie baletnicy wykonywają tańce narodowe, dość monotonne i nieskromne.

Cheesz-li* po tylu wrażeniach zmysłowych odechnąć życiem intelektualnym, udaj się do biblioteki uniwersyteckiej. Uniwersytet Kuby jest to miejsce nader przyjemne. Wystawcie sobie klasztor otaczający podwórze wypełnione przepyszną roślinnością, drzewami nieznanymi dla mnie kształtów. Księgozbiór mieści się pomiędzy tém podwórzem a drugim przyległym, z pośrodku którego okazały bije wodotrysk. Obiecywałem sobie niepoślednią przyjemność z czytania w tém miejscu rozkosznym, pomiędzy zielenią i wodą. Niestety jednak bibliotekarz był na wsi, i, zbyt roztropny, zabrał z sobą klucze. Zgłaszałem się kilkakrotnie bez skutku, aż wreszcie dotarłem do wnętrza. Znalazłem w księgozbiornie najnowsze dzieła francuzkie, pomiędzy niemi prace Cousin'a. Ale za ledwo się rozczytał, bibliotekarz, porozmawiawszy ze mną bardzo grzecznie, oświadczył mi bez ogródki że jest profesorem, że nadeszła godzina prelekcji, i najspokojniej mnie wyprosił. Bodaj to obojętna dobroduszość południowców! I w Rzymie zdarza się niekiedy, iż gdy przybędziesz do bankiera po pieniądze, odpowiedzą ci naiwnie: „Jest na wsi dla przepędzenia października“ (*fa l'ottobre*). Obojętność ta, zaprawdę, ma swoje niedogodności, ale, jak tu przynajmniej, nie bardzo mnie ona razila. Pragnąłem spocząć po niezmordowanej czynności Stanów zjednoczonych, którą podziwiałem, lecz która mnie odurzała, jak widok koła szalonym bezustannie pędzącego obrotem. Stropiłem też wreszcie inną bibliotekę, nie tak powabnie prawda położoną, lecz zato codzien otwartą.

Ruch umysłowy, jak łatwo się domyslić, nie bar-

dzo w Hawanie jest ożywiony; znać jednak postęp po liczbie uczniów uczęszczających do szkół publicznych. Istnieje tu szkoła mechaniczna (*escuela de machinas*), przy której obecny gubernator, generał Concha, otworzył 15 stypendiów po jednej uncy (około 80 franków) miesięcznie, dla sierot po oficerach i wychodźcach stałego lądu. Liczy ona teraz 240 uczniów.

Przyznać należy że wiele od lat kilkadziesiąt zaprowadzono w Hawanie ulepszeń. Szczególniej zarząd gubernatora Tacon, człowieka nieugiętej energii, przyczynił się do bezpieczeństwa osób i własności; bo przed nim zabójstwa i kradzieże aż nadto były powszednie. Jest także w Hawanie dosyć zakładów dobroczynnych, na których korzyść idzie opłata pobierana od cudzoziemców za pozwolenie zwidzania całej wyspy. Tym więc sposobem przebieganie jej byłoby dobrym uczynkiem; lecz podróż taka wielkie przedstawia trudności. We wnętrzu Kuby ludność niezmiernie jest rozproszona, i można nieraz ujechać mil kilkanaście bez napotkania jednej kropli wody. Postanowiłem więc na kilku ograniczyć się wycieczkach. Z pomiędzy miejscowości godnych bliższego obejrzenia wymieniono nam miasteczko Matanzas i jego okolice, o mil 5 od Hawany.

Przed wybraniem się w drogę zwidziliśmy jeszcze *villa Ferdinandina*. Wielka i bardzo wielka różnica między willą włoską, a willą podzwrotnikową. Tu zdaje ci się że wchodzisz do olbrzymiej cieplarni. Drzewa w ogrodzie wszystkie są egzotyczne, dziwnego kształtu i liścia, które my sobie wyobrazić tylko umiemy w gęstwi lasów dziewiczych, lub pojedynczo w Europie starannie szkłem przykryte i jako rzadkość sztucznie pielęgnowane. Tu stoją one pod sznurem przy drogach, a znów miejscami ślicznie potworzono z nich gaiki. Taki ogród posiada cały powab niepodobienstwa do prawdy; przechadzasz się po nim jakby w sennym marzeniu.

Wyspa Kuba ma około 75 mil jeograficznych długości, lecz dosyć przytém wązka; porównano ją z tego względu do języka ptasiego. W pierwszej podróży swojej Kolumb, nie dosięgłszy zachodnio-północnego jej krańca, mniemał że to ląd stały, że dotknął wschodniego brzegu Azji. Kazał nawet osadzie i sternikowi podpisać oświadczenie potwierdzające iż ziemia ta istotnie jest stałym lądem

azyatyckim; bo Kolumb odkrył Amerykę wcale o tém nie wiedząc. Odbywszy czterykroć podróż do nowéj części świata, umarł z przekonaniem, że cztery razy przepłynął z Europy do Azji. Rozpisywano się nieraz széroce nad geniuszem Kolumba, który przeczuć mu pozwolił istnienie nieznanego świata; a jednak nic bardziej nie sprzeciwia się prawdzie. Odkrywca genueński dotrzeć chciał do Indyj w kierunku zachodnim i marzył o znalezieniu bajecznej wyspy Cypango, którą żeglarze średnio-wieczni pomieszczali na krańcu Azji. Przybywszy do ujścia Orinoko, przypuszczał że to być może jedna z czterech rzék rajy ziemskiego. Miano nawet Indyj zachodnich, nadane nowym posiadłościom hiszpańskim i dotąd zachowane, dowodnym jest świadectwem błędu wielkiego człowieka. Możeby wreszcie Kolumb nie ośmielił się przerznąć nieznanym wtedy ocean atlantycki, gdyby inna pomyłka geografów aleksandryjskich i kilku nowszych (1), nie przedstawiała mu celu podróży bliższym jak był rzeczywistość. Znakomity więc odkrywca nie zasłużył na imię nieśmiertelne z powodu wyższych nad wiek swój pojęć geograficznych, które wielu niewłaściwie mu przypisuje, ale z powodu swéj odwagi i wytrwałości w przedsięwziętém dziele, z powodu ludzkiego obchodzenia się z Indyanami, z powodu nareszcie okazanej bezinteresowności i męstwa z jakim niezasłużone znosił nieszczęście. Kolumb przedewszystkiém celował krzepkością charakteru, i słusznie Tasso w swych pismach nazywa go *sercem wielkoduszném*. Imię jego najsprawiedliwiej wiąże się z największém w dziejach ludzkości odkryciem, bo chwała i wdzięczność zawsze należą się temu, co szczęśliwie dokonał użytecznego przedsięwzięcia, choćby z błędnego wyszedł założenia. Kolumb zanadto jest wielkim, aby krzywdzić go miano poniżającą jałmużną nierzetelnej zasługi!... W katedrze hawańskiej znajduje się jego grobowiec; nieszczęściem jednak, dla jakiejś naprawy, kościół był zamknięty, i wyrzec się musiałem przyjemności oddania hołdu ceniom słynnego męża.

W parę dni później stanęliśmy w miasteczku

(1) Ptolomeusz krańce Azji, wbrew istotnemu położeniu, wysunął znacznie na zachód. Na globie Behaim'a, ukończonym w roku wypłynięcia Kolumba z Palos, wyspa Cypango oznaczona jest pod 280° długości wschodniej, w miejscu właśnie gdzie znaleziono następnie Amerykę.

Matanzas. Tameczny konsul francuzki, p. Vergne, z prawdziwie ujmującą uprzejmością przewodni- czył nam w wycieczkach po okolicy, której punk- tem najpiękniejszym jest bez wątpienia dolina Yumuri. Tutajto po raz piérwszy nasycić się mogłem widokiem przyrody zwrotnikowej w całym jéj roz- winięciu. Wchodzi się pod górę drogą bardzo przy- krą, i w miarę wzniesienia spostrzega się przystań miasta napelnioną statkami. Wtém nagłym zwro- tem z przeciwnéj strony odsłania się dolina Yumu- ri, z rozkoszną swą zielonością i rozrzuconemi nie- regularnie grupami drzew palmowych i kokoso- wych, z opłotkami z kaktusów, jak gdyby w tea- trze szybkie zasłony podniesienie odkryło cudną dekoracją. Nie mieszka tu nikt prócz kilku niewol- ników, bo w ogólności na Kubie właściciele ziem- scy wtedy tylko przebywają na wsi, gdy posiadają plantacye trzciny cukrowej i rafinerye; ależ to wła- śnie osamotnienie niewysłowiony ma urok. Rzut oka na dolinę, na morze, na góry okalające, na nie- zwykłą roślinność zwrotnikową, wprawia cię w za- chwył podziwienia. Niepodobna nie wspomnieć opisów Bernardin'a de Saint-Pierre w jego *Pawle i Wirginii*. Znajduję nawet chatę pokrytą liśćmi bananów. Oto Negr stary, podobny do Dominga, lecz wątpię aby miał panią tak dobrą, jak p. de La Tour lub Małgorzata. Rzeczywiście jeden tylko widok niewolnictwa zatruwa nieco rozkoszne cało- ści wrażenie.

Przed opuszczeniem Matanzas postanowiliśmy obejrzyć jeszcze niektóre z przyległych cukrowni; ciekawy bowiem byłem porównać ich urządzenie, a szczególnie stan niewolników, z tém co widzia- łem w Luizyanie. Zwidziliśmy najprzód fabrykę pomniejszą, gdzie 200 Negrów produkowało rocz- nie 500 skrzyń cukru; potem wstąpiliśmy do więk- szej, mającej sławę jednéj z najporządniejszych na Kubie. W jéj to plantacyach widziałem po raz piér- wszy Negrów płci obojéj ścinających trzcinę cukro- wą. Przymusowa w téj pracy skwapliwość tylu istot ludzkich, poruszanych wolą właściciela i bi- czem dozorca, jak maszyna nakręcona, smutne ro- bi wrażenie. Musiałem poniewolnie uśmiechnąć się z naiwności administratora tego zakładu, który zbliżywszy się do mnie rzekł z twarzą zadowoloną: „Mówią że los niewolników bardzo jest oplakany; osądźże pan, czy to prawda. Wszak stojąc tu nie słyszałeś ani razu odgłosu spadającego batoga.“

Dla objaśnienia dodaję, że byliśmy wtedy w plantacyi około kwadransa. Pytałem o nauczanie moralne i religijne tych biédaków, i dowiedziałem się że jest prawie żadne. „Chrzczymy ich, odpowiadziano, i ženimy, gdy sobie tego życzą. Otrzymują także przed śmiercią NN. Sakramenta; ale ksiądz mieszka daleko, i nie możemy trudzić go zbyt często. Wieczorem wszyscy razem zmagają modlitwę, wyjąwszy w czasie zbiorów, bo wtedy niema na to czasu.“

Handel Negrami, choć prawem zakazany, faktycznie jednak odbywa się na Kubie. Poprzednicy generała Concha w gubernatorstwie (1) tolerowali go, zastrzegając sobie tylko opłatę jednej albo dwóch uncyj złota od każdego niewolnika wprowadzonego. Jenerał Concha, po objęciu zarządu, odrzucił ten okup haniebny i ostrzegł handlujących że karać ich będzie z całą surowością. Mimo to wszakże nietrudno im wcale prowadzić obmierzyły swój przemysł. Niedawno jeszcze miasto Matanzas zostało prawie ogłodzonym przez zakupy żywności dla ogromnego ładunku Negrów bezczelnie tu przywiezionych, i władza dla przykładu zmuszoną była zabrać ludzki ten towar.

Zaprowadzenie maszyn udoskonalonych do produkcji cukru nierównie tu jest trudniejszym jak w Luizyanie. Nabycie ich i ustawienie znacznego wymaga nakładu, a między plantatorami Kuby brak gotowizny czuć się daje bardzo często. Tak więc zastąpienie choć w części pracy ręcznej przez narzędziową długo jeszcze pozostanie marzeniem filantropów.

Wiadomo że Anglicy w swych koloniach starali się zamiast wyzwolonych Negrów używać najemnych Malajczyków i Chińczyków. Podobnie i na Kubie ci ostatni zjawiać się zaczynają od pewnego czasu; i dobrze z tém wszystkim, bo lud to niezmiernie do pracy wytrwały. Gdy bić ich zaczęto, stawili opór; wyznaczono więc z ich grona starszego, którego plagom bez szemrania się poddają. Rzeczywiście w państwie niebieskiem kara ta główną odgrywa rolę i liczba razów na każde przewinienie ściśle jest oznaczoną. W ogólności znać teraz u Chińczyków dążność do wychodźstwa: pełno ich na przykład w Kalifornii, gdzie, jak wiadomo, w San-Francisco zajmują całą dzielnicę i wystawili

(1) Po napisaniu już tego artykułu jenerał Concha, jak wiadomo, został odwołanym.

sobie pagodę. W ostatnią rocznicę ogłoszenia niezawisłości amerykańskiej obywatele - Chińczycy wzięli nawet udział w uroczystym pochodzie na cześć Washingtona i kongresu, nosząc narodowe swe chorągwie, pomalowane smokami.

Najgroźniejszym atoli przeciwnikiem niewolnictwa w plantacyach jest niezawodnie burak. Abolicyoniści zacząłby powinni dzieło zamierzonej reformy od zupełnego odmówienia sobie cukru, albo przynajmniej od nieużywania cukru trzcinowego. Stany zjednoczone produkują wprawdzie znaczną ilość cukru klonowego; lecz wyrób ten w jakości nie dorównywa trzcinowemu, gdy tymczasem burakowy wszelkim odpowiada wymaganiom.

Dziennik hawański *Diario*, wyliczywszy wszystkie postępy cukru burakowego w Europie, usiłuje ukryć sam przed sobą i osłonić obawę względem przyszłości cukru kolonialnego, mówiąc że w przeludnionej Europie nie można będzie przeznaczyć dostatecznych przestrzeni pod buraki, z ujmą dla zboża; że same rządy pragną podtrzymania kolonij; że strefa w której burak się udaje jest ograniczona; że wreszcie uprawa jego wymaga wiele nawozu, przeróbka wiele materiału palnego. Wspomniane pismo kończy sprawozdanie swoje na frazesie, z którego przebija jakiś przestach mimowolny: „Nie zaprzeczając, mówi, że burak strasznym jest dla nas współzawodnikiem w większej części targowisk dawnego świata, nie widzimy dziś jednak dostatecznych powodów, dla którychby ostateczne zwycięstwo z góry mu wróżyć należało.“ Naturalny ztąd wniosek że cukier kolonialny istotnie jest zagrożonym, i niema też wcale potrzeby zasmucać się jego losem; albowiem czy burak zwycięsko zdobędzie pole, czy też kolonie, dla uniknięcia klęski, udoskonalą i uproszczą produkcją trzciny: zawsze to posłuży do stłumienia niewolnictwa, i miliony istot rozumnych nie będą już poniżane, abyśmy mogli zajadać konfitury i chłodzić się wodą z cukrem.

Niepodobna, będąc w Hawanie, zamilcząć o tytoniu, któremu miasto to winno większą część swojej sławy. Uprawą jego na Kubie zajmują się prawie wyłącznie drobni posiadacze, co właśnie sprzyja niepomalu doskonałości surowego produktu. Na byty potem częściowo przez agentów wędrownych, dostaje się hurtem wręce fabrykantów hawańskich, i ci to wyrabiają sławne owe cygara, które palą,

lub palić mniemają, we wszystkich częściach świata. Upowszechnienie dróg żelaznych wielkiem dla plantatorów stanie się dobrodziejstwem, następczącim sposobność dostawiania towaru swego wprost do Hawany, bez pośrednictwa agentów.

Ogólny na całym świecie wydatek tytoniu obliczyć można w przybliżeniu na 374 milionów funtów, z którejto liczby na Kubę przypada tylko 10, na Stany zjednoczone 184, na Europę 100, na Rosyą 21, na Francją 20, na Niemcy przeszło 40 milionów. W konsumcyi Niemcy pierwsze trzymają miejsce; roczne ich spotrzebowanie tytoniu przedstawia ogromny kapitał 45 milionów funtów sterlingów, gdy Anglia spożywa go tylko za 21, a Francya za 10 milionów funtów. Hiszpania bardzo mało pali tytoniu hawańskiego, bo ciąży na nim wysokie cło wchodowe.

Konsumcyja tytoniu wszędzie szybko i ciągle się podnosi. We Francyi dochód od podatku z tego artykułu z każdym rokiem wzrasta. W Anglii r. 1852 dowieziono go za przeszło 3 miliony f. szterl. więcej jak r. 1851 (1). W Nowym Yorku wydatek roczny na chleb mniejszy jest od takiegoż wydatku na tytuń (2). Dodać tu jeszcze należy że tylko cygara zbytkowne, jako dotknięte dość wysokim podatkiem, są tam nieco drogie, gdy przeciwnie gatunki najnowsze sprzedają się za bezcen.

Ciekawo fakt rzeczywiście, owo ogólne rozpowszechnienie rośliny, o której istnieniu lat temu 350 świat cywilizowany nie wiedział. Od tego czasu wszystkie bez wyjątku narody przejęły zwyczaj palenia tytoniu od dzikich ludów amerykańskich, które obdarzyć miały swą oświatą. Na Haiti podobno i na Kubie odkrywcy europejscy napotkali po raz pierwszy ludzi kurzących to ziele w robionych od ręki zwitkach. Historyk Oviedo gani jego użycie w słowach bardzo surowych: „Indyanie tój wyspy, mówi on, między wielą nagannemi zwyczajami, mają jeden szczególnież szkodliwy, wciągania dymu który nazywają *tobaco* (3), i który pozba-

(1) W roku 1851, 27,853,253 f. st.; w roku 1852, 31,049,654 f. st.

(2) W roku 1838 wydano w tém mieście: na chleb 3,493,050, na tytuń 3,650,000 dolarów. Od tego czasu zapewne różnica jeszcze się powiększyła.

(3) *Tobaco* albo *tobacco* nazywali oni trzcinkę wydrążoną, przez którą wciągali dym tytoniowy; miano zaś ziela samego było *cohoba*. Skutkiem atoli pomieszania pojęć nazwę cybucha przeniesiono na roślinę. Takie jest praw-

wia ich zmysłów.“ Jestto wyraźnie opis przesadzony narkotycznych skutków tytoniu. „A dobywają go, ciągnie dalej tenże sam autor, z ziela trującego.“ Uczy nas potem że Indyanie hodują je w ogrodach. Za czasów jego palenie nie było jeszcze przyjęte przez Europejczyków, i Oviedo zapewnia z pogardą, że tylko Negry czynią to dla rozrywki.

Z Kuby także przeszedł do Europy zwyczaj zażywania tabaki. Podług świadectwa Oviedo Indyanie brali w tym celu rurkę widełkowato rozdwojoną, którejkońce wprowadzali do nosa i tak wdychali sproszkowane ziele. Doktor Roulin widział w okolicach rzeki Meta krajowca zażywającego proszek zwany *yopo*.

Meksykianie dym tytoniu uważali za rzecz poświęconą; podobnież Indyanie Wirginii mieli go za siedlisko wielkiego ducha Manitu. U pokolenia Natchez, kapłan, na czele zebranego ludu, przed wschodem słońca udawał się na wzgórze, i rzucał ztamtąd kłęb dymu ku czci gwiazdy dziennój. Do dziś dnia jeszcze niektóre plemiona indyjskie gdy napotkają grzechotnika, którego zowią swym *dziadkiem*, puszczają ku niemu dym z fajki. W zgromadzeniach także wojennych cybuchy ważną grają rolę: krążenie białego oznacza pokój, czerwony przeciwnie zapowiada wojnę.

Pod koniec XVI wieku Raleigh użycie tytoniu wprowadził do Anglii. Powiadają że jego służący, ujrawszy go po raz pierwszy z roznieconą fajką w ustach, mniemając że się pali, wylał mu na głowę całe wiadro wody. Przytaczają dalej że tenże Raleigh skłonił królową Elżbietę do kurzenia tytoniu, i dodają iż władczyni zrobiła z nim zakład że zważyć nie zdoła dymu który wypuszcza z cybucha. Raleigh porównał ciężar tytoniu przed spaleniem i po spaleniu, i zręcznie tym sposobem oznaczył wagę dymu. Królowa zaś, poprzestając na przemyślnój tój analizie, wypłacić miała zakład znakomitemu podróżnikowi i wtrącić dowcipnie, że wynalazł sztukę robienia z dymu złota. Jakób I nie naśladował poblązania Elżbiety dla nowego narkotyku; napisał owszém przeciw niemu dziełko pod szumnym tytułem *Misocapnos* (nieprzyjaciel dymu). I w innych podobnie krajach, jak w Rosyi, w Stambule i Chinach, surowe zakazy ścigały natrętnie szerzącą się roślinę.

dziwe pochodzenie wyrazu *tabaka*, wywodzonego mylnie przez wielu od wyspy *Tabago*.

Wiadomo że w Niemczech i w Holandyi fajka, a w Hiszpanii cygaro, oddawna już stały się nałogową potrzebą. We Francyi zwyczaj palenia zamykał się długo w klasie marynarzów i wojskowych. Niekiedy wprawdzie przelotnie wślizgał się w stany wyższe, lecz tylko jako wybryk przez ogół potępiany; a przecież dziś we Francyi, jak wszędzie, mężczyzna nie palący należy do wyjątków. Nieznane przed odkryciem Ameryki ziele w przeciągu trzech wieków obiegiło całą ziemię i zagnieździło się szczególnie na Wschodzie. Trudno dziś sobie wyobrazić mieszkańca Turcyi bez cybucha i *nargyle*; a jednak i w tym kraju do czasów Kolumba tytuń nie był w użyciu (*).

Zwyczaj tak niezmiernie upowszechniony musi koniecznie głębszą, duchową mieć przyczynę. Majtkowi tylko uchodzi w smaku przeżutego tytoniu czysto zmysłowej szukać przyjemności. Palacza zaś nie pociąga smak jego, rzeczywiście dosyć przykry, lecz wpływ moralny i intelektualny zawarte go w nim pierwiastku narkotycznego na organ mózgu. Myśl jego, pobudzana drażnieniem i rozkosznie kołysana, zdaje się unosić i bujać na tumanie fantastycznie w powietrzu falujących kłębow.

Pomimo narzekań na władze hiszpańskie, jakie tu ciągle słyszeć się dają, Kuba, pozornie przynajmniej, doznaje materyalnej pomyślności. Ludność wzrasta; (2) ogólny ruch handlowy i dochody celne z każdym rokiem powiększają się (3). Niezawodną także jest rzeczą iż wszystkie płody tej wyspy, prócz jednej kawy, idą nieprzerwanie w stosunku rosnącym; (4) ale krajowców mało obchodzi ten po-

(1) Za dowód tego posłużyć może godna uwagi okoliczność, iż w powieściach *Tysiąca nocy i jednej*, malujących tak dokładnie obyczaje Wschodu, a których ostatnie obrobienie nastąpiło w wieku XVI, niema nigdzie wzmianki o fajce ani o kawie, dwóch nieodzownych dziś potrzebach każdego wyznawcy Mahometa.

(2) W r. np. 1850 stała ludność Hawany z przyległościami podniosła się ze 142,000 na 150,161.

(3) Według pisma *Diario* wychodzącego w Kadyksie komory wyspy Kuby w r. 1850 miały dochodu 7,729,685 piastrow; w r. 1851, 8,462,834.

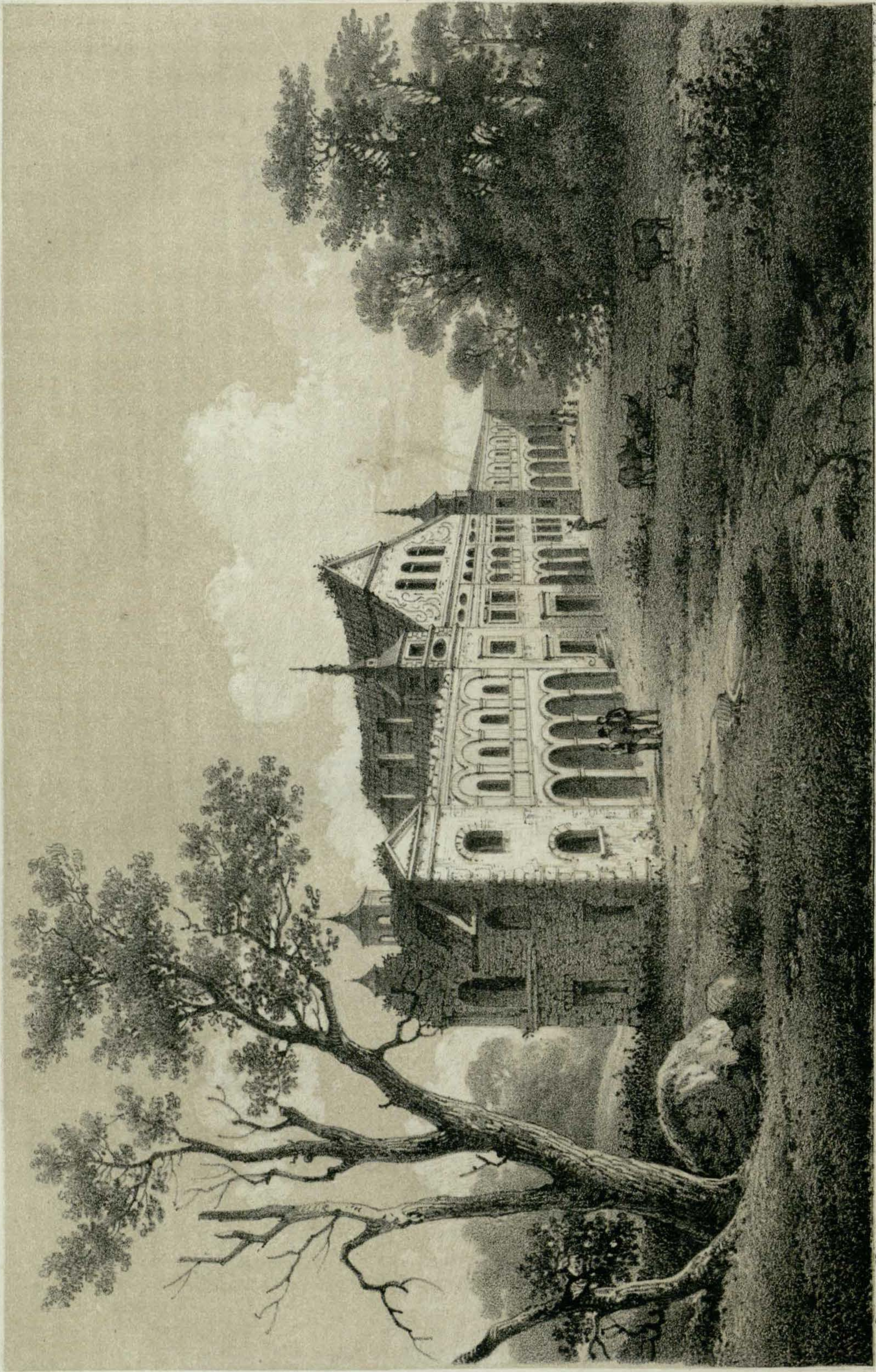
(4) Od 1826 do 1849 r. wywóz tytoniu i cygar potroił się. W tym samym czasie wywóz syropu podniósł się z 74,600 na 228,400 barylek; wywóz rumu z 3,600 na 44,900 okseftów; a wywóz wosku z 25,800 na 48,900 arrobów (25 funtów). Od tego czasu postęp nie ustaje. Ogólny obrót handlowy Kuby, na zasadzie urzędowych do-

stęp, z którego sama tylko Hiszpania rzetelne ciągnie korzyści.

Trudno atoli nie uznać że mieszkańcy Kuby dwa ważne rzeczywiście mają powody uzalania się na zarząd metropolii: jednym jest podatek pośredni jakim ich dotyka Hiszpania przez system swój celny; drugim niedopuszczanie Kreolów do jakichbądź urzędów publicznych.

Rząd hiszpański trzyma się dotąd starego systemu, który dawniej we wszystkich krajach stosowano do kolonij, a który zasadza się na zupełnym poświęceniu tych ostatnich dla interesu metropolii. Tak naprzykład, z przyczyny ogromnego cła nałożonego na mąkę Stanów zjednoczonych, mieszkańcy Kuby zmuszeni są sprowadzać zboże z Hiszpanii, lubo i to nie jest wolne od ciężarów. Bardziej jeszcze jątrzącym dla Kreolów jest wyłączenie ich od najniższych nawet urzędów. Hiszpanie tłumaczą się wprawdzie, że w kraju ich macierzystym Kreolczycy ważne piastują dostojenstwa; ale niemniej przeto bolesną dla tutejszych krajowców jest krzywda na rodzinnej ponoszona ziemi. Znacomity jeden obywatel Hawany powiedział do mnie z żalem: „Nie przyjęto by mnie nawet na strażnika leśnego,“ i jest to prawda rzeczywista.

W ogólności więc niezadowolenie do wysokiego doszło stopnia. Hawana nazywa się grodem arcywiernym i ma za herb klucze; obawiać się jednak należy by nie użyto kiedyś tych kluczy na otwarcie bram miasta Stanom zjednoczonym. Ameryka północna nie przestaje myśleć o zajęciu Kuby, którą parowce jej mijają, płynąc z Nowego Orleanu do Nowego Yorku; Ameryka zaś południowa chciałaby bardzo nowy stan niewolniczy wprowadzić do swój unii. Ztąd też, pod najrozmaitszemi, a często nader zabawnemi, pozorami, coraz głośniejsze odzywają się roszczenia: to zdaje się Stanom zjednoczonym że potrzebują nieodzownie klimatu tej wyspy dla wysyłania tam suchotników; to w tém szukają tytułu do zaboru, że Kuba, jak twierdzą, była kiedyś częścią stałego lądu, i przypadkowo tylko została od Florydy oderwaną. Ależ na zasadzie równie dowcipnego rozumowania mogłaby dziś Francya dopominać się o posiadanie Anglii, dlatego że przed potopem oba te kumentów, wynosił w roku 1849, 48,757,016 piastrow; w 1850, 54,615,175 piastrow, a w 1854, 60,473,333 piastrow.



rysował W. G. G. G. G. G.

w. G. G. G. G. G. G.

rysował W. G. G. G. G.

RUJINY ZAMKU OBRONNEGO KSIĄŻĄT RADZIWIŁŁÓW.
w Biały na Podlasiu.

kraje były zapewne połączone! Dotychczas wprawdzie podobne dowodzenia nie przekonały rządu Stanów zjednoczonych o potrzebie zajęcia; lecz z drugiej strony przyznać należy, że konstytucya

zamało prezydentowi nadaje władzy, aby ten w przyszłości skutecznie zapobiedz mógł katastrofom podobnym do zamachu Lopeza.

BIAŁA RADZIWIŁŁOWSKA.

Biała Radziwiłłowska, książęca, zwana tak dla różnicy od innych miasteczek tegoż samego nazwiska, leżała dawniej w województwie brzesko-litewskim; dzisiaj jest stolicą powiatu, leży w gubernii lubelskiej. Długim pobytom uświetnili ją Radziwiłłowie, w których ręku zostawała przeszło półtrzecia wieku. Książęta prowadzili tu dwór świetny, mieli zamek obronny, mury, okopy, fossy, działa; przyjmowali nieraz w murach zamkowych królów i po pańsku ich ugoszczali. Jan Kazmirz odwiedzał Białę. Sobieski był tutaj kilkakrotnym gościem, témbardziej że go do Biały uczucia rodzinne przywiązywały: długi tu czas albowiem mieszkała i rządziła rodzona siostra jego, raz owdowiała po księciu Zasławskim, drugi raz po księciu Radziwiłł podkanclerzym litewskim, hetmanie polnym. Drugiej jeszcze niewiasty Biała we wspomnieniach swoich pamięć przechowała: mówim tutaj o księżnie Annie Sanguszkowej, która była wdową kanclerza Karola Radziwiłła, rodzzonego siostrzeńca Jana III.

Biała była własnością téj linii Radziwiłłów, która posiadała ordynacyą na Olyce i Nieświeżu, ale zawsze dostawała się młodszym braciom. Zdarzało się jednak że po bezdzietnych panach swoich znowu wracała do ordynatów, i dlatego historia jej wiąże się zawsze ze wspomnieniami książąt z Nieświeża. Po bracie wziął Białę hetman Rybeńko, a potem znowu ją odziedziczył syn hetmański, książę Karol Panie Kochanku; po Karolu ostatni ordynat Nieświeżski, Dominik Radziwiłł, był razem i ostatnim ze swojej linii panem na Biały.

Dzieje miasteczka, słynącego także kiedyś szeroko akademią swoją, która była kolonią akademii krakowskiej, spisaliśmy w dziełku noszącem tytuł

Zamek bialski. Są to obrazy ludzi i czasów, dzieje okolicy, życiorysy Radziwiłłów, wspomnienia przeszłości. Ustęp jeden z zamku bialskiego o czasach księcia Panie kochanku, drukowaliśmy w roku 1851 w Gazecie Warszawskiej; tutaj dajemy dwa ustępy, wyjęte z różnych rozdziałów: w jednym spisana legenda o przejściu Biały z rąk Illniczów do Radziwiłłów jest podaniem czysto miejscowem, nie zewszystkiem zgodnem z historią, ale jest to téż ustęp z dziejów nawpół bajecznych miasteczka. Piérwsze zaś ocknienie się historyczne Biały podajemy w treści drugiego ustępu. Później może nastąpią więcej całkowite obrazki Biały z 17 i 18 wieku.

I.

Podanie, które się zostało w skarbie pamiątek po Illniczach, tak rozpowiada o ostatnich chwilach téj możnej rodziny.

Prawem dziedzictwa po przodkach nabytego siedział na Mirze i Biały, dwóch hrabstwach swoich, ostatni już potomek sławnego imienia, sam jeden, bezdzietny, z troską w sercu komu obszerne ziemie po swojej śmierci zostawi. Było to za czasów Stefana Batorego w Polsce. Oprócz rozległych włości, które były stolicami dóbr jego, ten ostatni Illnicz władał szeroko na Litwie i na podlaskiej ziemi. Sławatycze i Dokudów należały do niego. Nie miał komu przekazać bogactw swoich; życie spłynęło mu prędko, a kiedy lata postawiły go nad grobem, samotny starzec obejrzał się, że żadne serce nie bije dla niego, że na nikogo nie spadnie sława jego imienia. Może nie wiedział o inszych liniach swojego domu, a może téż i nie chciał senatorskich majątków i znaczenia w kraju powierzać

ludziom, z którymi kiedyś przed wiekami ród jego wspólne łączyło pochodzenie, a którzy już podupadli. Ten ostatni Illinicz był wojewodą brzesko-litewskim, rozpowiada podanie. Z całej rodziny swojej znał tylko Radziwiłłów; jako siostrzeniec Mikołaja Czarnego, był bratem ciotecznym jego synów Mikołaja, Wojciecha, Jerzego i Stanisława. W Radziwiłłowskim domu ostatnie jego spoczywały nadzieje. W samej rzeczy Illinicz z synem najstarszym Czarnego, Mikołajem Sierotką, zawarł więcej jak przyjacielskie stosunki. Sierotka po nim nawet dobra jego odziedziczył, a ztąd i przypuszczenie pokrewieństwa blizkiego pomiędzy nimi ma za sobą bardzo wielkie prawdopodobieństwo. Mikołaj Sierotka i wojewoda Illinicz byli więc z sobą braćmi ciotecznymi i znali się od lat dziecińczych. Kiedy podrośli, nie zerwali tych stosunków, owszem rosła pomiędzy nimi staropolska przyjaźń. Sierotka odwiedzał nieraz w Mirze i Białym Illinicza, wojewoda jeździł do niego do Nieświeża. Oglądał się Illinicz poza siebie i nieraz trapił się myślami; ale smutek z czoła spędzał mu Sierotka tysiącem powieści i cudów które miał jakby na zawołanie. Opowiadał mu o młodości swojej; a raczej o dzieciństwie burzliwem i dzikiem. Opowiadał mu o ojcu swoim Mikołaju Czarnym, zapalonym stronniku genewskich nowinek; o matce Elżbiécie Szydłowieckiej, córce kasztelana krakowskiego i kanclerza, jak będąc pobożną katoliczką, wobec męża zmieniać musiała swoje wyrazy i w małe dzieci jeszcze przywiązanie do wiary dawniej szczepiła. O! pełno było dziwnych wydarzeń, pełno uderzających sprzeczności w opowiadaniach Sierotki! Niemowłębem jeszcze zobaczył go Zygmunt August u siebie na krakowskim zamku, opuszczonego od wszystkich, bo go dla czegoś ciekawego i służba dworska odbiegła. Wziął król dziecko na ręce i z politowaniem nad niem zawołał: „Biędna sierotka!“ Ten przydomek zamienił się w nazwisko, i dziś jest historycznym tytułem syna Czarnego Mikołaja. Nie mógł się nigdy zadość naopowiadać Illiniczowi Radziwiłł o biędnej matce swojej, która skarby czułości wylała na dzieci, o dumnym ojcu, przed którym nietylko w Litwie wszystko drżało. Młody latami, Sierotka przebył już całe morze doświadczenia. Widział umierającą matkę, pełną troski o przyszłość i zbawienie drogich istot, które zostawiała na ziemi. Widział potem śmierć ojca, nowe osoby, nowe twarze, i jak

potęga Radziwiłłowska w inne przechodziła ręce. Zachwyił z dzieciństwa oczami i częstym przykładem w domu rodzicielskim, nie cześć, nie szacunek, ale jakąś bojaźń dla myśli ojca, dla reformy. Ale ta cześć najgłębsza nie zakorzeniła się w sercu, bo serce matki dużo w umysł dziecięcy wlało zarodków, które o jego przyszłości miały stanowić. Puścił się w podróż po Niemczech z trojgiem młodszych braci, niby dla zaczerpnięcia zdrowej nauki. Ale jak przed słońcem znikają chmury, jak przed promieniem wiosennym lody topnieją, tak stopniało przed siłą przekonania serce Radziwiłłów w podróży po Niemczech. Nietrzeba było cudu: Skarga zapalił iskrę tylko tam gdzie miał wkrótce wybuchnąć płomień, i synowie Czarnego Radziwiłła, nadzieja reformy litewskiej, uroczyście w kościele katedralnym wileńskim wyznali że kochają wiarę matki. Ojciec już nie żył, bo nigdyby dzieciom swoim nie odpuścił tego. Dumny dla wszystkich, nieugięty w zdaniu i woli, Czarny Radziwiłł ani się domyślał nawet, ile potęgi zawiera w sobie miłość macierzyńska. Ion, co trząsał Koroną i Litwą, co kierował Zygmuntem Augustem, on miałby wierzyć w siłę, w dowody, w spisek słabej niewiasty?

Z zajęciem słuchał tych powieści Sierotki wojewoda Illinicz. On znał także Mikołaja Czarnego i widział wiele w swoim życiu. Sam nie grał wielkiej roli w wypadkach świata, ale się przyglądał wypadkom. Los jego był nawet pod pewnym względem podobny do losu ojca Sierotki. Mikołaj Czarny, umierając, sądził że po sobie zostawi czterech synów, dziedziców mienia, sławy, że ci czterej synowie wspólnymi siłami dalej poprowadzą zaczęte przez niego dzieło. Tymczasem dzieci wyparły się ojca i siliły się na to, żeby wszelkie po jego przeszłości zagładzić pamiątki; a więc Mikołaj Czarny umarł bezdzietny.

Wojewoda Illinicz nie miał zupełnie dzieci: ale wojewoda trwożył się tylko o swój majątek, komu go zostawi, kiedy Radziwiłł mógł trwożyć się i o w pływ swojej rodziny na Litwie. Gdyby obydwa umierali razem, a wiedzieli przyszłość, śmierć Illinicza, choć bezdzietnego, byłaby znośniejszą, jak Czarnego Mikołaja, który na łożu śmiertelnem cierpiałby podwójne męczarnie. Ale też Czarny był lwem na swoje czasy.

Nie bez żalu, nie bez rozrzewnienia o swoim ojcu rozpowiadał Sierotka. Miał on serce, rozumiał

wolę ojcowską, ale sprzeciwić się nie śmiał przekonaniu które go winny świat wprowadziło, a serce otwarło dla nowych uczuć, świetnych widoków, piękniejszych nadziei.

Ztémwszystkiem Illinicz przywiązał się do Sierotki. Obaj marzyli, obaj wpośród pomysłności smętne pędzili życie, bo gonili za czémś, sami nie wiedzieli jak i kiedy. Synowie Mikołaja Czarnego, jakiéms niepojętém natchnieniem, wszyscy stanęli na czele katolicyzmu. Jerzy był biskupem już, choć lata miał dziecinne, a Mikołaj rozpowiadał o swojej okropnej niemocy, w jaką nagle zapadł niedługo po zaparciu się błędów ojca. Nic mu poradzić nie mogli lekarze, cudu potrzeba było. Zdawało się że zgaśnie w poranku życia najstarszy syn Radziwiłła Czarnego. Bolescią znękany, Sierotka na łożu wtedy ślub wykonał, że odwiedzi ziemię świętą, że grób Zbawiciela ucałuje i skropi łzami pokory. Cud spełnił się. Lat kilka męczyła Sierotkę choroba, ale wyszedł z niej przecie, słaby, nędzny, wycieńczony, więcej do trupa jak do żyjącego człowieka podobny.

Tymczasem dzień za dniem schodził, a chwila spełnienia ślubu odwlekała się coraz bardziej. To sprawy rodziny, to sprawy kraju, niepozwalaly mu o przedsięwziętej myśleć podróży. Za Batorego, duchem wojennym zagrany, wstąpił w zbrojne rotty rycerstwa i odbył wyprawę inflantską. Ale niepokoiła go ciągle myśl ślubu, bał się śmierci, tęsknił do ziemi świętej jakby do szczęścia swojego, lękał się żeby mu nie znikła przed oczami, jakby widzenie senne. Nasłuchał się Illinicz tych utyskiwań Sierotki.

Raz, po nowych żalach, wojewoda wziął młodego księcia za rękę i po prostu go się zapytał: „Mój Sierotko! wybiérasz się w długą i daleką podróż. Tyś mi tutaj przyjacielem, bratem; kiedy ty wrócisz z ziemi świętej, mnie już może nie będzie na świecie. I komu ja zostawię wtedy moje dobra?”

Radziwiłł odpowiedział:

— Ja mam wprawdzie braci, ale nie mam dzieci, jak ty panie wojewodo. I komuż ja zostawię także moje dobra?

I zagaili z sobą rozmowę o przeżycie. Stanął układ pomiędzy nimi ustny, że ten kto z nich dwojga pozostanie przy życiu, po śmierci drugiego obejmie jako dziedzic obydwu prawdziwie książęce majątki.

Tymczasem Sierotka, pomimo najszczerszych chęci, nie mógł się jeszcze puścić do Jerozolimy. W oczekiwaniu dnia podróży napisał list do Rzymu do Grzegorza XIII, prosząc o błogosławieństwo apostolskie. Papiész przysłał mu to błogosławieństwo. Sierotka wyjechał zaraz w roku 1578 do Niemiec, błądził tu i owdzie, szukając towarzysza podróży, bo lękał się gór libańskich i rozkwitłych cedrów po górach, lękał się sam powierzyć życie swoje dzikim pokoleniom Maronitów i Druzów. Skończyło się na tém, że wrócił jesienią do Polski, z mocném postanowieniem że pojedzie prosto do Włoch na lato, i że ztamtąd puści się do Jerozolimy. Ale Pan Bóg za nim kule nosił, jak mówi staropolskie przysłowie. Nowe wypadki w ojczyźnie powołały go do nowego życia. Król Stefan zbierał wojsko i szedł właśnie na połocką wyprawę. Król Stefan tylko co dał Sierotce łaskę wielką, znak najwyższej prawie dostojności w kraju. Tak rozbiły się wszystkie piękne projekta Radziwiłła, który poszedł z rycerstwem i z królem dzielić trudy wojenne, narażać pierś własną na kule. Nie omyliło go przecucie: właśnie pod samym Połockiem, z małego działka półhakiem postrzał w głowę otrzymał, a krew zbryzgała suknie jego. W pobożnym wieku swoim, tylko co przed panowaniem szwedzkiego Zygmunta, Mikołaj wziął to za przestrożę niebios, i dziękował Bogu że mu ocalił życie dla spełnienia świętego ślubu. Nie czekał już zatém końca wojny. Wyleczywszy się z rany, wyjechał do Czech do Cieplic, marząc o Włoszech i Jerozolimie. Po drodze wstąpił do Illinicza, a rozmowa ich niedawna, co zdaje się żart jedynie miała na celu, dzisiaj faktem się stała. Kontrakt na przeżycie obydwaj magnaci ułożyli na piśmie i rozstali się z sercem przepelnioném bolescią, przeczuwając że ostatni raz widzą się już z sobą na ziemi i żegnając się czule na wieczność. Pożegnanie takie ma coś w sobie uroczystego.

Nie zgadli jednakże przyszłości, bo jeszcze raz widzieć się mieli. Radziwiłł Sierotka z Cieplic ruszył do Wenecyi, i tu był kres jego drugiej podróży. W mieście lagun, w pięknej królowej adryatyckiego morza, w siedlisku dożów, strzeżoném niebieską opieką świętego Marka, dowiedział się nasz wędrownik o strasznej zarazie, która wtedy niszczyła Grecyą, przedarłszy się z głębokiego Wschodu do Europy. Wszyscy powtarzali okropne

wieści o tém powietrzu, a Wenecya niespokojna drżała jak liść, bo na nią prosto z Grecyi wiała morowa zaraza. Myślałbyś że dzuma stoi już pod grodem dożów, przyglądając się cudnemu miastu na wodzie i złoconym kopułem świętego Marka. Sierotka, jak widzieliśmy, niebardzo był odważny, kiedy szło zasłonić się przed rozbojem, przed lwami albo zarazą. Wahał się więc i długo bawił w Wenecyi, nie pisząc do Polski, nie dając o sobie znaku życia. Odradzali mu wszyscy tę podróż, a przynajmniej chcieli aby się wstrzymał przez chwilę. Tymczasem i z kraju dochodziły do niego dziwne wieści: powiadano że król Stefan gotuje nową wojnę, mówiono coś o nieporozumieniach z Turcyą, o nowém uzbrajaniu się Kozaków. Zapewniali wszyscy, że Batory skrywa w myśli olbrzymie zamiary, któremi chce świat zadziwić. Nedorzeczna wieść uporczywie ciągle wracała. Sierotka stęsknił się do Litwy, do swoich, i nagle jak piorun spadł na ojcowskie niwy, kiedy się go najmniej spodziewano, w przekonaniu że już się modli u grobu Zbawiciela.

I znowu upłynęło mu lat kilka na Litwie w oczekiwaniu chwili do świętego ślubu. Z Zamojskim całe lato bawił pod Pskowem; a kiedy wrócił z wyprawy, zajął się spełnieniem myśli bogobojnych, do których oddawna wzdychał. Marzył o sprowadzeniu jakich panien zakonnie do Litwy, bo dotąd klasztorów niewieścich nie widziała ziemia Giedyminów. W Koronie co większe miasteczko znalazł się ktoś pobożny co pamiętał o fundacyi mniszek; Litwa o nich tylko z powieści słyszała. Myślał także księżę i o wykształceniu młodzi litewskiej. Jedyny wtenczas uczony zakon poświęcał się mozolnym pracom nauczycielskim. Sprowadził więc Jezuitów do Nieświeża, wybudował im domy, wyznaczył fundusze. Nie odrazu myśl księcia mogła przyjść do skutku, nie odrazu pobożne jego zamiary miały zrodzić owoce. Dokuczało mu ciągle sumienie, że ślub jeszcze niespełniony. Fundacye zatém dalszym zostawiając czasom, Sierotka znowu o podróży myślał. Tą razą chciał nawet pozorom wszystkim zadość uczynić i puścić się w drogę opatrzony błogosławieństwem i pozwoleniem królewskim, po patryarchalnemu, po staropolsku. Chciał po sobie pamięć zostawić w sercach, i prawdziwie z religijném uczuciem, z całą wiarą, przedsiębrać podróż. W tym celu, zarządzi-

wszy w Nieświeżu wszystkiém na czas swojej nieobecności i napisawszy testament, księżę pojechał do Grodna, gdzie bawił Stefan Batory, prosząc o pozwolenie i radę. Król nie odmówił marszałkowi swemu, który wrócił raz jeszcze do Nieświeża i na początku jesieni r. 1582 wyjechał z Polski na trzecią podróż do ziemi świętej. W Wenecyi znowu przepędził wiele czasu, ale tą razą postanowienie jego było silne, niecofnione. Istotnie na zimę puszczać się w drogę tak odległą, było nowém szaleństwem. Przezimował zatém w Wenecyi; skoro lody prysły, a słońce ciepłem złotych promieni rozradowało ziemię, na wiosnę już, w najpiękniejszej porze roku, puścił się z Wenecyi morzem do ziemi świętej, w pielgrzymskiém odzieniu, z różańcem u pasa i długim w ręku kosturem. Zwidził Cypr i Trypolis, płynął po morzu jońskim i egejskiém, po drodze dawnych Hellenów, kiedy płynęli pod Troję. Widział rozwaliny Ilium i grób Achillesa. W Syryi potem pomiędzy górami Libanu dziwił się cedrom olbrzymim. Zwidził wszystkie święte i wślawione miejsca. Był w Antiochii i na Karmelu, w Syryi i w ziemi świętej; co krok napotykał nowe widoki i miejsca wślawione jakimciś cudem, pamiątką, a czasem słowem Zbawiciela. Nareszcie zbliżył się do Jerozolimy. U grobu Chrystusa w Ogrójcu oliwnym łzy wylęwał, jak pokutnik prawdziwy sypał jałmużnę i bił pokłony na Golgocie. Nareszcie z sercem wzruszeń pełném, odświeżoném, jakby na nowo narodził się na świat, przypomniał sobie Sierotka kraj rodzinny, do którego ziemskie przywiązywały go interesa. Zdawało mu się że wiek cały nie widział niw ojczystych, na których spędził dzieciństwo, młodość, czas najpiękniejszy życia dla każdego, a cóż dopiero dla niego, we wspomnienia i żale obfity. Na Egipt zatém i Wenecyą z Palestyny powracał co żywo do Polski, myśląc o nowych pracach dla wiary w ziemi ojczystej, układając w głowie plany do opisu swojej podróży, wioząc koronki, obrazki, różańce i święte modlitwy ze Wschodu.

Tymczasem Illinicz żadnej wiadomości nie odbierał o podróżniku. Minęła jesień i zima, minęła wiosna i znowu skwarne przybliżyło się lato. Słońce dogrzewało i czerwiec się już kończył, a o Sierotce ani słycho. Rok już blisko dobiegał mety jak opuścił Radziwiłł Nieśwież. Od tego czasu zginął jak kamień w morzu. Z nim cała jego służba gdzieś

przepadła. W Nieświeżu i Birzach myślano że zginął Sierotka, że go gdzieś lwy rozszarpały, albo rozbojnicy w górach zabili. I orszak księcia musiał razem zginąć w pustyni, zwłaszcza że, jak się domyślano, Sierotka pojechał do Egiptu, puścił się gdzie może w nieznane krainy, biegiem Nilu. Inaczéj przybyłby ktoś przecie z wiosną, powróciłby do Polski i smutną nowinę przywiózł księżécj rodzinie i wielu dworkom szlacheckim naokoło Nieświeża. Illinicz żałował swojego przyjaciela, a jednak zaciérał ręce i mówił:

— Nieśwież i Ołykę wygrałem.

Tymczasem w lipcu 1583 r. z Krakowa w drodze do Litwy, Radziwiłł Sierotka przybliżał się z orszakiem swoim do Biały, powitać wojewodę Illinicza. Pełen był smętnych i czarnych myśli. Bo kiedy człowiek wraca z dalekiej krainy do ziemi swojej, gdzie złożył kości pradziadów i swoje chce złożyć na cmentarzu rodzinnej wioski, albo u bramy parafialnego kościoła, przez duszę zawsze mu płynąć muszą smętne i czarne myśli. Znajdzie się wtenczas w duszy rozrzewnienie, tęsknota zapuka w serce, a najtajemniejsze strony uczucia głos jakiś dziki i niepewny wydadzą. I przeszłość stanie w mgłę oddalenia, otoczona urokiem, i przyszłość w niewyraźnych cieniach przedstawi ciemne obrazy. Terazniejszość zupełnie zniknie z przed oczu, i człowiek zdaje się rodzić na świat, żyjąc wspomnieniami i nadzieją. W takim usposobieniu duszy zbliżał się do Biały Radziwiłł.

Wtém posłyszał dzwony miasteczka jak ozwały się echem grobowém, i niedługo doleciał uszu jego głos oddalony, głos żałobny kapłanów. Zbyt silne to było na raz wrażenie.

— Kogo chowają? zapytał.

— Ostatniego z potomków wielkiego domu, wojewodę Illinicza!

To wszystko opowiadało podanie. Słyszałem je dzieckiem jeszcze, z ust piastunki na gruzach białskiego zamku. Powieść ta pozostała w umyśle dotąd, jak obraz w duszy odbity.

Bo gdzież niema legend i pięknych powieści, gdzie tylko gruzy zamków naszych? Gdzie szukać natchnienia, jeżeli nie na tych szczytach przeszłości co tyle widziały w swoim życiu, a teraz milczące i nie-me, jak obalone pomniki, z dumą, z uśmiechem, przyglądają się potomstwu dawnych rycerzów? Umilkł już w pośród nich szczepek broni, ucichły odgłosy

wesołych biesiad, zdaje się martwy to już kamień i cegła, a przecież zamki nasze żyją zamogilnem życiem, i mają więcej serca, jak ci synowie rodów starożytnych, co się przybrali w złoto i srebro, w purpurę i aksamity.

II.

Pierwsza wzmianka o Biały, gdzie miasteczko nasze pokazuje się już z własném nazwiskiem i świadczy o swoim bycie, jest z czasów panowania Zygmunta Augusta. Cała ta okolica wrzała wtedy zapalem kalwińskim, socyniańskim, ariańskim, a w ogólności przeciwnym prawu i zwyczajom kościoła katolickiego. Wszędzie naokoło szlachta przyjmowała nowe wyznanie, a rzucała dawne, w którym się zrodziła. Nastali nowi nauczyciele zakonu. Lubelskie, pograniczne Litwie i Podlasiowi, roiło się tłumami arianów. Kościoły katolickie opuszczał lud wierny, a na zwaliskach dawnego nabożeństwa, ręką magnatów, powoli zaczęły się wznosić zbory kalwińskie i luterskie. Na Podlasiu już Mordy i Węgrów były stolicami nowych wyznawców. W Łosku Jan Kiszka zakładał drukarnią genewską, a Mikołaj Czarny Radziwiłł zabierał się już drukować w Brześciu nowe prawo, palladium przyszłego przekonania Litwy.

Nie wiedzieliśmy nic dotąd o pierwszym kościele katolickim w Biały, a nagle uderza nas świątynia kalwińska, która się tam ni ztąd ni zowąd wzniosła i przez to imię miasteczka rozślawiła. Okolicznościom więc i reformie winne było dawne Illiniczów miasteczko rodzącą się swoją przyszłość.

Właśnie w pierwszych latach rządów Zygmunta Augusta był w Biały kanonikiem, a więc i proboszczem katolickim zapewne, ksiądz Hieronim Piekarski. Człowiek swojego wieku, Piekarski obojętnym był w wierze i chętnie nakłaniał ucha nowostkom religijnym. Wokoło burzyło się wszystko, a nowi wyznawcy dzielili Polskę i Litwę na kawały, które nazywali dystryktami. Biała dostała się w dystrykt podlaski. Tutaj w całym Podlasiu pełnił jakby obowiązki biskupa Piotr z Goniądza, jeden z najśmielszych wieku swojego reformatorów. Piotr chciał gwałtem cały swój dystrykt nawrócić na własne wyznanie, którego nazwać nie umiał, bo wtedy każdy wierzył inaczéj i każdy inne tworzył systemata. Reformatorowie zgodnie działali, kiedy

szło o nawrócenie katolików, po synodach tylko klócili się o swoje dogmaty i przekonania religijne. Im szło o to jedynie, żeby katolicyzm osłabić i dlatego podkopać powagę biskupów rzymskich; dzieło ich wtedy byłoby napół skończone. Chcąc zreformować religijnie Polskę i Litwę, trzeba było najprzód skończyć z wyznaniem które od Miecysława jeszcze, przed sześcią wiekami, przyjęła Polska. Piotr z Goniądza zgromadził synod reformowanych w Brześciu litewskim. Piekarski zrobił krok stanowczy i pojechał na synod. Ujęty tam deklamacyami Piotra, rzucił jawnie katolicyzm i przeszedł na stronę reformy. Zdaje się że ariańską przyjął naukę.

Piekarski zajął się natychmiast czynnie nawracaniem na reformę dawnych parafian swoich, inaczej straciłby wpływ i dochody, a oboje w jego położeniu niebezpieczne było. Usadził się przedewszystki-
 kiem na Jana Falkoniusza, który wtenczas pełnił obowiązki katechisty i nauczyciela szkoły parafialnej, zapewne w małym miasteczku. Falkoniusz rodem był z Litwy; zwyczajem wieku rodzinne nazwisko przełożył dosłownie na łacińskie. Domyślają się zatem uczeni, że nazywał się po ojcu Sokołowicz albo Sokołowski. Pien katechista myślał zupełnie jak Piekarski, tylko nieśmiało się zdradzić zawczasie. Teraz całkiem się przerzucił do nowej nauki, i odtąd już dawny proboszcz z katechistą razem pracowali. Piekarski został ministrem nowowowczarni, a kościół swój katolicki na zbór przerabiać zaczął. Z początku był to zbór kalwiński, bo na Podlasiu szło wtedy wszystko za natchnieniem Mikołaja Radziwiłła. Jeden z najslawniejszych zborów założonych w tej stronie przez księcia był w miasteczku Mordach. Falkoniusz, za przywodem Piekarskiego, został także ministrem, wkrótce zaś dostał inne przeznaczenie i zaczął działać w nowej dla siebie okolicy.

Spotkali się potem jeszcze obydwaj reformatorowie bialscy na synodzie w Mordach w r. 1553 czy 1563. Piekarski był ciągle ministrem w Białym, Jan Falkoniusz już w Mordach. Stanowisko ostatniego musiało być nawet znacznie wyższe, bo na synodzie wspomnianym pełnił obowiązki pisarza. Od tego czasu ginie ślad o Piekarskim; kiedy i jak umarł niewiadomo; tylko jest w dziejach wzmianka, że zbór kalwiński w Białym, który on założył, niedługo pozostał w ręku jego współwyznawców. W krót-

kim czasie wydarli go kalwinom, jak w wielu miejscach w Polsce i Litwie, socynianie, zapewne już po śmierci Radziwiłła Czarnego. I Mordy także przeszły na socyniańskie wyznanie, ale za powodem Jana Falkoniusza prawie najprzód oderwały się od tej sekty. Falkoniusz był arianinem czystym i powstawał tylko na troistość bóstwa. Ale niestały umysł znowu pogonił za innymi myślami. Z początku wywierał na niego cały wpływ Piotr z Goniądza; zerwał więc z kalwinami na jednym z ich synodów w roku 1558, kiedy mu robili jakieś zarzuty o karność albo obojętność dla nowych obowiązków i przekonania. Z kolei Falkoniusz wyparł się Piotra z Goniądza, odwołał dawne błędy i pogodził się na krótko z Rzymem; bo potem znowu powrócił do ariańskich uprzedzeń i Mordy wydarł kalwinom. Pomimo niestałego umysłu i braku charakteru, Falkoniusz był uczonym człowiekiem. W wieku podeszłym miał pisać dzieje kościołów litewskich, przynajmniej tak o nim świadczy Węgierski. Nie wiemy czy drukował dzieło swoje, czyli też zostawił w rękopismie i czy kto z pracy jego korzystał (1).

Był w tym czasie inny Falkoniusz, Tomasz z imienia. Stał także na czele reformy i krzątał się żywo. Kanonikiem był w Lublinie; za popieranie nowych mniemań wtrącony do więzienia, jęczał w nim dopóty, dopóki go wpływem swoim z ciemnicy nie wydobył Radziwiłł Czarny. Pracował potem w drukarni brzeskiej około wydania nowego testamentu. Z Szymonem Budnym był następnie kaznodzieją przy kościele kleckim. Podpisywał się Jezusa Chrystusa ukrzyżowanego świadkiem. Jedność przetłumaczonego nazwiska niedowodzi jeszcze żeby ten Tomasz bratem był Jana Falkoniusza katechisty bialskiego. Po polsku mógł się nazywać Sokołowskim albo Jastrzębskim (2).

Sama reforma niedługo mogła tryumfować w Białym. Po dawnych dziedzicach zajęli miasteczko Radziwiłłowie w osobie Sierotki, a Sierotka był właśnie, na przekorę ojcu, opiekunem wiary katolickiej na Litwie. Po powrocie z ziemi świętej, za wstąpieniem na tron Zygmunta III, nastąpił dla niego czas pracy.

(1) Węgierski str. 146. Łukaszewicz tom II, stron. 6 i stron. 49—51, o reformie na Litwie.

(2) Tak się domyśla Łukaszewicz, tom II, str. 33. Piśsze o tym Tomaszu Jocher, tom II, str. 15.

Nie chciał być Sierotka marszałkiem przy nowym królu. Ten znakomity urząd wymagał ciągłej obecności jego w Krakowie; a księżę wolał się poświęcić Nieświeżowi, rozległym włościom swoim i myśli religijnej, która zacięrała z ochotą wszystkie pamiątki reformy po ojcu. Spuścił więc laskę wielką, a wziął od króla godność kasztelana trockiego. Osiadł w Nieświeżu i wciąż budował; sprowadzał do miasta rzemieślników, wyrabiał jarmarki i przywileje, nadawał prawa, pisał dla mieszczan kodeks którym się rządzić mieli, wznosił budowle jezuickie i ozdobne gmachy dla szpitala i szkoły, murami wokoło opasał Nieśwież, zaprowadził bractwo miłosierdzia dla wsparcia nędzy, i z pociechą wewnętrzną powtarzał często, że nie nazywa się Radziwiłł, ale Rad-żywiłł. Była jeszcze myśl druga co wtedy mocno zaprzętała umysł księcia. Na sejmie brzeskim w roku 1566 zapadło prawo, że szlachta co chce może robić ze swemi dobrami. Na tej zasadzie czterech synów nieboszczyka Czarnego zgodziło się z dóbr ojczystych ufundować ordynacyą: 16 sierpnia 1586 stanął układ trzech braci, bo czwarty Jerzy, jako osoba duchowna i biskup wileński, z układu był wypuszczony. Wojciech młodszy został panem na Klecku, Stanisław najmłodszy otrzymał Grodek; wszyscy trzej pisali się z Nieświeża i Ołyki, ale jeden tylko najstarszy brat, Sierotka Mikołaj, był rzeczywistym władcą i panem na Nieświeżu, księciem na Ołyce, hrabią na Mirze, dziedzicem na Białym i Czarnawczycach. Tak brzmi jego urzędowy tytuł z r. 1586, w którym dnia 10 grudnia król zatwierdził ordynacyą.

Wszyscy bracia uważali teraz Nieśwież za prawdziwą stolicę swojej rodziny, wszyscy wspólnymi siłami, jak potem i ich potomkowie, przyczyniali się do nadania świetności temu miastu. Ale tylko Mikołaj Sierotka i jego synowie stroili się w książęce tytuły, w herby panujących, jakby udzielni władcy.

Za czasów Sierotki stał już w Białym poważny zamek, niewiadomo czy w spadku przekazany po Illniczach, czy też może przez księcia wojewodę zbudowany na nowo. Była fossa i wały, jakby dla obrony zagrożonego miejsca, był i ogromny zwierzyniec, wtedy już sławny na całą Polskę. Lasy wieńcem wokoło otoczyły Białą. Widać że tu przed wiekami, a nawet i za Sierotki czasów, były puszcze ogromne i siedliska zwierząt dzikich, zdo-

bycz dla śmiałych łowców, dla zapalonych myśliwych. Radziwiłł może założył, a może przyprowadził do porządku, w lasach tutejszych ogromny i piękny zwierzyniec. Powiadają że za Zygmunta III czasów było tutaj do tysiąca jeleni, łosiów, sarn i danieli (*). Do takiego zwierzynca i wielką służbę leśną trzymał księżę Radziwiłł; musiał więc i zamek w stosownej przedstawiać się okazałości. Z Nieświeża często na łowy do Białego zjeżdżał Mikołaj Sierotka. Lasy wtenczas rozlegały się trąb tysiącem, hukiem myśliwych, odgłosami chartów wietrzących zdobycz leśną.

Miał nawet tutaj miłe a blizkie sąsiedztwo księżę Radziwiłł Sierotka. Wspomnieliśmy niedawno o Międzyrzecu, dziedzictwie książąt Zbarańskich. Ostatni właśnie z tego domu, Stefan trocki wojewoda, niedawno zakończył życie. Dobra spadły na jego córkę Barbarę, która była zaślubioną Gabryelowi Tęczyńskiemu, synowi Jędrzeja krakowskiego wojewody. Od pół wieku już ta rodzina, jedna z najdawniejszych w Koronie, osiadła na Podlasiu, gdzie po przodkach odziedziczyła miasteczko Siemiatycze. Ślubami spokrewniła się już z wielą litewskimi domami. Gabryel Tęczyński przyjechał teraz do Międzyrzeca, objąć żony dziedzictwo. Gabryel był wdowcem poprzednio, po kochanej córce Sierotki, Elżbięcie. Tak dawne a blizkie familijne stosunki zmieniał teraz na sąsiedzkie i przyjacielskie, a Radziwiłłowi nie mogło być miło że w okolicach Białego spotykał znajome osoby i dawnego zięcia.

Gabryel bywał zapewne często u teścia na zamku bialskim, gdzie znalazł i towarzystwo i miłe zatrudnienie, jedyną zabawę dawnych panów, łowy w puszczach okolicznych. Z matką piérwszej żony swojej, Elżbiętą Eufemią wojewodzianką wołyńską, Jędrzeja księcia Wiśniowieckiego córką, nieraz zapewne rozmawiał o piérwszej żonie, którą śmierć ich przywiązaniu wydarła.

Ten pobyt Radziwiłłów w Białym wpływał znacznie i na los samego miasteczka. Za przykładem książąt swoich, stroić się musiało w nowe domy. Ślady arianizmu i kalwinizmu prędko zniknęły. Powróciło dawne nabożeństwo, a z niemi i proboszcz katolicki. Szkoła także, zapewne przez Falkoniusza opuszczona, dźwignęła się. W żaden sposób być nie może, żeby księżę Sierotka silną swoją prawicą w Białym nie popierał reakcyi religijnej i zwro-

(*) Siarczyński w Bibliotece Warszaw. 1847, II, 31.

tu myśli ku dawnym zwyczajom. On, co tak gorliwie w najdrobniejsze szczegóły wchodził, kiedy szła rzecz o dźwignięcie Nieświeża, nie mógł być obojętnym dla Biały. Samo jego sumienie katolickie jużby mu za to nigdy nie dało pokoju. Ale zajęty całkiem Nieświeżem, nietyle dbał o inne miejsca obszernych dóbr swoich, chociaż ich nigdy nie opuścił. Ztąd niewidać śladów jego działania w Białej, chociaż opieka księcia czuwać musiała nad całością i szczegółami.

Miasteczko Illiniczów było dla niego tylkoprzystanią w której spoczywał czasami; było willą, letniem mieszkaniem, kiedy Nieśwież opuszczał, jadąc albo na sejm do Warszawy, albo zjeżdżając na łowy do swojego zwierzyńca. Biała mu zawsze po drodze leżała; tu miał prawie środek drogi z Nieświeża; tutaj już bawił u siebie na rodzinnej swojej Litwie. Pod samą Białą albowiem dochodziły granice lubelskiego województwa, a więc Korony. Unią Zygmunta Augusta i Podlasie i Wołyń było przyłączone do Polski. Tak ze wszystkich stron zaglądała tędy do Litwy Korona: od północy Podlasiem, od zachodu i południa łukowską ziemią i lubelską, od dalszego południa Wołyniem. Wązki brzeżek dawniej Litwy z województwa brzeskiego wsuwał się tutaj w koronne ziemie. Biała była jakby na straży litewskich pamiątek; ona ostatnia tutaj świadczyła o dawniej narodowości, i była wstępem do nowych krajów i ludzi. Całe miasteczko było już w Litwie, zamek tylko książęcy stał jeszcze na koronnej ziemi. Zamek ku zachodowi więcej się nachylił, wieżami i basztami się uzbroił, spoglądał na ciche miasteczko co legło u stóp jego. A koroniarz, przybywając z Krakowa albo zpod Warszawy, spotykał rzadki widok na wstępie do Litwy: zamek warowny, co strzegł niby Litwy na koronnej ziemi.

Było dużo w rplitej miast tegoż samego nazwiska. Była jedna Biała na Podgórzu krakowskim, była druga na Szląsku, była trzecia na Mazowszu za Warszawą, że nie policzmy innych. Biała nasza, cicha i spokojna dotąd, zaczęła na siebie teraz zwracać uwagę rplitej. Illiniczowie nie wsławili jej; za to wsławili Radziwiłłowie, a najprzód z nich książę Sierotka. W niedługim czasie została drugą stolicą po Nieświeżu. Miała swój zamek i zwierzyńiec sławny. Zjeżdżali się do niej często panowie pogościć pod dachem Radziwiłła z Nieświeża.

A to wszystko miało taki skutek, że Biała nasza prędko zaćmiła swoje współzawodniczki tegoż imienia. Białę często powtarzano teraz w rplitej. To powoli stało się powodem że nasze miasteczko zaczęło się stroić w przydomki, które jej sąsiedzi albo pisarze krajowi nadawali. Nazywano ją Białą Radziwiłłowską albo książęcą, co oboje usprawiedliwiały stosunki jakie z panami na Nieświeżu zawarła. Po łacinie przetłumaczyli ją uczeni Albis Radiviliana, albo Ducalis, i pod tém nazwiskiem częste o niej w późniejszym czasie spotykamy wzmianki. Nazywają ją jeszcze i Białą na Podlasiu, Białą podlaską, co znowu fałsz mieściło w sobie; bo, jakśmy uważali to wyżej, Biała ani dotykała Podlasia, tylko leżała blisko jego granic, ale na Litwie, już w województwie brzeskim. Do ostatnich chwil rplitej była litewskim a nie koronnym miastem, i równie dobrze lubelską Białą, jak i podlaską nazywać się mogła, a przecież nigdy nie nosiła przydomku lubelskiego miasta.

Radziwiłł Sierotka przeniósł się z kasztelanii na województwo trockie, a z tego na wileńskie w r. 1604. Nim umarł, jeszcze pochował wszystkich braci, najprzód Wojciecha, potem Stanisława, nareszcie kardynała Jerzego. Kiedy został wojewodą wileńskim, już nikt nie żył z licznej rodziny, która go niegdyś otaczała jako ordynata na Nieświeżu. Najstarszy syn Czarnego Mikołaja, najpóźniej téż zakończył życie. Stracił jednego syna i córki; inne dzieci zachował mu Pan Bóg. Wyposażył wszystkich i los im zapewnił Na godnościach i urzędach litewskich siedzieli już jego synowie i uweselali starość pielgrzyma. Gabryel Tęczyński niegdyś zięć jego, został lubelskim wojewodą.

Sierotka i w Mirze budował zamek książęcy, nowymi murami opasywał miasto. Dziś jeszcze, jak powiadają, sterczą tam cztery bastiony i stoi brama, a wszystko opasane wałem i przekopem. W Nieświeżu także, na drodze od Mira, zbudował bramę okazałą. Cenil więc ten piękny nabytek po Illiniczach, a to samo już dowodzi że w Białej musiał także dźwignąć nowe budowle i warownie. Ale w burzliwych czasach Zygmunta III, za panowania które zewsząd gromadziło palne materiały dla przyszłości, i losom Białej zagrażały nieraz złowrogie chwile. Tworzyły się na Rusi częste powstania kozaczyzny, a różne bandy, pod przywódem śmiałych najeźdźców, roznosiły wszędzie zamieszanie i po-

płoch. Pod koniec życia Sierotki wokolicach Białej, wślawił się straszny Czeladka. Długo rozbijał w województwie brzeskim, na Polesiu i ponad granicami Podlasia. Łupież i płomień poprzedzały jego pochody. Biała lada chwila oczekiwała jego napadu. Szczęściem dla niej nadeszły w tę stronę chorągwie Kozaków nadwornych. Czeladka, zuchwały dla bezbronnych, uległ przed siłą zbrojną. Wzięty do niewoli, w Warszawie utracił życie, a Biała odetchnęła po wielkim strachu (1).

Mikołaj Krzysztof Sierotka Radziwiłł, pierwszy ordynat nieświeżski, dziedzic Białej, umarł w r. 1616. W rok po nim zakończył życie wojewoda lubelski, Gabryel Tęczyński, dziedzic Międzyrzecza, który jedyną córkę Zofii zostawił bogactwa i Tęczyńskich rodziny i Zbarażskich książąt.

Miejsce Sierotki na nieświeżskim zamku zajął najstarszy syn, Jan Jerzy kasztelan trocki. Był właśnie marszałkiem trybunału lubelskiego, kiedy go ojciec odumarł. Niewiele powiemy o tym ordynacie, bo nie żył długo, a dla Białej żadnej po sobie nie zostawił pamiątki. Żonę miał Eleonorę Ostrogską, córkę Janusza kasztelana krakowskiego. Pamiętny w dziejach ordynacji jedynie przyjęciem królewicza Władysława w murach Nieświeża, kiedy z Chodkiewiczem i Plichtą szedł młody książę w roku 1617 obcą zdobywać koronę. Umarł Jan Jerzy w roku 1626.

Młodszy brat jego, Wojciech Władysław, razem z ordynacją wziął po nim i kasztelanią trocką. Władysław IV posunął go w roku 1633 na kasztelanią wileńską, a w lat trzy potem umarł Wojciech dnia 20 lipca 1636 w Czarnawczycach, zostawiwszy żonę Annę Zienowiczównę i trzy córki.

Czwarty ordynat, Aleksander Ludwik, od r. 1631 wojewoda brzeski, a od roku 1635 marszałek nadworny litewski, więcej pamiątek po sobie zostawił w Białej jak bracia. Mieszkał tutaj często, a z nim bawiły w miasteczku nad Krzną pierwsza żona jego, Tekla Wołowiczówna starościanka żmudzka i Katarzyna, córka sławnego Janusza Tyszkiewicza wojewody wileńskiego, a wdowa po księciu Janie Wiśniowieckim koniuszym wielkim koronnym.

Nietyle jednak książę ordynat, co inni ludzie przyczyniali się do wzrastającej pomyślności Białej. Cza-

sy Aleksandra Ludwika stanowią dla niej epokę wzrostu i przyszłej sławy. Dotąd małe miasteczko Radziwiłłowskie nie miało żadnych publicznych zakładów, nie było ogniskiem ruchu, nie było sercem dla okolicy. Zjawił się człowiek, co wdzięczny miejscu na którym znalazł utrzymanie i opiekę, zebrany oszczędnie grosz znaczny nie dla siebie użył, a oddał go na ofiarę dobru publicznemu. Założył akademią w Białej, i miasteczko nagle stanęło na równi z wielą innymi grodami w Polsce, a chociaż niedawno samo wyszło z cienia, wiele miast dawnych zakryło.

Człowiek ten nazywał się Krzysztof Wilski Ciborowicz i był w Białej proboszczem. Rodzina jego pochodziła z Mazowsza, z ziemi rawskiej, a w czerskiem sprawiała nieraz godności ziemskie. Była herbu półkozic. Wilce, mała wioseczka o cztery mile od Rawy, była rodzinnym gniazdem tego nazwiska. Krzysztof Wilski Ciborowicz za czasów księcia Aleksandra był już kanonikiem katedralnym łuckim i podlaskim officyałem. Z dóbr swojego probostwa, do którego trzy wioski oddawna należały, z dochodów plebanii, ksiądz Krzysztof zebrał niemały fundusz. Nie miał blizkich krewnych, a raczej zapomniał o nich, bo go dwie myśli, a jedna bogata w skutki, zajmowały przede wszystkim. Chciał Wilski założyć przy kościele bialskim kolegiatę i przeznaczyć fundusze na uposażenie kanoników. Chciał potem naprzeciw kościoła swojego założyć i akademią, podobnie jak Zamojski w stołecznym grodzie swoim. Nie miał zapewne ksiądz Wilski tak znacznych bogactw, żeby obojgu zamiarom swoim wystarczyć. Chciał dać początek tylko, a spodziewał się że i ręka książęca przyjdzie mu w pomoc i że myśl jego wesprą pobożni z okolic i gorliwi o sławę i cześć bożą obywatele. A jednak plany jego i tak na ogromną zakręślały budowę. Myśli swoje podał dla pamięci ksiądz Wilski: akademią z kapitułą kanoników miały w wielu razach stanowić jedną całość; dwóch prałatów miało być fundowanych przy kościele, a należeć do grona profesorów akademii; prócz tego samą akademią miało jeszcze sześciu składać profesorów.

Opiekę nad swoim zakładem ksiądz Wilski zlecał akademii krakowskiej; czy to że nie wierzył jezuitom, czy że inne powody wpłynęły na to postanowienie, dosyć że z Krakowa a nie z Wilna miała

(1) O tym Czeladce powiastką historyczną spisał pan Maciej Bejer w Bibliotece Warszawskiej, kwiecień 1845

akademia bialska brać swoje światło i nauki. Życia zacnego męża nie przyszło jeszcze do stanowczych urzędzeń. Wprawdzie na gruncie proboszczowskim naprzeciw plebanii postawił już niektóre budowle dla swojej akademii i grunta dla niej wyznaczył, ale nie widział skutku prac swoich. Nie porachował się też z dochodami i z majątkiem który zebrał. Sam nie wiedział co posiada, a kręślił plany zawczasie. Myślał i o alumnacie przy akademii dla dwunastu Wilskich, żeby się rodzinie własnej pamięcią wywiązał; ale na te tak piękne zamiary zanęło posiadał pieniędzy, chociaż cały ofiarował majątek.

Udał się do księcia marszałka o poradę i pomoc. Dobrych myśli dla nowój akademii i zamiarów proboszcza był ordynat nieświeżski, a dziedzic Biały. Księciu pochlebiać tylko mogły starania Wilskiego. Obiecał swoją protekcją, wdanie się do króla Kaźmirza, usilność zatwierdzenia fundacyi przez sejm rplitej zebrany w Warszawie. Obiecał też że i sam o akademii pamiętać będzie, że skarby swoje otworzy, a profesorom wysłużonym zapewni byt pomyślny w dobrach swoich, w czém będzie mógł nagrodzić ich mozolną pracę. Ta myśl o akademii tak zaprzątnęła pod koniec życia poczciwego proboszcza, że zapomniał zupełnie o kollegiacie którą miał fundować. Umarł pełen nadziei że ziszczą się jego marzenia, bo cały swój fundusz zostawił dla potomstwa, pod opieką księcia marszałka. Aleksander Radziwiłł przyjął nawet na siebie urząd egzekutora testamentu Wil-

skiego, jak gdyby chciał dalej poprowadzić zaczęte przez niego dzieło.

Po śmierci zacnego proboszcza piękne jego zamiary rozwiały się jak marzenia. Stała wprawdzie akademia, a rektor krakowski objął naczelny nad nią zarząd, dosyłając profesorów. Ale daleko było akademii bialskiej do tego stopnia, na jakim ją chciał widzieć książdz Wilski. Do ustanowienia kollegiaty nawet nie przyszło. Przyczyną wszystkiemu był szczupły fundusz zostawiony przez fundatora, który nie mógł służyć dla tak rozległych pomysłów. Potem, nie powiemy zła wola, żeby nie ubliżyć społecznym Wilskiego i egzekutorom jego testamentu, ale raczej niedbalstwo, opuszczenie się, zaniedbanie sprawy i ten wąty zasilek wystawiło na zmienne losu koleje. Książę ordynat zapomniał o swoich obietnicach, a sejmy jeden za drugim mijaly, nie zaręczając praw akademii. Jeden tylko biskup łucki zrobił swoją powinność: aktem synodalnym przyznał darowiznę Wilskiego, a nad świeżo wstającym zakładem rozciągnął swoją opiekę.

Myśl Wilskiego mogła wysoko dźwignąć Białę. Niestało się jednak zadosyć życzeniom pobożnego zapisodawcy. Ożywiło się miasteczko tłumami młodzieży, a mogło zakwitnąć i z czasem zasłynąć na równi z Poznaniem albo Zamościem. Niedbalstwem czasów do tego nie przyszło. Zakwitnęła nagle i nagle upadła akademia bialska; skromne jej dzieje przedstawię w osobnym rozdziale.

Julian Bartoszewicz.

MIESZKAŃCY ALGIERYI.

Krajowcy Algieryi i Barbaryi dzielą się na siedm wybitnie odróżnionych plemion: Arabów, Kabyłów, Maurów, Turków, Żydów, Negrów i Mozabitów, które wszystkie, z wyjątkiem Żydów, wyznają religią mahometańską. Napływowa ludność chrześcijańska złożona po większej części z Francuzów,

jakkolwiek panująca dziś nad Algierem, nie wchodzi w zakres tego szkicu.

Arabowie pomiędzy pierwotnymi Afryki północnej szczepami przeważne liczbą i znaczeniem zajmują miejsce. Są oni potomkami około 50,000 rodzin czystej rasy arabskiej, które w VII wieku na-



szęj ery przeniosły się z kraju ojczywego do Numidy (dzisiejszej Algierii) i Maurytanii (dzisiejszego Fez i Maroko). Plemię Arabów, aż dotąd niemal w pierwiastkowej trwającej jednolitości, stanowi jądro ludności algierskiej. Pod względem sposobu życia rozpada się ono na dwa wielkie działy: Arabów osiadłych (Fellahów), trudniących się uprawą roli i handlem, i Beduinów czyli Arabów koczowniczych, żyjących z hodowli bydła lub z rabunku. Gromady te koczujące napotkać można głównie w Blad-el-dżerid, w Kobra i na granicach Sahary, gdzie trzody swoje owiec i wielbłądów przeprowadzają z pastwiska na pastwisko. W okolicach położonych bardziej ku północy Beduini już zwykle trzymają się pewnych okręgów, i chyba przyciśnięci niedostatkiem opuszczają swe siedziby. Narzeczycie tuziemców arabskich, chociaż mocno obczyzną skażone, do tyła jednak zachowało rodzimy swój charakter, że w każdym, najbardziej nawet zepsutym, wyrazie z łatwością dojść można źródłosłowu pierwotnego.

W ogólności Arabowie są wzrostu wysokiego, silnie i pięknie zbudowani. Cera ich brunatna, wąsy i broda krótko przystrzyżone, zęby białe i równe, oczy czarne, wyraziste, postawa dumna i wyniosła; konno tylko jeżdżąc zwykle naprzód pochylają głowę. Ubiór ich stanowi długi, od stóp do głowy sięgający *haik*, rodzaj koszuli z cienkiej białej wełny, którą prości Arabowie noszą na gołym ciele, zamożniejsi na spodniej płócienną koszuli. Wierzchnią część haiku zarzucają na głowę i przytwierdzają postronkiem z włosów wielbłądziego. Na haik kładą *burnus* (szeroki płaszcz z grubszej już wełny), koloru białego lub czarnego, w miarę jak gdzie znajduje się więcej owiec pierwszego lub drugiego ubarwienia. Nogi ubodzy pokrywają skórą wołową, sierścią na zewnątrz obróconą, bogatsi żółtymi ciżmami ładnego bardzo kształtu. Większa część szejków nosi spodnie szerokie, a niektórzy znakomitsi naczelnicy plemion w uroczystych okazyjach haftowane złotem kamizole. Strój kobiet składa się z szerokiej wełnianej koszuli z krótkimi rękawami, ujętej w pasie postronkiem, a na piersiach pospinaanej wielkimi żelaznymi szpilkami. Włosy noszą one uplecione w długie kosy; na głowie chustkę kolorową; twarz, piersi i nogi tatouowane zwykle już od lat dwunastu, a paznogie ufarbowane na brunatno. Ręce i nogi obciążają

grubymi opinkami z żelaza, miedzi albo srebra, uszy ogromnemi koleczykami. Prawie wszystkie, wbrew zakazowi koranu, chodzą bez zasłony.

Arabowie mieszkają w namiotach, których pewna liczba stanowi *duar* czyli wioskę ruchomą. W Algierze te duary nie mają zwykle jak 10—20 namiotów; w prowincyi zato Oranu i w południowej części Konstantyny i Titeri bywa ich często do 500. W obiorze siedzib Arabowie dają pierwszeństwo okolicom samotnym, odległym od dróg uczęszczanych, w zamiarze, jak się zdaje, uniknięcia nie tylko napaści nieprzyjaciół, lecz także natrętnych odwiedzin podróżujących swych współwyznawców. Kilka za ledwo pokoleń, mianowicie w prowincyi Algieru, stawia sobie chaty słomiane (*gurbi*).

Namiot czy chata Araba podzieloną zwykle bywa oponą na dwie części, z których w tylnej chronią się kobiety, gdy głowa ich rodziny przyjmuje odwiedziny mężczyzn; w ogólności jednak Arabki niebardzo stronią od obcych. Gospodarstwo domowe z niewielu składa się sprzętów: kilka mat uplecionych z liści palmowych, skóry baranie służące za przykrycie w czasie nocy chłodniejszych, z jaki tuzin glinianych naczyń do wody, mleka i masła, trocha narzędzi tkackich, żarna ręczne do mielenia zboża, broń wreszcie i rzędy, ot i wszystko czego potrzeba na urządzenie arabskiego namiotu.

Wieś każda zostaje pod zwierzchnictwem *szejków* dziedzicznych; 30 do 40, a miejscami 160 do 400 wsi stanowi pokolenie. Pokolenia te do nazwiska pierwotnego założyciela przydają zwykle wyrazy *Ulid* (synowie) albo *Beni* (wnuki); np. Ulid Maadi (synowie Maadego), Beni Mussa (wnuki Mojżesza). Naczelnik pokolenia zowie się *Kaid'em*, a są między nimi tacy, co mogą w razie potrzeby postawić 3—4000 jeźdźców. Kaidowie, a nawet szejkowie, zamieszkują częstokroć domy murowane, otoczone drzewami i szpalerami z kaktusów, wokoło których grupują się namioty duarów. Kaid jest sędzią najwyższym swojego pokolenia i przewodniczy na wielkich zgromadzeniach; szejk to samo czyni w obrębie swojej wioski. Oprócz tej świeckiej arystokracji każde pokolenie ma jeszcze swych dostojników duchownych, *marabutów*, których wpływ bywa nieraz ogromny. Marabut, jeśli posiada dostateczną naukę, to jest gdy umie pisać, czytać i wykladać koran, a przytém jeśli prowadzi życie przykładne, bogobojne, trząść może całym

pokoleniem; w przeciwnym razie zachowuje wprawdzie tytuł dziedziczny, ale wpływ jego upada. Znakomitsi marabuci zamieszkują miejsca odległe, gdzie zgromadzają młodzież dla nauki, a tłumy pobożnych dla odbycia wspólnej modlitwy. Samotnie te bezpiecznym są schronieniem prześladowanych wszelkiego rodzaju, którego nikt nie śmiałby naruszyć. Jakkolwiek wszyscy prawie marabuci posiadają dostatki, nie odznaczają się jednak od prostych Arabów chyba większym niechlujstwem i obszarpaniem odzieży. Kaidowie także i szeikowie tylko w broni i wrzędach, rzadko bardzo w ubiorze, zachowują pewien zbytek, który zresztą nie ma bynajmniej cechy kastowego przywileju, bo każdemu kto może wolno go naśladować. Kaidowie, jak wszyscy, prowadzą sami swe bydło na targowiska, a w domu własnoręcznie je zabijają i pieką; żony ich tkają haiki i burnusy, gotują, noszą wodę, a dzieci wespół z innemi pasą trzody.

W stosunkach towarzyskich Arabowie są ugrzecznieni. Spotkawszy się, wzajemnie rąk dotykają, a potem każdy swoją rękę podnosi do ust, wymawiając po kilka razy: *Wasz halek? Wasz hinta?* (Jak się masz? Jak ci się wiedzie?) Powitanie młodszego ze starszym nie różni się w niczym od powitania rówieśników; słynniejszych tylko marabutów całują w ręce, lecz zaraz potem przybysz siada bez ceremonii i zaczyna poufałą gawędę. W ogólności przynajmniej należy iż Araba nie olśni wielkość ziemska; nie zmruży on oka przed świetnością samego sultana, jak go nie spuści przed blaskiem jataganu.

Położenie kobiet arabskich nie jest bynajmniej tak smutnym jak przypuszczają zwykle w Europie. Prawda że ciężko pracują, prawda także iż mężowie nie są dla nich zbyt czuli; ale też rzadko słychać o czynnych znieważaniach, za które nawet prawo stanowi kary pieniężne lub rozwód. Mało który Arab korzysta z dozwolonego prawem wielożeństwa; Abd-el-Kader nawet jedną tylko ma żonę. Tyle sławiona gościnność arabska odnosi się w Algierji tylko do współziomków; obcych, szczególnie innowierców, niechętnie przyjmują po *duarach*. Za ugoszczenie nie żądają wprawdzie zapłaty, ale się krzywią gdy kto odjeżdża bez podarunku.

Jak wszyscy Mahometanie, Arabowie w wielkim mają poważaniu umarłych. Z największym narażaniem się unoszą ciała poległych z szeregów nieprzyjaciół. Widziano nieraz jeźdźca arabskiego,

jak z dwoma trupami umykał konno, nie porzucając takowych, chociaż szasery francuzkie tuż, tuż go dopędzały. Trupy grzebią troskliwie, a mogiły obmurowywają, dla uchronienia zwłok od napaści drapieżnych zwierząt. Gdzie tylko obowiązują prawa arabskie, tam człowiek zakłócający świętość ostatniego spoczynku karany bywa śmiercią. Na cmentarzu Arabowie obierają zwykle najpiękniejsze okolice; w środku zasadzają palmę, a nad grobowcem marabuta wznoszą coś nakszałt białej świątyni.

Sposób życia Arabów nadzwyczaj jest umiarkowany. Pożywienie ich, z wyjątkiem uroczystych okazji w których jadają mięso, składa się z tak zwanego *kuskusu*, niekiszzonego chleba i owoców. Przyjmując u siebie chrześcian, lubią, mimo koranu, lyknać trochę wina lub gorzałki, ale sami nie wydadzą ani grosza na napoje spirytualne. W *duarach* piją tylko wodę i mleko, a jednak ludność arabska nie ustępuje żadnej innej w sile fizycznej i duchowej.

W młodzieńczym wieku Arab pała żądzą wojenną i chciwie szuka przygód różnego rodzaju. W dojrzałej dobie staje się cichym i dumającym. Po latach trzydziestu odbywa zwykle obowiązkową pielgrzymkę do Mekki i wraca zamtąd innym zupełnie człowiekiem. Nie bierze już udziału w piasach i śpiewach, tylko poważnie przypatrywać się lubi zabawom młodych ludzi. Na starość wreszcie głównym jego zatrudnieniem czytanie koranu i modlitwa. Wiara w uciechy raju, niezmacona najlżejszym nawet cieniem powątpiewania, daje mu szczęście godne zaiste zazdrości niejednego chrześcianina niedowiarka. W ostatnich jeszcze latach życia starcy zachowują żwawość ciała i świeżość myśli, i ta nieodstępnie ich aż przed śmiercią, szybką za zwyczaj i lekką, bo rzadko kiedy będącą skutkiem choroby. Umiierającego Araba wynoszą przed namiot i kładą na derze i wezglowiu palmowym, z twarzą obróconą ku Mekce. Wtedy dzieci, wnuki i inni członkowie rodziny gromadzą się koło niego. Póki chory oddycha, głębokie panuje milczenie; ale z ostatniem jego tchnieniem następuje wyście żalosne mężczyzn, któremu wtórzają kobiety przeraźliwym krzykiem trylowym. Trzy glazy, bez napisu i ozdób, oznaczają grób zmarłego, ku któremu pozostali corocznie potem odbywają pielgrzymki.

Kabylów algierskich częstokroć mylnie w gazetach nazywają Arabami, jakkolwiek oni różnią się od tych ostatnich mową, pochodzeniem i cechami zewnętrznymi, w części nawet charakterem i obyczajami, a wspólne z nimi mają tylko zamiłowanie w życiu niezależnym i nienawiść przeciw obcym. Wielkie plemię *Kabylów* czyli *Berberów*, zamieszkujące góry pobrażne *Barbaryi* od *Maroko* do *Tripoli*, a rzadko okolice wewnętrzne, rozmaite nosi nazwiska. *Kabylów* marokańskich zowią *Amazirgami*; algierskich i tunetańskich *Kbailami*; zamieszkałych w *Tripoli* i reszcie *Barbaryi* *Tuarikami*. Szczep to zapewne mieszany, powstały z połączenia wychodźców numidyjskich, punickich, rzymskich, wandalskich i może arabskich. W *Algierii* *Kabylowie* bywają mali, w *Maroko* przeciwnie wysocy i silni. Między *Budzią* a *Boną* mieszkają pokolenia cery brudno-żółtej, podobne bardzo do południowych Europejczyków. W górach *Aura* bywają jaśni blondyni, z cerą białą i żywym rumieńcem, może potomkowie *Wandalów*. Pokolenie *Niardy*, najliczniejsze ze wszystkich, nie strzyże włosów jak reszta, ale nosi je długie.

Kabylowie są narodem rolniczym, stale osiadłym. Pokolenia ich podlegają władzy *kaidów*, a w części sądowej *talebów* (uczonych); najwyższą godność duchowną, jak u *Arabów*, piastują *marabuci*. Pod względem przemysłowym *Kabylowie* wyżej stoją od *Arabów*, bo znają się na rzemiosłach, umieją wyrabiać broń, proch strzelniczy, stawiać domy dość zgrabne, a nawet fałszywą bić monetę. W ubiorze ich, zawsze brudnym i obszarpanym, *kandura* odpowiada arabskiemu *haikowi*. Łydki i stopy zostawiają obnażone, pod podeszwy tylko przywiązując kawał skóry baranięj. Włosy w ogólności strzygą krótko; zarost mają słaby. Rysy ich pozbawione są wyrazu szlachetności cechującej oblicze *Arabów* i *Maurów*, a z małych oczu błyska zawziętość i nienawiść. Mówiąc wyszczerzają zęby, białe i ostre jak u *szakala*.

Z powodu niesłychanego ubóstwa znaczna część młodzieży *kabylskiej* wynajmuje się po miastach za wyrobników, dopóki nie zarobią tyle, aby broń sobie kupić i pojąć żonę. W samym *Algierze* takich wyrobników bywa zawsze do 4,000. Sypiają oni pod gołym niebem, żyją wodą i chlebem niekiszonym, a uciulawszy z jakie 100 *budszów* (blisko 45 r. sr.), wracają w swoje góry, gdzie pędzą życie

niepodległe. Skromny bardzo w życzeniach, *Kabyl* gdy posiada żonę, chatę, strzelbę, *jatagan*, kilka kóz, muła i psa, niezego więcej nie pragnie. Żywot jego niezmiernie jednostajny: wstawszy ze świtem modli się, pracuje kilka godzin w polu, a w czasie skwaru leniwie na ziemi wyciągnięty, spogląda na morze lub równinę, wygrywając niekiedy na drewnianej *fujarce* jednotonną nutę. Kto oprócz wymienionych przedmiotów posiada jeszcze domek murowany i konia, uchodzi za najszcześliwszego z śmiertelników. Spokojność ich tradycyjną kiedy niekiedy tylko przerywa wojna, a w tej *Kabylowie* uchodzili zawsze i uchodzą za fanatycznych, krwi chciwych i przeniewierczych barbarzyńców.

Maurowie, najdawniejsi mieszkańcy *Barbaryi* zachodniej, składają mniej więcej dziesiątą część całej ludności algierskiej. Są oni dobrze zbudowani, lecz nie tak wysokiego wzrostu jak *Arabowie*, a przytęm tuszy, prawie bez wyjątku, pomiernej. Rysy ich piękne, szlachetne, ale mało wyrażają energii. Płeć w wieku dziecięcym biała i różowa; w dojrzałym rumieniec ginie, a cera przechodzi w lekko oliwkową. Włosy, strzyżone jak u *Arabów*, z pozostawieniem małego tylko kosmyka na ciemieniu, są czarne, podobnie jak oczy, a rysy twarzy mają wyraz łagodności i tęsknoty, połączonej u kobiet z ponętnością mieszkanek *Wschodu*. Strój *maurytański*, podobny do *staro-tureckiego*, składa się z kolorowego zawoju, z suto wyszywanego *kaftana*, z szerokich do kolan sięgających spodni i z pasa wełnianego. Prócz tego *Maurowie*, jak *Araby*, miéwają białe albo czarne *burnusy*, które w czasie pogodnym noszą zwykle zarzucone na rękę, nie wdziéwając ich jak w slotę. Kobiety na ulicy od stóp do głowy ubrane są białą; długie majtki muślinowe lub płócienne schodzą aż do stopy; resztę ciała pokrywa *haik*, a twarz obwiązują białymi chustkami, oczy tylko zostawiając niezastłonięte. Zupełnie inny jest ubiór ich domowy; w nim ony rozwijają cały przepych i całą oryginalność stroju *wschodniego*. Na głowie noszą zwykle *piramidalny* zawój z plecionego srebra, zwany *sarmah*; wyższą część ciała okrywa jedwabny bogato haftowany *kaftanik* z krótkimi rękawami, koloru zwykle białego, sięgający do kolan; łydki najczęściej nagie, a drobne stopy odziane półpantofelkami dziwnego kształtu i dość niezgrabnej roboty, lecz mimo to kapiąciami od złota i różnych wyszywań. Ze wszyst-

kich szczepów algierskich Maurowie, zamieszkujący oddawna miasta, zwłaszcza portowe, najczęściej mają oświaty. Wielu z nich trudni się handlem kramarskim, i ci dzień cały, podkurczywszy nogi, przesiadują przed sklepami, kurząc tytuń z długiego cybucha i zapijając kawę, dopóki nie zjawi się kupiec. Najweselszemi i najrozmowniejszemi Maurowie bywają w kawiarniach, których w samym Algierze współziomkowie ich trzymają do sześćdziesiąciu.

Turcy i ich potomki *Kuruglowie*, bardzo dziś nieliczni, mieszkają tylko w Konstantynie i kilku miastach nadbrzeżnych. Postawa ich jest męzka, rysy piękne lecz mniej wyraziste od arabskich, a z oczu błyska srogość i zawziętość. Ubiór mniej więcej odpowiada maurytańskiemu, tylko bardziej upstrzony: szczególnie Kuruglowie dbają niezmiernie o strój bogaty i zgrabny. Z charakteru i obyczajów podobni dosyć do Turków wschodnich, tylko że mniej fanatyczni, a nawet często zdolni do czynów wspaniałomyślnych względem innowierców.

Żydzi w Algierzy sposobem życia najwięcej zbliżają się do Maurów. Mieszkają w skromnych domkach budowy maurytańskiej, lubią kuskusu i kawę, a nadewszystko gotówkę. Jak wszędzie, gardzą oni rolnictwem, i tylko pomiędzy Kabylami w górach Konstantyny jest trocha Żydów gospodarzy.

Negrowie po większej części pochodzą z zachodniego Sudanu, i wszędzie niemal, gdzie nie sięgnęło panowanie Francuzów, żyją w stanie niewolnictwa.

Najmniej licznymi są *Mozabici*, według rabinów żydowskich potomkowie Moabitów, wyznający dziś religią Mahometa. Plemię to łagodne, uczciwe, zajęte najbardziej ogrodnictwem, a często także handlem i przemysłem.

Załączona litografia wyobraża ubiory krajowców najczęściej w ulicach Algieru napotykanie: na lewo niewolnica z Sudanu; przy niej gęsto osłonięta Maurytanka; dalej kaid czyli sędzia maurytański; na prawo młoda Arabka z naczyniem do noszenia wody.

O INSTRUMENTACH SMYCZKOWYCH.

PRZEZ FRYDERYKA KANIGOWSKIEGO.

Pomiędzy instrumentami smyczkowymi niezaprzeczenie skrzypce najpiękniejsze zajmują miejsce. Najdawniej upowszechnione i doprowadzone do stopnia wysokiej doskonałości, znalazły one przyjęcie tak w arystokratycznych pałacach jak i w chatkach, bo cały świat im to przyznał, że królują nad innymi instrumentami muzycznymi. Złożone z kilku deszczulek, nieobciążone żadnym innym mechanizmem jak czterema kołkami, użytymi do wyprężenia na nich takiej samej liczby strun, skrzypce pod ręką ludzką wydają tony, przed którymi wydobyte z najskomplikowańszych i najdoskonalszych instrumentów skromnie czoło uchylić muszą. Instrument ten do ludzkiego głosu dobrze wykształconego najbardziej jest zbliżony; co więcej, bogactwo jego nie ogranicza się na niezrównanej

piękności dźwięku; jest bowiem zdolny pod ręką mistrza podwójne, potrójne tony razem wydawać, a to z największą czystością intonacji, jak niemniej posiada możebność każdy ton od najdelikatniejszego piano wznieść do najpotężniejszej mocy, i tak samo go przeprowadzić aż w sfery cichości.

O ile skrzypce pozyskały powszechną wziętość, o tyle w badaczu natury mimowolny hołd wzbudzić muszą swoją cudowną doskonałością. Nieśmiałą myślą zaczyna on śledzić powód takowej; lecz jeśli mu wyższe nauki nie otworzą swoich podwoi i długoletnie doświadczenia pojęć nie rozświecą, nie ujrzy w skrzypcach nic więcej nad deszczulki, kolki, i cztery struny.

Przedewszystkiém należy nam poznać części wchodzące w skład tego instrumentu. Są one na-

stępujące: spodnia deka czyli *spód*; na nim opiera się sześć pieńków, z których jeden, *górnym* zwany, osadzony w miejscu gdzie szyjka skrzynki dotyka, drugi w przeciwnym końcu, gdzie przyczepiają się struny; pozostałe zaś cztery zowią się *narożnikowymi* pieńkami.

Do tych sześciu pieńków przyklejone są: sześć deszczulek podług krawędzi instrumentu wyginających, które stanowią *boki*; przy tych bokach wewnątrz instrumentu przykleja się dwanaście listewek zwanych obwódkami. Następną część stanowi wierzchnia *deka* czyli wierzchnia *dźwiękowa*; w niej wyrżnięte są *esy*, do niej przyklejona *belka*. Tak w wierzchu dźwiękowym jak w spodzie osadza się dwanaście fornirów, rozciągniętych równolegle od krawędzi (1). Szyjka składa się z *rączki*, *skrzynki* i *ślimaka*, którego czasem zastępowano główkami aniołków, lewków i t. p.

W skrzynce szyjki mieszczą się cztery kołki; do rączki jej przyklejony jest *gryf*, w końcu tegoż od strony kołków znajduje się *prożek górny*. W przeciwnym końcu instrumentu, gdzie struny do tegoż przyczepione, przy zakończeniu wierzchniej deki znajduje się *dolny prożek*. Pod nim w dolnym pieńku w połowie wysokości boków mieści się *czopek*, do którego za pomocą struny przyczepiona *plóźka*, w niej zaś osadza się cztery struny, naciągnięte przez powyższe kołki, a spoczywające na *podstawku* i na górnym prożku. Wewnątrz skrzynki skrzypcowej umieszczony cienki cylinder, dotykający swemi końcami spodu i wierzchu dźwiękowego, nazywa się *duszą*. Z takich to części składa się każdy instrument smyczkowy.

Wynalazek tych instrumentów sięga odległych wieków. Jedni przypisują go Rzymianom; inni wywodzą go aż z Egiptu. Nie upierając się ani za jednym ani za drugim podaniem, przytaczam to tylko, co z pewnością wiadomo, że z Włoch przed kilkaset laty instrument ten wszedł na widownię muzyczną, a wszedł już z taką doskonałością, że do dziś dnia go nie poprawiono.

(1) Fornirami nazywają się cienkie paski drzewa, złożone z trzech części, to jest z dwóch czarnych, pomiędzy którymi mieści się pasek biały. Utrzymują niektórzy że fornir przy krawędzi osadzony jest tylko dla ozdoby; lecz robiący instrumenta wie iż od dokładności ich osadzenia, jak niemniej od właściwego umieszczenia, dobroć tonu instrumentu zależy.

Najwcześniej dobre skrzypce okazały się w mieście Brescia, w północnych Włoszech blisko jeziora Como leżącego. Najdawniejszemi fabrykantami którzy kształt ten jaki się im dziś nadaje przyjęli, byli: Peregrino Zanetto, Gaspar da Salo, Gio Paolo Maggini, oprócz innych w Brescii pracujących, a z nich Gio Paolo Magginiemu należy się pierwszeństwo w bresciańskiej szkole.

Fabrykanci w ogólności mają zwyczaj w instrumenta własnej roboty wklejać kartki (etykiety); jak niemniej takie, które w ich pracowni przez pomocników zostały zrobione, oznaczać iż wykonane pod ich dozorem. Na tychże kartkach zwykli oni umieszczać rok w którym instrument wykonany został; ale na kartkach instrumentów pochodzących z Brescii niema wzmianki o roku ich budowania, i to tylko pewna, że pochodzą z XVI wieku.

Andrzej Amati, fabrykant nożów i instrumentów chirurgicznych w Kremonie, wydając córkę swoją za Magginię, oddał zarazem dwóch swoich synów, Antoniego i Hieronima, do nauki zięciowi. Po wykształceniu się w obranym zawodzie, na początku XVII wieku zaczęli oni pracować w Kremonie. Antoniego Amatego instrumenta pokazują się z roku 1603, a roku 1606 znajdujemy Antoniego i Hieronima braci Amatic, którzy w tym czasie wspólnie pracowali.

Jeśli bresciańskie instrumenta odznaczały się mało wznoszącą się wypukłością, która swoje okrągłości oniemal kończyła przy krawędzi w miejscu gdzie fornir osadzony, to bracia Amati robili instrumenta w których wypukłość wyższa mieściła się w środku deki, zaś ku krawędziom wyrabiali wklęsłość często dość znaczną. Breściańska szkoła odznaczała nadto swoje instrumenta przy szyjkach rzeźbą, niemniej osadzeniem podwójnych fornirów, tak aby pomiędzy nimi fryzyk drzewa był widzialnym; oprócz tego na powierzchni spodu inkrustowała szachownice z fornirów, lub inne podług rysunku ozdoby, co nawet czasem na wierzchniej dece widzieć się daje. Amатовie zaniechali tych ozdób, a całą usilność obrócili na czyste odrobienie instrumentu. Ślimaki stanowiące zakończenie szyjki już były przez Magginię przyjęte, jak niemniej okazuje się iż instrumenta tegoż autora, nie mające wzwyż wspomnianych ozdób, (oprócz pojedynczego forniru), lepsze są od innych

ozdobami obciążonych; utrzymują nawet, iż płaskorzeźba przy skrzynce szyjki, równie jak rzeźby do spodu przyklejane, czynią uszczerbek piękności tonu instrumentu.

W tymto czasie zaczyna się rozwój fabrykacji rzniętych instrumentów. Jakub Stajner z Mikolajem Amatim synem Hieronima, którzy jednocześnie uczyli się u braci Amatic, jako też uczniowie Mikołaja Amatego: Jan Chrzyciel Rogerius i Andrzej Guarneri, tworzą nową szkołę budowy instrumentów; szkole zaś kremońskiej Antoni Stradivarius, Józef Guarneri i Piotr Guarneri (starszy) przez zaprowadzenie ścisłych zasad budowy, prawideł (1), jak niemniej powierzchniowego kształtu, nadali stopień rozwoju, którego przez półtora lat naruszyć nie zdołano.

Z kremońskiej szkoły odznacza się głównie Antoni Stradivarius. Widziałem oryginalne instrumenta jego roboty z prawdziwymi kartkami od roku 1680 do roku 1734, a w jednych oryginalnych skrzypcach jego znalazłem kartkę z roku 1735, lecz ta była podrobiona. Prace tego wielkiego mistrza są tak odznaczające się od wszelkich innych, zarówno dawnych jak dzisiejszych, iż dosyć obejrzyć *rozek*, *es* lub *ślimak*, aby natychmiast poznać że wykonane zostały dłonią Stradivarego. Ton jego instrumentów, (jeśli przez złą reperacją nie zostały nadwężone) łączy w sobie śpiewność, okrągłość i siłę, wspaniale roznosi się po największym lokalu i panuje nad wszystkimi dźwiękami do składu muzyki wchodzącymi. Słusznie więc na pomniku jego wyryte są wyrazy: „Był on nietylko w swojej ojczyźnie, lecz na całej kuli ziemskiej najdoskonalszym w swojej sztuce.“

Najlepszym dowodem ile ozdoby instrumentowi smyczkowemu w tonie przeszkadzają, są instrumenta Stradivarego, które, choć nie mają na spodzie ani wierzchniej deki inskrustacyj, jak breściańskie, tylko po bokach i przy szyjce, są jednak gorsze od czysto odrobionych tegoż autora, mających pojedynczy fornir, pomimo że pierwsze zrobione są z doborowego drzewa z największą starannością, pomimo że znajdujemy w nich zachowane wszelkie prawidła budowy tego instrumentu w takim samym stopniu jak w drugich.

(1) *Zasadą* budowy jest oznaczenie wielkości wymiarów i kształtu, a *prawidłem* nadawanie tym częściom możności wydobywania tonów.

Nazwisko Guarneri niemniej znane jak Stradivarego w historyi instrumentów smyczkowych. Nie było rodziny włoskiej w którejby tyle osób poświęcało się robieniu skrzypców jak w rodzie Guarnerich; prace ich okazują się w XVII wieku i przechodzą do połowy XVIII. Najstarszym jest Andrzej Guarneri, uczeń, jak wyżej nadmieniałem, Mikołaja Amatego. Synowie jego i wnuki poświęcali się temuż zawodowi, a nawet znajdujęm kołbię z ich rodziny robiącą skrzypce; byłato Katarzyna Guarneri, pracująca w XVIII wieku. Z instrumentów po nich pozostałych okazuje się, iż włącznie z Katarzyną sześć osób tego nazwiska z fabrykacji instrumentów jest znanych. Na czele ich stoi Józef Guarneri syn Andrzeja, pracujący przy końcu XVII i na początku XVIII wieku. Instrumenta jego są tak znakomite, iż w piękności głosu niemal o pierwszeństwo walczą z pracami Stradivarego, a w sile niekiedy je przewyższają. Najlepszym dowodem doskonałości instrumentów Józefa Guarneriego jest ta okoliczność, że Paganini, ów władzca gry skrzypcowej, na tego autora instrumentie koncerta swoje grywał, (1) podobnie jak wielki nasz mistrz Karol Lipiński.

Z ośmdziesięciu Włochów, poświęcających się wtedy fabrykacji skrzypiec, wielu, trzymając się zasad budowy autorów klasycznych, wypuszczało na świat dobre instrumenta. Po nich następuje upadek nietylko szkoły kremońskiej, ale w ogóle robienia dobrych instrumentów smyczkowych. Miejsce dawniej powłoki werniksowej zaczyna zastępować nowo wynaleziony lakier spirytusowy, a to

(1) Nadmienić tu wypada że Paganini posiadał dobre skrzypce Stradivarego, a przecież koncerta swoje wykonywał na instrumencie Guarneriego. Powodem do tego było, jak sam przyznawał, że od dawnych lat na nim grywał i do niego się przyzwyczał, a nadto że instrument ten wszelkim wymaganiom się poddawał. Skrzypce Józefa Guarneriego, na których Paganini grywał swoje koncerty, po śmierci jego zapisem przeszły na własność jego rodzinnego miasta Genui, z warunkiem aby na zawsze tam zachowane zostały; wszelkie więc wieści gazeciarskie o zapisaniu ich temu lub owemu są fałszywe. Znalazł się wprawdzie kupiec genueński, który korzystając z łatwości podróży Anglika, sprzedał mu skrzypce jakoby Paganiniego za 30,000 lirów, lecz kiedy Anglik ze skarbem swoim przybył do Paryża, tameczni znawcy wyśmieli go, bo nabył jakąś kopia podrobioną. Z wytoczonego później procesu pokazało się że skrzypce Guarneri Paganiniego nigdy Genui nie opuściły.

z powodu że dla nadania tamtej potrzeba do dwóch miesięcy czasu, i tylko w porze letniej robota daje się uskutecznić; spirytusowym zaś lakierem za dwa, najdalej za trzy dni i w każdej porze roku instrument powleczonym być może.

Łatwo pojąć iż tak odmienne wykończanie instrumentu nie mogło pozostać bez wpływu na jego dobroć. Jakoż skrzypce włoskie niepowleczone werniksem mają gorszy ton od werniksowanych, klassyczne zaś instrumenta, nawet najpięrszego autora Stradivarego, tracą piękny swój dźwięk, gdy spirytusowym lakierem zostaną powleczone (1).

Wspomniony wyżej Jakub Stajner, uczeń braci Amatic, werniksując swoje instrumenta, przez nadanie im wyższych wypukłości i kształtne ich rozprawianie, nadał im zarazem ton, który okazywał się lepszym od innych równocześnie robionych. Mieszkając we wsi Absam niedaleko Insbruku, przez długi czas nieznan, znalazł wreszcie opiekuna w hrabi Trautmansdorf, który kupując od niego skrzypce zapłacił mu znaczną sumę, i nieprzestając na tém wyznaczył mu dożywocie. Przy takiej pomocy mógł Stajner prace swoje starannie wykonywać i stać się wzorem dla współziomków. Instrumenta jego nacechowane są oryginalną klassycnością; ale wyższe wypukłości, nadając nowemu instrumentowi ton przenikliwy (mordant, durchdringend), tracą z czasem przez parcie wyprężonych strun na elastyczności, i przeto nie nabierają siły i rozległości pięknego tonu. Stajner nie mógł tego przewidzieć; jednakże okoliczność ta stała się powodem iż klassycy kremońscy drugiej połowy XVIIIgo wieku, jak już nadmieniałem, wzięli się do umiarkowanych wypukłości, (nie powtarzając bresciańskich) które powoli nabierają przez parcie coraz więcej elastyczności, przez co ton instrumentów coraz mocniejszym i piękniejszym się stawał; i to może służyć za dowód, iż bezzasadnie twierdzono jakoby głos li tylko poprawiał się przez starość drzewa.

W wielu stolicach i większych miastach niemieckich, rozmaici fabrykanci odznaczali się akuratno-

ścią w wyrabianiu instrumentów smyczkowych, trzymając się wzorów budowy Stajnera. Jednakże, powlekając je w ogóle spirytusowym lakierem, nie pozostawili po sobie równie dobrych instrumentów. Są wprawdzie pomiędzy nimi i tacy co werniksowali swoje instrumenta, lecz mieszając do werniksu bursztyn, ujęli powłocę własność udzielania drzewu giętkości i elastyczności. Inni nie trzymali się ściśle wyższych wypukłości i wykrawania esów właściwego instrumentom Stajnera. Andrzej Ferdynand Mayer, pracujący w Salzburgu w pierwszej połowie XVIIIgo wieku, uczeń Guarnerich, powlekał swoje instrumenta włoskim werniksem, trzymając się zasad budowy swego nauczyciela do takiego stopnia, że jego instrumenta w ogóle sprzedawane są za wyroby Guarnerich. Przy końcu wreszcie zeszłego i na początku teraźniejszego stulecia, fabrykanci niemieccy, przekonawszy się o wyższości włoskiej szkoły, odstąpili od swego patryarchy i zbliżyli się ile możności do systemu kremońskiego.

We Francyi fabrykanci instrumentów nie trzymali się zbytnej wypukłości; wahali się jednak w nadaniu umiarkowanych, a następnie przeszli do wzorów szkoły kremońskiej, jakkolwiek i między nimi zjawiają się instrumenta podług szkoły bresciańskiej. Francuzcy fabrykanci dokładali wszelkich usiłowań ażeby ich wyroby wyrównywały najdoskonalszym włoskim; ale gdy ich starań skutek nie uwieńczył, wpadli na myśl wystawiania drzewa na wysoki stopień gorąca w piecach lub w przeciągu pary, przez co chcieli temu drzewu nadać starość; gdyż, podług mniemania ówczesnego, doskonały ton włoskich instrumentów od starości drzewa miał zależeć. Doświadczenie jednak okazało, że podobne postępowanie z drzewem odejmuje mu koniecznie potrzebną elastyczność.

Przy końcu zeszłego wieku znalazł się we Francyi fabrykant nazwiskiem Chanot, który podług swych ogłoszeń, czy może i z przekonania, oprócz nowego kształtu instrumentów, nadanie onym wyższej doskonałości obiecywał. Byłoto coś w rodzaju skrzypców, naksztalt dawniej gitary włoskiej (u nas zwaną hiszpańską). Wielkość równała się zwycajnym skrzypcom, lecz cztery rożki przy esach umieszczone, które budowę instrumentu wzmacniają i w połączeniu z górnym i dolnym pieńkiem tan-

(1) Szczegółowe objaśnienie w tym przedmiocie zawiera artykuł Biblioteki Warszawskiej z r. 1853 w zeszytce majowym na stronie 380 p. t. „Krótka wiadomość o przygotowanym do druku dziełku przez Fryderyka Kanigowskiego „O skrzypcach i innych instrumentach strunowych.“

gentalne (styczne) drgania w instrumencie wywołują, przy téj budowie nie mają miejsca.

Widziałem we Włoszech stary i nieużywany instrument takiegoż kształtu, z kartką Sufano de Fatis z 1535 r. Być może iż wynalazca francuzki podobny instrument gdzie dostrzegł, być może iż odmiana ta była rzeczywiście jego pomysłem; jakkolwiek bądź, lubo mu sławy nie przyniosła, ale zato sporo pieniędzy. Będąc fabrykantem średniej zamożności, narobił znaczny zapas takich instrumentów, następnie zaprosił artystów z głośną w świecie muzycznym reputacją na spróbowanie swego wynalazku, i nie wiadomo czy wmówił w nich rzeczywiście znamienitą wyższość nad włoskimi nawet instrumentami, czy téż innemi dowodami potrafił na swoją stronę ich skłonić, dość na tém że najszumniejsze ogłoszenia o niezrównanym wynalazku rozeszły się w świecie przez gazety. Fabrykant swoje instrumenta bardzo dobrze sprzedał i z zebranych pieniędzy w Paryżu dom piękny nabył; ale biedni grający, nie widząc żeby instrumenta nawet z czasem wyrównywały włoskim, jak gazety to natychmiastowo przyrzekały, lecz przeciwnie, dostrzegając że coraz gorszymi się stają, porzucili je nareszcie, i po dziesięciu już latach nikt na nich nie grał.

Często w gazetach znajdujemy doniesienia o nowo wynalezionych instrumentach, które jednakże nas nie dochodzą. Być może iż gdzieś podobało się komuś zamiast czterech strun nawiązać pięć, innemu zamiast wiolonczelli zrobić instrument środkujący pomiędzy wiolonczellą a altówką; ale wszystkie te pomysły nie mają żywotności potrzebnej na przetrwanie wieków, co pierwszym jest warunkiem prawdziwego wynalazku. Wyrabiano przy końcu XVIgo i na początku XVIIgo wieku instrumenta rozmaitej wielkości, u których oprócz nawiązanych strun na podstawku, inne na spodniej części podstawka umieszczano, a nawet struny przez skrzynkę instrumentu przeprowadzano, lub oprócz strun na gryfie umieszczonych dawano inne pod wydrążonym gryfem przechodzące; lecz wszystkie te pomysły nie zyskały przyszłości; li tylko kwartet prosty utrzymał się, a to z powodu iż budowa skrzypców i wiolonczelli opiera się rzeczywiście na zasadach naukowych. Gdyby te nowowynalezione instrumenta miały jakąbądź wartość, toby na wystawie paryzkiej powinny się być ukazać i pewno zostałyby ocenione. Większość bowiem

tegorocznych francuzkich fabrykantów, porzucając szarlataneryą i powyżej wspomniane przygotowywania drzewa, z całą gorliwością chwyciła się wzorów szkoły kremońskiej, i nie dozwala upaść sztuce robienia instrumentów, a zarazem czyni zabiegi w odkryciu zatraconego werniksu: na dowód czego zamieszczam tu tłumaczenie recenzji o wystawie paryzkiej z 1849 roku z Nr. 337 dziennika *L'illustration*, zawierającą tylko wzmiankę o olbrzymiej wielkości kontrabasie p. Villeaume, któremu niżej obszerniejszy poświęcimy rozbiór.

„Wykonywanie instrumentów strunowych, których ton za pomocą smyczka wydobywa się, nie przedstawia i nie może oddawna przedstawiać nic odznaczającego się pod względem wynalazku. Kształt skrzypców jaki ostatecznie im nadano od końca XVIgo wieku, jest oczywiście najprostszy i najpiękniejszy jaki sobie wyobrazić można. Wszelkie nowości późniejsze, pomimo szumnych rozumowań, wywnioskowanych z mniemanego rozwiązania pewnych zagadnień akustycznych, spełzły bezskutecznie. Dlatego téż nasi najlepsi fabrykanci skrzypców ograniczali się na nadaniu instrumentom swoim właściwego kształtu, z najściślejszą dokładnością naśladowując wzory dawnych mistrzów, i usiłowali z całą gorliwością dojść nieocenionej tajemnicy tego pięknego werniksu, podziwianego na niektórych instrumentach kremońskich, a który zdaje się być zatraconym. Fabrykanci nasi tegocześni po większej części tak doskonale naśladowali drogocenne wzory skrzypców różnych mistrzów włoskich, że najdoświadczeńszy znawca często nie zdołał rozróżnić kopii od oryginału. Złudzenie niekiedy dochodziło do tego stopnia, że płacono 3,000 franków za skrzypce zrobione przez fabrykanta tegoczesnego i niedawno sprzedane przez niego za 300 franków. Nie możemy pominąć w tym ogólnym przeglądzie tegorocznej wystawy instrumentu muzycznego prawdziwie ekscentrycznej fabrykacji, który wszyscy zauważać musieli wraz z nami (gdyż niepodobieństwem jest ażeby ktokolwiek bądź pominął go wzrokiem). Chcemy tu mówić o potwornym (*monstre*) kontrabasie Villeaume'a.“

Z tego wyjątku z artykułu o wystawie paryzkiej czytelnik poweźmie wyobrażenie o stanie przemysłowości i zapatrywaniu się na postęp fabrykacji instrumentów smyczkowych we Francyi, i zarazem

przekonanie, że oprócz pomienionego kontrabasu Villeaume'a żaden inny wynalazek nie miał tam miejsca.

W najnowszych czasach i u nas zjawilo się podobne ogłoszenie, a lubo daleki jestem od toczenia jakiejbądź polemiki, gdy jednak założyłem sobie zebrać wszystko cokolwiek dotyczy instrumentów smyczkowych, nie mogę pominąć artykułu w Kurjerze Warszawskim z d. 29 listop. (11 grud.) 1854 roku, Nr. 326 następującej osnowy: „Wspomnieliśmy onegdaj o nowo wynalezionym instrumencie pana Apolinarego Kąskiego w Petersburgu; dziś więc dodaję następujące o tém szczegóły. Instrument ten zyskał nazwę *pentakord*, gdyż jest to rodzaj *skrzypców altówki*, o pięciu strunach. Początkowo wpadł już na tę myśl J. Senkowski, który w chwilach wolnych zajmował się oddawna ulepszeniem fortepianu, i doszedł do nader ważnych rezultatów. Słyszano już nieraz grę na fortepianie Senkowskiego, z towarzyszeniem muzyki duchownej (tak!), a co jakoby obecnie odkryto w Niemczech pod nazwą *harmonikonu*. Instrument Kąskiego jest prawdziwie czarującym. Zadziwia w nim szczególnie zlanie głosu sopranowego, czyli dyszkantu, z kontr-altowym lub też altowym i basowemi tonami. Stosownie do życzeń dyrekcji teatrów w Petersburgu, p. Apolinary Kąski grywa teraz bardzo często na tym instrumencie sola podczas baletów dawanych na tamtejszej scenie.“

Każdy postęp, a mianowicie w sztuce, jest pożądanym dla myślących ludzi. Te kilka słów które Kurjer Warszawski poświęcił wynalazkowi czy odmianie instrumentu okazują, że rzecz idzie albo o większe skrzypce, albo o mniejszą altówkę, z nawiązanemi pięcią strunami zamiast czterech. Myśl ta oddawna gnieździła się w Petersburgu, i może przez pana Senkowskiego jeszcze przed 1837 rokiem podaną była wirtuozowi Artôt. Przynajmniej to pewna, że Artôt przyjął ją w owym czasie z zapalem, i kazał swoje skrzypce (grand patron) w ten sposób przerobić. Byłto dobry instrument, który otrzymał w 13 roku życia swego od konserwatorium paryzkiego jako pierwszą nagrodę, wielkości takiej, jaką skrzypcom ostatecznie nadać można. Artôt na tym pięciostrunnym instrumencie przez długi czas grywał, ale przekonawszy się iż skutkiem takiego przekształcenia niskie tony jego były słabe, szorstkie i ciężko odpowiadające, wysokim

zaś brakło na świetnej czystości, zarzucił pomysł i kazał skrzypce urządzić na dawny sposób.

Niemalą jest zasługą p. Apol. Kąskiego, że czas swój i mozolną pracę poświęca dla odkryć, i wierzymy iż znamienity talent jego może nadać temu instrumentowi coś czarującego; lecz gdyby w jednej massie powietrza, jaka jest zawarta w skrzynce instrumentu smyczkowego, znaleźć zdołano podstawę dla sopranu, altu, i basu, toby nie robiono tak rozmaitej wielkości instrumentów, którym bardzo trudno nadać właściwą masę powietrza, jakiej potrzeba skrzypcom do wydania sopranowego, altowce do altowego, a wiolonczelli do basowego głosu, i zbudować je w ten sposób żeby wszystkie tony czysto wydawały; bo czystość tonu instrumentu smyczkowego, oprócz wielkości desek, głównie od masy powietrza w nim zawartej zależy. Jeżeli zatem ten pięciostrunowy instrument ma jaką wartość, to czas najlepiej ją ustali; albowiem byłoby to prawdziwą nadzwyczajnością nadać jednemu muzycznemu przedmiotowi charakter sopranu, kontraltu, i basu, czego nawet od głosu ludzkiego nikt nieśmiałyby żądać. Są wprawdzie instrumenta, jak arfa, fortepian, które od basowych tonów przechodzą do najwyższych sopranowych; każdy jednak przyzna iż tony tych instrumentów nie odzywają się charakterem dźwięku basowego, altowego i sopranowego głosu. W organach zato charakter każdego głosu rzeczywiście się mieści; lecz dla wydania takowego umieszczono tam osobny rząd piszczałek zwany *registrem*, w którym przez nadanie piszczalkom stósownej objętości cechuje się charakter każdego głosu. Znajduję więc w organie głos skrzypiec, głos altówki, głos wiolonczelli i t. d. W instrumentach zaś smyczkowych masa powietrza taką samą właśnie odgrywa rolę, jak w organach objętość piszczalki.

Nieznany ogółowi powód dobroci skrzypców wszędzie dawał pochop do zabawnych i nawet dziwacznych pomysłów, a nigdzie podobno więcej jak u nas. Jedni up. dowodzą że chcąc zrobić dobre skrzypce, trzeba brać drzewo z belek starego kościoła; inni miechy i piszczalki ze starych organów na ten cel koniecznie przeznaczają; niektórzy mają robione skrzypce z dwustuletnich belek rozwalonych domów ze starego miasta. Utrzymywano że pewien artysta grający koncerta miał instrument wyrobiony kozikiem chłopa z gór kar-

packich, a nareszcie, na domiar niedorzeczności, chciało się komuś poruszyć stare trumny z pieczar. Czytelnik sądzi może iż mówię o przesądach upowszechnionych w zeszłych wiekach; ale na dowód że takowe są tegoczesne, przytaczam ustęp z korespondencyi z Płocka, umieszczonej w Dzienniku Warszawskim z d. 27 paźd. (8 listop.) 1854 roku, Nr. 294. Autor jój, wspomniawszy o koncercie dawany w tém mieście przez p. Ładę, przytacza słowa sąsiada swego w krześle teatralném, (którego nazywa *wtajemniczonym w zasady muzyki*), objaśniające tajemnicę dobroci skrzypiec w sposób następujący: „Wiele już lat temu w Kremonie znaleziono w pieczarach jakiegoś starego kościoła znaczną ilość nadzwyczaj dobrze wyschniętych trumien ze świerkowego wyciosanych drzewa. Ponieważ takowe leżały bezużytecznie, wystawiono je na sprzedaż. Kupił je za pomierną cenę jakiś fabrykant skrzypiec, podobno Stradivarius, i ów materiał drzewny, doskonale wyschnięty, nie mający już w sobie żadnych żywicznych części, użył na skrzypce. Okazały się ony lepszymi od innych, odznaczały się szczególnie czystością echa, a fabrykant doskonale na nich zrobił interesa. Skrzypce jego nabrały rozgłosu; zaczęto je poszukiwać i ztąd pochodzi owa radość każdego skrzypka, kiedy może przypadkiem dzisiaj znaleźć skrzypce Stradivarius. Rodzina Paganiniego chowa po nim takie skrzypce na pamiątkę. Suchość drzewa, a tém samym i dawność jego, jest więc całym sekretem dobroci starych skrzypiec. Cała zaś doskonałość smyczka zawisła na doborze włosia. Posługują ku temu ogony końskie. Jeżeli są wzięte z egzemplarza *generis masculini* to są za twarde, jeżeli z *generis feminini*, to są za miękkie i niejednostajne.“

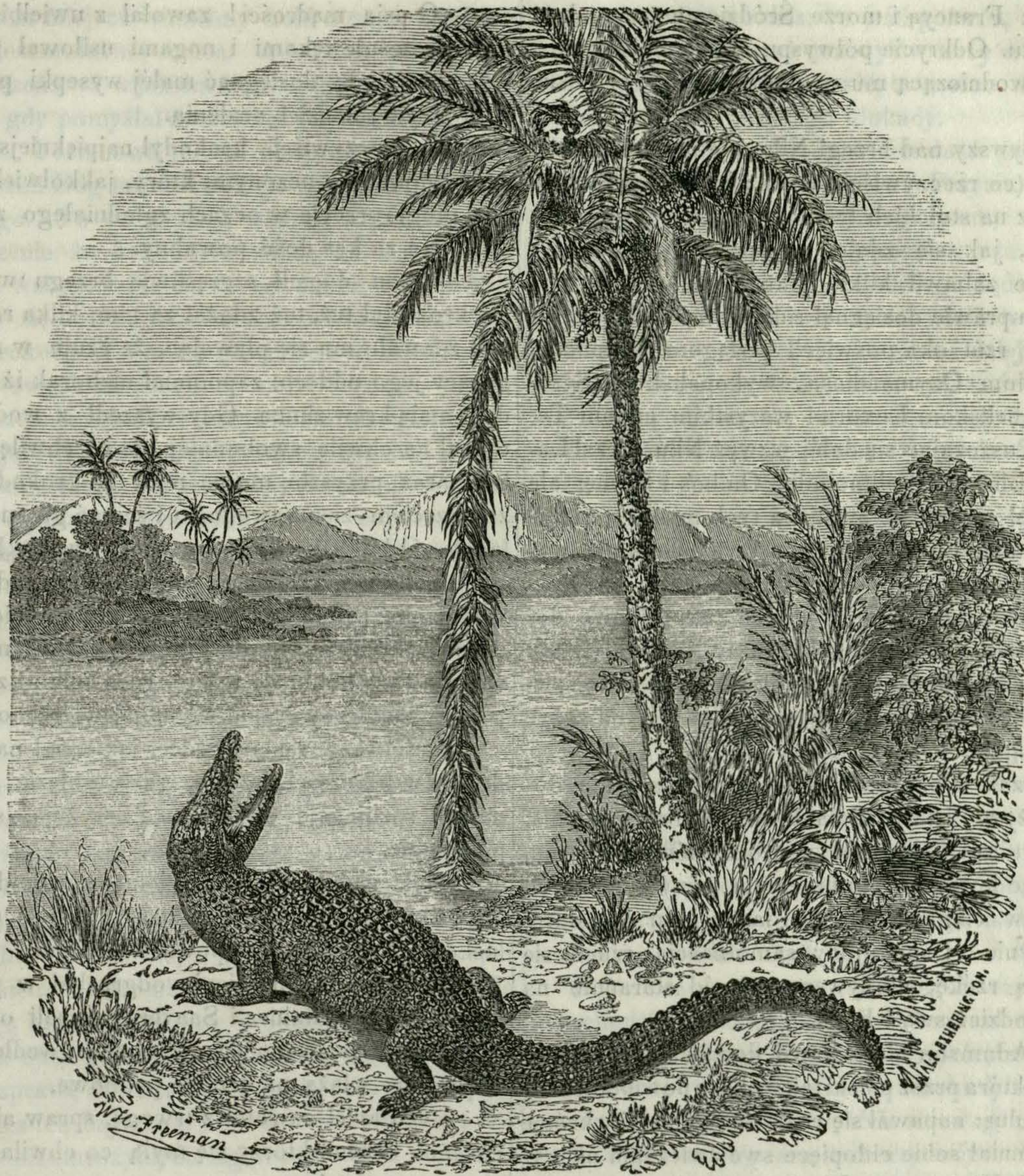
Takie to jest ostatnie, najnowsze tego rodzaju twierdzenie, i bodaj było na zawsze ostatniem. Jedni chcieli uzyskać wyższą cenę, drudzy zasłaniaли swoją nieznajomość przyczyny doskonałości instrumentu przytaczaniem osobliwych faktów. Co

zaś jedynie zasługuje na pewną uwagę we wszystkich ogłoszeniach tego rodzaju, to starość drzewa. Nie przeczę że dobrze wysuszone drzewo jest jednym z koniecznych warunków do robienia wszelkich instrumentów muzycznych; ale stare drzewo nie jest zasługą starego instrumentu, bo cały instrument smyczkowy przez starość ulepsza się. Świeżo zrobiony instrument, choćby z najstarszego drzewa, jest gorszym od zrobionego z materiału dobrze wysuszonego; czemuż więc koniecznie wyszukiwać drzewo z trumien? Wszak drzewo w pieczarach nie schnie ale butwieje, gdyż nie ma tam przeciągu powietrza koniecznego do wysuszenia drzewa, a wyciosane deski trumien nie posiadają potrzebnej grubości do wyrobienia z nich wiércchu skrzypcowego.

Jakże ubliżającymi są podobne wieści znakomitym zdolnościom i wiadomościom Stradivarego! jakże go poniżają przytaczaniem błędnych i zmyślonych okoliczności! Należałoby raz poprzestać marzyć o starém drzewie, bo takie marzenie w XIXm wieku jest zbutwialem, do żadnego rezultatu nieprowadzącem, jak się okazało z zabiegów czynionych około suszenia drzewa we Francyi i przechowania naturalnego drzewa za granicą. Pożyteczniej podobno będzie zająć się rozpoznaniem rzeczywistej doskonałości instrumentu. Zanim to jednak uczynię, nadmieniam że Włosi nie marzyli o starém drzewie, ale starali się wyrabiać dobre instrumenta; współziomkowie ich nie gardzili krajowemi wyrobami, a znalazłszy w nich zalety, chronili je od zniszczenia. I Bóg im to wynagrodził, bo instrument za który płacono niegdys fabrykantowi 20, 30, 40 duk., sprzedają teraz po 200, 300, 400 duk.

U nas niestety dzieje się przeciwnie. Powie kto może iż u nas nie było i niema odznaczających się instrumentów; ale że były, za to ręczę, tylko nie potrafiono ich ocenić i obchodzić się z niemi.

(Dokończenie w następnym zeszycie).



UCZONY I KROKODYL.

Pan Adamson, mieszkaniec miasta Belfast w Irlandyi, pomimo że był uczonym, miał bardzo znaczny majątek. Jednakże ta okoliczność, dla ogółu tyle pożądana, nie dawała mu szczęścia; niespokojny jego umysł zapragnął czegoś więcej, zapragnął sławy głośnego w świecie odkrywcy. Co rano, wstając z łóżka, p. Adamson zapytywał sam siebie:

Dlaczego podróżnik Bruce nie odkrył półwyspu Meroe? I szpérał po mappach Bruce'a, od gór księżycowych aż do Hermopolis, a nie znalazłszy w nich tego półwyspu, który Herodot na własne przecieź widział oczy, w głębokie wpadał zadumanie.

Pewnego dnia nasz Irlandczyk, trawiony wewnętrzną tęsknotą, opuścił rodzinne miasto i udał

się przez Francją i morze Śródziemne w podróż do Egiptu. Odkrycie półwyspu Meroe było gwiazdą przewodniczącą mu w tém wielkiém przedsięwzięciu.

Przybywszy nad brzegi Nilu, nie powitał nawet piramid (co rzeczywiście wielką było niegrzecznością, lecz na stoickich tych pomnikach Faraonów żadnego, jak się zdaje, nie sprawiło wrażenia); w Kairze zabawił kilka tylko godzin i bez wytechnienia prawie dosięgnął ruin Karnaku. Tu ledwo niedbały rzut oka poświęcił posągom Memnona, podziemiom Ozymandiasa, wykopaliskom Sezostrysa, obeliskom Luxoru i wszystkim cudom Tebaidy. Puszczając się dalej wzwyż Nilu, ujrzał Latopolis, Eletyą, Apollinopolis, Ombos i Syenę; ale o zgrozo! wspaniałe zwaliska tych miast starożytnych jednego nawet okrzyku uwielbienia nie wydarły uczonemu!

Raz, w samo południe, słońce zwrotnikowe dopiekało tak silnie, a chłodne nurty Nilu wabiły tak ponętnie, że Adamson uległ pokusie, i, po raz pierwszy, odkąd został uczonym, postanowił odważyć się na kąpiel.

Spojrzał w około siebie badawczo, ale nie dostrzegł żywej istoty. Była to prawdziwa pustynia, przez którą Nil płynął w uroczystém milczeniu, zwilżając lewym swym brzegiem ruiny nieznanych gmachów, ciągnące się skał łańcuchem ku stariej Elefantynie. Uspokojony samotnością, rzucił się w świętą rzekę, ułożywszy wprzód starannie na brzegu odzież swą i buty.

Pan Adamson błogosławił dobroczynnej matce naturze, która przez piaski tak piekące powiodła rzekę tak chłodną; napawał się rozkoszą kąpieli i wkrótce przypomniał sobie chłopięce swe ćwiczenia na wybrzeżach Kingstown. Odmłodzony tém wspomnieniem, rzucił się ku środkowi wody, i tam swobodnie, jakby nie był uczonym, począł sobie pływać.

Gdy tak z lubością oddawał się orzeźwiającej rozrywce, usłyszał nagle za sobą złowróżbe sapanie, i obejrawszy się ujrzał nieopodal sunącą szybko ku sobie roztwartą paszczkę, opatrzoną w zęby którymby lew pozazdrościł i w dwoje błyszczących oczu.

Uczony przypomniał sobie zaraz, chociaż za późno, bajeczkę zaczynającą się w te słowa: *Psy egipskie nie piją inaczej jak biegając wzdłuż Nilu, dla uniknięcia napaści krokodyłów.*

— O psia mądrości! zawołał z uwielbieniem, a jednocześnie rękami i nogami usiłował pchnąć się naprzód, by dosięgnąć małej wysepki piaszczystej, jedynej nadziei ocalenia.

Byłto rzeczywiście krokodyl najpiękniejszej rasy, ścigający za uczonym, który, jakkolwiek chudy, mógł przecie w oczach zgłodniałego zwierza uchodzić za kąs dość powabny.

Adamson dopadł szczęśliwie brzegu wysepki, ale krokodyl tuż, tuż zdążył za nim; kilka razy nawet zdawało mu się pływając, że czuje w nogach gorący jego oddech; zapomniał nieborak iż krokodyl mają krew zimną. Gdy wyszedł z wody odetchnął na chwilę swobodniej; ale na chwilę tylko, bo zaraz przyszło mu na myśl że krokodyl jest zwierzęciem ziemnowodnym i ścigać go może na lądzie. O kilka kroków samotnie wysmukła sterczała palma; a że nasz uczony podobno w dziewiętnastym już roku życia rozwiązał kilkanaście twierdzeń Euklidesa (którato praca, jak wiadomo, nie sprzyja rozwijaniu się tuszy), więc lekko i zręcznie jak wiewiórka wdrapał się na jej wierzchołek.

Umieściwszy się naprędce, jak mógł najwygodniej, w tej części drzewa, gdzie gałęzie i liście palmy rozbiegają się bujnie i krzyżują, spojrzał pod siebie.

Widok niebardzo był przyjemny: krokodyl wychodził z wody, otrząsając straszny swój pancerz łuskowy, i szybko postępował ku palmie.

Uczony w oka mgnieniu odgrzebał w pamięci wszystko co Pliniusz i Saavers napisali o krokodylach, i zdawało mu się wyraźnie że według nich te potwory wlażą na drzewa palmowe.

— O Panie! zawołał z trwogą, spraw aby bracia moi uczeni, którzy się myślą co chwila, mylili się i tym razem!

Wtém na nieszczęście przypomniał sobie własny swój artykuł, zamieszczony w *Belfast-Review*, w którym dowodził iż krokodyle jak koty wdrapują się na drzewa. Artykuł ten czytało całe miasto Belfast, przetłumaczono go na arabskie, a żaden autor Zachodu i Wschodu nie zarzucił mu fałszu.

Przybywszy pod drzewo, potwór okazał żywą radość na widok ofiary ukrytej w sklepieniu liściowym, wykonał kilka obrotów, a potem, jakby uznając niepodobieństwo zdobycia fortecy szturmem, zatrzymał się. Oblężenie zamieniło się w blokadę.

W tém miejscu winniśmy hold złożyć prawdziwej, niesamolubnej nauce. Adamson, mimo niebezpieczeństwa w jakim się znajdował, żywą uczuł boleść gdy pomyślał że artykuł jego oparty był na błędzie. Postanowił jednak nie prostować go nigdy, jeżeli Bóg mu dozwoli powrócić do kraju rodzinnego. To co napisał, napisał z przekonania; twierdzenie że krokodyle wąża na drzewa było faktem wzbogacającym naukę. Jakże je tu obalać, choćby się nawet, dzięki palmie nilowej, uszło pogoni krokodyla? Uczony powinien być niewzruszonym w swych zasadach.

Postawa krokodyla przybierała charakter zatrwajający; blokada jego trwała w zupełnej ścisłości strategicznej. Wyciągnięty na ziemi w całym swym ogromie, potwór zdawał się najcierpliwiej już oczekiwać zejścia uczonego, i kiedy niekiedy tylko drganiem straszego ogona zdradzał tajemną radość, jaką mu sprawiać musiała myśl o niechybnej biesiadzie.

Adamson ze swęj strony badał zwyczaje potwora, i znów, oddawszy nauce co nauki, drząc zaczął jak listek osiny.

Słońce zaszło, a promień jego ostatni okazał uczonemu krokodyla w jednej zawsze postawie. Rozmyślając nad swoim położeniem, Adamson przypomniał sobie Robinsona Crusoe, rodem z Yorku, który po rozbiciu się okrętu przepędził również noc jedną na drzewie, a nawet podobno przespał się na niem. I nasz obleżeniec uczynił to samo, ale sen jego był niespokojny, przerywany. Śniło mu się że w obec grona akademików w Belfast odczytuje rozprawę dowodzącą że krokodyle nie istnieją, że nazwa ich bajeczna, podobnie jak sfinksów, pochodzi od starożytnych Egipcyan. Gdy w końcu zdanie swoje żywszym poprzec chciał gestem, o mało nie zleciał z wysokości na ogon śpiącego nieprzyjaciela.

To go zrobiło ostrożniejszym; zaczął palcami podtrzymywać sobie powieki, aby nie usnąć; bo czegoż człowiek nie uczyni dla zachowania miłego życia!

O wschodzie słońca Adamson ujrzał z rozpaczą, że w położeniu jego nic się nie zmieniło. Na brzegu tylko rzeki wyraźne były ślady iż w ciągu nocy krokodyl z powodzeniem polował na ryby, których szczątki poszarpane tu i owdzie leżały jeszcze na piasku. Spostrzeżenie to zdolne było do rozpaczy

doprowadzić obleżenca; bo jeśli potwór, (tak sobie myślał biedny nasz uczony) w nocy w ten sposób będzie mógł się pożywić, to trudno dopatrzeć końca nieprzyjemnej jego blokady.

Rozumowanie to, rzeczywiście dość prawdziwe, krew ścięło w żyłach uczonego. Przymtem żołądek, nieubłagany ten wierzyciel organizmu, nakazującym głosem dopominał się posiłku; a tu nie było sposobu zaspokojenia słusznych jego żądań.

Gdyby los *dwóch* uczonych rzucił w podobne położenie, to może, opierając się na dziejach tylu obleżeń i rozbić, umieliby sobie zaradzić: mocniejszy zjadłby słabszego, zachowując tym sposobem światu naukowemu szacowne swe zdolności. Lecz Adamson był sam jeden, i przewidywał z przerażeniem że tu prócz blokady walczyć przyjdzie z głodem.

Krom wielu rzeczy których nie znał nasz uczony, nie wiedział i o tém, że palma jego była palmą daktylową, wydającą owoce smaczne i pożywne. Przypadkowe dopiero spojrzenie, przy świetle wschodzącego słońca, odkryło mu w otaczających go liściach obfity ich zapas.

W Belfast p. Adamson jadał na śniadanie kawał pieczonęj wołowiny i porcyą szynki skropionęj winem Porto. Teraz, niestety, wypadło mu wziąć rozbrat z tém błogięm nawyknięciem gastronomicznem i poprzestać na owęj mannie z nieba, na owocach przez Opatrzność zesłanych.

Po śniadaniu dziwne znów myśli zaczęły mu przechodzić przez głowę. Przypomniał sobie komentarz do jakiegoś dzieła o Egipcie, w którym jeden z uczonych utrzymuje że krokodyle naturalnemi są mścicielami wszelkich zniewag popełnionych w tym kraju przez barbarzyńców. Może to i prawda, pomyślał, bo na cóż innego zdałyby się te potwory? Sumienie wyrzucało mu iż przebiegając Egipt nie powitał z należnym uszanowaniem piramid farańskich i posągów bożkiego Ozymandiasa. Skruszony, uciekł się do zwykłego środka wszystkich grzeszników pokutujących: ślubował głośno, że jeśli uniknie zębów krokodyla, mściciela, wracając ucałuje stopy słynnego posągu Memnona, o którym mówią że co rano na powitanie słońca wyśpiewuje tryumfalne kawatyny.

Ślub każdy uspokaja umysł. Uczony, z sercem ulżonem, spojrział na potwór czatujący, chcąc się przekonać czy skrucha, co to jak mówią przebija

niebiosa, nie wywarła na nim cudownej jakiej zmiany. Ale krokodyl leżał najobojętniej, wcale widać niezjednany uczynionem na cześć jego kraju rodzinnego ustępstwem.

Druga plaga obleżonych, nieznośne pragnienie, zaczęło trawić piersi uczonego. Daktyle drażnią żołądek, a tutaj napić się niepodobna! Nieszczęśliwy Tantal miał tuż pod stopami ogromną rzekę, a umierał z pragnienia. Nil szumem swoim zdawał się urągać cierpieniom obsaczonego; przejrzyste jego nurty chłodziły wprawdzie powietrze, lecz ani jednej kropli wody nie podały spieczonym jego ustom. Porównywając się i teraz z Robinsonem Crusoe, uznał całą wyższość położenia samotnika z Yorku. Wprawdzie i Robinson przepędził noc na drzewie, ale zszedł z niego nazajutrz, zabił i zjadł kilka papug, napił się czystej wody i rumu, przechadzał się pod parasolem i nie napotkał żadnego krokodyla; znalazł sobie wreszcie dogodną jaskinię i towarzysza Piątaszka. Szczęśliwy Robinson! westchnął zcicha uczonego; szczęśliwy wyspiarzu! władzco razem i poddany! I ten niewdzięczny śmiał jeszcze narzekać... Chciałbym go widzieć na tej palmie!

W tej chwili lekkie chmury zaczęły pokrywać widokrąg. Adamson, spodziewając się deszczu, chciwie już składał garście dla uchwycenia rosy niebieskiej. Lecz nagle jak mara stanął mu na oczach napis: *Granica deszczu*, jaki podróżnik Rosignol położył na mappie Nilu. Nieszczęściem palma Adamsona stała w szerokości geograficznej, gdzie niebo, choć zajdzie całunem, nigdy przecież nie zapłacze.

Krokodyl zdawał się zgadywać cierpienia uczonego z Belfast, bo jakby na urągowisko co chwila szedł poić się do rzeki, rzucając przytém z ukosa na biednego męczennika złośliwie szydercze spojrzenia.

Adamson tęsknym wodził wzrokiem po nieprzejrzanej przestrzeni Nilu, czy nie spostrzeże gdzie czołna, aby zawołać oratunek; lecz nadaremnie; w tych stronach pełnych niebezpieczeństw panuje cisza śmierci. Na poczerniałych tylko ruinach miejscami nieruchomie spoczywają ibisy.

Mimowoli myśl obleżeńca i w tej dolegliwości zwróciła się do Robinsona Crusoe. — Współziomek mój, mówił sobie, choć bluźnił, na los swój narzekając, miał jednak po prawdzie dobre swoje stroyny, miał zwłaszcza dar wynalazczy. Powiadają że

sam sobie zrobił chleb, parasol, ubranie a nawet fajkę; potrzeba uczyniła go przemyślnym. Na palmie tej Robinson byłby niewątpliwie dostał wody; idzie tylko o docieczenie jakimby on sposobem wziął się do tego.

Po chwilowym namyśle uczonego klasnął w ręce; wynalazł żądany sposób hydrauliczny, i dumny że może współzawodniczyć z dowcipnym swym poprzednikiem, zaraz się wziął do jego wykonania: urwał kilka kiściastych witek i powiązał je skręconemi włóknami palmowemi. Potem upatrzył chwilę w której krokodyl oddalił się, i spuścił tę pompę ssącą nowego rodzaju w nurty Nilu. Gąbczaste liście obficie się napoiły wodą; Adamson wciągnął je ostrożnie, i spiekle jego usta rzuciły się na wysączenie ożywczego napoju, z rozkoszą jakiej pewnie nie czuje żaden smakosz londyński, spełniając kielich szkarłatnego nektaru z Bordeaux. Uczonego nasz z radości że z mistyfikuje krokodyla, jak żaczek szkolny pustym rozśmiał się śmiechem, i nie mając nic lepszego do czynienia, ponowił doświadczenie, zbyt kował jak smakosz wygłodzony przy długo oczekiwanej biesiadzie.

Uspokojony pod względem najglówniejszych potrzeb życia, Adamson przypomniał sobie że w wilgotnem powietrzu upłynionej nocy doznawał nieco chłodu. Rzeczywiście suknia naturalna naszego pływaka mogła być bardzo dogodną w czasie dziennych upałów zwrotnikowych, ale w nocy należało ubezpieczyć się od kataru. Inna myśl jeszcze skłoniła uczonego do sporządzenia sobie, przykładem Robinsona, jakiej takiej odzieży: jakżeby mógł, pomyślał skromny Irlandczyk, przedstawić się ludziom w takim stanie, gdyby Opatrzność sprowadziła tu zbawcze jakie czołno!

I zaraz w napowietrznym gabinecie swoim zgromadził potrzebną ilość liści palmowych, i przybierając rolę krawca, zrobił sobie paletot roślinny, który, jakkolwiek nie wykonany podług najświeższej mody, wyglądał jednak dosyć malowniczo. Z dwóch mniejszych liści sporządził rodzaj czépeca nocnego, i tak mu było wygodnie w tym stroju, iż nie żałował bynajmniej zostawionej na brzegu odzieży.

Uradowany autor tylu dowcipnych wynalazków uściskał sam siebie z zadowolenia; dzięki własnemu staraniu miał pomieszkowanie, ubiór, jadło, napój, a wszystko to z ręki matki przyrody. Adamson

czuł się szczęśliwym, bo szczęście jest rzeczą względną, i już się dumnie na wysokości swój palmy wywyższał nad rodaka Robinsona.

Gdy tak z lubością radował się komfortem swojego położenia, dostrzegł zbliżającego się ku drzewu krokodyla, w którego oczach wyczytywał zamiar jakiś zdradziecki. I rzeczywiście nasz uczony miał słuszność.

Potwór, nie mogąc nic wskórać ani szturmem, ani blokadą, postanowił użyć podminowania. Kończące jego zęby zaczęły chrupać z zaciętością pień drzewa, a patrzył ku wierzchołkowi tak przenikliwie i żarłocznie, jak gdyby powiedzieć chciał: „Dosyć tych żartów; trzeba raz przecie skończyć!” Adamson z trwogą liczył trzeszczenia palmy pod olbrzymimi szczękami krokodyla, i zdawało mu się, choć mylnie, że już się chwieje posada wietkiej jego warowni.

Budowa zębów przednich i trzonowych u krokodyłów tego jest rodzaju, że gryźć nie mogą tylko mieląc, a niepodobna im przeciąć przedmiotu znacznej grubości. Uczony nasz nie wiedział i o tym szczególe zoologicznym, którego świadomość mogła go była uspokoić względem wypadku pracy łuszczonego sapera. Wprawdzie Pliniusz i Saavers o nim wspominają; lecz trudno było radzić się tych dwóch znakomitych naturalistów na wierzchołku palmy egipskiej. Truchlejąc przeto z obawy, Adamson z liściowego gabinetu swojego wychylał się dla śledzenia postępu operacji; ale że umieszczony był pionowo nad stanowiskiem nieprzyjaciela, niewiele mógł dojrzyć. W oczekiwaniu iż drzewo runie lada chwila, włosy jeżyły mu się na głowie pod palmowem nakryciem, i już się widział w duchu pograżanym kawałkami w ponurą otchłań tego grobu chodzącego, bez napisu nawet coby przekazał potomności zasługi uczonego z Belfast.

Po kilku godzinach niezmordowanej pracy minerskiej, krokodyl zdawał się zniechęconym. Zmieniając nagle taktykę, zaczął olbrzymim i twardym jak stal ogonem z całej siły uderzać w drzewo. Palma zachwiała się jak trzcina, a chociaż się dobrze opierała, wstrząśnienie przecieź niemałego kłopotu nabawiło uczonego. Nadto za każdym uderzeniem po kilka owoców spadało na pancierz krokodyla; potwór z podwojoną wściekłością ponawiał wtedy napad, jak żołnierz szturmujący, którego lekko draśnie kula przeciwników, a biedny Adamson

z rozpaczą ścigał wzrokiem każdy daktyl spadający, obliczając na ileby dni ta żywność uroniona utrzymać go mogła przy życiu.

Znękany śmiertelną trwogą, nieszczęśliwy obleżeniec uznał nareszcie w duchu, że niewarto życia za taką okupywać cenę: postanowił rzucić się z wierzchołka i znaleźć w zgonie bohaterskim zakończenie swych męczarni. Zagrzany tym zamiarem wielkodusznym, powstał, rozsunął zakrywające go gałęzie, podniósł jedną nogę, i już, już miał skoczyć, gdy nagle przyszło mu na myśl że jest ostatnią odroślą swój rodziny, że nie ma ani żony, ani dzieci, ani nawet synowców, że więc zachować powinien światu nazwisko Adamsonów. Człowiek przemyślnym jest zawsze w wynajdywaniu pozorów, gdy chodzi o zaniechanie rozpaczliwego przedsięwzięcia. Jeżeli ma żonę i dzieci, to musi zachować się dla nich; jeżeli samotny, to musi znów żyć dla siebie i dla świata, aby nie zamrzeć zupełnie. *Non omnis moriar*, mówi poeta łaciński.

Adamson bardzo sobie był wdzięcznym za rozsądną uwagę, co w samą przyszła mu porę; nazywał się nawet w duchu tehorzem lekkomyślnym, że chciał oddawać się dobrowolnie na pastwę żarłocznemu potworowi. Rozsiadł się więc wygodnie na swym fotelu z gałęzi, i myślał już tylko o tém, aby się ustrzedz od spadnięcia.

Któż zbadać zdoła tajemnice serca ludzkiego, a szczególniej sercauczonych? Samotnik nasz, ochłonawszy z przestachu, znajdował drażniącą jakąś przyjemność w widoku ataków zawziętego krokodyla przeciw drzewu silnie wrosłemu w grunt opoczysty. Uśmiechał się litośnie, patrząc na bezskuteczne wysilenia potworu, i zaczął obsypywać go różnemi przewiskami. Te satyryczne ewolucje rozdrażniały widać krokodyla, bo odpowiadał na nie straszliwym chrzęstem łuszczonego pancerza.

Pokazało się ostatecznie że palma silniejszą była od krokodyla. Adamson tryumfował. Przypomniał sobie ustęp z Seneki o sposobach osiągnięcia szczęścia we wszystkich życia kolejach, i zaczął myśleć nie żartem o zapewnieniu go i dla siebie.

Rzeczywiście przyszłość w dość powabnych przedstawiała mu się barwach. Miał klimat przedcudowny, zachwycającą samotność, żywność skromną ale zdrową, i wody ile tylko zapragnął; ma-

rzył już nawet o schwyceniu w przelocie jakiego pół tuzina gołębi etiopskich i upieczeniu ich na słońcu. Miał więc nadzieję odbywania biesiad Lukullowych. Co do duchowych przyjemności, miał pod stopami rzekę wspaniałą, tajemnicze wokoło ruiny, nakoniec wielce pociesznego krokodyla, słowem wszystkie warunki potrzebne dla rozerwania umysłu. Mógł nadto w chwilach wolnych zająć się na seryo przygotowaniem studyów nad starożytną krainą roztoczoną przed wzrokiem jego, od gór Szmaragdowych do Ajas, nad niezmierną samotnią w której wznosiły się świątynie Jowisza i Apollina.

Ucieszony tą nadzieją, postanowił urządzić swą siedzibę z największym jak tylko można komfortem. Podzielił ją na trzy izby, oddzielone od siebie przepierzeniem liściowém. Pracownia jego zawierała zapas liści palmowych, na których mógł pisać jak na welinie kawałkiem kory zaostrzonej. Jadalnia obfitowała w daktyle świeże i suszone, i w niej też zawiesił swoją pompę hydrauliczną. W sypialni nareszcie mieścił się fotel bardzo wygodnie i bezpiecznie urządzony. Żałował tylko jeszcze że nie miał rękawiczek; bo już to szczęście nie może być nigdy zupełném na tym padole.

Dnie upływały cicho zawsze i pogodnie, a z każdą jutrznią Adamson słyszeć mniemał tajemnicze dźwięki posągu Memnona; miał więc i swoje poranki muzykalne. Potém zabawiał się patrzeniem na krokodyla, i jeśli był kontent z niego, rzucał mu niekiedy parę zgniłych owoców, które potwór chętnie połykał, z czego znów badacz poważny śmiał się do rozpuku. Pomiedzy śniadaniem a obiadem oddawał się rozpamiętywaniu, otwierał książnicę swój pamięci, i z Herodotem odwiedzał labirynt, brzegi jeziora Meris, lub Arsinoe, krainę róż. Gdy ważna myśl jaka zabłysła mu w głowie, spisywał ją na papirusie palmowym, i ze szczególném upodobaniem odczytywał po razy kilkadziesiąt. W małych swych przechadzkach po poziomej gałęzi, lubił spoglądać ku odległej dolinie Kambizesa. i poświęcał lżę żalu słynnym z mądrości Egipcyanom, których ziemie tak srodze spustoszył Pers nieokrzesany. Przed samym nakoniec spoczynkiem odbywał kurs astronomii, zachwycony widokiem świętych gwiazdozbiorów południowych. Żaden sąsiad zazdrosny nie śledził i nie osławiał jego czynów; żaden go dziennik nie zaczepiał; żaden *police-*

man nie potraçał go laską; żaden poborca nie domagał się podatku. Czuł się swobodnym i lekkim, jak otaczające go powietrze.

Zostawmy na chwilę szczęśliwego samotnika naszego na wierzchołku palmy, i puśćmy się lewym brzegiem Nilu, gdzie niespodziany wypadek wpłynąć miał stanowczo na losy Adamsona.

P. Darlingle, uczony botanik angielski, szukał żółtego lotusu w krainie Faraonów. Herodot widział żółte lotusy, ale Herodot miał przywilój widzenia rzeczy nieistniejących. Píše naprzykład o dwóch piramidach w środku jeziora Meris, mających po 600 stóp wysokości; mógł zatem łatwo widzieć i żółte lotusy. Prawda że ony znikły gdzieś obecnie, ależ to właśnie obowiązuje sumiennych botaników do zajęcia się ich odszukaniem.

P. Darlingle więc przebywał łańcuch gór libijskich, szperając po wszystkich szczelinach, czy gdzie nie znajdzie cudownego kwiatu. Zanim szło dwóch Arabów uzbrojonych w karabiny.

Najprostsze rzeczy, skoro je napotykamy w miejscu i otoczeniu gdzie tego najmniej spodziéwać się było można, zdolne są do wysokiego stopnia wzburzyć wyobraźnię. Otóż p. Darlingle, postępując lewym brzegiem Nilu, wydał nagle okrzyk przerażenia.

Ujrzał w niewielkiej odległości parę butów, z których jeden stał dumnie i prosto, a drugi miękko pochylił się na bok, jak gdyby zmęczony długim wyczekiwaniem.

Widok dwóch węzów jadowitych zaledwo tyle wzbudziłby trwogi, ile w tém miejscu para bótów osamotnionych. Dodać bowiem należy iż reszta odzieży Adamsona znikła, czy uniesiona prądem Nilu, czy może pożarta przez wszystko połykające krokodyle. Jedne tylko bóty zostały na wzniesieniu skalistego pobraża.

Można sobie teraz wytłumaczyć pełne przestachu zadziwienie uczonego botanika angielskiego.

Myślał z początku że to ułamek skał libijskich, któremu igraszka natury nadała kształt bótów; lecz po zbliżeniu się nie mógł już wątpić o autentyczności produktu cywilizacji europejskiej.

Dwaj Arabowie, rodem z Ombos, nie widzieli w życiu swoim bótów; przerażenie Anglika kazało im się domyślać że to coś bardzo niebezpiecz-

nego; palnęli więc razem z dwururek, i nieszczęśliwe bóty padły, przeszyte czterema kulami.

Dzielne to znalezienie się wiernych towarzyszków nie mogło jednak uspokoić umysłu Darlingle'a. Z wyteżonym więc wzrokiem przystąpił do obejrzenia leżących na ziemi butów, które w tej postawie wydały mu się jeszcze nierównie dziwniejszemi.

Adamson na szczycie swęj palmy slyszal wystrzaly ręcznej broni i zadrzał. Z sypialni, gdzie właśnie się znajdował, wszedł do przysionka, rozsunął liście, i ujrzał trzech ludzi stojących na lewym brzegu Nilu.

Pierwszą jego myślą było złorzeczenie natrętom zakłócającym złotą jego swobodę i samotne rozmyślenia; lecz wkrótce słabość ludzka wzięła górę: postanowił dać znak o sobie trzem nieznanym przybyszom.

W tym celu uciął długą gałąź palmową, ogołocił ją z liści prócz kiściastego wierzchu, i zaczął nią machać w powietrzu jedną ręką, drugą zaś rzucił w rzekę, o ile mógł najdalej, kilka daktyłów.

Botanik, ockniony pluskiem wody z głębokiego rozmyślenia, odwrócił się w stronę z kąd go usłyszał, i ujrzał tym razem rzecz godną większego jeszcze zadziwienia. Na małej wysepce Nilu samotne drzewo palmowe, wśród zupełnej w powietrzu ciszy, kołysało wystrzelony swój wierzchołek z największą gwałtownością na wszystkie strony świata. Darlingle za to odkrycie ważne i niespodziane byłby oddał najchętniej cały zbiór żółtych lotusów.

I otwierając swoje album podrózne, botanik zapisał w niem wielkimi literami: *W górnym Egipcie znajduje się rodzaj palmy, co z dziwną precyzją ruchów wywija samodzielnie swym wierzchołkiem. Nadaliśmy temu drzewu nazwisko palmy Darlingle'a.*

Zanotowawszy to dla pamięci, przerysował dokładnie drzewo, i nie mając pod ręką innej publiczności, pokazał je dwom Arabom. Nieokrzesani ci synowie pustyni rysim swym wzrokiem dostrzegli właśnie wśród liścia gęstego palmy na wysepce coś nakształt postaci ludzkiej, i żywemi gestami starali się wytłumaczyć to Anglikowi. Ale ten tak dalece zajęty był ważnością poczynionego odkrycia, że wcale nie zważał na migi Arabów, marząc tylko o wrażeniu jakie palma Darlingle'a wywoła w świecie uczonym.

Arabowie nie przestawali robić znaki, i Darlingle, rad nierad, musiał nareszcie zwrócić oczy w kierunku przez nich wskazanym. Gesta ich jasno wyrażały, że na tej palmie ludzka jakaś istota wzywa pomocy.

Darlingle, ruszając ramionami, z miną człowieka robiącego grzeczne ustępstwo, wydobyl małą lunetę i spojrzal niedbale ku wyspie, gdzie trzecią już w jednej godzinie ujrzyć miał niespodziankę. Śród liściowego sklepienia rozpoznał wyraźnie twarz ludzką, co więcej twarz angielską, i rękę wywijającą w prawo i w lewo gałęzią. Zafrasowany, zsunął lunetę, odczytał swą notatkę, obejrzał rysunek, i podumawszy chwilkę, postanowił *nie w nich nie zmieniać*. Wszak palma Darlingle'a, mówił sam do siebie, mogłaby istnieć, gdyby natura uznała jej potrzebę; ja tę potrzebę uznaję, więc dla mnie ona istnieje.

Przekonawszy się że to na prawdę jakiś człowiek wzywa pomocy, należało postarać się o czółno. Trzej towarzysze zwrócili się w tym celu ku Assuan, i po męczącej dwugodzinniej drodze przez rozpalone piaski egipskie, dosięgli tej wioszczyzny, będącej miastem za czasów Herodota. Darlingle za sztukę złota najął mały statek, i wskazując rybakowi kierunek, zawołał dumnie, jak gdyby go rozumiano:

— Na wyspę palmy Darlingle'a.

Wyciągnięcie palca wskazującego na ten raz byłoby dostatecznym.

Gdy się już zbliżano do wyspy, Arabowie zaczęli wymieniać jakieś znaki porozumienia. Uczony zapytał o przyczynę, i dreszcz go przebiegła przy czterdziestu stopniach Réaumure'a, bo spostrzegł ogromnego krokodyla, na czatach koło palmy Darlingle'a. Była to czwarta z kolei niespodzianka.

Na pochwałę jednak botanika naszego wyznać należy, iż nie okazał zbyt wielkiego przerażenia. Arabowie, przyzwyczajeni do widoku tych potworów, rozmawiając z sobą najspokojniej, założyli tylko na strzelby świeże kapiszony, i zalecili rybakowi aby wiosłował powoli.

Krokodyl w zbliżającej się łodzi upatrywał zdobycz lub niebezpieczeństwo, i gotów był według siły i liczby nacierających do napaści lub obrony. Leżąc nieruchomie na brzegu z otwartą paszczką, sposobił się połknąć pierwszego nieprzyjaciela co by na ład śmiał wysiąść.

Dwaj Arabowie, wielcy widać znawcy obyczajów krokodylich, stali na przodzie czółna z wymierzonymi strzelbami, i na znak umówiony wypalili razem. Kule wpadły w paszczkę, jedyne miejsce gdzie krokodyl może być zranionym, i przebiegły całą jego długość wewnętrzną.

Potwór potrząsnął głową, jakby ukropem sparzony; zaczął potem wyrzucać strumienie czarnej posoki, i wkrótce nieżywy wyciągnął się na piasku.

Adamson z wysokości swój łoży przypatrywał się uciesznemu dla siebie dramatowi. Widząc nieprzyjaciela pobitym, uporządkował naprędce toaletę, obejrzał się ze zwyczaju czy niema gdzie rękawiczek, a nie znalazłszy ich, spuścił się ostrożnie, aby nie podrzć paletotu palmowego i nie dać zgorzenia rodakowi, którego poznał odrazu po włosach i rękawiczkach.

Arabowie z natury są poważni, ale widok ubioru Adamsona zmusił ich do śmiechu. Darlingle nawet przygryzał wargi, aby powstrzymać wesołość bardzo w podobnym razie dla Anglika niewłaściwą. Botanik i badacz podali sobie dłonie i opowiedzieli wzajemnie swe przygody.

Długo jeszcze puste śmiechy Arabów nie ustawały. Adamson, drażliwy bardzo w takich rzeczach, prosił usilnie kolegę, aby powstrzymał te wybuchy, grożąc w przeciwnym razie zaniemieniem skargi do konsula angielskiego. Nie pozostało więc w końcu botanikowi, jak oddać swój własny paletot drylichowy, który Adamson zapiął pod szyję. Złożono ubitego krokodyla wpoprzek na tylniej części łodzi, i kazano wioslarzom popłynąć ku lewemu brzegowi, gdzie Adamson zabrać miał swoje bóty przestrzelone.

Chwila pożegnania była przejmującą. Od czasów lorda Byrona Anglicy mają zwyczaj rozstawać się w sposób uroczysty z miejscowościami których już nigdy w życiu ujrzeć nie mają nadziei. Adamson uściskał swoją palmę, i ślady łez rozrzewnienia zostały na jej korze; zebrał potem liście co mu służyły do pisania i różnych posług gospodarskich, i ofiarował je p. Darlingle dla galeryi narodowej *Charing-Cross*. Botanik podziękował w imieniu miasta Londynu, i przez godzinę całą wychwalał wspaniałomyślność uczonego dawcy. Adamson nawzajem, w imię nauki, wyniósł pod niebiosa ważne odkrycie palmy Darlingle'a, i obiecał za powrotem do kraju napisać artykuł do *Belfast-Re-*

view, wyjaśniający że nowy ten gatunek palmy, jakim wzbogacił naukę niezmordowany podróżnik Darlingle, zbliżony jest w cechach zewnętrznych do aloesów Cejlanu.

Arabowie z osłupieniem patrzyli na dwóch tych Anglików, rozmawiających całemi godzinami, poważnie i z głową odkrytą, pod słońcem którego promienie przepalić im mogły czaszki.

Udano się potem drogą lądową do wioski Assuan, gdzie Adamson nabył kompletny ubiór arabski i znalazł gościnność godną wieku Abrahama i Jakóba. Badacz i botanik od téj chwili połączyli się węzłem najściślejszej przyjaźni. Pierwszy zapomniał o półwyspie Meroe, drugi o żółtych lotusach, a obaj marzyli już tylko o tém, aby otrzymać gdzie konsulostwo w jakiej stolicy indyjskiej, ku czemu zasługi naukowe niezaprzeczone jednały im prawo. Korzystali przeto z odjazdu pierwszej lepszej karawany aby przebyć pustynią i dostać się do Kairu. Adamson w drodze, co rzadko po przebytém niebezpieczeństwie, pamiętał o uczynionym ślubie: ucałował święte stopy posągu Ozymandiasa i pokłonił się piramidom. Dwaj przyjaciele w porcie Aleksandryi zastali pakebot maltański, i wkrótce wylądowali na téj wyspie. Tam Darlingle i Adamson rozdzielili między siebie role; Adamson do dziennika *Malta-Times* napisał prześliczny artykuł o nieustraszonym podróżniku botaniku Darlingle, który z niebezpieczeństwem życia zabiwszy dwie jadowite poczwary, odkrył w pustyniach egipskich słynną palmę *machającą*, której nadał swe nazwisko. Do artykułu dołączona była ilustracya wyobrażająca palmę Darlingle'a wywijającą w powietrzu kiściastym swym szczytem Darlingle znów zawiadomił świat uczony o pełnej przygodzie wyprawy Adamsona, który puścił się aż poza trzeci wodospad Nilu, sprostował kartę Bruce'a, i zabił ogromnego krokodyla za pomocą elektryczności.

Te dwa doniesienia wyprzedziły przybycie podróżników do Londynu, gdzie każdy z nich, oprócz pochlebnych dziękczynień, otrzymał rentę dożywotnią 500 funtów sterlingów, i nominacyą na konsulat w dwóch znakomitych stolicach indyjskich. Rysunek palmy Darlingle'a włączono do zbiorów *Zoological-Garden*, a ciało krokodyla zabitego przez elektryczność zawieszono na pułapie sali w galeryi *Charing-Cross*. Tak to najczęściej i we wszystkiém dzieje się na świecie.

Adamson jest dziś reprezentantem Anglii w Chandernagor; posiada wille nad brzegami Gangesu, sześciu słoniów i dziesięciu służących; ożenił się z ładną Kreolką i żyje z przepychem Nababa. A jednak, rzecz dziwna, w chwilach wolnych od zatrudnień konsularnych żałuje nieraz swobody jakiej używał na szczycie swój palmy; co więcej, żałuje nawet widoku straszego krokodyla, żałuje

trawiącego pragnienia, które tak błogo gasił wysączonemi z liści kroplami! Nudy tak silnie niekiedy go dręczą, że radby porzucić wille, słoniów i żonę, aby odwiedzić swą palmę i przepędzić na jej wierchołku parę rozkosznych tygodni; i jeśli tylko uzyska urlop, można być pewnym że zamiar ten uskuteczni.

OFIARY Z LUDZI

NA ZACHODNICH BRZEGACH AFRYKI.

W dwudziestomilowej odległości od ujścia rzeki Kalbar, na prawym jej brzegu, leży miasto tegoż nazwiska. Domy z których się składa, zbudowane z gałęzi drzew bambusowych, wylepione są zewnątrz żółtawą gliną, wewnątrz zaś przedstawia widok największego nieochędóstwa i nieporządku. Drugie większe miasto, leżące o pięć mil od Kalbar, nad brzegiem zatoki gdzie wpływać mogą tylko drobne statki i pirogi, nazwane zostało przez Anglików Cresk-Town.

Miasto to liczy około 50,000 mieszkańców, odznaczających się nadzwyczajną otyłością, skutkiem nieruchomości w jakiej pędzą życie i wyłącznego użycia klejkowatych roślin na pokarm. Biedna ta kobieta, której waga nie dochodzi do pewnej ciężkości; pochodnia hymenu nie zapali się dla niej nigdy, a częstokroć gaśnie i dla tej która schudnie skutkiem choroby.

Pomimo ciągłego przebywania angielskich misjonarzy i ciągłych stosunków z Europejczykami, mnóstwo zabobonów panuje w tej okolicy. Czary i fetysze znajdują tu wielką wiarę. Na jednym z placów Cresk-Town'u stał fetysz, wyobrażający człowieka mającego za całe ubranie tylko czapkę; w żaden sposób nie mogłem się dowiedzieć od jakiego ducha bronił wpływ tego fetysza.

Każda wioska ma swoją świątnię. W jednym jej końcu leży pień drzewa wydającego dźwięczny odgłos, a uderzenia w ten pień towarzyszą wszystkim pieśniom i hymnom wojennym.

Oliwa z palm i kość słoniowa stanowią dla krajowców przedmiot zyskownego handlu. Królowie tego kraju są zarazem najpiérwszemi i najbogatszemi kupcami. W Kalbarze królem był Ejamba, zmarły na siedm tygodni przed naszym przybyciem; w Cresk-Town panuje Ejo, mający przydomek uczciwego, za swoją sumienność w handlu, która, jak się zdaje, nie była przymiotem starego Ejamby. Ejo ma lat około pięćdziesięciu; powierchowność jego znamionuje człowieka bardzo roztropnego. Będąc jeszcze młodym, mieszkał on kilka lat w Anglii, i dlatego téż król ten jest dla agentów angielskich najsilniejszą podporą. Oile się zdaje, missyonarze angielscy są jego zwykłemi doradcami; i my za przybyciem zostaliśmy przyjęci przez króla w ich obecności.

Po królu piérwszą osobą w kraju jest *Ekbo* a świętość jego osoby i nadzwyczajna władza przypominają arcykapłanów starożytności. Trzy lub cztery razy do roku, w czasie jaki mu się podoba wybrać, wychodzi on z wielką wspaniałością, otoczony bardzo liczną strażą. Na przodzie orszaku biegnie jeden z Negrów, skacząc i uderzając w dzwonek, a jego odgłos rzuca postrach na wszystkich mieszkańców. Wtedy powinny się zamknąć wszystkie drzwi, a biada temu, kto nie zdoła schronić się do domu: przechadzka *Ekbo* spieszna, a każdy przez niego dostrzeżony przyplaca życiem to spotkanie. Liczba ofiar bywa wtedy bardzo znaczna, bo dla Nagra uciekającego po ulicach, nie otworzą

się nigdzie zbawcze drzwi chatki, gdyż w takim razie śmierć grozi wszystkim jej mieszkańcom. Nawet król niezupełnie jest wolny od władzy Ekbo w takie dni uroczyste; jeżeli go schwyca, życie jego zostaje nietykalnym, lecz musi dać zato znaczny okup. Toż samo prawo służy Europejczykom. Niektórzy z Negrów także używają tej szczęśliwej bezkarności, a mianowicie ci, którzy zdołają dopaść którego z Europejczyków, i uchwycić za jego zgodą łaskę, kapelusz lub jakikolwiek przedmiot przezeń używany. To jest dostatecznym dla ocalenia ich życia, i wtedy zostają fetyszami, to jest świętymi.

Mieszkańcy miasta Kalbaru mają niewolników wyłącznie do swoich usług. Życie tych nieszczęśliwych należy do ich panów, tak jak do nas należy życie naszych zwierząt domowych. Ostrze miecza wisi ciągle nad ich głowami, a niec na której ono zawieszono, daleko cieńsza od tej, na której wisiał miecz Damoklesa, niestety, zbyt często się przerywa. Najmniejsze przewinienie zmywa się krwią, a niech się rozlegnie głos zabobonu, wtedy krew płynie strumieniami.

Po śmierci każdego z wodzów, na ofiarę ceniom zmarłego, zabijają jeńców wojennych. Jeżeli król, jego żona lub inny jaki krewny opuści ziemię, liczba ofiar daleko bywa większą. Wtedy ofiarnik sam wybiera ofiary, a ręka jego uderzyć może najznakomitsze osoby. Nic w świecie nie zdoła ocalić ofiary, i dlatego też skazany rzadko stara się uniknąć śmierci, którą spotyka jakby męczeństwo. Lecz przypuśćmy że nawet zdoła ująć czujności straży, to sąsiednie plemiona odmówią mu gościnności i niezawodnie wydadzą pod topór oprawcy: taka jest moc poszanowania barbarzyńskich zwyczajów.

Ofiarowanie na cześć zmarłego króla odbywa się następującym sposobem:

W ziemi wykopują obszerną piwnicę, przedzieloną na dwoje. Dalszy przedział, podobny do jaskini, ubrany jest w liście i zielone gałęzie. Na ścianach wiszą najdroższe sprzęty należące do nieboszczyka, a między niemi oręż, aby się nim mógł bronić od nieprzyjaciół w czasie podróży do czarującej krainy szczęśliwych istot, które podług ich wyobrażeń śpią nie zamykając oczu i nigdy nie chudną. Lampa grobowa wisząca u sklepienia mdłym swoim blaskiem zaledwie oświeca tę ponurą świą-

tnicę. Dwanaście kobiet, z połamanymi rękami i nogami, leżą na podłodze jaskini, a na tym stosie ciał drgających ze śmiertelnego bólu, kładą ciało zmarłego króla. Rozumie się że to łożo pogrzebowe składają kobiety z haremu zmarłego i ani jedna z nich nie przeraża się czekającym ją losem. Wprawdzie nie idą ony na śmierć dobrowolnie, tak jak Indyanek, ale bez drżenia pokornie poddają się temu, co uważają za swoje przeznaczenie. Pierwszy przedział, daleko większy od opisanego, ma bardzo mały otwór na zewnątrz i w nim zgromadzają 60 do 80 niewolników w okowach. Pośród nich stoi *griot* (publiczny śpiewak i tancerz), trzymając tamtam i pałeczkę gotową weń uderzyć. Oprawcy, rozsiani pomiędzy ofiarami i zapaleni bezrozumną zajadłością, trzymają się w gotowości, czekając tylko znaku. Jeden z nich trzyma ostrze nad głową ofiary pochyloną nad bębniem; na pierwszy jego odgłos głowa spada, krew obléwa bęben, nie przestając uderzać aż do chwili ukończenia obrzędu. Okropna ta scena kończy się śmiercią niewolnika; jednakże zdarza się często że niektórzy z nich, pomimo ciężkich ran, zostają jeszcze przy życiu. Lecz oprawcy natychmiast się oddalają i zasypują za sobą otwór wiodący na zewnątrz, dusząc tym sposobem nieszczęśliwe ofiary barbarzyńskiego przesądu.

Ani miejsce ani chwila obrzędu nie jest nikomu wiadoma; szczególnie przed Europejczykami zachowują to w tajemnicy. Jednakże, pomimo baczego dozoru, milczenie nocy przerywane zostaje krzykami skazanych i głuchym szmerem głosów tych, co ich na śmierć prowadzą. Mówią także, iż podziemne jęki, wydobywające się z ogólnej mogiły, zawiadamiają poranek o nocnym krwi przelewie.

Takie honory oddane były królowi Ejambie w pierwszych dniach czerwca 1847 roku, lubo misjonarze znajdujący się przy jego śmierci wymogli na nim obietnicę, że na cześć jego nie spadnie ani jedna głowa. Lecz Ejamba, idąc za przesądami w które wierzył całe życie, a które powiększyły się trwogą natchnioną przez przedśmiertne gorączkowe widziadła, zostawił straszny testament, którym polecił nie zaniedbać zwykłych ofiar i odprawić takowe w jaknajwiększej tajemnicy, a potem nakazał drugą jeszcze większą i straszniejszą ofiarę, dla ułagodzenia bogów co ukazali mu się

przed śmiercią, pełni gniewu za karygodną obojętność jego narodu dla starożytnych obyczajów. Termin tej oczyszczalnej ofiary był za dni 90 po jego śmierci, to jest wtedy, gdy Negrowie mieszkający po obu brzegach rzeki Kalbar przestaną nosić żałobę po królu i wybiorą jego następcę. Nie można się było niczego z pewnością dowiedzieć o liczbie ofiar przeznaczonych na ten obrządek. Chodziły wieści, że liczba ich była 1200, drudzy mówili że tylko 600.

O tych szczegółach dowiedzieliśmy się w Fernando Po. Komendant fregaty, na której znajdowałem się jako lekarz okrętowy, pospieszał z odpłynięciem do Kalbaru, żeby wstrzymać wykonanie strasznego wyroku; lecz nic nie wskórawszy, musiał opuścić brzegi z tém przekonaniem, iż ony wkrótce zostaną krwią zlane. Niektórzy z wodzów bardzo dobrze wiedzą, że naród ich pozostanie w obrzydzeniu u cudzoziemców, dopóki tylko trwać będzie w tak strasnym błędzie; lecz jedni z nich są już tak starzy, iż sami nie mogą się wyswobodzić od niego, drudzy nie mają dosyć władzy żeby zmusić swych poddanych do wyrzeczenia się tak niehumanitarnego zabobonu. Do tej liczby należy król Ejo. Komendant nasz ofiarował mu w imieniu rządu francuzkiego dosyć znaczną pomoc na zakupienie zwierząt, których krew byłaby w pewne uroczystości przelęwaną, w miejsce krwi ludzkiej. Ejo odpowiedział, że jego wsie same dosyć są zamężne i mogą nabywać bydło własnym kosztem, lecz że pojęcia religijne długo jeszcze nie pozwolą narodowi zgodzić się na taką zmianę. W istocie dowiedziona jest rzeczą, że wszyscy wodzowie, jakiegokolwiek robiliby przyrzeczenia za życia, w chwili zgonu, tak jak Ejamba, wracają do swoich przesądów. Jestto rzeczą tak pewną, że misyonarze, chociaż otrzymali od sędziwej matki Eja obietnicę podobną do przyrzeczenia Ejamba, nie spodziewają się jednak jej dotrzymania i pewni są że przed śmiercią zażąda ona od syna spełnienia zwykłych w tym razie ofiar; a wiedzą, że Ejo nie może odmówić jej żądaniu, nie narażając się na powszechną zemstę.

I czegoż można się ztąd spodziewać? Dziś niczego, lecz w przyszłości wszystkiego! Stare pokolenie wkrótce ustąpi młodemu, a z niem znikną wszystkie błędy fetyszyzmu. Młode pokolenie, napojone

przez misyonarzy prawidłami moralności, czuć będzie wstręt tylko do terażniejszych zabobonów.

Opuściwszy rzekę Kalbar zwidzieliśmy Bonni. Chociaż te rzeki są bardzo blizkie jedna drugiej, na Bonni tylko słaby ślad ofiar ludzkich spostrzeżać się daje. Co siedm lat dziewczyna czternastoletnia rzuca się w rzekę, ażeby uprosić opiekę bogów dla żeglarzy. Niestety! tchnąca współczuciem Dyana nie poda pomocnej ręki tej nowej Ifigenii. Ciało ofiary powinno wypłynąć na brzeg, na znak że bogowie przyjęli ofiarę jej duszy i wzięli ją do swych mieszkań.

Czy można dać wiarę temu, że w Gabonie, gdzie Europejczycy mają już od wielu lat stosunki handlowe, a nawet kolonie, ofiary z ludzi są bardzo pospolite. Tamtejszy bowiem król, Deni, spostrzegłszy że jego władza znacznie osłabła, od czasu jak Francuzi owdładnęli żeglugę na głównej rzece, uciekł się do wzmocnienia sprężyn swój polityki, wznowieniem starożytnych zabobonów. W kraju tym każdy mieszkaniec wolny ma dwóch przyjaciół u siebie; jednego wybiera z nadbrzeżnych wiosek, drugiego z plemienia leśnych mieszkańców, posądzanego o ludożerstwo, nazwiskiem Bulu. Po śmierci Gabończyka jego matka i każdy z przyjaciół ma prawo żądać, żeby na cześć zmarłego ofiarowano niewolnika, a często liczba ofiar do trzech dochodzi. W razie nagłej śmierci Gabończyka, mieszkańcy najprzód starają się poznać czy na śmierć jego nie miały wpływu fetysze. Wtęj bowiem okolicy każdy daje zupełną wiarę czarownikom i skuteczności ich czarów. Pierwszém pytaniem jakie sobie zadają spotykający się jest: czy fetysz znajduje się w ciele nieboszczyka? Nadchodzi wreszcie chwila poszukania tego fetysza; a muszę tu nadmienić że fetysz, istota duchowa, wszedłszy w ciało człowieka, osiedla się w niem i przybiera pewną postać. Rozpoczynają się tańce i zabawy bachusowe około trupa badanego przez ofiarnika, który rozcina mu piersi aż do tak zwanęj głównej arteryi. Jeśli mu się podoba znaleźć fetysz, to odrzyna kawałek tej arteryi i pokazuje ją widzom. Wtedy koniecznie musi być spełniona ofiara oczyszczalna, a nią bywa osoba która rzuciła na umarłego urok, a w razie niewykrycia winnego, ofiarą bywa którykolwiek z niewolników.

Rozumié się że czarownik znajduje lub nie znajduje fetysza, a to stosownie do okoliczności. Wódz, zabiwszy niespokojnego poddanego, mąż, otruwszy żonę, przedsiębiorą środki żeby się nie znalazł fetysz, coby zwróciło zbytnią uwagę na zbrodnię, którą oni pragną ukryć pod ziemią. Kto inny znowu, chcąc zgubić swojego nieprzyjaciela, obwinia go o oczarowanie sąsiada, a przekupiwszy czarownika, nasycą we krwi piekielną swą zemstę. Jednym słowem zabobon ten jest straszną bronią, którą tutejsi królowie władają po mistrzowsku, stosownie do wymagań swój polityki.

Wykonanie wyroku odbywa się bardzo prostym sposobem: ofiarę ciągną do lasu i tam ktokolwiek odcina jój głowę; albo téż wiążą jój ręce i nogi i kładą w pirogę, którą kierują dwaj Bulu: za nadej-

ściem nocy czółno wypływa na odkryte morze, tam na burcie czółna odcinają ofierze głowę, a trupa rzucają w morze. Mówią także iż niewolników żywcem zakopują; niedawno temu losowi uległy dwie kobiety, z powodu śmierci ulubionój żony króla Deni.

Może kto powie że prześladowanie haniebnego handlu niewolnikami jest przyczyną tych zbrodni codziennie się popełniających. Ale czyż niewiadomo powszechnie że sam Deni dostarcza handlarzom niewolników ogromne ładunki Negrów? Tak więc śmierć tylu ofiar nie pochodzi z innego powodu jak tylko z instynktu do okrucieństwa i zabobonów, panującego na całym Afryki wybrzeżu.

BAGIENKO (AZALEA).

Oboczna rycina przedstawia nam w trzech gatunkach równie bogatą w kształty, jak w różnorodność kolorytu, *azalę*. Niepozorną tę przed niedawnym czasem roślinę, sztuka ogrodnicza potrafiła uczynić jedną z najpiękniejszych ozdób zbiorów kwiatowych. Uprawa téż azalei tém jest dla ogrodnika wdzięczniejszą, że bardzo łatwa i w skutkach prawie niewyczerpana; nietylko bowiem można krzyżować, łączyć jedne z drugimi różne gatunki stref zimnych z pochodzącymi z krajów ciepłych, ale nadto udaje się bardzo dobrze łączenie azalei z innymi zdobnymi krzewami, jakimi być mogą np. różne gatunki rododendronu (*rózaniec*), a otrzymane tym sposobem piękne mieszańce, nietylko same wydają płodne nasiona, ale jeszcze dają się łączyć z innymi gatunkami, i z takiego krzyżowania coraz nowe, bez końca, powstać mogą odmiany. Większą jeszcze w tych zlewkach doświadczenia ogrodnicze wykazały osobliwość: gatunki rododendronu nie mają z natury zapachu, kiedy przeciwnie zalecają się nim, po większej części, gatunki azalei, i ten ich zapach częstokroć przenosi się na mieszańce, to jest otrzymuje się wonne rododendry. Kwiaty wystawione na załączonym obra-

zie pod liczbą 1, pochodzące z nasienia gatunku *Azalea indica phoenicea*, upłodnionej pyłkiem gatunku *Azalea alba*, tak swemi cechami i całym ogólnym pozorem podobne są do rododendronu, iż gatunkowi temu nadaną została nazwa *Rhododendron ledifolium* (r. bagnolistny); w katalogach jednak ogrodniczych nazywany bywa *Azalea barbata, var. setosa* (az. brodata lub szczeciasta), a to z powodu liści które miewa wydatnie włosiste lub szczeciste. Gatunek oznaczony na rycinie cyfrą 2, ma katalogowe nazwisko *Azalea indica var. criterion*; oznaczony zaś cyfrą 3, nazywa się *Azalea indica var. admiratio*, obydwie zaś te gatunki należą do najnowszych, i bez zaprzeczenia do najpiękniejszych jakie w Anglii przez łączenie otrzymano.

Rodzaj *Azalea* równie jak *Rhododendron*, *Andromeda* (modrzewnica), *Arbutus* (chróscina) i *Erica* (wrzos) należą do jednéj i téj saméj naturalnéj familii roślin *wrzosowatych* (*Ericaceae*) które, a mianowicie téż wielki rodzaj wrzosów (*Erica*), tudzież rododendron i azalea już dostarczyły mnóstwo najpiękniejszych ozdób dla ogrodów kwiatowych i coraz nowych jeszcze gatunków dostarczać nie





C. J. J. J. J.

VAN DYK.

Druck u. Verlag der Liter. artist. Anstalt in Stuttgart.

przestają. Ogrodnicy i lubownicy zdobnych roślin, zwłaszcza ci którzy mniej zważają na cechy botaniczne roślin, ale raczej zajmują się ich uprawą w zamiarze dochowania się nowych odmian, tacy mówią lubownicy dzielą bogaty rodzaj azalei na gatunki i odmiany *gruntowe* i *wazonowe*; do pierwszych liczą gatunki pontyjskie i północno-amerykańskie, które wszystkie tracą liść na zimę i zwykle miewają w kwiecie tylko po pięć pręcików, drugi zaś oddział składają gatunki wschodnio-indyjskie, a te zachowują liść przez zimę i pospolicie miewają po dziesięć pręcików w koronie kwiatowej. Pierwsze szczególnie przydatne są do tworzenia okazałych grup kwiecistych na gruncie, pod gołym niebem, i piękne swe kwiaty wcześniej na wiosnę rozwijają. Atoli pielęgnować je chcący powinien być dosyć troskliwym w wyborze odpowiedniej ziemi; lubią ziemię piasczysto-torfową, dobry czarnoziem, ziemię wrzosową, lub też ziemię pomieszana z dobrze przetrawionym próchnem, wybranym ze starych pni dębowych, olszowych i innych, a wymagają koniecznie miejsca zasłoniętego od południowych promieni. W ostatnich czasach doświadczono że 1 lub 2 procent dodanego do ziemi torfowej kwasu siarczanego wielce sprzyja prędkiemu wzrostowi wszystkich gatunków Azalei. Przy zakładaniu w gruncie grup azalei szczególnie uważać trzeba aby nie tylko dobrą miały ziemię, ale żeby woda zpod nich łatwo ściekać mogła; ziemia bowiem torfowa i bagnisty czarnoziem łatwo kwasnieją, gdy w nich się woda zatrzymuje. Dla przesadzenia tych samych roślin w wazony, najlepiej będzie wydobyć je z gruntu na wiosnę, gdy soki ruszać się zaczynają, a wtedy łatwo się przyjmuje; albowiem drobne korzonki azalei tworzą w jej spodzie jakby perukę, która zwykle mało lub nie ucierpi przez przesadzenie, tém mniej kiedy się roślinę z wazonem przez jakiś czas w cieniu utrzymywać i czasami skrapiać będzie. Ostatnią pomoc, to jest skrapianie, lubią szczególnie grupy azalei w gruncie założone, a nadewszystko w czasie upałów letnich; dobrze im także służy przykrywanie w około nich ziemi warstwą mchu wilgotnego podczas upałów.

W wazonach gatunki pontyjskie i północno-amerykańskie przechowują się przez zimę w miejscu gdzie nie marznie; na wiosnę wymagają wiele światła i świeżego powietrza, a przytém obfitego, czę-

stego poléwania; szczególnie zaś skrapiać trzeba często pączki kwiatowe, aby się pięknie rozwijały. Postawione z wazonami na otwartém powietrzu nie znoszą wystawienia na słońce południowe, zwłaszcza gdy prosto padając na wazon, silnie je ogrzewa; dlatego najlepiej się temu zaradzi, zakopując wazon na rabacie lub na usypanej umyślnie do tego z grubego piasku grzędzie w ziemię aż po wręby.

Pontyjskie i północno-amerykańskie gatunki azalei i ich młodsze rozmnażają się albo z zasianego nasienia, albo szczepieniem w pieńki wypielęgowane z nasienia gatunku *Azalea pontica* lub innego, a to już za pomocą zwyczajnego szczepienia, już oczkowaniem, ablegrowaniem lub odkładaniem, jak się to robi z gwoździkami. Najwięcej tu zależy na obraniu dogodnego czasu do roboty: szczepi się na wiosnę, gdy już soki najlepiej krążyć zaczynają i pączki mają się ku rozwijaniu; robią się odkłady w miesiącu maju, na otwartym gruncie. Do przesadzania tych wszystkich gatunków przystępuje się po ich okwitnieniu.

Dla *indyjskich* gatunków azalei, do których należą trzy na załączonej rycinie wyobrażone, potrzeba koniecznie cieplarni, bo te pod gołym niebem u nas zimy nie wytrzymają. Pochodzą one z Azji południowej i z wysp Indyom Wschodnim przyległych; można atoli przechować je przez zimę w dosyć niskiej, tylko 4—6 stopni ciepła wynoszącej temperaturze, byle miały dosyć światła i mało były podlewane, zwłaszcza gdy słabo wegetują. Latem indyjskie azalee wymagają wiele świeżego powietrza i wody, niektóre nawet gatunki można bezpiecznie, bez żadnej dla nich szkody, wyjąć z wazonów i przesadzić w grunt otwarty w grzędę, dając im ziemię wrzosową; ale ta ziemia powinna być świeża, wcale jeszcze nie używana, i podczas suszy nie trzeba zaniedbywać częstego jej poléwania. Pod jesień, to jest w miesiącu wrześniu, egzemplarze w grunt na lato zasadzone, przesadzają się znowu do wazonów, a następnie, w miesiącu październiku, przenoszą do cieplarni. Gatunki indyjskie bardzo łatwo dają się pędzić i jeszcze piękniej zakwitają, gdy, przeniesione w tym celu do cieplarni, często pokrapiane będą wodą wyletnioną. Łatwo też rozmnażać je można przez sadzenie odciętych młodych pędów, najlepiej zaraz po okwitnieniu. Takie młode ablegry, w lutym będąc od-

cięte i w ciepłej grządce w piasku wilgotnym zasadzone, w 6 a najdalej w 8 tygodniach puszcza korzonki; ostrożnie jednak z przesadzeniem ich postępować należy i na jakiś czas koniecznie pod szklanym nakryciem trzymać je trzeba. Można też do rozmnażania tych gatunków użyć sposobów jakieś przy gatunkach pontyjskich wymienili, to jest szczepienia, oczkowania i odkładania. Szczepić można w miesiącu lutym lub marcu w cieplarni, lub wykonać tę operacyą, równie jak oczkowanie i odkładanie, w sierpniu, gdy rośliny są w gruncie, pod gołym niebem; ale po tej robocie roślinę przez pewny czas ocienić wypada. W przeciągu 30 dni zwykle zrośnięcie następuje. W ostatnich czasach powzięto myśl szczepienia młodych gałązek z gatunków indyjskich, mianowicie z żółto kwitnących azalei chińskich, szczepić w pieńki wyhodowane z nasion gatunku *Rhododendron ponticum*, i czynione w tej myśli doświadczenia doskonale się powiodły. Odkładanie czyli ablegrowanie wykonywać trzeba na gruncie w maju, i to koniecznie w ziemi wrzosowej, przywiązać odkład do palika, ścisnąć go także przy macierzystym pieńku i utrzymywać wilgotnie mchem mokrym otulony. Przez lato, do września, puści on tyle korzonków, iż bezpiecznie odłączyć go i do wazonika przesadzić będzie można; ale taki odkład wypadnie koniecznie wnieść do cieplarni i tam przez parę tygodni trzymać pod szklanym nakryciem. Chcąc wyhodować egzemplarze w pięknym kształcie, trzeba często przycinać młode zbyt bujające pędy i starać się nadawać krzewowi kształt mniej więcej zaokrąglony lub piramidalny.

Do roku 1825 znano tylko pięć odmian azalei indyjskiej, wszystkie białe lub blado-purpurowe; teraz są odmiany od najczystszej białej, przez wszystkie odcienie różowo-czerwone i purpurowo-czerwone, jak również prążkowane i pstrokate, a wszystkie otrzymano sztucznym umiejętnym hodowaniem, przez krzyżowanie, łączenie, mieszanie gatunków, szczepiąc jedne na drugich lub przenosząc pyłek z kwiatów na kwiaty, tak iż teraz zamiast dawnych pięciu indyjskich liczą w katalogach przeszło sześćdziesiąt odmian, które trudno porządnie opisać z przyczyny niezmiernie pomieszanych charakterów. Między azaleami pontyjskimi i północno-amerykańskimi żółty także kolor często się pokazuje.

Nic łatwiejszego nad przenoszenie pyłku kwiatowego z jednych kwiatów azalei na drugie, czyli sztuczne upłodnianie. Za otwarciem główek pręcikowych na wierzchnich końcach, pokazuje się w nich mała szczelinka, z której, delikatnym pędzlem lub cienkim piórkiem, wybiera się biały pyłek i przenosi na znamię słupkowe kwiatu upłodnić się mającego. Z kwiatu znów który obcym pyłkiem upłodnić chcemy, skoro się tyle rozwinię iż wyraźnie widzieć w nim można słupek i pręciki, uprzedzając pęknięcie ich główek pyłkowych, wycina się ostrożnie, małymi nożyczkami, wszystkie pręciki, poczem, jak mówiliśmy, utarawszy pędzelek w pyłku kwiatu zapłodnić mającego, pocięra się nim lekko, ostrożnie, znamię w kwiecie pozostałego słupka. Ponieważ to znamię bywa zwykle lepko-wilgotne, przeto pyłek z pędzela łatwo do niego przylgnie i na niem pozostanie. Pomyślny skutek tej operacyi zależeć będzie głównie od przyzwoitego czasu w jakim zostanie wykonaną; nadewszystko nie przystępować do niej zapóźno, kiedy już kwiaty same się upłodniły, ani też zawcześnie, kiedy słupki i pręciki nie dosyć jeszcze rozwinięte. Żeby się sztuczne zapłodnienie powiodło, potrzeba nie tylko wyciąć wprzód wszystkie pręciki z kwiatu upłodnić się mającego, ale i ze wszystkich kwiatów przyległych mu na tymże pieńku, a szczególnież uczynić to z kwiatami wyżej lub obok niego rosnącymi, z którychby pyłek łatwiej dostać się mógł na kwiat sztucznie upłodniony. Skutek upłodnienia poznać można z tego, że kwiat po niem prędko więdnije, a guzik owocowy prędko nabrzmięwa. Rozumie się samo przez się, że dla rozróżnienia kwiatu sztuką zapłodnionego od innych na tejże roślinie znajdujących się, trzeba go podwiązać lyczkiem lub innym sposobem oznaczyć, aby się potem przy zbiorze nasienia nie pomylić.

Już Grecy i Rzymianie starożytni znali Azaleę pontyjską, pod nazwą *Aegolethron*. W greckiej mitologii pod tem imieniem uważano ją za jedną z czarownych roślin, które zapelniać miały ogrody córki nocy nad rzeką Phasis w Kolchidzie. Być może iż tę sławę u starożytnych winna była azalea swą przyjemną, mocną wonią, podobną do zapachu powoju wonnego; woń tę szczególnież wydają żółte kwiaty azalei, a przydłuższe jej używanie łatwo sprawia zawrot głowy. Z jej to może kwiatów zbierały pszczoły ów sławny miód, któ-

rym, według podania Ksenofonta, potruć się miało dziesięć tysięcy greckich żołnierzy powracających z Persyi. Wszakże nietylko azalea, ale i inne rośliny rodziny wrzosowatej posiadają własność odurzającą. Mocniejszą nad inne znajdujemy w malej. u nas dosyć pospolicie dziko rosnącej po lasach i zaroślach, krzewinie zwanój *bagno pospolite* (Le-

dum palustre). Lud nasz używa tego krzewu za lekarstwo dla trzody chlewnój i zwykł go rzucać do legowisk świni po chlewach, a mniej sumienni podobno mieszają go do piwa, dla nadania temu napojowi mocy odurzającej.

E. L. b. pr. n. p.

ANTONI VAN DYK.

Najznakomitszy ten uczeń Rubensa, słusznie królem portrecistów nazwany, urodził się w Antwerpii roku 1598 czy 1599. Ojciec jego służył z biegłego malowania na szkle, a matka z artystycznego wykonywania haftów kanwowych. Pierwszym nauczycielem jego w malarstwie był Henryk Van Balen, którego zręczny rysunek i świetny koloryt w początkach zaraz młodzieniec umiał sobie przyswoić. Wkrótce atoli rozgłośna sława pierwszego mistrza szkoły flamandzkiej, Rubensa, pociągnęła za sobą i Van Dyka. Wszedł do pracowni jego, i niezadługo do tego stopnia przewyższył wszystkich współpracowników, że Rubens powierzył mu wykonanie kilku wielkich rysunków. Bitwa amazonek i kartony do tapet wyobrażających historią Decyusza Mus'a, zjednały mu szacunek i zaufanie mistrza, którego już odtąd był raczej współpracownikiem jak uczniem.

W tym czasie Rubens, czy z życzliwości dla wiele obiecującego młodziana, czy też, jak niektórzy utrzymują, dla oddalenia niebezpiecznego współzawodnika, poradził Van Dyk'owi podróż do Rzymu i Wenecyi. Przed wyjazdem jeszcze z Antwerpii młody Antoni wymalował trzy obrazy: *Ecce homo*, *Chrystusa na górze Oliwnój* i *malżonkę Rubensa*, za co mu ten ofiarował pysznego białego konia. Opatrzony w pisma polecające swego mistrza, Van Dyk nakoniec wybrał się do Włoch. Lecz w drodze, o kilka mil od Brukselli, w wiosce Savelthen, zatrzymała go miłość dla ładnej wieśniaczki, i temu to przypadkowi niepozorny kościółek tej wioszczyny zawdzięcza dwa śliczne obrazy ołtarzowe, jeden przedstawiający kochankę Van Dyk'a ja-

ko Madonnę, drugi jego samego w postaci św. Marcina, na koniu Rubensa.

Nierozsądna ta miłość groziła przerwaniem tak świetnie rozpoczętego zawodu młodego artysty. Rubens wszelkimi sposobami starał się rozplomić w nim na nowo żądzę sławy i przywiązanie do sztuki. Nasłał w końcu na niego kawalera Nanni, którego wymowne przedstawienia ocknęły przecież rozkołysanego zgubną namiętnością młodzieńca: Van Dyk, po długim oporze, udał się do Wenecyi. Tu, otoczony arcywzorami Tycyana, Pawła Weronczyka i kilku mistrzów żyjących, przejął się ich metodą. Koloryt jego nabrał więcej ciepła, rysunek więcej poprawności; szerokie, energiczne kontury Rubensa ustępować zaczęły typom bardziej wykończonym i miękkim, przejmowanym niekiedy od starszego Carracci i Guido Reni. Tak na przykład postacie aniołów na obrazach jego z tej epoki mają piękność nieco zniewieściałą utworów pierwszego; Madonny, wdzięk i delikatność drugiego. Być może zresztą że właśnie to przyswajanie sobie zalet mistrzów włoskich odjęło na później stylowi malarza niderlandzkiego owę śmiałość, siłę i natchnienie cechujące dzieła Rubensa, nie często bowiem zapal prawdziwy połączyć się daje z sumienną dokładnością.

Przebywając naprzemian w Wenecyi, Genui i Rzymie, a później we Florencyi, w Turynie i Sycylii, Van Dyk pracował nieustannie. Galerya Duzazzo w Genui posiada między innemi wyborny jego portret księcia Moncado na koniu, znany ze sztychu Rafaela Morghen'a. W Rzymie wykonał wizerunek znanego opiekuna sztuk pięknych i poe-

ty, kardynała Bentivoglio, tudzież osiadłego tam Anglika Roberta Sherley z żoną, w Palermo wielki obraz ołtarzowy,—a wszędzie przyjmowano go z zaszczytami i płacono sowicie.

Rozniósłszy tak sławę imienia swojego po całym półwyspie, Van Dyk powrócił do ojczyzny, gdzie zaraz, jako rezultat kilkoletnich swych studyów nad mistrzami włoskiemi, wymalował św. *Augustyna* i *Ukrzyżowanie*. Mówią że Rubens w tym czasie ofiarował mu rękę najstarszej swjej córki; ale jej nie przyjął, palając oddawna miłością dla pięknej Heleny, drugiej żony Rubensa. Być może także iż go dręczyła zazdrość współkolegów; dosyć że niezadługo porzucił miasto rodzinne, udając się do Hagi, na zaproszenie Fryderyka de Nassau księcia Oranii, i tam wykonał nietylko portrety samego księcia i jego rodziny, ale wszystkich prawie osób znakomitych jego dworu.

Z Hagi Van Dyk udał się do Londynu i Paryża, lecz nie znalazłszy spodziewanego przyjęcia, powrócił do Antwerpii, i tu dla miasta Dendermonde zrobił *Krucyfiks* i *Narodzenie Chrystusa*, dwa obrazy do najcelniejszych dzieł jego należące. Na umyślnie potem zaproszenie króla angielskiego Karola I powtórnie wyjechał do Londynu. Przyjaciel jego Digby przedstawił go królowi, a Karol na pierśiach artysty własnoręcznie zawiesił złoty łańcuch, z wizerunkiem swoim bogato brylantami wysadzonym, obdarzył go znakomitą płacą roczną i kazał dlań urządzić dwa mieszkania, letnie i zimowe.

W Anglii dopiero zaczęła się dla Van Dyk'a epoka największej świetności, chociaż w tym właśnie czasie oddał się przeważnie portretowaniu. Rzeczywiście też zdolność indywidualna musiała go pociągać ku temu rodzajowi, wymagającemu nie tyle genialnej kompozycji, ile raczej trafnego uchwycenia postaci odosobnionych. Penzel Van Dyk'a, pełen wykwinności i wdzięku, nadawał obliczu osób portretowanych charakter szlachetny i spokojny, karnacją przejrzystą i łagodną. Z biegłością mistrzom tylko tej sztuki właściwą umiał on dla każdej fizyognomii wynajdywać wyraz najkorzystniejszy, a razem najbardziej naturalny, nie wybięrajac nigdy momentów ulotnej namiętności; ztąd każdy jego portret dozwala widzowi wejrzeć niejako w głąb' myśli, przeniknąć tajniki duchowe przedstawionej osoby.

Dwór Karola I obfitował wtedy w znakomitości, w których odwzorowaniu mistrz niderlandski rozwinąć mógł cały przepych, całą wykwinność swjej palety. Takie też portrety najlepiej mu się udawały, gdy przeciwnie od typów pospolitych talent jego zdawał się stronić. Figury mieszczan Van Dyk malował obojętnie, kopiując wiernie naturę, lecz nie chcąc, czy nie umiając, uzacniać swego wzoru, niższy w tém nieskończenie od Rubensa, który brzydocie nawet nadawał pociąg i zajęcie piękności. Właściwie przeto Van Dyk w postaciach tylko osób znakomitych zasługuje na miano pierwszego z portrecistów; w innych przyćmiwa go Rubens, jak przyćmił wszystkich co poszli jego śladem.

W Londynie Van Dyk prowadził dom otwarty z prawdziwie książęcą wystawnością. Festyny jego, w których najwyższa arystokracja brała udział, słynęły ze smaku wykwinnego i świetności, urozmaicone popisem najpiękniejszych talentów muzycznych i mimicznych owego czasu. Zbytek ten i wszelkiego rodzaju rozkosze zmysłowe, którym oddawał się bez braku, wyczerpywały jego mienie i siły. Jednakże dochód ogromny pokrywał z okładem te wydatki; obrazy Van Dyk'a płacono po cenach niesłychanych, chociaż najczęściej nad jedną głową nie pracował dłużej jak dzień albo parę. Pomimo też nieogłędnej rozrzutności zostawił 100,000 talarów w gotowiznie, i byłby pewnie zostawił daleko więcej, gdyby w ostatnich latach nie poświęcał się alchemii. Stępionego życiem niepomiarkowanym artystę księżę Buckingham starał się odżywić, dając mu za żonę młodą i cudnej urody Maryą Ruthwen, córkę szkockiego hrabi Goree. Van Dyk odwiedził z nią miasto swe rodzinne, a potem udał się do Paryża, w zamiarze malowania galeryi Luwru. Zastawszy jednak tę pracę powierzoną już Poussin'owi, powrócił chory do Londynu, i tu przedłożył królowi projekt do kartonów mających upamiętnić ważniejsze uroczystości dworu angielskiego. W wykonywaniu atoli tego dzieła r. 1641 zaskoczyła go śmierć przedwczesna. Zwłoki jego przeniesiono do kościoła św. Pawła, a Cowley, współczesny poeta, ułożył mu napis grobowy.

Natura obdarzyła Van Dyk'a uczuciem pięknym i harmonii, których szlachetna osobistość jego wiernym była obrazem. Twarz jego, wdzięczniejsza od twarzy Rubensa, mniej zato wyrażała siły, i można

powiedzieć że różnica talentu obu tych mistrzów odbijała się w ich rysach. Rubensa geniusz był wszechstronny, twórczy we wszystkich rodzajach. Van Dyk przeciwnie prawdziwą oryginalność rozwija tylko w portretach. W większych kompozycjach swoich, po kilku próbach w stylu włoskim, wszędzie on prawie naśladowuje przedstawiciela szkoły flamandzkiej, chociaż to czyni nie jak kopiista niedołężny, tylko jak uczeń zachwycony mistrza zaletami, z zapalem wstępujący w jego ślady, lecz umiejący przytém swoim pracom nadać charakter odrębny. Gdyby nawet Van Dyk przeważnie był się zwrócił ku rodzajowi wzniosłemu, wątpić należy czy kiedykolwiek stanąłby na wysokości Rubensa; zbywało mu bowiem na zdolności obejmowania jednym rzutem oka wszystkich szczegółów szerokiej kompozycji i kojarzenia ich w sposób najwłaściwszy, najbardziej efektowy. W wysokim za to stopniu posiadał zdolność wcielenia powziętej myśli w pojedyncze postacie i nadania im siły

dramatycznej. Nikt pewnie nie przewyższył go dotąd w przedstawieniu Chrystusa konającego na krzyżu. Zbawiciel Rubensa, idealną przejmujący świętością, nie w sobie nie ma ziemskiego: Van Dyk przeciwnie z bozkością złączył umiał oznaki śmierci doczesnej. Ciało Ukrzyżowanego, blade i pochylone, w obrazach jego drgać się jeszcze zdaje ostatniem życia wysileniem, podczas gdy głowę omracza już cień śmiertelny; lecz wstrętny ten widok dogorywania zacięra wyraz nieporównanej powagi, słodyczy i pobłażania w rysach Tego, co umierając przebaczył swoim wrogom.

Wszystkie znakomitsze galerye europejskie posiadają obrazy historyczne i portrety Van Dyk'a. Niektóre z nich (np. *Ecce homo*, portret Tycyana i inne) sam autor rytował na miedzi, a sztychy te, mimo niedbałego napozór wykonania, wysokie są wartości artystycznej. Z uczniów Van Dyk'a cenniejszemi są: Dawid Beek, Bertrand Fouchier i Jan von Neyn.

O INSTRUMENTACH SMYCZKOWYCH.

PRZEZ FRYDERYKA KANIGOWSKIEGO.

(Dokończenie).

Oddawna i u nas wyrabiano znamienite instrumenta smyczkowe, a nawet szczycić się możemy że wcześniej daleko jak w Niemczech. Pomiedzy krajowemi fabrykantami znajdujem takiego, co wyrównywa najpiérwszym zagranicznym; było Groblicz pracujący w Krakowie. Wyrabiał on instrumenta które nietylko w niczém nie ustępowały najlepszym ze szkoły Breściańskiej, ale nawet powleczone były pięknym werniksem, a dziś, jeśli ich nie zepsuła źle zrozumiana naprawa, wyrównują instrumentom Magginiego, tak dalece, że handlujący instrumentami prace Groblicza za Magginiego sprzedają. Groblicz jak Maggini osadzał podwójne forniry, zakończone szijkę pięknym ślimakiem, często nawet akuracniej robionym jak u ostatniego. Nie widać żadnych jego roboty skrzypiec,

któreby miały szachownice lub inne rysunki inkrustowane, jak to bywało w szkole Breściańskiej.

Znajdujem także wiele instrumentów ówczesnych różniących się od wyrobów Groblicza tém, że krawędź jest odmiennie zaokrągloną, i na nich widzimy rozmaite rzeźby przy szyjkach. Boki przy wiolonczellach, viole de gamme i innych pośrednio bassowych instrumentach, często składają się z kilku pasków różnobarwnego drzewa, pomiedzy któremi mieści się ozdobny fornir; tak samo widzimy deseniowy fornir osadzony ponad krawędzią instrumentu. Robota tych instrumentów jest akuracną, a skrzypce cokolwiek wypuklejsze od Groblicza.

Nigdy nie zdarzyło mi się w takich instrumentach znaleźć kartki; tak samo nie dostrzegłem instru-

mentu któryby miał kartkę z napisem iż jest roboty Mateusza Dobruckiego; zmarłego roku 1602 w Krakowie, po którym spisany inwentarz jawnie okazuje, że robił instrumenta smyczkowe. Być może iż wyżej opisane instrumenta są jego roboty, bo starość ich i odrobienie noszą cechę XVIgo wieku.

Na sposób Groblicza robił w Warszawie Jan Dankwart, którego instrumenta, z mniejszą akuratnością wykończone, powlekane były spirytusowym lakierem. W dźwięku nie wyrównywają ony instrumentom Groblicza. Pielchowski (ojciec) w Krakowie werniksował swoje instrumenta. Skrzypce jego, odznaczające się większą akuratnością od Dankwartowskich, zbliżone są do klassycyzmu szkół włoskich, a niektóre z nich służą do koncertów. Jan Kwiatkowski wraz z ojcem pracowali w Warszawie w zeszłym wieku, a Jan do 1813 roku. Trzymali się oni szkoły Kremonskiej, nadawali swoim instrumentom wypukłości w sposób Andrzeja Guarneriego i powlekali je spirytusowym lakierem. Karol Troszczyński, uczeń Jana Kwiatkowskiego, robiący na wzór Józefa Guarneriego, nie wykończył instrumentów swoich z tą akuratnością, jaką się odznaczał nauczyciel jego Kwiatkowski, lecz przerobione przez korektora w wiadomości uposażonego stają się dobrymi.

Jeżeli w naszym kraju nie pozostało stosunkowo tyle dobrych instrumentów jak we Włoszech, to nie pochodzi z przyczyny iż liczba wyrabiających takowe była mniejszą, ale z lekceważenia instrumentu pozornie tak prostego, a mało u nas cenionego. Zdarza się bowiem że skrzypce bez puzderka w słotnej porze przenoszą, w mieszkaniu wilgotnym przy murze lub ścianie wieszają, (wieszanie nawet przy suchym murze instrumentowi szkodzi) zdarza się niedozór co do strun i czystości, jak niemniej niestaranne zapakowanie w przewożeniu ich z miejsca na miejsce. Instrumenta przechowane w puzderkach stawiają po większej części na podłodze, często nawet w parterowych mieszkaniach. Instrument gdy w puzderku, choćby na pierwszym lub którymś wyższym piętrze, na ziemi stoi, przyjmuje wilgoć w siebie i ulega zepsuciu, bo atmosfera przy podłodze jest wilgotniejsza jak w wyższych warstwach, co wielki wpływ wywiera na czułość deszczulek. Dla włoskich instrumentów sprawiają puzderka aksamitem wyklejone i przykrywają je kolderką jedwabną watomaną; prócz tego jeszcze

puzderko zaopatrzone jest pokrowcem skórzanym flanelą podszytym, i pewnie nikomu nie przyjdzie na myśl stawiać je na ziemi; a biedny polski instrument, (bo krajowy) jakbądź czasem lepszy od włoskiego, poniewiera się po kątach; jednem słowem tak delikatny wyrób wystawiony jest na wszelkie przygody, i więcej pamięta się o bajkach o starém drzewie, jak o zabezpieczeniu instrumentu od szkodliwych wpływów.

Nie na tém jednak ogranicza się męczeństwo instrumentów u nas, bo każdy niemal grający podług swego widzimisię wynajduje ulepszenia i poprawki, nie mając żadnych wiadomości o konstrukcyi i zasadach stanowiących dobroć instrumentu, i jeżeli nie sam śmiałą ręką poprawki uskutecznia, powierza je człowiekowi nieobeznanemu z nauką, a często nawet nieposiadającemu akuratności potrzebnej do uskutecznienia ręcznych robót w tym fachu.

Niektórzy barbarzyństwo do tego posuwają stopnia, że z większych instrumentów, nawet klassycznych, robią mniejsze, ale nie obrzynają ich do koła, bo toby była zbyt trudna robota dla naszych rękodzielników, lecz u góry i u dołu od desek ścinają okrągławe kawałki, i tak nielitościwie kalęczą instrument, niemający już w podobnym przekształceniu ani zakończenia wypukłości, ani formy właściwej, a przytém essy zbyt duże. Znaleźli się i tacy co zapragnęli aby ich instrument większy ton wydawał, i zdawało się im że to osiągną przez powiększenie essów. Essy, rznięte niegdyś ręką klassyczną, niezgrabna dłoń popsula, a ton stawał się coraz mniej czystym. Pomimo tych szkodliwych przeistoczeń, rzecz szczególna, iż każdemu zdawało się że ton skalęzonego instrumentu stał się lepszym; lecz zadowolenie niedługo trwało; przyszła chwila w której się przekonano że instrument dawniej był lepszym, i wzięto się znowu do przerabiania go na pierwotną wielkość, ale ton jego nie był już takim jak przed pokaleczeniem.

Do częściowego lub zupełnego popsucia wielu instrumentów smyczkowych przyczyniła się także błędna teoria Maupertius'a, twierdzącego: „że strunowe instrumenta powinny się składać z włókien drzewnych rozmaitej długości, które liczbę drgań struny powtarzają, czyli że drgając równocześnie ton takowej wzmacniają.

Daléj Maupertius twierdzi (co i do dziś dnia zdaniem jest niektórych): „że skrzypce stają się lepszymi jeśli zostaną potłuczone, a następnie znów posklejane, a to z powodu że wtedy liczba włókien rozmaitej długości powiększa się, przez co (podług jego zdania) instrument zyskuje więcéj drewnianych strun (włókien).“

Kto obeznany jest choć w części z zasadami budowy instrumentów smyczkowych, ten wie iż pierwszą podstawą budowy jest, aby spód i wierzch w całej swéj rozciągłości razem w drganie wprowadzić; a jeżeli złamanie instrumentu i akuratne sklejenie nie tak dalece go zepsują, iżby się zupełnie stał nieużytecznym, to przyczyny tego szukać należy w naturze drzewa, którego posklejane płyty drgania swoje przenoszą. Dowiedzioném jest, że płyty całego drzewa tak przed złamaniem jak i po sklejeniu jednakowo swoje drgania odbywają, o czém przekonać się można próbując je w akustyczny sposób. Wprowadziwszy płyty w drganie, uważa się na figury które takowe wykréslają, a kształt tych figur okaże się taki sam przy całej płacie, jak później gdy taż złamana szczelnie sklejoną zostanie. Podobnież nikt temu nie zaprzeczy, iż sklejo-
ne miejsca, choćby najlepszym klejem i najakuratniej zespolone, koniecznie wpływowi powietrza i wilgoci ulegają.

Zaledwie dowiedziano się u nas o teoryi Maupertiusa, gdy zaraz z największą skwapliwością zaczęto tłuc dobre instrumenta, aby przez sklejenie jeszcze lepsze uzyskać; a gdy takowe zamiast lepszymi stawały się gorszymi, zaczęto wybiérać z nich drzewo. Powodem do tego były zapewne ordynaryjne instrumenta, w których proporcye grubości płyt, nie były zachowane; gdy więc po złamaniu i nierówném sklejeniu zrównano wystające miejsca, instrumenta lepszymi się stawały, bo przypadkowo do więcéj właściwej grubości zostały zbliżone; upowszechniało się zatem mniemanie, że przez cieńsze płyty instrument na tonie zyskuje. Postrzeżenie to niezawodnie musiało się nastręczyć ludziom niezającym nauki o budowie instrumentów, bo przyjąwszy powyższą zasadę, wzięto się do skrobania najlepszych, nietylko u nas, ale i za granicą instrumentów. Po niejakiem czasie okazało się jak ciężko błędzono, i wtedy nic więcéj nie pozostawało, jak napowrót drzewo wklejać w skrobane instrumenta; a że to robota wcale nielatwa, wy-

magająca zupełnie wykwalifikowanego korektora, więc rzadko kiedy dobrze bywała uskutecznią. Zdarzają się i takie instrumenta w których ręczna robota jest dobra, lecz na właściwość drzewa wcale nie zważano; bo, jak już wyżej nadmieniono, brano za zasadę, aby do wklejania używać starego drzewa, nie wchodząc w to, czy takowe co do drgań zgadzało się z dawném. Przypuśćmy nareszcie że właściwe drzewo przez akuratnego korektora dobrze wsadzone zostało, to jednak zdrowy rozsądek wskazuje, iż jeżeli ta masa drzewa jest potrzebna instrumentowi, to gdy takowy posiada własną, musi być lepszym od instrumentu z częściami wklejanymi. Przy dobrych tylko i starych instrumentach warto w powyższy sposób uskutecznić wklejanie, bo stare ich części z dobraném drzewem przez ogranie podobnorodnych drgań nabierają, i tym sposobem instrument staje się użytecznym i nadal świata się zachowuje.

Żaden może przedmiot na świecie, przy powierzchowném podobieństwie, nie jest tak różnorodnej ceny jak instrumenta smyczkowe; bo można skrzypce dostać za rubla srebrem, kiedy za inne dają 1,000, 1,200, 1,500 rs., niemniej za wiolonczellę płacą od 10 do 15 rs., kiedy wiolonczella roboty Stradivarego, którą kupił hrabia Wielhorski, kosztuje 25,000 rubli assygnacyjnych, a Franchomme, pierwszy wiolonczellista paryzki, zapłacił za swoją 30,000 franków. Nikt zapewne napróżno piędzy nie wydaje, a tém bardziej artysta, który je ciężko zapracować musi; więc cyfry te wymownym są dowodem znamienitej różnicy jaka zachodzi pomiędzy instrumentem klasycznym, budowanym podług zasad, a instrumentem fabrycznym. Jednakże tak wysokie ceny płacą się li za instrumenta klasyczne dobrze zakonserwowane.

Skrzypce podług zasad zbudowane powinny mieć deszczulki nastrojone do pewnych tonów, a to w taki sposób, że połączone razem, jak niemniej masą powietrza w nich zawartą, powinny wydać ton *c* fizyczny = 512 drganiom wibracyjnym na sekundę, które to *c* w dzisiejszym stroju odpowiada tonowi *ces*. Jeżeli przy robieniu, skrzypce są oparte na téj zasadzie i takową sumiennie im wcielono, to ony wydają najpiękniejszy i najmocniejszy ton, jaki od ich gatunkowości wymagać można, i to jest zasadą podług której Stradivarius i Guarneri swoje skrzypce robili. Jednakże nie można żądać aby

instrument miernego autora, którego części przez w wiadomości uposażonego korektora zbadane i w powyższy sposób przestrojone zostały, dźwiękiem swoim wyrównywały instrumentom tych wielkich mistrzów, bo to zależy w części od wrodzonych zdolności robiącego. Oprócz wyższej akuracji i kształtności, doskonałość instrumentu uzyskuje się przez trafne połączenie części między sobą, zrównanie ich, rozprowadzenie wypukłości i wklęsłości, wygładzenie wszystkich części, nareszcie przez właściwe wyrznięcie essów, zachowanie rozmiarów i nadanie powłoki, co wszystko w różny sposób da się wykonywać. Te jednak szczegóły po ukończeniu instrumentu tak dalece są niedostrzegalne, że tylko wprawne oko fabrykanta widzieć je może, i to takiego, co potrzebnymi ku temu przymiotami od natury jest obdarzony.

U nas w ogóle inne jest zdanie, bo wielu utrzymuje iż nawet pomiędzy skrzypcami chłopskimi (tak nazywają u nas fabryczne instrumenta) można wybrać bardzo dobre. Twierdzą dalej że dobroć skrzypców jest przypadkowa, a tём samém instrumentów robionych według zasad nie cenią prawie wyżej od fabrycznych, chociaż naocznie przekonać się można iż pierwsze są kształtniejsze i lepszy ton wydają. Może nadejdzie chwila w której te mylne zdania umilkną, w której pogardzimy szarlatanizmem i nastąpi możebność rozróżnienia miernego wyrobu od dobrego, a wtedy i u nas jak w Paryżu znajdziemy skrzypce dobre, nabierające przez czas jeszcze wyższej doskonałości, a zarazem w przyszłości wysoką cenę; boć materiałem do robienia tych instrumentów zarówno wszędzie jest drzewo, a nasze jedno z najlepszych.

Wszystko co dotąd powiedziałem o skrzypcach, najzupełniej odnieść się daje i do wiolonczelli; podaję więc w tём miejscu tylko zasadę jej budowy. Deszczułki wiolonczelli stroją się do takich tonów, iżby połączone wraz z jej masą powietrza wydały mniej więcej ton $f=170,85$ drgań wibracyjnych na sekundę. Instrument ten dawniej wyłącznie używany był w orkiestrze i w kwartetach. Długo też ograniczano się na pisaniu dla niego kiedyniekiedy solowych partyj, gdy na początku naszego wieku pojawił się Bernard Romberg, kapelmistrz dworu pruskiego, który zbadawszy piękne wiolonczelli zalety, pierwszy długoletnią pracą podniósł ją do rzędu jednego z najznakomitszych instrumentów

koncertowych. Wiolonczella z którą Romberg całą Europę objechał i zadziwił była roboty Stradivarego.

Altówki w ogóle robiono bez powyższych zasad; różniły się ony tём tylko od skrzypców, że nadawano im nieco większe rozmiary, co nawet pokazuje się przy altówkach robionych przez najpierwszych mistrzów. Tak dawniejsze jak późniejsze altówki strojne są w połączonych deszczułkach i w massie powietrza do tonu $c=512$ drgań, jak skrzypce. Z tego powodu instrument ten nie odpowiada swojemu założeniu.

Savart, członek akademii paryzkiej, radził aby altówki w taki sposób wyrabiać, iżby ich masa powietrza miała $f=341,70$ drgań wibracyjnych na sekundę; jednakże nie narzuca on swego zdania, bo wzywa dobrych fabrykantów aby w tём mierze robili doświadczenia (1).

Instrumenta smyczkowe różnią się od wszystkich innych tём, że nie mają miejsc stale oznaczonych, za używaniem których grający potrzebne tony wydobywa. Oznaczenie tych miejsc przy niesmyczkowych instrumentach osiągnięto przez prace naukowe; lecz mimo to okazało się iż niepodobna ich tak ustalić, aby wszystkim tonom nadać ową świetną czystość intonacji, właściwą wykształconemu śpiewowi, i instrumentom smyczkowym. Ale też za to ile trudności ma do zwalczenia artysta używający tych ostatnich, tём bardziej że skala ich zawiera 4 oktawy całych tonów, oprócz flazoletowych, które czysto wydobywać należy nietylko w najszybszym tempie i rozmaitej rozległości, ale nawet często w podwójnych i potrójnych tonach.

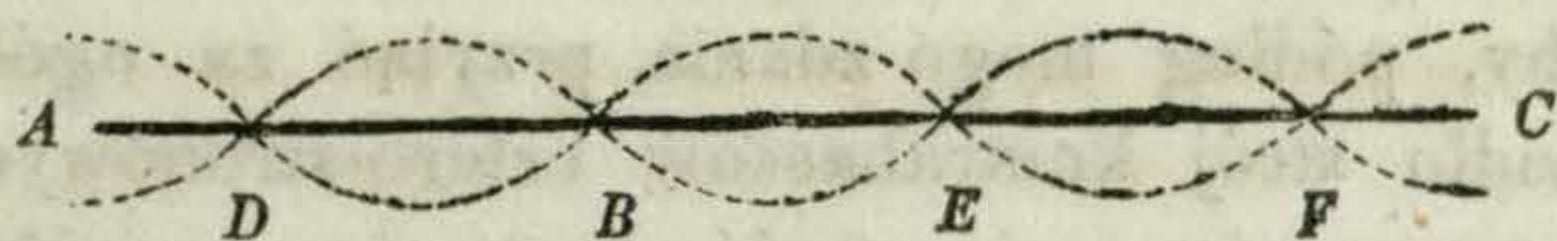
Aby więc grającemu w tak trudnym zadaniu przyjść w pomoc, powinnością jest robiącego dobre instrumenta ażeby szyjce nadać taką długość, jakiej wymaga skrzynka instrumentu smyczkowego. Jeżeli szyjka za krótka, to tony przypadające na część gryfu do szyjki przyklejonego za blisko siebie znajdują się, tony zaś na części gryfu nad instrumentem wystającej leżą tak zbliżone do pod-

(1) Pan Kanigowski na wystawie warszawskiej z 1845 roku okazał bardzo dobrą altówkę własnego pomysłu, której powietrze stroiło o czystą tereyą niżej od skrzypiec, a zatém odmienną równie od budowy zwyczajnej, jak od wymagań p. Savart. Bliższą w tym przedmiocie wiadomość zawiera Gazeta Codzienna z d. 10 lipca 1845 Nr. 53. (przyp. Redakcyi).

stawka, że ich trudno osiągnąć. Jeżeli zaś szyjka zadługa, powstaje wtedy jeszcze większa trudność, bo tony w ogóle dalej od siebie leżące, a przypadające na skrzynkę instrumentu, zastajemy na części gryfu do szyjki przyklejonego, i instrument przez to traci wiele na dobroci tonu. W obu tych zdarzeniach, przy największej przytomności i wprawie grającego, czysta intonacja staje się oniemal niepodobną, a ztąd osoby nawet wybornym obdarzone słuchem, w szybkich pasażach czasem grywają nieczysto (1).

Natura ciał elastycznych sama mieści w sobie prawidła, za pomocą których grającemu to trudne zadanie staje się łatwiejszym (2). Od fabrykanta instrumentów zależy takowe zastosować, a od grającego zbadać instrument czy fabrykant długość szyjki zrobił odpowiednią do skrzynki. Rozpoznanie tego jest łatwe i osiągnięciem być może przez grającego w następujący sposób.

Każda wyprężona struna, jakiejbydł długości, dzieli się na pięć drgających części, które przedzielają cztery punkta; punkta te w akustyce nazwane są węzłami. Dla łatwiejszego zrozumienia zamieszczam tu figurę.



Prosta linia *AC* przedstawia elastyczne ciało czyli strunę wyprężoną, która smyczkiem w drganie wprowadzona, przybiera kształt określony tu dwiema liniami wężykowatemi. *D, B, E, F*, są to wyż wzmiankowane węzły, w których lekko dotykając strunę palcem, w taki sposób w jaki się flażolety wydobywają, znajdujem cztery razy jeden i ten sam ton, który czy go na wyższym czy na niż-

(1) Nadmienić tu wypada, że wszyscy dawniej żyjący autorowie instrumentów smyczkowych, włoscy, francuzcy, niemieccy i polscy, nawet Stradivarius i Guarneri, robili krótsze szyjki jak naukowa teoria budowy skrzypiec wymaga. Przyczyną tego być mogło iż wtedy niższy strój w muzyce był przyjęty, oraz że w kompozycjach dawniejszych nie używano tak trudnych, rozległych pasażów, jak w późniejszych.

(2) O ruchach ciał elastycznych, ściągających się do drgań mechaniczno-akustycznych obszerniejszą wiadomość obejmuje dzieło pod tyt. „Die Akustik bearbeitet von Ernst Florens Friedrich Chladni. Tom II, str. 64 § 48 z przypiskiem.

szym węzle wydobywamy, zawsze z jednakowem brzmieniem słyszeć się daje. Wyobrażając sobie że punkt *A*, jest prożek przez który struna przechodzi do kolka, punkt *C*, miejsce w którym struna spoczywa na podstawku, to w takim razie *A, B*, jest długość szyjki, a *B, C*, długość części skrzynki od forniru około krawędzi osadzonego do miejsca gdzie podstawek na instrumencie stoi. Jeżeli grający na jednej ze strun te cztery równobrzmiące flażolety wynalazł, to należy przy drugim, to jest w punkcie *B*, strunę palcem przycisnąć do gryfu, i przekonać się czy krawędź brzośca palca spoczywa na gryfie nad miejscem gdzie w krawędzi instrumentu fornir jest osadzony, a jeżeli tak jest, to oznacza że długość szyjki dokładnie zastosowana do instrumentu.

Na tak urządzonym instrumencie łatwiej będzie trudne kompozycje wykonywać, bo z każdą następującą pozycją proporcjonalnie odległość tonów się zmniejsza. Rodzice którzy każą swoje dzieci uczyć grać na instrumentach smyczkowych, powinni uważać aby przy najmniejszym instrumencie, na którym dziecko zaczyna naukę, zachowaną była powyższa zasada; w przeciwnym razie postęp nauki staje się wolniejszym i utrudzonym, a przy odmianie na większy instrument, nastąpi nowa trudność układania palców i chwianie się w czystej intonacji.

Zasada wyżej podana dla szyjki instrumentu stosuje się do skrzypców, altówki i wiolonczelli; dla kontrabassu jest inna, bo instrument ten powinien mieć szyjkę takiej długości, aby się na niej jeden ton mniej mieścił jak na tamtych. Powodem tego jest że drgania niższych tonów, które kontrabass wydaje, są wolniejsze, te zaś przy krótszej stosunkowo strunie wyraźniejszymi się stają: powtórę, odstępy od tonu do tonu przy wielkim rozmiarze jakiego ten instrument wymaga stają się mniejszemi, i nareszcie górny pieńek kontrabassu jest innego kształtu jak przy wszystkich innych smyczkowych instrumentach. Budowa kontrabassu jest najmniej ustaloną, bo nie ma nawet oznaczonej liczby strun dla tego instrumentu.

We Włoszech, w ojczyźnie instrumentów smyczkowych, jak wszędzie, naciągano kontrabassy dowolnie trzema lub czterema strunami. We Francji trzymają się trzech-strunowych; w Niemczech i u nas są używane cztero-strunowe. Znajdują się

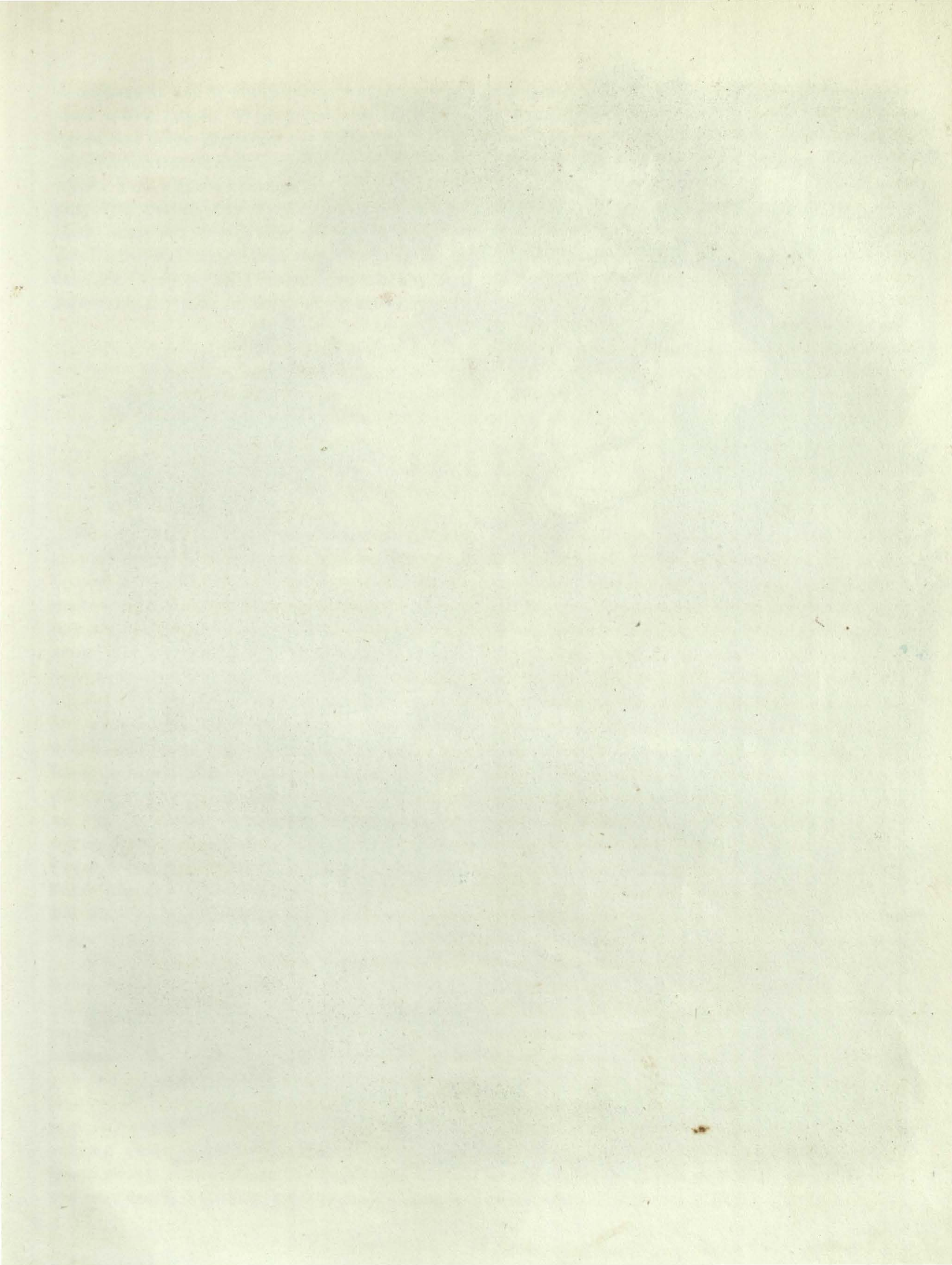
także kontrabassy pięcio-strunowe, przez niektórych nazwane Quint-Viola; lecz ten instrument uważać raczej należy za próbę, przez którą dojść chciało do niskich kontra-tonów, czego jednak w ten sposób nie osiągnięto.

W Paryżu żyjący fabrykant i korektor instrumentów smyczkowych Villeaume w ostatnich czasach nie szczędził kosztów i pracy aby kontrabasowi nadać zasadę i niższe kontra-tony. Ilustracja paryzka (r. 1849, Nr. 337) tak się wyraża o potwornym (monstre) jego kontrabassie: „Jestto instrument w kształcie kontrabassu, jego wysokość 3 metry 65 centymetrów, czyli prawie dwa razy wyższy od zwyczajnych; szerokości i głębokości w tymże samym są stosunku. Napięty jest trzema strunami. Najniższa z nich odpowiada *C*, oktawą niżej od najniższej nuty na wiolonczelli, czyli równa się piszczałce organowej 32-stopowej. Środkowa *G*, o kwintę wyższa od pierwszej. Najwyższa *D*, o kwintę wyższa od środkowej. Struny są tak grube, że żaden palec ludzki nie zdołałby ich przycisnąć dostatecznie, dla wydania tonów gammy. Pan Villeaume urządził więc klapy żelazne podłożone drzewem, ruchome, przytwierdzone w takiej odległości, aby wydawały gammy chromatyczne. Zastępują one miejsce lewej ręki grającego, a poruszają się za pomocą siedmiu pedałów umieszczonych u spodu szyi. Efekt tego instrumentu, którego wprawdzie niesłyszeliśmy, może być bardzo piękny w tonach pełnych i ciągłych, ale wielce jest wątpliwym ażeby mógł być zaprowadzonym w teatrach, gdzie i tak widzowie uskarżają się na wysokość zwyczajnych kontrabassów, które możnaby nazwać karłami w porównaniu z nowo wynalezionym olbrzymem. To co p. Villeaume nam przedstawił, jest zatem nic innego jak wielka i ciekawa ekscentryczność.“

Z obecnie przytoczonej recenzji widzimy, iż cel nie jest osiągnięty i konstrukcja nieuzasadniona; powtóre, nie wiadomo czy recenzent dobrze oznaczył ton najniższy jaki kontrabass p. Villeaume wydaje, bo powiada że równa się piszczałce 32-stopowej w organach, dodając zarazem że ton ten ma być oktawą niżej od najniższego przez wiolonczellę wydawanego, kiedy najniższy ton na wiolonczelli jest *C* 8 stopowe = 128 drgań. Podług tego więc ton przywiedziony przez recenzenta byłby niższym o dwie oktawy; bo jedną oktawą niżej od wio-

lonczelli jest *C* 16 stopowe = 64 drgań. Być może iż ekscentryczny kontrabass p. Villeaume dąży do 32-stopowego tonu, lecz w takim razie omyłka recenzenta leżałaby w porównaniu do wiolonczelli, albowiem różnorodność drgań wprowadzająca w ruch masę powietrza w instrumencie smyczkowym stanowi potęgę jego tonów i nadaje mu znakomitą przewagę nad tonem z piszczałki organu wydobytym. Ton *C* 2 stopowy = 512 drgań wiibracyjnych w sekundzie, jest tym samym który służy skrzypcom za podstawę ich budowy, lecz każdy łatwo przekonać się może, iż tony rejestru 2 stopowego w organie nie posiadają tej potęgi jaką mają skrzypcowe na tym samym tonie *C* oparte. Niema zatem potrzeby 32-stopowego tonu w kontrabassie, kiedy dostatecznymby było urządzić taki, któryby miał *C* 16 stopowe = 64 drgań. Nadanie tej zasady kontrabasowi byłoby wielce pożądanem i dostatecznym dla orkiestry, bo dotąd wszelkie instrumenta wydające niskie tony nie odpowiadają charakterowi i potędze dobrego organu, a bez bassu niema muzyki. Savart radzi aby konstrukcyi budowy kontrabassu za zasadę nadać ton oktawą niżej od zasadniczego tonu dla wiolonczelli, to jest *F* = 85,42 drgań; w takim razie należałoby, podług mego zdania, przyjąć za ogólne prawo strój kontrabassów cztero-strunowych, i struny powinny się stroić do tonów: najniższa do *C* = 64 drgań, następna do *G* = 95,88, dalsza do *D* = 143,51, a najwyższa do *A* = 215,26, zatem oktawą niżej od wiolonczelli, co przy dzisiejszej budowie kontrabassów nie da się uskutecznić. Zanim w naukę uposażony fabrykant konstrukcyą budowy kontrabassu ustali, winno się zwracać uwagę aby długość jego skrzynki zastosowaną była do szerokości; podługowate bowiem, zbyt wypukłe i wąskie kontrabassy mają suchy, nieczysty i ciężko odpowiadający ton, tém bardziej gdy temu instrumentowi w ogóle na pełności tonów zbywa. Dla orkiestry kontrabassy nadzwyczajnej są wagi.

Szczegółowy ten rozbiór instrumentów smyczkowych przekonywa: iż wypukłość deszczulek, wyrznięcie essów, ustawienie szyjki jak również inne części powinny być zastosowane do konstrukcyi założonej budowy; bo można rozmaitych rozmiarów, to jest większe i mniejsze robić skrzypce, lecz zawsze połączone ich części i masa powietrza w nich zawarta, tak





w większych jak w mniejszych, wydać powinna ton $C=512$ drgań. Więc pojmujemy iż robiący kształtne i dobre skrzypce, powinien być nietylko rękodzielnikiem posiadającym wprawę w wykonywaniu z największą akuratnością wszelkich robót przy tym instrumencie wymaganych, ale człowiekiem znającym fizykę, teorią tonu i dźwięku, tudzież inne nauki ułatwiające mu zastosowanie deszczulek i innych części instrumentu tak, aby zgodnie pomiędzy sobą działały, aby martwemu drze-

wu nadać czułość, która raz udzielona nazawsze pozostaje. Lecz skoro taki instrument, przez forsowną grę, czas, lub jaki wypadek uszkodzony, do naprawy powierzonym zostanie człowiekowi bez powyższych wiadomości, wtenczas jeśli nie straci całej piękności głosu, to przynajmniej nastąpią niezgodne drgania, a tém samym pojedyncze tony tak się staną nieodpowiadającymi i zadziérającymi, że najlepszy artysta czysto z instrumentu wydobyć ich nie zdoła.

J E L E Ń.

W rzędzie zwierząt *ssących przeżuwających*, które przychowane w ogólności *bydłem* nazywamy, jest także bardzo liczna, bo z wielu rodzajów i gatunków składająca się, familia zwierząt przeżuwających zwanych *rocznorogie*, ztąd że rogi co rok zrzucają, a nowe im odrastają. Rogi tych zwierząt różnią się od rogów bydła, kóz owiec i t. d., nietylko tém że są rosochate, sękate, ale utworem swoim, gdyż róg bydlęcy składa się z dwóch wyraźnych części: kościanego trzonu wewnątrz i właściwego rogu zewnątrz, jakby jaka pochwa, trzon okrywającego. Sękate zaś rogi, co rok spadające, są całe kościane, w początkach tylko, po swém odrośnięciu, pokryte nie materią rogową, ale skórą i sierścią, która z czasem tężeje, usycha i kawałkami odpada. Wszakże należą do téj familii i takie zwierzęta, mianowicie samice, które żadnych rogów nie mają.

Rodzajowe nazwisko *jeleni* (*Cervus* łac., *Cerf* fran., *Hirsch* niem.) obejmuje w historyi naturalnej bardzo wiele gatunków nietylko teraz jeszcze po różnych częściach świata żyjących, ale i takich których istnienia domyślać się tylko można z rogów po zbiorach naturalnych zachowywanych; inne wcale już zaginęły, tylko ich szczątki, kości, rogi tu i owdzie bywają wykopywane. Takichto odkryto dotąd 6 czy 7 gatunków, a między niemi jeden, zwany *jeleni olbrzymi* (*C. giganteus*), musiał być prawdziwie ogromny, gdyż rogi jego znajdy-

wano 7 stóp długie, a końce ich na 14 stóp od siebie oddalone. Gatunki cały ten rodzaj składające kształtem i osadą rogów, łzocików i bytnością lub brakiem kłów pomiędzy zębami, a wreszcie ogólną postawą i wielkością ciała, znacznie się jedne od drugich różnią; dlatego naturaliści rozdzielają je na grupy czyli podrodzaje. Nie wyliczamy ich tu dla szczupłości miejsca, tylko dla gatunku *jeleni zwyczajny* zakreślonego; mówiąc jednak w ogólności o rodzaju, nadmienimy że *renifer*, *łoś*, *daniel*, *sarna* stanowią podrodzaje wielkiego rodzaju *jeleni*.

W ogólności zwierzęta tego rodzaju żyją rozrzucone niemal po całej kuli ziemskiej; niektóre ich gatunki, jak np. *renifer* i *łoś*, wspólne są dawnemu i nowemu światu; żyją wielkimi stadami lub familijnymi tródkami, więcej na lesistych, wzgórzystych, błotnistych, podostatkiem wody mających obszarach, aniżeli na górach lub skałach; okolic ludnych o tyle tylko unikają, o ile przez ludzi ścigane i niepokojone bywają, pola bowiem uprawne, zwłaszcza lasami, strumieniami przegradzane, ulubioném są ich schronieniem. Sąto pomiędzy przeżuwającymi najkształtniejsze, najszybsze w poruszeniach zwierzęta: nogi wszystkich cienkie, wysokie, ale silne, muskularne, ciało wysmukłe, pięknie walkowato zaokrąglone, szyja mierna, silna głowa rogami różnogałęzistymi uwieńczona.

Zęby i rogi głównymi są cechami tego rodzaju. Pierwszych bywa ogółem trzydzieści dwa, ośm przednich w szczęce dolnej, a po sześć trzonowych z obydwóch stron tak w górnej jako i w dolnej szczęce; nadto u samców niektórych gatunków bywa po jednym kłę zobu stron w górnej szczęce, a wtedy ogólna liczba zębów jest trzydzieści cztery; niektóre także gatunki mają łzocieki; uszy mierne, kończate; ogon bardzo krótki; cyców cztery między tylnymi nogami. Wydatniejszą jeszcze nad powyższe cechą są rogi, zwykle samcom tylko właściwe, bo tylko u renifera mają je także samice. Kształt i wielkość rogów zmienia się z wiekiem zwierzęcia, czasami też zależy od przypadków, np. skaléczenia i t. p. Utrata rogów następuje zwykle około czasu parzenia się tych zwierząt; w miejscu spadłych wyrastają nowe, większe od poprzedzających, i rzecz osobliwsza, u wszystkich tegoż samego gatunku zwierząt w różnych epokach ich wieku zupełnie są sobie podobne. Świeżo odrosłe rogi są zwykle pokryte skórą kosmatą, podobną jak na reszcie głowy; wkrótce skóra ta tężeje, usycha, krwiste jej naczynia zatykają się i odpada kawałkami, jak martwa kora z drzewa. Pokrycie jeleni składa się z jednego tylko gatunku włosów twardych, kruchych, słabo się skóry trzymających, wyjąwszy chyba renifera, który prócz grubego włosa puchem jest także okryty, zwłaszcza podczas zimy. Kolor sierści bywa w ogólności płowy, od wielu jednak wpływów klimatu, pożywienia i stanu zdrowia zwierzęcia podlega zmianom, tak iż bywa ciemniejszy, jaśniejszy, czasem wcale biały, wcale czarny, pstrokaty i t. p.

Najpiękniejszym bez zaprzeczenia ze wszystkich tego rodzaju gatunków jest *jeleń zwyczajny* (*Cervus elaphus*) na załączonej rycinie wystawiony, wzrostem niemal koniowi równy; długość bowiem jego, od pyska do końca ogona, wynosi stóp 7, a wysokość w karku $3\frac{1}{2}$ stopy. Dorosły ważyć może 300 do 400 funtów. Latem maść jego bywa czerwono-brunatna; ciemniejsza pręga idzie przez cały grzbiet aż do ogona, a po jej bokach widać częstokroć jaśniej płowe plamki. Na zimę kolor sierści zmienia się w siwo-brunatny, na głowie, na brzuchu i na nogach niemal popielaty. Samica czyli *łania* podobna jest maścią do samca, młode zaś, mianowicie w pierwszym roku swego życia, są płowo-czerwono-brunatne, wielą wzdłuż grzbietu

ciągnącemi się pręgami białych plamek upstrzone. Pod oczami mają po jednym blisko cal głębokim dołku, w którym się zbiera klejka wilgoć z czasem tężejąca, wonna, *jelenim bezoarem* zwana. Rogi, w języku myśliwych *wieńcem* lub *gałęziami* zwane, równie jak kły pomiędzy zębami samym tylko samcom właściwe, są okrągławe, rysowato-chropawe, gałęzisto-sękate. Zwyczajna u dorosłego starszego samca liczba końców na rogach wynosi 10 do 12; zdarzały się jednak rogi o 20 a nawet 30 końcach. Jeden tylko przypadek przytaczają niemieccy pisarze jelenich rogów o 66 końcach, pochodzących z jelenia którego ubić miał Fryderyk I król pruski 1696 r. a który z wieńcem miał ważyć 535 fun. Rogi jelenia i ich rozgałęzienia nie są, jak u renifera, łosia lub daniela, płaskie, szufelkowate, ale we wszystkich częściach walcowato-kończate czyli kręgielkowate; każdą ich rosochę nazywają myśliwi *widelkami*. Pień rogu, czyli jego część z czaszki wychodząca, *pierścieniem* zwana, rozrosłszy się kątowato, dostaje nazwę *róży*. Dopóki rogi rosną, okryte są skórą pokrytą niskim, gęstym, gładko leżącym, jak na innych częściach głowy, włosem; w tej skórze pełno jest krwistych żył, naczyń; a więc po młodych rogach, przez skórę *łykiem* wtedy lub *szypulem* zwaną, wszędzie krew krąży. Gdy zaś rogi na tyle rozrosną się gałęzi, ile ich właściwie zwierzę mieć powinno, wtedy owe krwiste żyły i naczynia zatykają się, krążenie krwi stopniowo ustaje, skóra na nogach tężeje, twardnie, jelen, czując, jak się zdaje, pewne ściężnienie w rogach, trze niemi o drzewo i skórę z nich kawałkami zrzuca; po zaschłych krwistych naczyniach na rogach, odtąd już samokościanych, martwych, pozostają tylko ślady, rysy chropawym róg czyniące. Młody *jelonek* w pierwszej wiosnie swego życia dostaje dwa pojedyncze, 5 do 8 cali wysokie, niegałęziste rożki, i wtedy go nasi myśliwi nazywają *podciotek* lub *spiczak*; w następnym, drugim roku swego wieku, gdy mu odrosną rogi, każdy z dwiema gałęziami dostaje już nazwisko *widlak*. W następnych latach przybywa co rok gałęzi na rogach, nie tak przecież regularnie iżby z liczby końców z pewnością wnosić było można o wieku jelenia; gdy skąpe i ładajakie ma pożywienie, wtedy i liczba gałęzi na rogach nie powiększa się, lub ich odrosty bywają mniej znaczne. Toż samo pokazuje się w bardzo podeszłym wieku zwierzęcia. W trzecim roku je-

leń o sześciu końcach, w czwartym o ośmiu, w piątym o dziesięciu końcach czyli już jeleni *łowny*; w szóstym, siódmym i ósmym roku nazywa się jeleniem *kapitałnym* czyli *rogaczem głównym*, i taki zwykle ma rogi zakończone podziałem gałęzi dłońmiastym, to jest trójwidlastym, który się nazywa *koroną*. Często jednak zdarza się widzieć, że liczba gałęzi na dwóch rogach, choć z jednegoż roku pochodzących, jest różna, tak iż na jednym rogu jest szóstka a na drugim siedm gałęzi; w takim razie podwaja się większą liczbę i uważa się wtedy jelenia za 14 letniego.

Powiedzieliśmy już że jeleni co rok raz zrzucą rogi, a nowe mu odrastają, co jest skutkiem jego skłonności do rozmnażania się. Popęd krwi i soków ciała do głowy sprawia iż stare czyli przeszłoroczne rogi w swęj nasadzie wątłają i odpadają, jużto równocześnie, już częściej w kilka dni jeden po drugim. Przypada to u dorosłych jeleni w miesiącu lutym, u widłaków w marcu a u spiczaków w kwietniu. Jelenia bez rogów, zanim nowe wyrosną, nazywają polscy myśliwi *gomulą*. Wkrótce po zrzuceniu, w miejscach gdzie stały dawne rogi, pokazuje się niewielki guz czyli nabrzękłość kosmatą skórą pokryta; jestto wilgoć zaskórna, galaretowata. Guz ten prędko podrasta, a owa ciecz galaretowata zamienia się w coraz twardszą chrząstkę. Jeleni z takimi pojedynczymi, miękkimi jeszcze i skórą odzianymi rogami pokazujący się, nazywa się *szypulakiem*. Rogi te prędko się rozrastają, przybywa im coraz nowa gałęź, a tymczasem massa ich od dołu coraz bardziej twardnie, kostnieje, tak iż w miesiącu lipcu, lub najdalej w sierpniu, rogi mają już zwykłą wielkość, kształt, kolor i obnażone są ze skóry. Wyrosłe na głowie potężnego rogacza rogi ważą częstokroć 20 do 30 funtów. Chłuba ta jelenia, jak widzimy, niemałym jest dla niego ciężarem; ztémwzyskiem, jakby wysoko ją sobie ceniąc i wstydząc się stanu w którym mu jęj braknie, dopóki mu nowe rogi zupełnie nie odrosną, ukrywa się w największej gęstwinie lasu; kiedyindziej dumnie głowę do góry nosząc, teraz ją spuszcza ku dołowi, unika wszelkiej obrazy miękkich rogów; lękliwszy niż w któręjkolwiek epoce swego życia, na żadne nie naraża się swary i niebezpieczeństwa. Jeżeli bowiem młody róg zostanie zraniony, wynika ztąd nienormalny dalszy jego odrost lub nawet pomna-

ża się na nim liczba gałęzi. Miłośnicy zbiorów jelenich rogów skwapliwie poszukują tego rodzaju potworów. Mówią że podczas odrastania rogów jeleni wyszukuje na pożywienie szczególniej pączków liściowych, które zawierają w swym składzie wiele soli wapiennych, mianowicie węglanu i fosforanu wapna, i wpływają na prędsze skostnienie świeżych rogów.

Jeleni o którym mówimy zamieszkuje niemal całą Europę i większą część Azji; żeby zaś znajdować się miał w północnej Afryce, temu trudno dać wiarę. Z postępem cywilizacyi, czyli raczej z wyniszczeniem lasów i niepohamowanem żądaniem względami, dzikiem polowaniem, staje się jeleni coraz rzadszą zwierzyną, a wcale go już niema w krajach gdzie wolność polowania żądaniem przepisami nie jest ścięsniona, jak np. w Szwajcaryi. Zwyczajnem jego schronieniem jest las, tęp dla niego miłszy im jest gęściejszy. Uważano że w krajach górzystych, wysokich, jeleni okazuje się mniej rosłym i silnym aniżeli w okolicach lekko pagórkowatych, do czego dodawszy pewnik że w górach właściwych wcale te zwierzęta nie przebywają, wniesiemy że jeleni jest zwierzęciem okolic pagórkowatych lub równin w lasy i wody, naprzemian zuprawnemi niwami, obfitych, właśnie takich jak nasze, gdzie tylko niepomiarkowane polowanie te zwierzęta wyniszczyło lub je do ościennych spokojniejszych okolic wypłoszyło. W jesieni i na zimę jelenie wyciągają zwykle z głębi lasów i obierają sobie mieszkanie po ich brzegach, w krzakach i zaroślach. O tęp porze już rzadko się zdarza natpotkać je pojedynczo, ale zwykle zebrane w kupki lub stadka, z których jedne składają się ze starych samców, drugie z łań z młodocianymi ciółkami, a w innych widać samę podrastającą młodzież.

Jeleni jest najpiękniejszą, a na nieszczęście już rzadką, ozdobą lasów naszych; cała jego postać jest wytworna, smagła, a razem nerwista, silna; jego lekkość, strój głowy, wszystko odróżnia go od innych leśnych zwierząt, a nieszkodliwość podwyższa jeszcze te jego zalety. Nie jest on nieprzyjacielem żadnego zwierzęcia; pożywieniem jego są zielone liście i młode trawy, zioła; nie ma więc potrzeby toczyć wojny z mieszkańcami lasów dla ich pożerania. Skłonność nawet go wiedzie ku człowiekowi, który, na nieszczęście, jest najwięk-

szym jego wrogiem. Łatwo się oswaja i trzodami żyć może pod opieką człowieka. Wybornemi obdarzony zmysłami, widzi z bardzo daleka i rozpoznaje strzelca od zwyczajnego wieśniaka; czuły także ma węch, a słuch tak delikatny, iż poruszenie liścia nie ujdzie jego uwagi. Nim wyjdzie z lasu, zatrzymuje się, podnosi głowę, słucha, ogląda się naokoło, staje pod wiatr, dla przekonania się czy niema nieprzyjaciela w okolicy. W niebezpieczeństwie, w nagłej potrzebie, gdy na przykład psy go ścigają, przėsadza zawady, płoty, parkany 8 do 9 stóp wysokie lub tyleż szerokie rowy, strumienie; podawszy w tył rogi, pędzi szybko przez najciemniejsze gęstwiny, zarośla, i nie waha się nawet przepływać szerokie rzeki lub jeziora. Lubo jeleni z natury jest bardzo lękliwy i pokój lubiący, to przecież zraniony lub w ciasnotę zapędzony, staje się bardzo niebezpiecznym. Takim się też okazuje w czasie *bekowania*, które przypada we wrześniu lub w pierwszej połowie października. Wtedy to, nie trzymając się kupy, jak to czynią sarny, szukają się nawzajem, a samce staczają z sobą zapamiętałe bitwy. Samiec, kilka tylko dni zabawiwszy przy samicy, oddala się od niej, i szuka inną, przy której pozostaje jeszcze króciój. W tej porze mało je a wcale nie śpi, dzień i noc bezustannie na nogach, chodzi, biega bije się, i dlatego to po czasie *bekowania* tak bywa osłabły, strudzony i wynędzniały, iż potrzebuje pewnego czasu do odzyskania sił. Roku 1756 znaleziono w Darmstadzkim dwóch nieżywych jeleni, które tak jeden z drugim rogi poplątały, iż nie mogąc się odwikłać, z głodu umrzeć musiały. Podczas *bekowania* ryczą bardzo głośno, od czego rozdyma się im gardło i powstaje wole tém wyraźniejsze, że tam właśnie szyja jelenia pokryta jest długą sierścią.

Pożywienie jelenia składa się z samych roślin. Wychodzi on na żer głównie w wieczór; według pór roku jadło bywa rozmaite. Latem stanowią pokarm trawy, zioła i liście, a nadewszystko zbo-

że, mianowicie owies, tudzież rzepa i len; w porze jesienną i zimową szukają ozimego żyta, jedzą korzonki, owoce, szczególniej kartofle, rzepę, jagody, zwłaszcza jarzębinę; zimą szukają przy źródłach ulubioną sobie rzeżuchę wodną. W czasie wiosennym pożywienie także jak w zimie, najczęściej atoli składa się z pączków liściowych rozmaitych drzew i krzewów. Uczęszczając na pola zasiane, więcej zrzadzają szkody podeptaniem, wytratowaniem zasięwów, niżeli rzeczywistém ich zjedzeniem. Piją w ogólności mało, wyjąwszy chyba czas *bekowania* lub gdy są ranione. Wielką dla nich łakotką jest sól kuchenna i saletra; dlatego nietylko w parkach, zwierzyńcach, ale i po lasach, gdzie ich życie zostaje pod mniej więcej troskliwą opieką, rozkładają im tu i owdzie do lizania saletrę i sól z gliną zarobioną.

Łania w ośm miesięcy rodzi, zwykle w miesiącu czerwcu, jedno, a rzadko dwoje cielętek, ukrywając je w gęstwinie, między mchem i wysokimi trawami. Okazuje do nich czułe przywiązanie i troskliwość, otula je trawą gdy się zbliża nieprzyjaciel i usiłuje odwrócić jego uwagę na siebie samą, gdyż oddalając się powoli od cielątka, udaje kulawą, chromającą, a gdy się jej ten podstęp uda, wraca potem inną drogą, manowcami do dziecka ukrytego.

Rozmaitych, jak wiadomo, używają sposobów polowania na jelenia, a polowanie to stało się sztuką mającą swoją teorią, swoją terminologią, w której niemal każda rzecz ma swoje odrębne, zwykle dziwne, nazwisko. Rozrywka ta wymaga wiadomości doświadczeniem tylko nabyć się mogących, a szczególniej licznych przyrządów, ludzi, koni, psów; łowczy czyli dowódzca polowania powinien umieć rozpoznać z woni, wyrzutów i tropu jelenia, jego płeć, wiek, a nawet jego wartość.

Użyteczny jest jeleni swém smaczném mięsem, wyborną na zamsz skórą, rogami i nawet tłuszczem, z których pierwsze na wyroby mechaniczne, ostatni na lekarstwo mają pewną wartość

E. L. b. pr. n. p.

GRZEGORZ PIRAMOWICZ.

WSPOMNIENIE.

Nie straszył gniewnym panem—mówił o łaskawym,
Głosił Boga jakiego nosił w sercu prawém.

(Słowa wyryte na kamieniu poświęconym
pamiętce Piramowicza).

Każde głębsze zastanowienie się nad powołaniem człowieka-autora przekonywa nas, że nie wielość dzieł, nie rozgłośnia, roznoszona częstokroć najemnymi usty, sława, ale pożytek choćby jednej pracy, szczére umiłowanie dobra ludzkości i poświęcenie wszystkich chwil życia tym zasadom, otwierają wrota do szacunku współczesnych i do uwielbienia potomnych.

Dziś przyzwyczailiśmy się wiele pisać i wiele mówić, ale czyny nasze są dalekie od myśli i słów tu i owdzie rozrzuconych. Czytając sypiące się obficie zdania i prawidła, zdawałoby się że co krok o jakąś uosobioną cnotę potracimy; a tymczasem, wniknąwszy w życie, widzimy że to wszystko niby owe *fata morgana* usuwa się przed nami, zostawiając na swém miejscu nagą rzeczywistość.

Dawniej starano się życiem, przykładami, poprzeczyć rady niesione ogółowi; dziś nikt się o to nie troszczy, jak gdyby do wystawienia gmachu dość było pięknie narysowanego planu i kwiecisto obrobionego projektu, jak gdyby dość było trudu rzucić kilkaset słów i głosić potem jak się to wiele dla ludzkości zrobiło!

Łatwo się domyśleć że ustęp ten prowadzi do odświeżenia w pamięci zasług człowieka, który życiem i przykładami popierał uznane przez siebie prawdy, którego imię łączy się z powszechną czcią i uwielbieniem.

Grzegorz Piramowicz urodził się we Lwowie r. 1735, z rodziców Ormian kupiectwem trudniących się (1). Oddany do szkół jezuickich, wkrótce zwrócił na siebie uwagę członków tego zgromadzenia, upatrujących chciwie i wszędzie zarodków talen-

tu i wyższego usposobienia, aby je sobie przyswoić. Czy w młodym, moralnie i religijnie wychowanym chłopcu, odezwało się rzeczywiście powołanie do stanu duchownego, czy też tylko uległ wpływowi zgromadzenia umiejącego zawsze wodę na swoje koło obrócić, dość że już w połowie swego szkolnego zawodu obrał sobie stan duchowny i ku niemu skierował wszystkie swoje usiłowania.

Przełożeni zakonu ocenili wkrótce znakomite jego usposobienie do kierowania umysłami młodzieży i dar udzielania nabytych wiadomości; poznali się na tych niezwykłych przymiotach, które obiecywały zakonowi nieobliczone korzyści, i chcąc jaknajprędzej stanąć u kresu zamiarów, wprowadzili skromnego młodzieńca - zakonnika w najpierwsze obywatelskie towarzystwa, aby pochwalić się świeżym nabytkiem i czynem powiedzieć: „patrzcie jakich to my ludzi mamy w zakonie!”

Z początku niechętnie zastosował się młodzieńiec do życzeń swoich przełożonych; on chciał pracować nad sobą, zebrać jaknajwięcej skarbów z tej niwy, z której jedni kłosa, drudzy kąkol zbierają; ale zakosztowawszy raz słodyczy towarzystw, tak podzielił czas, że mu go i na ucześnie do wielu znakomitych domów, i na naukę wystarczało.

Wkrótce zakon osiągnął to do czego dążył. Potoccy wybrali Piramowicza aby towarzyszył trzem młodzieńcom ich rodu po Europie. Przyjął chętnie ten obowiązek, bo pragnął poznać więcej świata jak go widział z okien collegium. Kilka lat spędzonych we Francyi i Włoszech przyniosły Piramowiczowi wiele światła i wewnętrznego zadowolenia. W Rzymie towarzysze zakonnicy, przekonawszy się o jego głębokim naukowym usposobieniu, obrali go mistrzem teologii moralnej i uprosili że przez jakiś czas w ich collegium nauki wykładał. Tak

(1) Mieszkając w Lubelskiem, bawiłem długi czas w domu państwa B. we wsi Stawie. Sama pani B. pochodziła z rodziny Piramowiczów, i od niej mam wiele szczegółów o tym znakomitym mężu.

więc, choć nie po raz pierwszy, o mury grodu Cesarów obily się pełne trafności słowa mieszkańca północy, i nauki jego, z dziwną łatwością wykładane, przyjęły się w umysłach dzieci Tybru i Adryatyku.

Ale najmilszym kwiatem zebrany na obcej ziemi była serdeczna przyjaźń jaka związała go jednością zdań i uczuć z Ignacym Potockim. Piętnaście lat różnicy wieku było między nimi, znikła ona jednakże przy jednakich chęciach i usposobieniach. W różnych kolejach losu Ignacy Potocki ani na chwilę nie zapomniał o Piramowiczu, a Piramowicz nikomu chętniej i szczerzej nie poświęcał swoich serdecznych uczuć i przysług.

Po powrocie z Rzymu osiadł Piramowicz w kolegium lwowskim, i obok obowiązków nauczyciela oddał się z całym zapalem powołaniu kaznodziei. Jak pojmował to powołanie, dość będzie gdy przytoczymy jego własne wyrazy:

„Cóż po takim kaznodziei, co nadętość i niejasność za wielkość i głębokość poczytuje, co sobie poklaska, kiedy prości o nim mówić będą: *tak wysoko, tak pięknie mówi, ale go rozumieć nie można!* Podjąłeś się dzieciom w Chrystusie, uczniom wiary i zakonu jego podawać naukę o ich obowiązkach, wykładać do pojęcia wszystkich powinności rodziców i dzieci, żon i małżonków, zwierzchników i podwładnych, oni zeszli się z otwartym uchem i umysłem na przyjęcie tych wielkiej wagi wiadomości, serca i uszy ich z pilnością oczekują słów któreś im od Boga obiecał: a oni ciebie nie rozumieją, a słowa twoje jedne z drugimi powikłane, przeszły mimo ich uszu, a w rozumie, w duszy, w sercu nic nie zostało:“

Pojmujemy że kaznodzieja z takimi zasadami umiał trafiać do serc słuchaczy i władać nimi w najrozleglejszym tego słowa znaczeniu; sami bowiem przekonani jesteśmy, że kaznodzieja który sili się na to aby swoich słuchaczy przejąć zdumieniem, który nie czuje prawd jakie ma objawiać i przemówienie do uczuć ma za rzecz podrzędną, krótkie tylko pozostawi w umysłach usiłowań swych ślady.

Piramowicz mówił bez przygotowania, jasno, prosto i czule, porywał słuchaczy słodyczą wymowy i uczuciem prawd które ogłaszał, dlatego też każdy rozumiał go i uwielbiał. Codziennie wzrastała jego sława, gdy troskliwość o życie sędziwego i czi-

godnego starca na nowo wywołała go ze Lwowa. Opat Rzewuski, ciężką chorobą dotknięty, gdy mu lekarze jako jedyny środek utrzymania życia zalecili wyjazd do cieplejszych krajów, nie miał nikogo coby mu staraniem i czułością dolegliwości osładzał, i w znoszeniu trudów podróży dopomagał. Zawsze chętny nieść pomoc drugim, Piramowicz podjął się dobrowolnie wyświadczenia tej przysługi, i niebawem wyruszył z nim w podróż. Ale ani wpływ łagodniejszego klimatu, ani czule starania towarzysza, nie zdołały powrócić starcowi starganych sił; po dwuletnich zapasach z dręczącą go chorobą, sędziwy opat ziębnącą ręką ścisnął dłoń wiernego przyjaciela i rzekł mu:

— Czuję że muszę umrzeć i to nie długo. Pan woła abym zdał liczbę z powierzonego mi skarbu, głos *Jego* już moich uszu dochodzi.—Dziękuję ci, bracie Grzegorz, za twoje poświęcenie, za twoje czule starania; osłodziły mi ony nie jedną gorzką chwilę, dziękuję ci stokrotnie. Błagać będę majestat boski za ciebie, a ty zamknij mi oczy i wracaj do kraju, zanieść moje pożegnanie kochanym stronom i rodzinie!

Oddawszy ostatnią posługę przyjacielowi, który w kilka dni po tej rozmowie umarł, Piramowicz wrócił do Lwowa r. 1772, ale ciężkie zmartwienia spotkały go zaraz na wstępie; grom Watykanu, który zgruchotał olbrzymi kolos jezuitskiego zgromadzenia, nie mógł być przyjęty przez niego obojętnie. Prawie większa część członków tego zakonu ujrzała się nagle ogołoconą nie tylko z wszelkich widoków, ale i ze środków utrzymania się. Przykry to był widok patrzeć na tych niegdyś tak potężnych ludzi, posiadaczy najbogatszych klasztorów, najrozleglejszych włości, wyrzuconych z siedzib i krzątających się około znalezienia przytułku. Nigdy znikomość potęgi ziemskiej nieprzemówiła wyraźniej i nie przedstawiła się widoczniej. Ci sami którzy niegdyś z cel klasztornych rządili światem, których głos rozlegał się od Indyj do brzegów oceanu północnego, od ziemi Kolumba do piaszczystych pustyń Afryki, jednym wyrokiem zgniecenia, w cichym poddaniu się wyższej woli, wyrzekli się znaczenia, bogactw, wpływów, i rozbiegli się szukać schronienia. Zaprawdę, dzień ogłoszenia bulli papieżkiej znoszącej zakon Jezuitów będzie kiedyś jawnym świadectwem że pokora zakonna nie była cześcią u nich marą.

Piramowicz zapragnął najprzód w cichém i spokojném życiu szukać ulgi w cierpieniach; zwrócił się do rodziny, sądząc że będzie mógł z części majątku na niego przypadającej spokojne i niezależne prowadzić życie; ale szczeré wylanie się ojca na usługę innym, jego uprzejmość i gościnność, nadwzięły do tego stopnia majątek, że rachunek wykazał bardzo szczupłe fundusze, które między liczną rodzinę rozdzielone być musiały. Gdy więc Piramowicz rozmyśla gdzieby się obrócić, czuła przyjaźń uprzedza jego chęci: Ignacy Potocki wzywa go aby objął plebanią w dziedziczném jego miasteczku *Kurowie* (1).

„Zawakowało u mnie probostwo, pisze do niego, niebardzo intratne, ale na porządne utrzymanie się plebana wystarczające. Szczęśliwy byłbym gdybyś je chciał przyjąć; moje owieczki znalazłyby godnego i czulego pasterza, a ja posiadałbym skarb najdroższy, miałbym obok siebie ukochanego przyjaciela.“

Można sobie wyobrazić że Piramowicz nie wahał się ani chwili z przyjęciem wezwania. Odpisał z serdeczném podziękowaniem dziedzicowi Kurowa, i niebawem do objęcia nowych obowiązków pospieszył.

Jakaż była jego radość gdy przybywszy do Kurowa zastał wszędzie dowody troskliwej ręki swojego przyjaciela. Śliczny nowy dworek ze starannie urządzonym ogródkiem czekały już na niego, a sam dziedzic, na czele sąsiednich właścicieli i sędziwych kmiotków, przyjął go w progu chlebem i solą, symbolami uprzejmiej życzliwości od wieków zwyczajem uświęconemi. Rozplakał się kapłan przy tych oznakach współczucia i tyle tylko mógł powiedzieć:

— Bóg widzi jak pragnę być dla was użytecznym! — Słowa te wyrzeczone w tak uroczystej chwili, stały się fundamentem jego czynów, któremi imię swoje z cichego ustronia do potomnej podał pamięci.

(1) Kurów, miasteczko w Lubelskiem, odległe od Lublina mil 4, należało niegdyś do Potockich i było ulubioném siedliskiem Ignacego Potockiego, dopóki nagła śmierć ukochanej córki Krystyny nie okryła go wieczną żałobą. Teraz Kurów jest własnością znakomitego obywatela Grzegorza Zbyszewskiego, a probostwo przez długie lata zajmował terazniejszy biskup lubelski, ksiądz Pieńkowski.

KSIĘGA ŚWIATA R. IV. Cz. 2.

Wielkie, święte są obowiązki plebanów! Przebiegając myślą rozmaite członków społeczności ludzkiej stopnie i posady, trudno podobno upatrzeć dla wzniosłej duszy stosowniejszego stanowiska, nad stanowisko pasterza wiejskiego ludu, ale zarazem trudno nie przyznać jak wiele wymagań do tego skromnego stopnia jest przywiązanych.

Lud nasz przechowuje w sercach żywą wiarę i wiele szlachetnych usposobień, potrzeba tylko prostym wykładem nauk religijnych umysł jego rozwinać, do cnót przykładami zachęcić i czułą ojcowską troskliwością otoczyć. Można śmiało zaręczyć że gdy ten lud wiejski słyzy w świątyni pańskiej wzory moralności i rodzicielskie rady i napomnienia, gdy widzi że ten który głosimu boskie prawidła, prowadzi życie czyste, sprawiedliwe, że brzydzi się wszelakim występkiem, że wszystkich zarówno, bogatych, i ubogich, jedném sercem obdziela, że z jednaką chęcią spieszy do pałacu i do ubogiej chatki, niosąc wszędzie pociechę i słowo boże: tam pewnie dobre ziarno nie padnie między chwasty, ale owszem bujne wyda owoce.

Autorka *Pamiętki po dobrej matce* powiedziała „że moralność i oświata większej połowy ludności naszej na sumieniu plebanów spoczywa;“ dlatego też wielka jest odpowiedzialność przed Bogiem tych którzy wielkości swego powołania nie pojmują.

Piramowicz, rozpatrzywszy się w nowo obraném siedlisku, poznał że mu wiele do czynienia pozostaje, że zastał serca swoich parafian leżące odłogiem albo zarosłe chwastami, że wiele potrzeba podjąć pracy aby te odłogi uprawić i chwasty oczyścić. Nie wziął się raptownie do dzieła, jak to niektórzy zwykli czynić, ale rozważnie, z cierpliwością zaczął używać lekarstw, które stopniowo siły i czerstwość przywracają.

Oświecać lud naukami religijnemi i opiekować się nędzą, kaléctwem i niedolą, to były dwa najgłówniejsze cele szlachetnego kapłana; nie spuścił ich nigdy z uwagi, postępując ciągle za ich śladem.

Nawidziło którego z włościan nieszczęście, zgorzały mu stodoły, albo zaraza wymiotła oborę: ksiądz pleban stawał pomiędzy płaczącemi, uspokajał, obiecywał miłosierdzie boże, a tymczasem fura z plebanii wiozła zboże do komory pogorzela albo parobek prowadził krowę lub wołu.

Dotknęła jaką chatę choroba, już ksiądz pleban wiedział o tém, i choćby to było o północy, w słońcu i zimna, spieszył pomiędzy cierpiących nieść ich duszom pociechę, a środkami lekarskimi pomoc w dolegliwościach.

Jeżeli dowiedział się o jakiej niezgodzie, o kłótni między sąsiadami lub rodzeństwem, dopóty przedstawiał, łagodził, pracował, dopóki skłócenia nie podali sobie rąk do zgody.

Trafiło się raz że niezamożnemu dzierżawcy ogień zniszczył wszystkie zabudowania zaraz po zbiorach. Spłonęły skrzętnie nagromadzone zapasy zboża, inwentarze i sprzęty, a na domiar niedoli dziedzic zagroził wyrzuceniem z dzierżawy, jeżeli zaległego czynszu nie opłaci. Piramowicz, dowiedziawszy się o tém, jedzie do owego dziedzica, płaci mu wymagany czynsz, i z kwitem w ręku dąży uspokoić nieszczęśliwego. W progu małego dworku dowiaduje się że od rana nie był w domu i że go ciągle szukają. Natchnienie boże prowadzi go ku rzęce, natrafia na ślad, idzie za nim i znajduje ojca licznej rodziny blizkiego kresu rozpaczy. Gromi małą jego ufność w Bogu, zachęca do wytrwałości i wręcza kwit na opłacony czynsz dzierżawczy i niewielką sumkę na kupno inwentarza. Biedny, tak cudownie wyrwany z nędzy, człowiek chce mu upaść do nóg, ale wstrzymuje go Piramowicz, przyciska do piersi i mówi:

— Synu, ja tylko wypełniam rozkaz niebieskiego Ojca, ja tylko jestem jego sługą.

Niedość na tém, widząc że obarczony liczną rodziną, nie jest w możności dać dzieciom przyzwoitego wychowania, zajął się umieszczeniem najstarszej córki przy dworze sąsiadującym z Kurowem, głośnym z tylu czynów obywatelskich, a syna własnym kosztem oddał do konwiktu księży Pijarów w Warszawie.

Dowiedział się raz że dwaj bracia z wioski w pobliżu Kurowa położonej nie mogą się pogodzić przy podziale ojcowizny, że ani starsi gospodarze, ani wójt, ani nawet rządca administrujący majątkiem dziedzica, nie znajdują środka aby spory załatwić. Przywołał ich do siebie, wyrozumiał o co idzie, udzielił radę, ale wszystkie zachęcania do zgody okazały się bezskutecznymi. Obydwaj chcieli koniecznie posiadać to, co tylko jednemu dostać się mogło.

Wyczerpawszy wszystkie usiłowania, w końcu rzekł:

— Słuchajcie, a gdybym temu który weźmie tę podług was gorszą część, odbudował na pustce własnym moim kosztem chałupę i na zapomogę dał tę parę jałowic, które właśnie chłopiec poi u studni, czy pogodzilibyście się wtedy?

— Albo my chcemy żeby ojciec dobrodziej szkodował?

— Powiedzcie tylko czy się pogodzicie, mnie miliej będzie patrzeć na waszą zgodę, aniżeli na te jałowice i na kilkadziesiąt złotych w szkatulce.

Bracia spojrzeli po sobie i młodszy rzekł:

— Wiész co Bartku, nasz ojciec dobrodziej to niby św. Marcin, co to o nim organista w Świątki nam rozpowiadał. Nie bądź taki twardy, bo to grzech ciężki byłby takiego św. ojca nie posłuchać, albo brać od niego. Ot tak: dodaj mi jeszcze pięć owiec, dwie brony i wóz, to ja wezmę pustkę.

— Dodam, tylko nie żądaj krzywdy naszego ojca i dobrodzieja.

— Ach niech mnie Bóg święty broni. No, daj ci Boże szczęście.

— I tobie.

I skłonili się do nóg szanownego sędziego, on ich pobłogosławił, w długiej i pięknej mowie wystawił im jak miłą jest Bogu miłość między ludźmi, a zwłaszcza między rodzeństwem, i bracia odeszli zupełnie pojednani.

Dano mu znać że ekonom w jednym z folwarków do dóbr kurowskich należących ociemniał. Byłto człowiek poczciwy, rzetelny i pracowity, ojciec ośmiorga drobnych dzieci, żyjących tylko z jego pracy. Położenie biedaka było okropne, funduszków nie miał żadnych, kaléctwo nie dozwalało mu pracować, a tak licznej rodzinie potrzeba było dać utrzymanie! Chciał udać się o pomoc do serc litościwych, gdy Piramowicz uprzedził go, wyjednał u czcigodnego dziedzica Kurowa parę włók gruntu, a na imieninach jedyniej jego córki Krystyny, wystawiwszy zebranych gościom w czułych słowach przykre położenie biedaka, wyciągnął rękę z tacką po składkę. Ofiary posypały się hojnie; z zebranego funduszu, dodawszy drugie tyle z własnej kieszeni, wystawił na darowanym gruncie domek i gospodarskie budowle i wprowadził ociemniałego z jego rodziną w zagrodę, która miała być dla niego schronieniem na całe życie i zape-

wnić jego dzieciom kawałek chleba. Starszych synów wziął do założonej przez siebie w Kurowie szkółki, do nauki reszty dzieci wysyłał dwa razy w tydzień jednego z celniejszych swych uczniów i opiekował się całą rodziną dopóki tylko mieszkał w Kurowie.

Odgłos takich czynów szybko bardzo rozległ się po całej okolicy, a czuła troskliwa i pracowita opieka jaką Piramowicz otoczył pogorzalców Kurowa po okropnym pożarze, podwoiły uwielbienie. Ignacy Tański przetłumaczył wówczas ułamek poematu Goldsmitha pod tytułem: „*Dobry pleban*.” Mnóstwo osób z różnych stron przysłało Piramowiczowi, imiennie i bezimiennie, jego własny (jak się wyrażali) obraz; ale skromny i wyższy nad publiczne hołdy kapłan, zebrał wszystkie razem nadesłane mu egzemplarze, i napisawszy na wierzchu: *przyjaciół grzeczna przestroga*, ukrył je na zawsze przed ludzkim wzrokiem.

Ale rozum, nauka, a nadewszystko dobre i cnotliwe chęci nie mogły długo pozostać w ukryciu. Ruch umysłowy objawiał się wtedy coraz żwawiej, wynajdując środki czynnego i użytecznego postępu. Utworzona kommissya edukacyjna zajęła się gorliwie wielkiem swoim powołaniem; w skład jej weszli mężowie głośni z zasług i prac użytecznych, a Piramowicz wezwany został na sekretarza. Nie bez żalu że opuszczać musi na czas jakiś swoje ciche ustronie i miłych sercu parafian, wybrał się Piramowicz do Warszawy, wynagradzając sobie tę przykrość chęcią stania się użytecznym dobru powszechnemu. Starania około parafii i probostwa powierzył bratu swemu Stanisławowi, i z sercem pełnem nadziei wstąpił po raz pierwszy w zawód publiczny. Stolica wrzała naukowem życiem; Stanisław August, czując że nic więcej zrobić nie może, pragnął przynajmniej uchodzić za przewodnika postępującej oświaty, a przykład króla wielki wpływ wywarł na ogół. Nawet owe czwartkowe obiady, wyniesione pod niebiosą przez pochlebców a zmieszane z błotem przez krzykaczy, miały swój użytek. Chęć należenia do liczby tych którzy w tych zebraniach mieli udział, przyświecająca każdemu z młodych pracowników, była silnym bodźcem zachęty, a któż nie wie jakie podobne chęci zwykły rodzić owoce? Piramowicz, zaproszony uprzejmie przez samego Stanisława Augusta do uczestniczenia w tych zebraniach, podobał się z dowcipu i szla-

chetnego sposobu myślenia. Tysiące dowcipnych anegdotek i odznaczających wyższego człowieka zdarzeń i odpowiedzi, krąży jeszcze do dziś dnia pomiędzy ludźmi pamiętajacemi dawne czasy, ale nie tu miejsce nad nimi się rozszerzać.

Kommissya edukacyjna rozwijała szybko swe plany. Piramowicz nieraz dnie i noce trawił przy pracy, układając i rozbiierając projekta, przepisy i postanowienia, i obok tego jeszcze biorąc czynny udział w towarzystwie ksiąg elementarnych. Stanisław Potocki powiada: „że Piramowicz tak dzielnie i skutecznie od początku do końca do téj wielkiej pracy należał, że jemu znaczna część zasługi przyznana być winna.”

Kiedy każdy ze znakomitych mężów brał na siebie część ogólnego ciężaru, Piramowicz podjął się napisać dzieło dla szkół o *wymowie*. Nakreślił plan, drugi oddział poświęcić miał poezji, a tymczasem i pierwszego nie wykonał. Wydał tom pierwszy i drugi, trzeci tomik wyszedł już daleko później, za staraniem następcy Grzegorza i Stanisława Piramowiczów, proboszcza w Kurowie, a dzisiejszego biskupa lubelskiego, księdza Pieńkowskiego. Szkoda wielka że przynajmniej części pierwszej o wymowie podług planu w całości nie napisał, bo w tém co mamy pod ręką znajdujemy wiele bardzo gruntownych zdań i sądów. Może powodem nieukończenia téj pracy, a nawet i innych o których niżej powiemy, była słabość oczu której w ostatnich czasach uległ Piramowicz, chociaż nie bez zasady wyrzec można, że czcigodnemu naszemu kapłanowi brakowało wytrwałości w przywodzeniu do skutku powziętych zamiarów.

Po roku 1795 powrócił Piramowicz do Kurowa. Parafianie przyjęli go z otwartemi rękami, on powitał ich z serdecznem rozrzewnieniem. Doznane w ostatnich latach cierpienia wywarły szkodliwy wpływ na jego zdrowie; chorował ciężko, a potem do wszystkich dolegliwości przywiązała się jeszcze nadzwyczajna słabość oczu. Nie mógł nic sam czytać i używać musiał uczniów ze swojej szkółki, którzy mu kolejną różną dzieła, nawet w obcych językach, czytawali. Pisał sam, mając przy sobie jednego z tych uczniów, który go przestrzegał gdzie ma wiersze pisma przynosić i poprawiał rękę gdy krzywo wiersz zaczynała.

W sędziwym już wieku, na usilne żądanie dziedziców Międzyrzéca, Piramowicz zdał rządy pa-

rafi kurowskiej na brata swego Stanisława, a sam przeniósł się do Międzyrzéca. Żal rozstania się z ukochanymi swymi, jak ich nazywał, owieczkami, osładzała nadzieja że i winnym miejscu potrafi być również użytecznym; ale za ledwie wziął się do zakładania szkółek i podał projekt założenia szpitala, gdy nagle w dniu 29 grudnia 1801 r., tknięty apopleksją, życie pełne cnót chrześcijańskich zakończył (1).

Piramowicz był bardzo małego wzrostu, a głowę miał w stosunku do reszty figury ogromną

(1) Tym którzy lubią zastanawiać się nietylko nad rzeczami dającymi się oczyma widzieć i rękoma dotykać, opowiemy tu jedno szczególne zdarzenie. Ignacy Potocki, żegnając się z Piramowiczem ze łzami czulej przyjaźni, podał myśl do zawarcia takiej ugody, że gdyby jeden bez drugiego umierał, to prosić będą Boga aby jakim sposobem ostrzegł o tym tego, który w niewiadomości będzie zostawać o losie przyjaciela. Dnia 29 grudnia 1801 r. przed południem Ignacy Potocki siedział sam w swoim pokoju w Klementowie, gdy spostrzegł że na ramie okna usiadł jakiś szczególny ptaszek i zaczął dziobkiem stukać w szybę, jakby chciał dostać się do pokoju. Za ledwie Potocki ruszył oknem, chcąc je otworzyć, ptaszek zniknął, a czcigodnemu mężowi stanął w myśli układ zawarty z Piramowiczem. Wysłał zaraz posłańca do Międzyrzéca, a ten przywiózł wiadomość że tego samego dnia o tej samej porze przyjaciel jego skończył życie.

i nieforemną. Twarz jego, pomimo rysów dość grubych, umilona zawsze słodyczą i właściwą charakterowi wesołością, była bardzo przyjemną. Patrząc w twarz i czytając na niej wyraz wzniosłej i szlachetnej duszy, zapominało się o niekształtnej budowie ciała.

Oprócz dzieła o *Wymowie* napisał i wydał: *Naukę obyczajową dla ludu wiejskiego*, dzieło nader użyteczne, *Dykeyonarz starożytności* przerobiony z francuzkiego p. *Furgault*, *Instrukcyą dla nauczycieli szkół początkowych*, która potem przerobiona i powiększona przez Józefa Lipińskiego wyszła z druku r. 1817, i zaczął pisać *Książkę użyteczną dla ludu*, ale pracy, tej nadzwyczaj pożądaney i wielkie rokującej nadzieje, równie jak i dzieła o wymowie, nie dokończył. Stanisław Potocki w mowie mianey o Piramowiczu świadczy że rękopis ten istnieje; może więc kiedy zajmie się kto uzupełnieniem tego dzieła i podaniem go do druku.

Szereg tych prac literackich powiększają jeszcze liczne mowy miéwane w różnych okolicznościach i sprawozdania z całorocznych działań kommissyi; ale są to rzeczy mniejszej wagi, gdyż rzeczywistych zasług Piramowicza nie w drukowanych foliach, ale w czynach miłości bliźniego szukać należy.

Antoni Wieniarski.

PATMAKHANDA

SCENY Z PODRÓŻY PO INDYACH.

Tyle dziś piszą w Europie i o tylu rozmaitych przedmiotach, że już nie wiadomo pod jakim tytułem przedstawić publiczności nowe dzieło; a trudność ta zwiększa się jeszcze, gdy idzie o podróż po odległym kraju.

Nie można więc ganić p. Eryka v. Schönberg, że opisując Indye i Persyę naśladował podróżników Wschodu, dając swemu dziełu symboliczne miano *Patmakhanda*. Dla niemających pod ręką słownika sanskryckiego przytaczamy, że wyraz ten wzięty z języka indyjskiego, tak bogatego w obrazy,

znaczy: *miejsce obfitujące w lotus*, kwiat czczony przez Indyan.

Tak, lotus jest godłem Indyj, szczególniej Indyj przed ich podbiciem przez Muzułmanów, a bardziej jeszcze przed zajęciem przez Anglików. Jednakże podróżnik germański nie szuka pamiątek starożytności. Nie zatrzymując się nad podaniami wieków przeszłych, opowiada co widział teraz. W naszych uniwersytetach, rzekł sobie autor *Patmakhandy*, wielu jest uczonych którzy Indye chcą poznać ze swoich książek, i światowi erudytów

objasniać jej tajemnicze symbole. Dlaczegożby publiczność północnej Europy nie miała przyjąć łaskawie tych kart albumu zarysowanych z natury, napełnionych opisami miejsc najslawniejszych? Kręślił więc swoje notatki i uwagi pozornie bez porządku, przechodząc od przedmiotu do przedmiotu, naksztalt pszczoły co przelatuje z kwiatka na kwiatek i kończy na tém że wszystkie odwiedzi. Powstało ztąd zajmujące dzieło, wcale niepodobne do zwykłego przewodnika podróży, i które czytać można z wielką przyjemnością, żałując jednak że autor zanadto się strzegł porywów wyobraźni i zapła.

Zaprawdę, autor Patmakhandy nie należy do liczby tych podróżników, co obznajmiwszy się jako tako za pomocą książek z ziemią do której dążą, marzą o krajach urojonych, a potem, ujrzawszy rzeczywistość, zbliżywszy się do upragnionego celu, smucą się nie znajdując cudów we własnej utworzonych wyobraźni. Góry podobne do innych, ludzie niewiele różniący się kolorem skóry i kształtem odzieży od gdzieindziej widzianych, drzewa mniej więcej wyniosłe, a na ich gałęziach ptaki swiergocące tak jak wszędzie, czyż oni tego oczekiwali? Jednakże powoli obraz urojony zacięra się w umyśle; odcienia, niedostrzeżone zrazu, odznaczają się silniej, i wkrótce daje się poznać nieskończona różnorodność, jaką Bóg rozmieścił na ziemiach pozornie sobie podobnych. Zresztą, chociażby na pierwszy rzut oka ogólny obraz okolicy nie miał w sobie nic nadzwyczajnego, dla obudzenia silnego zajęcia dosyć jest patrzeć nań z pojęciami odrębnej cywilizacji. A cóż dopiero w Indjach, gdzie wszystko tak dziwne, niezwykle, gdzie wszystko przemawia do wzroku i umysłu; w tej ziemi cudownej, ku której poeta, malarz i uczoney równy czują pociąg! Autor Patmakhandy osądził że wspomnienia podobnej podróży nie tracą na tém, gdy w malowniczym przedstawi je bezładnie, a czytelnicy pozwolą że idąc za jego opowiadaniem, a czasem coś dodając, tak samo jak on postąpimy.

Przybijamy do brzegu, gdzie oczekuje nas palankin, a tłumacz usłużny doń zaprasza; oto Indye dzisiejsze, takie jakimi je zrobiły starania Anglików i wielkie *steamers'y* nieustannie prujące morza, ziemia, w której wszystkiém się zajmując, sam tylko nie zajmiesz nikogo. Tymczasem, kołysany w lektyce jak patrycyusz starożytnego Rzymu,

śłyszysz żebraka, co z wrzaskliwemi wyrzekaniami prosi o jałmużnę w imię allaha! Oto Indye średniowieczne, Indye Mongołów, zalane islamiżmem jak falą ogromną i huczącą. Nagle ludzie niosący palankin rzucają się na bok, usuwając się z uszanowaniem przed bykiem ze złoconemi rogami, którego starzy braminowie karmią świeżą trawą, a młode dziewczęta głaszczą po chropawym grzbiecie. Ten byk, jestto godło siwaizmu; i oto znalazłeś Indye starożytne, których język i mity w dziejowej giną pomroce. Na tej tajemniczej ziemi spotyka się trzy epoki, trzy wiary, trzy cywilizacje. Ponad tłumem poruszonym tyłą różnemi wyobrażeniami wznoszą się dzwonnice, minarety i pagody. Szczyty świątyn chrześcijańskich wystrzelają w powietrze i wznoszą się prosto ku niebu, a dźwięczny głos dzwonów zwiastować się zdaje wieczną młodość chrześcjanizmu, co z każdym dniem rozszerza tchnące pokojem swe zdobycze. Z wysokości balkonów zawieszonych na minaretach, ślepy muezzin, jakby echo odległe i osłabione wezwania niegdyś proroka do ludów Arabii, zwołuje Muzułmanów na modlitwę. Pod portykami pagod, nad brzegami świętych stawów, igrają zwierzęta i ptaki czczone przez Indyan; na progu zaś świątyn poświęconych bałwochwalstwu koncha, w którą tchnie bramin, nadymając policzki jak Tryton, przypomina ci starożytną Grecyą.

Jak w państwie ottomańskim i Persyi, tak w Indjach, ileż rozmaitych narodów, podobnych zdaleka do siebie krojem obszerniej, powiewnej odzieży! Przyjrzawszy się jednak bliżej, widać że fantazyja i charakter właściwy każdego z tych plemion wrywa się zpod tej pozorniej jednostajności. Różnią się ony od siebie szczególnym kształtem turbanów. Umiąć skręcić około głowy kawałek grubiej bawełnianej tkaniny albo cienkiego muslinu, jest sztuką wymagającą zręczności a nawet smaku. Mieszkańcy wybrzeża koromandelskiego, mniej przebiegli od ludów Indostanu, spłaszczają turban na skroniach. Bengalczycy, więcej zniewieściali, delikatniejszej powierzchowności i ruchów, noszą turban szeroki, złożony z równych zwojów. W prowincyi Auda, główném niegdyś siedlisku oświaty starożytnych Indyj, ubranie głowy szersze z wdziękiem się zwija u wierzchu. Turban Sikków, plemienia wojowniczego i dumnego, przedłuża się spiczasto naksztalt czapki frygijskiej, a raczej sta-

rożynnego hełmu. Turban Radżputów, narodu rycerskiego, przechowującego u siebie podania feudalne, tworzy opaskę nakształt korony. Wojownicy Marattowie, co niegdyś swoje łupieztwa roznosili po bogatych okolicach leżących na północ i zachód swego kraju, zdobią smagłe głowy tkaninami jaskrawych kolorów lub szalami z przezroczystego muślinu, przetykanego złotem. Muzułmanie, przywdziawszy turban Mongołów, skręcają go od dołu do góry w regularne, śrubowe zwoje, które stykając się brzegami, nie zakrywają jeden drugiego. Czy Indyanin spotkany jest Mahometaninem, czy bałwochwalcą, łatwo to poznać z powierzchowności. Mahometanin zakłada tunikę na bok prawy, by nie tamować ruchów poświęconego sznura, co wisi u lewego ramienia; bałwochwalca spina ją przy sercu. Pogański Hind, chociaż nagi, zdradza się jakimś symbolicznym znakiem, nakręslonym na czole, piersiach lub ramionach; jego długie, przesiąknięte oliwą kokosową, włosy, bujają wolno nawet w największe upały. Przeciwnie Muzułmanin zawsze pokrywa ogoloną głowę fałdami turbanu lub białą bawełnianą czapeczką.

Wszystkie rzemiosła i rękodzieła, rozwijające się pod wpływem wyższej cywilizacji, istnieją na ziemi indyjskiej; podział zaś wielkiego jej ludu na kasty sprawia że ony są dziedzicznymi. Część narodu nie należąca do żadnej kasty, nie zajmująca się ani uprawą roli, ani handlem, ani rzemiosłem, dwa wielkie tworzy działy: *cipajów* i *munszi'ch*, czyli wojowników i uczonych; pierwsi noszą dzidy, muszkiety, żelazne maczugi, służą za odźwiernych w pałacach, lub trzymają straż honorową przy osobie radży, godłem drugich jest *kalamdan*, podobny do kałamarza co go Koptowie egipscy noszą w fałdach swego pasa. Munszi nieoszacowanym tu jest człowiekiem. Masz napisać list pięknym charakterem perskim, list, jak wszystkie na wschodzie, niezbyt treściwy, lecz napełniony pochwalnymi przenośniami i żarliwymi życzeniami: cienkie trzcino-we pióro, kierowane umiejętnymi palcami krajowca, skręśli go w jednej chwili. Chcesz się nauczyć języka krajowego: twarz munszi'ego radośnie się uśmiecha; natychmiast zbliża się z grzecznym ukłonem, z okularami na nosie i zwojem papierów pod pachą. Boso, bo papucie zostawił za drzwiami, z turbanem nasuniętym na oczy, siada na krześle, z zakłopotaniem człowieka przywykłego podkurczać

nogi, i lekcyą się rozpoczyna. Na wiadomościach munszi'emu nie zbywa; mówi on i pisze mniej więcej dobrze trzema lub czterema językami, lecz nauczywszy się ich machinalnie, nadzwyczajną spotyka trudność w metodycznym nauczaniu. Lekcyą więc zmienia się w gawędkę; nauczyciel ustępuje swego miejsca uczniowi i z uprzejmością pozwala się egzaminować. Po kilku wszelako miesiącach uczeń tyle skorzysta, że się rozmówi ze służącymi, jeśli umieją po angielsku.

Munszi pełni także obowiązki pisarza publicznego i sekretarza książąt muzułmańskich. Odpowiednią jemu osobą w społeczności bałwochwalczój jest *pandita*, bramin biegły zwykle w pismach świętych, religijnych podaniach i traktatach filozoficznych. Przy osobach radżów gra on rolę ojca duchownego, w wielkich zaś miastach oddaje się nauczaniu młodzieży; on to z pokolenia w pokolenie przekazuje naukę doktryn sekty wedików; on piórem trzcinowem własnoręcznie na palmowych liściach rozliczne kręśli rękopisy, przekazując nam zabytki literatury daleko starożytniejszej niż grecka. W bibliotekach założonych przez towarzystwa azyatyckie w Kalkucie, Madras i Bombaj używany on bywa do przeglądania tekstów i ich rozgatunkowania. Gdy idzie o wydrukowanie rękopisu sanskryckiego, wydawca znajdzie w nim sumiennego i zdolnego korektora. Oddany nauce z powołania, *pandita* na miernym przestaje wynagrodzeniu. Próżności jego najbardziej to pochlebia, że Europejczycy gorliwie uczą się języka krajowego i zasad wiary której jest przedstawicielem. Dla cudzoziemców używających jego usług nie czuje on ani nienawiści, ani przychylności, lecz pogardę, którą w potrzebie umie utaić. *Pandita* przedewszystkiem jest braminem ceniącym przywileje swjej kasty i bez szemrania znoszącym obce panowanie, byle tylko zachował swój wpływ na umysły, byle w nim szanowano uczonego teologa.

Hindowie, rzecz można, nie znają już uczucia narodowości. Cała ich cywilizacja, ugruntowana na pierwiastku teokratycznym, wyłącza cześć owę dla ojczyzny, jaką mieli Grecy i Rzymianie, zastępując je przywiązaniem do miejsc uświęconych przez podanie. Ich ziemia święta rozciąga się od Cejlanu wsławionego czynami Ramy, aż do szczytów gór himalajskich, dających początek czczonym przez nich rzekom. Na tej ogromnej przestrzeni ileżto miejsc

slawionych przez poetów, będących celem pielgrzymek niezliczonych tłumów! Te oto rodziny podróżujące na wózkach ciągnionych przez woły, ci starzy, siwobrodzi braminowie, okryci skórą antylopy, kroczący wśród kurzu tumanów, ci jeźdźcy z pokrętnym wąsem, z puklerzem u ramienia i szablą u boku, jadący truchtem na prześlicznych koniach, te tłumy żebraków śpiewających i wrzeszczących na zabój, ciągnące od wioski do wioski z łupiną orzecha kokosowego, w którą ryż wyżebrany zbierają, te gromady rolników i kramarzy prowadzących znużone dzieci za ręce lub niosących je na plecach, wszystko to spieszy z zapalem skąpać się w falach Dżamuny lub Gangesu. Któryżby Hind nie zapragnął chociaż raz w życiu dopełnić obmycia w Benaresie? Tysiące istot ludzkich wszelkiego wieku i stanu zanurzają się codziennie w tych wodach, obmywających, jak mniemają, ślady nawet grzechu. Szczęśliwi, co dobiegając kresu doczesnej pielgrzymki, skończyć ją mogą na brzegu rzeki świętej, ztwarzają pokrytą jej błotnistym mułem, użyzniającym poblizkie pola! Raz stanąwszy w Benares, biedak zapomina o swojej nędzy i codziennych troskach, odrywa się od ziemi i przestaje już być człowiekiem. I tak to cały naród cheiwie czerpie zapomnienie swych cierpień w korycie rzeki! Pielgrzym nigdy nie zapomni wziąć z sobą trochę tej wody Gangesu, co grodu świętego splukała stopy. Niektórzy władcy z wielkim kosztem codziennie ją sprowadzają, a ta naiwna pobożność nierównie wyżej ich stawia od owych starożytnych lub tegoczesnych Lukullów, co rozstawnymi końmi łakocie zwożą na swe stoły.

Toż samo uczucie religijne dało początek wielkiemu jarmarkowi w Hardwar, zwanemu *mela*. To święto przypada tylko co lat dwanaście, w czasie gdy słońce wstępuje w znak barana. W Hardwar, doliną otoczoną z trzech stron wysokimi górami, wartko płynie Ganges, w postaci jeszcze wdzięcznego i przejrzystego strumienia. Miasto zbudowane jest u stóp jednej z gór dosyć spadzistych; niewielka uprawna przestrzeń dzieli je od niezmiernego lasu, służącego całemu obrazowi za ramy. Pobożni Hindowie zbudowali tam długie schody wiodące do rzeki; tu i owdzie wznoszą się wieżyczki i pawilony, zdobne fantastycznymi malowaniami. Miejsce służące do kąpieli znajduje się u stóp wyskakującej w wodę skały. Dojść tam może tylko czte-

ry osób obok siebie; dla przeszkodzenia więc tłumowi, u wnijscia stoją cipajowie, przestrzegając aby pielgrzymi w zapale religijnym nie podusili jedni drugich. Pomimo tej ostrożności w roku 1819 zdarzył się jeden z tych pamiętnych wypadków, co zostawiają w sercach narodów straszliwe wspomnienie. Pielgrzymi, niecierpliwi zanurzyć się w świętej wodzie, rzucili się gwałtownie do wnijscia; nastąpiło straszne zamieszanie. Tłum party ze wszech stron rozdziérające wydawał krzyki. Zginęło czterysta osób, między niemi i cipajowie, którzy nadaremnie usiłowali przeszkodzić wypadkowi, a naród, zamiast żałować, zazdrościł losu tym co oddali ostatnie tchnienie przy wypełnieniu aktu pobożności. Hindowie mało cenią życie; spodziewają się bowiem po śmierci odżyć na świecie w nowym stanie, i to tém wyższym, im więcej zasług położyli za życia.

Wystawcie sobie 800,000 ludności, a podług innych dwa miliony, przybyłej do Hardwar z Deli, Laknaw, Bengalu, wybrzeża koromandelskiego, Guzeraty i t. d. Pomiedzy tłumem znajdują się gosain'owie, zapaleńcy pobożni i potężni w czasach panowania Marattów nad tą okolicą, którzy urościli sobie prawo zastępowania policyi podczas uroczystości; beragis'owie, inny rodzaj pobożnych, przywłaszczających sobie najlepsze miejsce na jarmarku; dzogis'owie albo pokutnicy, poświęcający się rozmyślaniom i niewygodom. Ludzie należący do tych sekt odznaczają się zawsze jakimś szczególnym znakiem na czole; są tacy, co posypani od stóp do głów popiołem, podobni się stają, podług wyrażenia pewnego podróżnika chińskiego z VI wieku, „do kotów co spały w kominie.“

Widziana z góry, ta tłuszcza, złożona z niezliczonych głów, nagich, łysych, pokrytych gęstym włosem lub turbanami wszystkich kolorów, osłoniętych grubym płótnem lub najwytworniejszymi azyatyckimi tkaninami, dosyć dobrze naśladuje łąkę upstrzoną tysiącami kwiatów, już świeżo rozwitych, już zwiędłych od upału słonecznego i kołysanych lekkim powiewem wiatru. Jarmark trwa zwykle dni piętnaście.

Po duchu panującym na jarmarku i w miejscach pielgrzymek poznać można że naród indyjski nie przestaje żyć życiem naturalnym, sobie tylko właściwym. Skutkiem głęboko zakorzenionych przesądów religijnych idzie on ślepo w ślad dawnych

zwyczajów i obyczajów. Naczelnicy tego ludu żyją tak, jak żyli ich ojcowie, jeśli nędzne ich istnienie życiem nazwać się godzi. Niéma nic smutniejszego nad tych radzów, tych nababów, którym związują ręce, a jednak oddają poklony; nudy zamieszkują ich wspaniałe pałace. Jedni z nich, posiadający bogate ziemie, żyją jak skąpcy i odmawiają sobie rzeczy najpotrzebniejszych; drudzy wyłącznie zajmują się badaniami astrologicznymi. Niektórzy znajdują upodobanie w skokach maryonetek i automatów nasyłanych im przez Europę. Część wreszcie przepędza życie dosyć szczęśliwie na małych swoich dworach lub w Benares, dzieląc czas pomiędzy czytanie i uczynki pobożne. Są oni podobni do obrazów zapomnianej przeszłości, do złoconych szczytów świątyń, oświeconych promieniami słońca i błyszczących blaskiem pożyczanym. Ostatnim z tych władców, co w Indjach znakomitą odegrał rolę, był Rundžit Sing. Wszystkie występki wschodu wcieliły się w jego osobie, a lubo żadną nie nagradzał ich cnotą, stał się jednak założycielem znikomiej monarchii owój, która upadła razem z jego śmiercią. O maharadzi Sikków zebrano wiele powieści; przytoczymy z nich jedną. Ma ona w sobie tę osobliwość, że przedstawia starego lwa w świetle korzystnym.

W czasie wojny z Afganami, Rundžit Sing, przedsięwzięcie obleżenia małej forteczki w bliskości Attok, udawał się w towarzystwie dwóch *sirdar*'ów (generałów) do swego wojska. Pewnego wieczora trzej wojownicy zasnęli nad brzegami Indu; rzeka, wezbrawszy w nocy, zalała miejsce ich spoczynku. Rundžit Sing zaraz położył się na ciałach towarzyszków, którzy cierpliwie wybryk ten zniesli, bo przyszły król był człowiekiem na którego gniewać się nie śmiano. Rano trzej przyjaciele udali się w dalszą drogę; Afganiec byli niedaleko, głód dawał się uczuć, a żywności nie było. Złożono naradę; dwaj *sirdar*'owie idą do wioski zajętej przez nieprzyjaciela. Jeden z nich napotyka kobietę niosącą chleb na sprzedaż: „Rundžit jest ztąd niedaleko, rzecze jej, i nie ma pożywienia; dopomóż mu!“ Kobieta chętnie zaniósła chleb księciu Sikków, ten zaś uradowany zawołał: „Jutro forteca będzie w moich rękach, a ty źle nie wyjdiesz na swojej uczynności!“ Tegoż wieczora Rundžit połączył się z wojskiem, forteczka została zdobytą, a zwycięzca podarował ją owój kobiecie. Później, zostawszy

maharadzą, Rundžit Sing z wielkiem zajęciem opiekował się jej potomkami, i ci do dziś dnia posiadają majątność, która ich kosztowała tylko kawałek chleba. Ze wszystkich czynów Rundžit Singa, napiętnowanych występkami i gwałtami, ten jest jedynym co świadczy o chwilowym przystępie szlachetności.

Tutejsi monarchowie otaczają się licznym dworem, wezyrami, strażą, słowem wszystkiem co daje pozór wielkości. Około ich pałaców hodują słoniów przypominających im dawną sławę. Za czasów bohaterów, opiewanych przez poetów, stolica Mogulów nazywała się *Hastinapura*, miasto słoniów. Poeta Tszand, głosząc czyny ostatniego z królów Indyj, daje swemu władcy nazwę *króla słoniów*. Rzeczywiście wspaniały ten czworonóg jest w Indjach godłem potęgi; niektórzy książęta mieścili jego wyobrażenie na chorągwiach; w świątyniach sekty buddystów rzeźbiona jego postać wznosiła się wspaniale pod sklepieniami portyków; prawdziwą wszakże ojczyzną słonia są Indye południowe, Cejlan, bagniska i niziny leżące pomiędzy Gangesem a rzeką Irawaddy. Radżputowie hodują głównie wielbłądy baktryjskie, zwierzęta cierpliwe i wytrzymałe, oraz cienkonogie dromadery. Koń należy więcej do Mongołów, Afganów, jako pokoleń koczowniczych, które niegdyś prowadziły wieczne wojny na północy Indyj i w Azji środkowej. Padyśzach muzulmański, co miasto Delhi odebrał królowi Pritiwiradza, przez tegoż samego poetę Tszanda zwany jest *królem koni*. Koń, zwierzę dumne i odważne, rzeczywiście silną stanowi pomoc dla narodów wojowniczych. Słonie to, wielbłądy i konie nadają orszakom książąt i kolumnom wojska ów pozór dziwny, a razem malowniczy i wspaniały, w którym tak świetnie odbija się przepych azyatycki. Widząc przechodzące te armie, te zwierzęta w tumanach kurzu, otoczone tłumem żołnierzy rozmaitych plemion i różnej broni, nasuwa się myśli wszystko co w przeszłości było wielkiem i strasznym: odwrót Sardanapala z Niniwy, spotkanie Aleksandra z Porusem, bitwy Pyrrusa z Rzymianami, pochody Czyngis-hana w wyższej Azji. Na wypukłym swym garbie wielbłąd niesie małą armatę polową; obowiązkiem słonia jest burzyć ostrokoły i deptać nogami piechotę ściśniętą w falangi jak leśne bambusy. W wyprawach przeciwko tygrysom słoń także pierwsze zajmuje miej-

sce, jego czarny grzbiet jak wieża nad wysokie sterczy trawy, a na nim kołysze się namiot, ukrywający myśliwych. Ostry i donośny głos kornaka zagrzewa potężne zwierzę, które podnosząc trąbę aby ją uchronić od straszliwych szponów nieprzyjaciela, chrapiwym, złowieszczym krzykiem odpowiada na jego ryczenie. Ziemia drży pod stopami słonia, na którego tygrys, jak żołnierz do szturmu, rzuca się gwałtownie. Następują krwawe zapasy dwóch najstraszniejszych zwierząt na ziemi, a człowiek z wierzchołka swego schronienia panuje nad wywołanym przez siebie bojem.

Hindowie mają namiętność do polowania; w ich powieściach często znaleźć można wzmiankę o królach, co poświęceni całkiem myśliwstwu, zapominali o sprawach państwa. Starożytne tutejsze rysunki przedstawiają nieraz książąt z sokołami na ręce; polowanie bowiem za pomocą ptaków od najdawniejszych czasów używane było przez Tatarów. Do Indyj bez wątpienia zostało ono wprowadzone przez Mongołów perskich; dziś nawet jeszcze sprzedają zakapturzone sokoły na ulicach Kalkutty, Agry i Deli.

Ale niedosyć przyuczyć drapieżne ptaki do polowania: myśliwcy indyjscy zdołali usposobić w tym względzie i mięsożerne zwierzęta. W wielu okolicach Indyj układają do polowania lamparta (1). Wiozą go w pole z zawiązanymi oczyma, w klatce umieszczonej na wozie ciągnionym przez woły. Przybywszy na miejsce gdzie się spodziewają znaleźć zwierzynę, myśliwcy zaczynają galopować konno dokoła, dla spędzenia gazell do punktu środkowego, którym jest klatka lamparta. Skoro osądzą że gazelle są już dosyć blisko, odwiązują mu oczy i otwierają klatkę. Lampart rozpatruje się w jednej chwili; szybko, przezornie i cicho zeskaakuje na ziemię, i wyciągając się jak kot, niespostrzeżony przez zwierzęta na które czatuje, ukrywa się za pagórkem. Jak tylko gazella zbliży się tak że ją może dosięgnąć, rzuca się na nią i chwytając jednym skokiem. Wtedy nadbiega pan jego i stara się zmusić go do puszczenia zdobyczy. Z początku lampart opiera się temu; wtedy myśliwy topi nóż w szyi gazelli i ciepłą krwią zwilża pysk drapieżnego zwierza. Lampart łaknący krwi co mu ścieka po paszczy, otwiera zęby, i zdobycz zostaje

w ręku myśliwca. Gdy w skoku chybił zdobyczy, nie ściga już za nią, a wstydząc się niezręczności, zżyma się, oddala od pana i dopóty się dąsa, dopóki ten nie poda mu sposobności poprawienia swjej sławy. Polowanie to najpospolitszym jest w prowincjach południowych i zachodnich, szczególnie w Radżastanie.

Nie zdaje się żeby pies kiedykolwiek grał u Hindów tę rolę towarzysza człowieka, jaką dlań przeznaczyły ludy zachodu; pochodziło to zapewne z przesądu starożytnych przeciwko tym zwierzętom uważanym za nieczyste. Homer z psa zrobił istotę prawie rozumną; Xenofon o polowaniu, o sforach i wychowaniu gończych pisał tak pięknie, jakby się chciał przypochlebić Dyanie łowczyni. Poe-mata indyjskie naprowadzają nas na myśl, że obrzydliwy szakal, pies zdziczały, przyczynił się do niełaski jaka spadła na psa domowego.

Na pochyłościach gór Himalaja za Kaszmiem napotyka się daniela wydającego piżmo, tudzież niedźwiedzie rozmaitego rodzaju. Z nich czarny, najmniej znany w Europie, jest tak wielki jak niedźwiedzie Ameryki północnej, i ma pod szyją białą łatę. Jestto zwierz srogi i zaczepiać go nieostrożnie nie można. A jednak czém żyje ten straszliwy drapieżca, od ryku którego okoliczne drżą góry? Oto szarańcza i innemi owadami. W śnieżystych okolicach zawsze można znaleźć wielką czarną szarańczę przybyłą tu z płaszczyzn Persyi i Afryki. Czy ona za pomocą skrzydeł dosięgła szczytu gór, czy tam została poniesioną przez wiatry, jestto trudne do rozwiązania zadanie. To jednak pewna, że na tej wysokości nie może użyć skrzydeł i pozbawiona sił leży na śniegu bez ruchu, aż do chwili gdy słońce wróci jój życie; wieczorem znów bezwładnieje i w tym letargicznym stanie staje się łupem niedźwiedzia.

Krajowcy dobrowolnie nigdy niedźwiedzia nie zaczepiają w jego schronieniu; w razie zaś nakazania oblawy, zbierają się na nią jak rekruci przymuszeni iść na wojnę. Ze czterdziestu oblawników zbliża się w dobrym szyku i to ztém większą gorliwością, że tuż za niemi z biczem postępuje dozorca. Łatwo się domyśleć że polowanie w którym ludzi używają zamiast psów, nie miało żadnego powabu dla naszego podróżnika, lubo umyślnie na cześć jego było wyprawiane. W tych odległych okolicach, odgraniczonych szczytami

(1) *Felis jubata*, w języku indyjskim nazywa się on *tszita*.
KSIĘGA ŚWIATA R. IV. Cz. 2.

Himalaji, kryje się ucisk i barbarzyństwo, z którymi rząd angielski ciągle toczy wojnę. Niezbyt jeszcze dawno prowadzono tu handel niewolnikami. Ludzie zbrojni wkraczali do okręgu Kumaon (na północ Hindostanu) dla porywania, dzieci a szczególnie dziewcząt słynnych z piękności i białości cery. Braminowie sprawujący obrzędy religijne przy pagodach i trudniący się astrologią częstokroć sprzedawali za cenę od 12 do 15,000 franków, tancerki poświęcone wprzód służbie świątyni.

Polowanie na którym znajdował się autor Patmakhandy, odbywało się w okręgu Kawerbarra, na granicach małego Tybetu. Wstąpmy z nim razem na jeden z wierchołków himalajskich i spojrzymy zdumiałem okiem na roztaczający się w koło krajobraz. Pomiędzy dwoma ostrokęgami, pokrytymi wiecznym lodem, głębokie otwierają się doliny; gdy słońce zabłyśnie, promienie jego odbijają się w wodach samotnego jeziora lub przeciskają przez lasy cieniste. Szum potoków miesza się z poświstem wiatru gwiżdżącego pomiędzy gałęziami wyniosłych jodeł. W miejscu gdzie niknie roślinność, zaczyna się panowanie śniegu. Tamto, według starożytnych podań, umierać szli bohaterowie znużeni życiem i przesyleni chwałą, jak stary orzeł, czując osłabione swe siły, uchodzi na niedostępną skałę i z głową zanurzoną w obłokach, ostatnie wydaje tchnienie. Góry himalajskie tém są dla Indyan, czém dla Greków i Rzymian był Olymp; lubią oni umieszczać swych bogów w tych strefach graniczących z niebem, gdzie człowiek ani się dostać, ani téż żyć nie może.

U podnóża tych zimnych, groźnych i pustych gór rozciągają się szczęśliwe doliny Kaszmiru, gdzie klimat tak łagodny jak w Prowancyi lub żyźnej Lombardyi, gdzie dojrzewają owoce stref umiarkowanych. Przez całe stulecie Sikkowie i Afganowie pustoszyli Kaszmir, który postradał swą niezależność w początkach podbicia przez Muzułmanów. Będąc z kolei siedliskiem wyznawców Brahmy, następnie ziemią obiecaną buddystów, którzy tu liczne wzniesli klasztory, ta piękna dolina straciła dziś szczęście i pokój. Mieszkaniec Kaszmiru, dumnego wejrzenia, wzniosłej postawy, zuchwałego i upartego charakteru, doznawszy klęsk, cofał się niegdyś w góry, a najeźdźników zostawiał w posiadaniu miast swych i zamków; po ukończeniu zaś wojny, zmuszony potrzebą, wracał w niziny.

Jakkolwiek podbity, naród ten nie zmienił swych zwyczajów wojowniczych: nie może on żyć bez broni, i w całej swój postawie przechował znamiona rycerskości. Ostatnie dni świetne dla Kaszmiru sięgają czasów Dzehangira (1605—1628). Co roku cesarz ten delhijski przybywał tu z dworem przepędzić kilka miesięcy ze swoją faworytą Nurdzehan, a wtedy illuminacye, tańce, ognie sztuczne następowały jedne po drugich, jak w cudownych opowiadaniach tysiąca i jednej nocy. Przed nim zamieszkiwał tu Akbar, dla kierowania wojną przeciw zbuntowanym tuziemcom.

W końcu XVII stulecia Aurengzeb przebywał w tak drogim dla władców Delhi Kaszmirze, mając przy swoim boku Bernier'a, pierwszego z Europejczyków co zwidził i opisał tę bogatą krainę.

Przenosząc się z autorem Patmakhandy z Indyj do Persyi, przyznać musimy że na całym świecie niéma dwóch narodów tak różnych jak Hindowie i Persowie, a różnica tém staje się wydatniejszą, że pochodzenie ich jest wspólne. Jak dwa ramiona rzeki, dwa te narody, z jednego wyszedłszy źródła, rozbiegły się od siebie. Persya, leżąca w środku starego świata, w ciągu długiego istnienia w nieustannych była stosunkach z narodami słynnemi w starożytności; historia jój związana jest z historią Hebrajczyków, Assyryjczyków, Medów i Greków. We wszystkich wiekach widzimy ją ukazującą się na szczycie ówczesnej cywilizacyi. Rządzona przez monarchów już mądrych i sławnych, już srogich, zaślepionych władzą, Persya rzuca wokoło siebie promienie dziwnego blasku; Indye przeciwnie znane były Europie tylko z niepewnych opowiadań. Społeczność ich rozwijała się tajemniczo na brzegach Gangesu i Dżamuny, nakształt ascety ukrywającego się w cieniu lasów, dla odbywania w spokoju pobożnych swych ćwiczeń. Pod wpływem trzydziesto-wiekowej, a całkiem odrębnej, cywilizacyi, Indye przecież zachowały w sobie coś pierwotnego: są ony więcéj ciemne niż wyrodzone. Pomimo zmian losu jakich doświadczały, dość silném tętnią jeszcze życiem. Na ziemi téj płodnej żyje lud przywiązany do swój przeszłości, naiwny i cierpliwy, pracowity i rolniczy. Czyż tak jest w Persyi? Zaprawdę nie. Aby się o tém przekonać, dosyć porównać z sobą wielkie miasta i wsie tych dwóch krajów.

W Indyach, gdzie tylko dosyć jest ludności, tam zaraz nowe powstają miasta, a z dawnych pomników więcej nierównie jest przechowanych, jak zniszczonych przez czas albo ludzi. Ze sławnej zaś przeszłości Persów pozostały tylko zwaliska, przy których jeszcze mocniej odbija terażniejsza nędza. W mieście Ispahan, gdzie Chardin liczył sześćkroć sto tysięcy ludności, zostało teraz tylko dwakroć pięćdziesiąt tysięcy: ogromny jego bazar opustoszony; plac *Meïdan*, uważany przez podróżnych za najobszerniejszy na świecie, zdaje się bezludnym: zaledwie w jednym jego rogu wznosi się kilka namiotów. Za czasów Abbasa W. potężny ten czworobok, miejsce składowe towarów całego Wschodu, zapełniany bywał przez karawany; zburzony w r. 1722 przez Afganów, Ispahan do dawniej nie wrócił już wielkości. I Teheran także zniszczony został przez hordy Afganów, ale zostawszy stolicą państwa, podniósł się owszém zamiast upaść. Ztémwszystkiem nigdy to miasto znakomitego nie dojdzie rozwinięcia, gdyż położenie jego jest niezdrowe, a w lecie tak zabójcze panują tu gorączki, że połowa mieszkańców wynosi się w inne strony. Zato jakże prześliczna okolica miasta Sziras! (1). Otoczone wysokimi wzgórzami, miasto to, chluba Persów, rozciąga się w wesołej dolinie, tém wdzięczniejszój, że ją otacza łańcuch skał, ponurością swoją dziwnie odbijających od bujnej roślinności. Ta to zachwycająca dolina jest ojczyzną dwóch słynnych poetów: Saadi'ego i Hafiz'a. Ostatni spoczywa w pośród ogrodów, pod cieniem kępy cyprysów; grób jego starannie jest utrzymany. Przeciwnie grób Saadi'ego zupełnie opuszczony; nie widać już na nim kompletnego egzemplarza jego dzieł, przykutego niegdyś łańcuchem do kamienia grobowego, a zaniedbanie szczątków autora Gulistanu jest jakby obrazem jego życia błędnego i nieszczęśliwego. W r. 1824, trzęsienie ziemi zburzyło wszystkie minarety, wszystkie główne gmachy Szirasu; jedenaście kollegiów jego nie kwitnie już teraz, jak za czasów gdy miasto to zwano siedliskiem mądrości. Obecnie liczy tylko 30,000 mieszkańców i jest stolicą prowincyi Fars, od której Persya wzięła swoje nazwisko. Wspomnieliśmy o płodności doliny Szirasu; ztémwszystkiem płodność wybrzeży Gangesu i innych

rzek Indyj daleko jest większa. W ogólności grunt w Persyi bywa suchy i roślinność nie dosięga tu rozwinięcia jakiego dojszyby mogła w tak gorącym klimacie, przy lepszej irrygacyi. Ażeby wydać owoc, ziemia wymaga od człowieka nieustannój pracy.

Dzięki swój dawniej cywilizacyi, Persowie nabyli zręczności w różnych rodzajach przemysłu. W Ispahanie istnieją fabryki sławnych niegdyś kobierców, aksamitów, sukien, szkła kolorowego, broni siecznej, pistoletów i cukru. Sziras słynie z konfitur, sorbetów i wina, które Muzułmanie znajdują wyborném, jakkolwiek prawo fabrykacyi jego odstąpili chrześcianom. Tamto mieszkają potomkowie Persów zniewieściali razem i bitni, zapaleni lubownicy bogatych tkanin i broni. Persowie, których od dwudziestu pięciu wieków klęsk tyle dotknęło, lekkomyślni są i weseli, jak wszystkie ludy co już przeżyły same siebie. Odznaczają się zamiłowaniem do ćwiczeń ciała, wyścigów konnych, turniejów; rysy ich są regularne i piękne; wyraz twarzy zachował coś z owój godności narodu potężnego i przywykłego panować nad drugimi; lubią sztuki piękne, poezyą, muzykę; są gadatliwi, kłamcy, często także samowolnie okrutni. Godném jest uwagi, że ludy oddane rozkoszy, przyzwyczajone iść za popędem wszystkich swoich zachceń i wymysłów miękkości, tracą często uczucie ludzkości, które litować nam się każe nad cierpieniami bliźniego.

Otoczona ze wszech stron lądem, właściwa Persya nie posiada nawet rzek splawnych. Na brzegach morza kaspijskiego handel i przemysł jeszcze się trochę utrzymują; żeglarze rosyjscy zawijają do przystani Balfruch, przy której znajduje się miasto tegoż nazwiska, liczące sto tysięcy ludności i osiedlone przez samych rzemieślników i kupców. Jestto najwięcej ożywiona okolica Persyi. Nieszczęściem w tém obszerném państwie drogi są źle utrzymane i niebezpieczne, towary trzeba przewozić na wielbłędach lub mułach. W prowincyach zbyt odległych od środka sprężyny administracyi bardzo są osłabione; nieład i anarchia ciągle w nich panują. Naród bezkarnie oddaje się rozbojowi, rolnictwo cierpi, a nędza staje się udziałem spokojnych rolników, co przywrócić się starają doli nom i płaszczynom dawną ich żyzność. Kurdowie, z innego pochodzący szczepu, składają na-

(1) Dziś ono zupełnie zburzone trzęsieniem ziemi.

ród liczny i trudny do powściągnięcia. W Korassanie koczują kilka plemion turkomańskich; oaza Kubis, w Kermanie, jest kryjówką bandy rozbójników zawsze gotowych do napadu na karawany idące do Kandaharu. Z chrześcijan greccy, katolicy i nestoryanie, z wyznawców Mahometa *szyici* i *sunnici* głównie tę ziemię zamieszkują. Ormianie, Chaldejczycy, Assyryjczycy, Partowie i Medowie, szczątki wszystkich narodów co niegdyś zabłysły i znikły, znajdują się jeszcze tu i owdzie rozsiani jak świątynie zapomnianych wyznań i pałace nieistniejących już dynastyj.

Prócz różnoplemienności podległych berłu jej narodów, do dzisiejszego Persyi upadku przyczynia się także osamotnione jej w Azji położenie. Odstrychnięta od prawdziwych Muzułmanów przez szyszemę szyjtów, nie lubi ona Turcyi i nie jest od niej lubiana. Ze wschodu spotyka Anglią, która upornie posuwa się wzdłuż zatoki perskiej i zmusza ją do cofania się od brzegów oceanu indyjskiego. Od zachodu i północy ma Rosyją, o tyle młodą i pełną siły, o ile sama jest starą, osłabioną i zgrzybiałą. Dziś utraciła ona nawet energią fanatyzmu; nienawidzi sunnitów i chrześcijan, lecz uczucie religijne stygnie już w niej samém. Najwyuzdańsza zmysłowość owładnęła całym tym ludem od wieków przez zbytki i miękkość zepsutym. Zdaje się więc że życie ucieka z tych stron, gdzie niegdyś takim jaśniało blaskiem.

Czy odrodzenie się Persów jest możliwém? Można by w to uwierzyć, widząc ich tak bystrych, tak cheiwych oświaty i wszystkiego co pochodzi z Europy. Ale narody zużyte odradzają się nie przez naukę, nie przez zarywanie prawideł wojennych i zwyczajów Zachodu. Z ludźmi tak samo się dzie-

je jak z drzewami: dopóki obficie i silnie krążą w nich soki, dopóty spodziewać się można nowych owoców; lecz gdy wydają nędzne tylko liście, gdy końce wielkich gałęzi zaczynają usychać, trudno, ażeby pień długo pozostał zdrowym.

W czasie pobytu podróżnika germańskiego w Teheranie, odbywały się tam wspaniałe uroczystości z powodu zaślubin domniemanego następcy tronu, (dziś on panuje). Po całych dniach skoczki skakały na linach, dając dowody siły i zręczności, w której kuglarze azyatyccy stali się mistrzami. Wieczorem puszczano ognie sztuczne, a całe miasto oświecono snopami rac. Jeźdźcy w świetnych ubiorach toczyli przepysznie ustrojonymi końmi; w całej tej ogromnej stolicy jaśniał blask bogactwa i radości. Tymczasem sam monarcha, następca królów, Mohamed Szach, okropnie cierpiał na podagrę. Z posłuszeństwem człowieka nie mającego ochoty umierać, połykał on lekarstwa któremi go karmił doktor umyślnie sprowadzony z Europy. Ten władzca, dręczony chorobą co później stała się przyczyną jego śmierci, podobny był trochę do swego państwa. Chorągiew szachów perskich nosi godło lwa w miecz uzbrojonego. Zaiste, król zwierząt potrzęsający orężem najwymowniej uzmysłowia wyobrażenie potęgi, lecz trzeba temu godłu umieć zapewnić poszanowanie. Indye, pokorne w duchu, jak powiedzieliśmy na wstępie, uosobiły się w lotusie, wdzięcznym i szeroko rozkrzewionym kwiecie, który wszędzie gdzie tylko znajduje trochę wody, rozwija wonny swój kielich. Fala nim miota wzburzona wiatrem, czasem go pokryje na chwilę, nawet zatopi; lecz wkrótce wypływa znów na wierzch, pełen świeżości i soków niepożytych.

BAKCZYSARAJ.

Podbita przez Tatarów w pierwszej połowie XIII wieku, zrabowana przez nich i oblana krwią, znakomita Tauryda prędko straciła i swoje imię. Nazwano ją Krymem, z imienia bogatego miasta Krymu, w którym przebywał chan tatarski Man-

gu (1), założyciel niepodległości swego państwa. Inni chanowie mieszkali w Karasubazarze, w Ka-

(1) Histoire du royaume de la Chersonèse Taurique par Siestrzencewicz.

fie i Czafat-Kale, dawniej nazywaném Kirkor. Na koniec, kiedy Turcy roku 1453 wzięli Konstantynopol, Mengli-Giraj chan, który uznał nad sobą władzę Porty, osiadł w Bakczysaraju, gdzie mieszkali także jego następcy, aż do przyłączenia Krymu do Rosyi.

Na pierwszy rzut oka zdaje się rzeczą osobliwą, że w rozpadlinie między nagimi skałami, na brzegu lichéj rzeczki, założoną została stolica; lecz wkrótce miejsce to tak zachwyca, że niepodobna sobie wystawić aby gdziekolwiekbydź lepiej można było napawać się życiem. A jeżeli to teraz tak się wydaje, kiedy naokoło wszędzie pustki, i w pokojach i na dziedzińcach, cóż musiało być wtedy gdy wszędzie cisnęły się tu tłumy ludzi, w bogatych ubraniach, gotowe wypełniać rozkazy swoich władców; gdy wszędzie błyszczały dyamenty i złoto, gdy z dalekich i blizkich krajów przychodzili z darami posłowie silnych monarchów, szukając związku z chanami krymskimi, dla uchronienia swych poddanych od rabunku band rozbójniczych.

„Prawie nie widzieliśmy Tatarów w Symferopolu, mówi pewien podróżny, który zwidzał Krym niezbyt dawno. Nie obejrzawszy jeszcze starego miasta, w nowém wszystko widzieliśmy w postaci europejskiej. W Bakczysaraju dopiéro prawdziwy jest Wschód. Wązka ulica, z półtoréj wiorsty długa, przez którą wjeżdża się do miasta, wybrukowaną jest wielkimi, nierównymi kamieniami. Po obu stronach ulicy są sklepy, jeden obok drugiego; ale w tych sklepach zajmują się nie samym tylko handlem, lecz także wszelkimi rzemiosłami i dostarczaniem potrzeb życia: w nich pieką, smarzą, krają, szyją, kują konie. Tu, mimo wielkiego upału, wiszą i oskubane ptaki, i kawały mięsa. Z obrzydzeniem odwracając się od nich, widzisz jak Tatarzy, podkurczywszy nogi, siedzą w tych sklepach, w białych, szarych i czarnych baranich czapkach. Czapki te bardzo się stosują do opalonych, po większej części posepnych, prawie dzikich, twarzy tatarskich, które zdawały mi się jeszcze szkaradniejsemi u kobiet, od głowy do stóp okrytych białymi prześcieradłami. Te nieszczęśliwe istoty skazane są na wieczne i zupełne niewolnictwo. Zagłuszono w nich wszystkie pojęcia ludzkie; cała ich mądrość i cnota zależy na tém, aby przed mężczyznami nie pokazywać się z odkrytą twarzą.

„Nad sklepami wznoszą się chałupy, niby gniazda przylepione do skał, z których, zdaje się tylkoco mają runąć ogromne kamienie.

„Przejechawszy przez bramę na dziedzińiec pałacu chańskiego, gdzie znajduje się meczet z dwoma minaretami, zatrzymaliśmy się pod drugą bramą, i poszliśmy na prawo po schodach, wymalowanych czerwoną farbą i okrytych rogózką. Prędko obeszliliśmy w górze wszystkie pokoje, bo nato niewiele trzeba czasu; lecz oprócz pstrocizny kolorów i nieforemności zabudowań nie zrazu dostrzedz nie mogliśmy. Jeden pokój jest wyższy, drugi niższy; już trzeba schylić się, już podnieść. Niektóre pokoje wysunęły się naprzód, i mają z dwóch, nawet z trzech stron okna. Niéma tam planu żadnego, wszystko jakby rzucone podług fantazyi właściciela domu; lecz wszystko tak ozdobne, wszędzie tak dobrze można się urządzić, że wcale się nie żałuje braku zasad budownictwa.

„Pokazywano nam dwa małe pokoiki z osobnym wchodem, co miały kiedyś należeć do Maryi Potockiej, o której ciągle wspominają w Bakczysaraju. Puszkina i śpiewak sonetów krymskich wsławił to imię; lecz przedtém jeszcze, podczas podróży Murawiewa apostoła, już tu mówiono o niepospolitój piękności i zaletach duszy chrześciance, ulubionéj przez Kerym-Gireja, utrzymując, że to była Polka, Marya Potocka.

„Zatrzymano nas w małym gabinecie, mającym ze wszystkich stron okna, aby nam pokazać wodociąg znany z poematu Puszkina „*Fontanna Bakczysarajska*.”

Gabinet ten bardzo jest ciasny, lecz dla niewolnic i taki przyjemném był schronieniem. Naokoło spruchniałe drewniane ogrodzenie, po którym wije się winokrzew. Wszystko to kiedyś zapewne wyglądało inaczej: gdzie dawniej śpiewy i tańce rozrywały nudy pysznych i próżnujących chanów, można teraz samotnie rozmyślać o ziemskich marnościach.

„Fontanna bakczysarajska tyle razy już była opisywaną, że niéma w tym względzie nic do dodania; lecz im więcej kto o niéj czytał, z tém większą przyjemnością i ciekawością słucha cichego szmerania jéj czystych strumieni.

„Nad tą fontanną znajduje się już pokój z mnóstwem kątów i okien, podzielony zasłonami na cztery części. W dwóch miejscach ściana jest

otwarta, powietrze swobodnie wchodzi, a jednak jest gdzie ukryć się przed słońcem.

„Weszliśmy ztamtąd do wielkiej sali, gdzie niegdyś sądzono przestępców. Jestto najlepszy pokój w pałacu, mający z obu stron po pięć okien w dwa piętra. Okna znajdujące się wyżej zdobne są w szyby złożone z małych szkiełek niebieskich, purpurowych, zielonych i złocistych. Pod niektórymi oknami szklane drzwi otwierają się do ogrodu, gdzie kwiaty i drzewa cudnej są piękności. Lecz najprzyjemniejszym jest w Bakczysaraju powietrze; tak weseli umysł i serce, że już niczego się nie chce, tylko zawsze niem oddychać.

„Nieopodal sali sądowej jest pokój czworoboczny z wysokimi sofami; ma on nie same tylko okna, lecz cała jedna ściana złożona jest z różnokolorowych szkieł, za którymi piękne krzaki i drzewa, zdają się zapraszać przechodnia aby się napawał ich chłodem. Sufit czerwony ze złotem. W ogóle sufity bywają tutaj drewniane, czerwono lakierowane, wyłożone pozlacaniem beleczkami. Nade drzwiami czerwona lub innego koloru stolarska robota, z wypukłymi ozdobami; na samych zaś drzwiach grubo namalowane z kwiatami doniczki lub krajobrazy ze złoceniem i czarnymi obwódkami. To wszystko odnowionem zostało, podług dawnych rysunków, naprzyjazd Wiekopomnej Pamięci Cesarza Mikołaja I w r. 1837. Kominki wszędzie były marmurowe, lecz razem z drogiemi stolikami i skrzyniami oddawna zabrane zostały przez różne osoby. Teraz są to proste kamienne lub ceglane wieżyczki, w których drzewo pali się prawie na podłodze. Tylko okna pozostały w swojej pierwotnej piękności.

„Z pokoju tego jest wejście do domowego meczetu, założonego przez Selameta-Gireja w r. 1740. Inny obszerny meczet, w którym przechowuje się koran, przeznaczony jest dla dworu i magnatów. Na białych murach z różnokolorowemi oknami są napisy z koranu. Na środku, zamiast pajaka, czerwona drewniana gwiazda, z mnóstwem lam i kinetów. Sufit także czerwony, a z trzech stron chór z drewnianymi gęstemi kratkami.

„Za naszym przybyciem zaczęły się modły, czyli właściwiej mówiąc tańce derwiszów, którzy w około stali na kobiercu; jeden śpiewał, inni chórem powtarzali: *allah!* Z początku dźwięki były bardzo przyjemne; lecz śpiewacy w coraz większy wpa-

dali zapal, aż głosy ich ochrzypli. Nakoniec zeszedli z kobierca, uściskali się i raz jeszcze głośno zawołali: *allah! allah!* poczem krzyk ich przemienił się w rodzaj już szczekania.

„Obok meczetu stoją dwa ośmiokątne budynki z kopułami, nazywane *djurbe*, nad którymi, na czterech miedzianych kulach, wznosi się pół-księżyc. W tych budynkach znajduje się czternaście grobów, między którymi chańskie odznaczają się położonemi w głowach zielonemi turbanami, obwiniętemi w białe płótno. We wszystkich nasypiana ziemia, ciała zaś pochowane pod podłogą.

„W pierwszym *djurbe* jest ośm okien i tyleż drzwi. We środku, jak w meczecie, drewniana gwiazda z trzech trójkątów z lampami. Liczba trzy oznacza u Mahometan imię Salomona. W kątach dwie nisze, gdzie się stawiają świece. Większa część jednak chanów z rodzinami pochowana jest pod otwartem niebem.

„Z haremu, dawniej połączonego z pałacem i bardzo obszernego, dziś pozostało kilka tylko pokojów dosyć wesołych, z różnokolorowemi dużemi oknami i szafami. Na ulicy pod samym murem marmurowa fontanna, na środku dziedzińca druga.

„Naprzeciwko wielkiej bramy, na niezabudowanej części dziedzińca, są resztki niegdyś wspaniałych chańskich ogrodów. Przechodzić się tu można w upał pod cieniem ogromnych drzew owocowych, albo pod przykryciem gęsto splecionej winorośli. Wszystko to jednak zdziczało, i wszędzie znać pustkę.

„Widoki dookoła są zachwycające. Z najwyższej wieży wzrok obejmuje malownicze miasto z jego domami, ogrodami, i rninami, za którymi wznoszą się szare, krzemieniste góry, dostarczające wybornej wody na zasilenie licznych wodotrysków.

„Bakczysaraj wzięty był 27 czerwca 1736 roku przez feldmarszałka Municha; Katarzyna zaś w r. 1783, na mocy zawartych traktatów, cały już Krym przyłączyła do Rosyi.

„Zaproszono nas na tatarskie wesele. Przyjawszy z radością te zaprosiny, pojechaliśmy tam w małej bryczce. Za przybyciem na miejsce spotkano nas na dziedzińcu; kobiety uchwyciły nas pod ręce, poprowadziły do pokoju i posadziły na niskiej sofie. Nad nami, po całym suficie, wisiały na sznurkach, razem z posagiem panny młodej, wyszywane chustki i ręczniki, które długo je-



szcze przed weselem sama zaczęła przygotowywać dla przyszłego męża.

„Na dziedzińcu wcale nieźle tańczyli Tatarzy, przy niezgodnej cygańskiej muzyce, i kręcił się blazen. Okna były pootwierane, z ulicy więc można było widzieć kobiety siedzące bez zasłon na materacach położonych na ziemi. Strój ich składały aksamitne lub atlasowe suknie, i wyszywane złotem szerokie pasy z ogromnymi srebrnymi zapinkami; lecz prawie wszystkie były bosy lub przyboś w żółtych safianowych pantoflach.

„Wszystko tu oddychało Wschodem: kłaniano się przykładaniem ręki do czoła, częstowano na klęczkach; a chociaż gościliśmy nie u magnatów, potrawy bardzo były smaczne i w pięknych podawane naczyniach. Płasy kobiet przypominały taniec ruski, jakkolwiek dla oka nietyle były przyjemne; ale prócz jednej bogato ubranej i zgrabnej dziewczynki, wszystkie tańczyły z miną zamyśloną i smutną. Widocznie była to dla nich nietyle zabawa, ile obchód narodowego zwyczaju.“

AGREST.

Któżby z czytelników naszych nie znał krzewu, który najpierwszy z wiosny okrywając się świeżym, pięknie zielonym liściem, zdobić zaczyna kwatery ogrodów wtedy już, gdy ziemia nie dosyć jeszcze dla pierwszej między niemi przechadzki obeschła? To agrest. We wsiach i miastach znają go dzieci z tej wczesnej zieloności, z łatwości pękania pączków, rozwijania się liści, nawet na odciętych z krzaka i w wodzie na oknie do słońca obróconem postawionych, tak iż w kwietnią już niedzielę zielone gałązki agrestu bywają ozdobą wiejskich palm do święcenia przynoszonych. I pszczołki zwykle pierwszy raz na wiosnę z ulów wyleciawszy, razem z dziećmi dążą do krzaków agrestowych, prędko po rozwinięciu liści zakwitających, zwidzają na nich każdy kwiatek, a tych kwiatków mnóstwo na każdej gałązce, i zabiérają z nich pyłek główkowy, dla przyrządzenia zeń pierwszego tej wiosny pożywienia. Pełno ich wtedy wszędzie, słyhać wesoly brzęk. widać skrętne uwijanie się około każdej agrestowej gałązki. Ledwo upłynie parę miesięcy od pojawienia się agrestowej zieloności, ledwo pokwitwały inne krzewy i drzewa owocowe i pozawiażywały się na nich owoce, już znowu spostrzegamy dorastające wkrótce potem już dojrzale, jagody na agrecście. Bywa on u nas najpierwszą nowalią owocową, nowalią tanią, od wielu innych pewniejszą, do nie łatwiejszego nad wyhodowanie rozmaitych szacownych odmian tych jagód.

Nie wzgardzi agrest mniej nawet dobrym gruntem w ogrodzie, nie wymaga ani wiele ani zbyt troskliwego zachodu, nie ulęknie się najmocniejszych, nawet na nasz klimat, mrozów. Nie idzie jednak zatém, żeby go posadziwszy pozostawiać raz na zawsze własnym jego siłom; trzeba mieć onim pewne staranie, trzeba kiedy niekiedy zrobić coś dla jego bytu, a on tę troskliwość wynagrodzi sowicie. Sam sobie zostawiony, utrzyma się wprawdzie, ale zneedznieje i ladajaki owoc w małej ilości rodzić będzie.

Sądzymy więc że nie wydalim się za obręb gustu, upodobania i interesu naszych czytelników, gdy w Księdze Świata zamieścimy artykuł o agrecście, o jego wartości w naszych ogrodach i sposobie hodowania, a razem napomkniemy o użytkach z jego owocu, dołączając przytém rycinę z kilkoma gatunkami owoców agrestowych, hodowanymi zagranicą, a szczególnie w Anglii.

Agrest, według układu Linneusza, należy do rzędu pierwszego, klasy piątej i jest gatunkiem rodzaju zwanego w botanice *porzeczka* (*Ribes*). Jest to krzew drugiej wielkości, w systemacie więc naukowym nazywa się *porzeczka agrest* (*Ribes uva crispa*). Nikt pewno nie pomyli się w rozróżnieniu agrestu od pokrewnych mu gatunków u nas jeszcze bardziej upowszechnionych: *porzeczka pospolita* czyli *czerwona* (*Ribes rubra*) i *porzeczka smrodynia* czyli *czarna* (*Ribes nigra*); bo chociaż ce-

chy rodzajowe, na które rzadko kto zważa, mają wspólne, to jest kwiaty zwykle dwupłciowe, kielich górny, brzuchaty, jednolistny, pięćdzielnny, koronę pięciolistną, na kielichu osadzoną. pięć pręcików iamię przyrosłych, guzik owocowy dolny, szyjkę jedną, dwudzielną, blizn dwie, owocem jagoda przezroczysta, wielonasienna, szczątkami kielicha uwieńczoną, i t. d., jednakże nie tylko w wielkości krzewu i kolorze jego gałęzi, ale także w wielkości i kształcie liści, widoczne są między temi krzewami różnice; albowiem liście porzeczki, zwykle pięcioklapkowe, są daleko większe od liści agrestu, które bywają trzy albo pięcioklapkowe. Najbardziej atoli odróżnia je ta okoliczność, że porzeczki są bezbronne, u agrestu zaś pod każdym liściem jest kolec pojedynczy, do pół cala długi, dwu lub trzypalczasty.

Jak porzeczki tak i agrest są u nas pospolitemi drugiej wielkości krzewami, bo i ostatni w wielu już miejscach, nie tylko w ogrodach, ale i w lasach napotkać zdarza się; widzimy go czasem aż na starych murach lub na zgrzybiałych drzewach, jak jemiola, rosnący, gdzie go pewno ptak z zaniezionej tam jagody zasiał. Jak porzeczki tak i agrest, nie ponosząc szkody nawet od tęgich mrozów, dziko i na lada jakim gruncie rosnąc, nawet chwastami głuszone, obradzają co rok, ale jagody bywają wtedy drobne, twarde, cierpkie; takie zdaje się od najdawniejszych czasów przodkowie nasi znali i jadali. Kiedy zaś spostrzeżono że i porzeczki i agrest w dobrym gruncie zasadzone, w swym wzroście krzesane, prowadzone, zasilane, nierównie okazalszy, delikatniejszy dla smaku i obfitszy owoc wydają, wtedy troskliwiej zajmować się zaczęto ich hodowaniem, i, mianowicie w Anglii, nadzwyczajne w tej uprawie osiągnięto skutki. Już poprzednio zamieściliśmy w Księdze Świata artykuł o porzeczce, terazniejszy więc samemu agrestowi poświęcamy, z tem życzeniem aby właściciele ogrodów, (a w każdym ogrodzie niezawodnie jest agrest,) cokolwiek więcej mieli około niego pieczy i staranności, a pewno i prędko dochowają się podobnych odmian jak na obocznej rycinie; bo powtarzamy, zachód około agrestu nie jest ani tak trudny, ani tak drobiazgowy i pracowity jak około innych drzew i krzewów owocowych. Jego więc treść tu opowiemy.

Anglicy to są mistrzami hodowania agrestu, oni

z tym krzewem, rzec można, cudów dokazali. Od nich też, pod ogólnem nazwiskiem *angielskich*, rozszły się po stałym lądzie Europy odmiany szacowne, których jagody już gładkie już kosmate, żółte, zielone, białawe, cieliste, czerwone, miewają wielkość gołębiego jaja, wagę przeszło 3 łutów, a cenę, któżby uwierzył? krzak wyhodowanego z nasienia osobliwszego gatunku, płacono nieraz na miejscu sztuka w sztukę po 32 funtów szterlingów, to jest po 192 rubli srebrem. Ależ bo ktoby uwierzył że tam pod jagody agrestu u nagiętych lekko ku ziemi gałązek wiszące, stawiają często w porcelanowych miseczkach wodę, dla ciągłego dostarczania wilgoci otaczającemu je powietrzu, aby przez to bujniej wyrastały i miały smak delikatniejszy. Nie dziw więc że w dzień podania na stół tak wyhodowanej jagody, sprasza się w Anglii dobrych przyjaciół, miłośników osobliwości ogrodniczych, żeby tryumf właściciela dzielali.

Agrest lubi położenie otwarte, na każdym gruncie dobrym, ani za suchym ani za wilgotnym udaje się; lepsze są atoli dla niego niziny aniżeli wzgórze, bo na pierwszych, jako wilgotniejsze mających powietrze, doskonałej wyrastają jagody. W ogólności dobra, raczej pulchna aniżeli tęga, ogrodowa ziemia będzie dla niego odpowiednią; ale i takiej nie trzeba zaniedbywać, co parę lat pognoić, co rok spulchnić, niekiedy też gnojówką polać. Rozmnaża się agrest bardzo łatwo; nawet kawałki korzonków z należyta ostrożnością posadzone, przyjmują się i w urodzajne krzaki rozrastają. Gdy idzie o rozmnożenie znanych już odmian, sadzą się ich gałązki, odrośle, gdy zaś kto zechce dochować się nowych, sieje nasiona i pielęgnuje młode siewki. Najlepszą porą do wycinania i sadzenia gałązek jest jesień. Do sadzenia biorą się gałązki raczej z korony niż z korzeni wyrastające, bo z pierwszych urodzajniejsze będą krzaki. Do tego dobre są wszystkie roczne, byle nie za cienkie pędy, a brać je trzeba jak długie, bez obcinania. Żeby zaś lepiej zakorzeniły się, obrywa się z gałązki wszystkie oczka od dołu, ku wierzchołkowi tylko zostawiając ich 3—4, z których wyrosną 2—3 pędów, ale z tych utnie się potem 1—2, a zostawi tylko jeden najsilniejszy, dla wyhodowania z niego 2—3 stóp wysokiego pieńka lub krzaku. Gałązki sadzą się w ziemi dobrej ogrodowej, żyznej, przymieszawszy do niej nieco piasku, najmniej do sześciu ca-



rysował z nabyty W. Gerson

w Litografii Bartha w Pol.

litogr. J. Legutowski.

KRÁKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE W LUBLINIE

li głęboko; ziemię około nich lekko się uciska, utrzymując ją poléwaniem w należytej wilgoci, mianowicie podczas suszy.

Nowych odmian dochować się chcący wybierają latem najpiękniejsze, największe jagody, i zachowane z nich nasiona zasiéwają na wiosnę w doniczkach lub na inspektach, a młode weszle siewki pielęgnują potém i przesadzają w miejsca dla nich przeznaczone. W ogólności w trzecim już lub czwartym roku przekonać się można o dobroci owocu, szczególniej gdy się niewiele zostawi młodych pędów i troskliwie młode siewki pielęgnuje. Gdy się dochowa odmian z piękniejszymi i większemi jagodami niżeli były poprzednie, biorą się znowu nasiona z nowych najpiękniejszych jagód i dalej hodują z nich nowe siewki. Takimto sposobem Anglicy dochowali się już przeszło 500 odmian, których jagody są rozmaitych kolorów, różnej wielkości i smaku.

Wyrastanie wielu i dużych jagód zależeć będzie w znacznej części od utrzymania ziemi pod agrestem w dobrym, żyznym stanie; trzeba ją poléwać w czas suchy, co rok przynajmniej raz przekopać głęboko, wzruszyć, a najmniej co dwa lata ugnoić, lub téż co rok polać dobrze gnojówką, albo na zimę przykryć na parę cali krótkim gnojem, który się pomiesza z ziemią podczas jéj przekopywania na wiosnę; zielsko zawsze niszczyć i ziemię czysto utrzymywać. Niemniej także zależy obfitość i piękność jagód od dobrego prowadzenia i umiejętnego obcinania korony czy to pieńków pojedynczych, czy krzaków agrestu. Hodować go bowiem można już to w pojedynczych pieńkach różnego kształtu, jako to: piramid, kul, wachlarzów, kubków i t. d., już krzakami z wielu pieńków składającymi się. Niekiedy hodują go w szpalerach, a takiego jagody prędziej i lepiej dojrzewają. Żeby obcinanie dla agrestu wykonać pożytecznie, wiedzieć trzeba przedewszystkiém na jakich gałęziach najwięcej i najpiękniejszych zawiązuje się jagód; wiadomo zaś że te rodzą się równie na drobnych owocowych gałązkach i końcach starego drzewa, jak i na przeszlorocznych lub dwuletnich pędach; na ostatnich jednak zawsze bywają jagody największe. Dlatego starać się trzeba o silny ich wzrost, co nie nastąpi gdy będą rosły za gęsto; wyciąć więc zimą lub wczesnie na wiosnę, słabsze cieńsze, zby-

teczne, a zostawić same silne; wyciąć także gałęzie stare cztero lub więcej letnie, ukrócić o trzecią lub czwartą część gałązki przeszloroczne, a co do drobnych gałązek owocowych, gdzie się te ukażą na gałęzi za gęsto, przesadzić je, żeby jagody nie rosły jedna przy drugiej zbyt blisko. Latem od początku czerwca pilnować aby ani z korzeni ani na gałęziach za wiele młodych pędów nie wyrastało, i obrywać je gdzie się okaże potrzeba. W ogólności tak drzewko lub krzak utrzymywać, iżby w środku były rzadkie, żeby do każdej części słońce i powietrze miały wolny przystęp. Na każdej gałęzi tyle tylko zawiązków jagód pozostawiać, ile ich ona dobrze wyżywić zdoła; zatém zbyt gęste przereździć, najbujniejsze tylko zostawiając. W Anglii słabsze, obciążone owocem i do ziemi zwisłe gałązki widelkami podpiérają, prosto zaś stojące naginają i haczykami do ziemi przypinają, aby wilgotniejszym nad ziemią powietrzem otoczony owoc bujniejsz się rozrastał.

Jeżeli po pewnym czasie drzewko lub krzak agrestowy niszczał i nędzniał, ściąć go trzeba gładko przy samej ziemi i wyhodować nowy, z pędów jakie z korony korzeni wyrosną; inaczéj bowiem najlepszy gatunek, pozostawiony samemu sobie bez żadnej pomocy ludzkiej, mianowicie na ladajakim wyjałowiałym gruncie, z wiekiem znędznieje, i zamiast pięknych, okazałych, rodzić będzie drobne ladajakie jagody, na co się z własną winą wielu właścicieli ogrodów użala.

Wiadome są użytki jagód agrestowych. Dojrzałe są przyjemnym i zdrowym owocem, tak dla dzieci jak i dla ludzi dorosłych; z niedojrzałych robią z przydatkiem cukru, przez gotowanie, bardzo smaczne przyprawy. Dojrzałe, z obydwóch końców oczyszczone jagody przechowują się bardzo dobrze przez 2—3 lat w kamiennych butelkach do różnych stołowych użytków. W tym celu kamionki myją się czysto ukropem, a po zupełném wewnątrz wysuszeniu napelnia się je czysteni, dojrzałemi, niepogniecionemi jagodami agrestu, korkuje, obléwa korek żywicą i w suchém, chłodném miejscu, bokiem położone, zachowuje aż do chwili użycia.

Z wyciśnionego soku agrestowego, z przydatkiem trochy cukru, wyrabia się bardzo dobre wino.

E. L. b. pr. n. p.

L U B L I N.

SZKIC OPISOWY,

PRZEZ

ANTONIEGO WIENIARSKIEGO.

W pośród ziemi której miano
Od starego grodu dano,
Nad Bystrzycy rączej brzegiem,
To piętrasto—to szeregiem,
Znany w dziejach, z przygód sławny,
Usiadł Lublin starodawny.

Powiedzcie mi, czytelnicy, czy próbował który z was opisać, choćby dorywczo, choćby w liście do przyjaciela, miejsce które silniej z jego sercem jest związane? Nie mówię tu czy to miejsce ma być krajem, okolicą, miastem, wsią, zagonem, chatką na kilkunastu łokciach cudzego gruntu; bo to wszystko są rzeczy podrzędne, bo ony tyle stanowią względem serca, ile dla malarza chwytającego na płótno cudne widoki skał, gajów i wodospadów, wiadomość na czyje ony imię w jakiejś wielkiej *in folio* w skórę oprawnej, hipotecznej księdze są zapisane. Malarz roześmieje się każdemu w oczy, kto pokaże mu wielkie pałacysko z czerwonym dachem, imponujące pod sznur ustawionym stodołom i oborom, i powie: Maluj to! bo okazałej wygląda aniżeli zgarbiona latami chatka pod dębowym gajem; wśród przesłicznych łąk niedbale rzucona. Idący za wskazówką uczucia człowiek, odwróci wzrok od kilku-milowych łąków, od stert cegieł i kamieni, a poszle go za ukochaną skibą, za domkiem pod słomianą strzechą, jeżeli ta skiba, ten domek złotymi niemi wspomnień z jego sercem związane.

Otóż kto próbował opisać takie ulubione miejsce, ten wie jak trudno trafić do ładu z obrazami cisnącemi się tłumnie pod pióro. Jak młodzieniec opowiadający przyjacielowi wdzięki swojej kochanki nie wie od czego zacząć, co najpierw pochwalić, tak zapalony rozwijającemi się przed jego duszą wspomnieniami pisarz, nie wie co wybrać, co na pierwszym planie umieścić, aby obraz jego tchnął tym życiem jakie gore w jego wyobraźni, tą prawdą jaka barwami tęczy przewija się przed jego oczyma.

Z tych kilku wyrazów poznałeś zapewne, czytelniku, że jestem Lublinianinem, a z samego tytułu dowiedziałeś się że mam mówić o Lublinie, o tym starym grodzie, który przez kilka wieków wznosi się na pięknej ziemi, na którego historii ręka czasu wydziergała i lśniące bogactwem uroków kwiaty, i żalobne cyprysy, który przebywał najrozmaitsze koleje: jaśniał świetnością, życiem, i dymił zgliszczami albo przerażał sterczącymi szkieletami rozwalisk.

Byłoby więc co mówić o tym kolosie pamiątek; na jego cegielkach znaleźlibyśmy wypisane niejedno zdarzenie, niejednen szczegół żywo nas obchodzący; wystarczyłoby materiałów nie na jedną kartę. Ależ na to potrzebaby rozleglejszego zakresu, dłuższej pracy, obfitszych wiadomości. Umiłowanie przedmiotu nie wystarczy tym zadaniom; wymagają ony wielu warunków. Nie szukaj więc, czytelniku, w tych kilku wspomnieniach zupełnej historii Lublina; zbyt ona obszerna, aby się w tak ciasnych ramkach zmieścić mogła, zbyt obfita w wypadki, aby lekkomyślnie można się wziąć do niej, jak do napisania pierwszej lepszej powiastki. Pamiętam jeszcze niefortunne pokuszenie się jednego Lublinianina, który na tytule swego dziełka obiecał dać *obraz miasta Lublina*, a w środku minął się z założeniem. Na początek dobre było i to, ale dziś nie przebaczonoby następcy któryby podobne wiadomości szumnym tytułem ochrzczone za nim powtórzył.

Uprzedzam więc raz jeszcze, że to są tylko wspomnienia krótkie, przelotne, a zatem nie odpowiadające tym wszystkim warunkom jakich od dzieła ściślejszej treści wymagamy; że w wspomnieniach

tych szedłem więcej za uczuciem odtwarzającym ulubione mi obrazy, aniżeli za zimnym poważnym sądem historyka. Znajdą się wszakże i daty i wzmianki o przeszłości, ot zwyczajnie jak się co pamięci nawinęło i pod pióro wprosiło.

Kto kiedykolwiek wjeżdżał do Lublina z gościńca zamojskiego, nie zadziwi się gdy mu powiem że mało jest miast, nietylko naszych, ale nawet i obcych, któreby równie wspaniałym przedstawiały się widokiem.

Przez szerokie, bujną zielonością okryte łąki, biegnie nie napróżno *bystrą* nazwana Bystrzyca, a nad temi łąkami rozciąga się wzgórze napiętrzone licznymi wieżami świątyn Pańskich i okazałymi gmachami. Gościniec bity (szosse), po dość długiej grobli ocienionej topolami, pnie się pod tę górę wpośród najpiękniejszych budowli: najprzód kościół misyonarski z rozległym ogrodem; dalej wspaniały kościół katedralny (po jezuicki) z obszernym kolegium, mieszczącym teraz szkoły; na lewo piękny pałacyk Koperskiego i gmachy kościoła Brygidek; dalej, mogące iść w porównanie z najpiękniejszymi ulicami Warszawy, ulica Krakowskie Przedmieście z okazałym ratuszem, kościołem św. Ducha i dwoma rzędami porządnymi kamienic. Wszystko to kolejną przedstawia się oczom przybywającego, zachwycając go nie dającym się określić wdziękiem, tą symetryczną zgodnością, którą tylko można uczuć ale nie wyrazić. Od warszawskiego gościńca wjazd nie jest wprawdzie tak okazały, nie uderza odrazu taką masą widoków, ale też za to spotykasz na lewo prześliczny Saski ogród, dzieło niezmordowanych usiłowań dbających o wzrost i ozdobę miasta kilku tamtejszych urzędników: dalej gotycki pałacyk kontroli skarbu, mieszczący zarazem biuro powiatu, a wreszcie najpiękniejszą ozdobą Lublina, gmach Rządu Gubernialnego, przerobiony z dawnego pałacu Radziwiłłów, z kolumną z lanego żelaza, przypominającą sejm odbyty w Lublinie roku 1569, z krzewistymi kłębami przedstawiającymi się jak najpiękniejszy ogród, z placem musztry i zawsze schludnie, czysto i ozdobnie wyglądającym kościołem Kapucynów. Od rogatek lubartowskich wjazd, chociaż najmniej powabny, ma jednak swoje piękności. Przyozdabia go widok położonego na wzgórzu kościoła Augustyanów i najdawniejszej z świątyn lubelskich kościoła na Czwartku, oraz w samym już

mieście kościół księży Karmelitów i nowo zbudowany dwór gościnny. W widoku Lublina, z którejkolwiek bądź strony zechcemy mu się przypatrzeć, jest coś majestatycznego, zachwycającego powagą, a nieprzerażającego zgrzybiałością, obudzającego poszanowanie, a przyjemnego gustem i rozmaitością obrazów. Cóż dopiero jeżeli zechcemy jeszcze przypatrzeć mu się z folwarku Tatar albo z Dzieśiatój? Olśniony wzrok nie będzie wiedział gdzie odpocząć, co prędzej schwycić i w czym więcej zasmakować. Dziwić się należy że który z malarzów nie przeniósł na płótno tych widoków; miałby szerokie pole do popisania się z talentem, a nam miłoby było powitać ulubione rysy starego grodu, ozdoby naszej ziemi. Nieraz myśl ta nawijała mi się, gdy dążąc do Lublina z wioski Chmielem zwaną o dwie mile odległej, albo zpod Zawieprzyc blisko o półtoręj mili położonych, patrzyłem na wybijające się z mgły szczyty wież Lublina, na panujące rozległe jego widoki. Tyle tandetnych krajobrazów uwija się między nami, sprowadzamy je z zagranicy, podziwiamy miejsca których nigdy nie widzieliśmy i może widzieć nie będziemy; a dla miejsc któreby nam mogły przypomnieć jaką miłą chwilę naszego życia, na które patrzyliśmy młode mi oczyma i gasnącym wzrokiem patrzeć będziemy, jesteśmy obojętni; nie chcemy przyznać im zalet któremi się gdzie indziej zachwycamy. Ale to wszystko stare jak świat morały; powtarzam je, bo one głęboko w mojem sercu wyryte, ale wiem że przejdą koło uszu ludzkich, jak przeszło już tysiące im podobnych.

Teraz kiedy czytelniku masz już jakie takie wyobrażenie o powierzchowności Lublina, będę się starał opowiedzieć ci pokrótce jego dzieje, zaznając z wewnętrznym rozkładem, z niektórymi godniejszymi uwagi szczegółami i wspomnieniami.

Założenie Lublina ginie w odległej starożytności, i sięga jeszcze owych tradycyjnych czasów wawelskiego smoka, o których tylko podania ludowe nam prawią. Kadłubek kronikarz wspomina że Lublin miał być założony przez Julię żonę Leszka III, i niektórzy na tej zasadzie utrzymują że zwał się najprzód *Julien*, nie dowodząc jednak bynajmniej jakim sposobem *Julien* na *Lublin* się zamienił. Podanie, które każdy mieszkaniec Lublina i jego okolic umie powtórzyć, mówi, że jakiś książę czy wielki pan, łowiąc ryby w Bystrzycy, powiedział

iż jaką rybę najprzód złowią, takie nazwisko nada osadzie. *A co, szczupak lub-lin?* rzekł do ciągnących sieci; *lub-lin* powtórzyli oni, i osadę nazwano *Lublin*. Choć podania miejscowe zasługują zwykle na uwagę, ale wyłączę od tego z góry powyższe podanie lubelskie, jako zupełnie nakręcone do wyrazów. Liny w rzekach się nie łowią, a choćby przypuścić że czynność ta odbywała się w stawie, dlaczegoż koniecznie *lub* do *lina* się dołączyło? W całym więc tém podaniu spostrzegam jakąś nowożytną historyjkę, ułożoną przez jakiegoś etymologa, dla zaprzątnięcia głów nad prawdą nie zastanawiających się. Lud w okolicach Lublina często bardzo mówi, widziałem *Lubin*, jadę do *Lubina*; prawdopodobnie więc że nazwa mogła powstać od wyrazu polskiego *lubię*, albo sławiańskiego *lubliu*, chociaż i téj myśli, aby miała być bardzo zasadną, nie bronię.

Już za Bolesława Chrobrego był w tém miejscu drewniany zamek, a Bolesław Krzywousty, dzieląc kraj między synów, Lublin i okoliczne prowincje przekazał Henrykowi, który następnie r. 1169 testamentem całą swą dzielnicę przelał na Kazimierza Sprawiedliwego.

Od początku XIII wieku Lublin zaczyna już być częściej przez kronikarzy naszych wspomniany. Roku 1205 Roman książę halicki przez cały miesiąc dobywał zamek lubelski, a nie mógł go dobyć, aż Leszek z wojskiem nadciągnął, i zmusił oblegających do odstąpienia od zamku. Musiał więc ten zamek być silny i dobrze obwarowany, kiedy go książę Roman na czele licznych swoich wojsk przez miesiąc cały nadaremnie oblegał, i musiał wiele stanowić dla prowadzącego wojnę, kiedy tak długi czas pod nim strawił (1).

Ale nadszedł straszny rok 1240. Niezliczona horda tatarska wtargnęła przez ziemie ruskie, zdobyła Lublin, spaliła Zawichost, wzięła Sandomierz; a potem, rozdzieliwszy się na dwie części, poniosła klęski i pożogi do Wielkiej Polski przez Kraków na Śląsk. Nietylko zamek lubelski, ale i miasto spalono wówczas ze szczytem, jak wiele innych, nie wyłączając samego nawet Krakowa (2). Ruiny prawie i zgorzeliska opanował w r. 1244 Daniel książę halicki, i nadzwyczaj szybko miasto

opasał wałami, a zpośrodku zamku wieżę murywaną wyprowadził (1).

Zaledwie zacięrać się zaczęły ślady tatarskie, jeszcze imię Batego ze zgrozą i strachem było wymawiane, gdy w r. 1282 Jadźwingowie, w połączeniu z Litwinami, wtargnęli w lubelską ziemię, i, jak powiada kronikarz, rozdzieliwszy się na troje, przez piętnaście dni ją wojowali, zabierając wszędzie wielki poczet ludzi. Leszek Czarny, porzuciwszy sądy w Krakowie, przyciągnął pod Lublin z siedmią tysiącami ludzi; ale nie zastał już nieprzyjaciół, którzy usunęli się ku swym granicom. Rozmyślając czy ma ich gonić z nierównie mniejszą siłą (bo mieli czternaście tysięcy ludzi) czy pozwolić im uprowadzić łupy i niewolników, zasnął oparty o pień drzewa, i we śnie ukazał mu się św. Michał, upominając go aby bez żadnej bojaźni Jadźwingów gonił, i obiecując pomoc. Ośmielony tém Leszek, zostawiwszy wszystkie tabory, tylko z jeźdźnym ludem pogonił za nieprzyjaciółmi, dopędził ich 13 października między rzekami Narwią i Niemnem, pobił zupełnie i łupy odzyskał. Piszą kronikarze że z wojska Leszkowego ani jeden żołnierz nie zginął, a Jadźwingów do szczytu wybito; Litwini zaś ze wstydu i z żalu sami się zabijali. Leszek powrócił z pełnym tryumfem, i z łupów zabranych i odzyskanych wystawił w Lublinie kościół św. Michała (2). Kościół ten przetrwał blisko sześć wieków, i dopiero w r. 1849, jako grożący upadkiem, rozebrany został.

W trzy lata potem, to jest roku 1285, Tatarzy, pod wodzą Nogaja i Telebuga, znowu otarli się o Lublin, a któż nie wie ile takie ich przejście ciągnęło za sobą klęsk i powszechnéj niedoli?

Nie musiano jednak zniszczyć lubelskiego zamku, bo w r. 1301 Piotr Halko z Rusią, przegrawszy bitwę z Sandomierzanami, zamknął się w Lublinie i nie poddał się, aż oblegający głodem wszystkich wymorzyli. Straszliwa ta katastrofa imię Halki, który ostatni z głodu skonał, sławném w owe czasy uczyniła (3).

Zamek ten wszakże nie musiał być bardzo silny, i, jak się domyślać można, oprócz wieży Daniela budowany był z drzewa; bo w wyliczeniu miast które Kazimirz W. obmurował znajdujemy i Lu-

(1) Długosz p. 698.

(2) Bielski ks. XII, str. 209.

(3) Bielski ks. XIII, str. 8.

(1) Bielski ks. XII, str. 74.

(2) Bielski ks. XII, str. 133.

blin, a w liczbie zamków przez tegoż króla wymurowanych lubelski zamek. Może być jednak iż Kazimierz W. stary zamek, skutkiem tylu napadów nieprzyjacielskich uszkodzony, kazał z gruntu przestawić, i dlatego kronikarze umieścili go w liczbie zamków nowo wymurowanych (1).

Zaledwie miasto zaczęło cokolwiek się wznosić, gdy nowa nadciągnęła plaga. Roku 1341 Tatarzy obrócili je w gruzy i oblegli zamek, który jednakże trzymał się uporczywie. Oczekując na posiłki, usypali Tatarzy okopy między Bystrzycą a Czerniejowem; gdy jednakże w miejsce posiłków nadciągnęła odsiecz, pobici zupełnie, wyrzekli się łupów i ratowali się ucieczką (2). Okopy te pod Czerniejowem lud do dziś dnia okazuje, zowiąc je mogiłami tatarskimi.

Za rządów Władysława Jagielly Lublin wzrósł nadzwyczajnie, nie tylko w liczbę mieszkańców, ale w zamożność i okazalsze budowle. Władysław Jagiełło bawił w nim kilkakrotnie, ale najdłużej po wypadku w puszczy białowieżskiej, gdzie padł pod nim koń i nogę złamał, i znów jadąc z okazałym dworem na sejm do Parczowa, gdzie miał zawrzeć ugodę z Swidrygiełłem. Mówią że gdy Jagiełło pierwszy raz bawił w Lublinie, schorzał po owym nieszczęsnym wypadku, przypomniał sobie że po bitwie pod Grünwaldem ślubował wystawić kościół na podziękowanie Panu Bogu za zwycięstwo. Przypomniawszy, jał rozpamiętywać dawniejsze zdarzenia; przyszedł mu na myśl wypadek jaki miał w drodze z Poznania do miasteczka Środy, gdzie piorun zabił przy wozie na którym jechał dwóch służących i kilka koni, następnie późniejsze nieszczęście w puszczy białowieżskiej, i rzekł sobie że to są pewno napomnienia o niedochowanie ślubu. Kapłan któremu król zwierzył się ze swemi myślami poparł ten wniosek, i Władysław kazał zaraz założyć fundamenta kościoła, pod wezwaniem św. Brygidy, a to z tego powodu, że w dniu w którym jej uroczystość przypada przypomniał sobie o niedotrzymanym ślubie. Kościół ten wkrótce został zbudowany, i stoi do dziś dnia, przechowując w późniejszych wieki pamiątkę świętego nad Krzyżakami zwycięstwa.

Od czasu połączenia Litwy z Koroną Lublin

wzmógł się nadzwyczaj; położenie bowiem jego, niejako w środku komunikacji między Krakowem a Wilnem, stało się jednym z najglówniejszych powodów tego wzrostu. W tym czasie wzniesiono kilka kościołów i wiele znaczniejszych budowli. Panowie litewscy, w miarę zbliżania się do skojarzonych z sobą Polaków, nie chcąc jeszcze osiadać w samym Krakowie, a pragnąc być bliżej stolicy i króla, zaczęli osiadać w Lublinie, budować okazałe gmachy i dwory. Handel wzógł się także niezmiernie. Kupcy krakowscy, którzy nie mogli jeszcze ośmielić się wysyłać towary do Litwy, chcąc korzystać z przywileju Władysława Jagielly dozwolającego kupcom lubelskim handlu w całej Litwie, wysyłali je przynajmniej bliżej jej granic. Tym sposobem Lublin stał się punktem najdogodniejszym do zamiennego handlu, powstały sławne jarmarki ściągające do Lublina kupców z całego Szląska, a w czasach spokoju i z innych dalszych okolic, rozmnożyła się ludność i miasto zajaśniało okazałością, ruchem, a co za tém idzie, i bogactwem.

Nie przeszkodziły szybko postępującemu wzrostowi i pożar jaki w r. 1447 dotknął dzielnicę starego miasta, i powietrze które dość długo grasowało; bo już to jest dowiedzionem że gdzie tylko ludzi skieruje popęd bądź handlowy, bądź z dogodnego położenia wynikający, tam wszelkie przeszkody łatwo się usuwają.

W tak już powstałym na nogi Lublinie król Kazimierz Jagiellończyk złożył w r. 1448 sejm Polakom i Litwinom. Ważne na nim rozstrzygnąć się miały kwestye. Litwini żądali rękojmi że zjednoczenie tak długo tylko trwać będzie, dopóki plemię jagiellońskie nie wygaśnie; chcieli aby Podole liczyło się jako należące do Litwy i aby zamki Oleszko, Wietele, Łopacin, Grodło były wrócone. Polscy panowie odpowiedź swą poparli silnie punktami poprzysiężonemi przez Władysława Jagiellę. Powstały spory, ale żądania Litwinów pozostały bez skutku, i na tém zakończył się pierwszy sejm w Lublinie, który otworzył szereg tylu innych daleko świetniejszych (1).

I zaraz w cztery lata później to jest, r. 1452, natrafiamy na ślad że Mali Polacy (tak zwali kronikarze obywateli małopolskich) mieli sejm w Lublinie, na którym, między innemi ustawami, dla za-

(1) Bielski ks. XIII, str. 91.

(2) Naruszewicz Hist. Pol. Tom VI, str. 117.

(1) Bielski Ks. XV, str. 10.

pobieżenia łupieztwom książąt cieszyńskich i oświęcimskich, polecono Janowi Szczekockiemu i Janowi Kuropatwie z Łańcuchowa (1), aby oblegli Oświęcim i zmusili książąt do zaprzestania najazdów (2).

Każmirz Jagiellończyk, widząc taki wzrost miasta i pragnąc mu jeszcze dopomóc, w r. 1474 na sejmie piotrkowskim odjął część województwa sandomierskiego, które, jak powiada Bielski, było za nadto obszerne, i utworzył z niej województwo lubelskie, podniósłszy tym sposobem Lublin do godności miasta wojewódzkiego (3). Widać że królowie z rodu Jagiellów upodobali sobie szczególnie Lublin, bo z niewyjaśnionych przez kronikarzy powodów, synowie Kaźmirza Jagiellończyka przez długi czas mieszkali w zamku lubelskim, pobierając nauki od najpiérwszych ówczesnych mistrzów: Długosza, Kalimacha i Grzegorza z Sanoka (4).

Na zjeździe r. 1475 stawili się posłowie ziemi wołoskiej, upraszając króla o pomoc przeciwko Turkom. Popiérali ich silnie Dzierżek Rytwieński wojewoda krakowski i brat jego Mikłaj, powstając nawet przeciwko królowi, który, sprawą czeską zajęty, nie był skłonny do wysłuchania ich przedstawień (5).

Roku 1499 Achmet Gerej wtargnął do Polski z hordą, i po spaleniu miast Bełza, Kraśnika, Turubina, Krasnegostawu i Urzędowa oparł się o Lublin. Nie wspominają kroniki jak wielkie zrzucił szkody, ale musiały być niezbyt znaczne, skoro tego samego roku był zjazd w Lublinie, a następnie w latach 1503 i 1505 sejmy.

Wiadomo że możny dom Firlejów, wsparty silną protekcją królowej Bony, wzrósł za rządów Zygmunta I do znakomitej potęgi. Dom ten najwięcej posiadał włości w Lubelskiem, a więc ogniskiem jego działań był Lublin. Można zatem wnosić że miasto to wiele winno Firlejom. Uzyskiwali oni dla niego korzystne przywileje, otaczali opieką, budowali okazałe gmachy, dopomagali rękodzielom. Część ówczesnej pomyslności Lublina była dziełem Firlejów, a pomyslnosc ta do wysokiego, a bodaj czy nie najwyższego, dochodziła stopnia.

Miasto liczyło około 40,000 ludności; handel wzmógł się nadzwyczaj jarmarkami, na które zjeżdżali się kupcy z Włoch, z Francyi, z Niemiec, z Moskwy, z Konstantynopola, nie mówiąc już o innych bliższych krajach (1). W Bielskim czytamy wzmiankę że Krakowianie oblegli w Zborowie Krzysztofa Szafranca z Pieskowej skały, jadącego do Lublina na jarmark (2), i wiele innych podobnych faktów, dowodzących jak głośnie były jarmarki lubelskie. Do dziś przechowało się nazwisko sławnych lubelskich bankierów braci Soderynów, którzy znakomite interesa handlowe prowadzili. Nie potrzebuje wspominać że przy takim ruchu handlowym zakwitły rękodzieła, i że z napływem przemysłowej ludności pomyslano o wygodach, gdzieindziej nieznanych. Zaprowadzenie w r. 1535 wodociągów, zaopatrujących miasto w wodę z Bystrzycy, dostatecznie przekonywa że nieograniczano się tylko na widokach handlowych (3). Zazdrośni takiemu wzrostowi jednego miasta zaczęli szemrać przeciwko składaniu w niem sejmów, i gdy r. 1554 pomimo tego naznaczono sejm w Lublinie, bardzo mało zjechało się panów rad i posłów ziemskich, aby na swoim postawić (4).

Nie skutkowały jednakże intrygi. W r. 1566 Zygmunt August złożył sejm w Lublinie wespól dla Korony i Litwy, i zaraz na początku sejmu, w skutek przedstawień kardynała Hozyusza i dwóch braci Eliasza i Frydrycha Kanieczów, wysłał Sulikowskiego dla załatwienia spraw pruskich niebezpieczeństwem grożących. Na tym samym sejmie wydarzyła się okolicznosc godna zająć miejsce w historii Lublina. Zygmunt August nie mieszkał już wówczas z żoną Katarzyną austryacką, przeznaczony jej na pobyt zamek wieluński. Jakub Ostroróg, człowiek bardzo wymowny, uniesiony czy to gorliwością o przyzwoitosc, czy też innemi jakimi względami, namówił Uchańskiego arcybiskupa, aby podniósł głos w tej sprawie. Jakoż gdy król wszedł do rady, powstał arcybiskup, powstała cała rada, a kapłan, stojąc, zaczął napominać króla aby pamiętał na ślub, na sławę korony i przodków. Domawiając słów pełnych uczucia, sędziwy starzec z płaczem ukląkł i padł na twarz. Rzucił

(1) Łańcuchów, wieś o mil dwie od Lublina odległa.

(2) Bielski Ks. XV, str. 35.

(3) Bielski Ks. XV, str. 218.

(4) Starożytna Pol. Tom II.

(5) Bielski Ks. XV, str. 227.

(1) Celariusz p. 549.

(2) Bielski Ks. XVI, str. 20.

(3) Staroż. Pol. Tom II.

(4) Bielski Ks. XVII, str. 111.

się sam król podnieść arcybiskupa, i obiecał na drugi dzień dać swą odpowiedź. Nazajutrz, gdy wszyscy zgromadzili się, powstał król, i zdjawszy czapkę, przedstawił w rzewnych słowach niepodobieństwo uczynienia zadość żądaniom panów rad. „Dajcie mi w tej mierze pokój, rzekł w końcu, bo ja z nią mieszkać nie mogę, choćby przyszło zrobić tak“ (i na gardło ukazał). Szmer zgody powstał w sali, i więcej już o tem nie wspomiano (1).

W trzy lata później, to jest roku 1569, odbył się znów w Lublinie jeden z najslawniejszych w dziejach naszych sejmów. Zaczął się 23 grudnia 1568 w wigilię Bożego Narodzenia; 5 marca 1569 poczyniono już niektóre przyznania, a 1 lipca skutek licznych obrad w podpisaniu i ogłoszeniu unii osiągnięto; 19 lipca książę Albrecht oddał hold Zygmuntowi Augustowi, a 1 sierpnia rzecz z Inflantami załatwiono (2). Po odbytych sejmie król przed swym pałacem radziwiłłowskim na kolumnie z ciosowego kamienia dwa posągi Władysława Jagiełły i Jadwigi umieścić kazał, który to pomnik w r. 1825 przez piękną kolumnę z lanego żelaza zastąpiony został.

Książę lignicki przysłał na ten sejm w darze królowi dwa lwy. Było dość z niemi korowodów, strachu i uciechy jak powiadają kronikarze.

Po śmierci Zygmunta Augusta dnia 13 października 1572 na polach między wsią Bystrzycą a Lublinem odbył się sławny zjazd szlachty dla narady nad przyszłą elekcją. Wspaniałe był widok gdy niezmierzone okiem równiny zajęły tłumy kilkudziesięciu tysięcy obradujących (3).

We dwa lata później pożar zniszczył część miasta, ale straty z tego powodu wynikłe wynagrodził sownie Stefan Batory, ustanawiając w roku 1578 trybunał w Lublinie dla Małej Polski, który alternatywnie przenosił się na drugie półrocze do Piotrkowa (4). Kto wie ażali ustanowienie trybunału, ściągające do Lublina przez pół roku obywateli z kilku województw, w latach klęsk nie powstrzymało miasta od zupełnego upadku. W takim razie byłaby to niemała zasługa tej najwyższej w owych czasach sądowej władzy, która w ostatnich

latach wiele bardzo grzechów na barkach swoich dźwigała.

W roku 1584 w sierpniu złożył Stefan Batory konwokacją w Lublinie, na której, po przedstawieniu dowodów w sprawie Zborowskich, w skutek głosu księdza biskupa krakowskiego, pozwano Andrzeja i Krzysztofa Zborowskich na sejm do Warszawy. Gdy Stefan Batory bawił jeszcze w Lublinie, przybył Jan Kochanowski, chcąc poprzeć sprawę sukcesorów Podlódowskiego, posła od Turków zabitego. Uniesiony zapalem poeta, gdy królowi rzecz całą wykladał, tknięty apopleksją, z powszechnym żalem życie zakończył (1).

I smutny ten wypadek był jakby złą wróżbą dla Lublina. Zawichrzyły go najprzód religijne spory. Sekta aryańska rozkrzewiła się bardzo w Lubelskiem; pomiędzy najznakomitszemi rodzinami znaleźli się jej wyznawcy i obrońcy. Jeszcze Zygmunt August chciał zabronić osiadania w mieście aryanom; ale już wtenczas zawiele było w senacie ich stronników, aby zamiar ten mógł przyjść do skutku. Założyli pierwszy swój zbor w domu Stanisława Paklewskiego, radnego i obywatela lubelskiego, który został pierwszym w Lublinie ministrem tego zboru.

Potrzeba było zapobiedz szercząc się powodzi odszczepieństwa: Bernard Maciejowski, wówczas biskup łucki, a później kardynał i arcybiskup gnieźnieński, sprowadza w r. 1582 do Lublina jezuitów, buduje im wspaniałe kollegium tuż obok kamienicy Poklewskiego, uposaża najbogatszym w całej Polsce nadaniem, i stawia tych szermierzy przeciwko szerczącemu się postępowi różnych sekt. Cel został osiągnięty; rozślawiły się po całym kraju dysputy lubelskich jezuitów z różnowiercami, ale do czego ony doprowadziły, przekonamy się później.

Tymczasem w r. 1606 dnia 4 czerwca zgromadzili się w Lublinie stronnicy Zebrzydowskiego. Było ich niemało, bo w liczbie 100,000 zajęli cały słomiany rynek. Lubelskie popadło w podejrzenie sprzyjania Zebrzydowskiemu, a stronnik przeciwnej partyi, nieprzyjaciel Stadnickich, Jan Szcześny Herburt, jeszcze przed bitwą guzowską wtargnąwszy na czele zbrojnych w Lubelskie, nietylko na obywateli nakładał podatki, ale jeszcze od kup-

(1) Bielski Ks. XVII, str. 169.

(2) Vol. Leg. II p. 149.

(3) Bielski Ks. XVIII str. 12.

(4) Staroż. Pol. Tom II.

(1) Bielski Ks. XIX, str. 185.

ców lubelskich wymógł znaczne summy, i tém do upadku handlu się przyłożył (1).

Wspomniałem już wyżej o skutkach ciągłych sporów między jezuitami i różnowiercami. Wprawdzie zatamowały ony szerzenie się fałszywych zasad, ale przyniosły smutne następstwa. Roku 1627 uczniowie szkół jezuitskich zburzyli zbór aryański na Bilszczyźnie, a potem i ewangelicki w mieście; spowodowało to z obydwóch stron liczne zajścia, w których aż do zwykłych środków zbrojnych się uciekano. Ale i obronny dwór Tarłów nie ostał się przed zapędem rozdrażnionych oporem; padło wiele ludzi, i różnowiercy musieli wynieść się z miasta. Wyrok trybunału skasował zbór i szkoły aryańskie w Lublinie, które następnie przeniesione zostały do Piasków, dziś luterskimi zwanych (2).

Jak szybko wznosił się Lublin, tak też sporym krokiem chylił się do upadku. W r. 1655 przywódzcy hord Chmielnickiego spalili wszystkie przedmieścia, a na miasto nałożyli ciężki okup. Tegoż roku Gustaw król szwedzki dał do wyboru mieszkańcom albo okupić się, albo oddać miasto na ogień. Biedni mieszkańcy wybrali okup, i resztę mienia złożyli. W roku 1672 Tatarzy, składający przednią straż wojsk tureckich, zrabowali miasto, a w r. 1695 okropne powietrze zabrało większą połowę ludności. Co rabunek oszczędził, spłonęło znów w wielkim pożarze, który w r. 1702 prawie całe miasto w gruzy obrócił. Odbyły się wprawdzie w Lublinie najprzód w r. 1703 sejm na którym kardynał Radziejowski wykonał przysięgę że ze Szwedami nie trzymał, a potem w r. 1716 ważne narady dotyczące żądań konfederacji tarnogrodzkiej, ale już to wszystko na lepszy byt zruinowanego miasta nie wpłynęło.

Przez ciąg rządów Augusta II i Augusta III w położeniu Lublina zaszła tylko zmiana na gorsze, bo częste powietrza morowe zabięrały i tak nieliczną ludność. Zaczęto nawet sądzić że położenie Lublina nad bagnami od południa, z wiatrem z téj strony sprowadzało zawsze zarazę, i ci co mogli jeszcze podeprzeć upadający gród, wynosili się z niego unosząc życie. Zniesienie zakonu jezuitów opustoszyło jeden z najwspanialszych gmachów; franciszkanie sami swój klasztor ślicznie zbudo-

wany opuścili; i tak strach było wjechać do Lublina, bo z oczerniałych, nawpół zwałonych murów, z powybijanych okien, zielskiem porośłych dachów, wiał przerażający odór pustkowie. Trybunały tylko od czasu do czasu ożywiały trupa, zwołując zgraie swarzących się z sobą szermierzy przedzepsutych po większej części nałogami i przedajnością sędziów. Brakło takich deputatów jakim był niegdyś Tomasz Zamojski, który całe swoje salaria oddał na wybudowanie okazałej wieży przy farze. Ze świecą trzeba było szukać takich marszałków jakimi byli Stanisław Małachowski i Swiękowski wojewoda podolski. Trybunał pod laską Olizara stolnika litewskiego odznaczył się wielkimi występkami; palcem go wytykano później na przykład innym, a burdy z czasów trybunalskich dotąd pamiętne są w Lublinie. Żyją jeszcze ludzie którzy patrzyli na to, jak jeden możny pan, przegrawszy sprawę, w dniu ogłoszenia wyroku kazał zapalić 24 pochodnie, i z tłumem pijanej zgrai obchodził ratusz, wołając że szuka pocziwych ludzi; a pocziwi, spokojni ludzie omijali Lublin, jak piekło w którym sprzedawano sumienie, uczciwą sławę przodków, lzy wdów i sierot. Krasicki, przejeżdżając przez Lublin, taki mu pomnik w dziełach swoich zostawił. Najprzód powiada:

„Zbliżając się ku Lublinowi,
„Ja, który z łaski boskiej pieniactwem nie jestem,
„Bojąc się spotkać z pozwem albo manifestem,
„Stałem na Wieniawie.“

I dalej tak się wyraża o Lublinie:

„Gdzie, jakoby naprzemiany,
„Pomieszane wszystkie stany
„Wadzą się i gryzą społeczeństwem;
„Z strachem ratusz ominałem;
„Bo tam z tronu pieniactw jędza
„Ziemianina, kupca, księdza,
„Gdy się jadem wzdęta zżyma,
„U nóg swoich w więzach trzyma.“

I przetrwał ten szkielet rządu Stanisława Augusta, klęski i przygody różne które się przewijały; potem czasy różnych rządów. Niby to krzepił się własnymi siłami, ale to tak jak starzec, który chce jeszcze pokazać światu że bez kija iść potrafi. Aż wreszcie rok 1815, stanowiący znakomitą epokę dla naszego kraju, podał mu rękę. Do roku 1830 zrestaurowano zamek, pałac radziwiłłowski, który po pożarze odbudowano ozdobnie na gmach rzą-

(1) Staroż. Pol. Tom II.

(2) Staroż. Pol. Tom II.

dowy, pałace kontroli skarbu, koszary św. krzyżkie i wizytkowskie, katedrę, to jest kościół pojezuicki, kościoły dominikanów, bernardynów, kapucynów, św. Mikołaja, św. Ducha; wybrukowano główne ulice i innych wiele bardzo ulepszeń wprowadzono. Po roku 1830 aż do naszych czasów zrestaurowano klasztor brygidkowski, po karmelitach dla bonifratrów, po karmelitkach dla sióstr miłosierdzia, augustyanów, dwie cerkwie prawosławne, ratusz stary i wiele innych gmachów. Wybrukowano resztę ulic, a między innymi przyozdabiającą się pięknymi kamienicami ulicę Panny Maryi; stało mnóstwo pięknych domów, ozdobiono plac przed gmachem rządu gubernialnego kłębami krzewów, założono w ślicznym położeniu ogród saski, a tak stojące już nad grobem miasto znów do znakomitej wielkości podźwignięto.

Terazniejszy Lublin ma 37 ulic; z tych najpiękniejszą i najokazalszą jest krakowskie przedmieście. Zdobia ją pałac rządu gubernialnego z pomnikiem i tyle już razy wspomnianymi kłębami, kościół kapucynów, kościół św. Ducha, kościół ewangelicki, gmach kontroli skarbu, magistrat, brama krakowska, pałac dawniej Lubomirskich, a teraz szpital św. Józefa, Potockich, dziś na szkołę wojskową użyty, hotele angielski i rzymski, nieustępujące w niczym warszawskim, obszerne kamienice jedno i dwupiętrowe, okazałe wystawy sklepów, cukiernie i restauracje, a wreszcie ruch jaki się tu szczególnie objawia. Jestto wielki świat Lublina; i rzeczywiście ktoby z tej jednej ulicy sądził orescie, przyznałby Lublinowi prawo ubiegania się o pierwszeństwo z wielą znakomitemi miastami. Danie w roku bieżącym chodników z szarego checińskiego marmuru przyczyniło się znakomicie do ozdobienia tej ulicy i królewskiej, na której również chodniki takie ułożono. Po krakowskim przedmieściu pierwsze trzyma miejsce ulica królewska czyli korce, ozdobiona wspaniałą katedrą, kościołem bernardynek, obszerną kamienicą Koperskiego, kollegiatą pojezuicką i wielą wspaniałymi gmachami. Dalej idzie rynek starego miasta, z ratuszem na środku, mieszczącym w sobie trybunał i władzę sądową, z trzy a nawet i cztery piętrowymi kamienicami; następnie ulica namiestnikowska, dawniej zwana ulicą Panny Maryi, grodzka, warszawska, zamojska i kilka jeszcze innych pomniejszych, łączących się z wyżej wymienionymi. Reszta

ulic, szczególniej wokół zamku, obsiadła przez Żydów, zacieśniona jest straganami i budami handlarzów. Znaleźć można przy tych ulicach wiele domów drewnianych, wysokich, ciasnych, pokrytych gontami, co jeszcze kiedyś tej części Lublina okropną klęską pożaru zagraża.

Oprócz wyżej wymienionych ulic ma jeszcze Lublin kilka rynków i placów publicznych, mianowicie: rynek starego miasta, plac targowy między kościołem bernardynów a pałacem popijarskim, plac namiestnikowski, plac litewski przed pałacem rządu gubernialnego, plac królewski, oraz rynek słomiany i rynek ruski.

Ale najwięcej do obszerności i ozdoby Lublina przyczyniają się liczne i piękne przedmieścia, stanowiące prawie oddzielne posiadłości, a jednak tak blisko miasta położone, że za przedmieścia można je uważać. Przedmieścia te są następujące: Czwartek za rzeczką Czechówką, z kościołkiem świętego Mikołaja na wzgórzu, który miał być najpierwszą świątynią w Lublinie; Ponigwoda folwark w roku 1486 za 100 grzywien od wdowy po Miklaszu przez miasto nabyty; Kalinowszczyzna, z kościołem księży augustyanów; Tatary, wieś po drugiej stronie łąk za Bystrycą w ślicznym miejscu położona; Bronowiec, które niegdyś Zygmunt August Giżance darował; Kaźmirz, zwany także piaskami żydowskimi, przez Żydów osiadły; Rury, których nazwisko pochodzi od wodociągów czyli rur w r. 1535 zaprowadzonych, z tych miejsc początek biorących; Zimne doły; Wieniawa, oddzielne miasteczko, słynące około r. 1760 ze składów doskonałych win zasilających całą Polskę; Czechówka górna i dolna; Czechowskie z kościołem bonifratrów; Bielszczyzna i Sierakowszczyzna.

Zamek lubelski, który, jak wyżej w historii Lublina przytoczyłem, różne koleje przechodził, zrestaurowany przed rokiem 1830, obrócony został na więzienie kryminalne i poprawcze, oraz na miejsce posiedzeń sądu policyi poprawczej. Przerobiony w stylu gotyckim, ze wzgórza, które zdaje się że umyślnie pod budowę jego było usypane, panuje okolicznym nizinom i niemało przyczynia się do ozdoby miasta. Drugim takim pomnikiem dawnych czasów jest krakowska brama z wieżą, która niegdyś służyła za więzienie *in turri*. Wspaniały jej widok przenosi patrzącego w dawne dzieje Lublina. Brama grodzka zasługuje także na wzmiankę,

choć położona wśród dzielnicy żydowskiej niewiele przyczynia się do ozdoby miasta. Brama św. Ducha obok kościoła téjże nazwy, ze św. Antonim, przypomina, chociaż w bardzo małej części, wileńską Ostrą bramę. Pałac niegdyś radziwiłłowski, który po Barbarze odziedziczył Zygmunt August, po pożarze w r. 1829 przerobiony został bardzo gustownie na gmach rządu gubernialnego. Ratusz stary wśród rynku, ciężką starożytną swoją budową przypomina sławne niegdyś trybunały, które w jego mury sprowadzały lawę peniaczy przed deputatów nie zawsze pamiętających na słowa wyryte na podstawie wizerunku Chrystusa Pana: „*Justitias vestras judicabo.*“ Ratusz nowy z wielkimi i ozdobnymi salami resursowemi. Kamienica w rynku, zwana pałacem Sobieskiego, z pięknymi ozdobami z gipsu. Teatr przy ulicy jezuickiej w nadzwyczaj ciasnym i niedogodnym miejscu, oto są prawie wszystkie znakomite gmachy, nie mówiąc wszakże o wielu nowo wystawionych i zrestaurowanych kamienicach, które kształtem i ulepszeniami w terażniejszych budowlach zaprowadzonemi odznaczają się.

Nietylko w stosunku terażniejszej, ale nawet dawniejszej ludności, Lublin ma bardzo wiele kościołów. Liczono ich dawniej do trzydziestu, teraz około ośmnastu w obrębie miasta i przedmieść znajduje się. Najpierwsze miejsce trzyma kościół katedralny pojezuicki, fundowany około r. 1582 przez Bernarda Maciejowskiego, wówczas biskupa łuckiego. Wspaniała jego budowa może iść w porównanie z najpierwszemi w Europie, i można śmiało powiedzieć że w kraju naszym niema podobnie obszernego wewnątrz i równie wspaniałego pod względem lekkości i gustu budowy kościoła. Prześliczne freski, nad którymi 10 lat pracował Józef Majer, zdobią ściany i sklepienia, a chór i wewnętrzne urządzenie ołtarzów odpowiadają zupełnie prześliznanej, pełnej gustu i powagi całości. Na szczególną także uwagę zasługuje zakrystya ze sklepieniem akustycznym. Obszerność jej wynosi około 400 łokci kwadratowych, a może i więcej, a w jednym rogu choćby najciszej wymówione słowo, słyszeć się daje najwyraźniej w drugim rogu przeciwległym. Sklepienie téj zakrystyi ozdobione jest podobnemi jak i kościół freskami.

Kościół dominikański przy ulicy złotej wystawił około r. 1342 Kazimirz Wielki. Gmach obszerny

i dobrze utrzymany. Kościół posiada znaczną część drzewa krzyża św., które Andrzej biskup krakowski około r. 1387 dostał w darze od Jurona księcia kijowskiego. Znakomitą bibliotekę dominikańską Szwedzi w r. 1703 wywieźli nad Bystrycę i chcieli zatopić, aż ledwie ją miasto znaczną sumą pieniędzy okupiło. Kościół św. Ducha słynie cudownym obrazem Matki Boskiej. Pamiętną także będzie na później gra niewidomego organisty tegoż kościoła, Sobieszczańskiego, który od lat młodzieńczych pomimo kalectwa pełni usługi przy św. duskim kościele, i codziennie rzewną swą grą i śpiewem pełnym religijnego uczucia zachwyca pobożnych. Kościół kapucynów odznacza się porządkiem i nadzwyczajną dbałością o ozdobę skromnej świątyni. Urządzony u wniścia prześliznany ogródek kwiatowy, mile bardzo wpada w oko. Do kapucynów, zgromadza się zazwyczaj elegancka publiczność lubelska, a w Wielki piątek przy ślicznie ubranym grobie Chrystusa Pana kwestują zwykle najznakomitsze damy. Kościół bernardyński, zasłonięty domami, nie wydaje się tak okazałym jakim jest rzeczywiście. Fundowany około r. 1459 z funduszków miejskich; lecz legenda miejscowa do innego zdarzenia założenie jego odnosi. O legendzie téj będzie niżej.

Kościół missyonarski, w ślicznym miejscu przy ulicy zamojskiej, z obszernym ogrodem. Dalej znajdują się kościoły: karmelitów bosych przy ulicy św. Ducha, bonifratrów na przedmieściu czechowskiem, augustyanów na Kalinowszczyźnie, wizytek, dawniej brygidkowski, fundowany przez Władysława Jagiełłę, siostr miłosierdzia przy krakowskiem przedmieściu, bernardynek przy ulicy królewskiej, Św. Trójcy na zamku, św. Mikołaja na Czwartku, cerkiew prawosławna, cerkiew greko unicka, kaplica prawosławna przy ulicy zielonej, kościół ewangelicki na krakowskiem przedmieściu i kaplica na cmentarzu Lipki w r. 1830 wystawiona.

Oprócz wymienionych wyżej, dziś istniejących kościołów, Lublin posiadał jeszcze: kościół farny, fundacyi Leszka Czarnego, po zwycięstwie nad Jadźwingami wystawiony, przed kilką laty z powodu grożącego upadku rozebrany; kościół dominikanów obserwantów za rogatkami warszawskimi, w r. 1801 na koszary wojskowe przerobiony; kościół franciszkanów, za słomianym rynkiem nad

łakami, bardzo kształtnej budowy, dotąd pustkami stojący; kościół św. Wojciecha, na podwalu za ulicą grodzką, stanowiący dziś własność prywatną i Żydami obsiadły; kościół karmelitów bosych na krakowskim przedmieściu, na którego ruinach po pogorzeli stanął gmach nowego ratusza; kościół trynitarzy, dziś dom zwany pałacem Pawęczkowskiego; kościół bonifratrów na placu litewskim, za teraźniejszym kościołem kapucynów, rozebrany zupełnie; cerkiew greko-unicką na słomianym rynku, około r. 1640 zniszczoną, oraz zboru luterański i aryański, zburzone w czasie przytoczonych wyżej religijnych zatargów.

W czasach swego stanu kwitnącego Lublin posiadał kilka znakomitych drukarni, mianowicie: Pawła Konrada około r. 1593, Smieszkiewicza około r. 1620, i aryańską, następnie jezuicką, Wierzchowicza około r. 1648, Kraśnickiego około r. 1665, Łukasza Szlichtynga około r. 1770 i nakoniec trynitarzką, którą księża trynitarze objęli po jezuitach. Jerzy Forster, sławny drukarz gdański, miał w Lublinie księgarnię przez lat kilkanaście, a mianowicie od roku 1643 do 1660. Z uczonych lubelskich pierwsze miejsce należy się Sebastyanowi Klonowiczowi, znakomitemu poecie, który, ożeniwszy się w Lublinie dość nieszczęśliwie, osiadł w tém mieście, został radnym i sędzią spraw żydowskich. Urząd dość niestosowny dla poety i człowieka z takim usposobieniem jak Klonowicz! Przyczyną wszystkich nieszczęść Klonowicza była zła żona; przez nią doprowadzony do największej nędzy, umarł w szpitalu św. Ducha r. 1608, pochowany w kościele farnym, gdzie mu przyjaciel jego Sebastyan Kajek nagrobek postawił. Z poezyj jego *Flis, czyli spuszczenie statków Wisłą*, wydany w r. 1601 w Rakowie, i *Worek judaszów*, wydany w Krakowie roku 1603, odznaczają się prawdziwym talentem.

Za lubelskiego także mieszkańca uważają Wojciecha Oczko, nadwornego lekarza króla Zygmunta III. Wydał on kilka dzieł a mianowicie *Descriptio herbarum* r. 1581, *Przymiot* r. 1581, *Cieplice* r. 1578. Umarł w Lublinie, pochowany w kościele bernardynów, gdzie ma nagrobek.

Pisali się także z Lublina: Bernard, tłumacz Ezo-pa około r. 1580; Samuel dominikan, autor filozofii szkolnej; Walenty uczony lekarz, który wydał w r. 1592 dzieło: „*O różnych chorobach i ich*

leczeniu,” przypisał je Janowi Zamojskiemu, oraz Jakub Lubelczyk tłumacz biblii radziwiłłowskięj i psalterza. Około 1825 istniało lubelskie towarzystwo przyjaciół nauk, w którym odznaczyli się Owidzki i Kaź. Puchała. Z teraźniejszych piszących, w Lublinie zamieszkałych, odznaczył się profesor Feliks Jezierski, jako współpracownik *Przeglądu naukowego* i autor kilku dzieł treści filozoficznej, jak niemniej zasługuje na wzmiankę pani Ścisłowska, która wydając noworocznik lubelski *Fijolek* i powiastki na miejscowości osnowane dla dzieci, rzeczywiste dla Lublina położyła zasługi.

A teraz przytoczmy jeszcze niektóre miejscowe zdarzenia i legendy z przeszłości; boć to wszystko wiąże się z murami opisywanego grodu, i niejednak skwapliwiej tych drobnych szczegółów wygląda, aniżeli dat umiejętnie nagromadzonych. Otóż głośną jest bardzo legenda o trybunale lubelskim. Osądzono sprawę biednej wdowy, ale osądzono nie wedle sumienia. Gdy odczytano dekret, pokrzywdzona, zalana łzami, padając na twarz przed cudownym wizerunkiem Jezusa Chrystusa, rzekła:

— Żeby mnie nawet diabli z piekła sądzili, to by lepiej osądzili!

Sędziowie ruszyli ramionami, część publiczności ozwała się szmerem współczucia, druga część parsknęła śmiechem, i na tém się skończyło.

Nadeszła noc. Dekret leżał napisany w wielkiej księdze. W kaplicy przed ołtarzem św. Iwona gorzała lampa.

Około północy w stronie ratusza ruch się zrobił niezwykły; zaczęły się zjeżdżać pojazdy deputatów, sala zajaśniała światłem, aż łuny były z okien. Przybył wreszcie sam marszałek; zabrano zwykłe miejsca. Woźni zawołali „*uciszcie się*“, i rozpoczął się sąd. Przejrzano akta wiadomej sprawy, odczytano dekret i skasowano go, a w jego miejsce w mgnieniu oka stanął inny. Prezydujący uderzył ręką o stół, na znak że posiedzenie skończone. W jednej chwili wszystko znikło, tylko na dębowym stole pozostała wypalona dłoń z pięcioma palcami, na świadectwo diabelskiego sądu. Nazajutrz zebrał się zwykły trybunał; struchleli przedajni sędziowie, gdy na dekrecie wcale swemu przeciwnym ujrzeli podpis lucypera i gdy rozpoznali piekielną jego na stole pieczęć. Zachwiały się najstalsze umysły, wzięto się po raz drugi do sprawy, i wdowa wygrała.

Okolo r. 1455, na placu gdzie zwykle tracono zloczynców, po nadzwyczaj ciemnej i ulewniej nocy, znaleziono woz czterna wołami zaprzęzony, a na nim skrzynie żelazną bardzo ciężką. Zebrało się zaraz mnóstwo ludu, posłano po starszych, otworzono skrzynie: pełna była pieniędzy, a na wierzchu leżała kartka pergaminowa z napisem, że za te pieniądze wystawiony ma być kościół w tym miejscu gdzie woły z wozem staną, i frontem jak wóz będzie obrócony. Kościół wkrótce stanął, bo fundusz był odpowiedni; oddano go księżom bernardynom, wówczas do Krakowa sprowadzonym. Skrzynia dotąd w skarbcu przechowuje się, lecz pergamin spłonął z całemi archiwami w jednym z pożarów Lublina.

Bielski pisze: „Tegoż czasu (r. 1453) trafiło się w Lublinie, że gdy niewinnego człeka wywiedziono na plac o mężobójstwo, które inszy a nie on popełnił, tedy kat, chociaż trzykroć go ciął, nie mógł go ścinać, i tylko go na trzech miejscach drasnął. Zaczem był wolnym uczynion.“ (ks. XV, str. 36). Czyli więc wystawienie tajemnicze kościoła bernardyńskiego, które nastąpiło w tym właśnie czasie, nie jest w związku z powyższem zdarzeniem, zostawiam to do rozstrzygnięcia bliżej z miejscowością obeznany.

Jeden z Zamojskich, podobno Jan hetman wielki i kanclerz lub syn jego Tomasz, umieścił w sali posiedzeń trybunału w środku kratek naprzeciw marszałka i prezydenta wielki krzyż z przeslicznym wizerunkiem ukrzyżowanego Zbawiciela. Wizerunek ten zasłynął cudami. Łubieński w dziele „*Świat we wszystkich jego częściach*“ pisze „że przy wielkim konkursie ludzkim łzy bolesne wylewał“ (str. 423). Pamiętną wreszcie była ludowi sprawa owiej wdowy, i dla poszanowania przeniesiono cudowny wizerunek do fary, a z niej przed kilkunastą laty do kościoła katedralnego, gdzie w osobnej kaplicy został umieszczony. Może późniejsi niesumienni sędziowie sami postarali się o to, aby usunąć sobie z przed oczu widok który strachem ich przejmował. Na miejscu przeniesionego do fary wizerunku, umieszczono inny z napisem który wyżej przytoczyłem.

U dominikanów znajduje się znaczna część drzewa krzyża św. Okolo r. 1387 Andrzej z Krakowa biskup kijowski uprosił sobie u księcia kijowskiego Iwona te święte relikwie i wiozł je do Krakowa.

Odpoczywał w Lublinie u dominikanów, i gdy się ztamąd zabiéral, konie z miejsca ruszyć nie chciały. Widząc w tém zrządzenie boskie, postanowił podzielić się z kościołem dominikanów wiezioném drzewem krzyża św.; ale gdy po solennie odprawionej mszy św. wziął się do podziału, skaléczył sobie nożem rękę i odstąpił od przedsięwzięcia, a św. relikwie stały się własnością kościoła lubelskiego.

Na oprawę tego drzewa krzyża św. Janusz Tyszkiewicz dał 6666 dukatów węgierskich. Oprawa odartą została przez Szwedów i później oprowała je Matusiewiczowa, złożywszy na ten cel 50 grzywien srebra i sztabkę złota. Gdy złodzieje zakradli się do kościoła, aby tę powtórną oprawę obedrzeć, jeden z nich, wahając się unieść świętości, zaczął dłutem oblamywać oprawę; ale za piérwszém przyłożeniem dłuto obśliznęło się po oprawie i przebiło dłoń świętokradzcy na wylot. Przerażeni tém zloczyncy, stracili przytomność, i uciekając ujęci zostali.

Tylko co Stefan Leszczyński wojewoda kaliski wystawił klasztor i sprowadził do niego wizytki aby kształciły młodź żeńską, gdy nadzwyczajny pożar nawidził Lublin. Ciemna, wietrzna noc zapędziła wszystkich wczesnie na spoczynek. W klasztorze po wieczornych modlitwach pogaszono światła; zakonnice rozeszły się do swoich cel; panienki będące na nauce razem z dozorczyniami udały się do izb sypialnych; pozamykano grube żelazne kute okiennice, które w czasach napadów tak dzielnie służyły do obrony, pospuszczano rygle u furt i drzwi wewnętrznych, i sen twardy ogarnął wszystkich. Stary furtian Maciej piérwszy usłyszał dzwony bijące na gwałt i straszny łomot we drzwi klasztoru. Myśląc że to jaki nowy napad szwedzki, nie otworzył drzwi tylko skoczył po ludzi śpiących. W trwodze potracili wszyscy głowy; zanim spostrzeżono że to nie napad ale pożar, już cały klasztor objęły płomienie. Ratunek był niepodobny, kto się obudził ten uciekł jak mówią z duszą, a 27 panienek ze znakomitych rodzin, będących na nauce w klasztorze, stało się pastwą płomieni.

Drugi podobny wypadek miał miejsce w późniejszych czasach. Na Czechówce długo bardzo stały ruiny pałacu Tarłów, zadziwiające olbrzymiemi kształty. Zwidzali je bardzo często Lublinianie i przybywający do Lublina, bo piękne położenie tego miejsca dodawało zachęty. Raz przyjechały do

Lublina trzy siostry z rodzicami po ślubne wyprawy. Wszystkie trzy miały iść za mąż jednego dnia, i co dziwniejsza, za trzech rodzonych braci, a swoich krewnych. Dalekie wprawdzie było to pokrewieństwo i łatwo wystarano się o pozwolenie; ale zawsze ludzie szemrali że to się niegodzi. Dzień był prześliczny; po południu cała rodzina wybrała się na spacer na Czechówkę. Młode wesołe panienki z lekkością motyli obiegały ruiny, wspinały się po ceglach aby wyjść wyżej i przypatrzeć się piękności okolicy, gdy nagle huk straszliwy zatrzęsł posadami ruin, zawaliło się sklepienie i zasypało trzy nieszczęśliwe istoty. Pochowano je w grobach kościoła dominikanów, gdzie do dziś dnia trumny ich okazują.

Teraz pozostaje tylko jeszcze powiedzieć słów kilka o ruchu handlowym i towarzyskim terażniejszego Lublina. Ze wzrastającym bytem podnosi się handel i przemysł. Jak wspomniałem, dwa hotele rzymski p. Rotkel i angielski p. Chobrzyńskiego w niczem nieustępują warszawskim. Restauracyj jest kilka; między niemi pierwsze miejsce zajmuje oddawna utrzymująca się w Lublinie restauracja Polha. Z cukierni odznaczają się Semadyniego i Biadollego. Z handlów korzennych i składów win znakomitsze: Fritscha, Koźmińskiego i Bohyńskiego. Dawniej sływał szeroko z dobroci win sklep Kasperka. Inne znakomite handle są następujące: Streibla galanteryjny, Knolla wyrobów żelaznych, Wostrykowa wyrobów rossyjskich. Kawiarnie dotąd w Lublinie utrzymać się nie mogą; jest ich kilka, ale mało uczęszczane. Księgarnia Artzta odznacza się nie tylko doborem najnowszych dzieł, ale i dobrze zaopatrzoną czytelnią. Lublin nie posiadał artystów teatralnych; w teatrze, który ze względu na swoje położenie niebardzo jest dogodny, dają przedstawienia artyści czasowo przebywający. Najwięcej zasług dla teatru lubelskiego położył pan Chełchowski, który z trupą swą kilkakrotnie bawił w Lublinie. Dotąd przechowują się między Lublinianami dowcipne śpiewki, podobno przez młodego Chełchowskiego do jednej z komedijek ułożone, np.

Kto ma pieniądze, jedzie do Prysmitza,

A kto ich niema, dobra i Bystrzyca.

Kiedym wspomniał o wierszach, nie od rzeczy

będzie przytoczyć że Lublin słynie z poetów okolicznościowych. Byle jakie zdarzenie trafiło się na miście, już można być pewnym że na drugi dzień pojawi się więrszyk, stosownie do talentu autora zgrabny lub niezgrabny, opiewający to zdarzenie. Zwyczaj ten podobno przechowuje się jeszcze w spadku po trybunałach, za których Zatajewicz mecenas i Dobrzański dependent występowali z satyrami lub pochwałami. Autorzy tych ramot najczęściej są niewiadomi, bo niechęć czoła na pociśki obrażonych wystawiać.

Sensu w nich zwykle niewiele, jak we wszystkich podobnego rodzaju utworach, jednak znajdują się tacy, którzy czasem rzeczywisty talent marnują na takie niewłaściwości. Zdradza to upodobanie małych miast w plotkach, z których także, mówiąc nawiasem, Lublin niemało słynie.

Resursa lubelska odznacza się życiem i umiejętnie kierowanymi zabawami. Corocznie w czasie karnawału bywają bale zgromadzające do Lublina wielu sąsiednich obywateli. Nieraz bale te i koncerty połączone są z celami dobroczynnymi, i patrząc wówczas na zebraną liczną świetną publiczność, bierze chętką powtórzyć za jednym z członków dawnego lubelskiego towarzystwa przyjaciół nauk:

Tak Lublin, w ślady stolicy

Idąc i w guście i w zbytkach,

Pieniądz wniesiony z dalszej okolicy

Składa w ludzkości przybytkach.

Od r. 1815 istnieje w Lublinie towarzystwo dobroczynności, posiadające dość odpowiednie fundusze. Przed rokiem założono dom ochrony dla dzieci i sierot, w którym kolejają kilkanaście panien z najpierwszych w Lublinie domów wykłada stosowne nauki, i dom przytułku dla starców i kalek. Szlachetne Lublinianki nie szczędzą prac i trudów, aby zakłady te wzrastały i pożyteczne przyniosły owoce.

Na tém niech będzie koniec moim wspomnieniom o Lublinie. Czuję że ony są zbyt krótkie, niedokładne; ale na wstępie wytłumaczyłem się z moich zamiarów. Niech każdy z Lublinian, w miarę chęci i możliwości, złoży choć taką ofiarę miejscu które rodzinném nazywa, a z drobnych tych cząstek powstanie kiedyś całość godna rzeczywiście nazwy historyi starego, sławnego grodu.

MORZE

I WPŁYW JEGO NA KLIMAT ZIEMI.

Gdyby powierzchnia ziemi wszędzie zrównorodnej masy składała się, a bryła ziemi dokładną była kulą, bez żadnej nieforemności, toby stosunki temperatury bez porównania były prostsze jak obecnie. Wszystkim punktom z jednego równoleżnika też samaby temperatura przypadła, a przeważnieby nań wpłynęła jedynie większa lub mniejsza odległość od równika. Zniżanie się temperatury od równika ku biegunowi tak byłoby równe, że gdyby zasadę jego zbadano, o każdym dowolnym punkcie na ziemi, bez żadnych postrzeżeń, powiedzieliby można jaka własność temperatury tamecznej.

Powierzchnia ziemi wszakże, tak co do odległości od jej środka jak co do stosunków materji, przedstawia obraz nader różnorodny. Stały ląd czwartą tylko jej część zajmuje, trzy części zabięra morze, granice między niemi łamią się w liniach nieskończenie pokrzywionych, w podziale zaś lądu i morza zupełny brak symetrii.

Stałą część powierzchni przerywają niejednokrotnie większe lub mniejsze strumienie wód, a układ jej i płody roślinne najrozmaitsze. Wpływ ciepłika na materyały ziemi także jest niejednakowy; bo jakaż to różnica czy ożywcze promienie słońca trącają o ruchliwy wód żywiól, czy o twardą, obnażoną skałę, czy przyświecają piaskom pustyni, trzęsawiskom, łące w soczystą zieleń przyodzianej, lub gęstym, rozległym borom. Niektóre ciała, jak np. metale, są dobrimi, inne, jakoto: wełna, sierć, słoma i t. p. złemi przewodnikami ciepłika. Jedne mają możność przechowywania ciepła, a potem, gdy obejmujący je żywiól zziębnie, pozbycia się równie łatwo jego nadmiaru (dziurkowate, ciemne ciała powierzchni szorstkiej); drugie mało przyjmują ciepła, tylko je odbijają (reflektują), mianowicie wszystkie twarde, jasne i gładkie ciała.

Dodajmy teraz nadzwyczajną różnicę wyniosłości stałego lądu. Sahara, pozbawiona roślinności, łąkający wody oceanu piaszczysty, tak mało się nad płaszczyznę morza wznosi, że przy niewielkiem wezbraniu przestrzeń wód w $\frac{2}{3}$ częściach rozle-

gła jak Europa, oddzieliłaby północną Afrykę od południowej. Ogromną płaszczyznę syberyjską od europejsko-ruskiej, germańskiej i francuzkiej tylko Ural odgranicza. Niezmierne stepy północnej Ameryki, gdzie dzicy ludzie walczą z dzikim zwierzem; rozległe, obfitujące w zioła i trawy wybrzeża Missisipi, Orinoko i La Plata, gdzie stada dzikich koni i bawołów harcuja; majestatyczne lasy dziewicze nad olbrzymiej Amazonki wodami, wszystko to są rozległe niziny z cechą największej jednostajności, zaledwie na 60' nad poziom morza wzniesione. Przeciwnie, w Europie góry różne co do wysokości, postaci i kierunku, wyżyny i niziny rozlicznego kształtu i obszaru, a tak odmienne od innych części ziemi; rozległe jednostajne stepy środkowej Azji, wysoko nad morzem położone, na południe od gorących wiatrów zasłonięte olbrzymimi dziko porzrucanemi skałami Himalaja, których grzbiet dochodzi wysokości Mont-Blanc, najwyższej góry w Europie, a których punkt najwyższy Kinczininga 26436' wyniosły, jeszcze Dawalagiri o 95' przewyższa; na 2000 mil wzdłuż ciągnący się łańcuch Andów spadzisto nad morzem i niziną sterczący, z rozległemi płaszczyznami na wyżynach. Cóż to za rozliczne a bogate odmiany!

Więc tu nietylko różność materyałów stałych trzeba mieć na względzie, ale jako potężny czynnik występuje atmosfera, co przez większą lub mniejszą miąższość w rozmaitych wzniesieniach, przeważnie na klimat oddziaływa. Zniżanie się temperatury na wysokich górach nie zależy od mniejszego obszaru stałej masy na działanie ciepła wystawionej, gdyż wtedy na wyżynach i w nizinach pod jedną szerokością ta sama temperatura powinna by panować, ale od stopnia miąższości powietrza, który w temperaturze znakomite wywołuje różnice. Ciała niemają równiej zdolności przyjmowania czyli utajania w sobie ciepłika, to jest ażeby równoważne ilości różnych ciał zarówno silnie ogrzać, potrzeba różnej ilości ciepła. I tak: woda jest wprawdzie $13\frac{1}{2}$ razy lżejszą od merkuriusza, ale posia-

da 33 razy większą zdolność utajania ciepłika, to jest do ogrzania 1 funta wody na 1° potrzeba ilości ciepła wystarczającej na ogrzanie 1 funta merkurjusza na 33°. Rzadsze powietrze bez porównania zdolniejsze jest od gęstszego do przyjęcia ciepła, i z tego powodu w coraz wyższe, więc rzadsze, warstwy wstępując, zdaje się że słońcu ciepła ubywa. Że ta własność powietrza na temperaturę bardzo przeważnie działa, potwierdza fakt iż w przecięciu ze wzniesieniem się na 530' łączy się зниżenie temperatury o 1° C. Na wierzchołku więc Mont-Blanc, według téj zasady przez Gay Lussac'a zbadanej, stu-podziałkowy termometr o 17° mniej pokaże jak w dolinie Chamouny 9000 stóp niżej leżącej. Średnia temperatura w Kumanie pod 10° szerokości północnej wynosi 27°, w Quito pod równikiem 14°; ale Kamana leży na 30 stóp, a Quito na 9000 stóp nad poziomem morza.

Niewchodząc tu szczegółowiej w działania które stała część ziemi, przy wielkiej różnorodności materiału swego i wzniesienia się nad morze, sprawia w powietrzu, ograniczyć się nam wypada na wykazaniu ważnego wpływu przez potężne masy wód morskich na klimat i roślinność wywieranego. Widocznym ztąd będzie jak wielkie ma znaczenie rozkład lądu i morza. Nie jest to wcale obojętne czy zamieszkujemy małą wysepkę w środku oceanu, czy też o tysiąc mil od niego odlegli, na wielkim żyjemy lądzie; większa lub mniejsza odległość morza z klimatem, płodami roślinnymi i zwierzęcymi, a z tego powodu z całym historycznym rozwojem człowieka, w ważnym i ścisłym zostaje związku.

Przy wzrastającym cieple temperatura wód niższą jest od temperatury stałego lądu; woda bowiem, mając w czwórnasób większą zdolność utajania ciepłika, potrzebuje go cztery razy więcej od ziemi ażeby równoważnie w téj samej ilości stopni była ogrzana. Promienie słońca wnikają bez porównania głębiej w wodę niż w ziemię, ogrzewając się aż do 90', gdy ziemia przyjmuje ocieplenie słoneczne, wymierzalne za pomocą termometru, tylko do 4'. Promienie słońca muszą więc siłą ogrzewającą na większą znacznie masę rozdzielać. Dodajmy i to, że przy wzroście ciepła powierzchnia wody podlega znacznie silniejszemu parowaniu, processowi który ciągle ubywanie ciepła dla niej sprawia. Jeżeli zaś temperatura zewnętrzna zniża się, to ląd i morze w odwrotnym zupełnie będą zostawać sto-

sunku. Woda oziębi się na powierzchni przez parowanie i promieniowanie, ale przez to nabierze ciężkości i opadnie. Ciepłejsze warstwy zajmą wtedy miejsce opadłych, oziębionych i wynagrodzą na powierzchni utratę ciepła. Gdy ląd zasób ciepła rychło spożywa, morski kapitał ciepła jest trwalszy i trudniejszy do wyczerpania. Ochłodnienie więc morza bardzo powoli odbywać się tylko może.

Wahania się temperatury na pełnym morzu są też istotnie bardzo nieznaczne i wynoszą w średnich szerokościach, gdzie jeszcze zdają się być najznaczniejsze, tylko od 3—4°. Ta nadzwyczajna równomierność niema miejsca w zatokach i między-lądowych morzach, gdzie wpływ pobliskiego lądu różnicę między wznoszeniem się i opadaniem termometru znacznie większą wywołuje. I tak np. średnie ciepło letnie bałtyckiego morza wynosi od 15—17°, w niektórych dniach temperatura podnosi się do 23°, a w zimie lód nieraz pokrywa rozległe obszary.

Gdy ciągle wyrównywanie rozmaicie ogrzanych warstw powietrza osiąga się za pomocą ciągłej ich ruchliwości, widoczne jest że wielkie wód zbiory wpływają na to, aby wyższe temperatury zbliżyć do niższych, letni upał w dzień złagodzić, chłód nocny i mrozy zimowe umiarkować. Im bliżej ląd który morza, tém bardziej widoczna ta czynność wyrównująca i pojednawcza. Największa też równomierność w cieple dziennym i nocnym, w temperaturze zimowej i letniej, istnieje na wyspach, mianowicie na najmniejszych. Większe różnice pokazują się już na pomorzach, zwłaszcza na tych co z jednej lub więcej stron wiążą się z obszerniejszą masą ziem. Najsilniejsze jednak kontrasty, najgwałtowniejsze mrozy istnieją w miejscach w środku lądu położonych.

Ciekawe badania i poszukiwania znakomitych fizyków, mianowicie też Humboldta i Dove'go, z niesłychaną pilnością w ciągu bieżącego stulecia dokonane, w wypadkach swoich zgadzają się z temi postrzeżeniami i przekonują, że odmiany w temperaturze jakiego miejsca nietylko od odległości od równika, ale szczególnie od odległości od morza zawisły, i że rozdział ciepła na rok cały tém jest równiejszy, im bardziej miejsce jakie wpływowi morza podlega.

Miejsca mniej więcej tę samą średnią temperaturę roczną mające połączono liniami zwanymi *izo-*

termy, to jest linie równo-cieple. Prócz tego miejsca gdzie zimy i lata jednakowe, połączono także liniami, z których pierwsze *izochimenami*, a drugie *izoterami* przewano.

Chociaż postrzeżenia te nie są jeszcze dosyć liczne i dokładne, mianowicie co do południowej półkuli, wykazano jednak nieodwołalnie, że podział pór roku nie jest w zgodzie ze średnią temperaturą roczną, że izochimeny i izotery bardzo mało się do izotermów stosują.

U równika małą tylko odmienność zauważać można; w Gujanie naprzykład różnica między najcie-

plejszym a najzimniejszym miesiącem tylko do 2° dochodzi. Ale linie tém się bardziej rozchodzą, im się więcej do bieguna przybliżają. W północnej Ameryce naprzykład linie równo-cieple zimowe od wybrzeży do wnętrza kraju znacznie się krzywią ku południowi, a linie równo-cieple letnie kupólnocy, czyli im bardziej miejsce które od morza odległe, tém mroźniejsza tam zima a tém cieplejsze lato. Następny rzut oka, oparty na tablicy temperatury przez Humboldta w 1853 roku na nowo ułożonej, wyraźnemi to potwierdza przykładami.

NAZWY MIEJSC.	Szerokość geograficzna.	Średnia temperatura	Średnia temperatura zimowa.	Średnia temperatura letnia.	Różnica.
(Syberya) Ustiańsk.	71° Płn.	— 17°	— 38°	+ 9°	47°
Jakuck	62° „	— 11	— 38	+ 15	53
Nowaja Zemlia	70° „	— 9	— 16	+ 2	18
Nerczyńsk (Syberya)	51° „	— 4	— 27	+ 17	44
Irkuck	52° „	— 1	— 19	+ 16	35
Nordkap (Norwegia)	71° „	+ 0	— 4	+ 6	10
Kazań	56° „	+ 2	— 15	+ 17	32
Petersburg.	60° „	+ 3	— 8	+ 16	24
Rajkiawik (Islandia).	64° „	+ 4	— 2	+ 12	14
Moskwa	56° „	+ 4	— 9	+ 18	27
Kwebek.	47° „	+ 5	— 10	+ 20	30
Stokholm	59° „	+ 5	— 4	+ 16	20
Królewiec.	55° „	+ 6	— 4	+ 16	20
Feroer	62° „	+ 7	+ 4	+ 12	8
Gdańsk.	54° „	+ 7	— 1	+ 16	17
Kraków.	50° „	+ 8	— 3	+ 18	21
Edynburg	56° „	+ 8	— 3	+ 14	11
Rostok.	54° „	+ 8	+ 0	+ 16	16
Cambridge (półn. Amer.)	42° „	+ 8	— 3	+ 20	23
Astrachan.	46° „	+ 9	— 4	+ 21	25
Berlin	52° „	+ 9	+ 0	+ 18	18
Halla	51° „	+ 9	+ 0	+ 17	17
Londyn.	51° „	+ 9	+ 3	+ 15	12
Odessa.	46° „	+ 9	— 3	+ 21	24
Dublin	53° „	+ 9	+ 5	+ 15	10
Wiedeń	48° „	+ 10	+ 0	+ 20	20
Plymouth	50° „	+ 11	+ 7	+ 16	9
Pekin	40° „	+ 13	— 2	+ 25	27
Miasto Kap	34° Płd.	+ 16	+ 12	+ 19	7
Jamaika	18° Płn.	+ 26	+ 25	+ 27	2
Batawia	7° Płd.	+ 26	+ 26	+ 27	1
Singapore	1° Płn.	+ 27	+ 26	+ 27	1
Kumana	10° „	+ 27	+ 27	+ 28	1

Z poprzedzającej tabelli zadziwiająco ukazują się rezultaty. Nowaja-Zemlia i Kazań zarówno mroźne mają zimy; Nordkap, punkt w Europie najda-

lój ku północy po sunięty, ma też samo ciepło w zimie co Stokholm, Królewiec i Astrachan o 375 mil dalej ku południowi leżące; w Petersburgu zi-

ma cieplejsza jak w Moskwie, w Rajkiawik w Islandyi cieplejsza jak w Krakowie, Odessie i Pekinie; nareszcie średnie ciepło zimowe w Edyburgu i Londynie przenosi o 3°, w Dublinie o 5°, w Plymouth o 7° także ciepło w Rostoku, Berlinie, Halli i Wiedniu.

Wielka różnica w rozlaniu ciepła na rozmaitych punktach ziemi doprowadziła do odróżnienia klimatu lądowego od klimatu morskiego albo wyspowego. W Europie, tylokrotnie ramionami morskimi przeciętą, na zachodzie, zwłaszcza też na północo-zachodzie, klimat morski przeważa; dopiero na płaszczyźnie rosyjskiej, z azyatyckim lądem związaną, klimat lądowy silniej występuje, a dalej jeszcze na wschód, pośród azyatyckiego lądu, ostateczności rażące występują. Zmiany na morzu ograniczają się, jak wyżej wspomniano, na 3—4°; w europejskich krajach środkowych zboczenia od 40 do 50° są bardzo zwyczajne, ma się rozumieć w temperaturze pojedynczych, najcieplejszych lub najzimniejszych dni; w Moskwie nawet na 78°, a w Jakucku na 88° zauważano różnicę.

Znajomość dopiero średniej letniej i zimowej temperatury miejsca jakiego daje nam dokładne wyobrażenie o jego zdolności do uprawy. Roślina jest płodem gruntu i klimatu miejscowego. Wysoka letnia temperatura lądowego klimatu, ciepło w kilku tygodniach skupiane sprawia, że dadzą się uprawiać rośliny potrzebujące jeśli nie długotrwałego, to bardzo znacznego stopnia ciepła do dojrzewania. Bawełna, roślina z początku wyłącznie do gorącej należąca strefy, daleko za zwrotnikiem raka, w południowych stanach Ameryki północnej, w Egipcie, Azji mniejszej, nawet na południowych wybrzeżach Europy, pomyślnie da się uprawiać. Cała północna Azja bardziej ku północy jest zamieszkała, jakby przypuścić można, wiedząc że średnie ciepło roczne miejsce w Syberyi najbardziej ku południowi posuniętych w przecięciu 0° wynosi, a średnia temperatura zimowa na tychże samych punktach już do—30° dochodzi. W Tobolsku, Tomsku, Irkucku, Nerczyńsku termometr często opada od—36° do 40°, co istotnie straszliwe być musi; ale w tych miejscach zato jest ciepło letnie to samo co w Gdańsku i Królewcu, a w miesiącu lipcu większe jak w Berlinie. Podczas krótkiego, ale gorącego, lata żyto i jęczmień dojrzeć tam może. Jeszcze dalej ku północy rozciągają się obszary

ziemi nad Obą, Jenisseją i Leną, stosunkowo bardzo ludne, bo są tam wsie i miasta narodów niekoczujących, a uprawiających zboże.

Na południowym Islandyi wybrzeżu temperatura roczna jest nieco wyższa jak w Petersburgu, a zima cieplejsza niż w Odessie i w Astrachaniu. Mimo to wieśniacy islandscy, z powodu chłodnych letnich miesięcy, prawie wyłącznie hodują bydło, a tameczne tak zwane lasy, są to niskie, pokręcone brzozowe zarośla, gdy w Astrachaniu tak wyborne udają się owoce, zwłaszcza też winogrona, o jakie we Francyi południowej, Hiszpanii i na wyspach kanaryjskich niełatwo. Na wyspach Fer, gdzie cieplejsza zima niż w Medyolanie, a temperatura roczna zgadza się z Królewcem i Gdańskiem, tylko jęczmień bardzo skąpo da się uprawiać, gdy tymczasem we wschodnich i zachodnich Prusiech niemal ludność zajmuje się rolnictwem. Nowaja Ziemia, chociaż tam panuje temperatura roczna wyższa o 2° jak w Jakucku, jest niezamieszkała i ogołoconą z roślinności, bo średnia letnia temperatura + 2° nie przechodzi; w Jakucku zaś, gdzie zimowa temperatura do 38° się zniża, nie brak żyta, pszenicy jarój, rzepy i ziemniaków, nie bacząc na to, że grunt tylko na 3' głębokości odmarza.

Z tego wszystkiego okazuje się, że najniegościnniejsze okolice ziemi nie są tam gdzie temperatura roczna najniższa, ale tam gdzie brak ciepła letniego, koniecznego dla roślinności. Klimat znów morski pomyślnie na te wszystkie przechodnie rośliny wpływa, co ostrzej zimy wytrzymać nie mogą. Dlatego to głównie widzimy w Anglii owe nieporównanie piękne łąki, co soczystą trawą i ziołami jeszcze w zimie wyborną dają bydłu paszę. W północno-wschodniej części Irlandyi, pod 57 stopniem szer., zieleni się pomarańcza pod gołym niebem tak bujnie, jak w Portugalii o 250 mil dalej ku równikowi leżącej; ale rośnie tylko i zieleni się, bo jeśli podczas zimy nader łagodnej wytrzyma w polu, to znów ciepło letnie nie jest dla niej dostateczne aby owoc wydała. Irlandczycy owszem tak są nieszczęśliwi, że nietylko pomarańcze, ale smacznej śliwki, gruszki, a nawet jabłka dochować się nie potrafią.

Więc żywioł nieodmienny, nieugięty, jakby niechętnie wpływom ożywczych promieni ulegając, wydaje najwybitniejsze przeciwstawienia; płynny żywioł, ruchliwy a gibki, lubi to co stałe i równomierne. Gdy się oba spotkają, gdy silne z łago-

dném się zjednoczy, wtedy, przy pomysłnych zakładaniach okolicznościach, przygotowuje się dla człowieka miejsce do pomysłnego rozwoju. My też powinniśmy się tém radować; bo właśnie w zachodniej i środkowej Europie lądowy klimat ubiega się z morskim o pierwszeństwo, a właściwe naszej części ziemi ukształtowanie i stosunek jej do morza niemało przyczynia się do tego, że właśnie ten mały kawałek ziemi został widownią najwyższej ludzkiej oświaty.

WĄŻ OKULARNIK.

Wąż okularnik, z oddziału jadowitych, należy do rodzaju *naja*, gatunkowe zaś nazwisko łacińskie *tripudians* ma nadane od znanych piasów, do których wuczają go szarlatani indyjscy, zwani przez Anglików *snakeman*.

Nazwę rodzajową w języku polskim zachowujemy przez Indyan nadaną *nojas*, którą badacze przyrody w łacińskim zatrzymują, z małą jednakże różnicą. Laurenti, idąc za Sebą, który przejął nazwę z Kaempfera, pisze *naja*; Cuvier zaś *najas*. Miano gatunkowe *okularnik* wzięte jest od rysunku zamieszczonego w tyle głowy, przypominającego okulary.

Cechy rodzaju węża o którym mówimy są: ciało okryte łuskami nierównymi, a mianowicie w okolicy rozszerzalnej karku; tułów walcowaty, ku środkowi brzucha zgrubiały, przy karku rozszerzalny, gdzie łuski są rozsunięte, wyraźne, i nieco większe; ogon stożkowy, długi, trójkątno-kończaty; otwór paszczy obszerny, prosty; łuski podogonowe podwójnym rzędem ustawione; tarcze ciemniowe rozwinięte.

W rodzaju tym są dwa gatunki. Cechy gatunku *naja tripudians*, naja okularnik są: szyja bardzo rozszerzalna, od spodu znacznie jaśniejsza, najczęściej oznaczona podobieństwem pary okularów o dwóch kółkach, połączonych z sobą zgięciem. Rysunek ten różnej bywa wyrazistości, bardzo zaś rzadko poprzeczne prążki koloru czarnego brak okularów zastępują.

Okularnik zdaje się zamieszkiwać wszystkie kraje gorące i wyspy morza indyjskiego. Długości ma przeszło 5 stóp; obwód ciała do 4 cali; przebywa w norach myszy i innych drobnych zwierząt.

Sławny wędrowiec Kaempfer, powróciwszy z A-

zyi, pierwszy wydał rysunek tego węża, opisał dziwną jego postać (1), nadmienił o obyczajach, naturze jadu, środkach lekarskich zaradczych i układaniu go przez kuglarzy ku zabawie krajowców. Seba następnie w wielkim swém dziele (2) zamieścił mnóstwo figur, w największej części błędnych i niedokładnych, ze względu formy, rozstawienia tarcz głowy, łusk w różnych okolicach ciała, i co gorsza, błędnie kolorowanych, opierając się na opowiadaniach krajowców. Dziś już nauka herpetologii posiada wyborne rysunki tych wężów w dziełach Russela o węzach indyjskich, i przepyszném o Egipcie Geofroy St. Hillaire, a nadto Savigny i Smith (3).

Wyjątkowe usposobienie okularnika spłaszczania i rozszerzania karku, zdaje się stanowić ochronę głowy; odpowiednia też budowa wewnętrzna tej części okularnika ułatwia mu to rozszerzanie, kiedy reszta żeber u niego służy za podporę muskulów, ułatwia wężykowate posuwanie się po ziemi i czynność oddychania. Żebra w karku urządzone są do zwrotnego obrotu ku przodowi i w górę, przez co pociągają z grzbietu skórę na głowę, formując jakby kaptur albo pochewkę sercowatą, spłaszczoną, ochraniającą głowę. Rozszerzanie w mowie będące okularników widzieć się daje jedynie w chwili kiedy przybiérają zaczepną, wzniesioną, prawie pionową, od głowy tylko ukośnie pochyloną postawę. W czasie spoczynku szyja jest równiej objętości jak reszta ciała; pod wpływem dopiero rozdrażnienia nagle się rozciąga, a z usu-

(1) *Amoenitates exoticae*, fasc. 3. *Tripudia serpentum*.

(2) *Thesaurus rerum naturalium*,

(3) *Illustration of the zoology of south Africa. Reptiles*



nięciem znowu obawy widać jak skóra ściąga się zwolna, i żebra ustawiają się równolegle wzdłuż kolumny grzbietowej.

Sam tylko gatunek okularnika obdarzony jest zdolnością powstawania prostopadle: w obawie, w niebezpieczeństwie, a osobliwie na widok człowieka, wąż czepkowy (*serpent à coiffe*), jak go zowią, może powstać prawie prostopadle przodem. Wyteżone-
mu jak pręt tył służy za podporę, i w tej poważnej, wzniesionej, prostopadłej postawie, z głową poziomą na szyi opartą, posuwa się na wspierającym go tyle. Nie dziwnego więc że ta osobliwsza postawa, jakby przez dumę nadana, szyja przez rozszerzenie spłaszczona, a na niej oparta bardzo ruchawa głowa, oddawna zwracały uwagę ludu. Oprócz tego okularniki, znane z tego iż obdarzone są gwałtownym jadem, mogły obudzić ku sobie słuszną obawę. Przeto też ludy w ciemnocie będące, do których siedzib przyrodzenie pobyt okularnika prawie wyłącznie ograniczyło, oszczędzały go, a nawet ubóstwiały.

Dawni Egipcjanie czcili w przesądzie swym okularników; przypisywali im bowiem zachowywanie zboża. Oszczędzali je w polach uprawnych, powierzali im straż opiekuńczą nad urodzajami, może naprowadzeni na to wiadomością, iż okularniki pożerają szczury, myszy, których niezliczone gromady ogromne czyniły spustoszenia, a nawet całe oglądały okolice. Przez wdzięczność przeto oddawali cześć tym węzom; obrazy ich umieszczali w świątyniach, balsamowali ich zwłoki, postacie ich ryli w kamieniach nadgrobkowych, a nawet w hieroglifach i na sarkofagach, czego aż dotąd napotykały ślady. I dziś jeszcze, podług opisów podróżnych w Persyi i w Egipcie, tłumy ludu, z uszanowaniem religijnym i fanatycznym, gromadzą się wokoło kuglarzów chępiących się jakoby obdarzeni byli nadprzyrodzoną władzą, dziedzicznie przekazywaną, albo też nabytą, i pewnymi sposobami oblaskawiania i układania węzów do powolności.

Cuvier *Regne animal illustré. Reptiles*, Duvernoy pl. 34.

Schlegel 1837. *Abbildungen, Amph.* p. 439, pl. 48, fig. 4—10.

Bogaty zbiór rysunków (1854) muzeum w Jardin de plantes pierwowzorów o Egipcie, do którego przybył nowy rysunek bardzo dokładny przez P. M. F. Bocourt, zdjęty z węża będącego w Jardin de plantes, a przedstawiający w całej prawdzie dziwne postawy tego ciekawego zwierzęcia.

W nadziei a nawet pewności datku, którego wysokość naprzód oznaczają, wywołują oni z klatek lub z koszów wiele okularników. I zaprawdę, popis ich z węzami temi każe niby domyślać się jakoby jakiegoś władzy oczarowania. Wydobyte z pieszczalki jednostajne, przewlekłe tony, sąto rozkazy, którym ściśle posłuszne są wychowañce kuglarzów, powstając, zniżając się, poruszając głową za ręką kuglarza, zgodnie z taktem pieszczalki (1). Inne, w chwili kiedy są najruchawsze, dotknięte w pewny sposób, wpadają w rodzaj letargu. To znów na rozkaz wyprężają się jak laska, albo też za nowym znakiem odzyskują zwinność, okręcają się wokoło kija i t. p. Kaempfer był świadkiem jak około kwadransa okularnik, w postawie stojącej, zwracał głowę za swym właścicielem; ruchy głowy stosował do ruchów jego pięści, w której był korzeń, to na prawo to na lewo, lub w górę i na dół. Skoro umilkła muzyka, wąż poczołgnał się na stronę. Wtenczas kuglarz upominał się o datek i ofiarował kupno korzenia zachwalając go jakoby dzielny środek przeciwko jadowi okularnika. Korzeń ten, według Kaempfera, odarty z kory, bywa nieco do salsaparilli podobny. Nie masz zgody między botanikami z jakiej on rośliny pochodzi. Przypuszczają niektórzy iż z *ophiorhiza mungos*, należącej do rodzaju marzanowych. W Indyach, a mianowicie w Amboinie, zowią go Raiz de Cobra.

Do szczegółów powyższych pozwalamy sobie dodać ciekawe opowiadanie p. Natalisa Rondot, członka kommissyi handlowej, wysłanego przez rząd francuzki do Chin, a zamieszczone w jego dzienniku podróży pod dniem 10 lipca 1844 w Trinkomalii (na Ceylan). Píše on:

„Około 10 godziny w wieczór zjawił się na brzegu kuglarz indyjski; ubranie jego było ubogie, na głowie turban, ozdobiony trzema pawimi piórami; niósł naszyjniki z amuletami, zwanymi w Senegalu grisgris, i jednego *cobra capel* (okularnika) w płaskim koszyku. Zajął miejsce na moście; my umieściliśmy się z majtkami około niego. Kosz stał na moście, otwiera go kuglarz. Capel (okularnik) zwinęty leży na dnie kosza. Kuglarz, o kilka kroków od niego siedząc w kuczki, zaczyna grać na małym instrumencie, nakształt klarynetu, jakąś dumkę monotonną. Wąż porusza się nieco, wyciąga, potem się podnosi. Zdaje się jakby usiadł na ogonie zwi-

(1) Kaempfer, *Tripudia serpentum*.

niętym szrubowo, ale jeszcze jest w koszu. Dalej, jakby się niepokoił, jakby się rozpatrywał gdzie jest, rozszerza szyję. Objawia się w nim drażliwość; syka silnie, pokazuje szybko i często język widelkowaty i cienki; rzuca się po kilka razy, jakby chciał dosięgnąć kuglarza; potem drgnął albo raczej nagle podskoczył. Kuglarz wpatruje się w niego pilnie wzrokiem szczególnym, nieruchomym; po 10 lub 12 minutach okularnik uspokoił się, następnie zaczął się wahać, jakby czuł wolny i jednostajny takt muzyki; język nieustannie i szybko wysuwał, i znowu zwolna uspokajał się, jakby go opanowała senność. Oczy węża, początkowie jakby upatrujące kiedy kuglarza napaść, stanęły kołem, niby oczarowane patrzeniem kuglarskiem. Indyanin teraz, korzystając z osłupienia węża, i grając nieustannie, przybliżył się zwolna, i dotyka głowy węża najprzód nosem, a następnie językiem. Po chwili okularnik daje susa; kuglarz zaledwie ma czas odskoczyć, chroniąc się aby go nie dosięgnął wąż rozdrażniony. Mniemaliśmy że okularnik pozbawiony był jadowitych zębów, i dlatego ofiarowaliśmy kuglarzowi hiszpańskiego piastra, aby mu dał do ukąszenia kure. Kura trzepocze się żywo; zbliżono ją do węża, ten podnosi się przez połowę, patrzy trochę na nią, kąsa ją i wyrzuca. Kura uwolniona ucieka jak szalona, w sześć minut womituje, wyteża nogi i umiera. Druga kura, dwa razy ukąszona, zmarła w 8 minutach.

Mówiąc o kuglarzach okazujących okularników, przedewszystkiem wypada powiedzieć o polowaniu na węża.

Zwykle nora z otworem gładkim oznacza pobyt węża; bo nory myszy i t. p. mają wejście nierówne, zdrapane nogami od chodzenia. Dostrzegłszy węża, kuglarz chwytą go ręką lewą za ogon, prawą posuwa szybko ku głowie, i przytrzymuje, aby wąż obrócić się nie mógł. Na łowy te wybierają się z lekami wziętość mającemi i żelazkiem o dwóch zębach, podobnych jadowitym zębom węża, które w czasie łowów w naczyniu z ogniem rozpalone mają na pogotowiu, aby w przypadku ukąszenia ranę zadaną wymywszy, sztucznie zębami przypalić można było. Złapawszy węża, dają mu do kłapania kawał płótna, skóry i t. p. Skoro zagniewany zapuści w płótno zęby jadowite, kuglarz przez szarpnięcie wyłamuje je, i gdy zapewni się o wyłamaniu, już wolen jest niebezpieczeństwa otrzymania

rany i zatrucia jęjjadem. Jednakże po niejakiem czasie powtarza też samę operacyą; zęby bowiem z czasem odrastają, a wtedy ukąszenie węża, równie jak pierwotne, niebezpieczeństwem niechybnem zagraża.

Zasada układania węzów na widowiska ludu leży już w złośliwości i obyczajach dziko żyjącego węża, jużto w obejściu się z nim w czasie widowiska. Dziko napotkany wąż powstaje w obronie swęj opierając się na tyle ciała, rozszerza szyję, otwiera paszczę i kąsa. Obyczaju tego nie pozbywa się i utrzymywany dla widowiska; jak na wolności spotkany w postawie wzniesionęj upatruje chwili dogodnej aby uderzyć na nieprzyjaciela, tak to samo w niewoli uwięziony powtarza. Postawę tę umie kuglarz utrzymać w czasie widowiska nieco dłużej, zwyczajaniem węża do powtarzania tego wiele razy. Złapanemu i pozbawionemu zębów wężowi, kiedy zwyczajem swym powstanie dla obrony, kuglarz nadstawia pięść ukrytą w glinianem naczyniu. Wąż, w zamiarze skarcenia napastnika, uderza pyszczkiem o twarde naczynie; z początku, nieświadomy podstępu, od silnego uderzenia krwawi się; lecz przykrą nauką wreszcie zmądrzony, zapędza się tylko jakby dla ukąszenia, posuwa naprzód głowę, i to naturalnie w stronę gdzie kuglarz pięść nadstawiając, przygrywa tymczasem dla złudzenia widza w takt, który ręka zgodnie z muzyką rozmierza. Dobrze więc przypatrzwszy się temu popisowi węża, nie dostrzeżem tam żadnej powolności dla kuglarza; ten sam on objawia obyczaj, jaki zachowywał nim go uwięziono w koszu: z obyczaju tylko zręcznie korzystać umiano, dodając dla złudzenia piszczalkę (1).

Inny ustęp do widowisk takich dołączany zależy na przedstawieniu węża wyprostowanym, nieruchomym. Przez długie przestawanie z węzami doszli kuglarze do tego, że umieją je zrobić nieruchome-

(1) Wyjaśnienie to wspiera P. J. G. Wood w dziele: „The illustrated natural history 1853 r, gdzie pag. 397 mówi: Cobra w ogrodzie zoologicznym londyńskim nabył doświadczenia. Zwykł on być zwinięty leżąc na dnie klatki, dopóki daleka byli zwiedzający. Za zbliżeniem się zaś rzucał się ku widzom i uderzał silnie o szybę klatki głową. Kiedym pierwszy raz zwidzał zagrodę węzów po ich sprowadzeniu, Cobra rzucał się zwykłym sposobem; po tygodniu to samo czynił. Po kilku zaś dopięro miesiącach już leżał spokojnie, mimo zbliżania się człowieka; syczał tylko na znak gniewu.

mi; lecz i tu także nie wymusili na uwięzionym potrzebnego im posłuszeństwa. Aby węża w ten sposób przedstawić, ściskają mu jego wąż czaszkę, a przez to ugniatając mózg, wprawiają go w stan osobliwy nerwowy odrętwienia muszkułów (tetanos). Stan ten zmienia się za przyciśnięciem w pewien sposób ogona, czém Geoffroy (ojciec) wprawil raz w wielki kłopot kuglarza.

Winniśmy jeszcze wspomnieć o powtarzanej bez końca bajce o władzy jaką mają mieć tak okularnik jak i grzechotnik oczarowywania zdobyczy. Niezliczone wzmianki napotkać można w opisach Azji i Ameryki o tém, że oba te węże wywierają samym wzrokiem wpływ jakiś magiczny, wprawiający zdobyczy w rodzaj odrętwienia. To co na dowód przytaczano jest w pewnym względzie prawdziwe; ależ i to niewątpliwa, że rzecz tę przesadzali opisujący, i nie dziwnego że takie przesady za proste zmyślenie wielu stanowczo uważało. Opowiadania te uczyć chciały, jakoby były wypadki iż ludzie słyszeli żalosne jęki ptasząt, a upatrując tego przyczyny, dostrzegli pod drzewem w bliskości z rozwartą paszczą węża, czyhającego na ptaszykę; że ptaszęta na drzewie w rodzaju omdlenia, a nawet konania, same wyrwały sobie pióra; że aby zniszczyć wpływ ten zabójczy węża, dosyć było łaskę przeprowadzić między węzem a ptakiem, przez co rozdzielało się powietrze i wpływ szkodliwy się niszczył.

Czytając podobne wiadomości, jedno z dwojga należy przypuścić: albo że opisujący, dla czynienia opowiadania zajmującym, wprowadził z umysłu dodatki zadziwiające; albo też że nie mając dosyć czasu aby śledzić obyczaje tych zwierząt, przyjął za dobre co mu krajowcy podali.

Jeżeli przyjmować zechcemy opowiadania cudze za rzecz niemylną, gdzież nas to zaprowadzi? Spisane z podania wiadomości, nie wrócą nas w czasy ciemnoty? nie zalegną błędy kart, które prawdę wyświecać i nauczać powinny. Przypuściwszy na przykład że wędrowiec z Azji wschodniej przybyły zamierza opisać gatunki gadów u nas zamieszkałe i zbadać ich obyczaje; niechże, zaniedbawszy sam czynić poszukiwania, poprzestanie na tém co mu wieśniacy, gajowi, myśliwi i t. p. pod otwartym niebem większą część lata przepędzający opowiadać będą, jakże dziwnych nasłucha się rzeczy,

któremi zapewne nie zaniedba za powrotem do domowego zakątka z swojemi się podzielić. Spotkałby się u nas niewątpliwie z historią o żmii z koroną niesłychanej ceny, którą złożyć gotowa w upominku przemysłnemu człowiekowi, na chustce białej rozpostartej w miejscu ulubionego jej pobytu; dowiedziałby się że w pewne dni żmije i węże wyspiewują na drzewach piękniejsze od słowika ustępy; że żmija w pół przegięta na gałęzi rodzi żmijki; że jaszczurki i węże, a nawet padalce, są jadowite; że mają żądła które ustawnie z pyszczka wysuwają; że żmija w czasie niebezpieczeństwa otwiera paszczę młodym żmijkom które się w niej kryją; że żmije parzą się z węgorzami i t. p. wiele (1).

Wracając do wspomnianego u węzów usposobienia jakoby czarującego inne zwierzęta, uważamy że podstawą tej baśni mogła być ta okoliczność, iż węże jadowemi opatrzone zęby, zdobyczy zatrąwszy, wypuszczają z paszczy i czekają aż umrze (2). Zatrute jadem zwierzę rzadko kończy życie zaraz po ukąszeniu, ale żyje parę niekiedy godzin, śmierć zaś poprzedzają różne symptomata, jak konwulsyjne rzucania, trzepotanie i t. p.

Daliej wiadomo ile to razy między zwierzętami rodzice narażają się w obronie dzieci; jeżeli więc okularnik bliżył się do gniazda zajętego przez przyszłe pokolenie, nie dziwnego że może dla odwrócenia go od piskląt matka narażała się, nadstawiając się węzowi; mogło nawet być że wąż już w gnieź-

(1) Dziwna, zaprawdę, że teraz jeszcze można napotkać tego rodzaju opowiadane baśnie; dziwniejsza że takie nedorzeczności nie w samym tułają się opowiadaniu, ale co gorsza w drukiem ogłoszonym piśmie (Treść zoologii przez Feliksa Pawła na Jarocznym Jarockiego. Warszawa 1851 str. 97). Jakiż pożytek z takiego dzieła, które i chyba celu nauczania niewiedomego, i zamiast zbijać przesady, nowe baśnie upowszechnia, nie dowodząc ich, ale powołując się na powagę niezastanawiającego się popółstwa. Nie godzi się ogłaszać takie nedorzeczności człowiekowi z zawodu swego do wyświecania prawdy obowiązany. Jedną tę przy sposobności wytykamy w dziele wspomnianym nedorzeczność, pomijając inne stamtam zamieszczone. Przykro nam, zaprawdę, zamieszczać tę uwagę; ależ pominięcie tyle grubego błędu każdy uznałby nam za przewinienie, za nieusprawiedliwione niczém pobłażanie i niestosowną względność.

(2) W menażeryi paryzkiej postrzeżenia czynione okazały, że wąż okularnik zabija zwierzę, zaszczeplony mu jad, następnie puszcza je i dopiero zmarłym się karmi.

dzie spustoszenie zrobił, a przejęta żalem nad stratą matka krzykiem okazywała wobec rabusia swą boleść. Wszak niektóre zwierzęta i ptaki, jak koty, sowy, jastrzębie i t. p., za ukazaniem się napastowane bywają niekiedy przez całe gromady drobnych ptasząt wydających właściwy krzyk, a w tém zdarzeniu kot, jastrząb lub sowa bynajmniej przecież nie są czarownikami. Nadto zwierzęta na pokarm oddawane węzom tego gatunku, nie okazują żadnych śladów wpływu im przyznawanego. Łatwo bardzo spotkać można obok żmii na wolności drobne zwierzątka, nieokazujące żadnej obawy, i byłoby téż trudno węzom utrzymać się przy życiu, gdyby przedniemi, przy leniwém ich usposobieniu, zwierzęta i ptaki stanowiące ich pokarm przestraszeniem się chroniły. Grzechotnikowi przypisywano tę samą władzę odurzania różnych zwierzątek; wieści o tém roznosili wędrowcy, a te w dalszej posyłce opowiadania zwiększone, zmieszane i tak zmienione zostały, że i grzechotnika i okularnika z wielką innemi o to oczarowywanie powszechnie posądza.

Postrzeżenia nad obyczajami jednego gatunku z posądzanych węzów, wyjaśniają posiłkowo i odpięrają zarzuty drugiemu czynione, za słuszne przeto uważamy przytoczyć czytelnikowi zebrane w tym przedmiocie fakta. Smith Barton, lekarz w północnej Ameryce (1), wyjaśniając okoliczność tę, przywodzi powieści dotyczącej wspomnianego oczarowywania. Mówi on że pospólstwo utrzymuje jakoby wąż grzechotnik czatujący na zdobycz, zwykł leżeć zwinięty pod drzewem na którym znajduje się ptak lub wiewiórka. Zwierzę wtenczas wydaje krzyk, lecz nie czuje w sobie mocy ulecieć, ale zbliżając się coraz więcej do węża przenikającego je wzrokiem, w końcu w pada w jego paszczę. Doświadczenia na obalenie podania przytoczonego czynione wykazały, że owszém przeciwnie tak ptaszek jak wiewiórka grzechotnikom do klatki wpuszczane chroniły się przed napaścią węża. Wpuszczana śnieguła do grzechotnika ani okazywała trwogę, ani wydawała niezwykły głos; owszém przyjmowała podane jęj jado, siadała na wężu i kilka godzin razem z nim w klatce przebyła. Gdyby co Lacepède podawał było prawdziwe, że wąż grzechotnik wydziela za-

(1) Barton memoir concerning the fascinating faculty which has been ascribed the Rattlesnak. Philadelphia 1796.

bijające wyziewy, nie możnaby widzieć go tak łatwo w towarzystwie żab, jaszczurek, aniby ptaszęta wyśpiwywały na drzewie pod którym całe dnię leżał grzechotnik, i wstrzymywałyby się z obawy wykrycia piskląt od dawania im pokarmu.

Do tych postrzeżeń przyłączył Barton jedno nad niejadowitym gatunkiem dusicielem, *coluber constrictor*. Wąż ten zdawał się wielu jedynie wówczas oczarowywać ptaszęta, kiedy te wysiadały jaja lub karmiły pisklęta. Prosty więc ztąd Barton uczynił wniosek, że krzyk i lot niespokojny ptasząt wobec węża, za znaki oczarowania uważane, były tylko oznakami niespokojności dla zagrażającego ich potomstwu niebezpieczeństwa. Jeśli głodem zmuszony wąż wliże na drzewo, melancholiczny głos ptasząt oznacza nie wpływ jakich czarów, ale jedynie tę właśnie obawę o los piskląt. Po opuszczeniu gniazda przez młode pokolenie, nie ustaje czas jakiś jeszcze troskliwość rodziców o los dzieci; jeśli więc ony niewprawne dosyć do lotu, i niemające dosyć siły utrzymać się na gałęzi, spadną na ziemię tuż obok węża, trwoga rodziców napełnia las głosem obawy, przestrogi, ośmiela je aż do narażania się samych na widoczne niebezpieczeństwo. Spuszczają się za pisklętami, myśl o bezpieczeństwie własném wraca je na gałąź; ale miłość rodzicielska sprowadza je znowu na obronę potomstwa, i zapala aż nawet do użycia broni jaką mają ze skrzydeł i dzioba. Uważano raz znaną w Ameryce wilgę (*oriolus phoeniceus* Lin.). Zmiana w jej głosie ostrzegła o osobliwszej okoliczności. Wystraszona z miejsca rzuconym kamieniem, wróciła niebawem, a wkrótce widziano ją dziobiącą grzbiet ukrytego w zarośli węża. W otwieranych bardzo często ciałach grzechotników raz tylko napotkano gatunek łuszczaka (*fringilla erythrophtalma* Lin.) i wiewiórki (*sciurus striatus* Lin.), kiedy zwykłym pokarmem grzechotników są żaby. Czemuz więc wąż, jeśli posiada głoszoną moc czarowania ptaków i wiewiórek, same tylko mięwa w kanale pokarmowym żaby? Nasch Amerykanin podaje zdarzenie którego naocznym był świadkiem (1). Widział on gromadę ptasząt w zarośli wydającą krzyki trwogi; śledząc przyczynę tego, dostrzegł węża w postawie czyhającej na zdobycz. W zajściu

(1) Opis tego zamieszczony w Silliman's American Journal, Jun. 1827.

tém ptaszęta to podlatywały, to spadały na ziemię, a skokami, rozpuściwszy ogon i skrzydła, zdały się nacięrać na węża, aby go zmusiły do oddalenia się z miejsca ich pobytu. Ruchy ptasząt były dobrowolne, i nie można było dostrzedz żadnego przymusowego wpływu.

Wszystkie te fakta, poświadczone przez znakomitych naturalistów, dowodzą dostatecznie, że wia-

ra w jakąś władzę czarodziejską węzów grzechotników i okularników jest przesadną, a popiérają zdanie powyżej przez nas wyrażone, ile ostrożnym być trzeba w przyjmowaniu podobnych baśni, opartych co najczęściej tylko na ustnych podaniach ludzi żadnego o prawach ogólnych przyrody i jēj badaniu niemających pojęcia.

Ks. Józef Wyszyński.

OBRAZY AMERYKI.

R Z É K A A M A Z O N E K.

Najpiérwszym z Europejczyków który się zapuścił na rzekę Amazonek był Wincenty Pinzon, ten sam co w słynnej wyprawie Kolumba dowodził okrętem *la Nina*. W sześć lat po odkryciu Ameryki, Pinzon, pragnąc się wslawić własnymi czynami, otrzymał od rządu hiszpańskiego oddzielne polecenie udania się na wyprawę, której celem było odkrycie nowych krajów. W początkach grudnia 1499 r., mając cztery małe okręty, rozwinął on żagle z tego samego portu Palos, z którego Kolumb wypłynął, ażeby niewdzięczną Hiszpanią obdarzyć nowym światem. Dwudziestego stycznia 1500 r., po trudnej żegludze, która umysły jego majtków natchnęła przesadną bojaźnią, Pinzon odkrył pod 8 stopniem szerokości południowej rozległą ziemię, i nazwał ją *Santa Maria de la Consolacion*. Była to Brazylia, której odkrycie niesłusznie przypisują Portugalczykowi Alvarez'owi Cabral. Od przylądka św. Augustyna Pinzon płynął wzdłuż wybrzeża ku północy, i natrafił na niezmierną przestrzeń wody słodkiej: było to ujście rzeki Amazonki. Ztamtąd posunął się do Orenoki, a następnie wrócił do Hiszpanii z tém przekonaniem, że zwiędził Indye skrapiane przez Ganges i że dotarł aż poza wielkie miasto Cathay. Z wyprawy swojej Pinzon przywiózł mnóstwo nadzwyczajnych zwierząt i płodów, między innemi zwierzę które, jak powiadają, miało przednią część ciała lisa, tylną małpy, uszy zaś nietoperza. Po tém odkryciu nieraz kuszone się o zwiędzenie rzeki Amazonek, lecz wszystkie usiłowania

przez dość długi przeciąg czasu pozostały bez skutku.

Około roku 1541 Gonzalw Pizarro, usłyszawszy o okolicy leżącej na wschód Peru, w której się miało znajdować mnóstwo drogich płodów i roślin, postanowił nią zawładnąć. Wyruszył więc z Quito w 200 ludzi piechoty, sto koni i 400 Indyan. Uszedłszy zaledwie mil (franc.) 30, wyprawa znalazła się w okolicy pozbawionej wszelkiej żywności, dręczone pragnieniem, głodem i przerażona straszliwem trzęsieniem ziemi. W tak przykrém położeniu Franciszek de Orellana dostarczył jēj nieco zapasów i posiłków. Pizar wyruszył w dalszą drogę, lecz wkrótce jego mała armia znowu została wystawioną na teź same cierpienia. W ciągu tēj nieszczęśliwej wyprawy wielu Hiszpanów pomarło z głodu; Indyanie również marli lub oddalali się kryjomo. Nieustraszony Pizar nieinaczěj mógł podtrzymać odwagę najśmielszych swoich towarzyszków, jak mówiąc im o cudnych krajach, gdzie wkrótce mieli znaleźć wspaniałą nagrodę swych trudów. Lecz te urojone kraje zdawały się przed niemi uciekać, i jak zwodnicze widziadło znikać z przed ich oczu.

Postępując ciągle ku wschodowi, Pizar z prowincyi Zumaco dotarł do rzeki która w jednem miejscu tworzyła wodospad sześćset stóp wysoki. Zrobiwszy z 50 mil nad jēj brzegiem, dosięgnął on miejsca w którym rzeka ta była tak wązka, że ją można było przejść po rzuconym moście. Hiszpa-

nie znajdowali się wtedy na gruncie niskim, bagnistym, zarosłym gęstym lasem, który co chwila utrudniał im pochód. Za żywność mieli już tylko dzikie owoce, a w którąbądź stronę rzucili niespokojnym wzrokiem, wszędzie widzieli tylko pustą i dziką przestrzeń. Wracać do Quito, było to ciężkie zadanie, co więcej było to wyrzec się przedsięwzięcia, które swym celem podniecało dumę Pizara i stanowiło jedyną pociechę dla jego towarzyszków. Uradzono więc iść naprzód. Dla ulżenia żołnierzom w pochodzie, Pizar kazał zbudować statek, mający nieść bagaże i chorych, i płynąć z wodą aż do napotkania jakiej wioski indyjskiej. Nad budową jego wszyscy z zapalem pracowali, gdyż to był jedyny środek ocalenia. Gumma otrzymana z różnego rodzaju drzew zastąpiła smołę, a zużyta bielizna Hiszpanów pozatykano szpary statku. Romans Daniela de Foe jest bez wątpienia jednym z najdramatyczniejszych i najbardziej zajmujących opowiadań; lecz zebrawszy rzeczywiste przygody podróżników w różnych miejscach kuli ziemskiej, na niezmiernych równinach nowego świata i w lodowatych okolicach północy, możnaby z tych rzeczywistych wypadków napisać dzieło daleko dziwniejsze i niepodobniejsze do prawdy niż przypadki Robinsona.

Skoro statek został spuszczonej na wodę, Pizar, nową ukrzepiony nadzieją, uszedł nad brzegiem jeszcze mil dwieście; ale im więcej się zapuszczał w głąb tej dzikiej krainy, tém bardziej zmniejszały się środki żywności. Korzonki i owoce, prawie jedyne pożywienie jego zgłodniałych żołnierzów, z każdą chwilą stawały się rzadszemi. Zmuszony nowe powziąć postanowienie, Pizar kazał Orellanowi wsiąść z 50 ludźmi na statek i udać się za wyszukaniem zapasów żywności, a skoro je odkryje powrócić i cały ładunek złożyć w miejscu, gdzie podług wiadomości zebranych u Indyan łączyły się z sobą dwie wielkie odnogi rzeki.

Po kilkodniowej żegludze, Orellana rzeczywiście znalazł wzmiankowane miejsce, które, jak się domyślać należy, było zbiegiem rzeki Napo z głównym korytem Maragnonu; lecz nie znalazł ani jednej wioski, ani kawałka uprawnego pola, i zdjęty rozpaczą popłynął dalej. Przybywszy do umówionego punktu spotkania, i niewidząc ani ludzi ani statku, Pizar uczuł całą okropność swojego położenia. Znajdował się on o 400 mil od Quito, wśród

okolicy spieklęj, lesistęj, bez przewodnika i żywności. Trzeba więc było wyrzec się zdobywczych zamiarów, sławy i złotych marzeń, które dotąd czarowały jego wyobraźnię. Aby uniknąć pogrzebienia żywcem w tych posępnych lasach, musiano powrócić drogą przebytą z takim trudem, i to jeszcze z myślą upokarzającą, że się przedsięwzięcie nie udało. To było najstraszliwszym ciosem dla ludzi owej epoki, dla zuchwałego i dumnego Pizara. A jednak nie było innego środka ocalenia, i Pizar cofnął się napowrót. Żołnierze jego, pozjadawszy konie i psy, zmuszeni byli zjeść skórę ze siodeł i ładownic, następnie zaś rzucić się do roślin i płazów, co się gdzie dało pochwycić. Wreszcie Pizar, doznawszy niesłychanych cierpień, powrócił do Peru. W tej straszliwej podróży spędził on dwa lata, a z 4,300 ludzi co z nim wyruszyli, zaledwie ośmdziesięciu przyprowadził napowrót.

Tymczasem Orellana płynął z biegiem rzeki którą się był puścił. Bądź że chęć przyswojenia sobie sławy odkrycia skłoniła go do nieposłuszeństwa rozkazom wodza, bądź że nie będąc w możności udzielić mu pomocy osądził roztropniejszym niewracać napowrót, puścił się on na oślep z pędem rzeki i dosięgnął jej ujścia. W miesiącu sierpniu 1541 r., wylądowawszy w kolonii Cubagua, uzbroił okręt, popłynął do Hiszpanii i tam opowiedział bajeczną historją swojej podróży. Pomiedzy innymi nadzwyczajnymi rzeczami, które miał widzieć na własne oczy, było pokolenie wojowniczych kobiet, pokolenie amazonek, zamieszkujące jeden z brzegów zwidzonej przezeń rzeki. I ztąd pochodzi nazwisko rzeki amazonek, nadane temu niezmiernemu prądowi wody, który dawniej nosił nazwę Maragnonu. Dzięki napuszonym opowiadaniom, Orellana z łatwością otrzymał środki powrócenia w płodne i wspaniałe okolice, jak utrzymywał przez niego odkryte; ale przybywszy na miejsce, niezadługo umarł, a kolonia którą zaczął zakładać wkrótce się rozpięchła.

Oto jest krótki opis piérwszej podróży po tej rzecie, której wały przeryniają teraz grzbiety paproływów. Z wycieczki awanturniczego Orellany pozostały tylko fantastyczne opowieści i wznowie nie starożytnęj baśni o amazonkach, stwierdzonej w następstwie czasu nawet przez mężów poważniejszych.

W roku 1615 Portugalczycy zapoznali się bliżej z tą rzeką i przy jej ujściu założyli miasto Para.

W r. 1637 dwaj pobożni apostołowie ewangelii, jakich zawsze napotkać można w przedsięwzięciach wymagających odwagi i poświęcenia, dwaj zakonnicy franciszkanie, uniesieni żądzą opowiadania wiary Chrystusowej dzikim pokoleniom Indian, na wątlej łódce puścili się z biegiem rzeki Amazonek do Pary, gdzie ich namowy skłoniły gubernatora do wysłania wyprawy oddawna przezzeń ułożonej. Tą razą nieszło już o płynięcie z pędem tej wspaniałej rzeki, lecz o walczenie przeciw jej pędowi, celem udania się w górę aż do miasta Quito. Co można było zrobić, to zrobiono dla zapewnienia pomyslnego skutku tej ważnej wyprawy. Cztérdzieści siedm statków rozmaitej wielkości naładowano bronią i żywnością, a dwustu Indian i siedmdziesięciu żołnierzy portugalskich składało ich osadę. Don Pedro Texeira, mianowany dowódcą tej floty, odplynął 28 września 1637 r., i dzielnie wywiązawszy się ze swego posłannictwa, z zapalem został przyjęty przez mieszkańców Quito.

Na wieść o tej szczęśliwej wyprawie, która Hiszpanią obdarzyła nowym krajem, przemysłowcom odkryła obszérne pole działania, a kościołowi niwę do rozszerzania słowa bożego, rząd miasta Limy zapatrzył jenerała Texeira we wszystko co mu tylko było potrzebném dla powrotu tą samą drogą do Brazylii, i prosił go ażeby zabrał z sobą dwóch Hiszpanów, aby ci mogli królowi zdać rachunek ze wszystkiego coby widzieli w drodze. Jednym z nich był ojciec Andrzej d'Artieda professor teologii, drugim ojciec Krzysztof d'Acuna, któremu winni jesteśmy ciekawy i pełen życia opis tej wspaniałej wyprawy.

„Rzeka Amazonek, powiada on, większa niż Ganges, Nil i Eufrat, z bogaca kraj który skrapia. Nad jej brzegami mieszka więcej jak 150 rozmaitych pokoleń. Gdyby ci dzicy pomagali naturze pracą, ziemia ich byłaby jednym wielkim ogrodem, pełnym owoców i kwiatów, byłaby rajem ziemskim. Wylewy rzeki użyźniają kraj, i to nie na rok, jak wylewy Nilu, lecz na lat kilka. Głębiny tej rzeki zamieszkane są przez niezliczone mnóstwo ryb, nadbrzeżne lasy pełne zwierzyny różnego rodzaju, a powietrze tysiącami ożywione ptaków; wnętrzości ziemi zawierają drogie kruszce i kamienie,

wreszcie mieszkańcy tych okolic są piękni, silnie zbudowani, zręczni i pojętni.“

Opis ten dziwną tworzy sprzeczność z opowiadaniem o wyprawie Pizara. Musimy przypuścić że cierpienia walecznego Hiszpana były skutkiem szczególnego zbiegu okoliczności, fałszywego kierunku drogi którą się udał, lub jakiej inniej niewiadomej przyczyny, gdyż oprócz trochę przesadzonego opisu i podziwu może zbyt wygórowanego, opis ojca d'Acuna niewiele oddala się od prawdy.

Przez całą drogę szanowny zakonnik czyni spostrzeżenia nad rozmaitemi pokoleniami mieszkającymi po brzegach rzeki, maluje ich fizyognomią, obyczaje i wyobrażenia religijne. Sam on nie widział Amazonek, lecz wiadomości zebrane w różnych okolicach nie pozwalają mu wątpić o ich istnieniu. Wié że mieszkaniem tych kobiet są nader wysokie góry, z których najwyższa zowie się Yacamiba. W pewnym czasie odwiedzają je mężczyźni z pokolenia Guakarów. Amazonki, obawiając się podstępu, oczekują ich ze strzałami na cięciwach, lecz poznawszy znajomych, tłumnie rzucają się do ich łodzi. Każda chwyta hamak który jej wpadnie w ręce, a zawiesiwszy go przed swoją chatą, przyjmuje u siebie jego właściciela. Po kilkodniowym pobycie, goście powracają do domu. Dziewczęta urodzone z tych związków wprawiane bywają do robienia bronią, chłopców zaś natychmiast zabijają lub odsyłają ojcom.

W sto lat po ojcu d'Acuna, La Condamine, który przepłynął cały Maragnon aż do jego ujścia, starał się powziąć wiadomości o tych wojowniczych kobietach, tyle razy wzmiankowanych przez dawniejszych podróżników. Wszystkie szczegóły zebrane w tym względzie przez niego zupełnie się zgadzały z opisami tamtych. Indianie nie wątpili o istnieniu Amazonek, wskazywali okolicę przez nie zamieszkaną, i w rozmaitych narzeczach dawali im nazwy które wszędzie znaczyły: kobiety bez mężów. Polegając na tych świadectwach, uczony akademik bardzo był skłonny do wierzenia w rzeczywistość bytu Amazonek amerykańskich, przypuszczał tylko że ony za jego czasów już nie istniały.

Z tych to opowiadań La Condamine'a, z uczonych jego spostrzeżeń i z mapy którą sam skreślił na miejscu mamy dokładną wiadomość o długości, głębokości, o wodach wpadających do tej wspaniałej rzeki, która płynąc z zachodu na wschód,

przerzyna stały ląd Ameryki południowej i rzeczywistość jest jedną z największych na całej kuli ziemskiej.

Rozbierzmy teraz opowiadanie jednego z ostatnich podróżników który płynął w górę rzeki Amazonki, pana A. Edwards, b. konsula Stanów Zjednoczonych w Buenos Ayres.

Wiedziony poetyczną żądzą zwidzenia nowych krajów, poznania nowych ludów, pan Edwards w swych marzeniach turysty może nawet niepomyślał o tém, że zajmie miejsce pośród nowoczesnych pisarzy o Ameryce, a jednak opowiadając wrażenia każdodziennie, szkicując śmiałą ręką to zarysy obyczajów, to widoki natury, napisał dzieło w którym co karta błyszczą najcudowniejsze obrazy. W miesiącu lutym 1840 r. opuścił on przystań Nowego Yorku, silnie wtedy wzburzoną; lecz blisko równika znalazł morze przezroczyste i błyszczące, którego każda fala świeciła blaskiem słonecznym, każdy bałwan zdawał się płomieniem, każda kropla wody gwiazdą, na którym okręt zostawiał za sobą długi ślad fosforycznie iskrzącego światła.

Po 20 dniowej żegludze podróżni przybyli do ujścia rzeki Amazonki w bliskości wyspy Salinas, a wieczorem rzucili kotwicę pomiędzy dwiema ławami, przedmiotem obawy sterników. Nazajutrz rano rozpuszczają żagle i kierują się ku miastu Parra. Tu i owdzie na tej ogromnej wód przestrzeni ukazują się wyspy, pokryte całym blaskiem zwrotnikowej przyrody. Wysokie drzewa sterczą na nich jak wieże kościołów; szerokie liście palmowe kołyszą się z powiewem wiatru, a żywa zieloność łączy się z kwieciem jak śnieg białym lub kraśnym jak purpura. Krzyki papug i tukanów zdają się witać podróżnych. Po jednej i po drugiej stronie, pośród wąskich polanek, widać chaty Indyan, podobne do stogów siana. Wiele z nich zbudowanych jest z kamieni pokrytych liśćmi palmowemi, a niektóre, otoczone żywopłotem, kępami bananów i kokosów, rozkoszny tworzą widok.

O 20 mil od Pary cały kanał pokryty jest mnóstwem zielonych przesłicznych wysepek. Miasto leży nad małą zatoką, gdzie z wszelkiem bezpieczeństwem można zarzucić kotwicę. Cała ta zatoka ożywiona jest okrętami wszystkich narodów i ciężkimi niezgrabnymi statkami przeznaczonymi jedynie do żeglugi po rzece. Są one pokryte dachem liścianym, dającym schronienie całej rodzinie, a na

tém pokryciu mnóstwo zielonych papug nieustannie nad głowami mieszkańców rozwodzi wrzawę.

Wokoło przystani ciągną się to domy miasta na trzy lub cztery piętra wysokie, wytwornej budowy, pomalowane na żółto i pokryte czerwoną dachówką, to ogrody których mury osłonięte są mnóstwem pnących się roślin, to kościoły zczernione wpływem czasu. Mamy święto uroczyste. Dzwony dzwonią, race pękają w powietrzu, z kościoła św. Antoniego wychodzi processya i pod okiem widzów, stojących we drzwiach domów i wychylających się z okien i balkonów, rozléwa się na ulicę zwaną *Caldeira*. Oddział żołnierzy zaczyna pochód, za nimi postępują bractwa pokutników okrytych długimi oponami, z cierniową koroną na głowach. Na czele ich powiewa olbrzymia chorągiew, a niosący ją zmieniają się kolejno. Dalej następują zakonnicy z ogolonemi głowami, i księża świeccy w czarnych sutanach; dalej śliczne dzieci, z wesółych twarzy, białych sukienek i wieńców podobne do aniołów. Wkrótce ukazują się kapłani niosący monstrancyą. Na jej widok tłumy odkrywają głowy i padają na kolana. Processyą zamyka drugi oddział żołnierzy, za którymi postępuje mnóstwo kobiet indyjskich, strojnych w złote ozdoby; pośród nich widać młode dziewczęta, odznaczające się pięknnością rysów, delikatnością kształtów, blaskiem czarnych oczu i długimi spadającymi na ramiona włosami.

Prawdziwe nazwisko tej stolicy północnej Brazylii jest Belem lub Betleem, tak bowiem nazwał ją *Caldeira*, powodowany uczuciem religijnym. Z upływem czasu miasto przybrało nic niewyrażające nazwisko rzeki której ujścia strzeże. Jednakże Matka Boska betleemska zawsze jest jego patronką.

Nie będziemy opowiadać wszystkich wypadków które tu miały miejsce od czasu jak *Caldeira* zatknął na tej ziemi godło zbawienia. Najświętszym z nich i najważniejszym, z powodu zaburzeń jakie sprawił w całej Brazylii, jest powstanie z r. 1835. Prezydent prowincyi i wiele znakomitych osób zostało zamordowanych. Miasto wpadło w moc rokoszan; większa część jego mieszkańców uciekła i schroniła się już do Portugalii, już do Stanów Zjednoczonych lub Anglii. Powstańcy opanowali całą prowincyą, złupili miasta, zagrabili trzody, lecz wkrótce osłabli przez niezgody wewnętrzne.

Po 18 miesiącach anarchii, prezydent André przybył z Rio Janeiro z dostatecznymi siłami, i nie bez trudności zdołał opanować miasto Para. Inne miasta kolejno się poddały. Nieszczęsne to zaburzenie taki na umysły rzuciło postrach, że dziesięć lat pokoju nie zdołały go w zupełności zatrzeć,

Władza wykonawcza prowincyi znajduje się w ręku prezydenta i trzech wice-prezydentów. Deputowani od ludu zbierają się w pewnych epokach do Pary i roztrząsają interesa różnych okręgów. Zakres ich władzy rozciąga się aż do stanowienia podatków i opłat, lecz czynności te potrzebują potwierdzenia cesarza. Sędziowie okręgowi, pełniący zarazem obowiązki naczelników policyi, mianowani bywają w Rio; tylko sędziów pokoju zwykle sam naród wybiera.

Religia katolicka jest panującą w całym kraju, lecz i inne wyznanie są cierpiane. Dotychczas jednak, przynajmniej w mieście Para, nie korzystano nawet z tej tolerancyi, gdyż jedyną religią tu wyznawaną jest katolicka.

Burzliwy charakter ludu zmusza rząd do utrzymywania znakomitej siły wojennej. Co rano wojsko odbywa paradę na *Largo da Palacio* aż do 8 godziny; następnie przy odgłosie muzyki odbywa pochód najglówniejszą ulicą miasta. Prócz tego należy ono do wszystkich uroczystości publicznych, do wszystkich processyj kościelnych, i powierzona mu jest policya miasta tudzież warty dzienne i nocne. Tylko w jedną niedzielę używa ono wypoczynku, a wtedy pełni jego służbę gwardya narodowa, składająca się częścią z Brazylijczyków, częścią z dziwacznej miesznaniny Indyan i ludzi rozmaitych pokoleń, czerwonej, żółtej lub oliwkowej barwy.

Miasto Para zajmuje przestrzeń nieodpowiednią liczbie swych mieszkańców. Domy są odosobnione, otoczone ogrodami i zamieszkane rzadko więcej jak przez jedną rodzinę. Wesole te mieszkania nazywają się *rosinas*. Mieszkańcy ich mają tam wszystkie wygody miasta, połączone z przyjemnościami wiejskimi. Zbudowane są z małych kamieni, spojonych szczelnie balkiem, i taki mają rozkład że łatwo je przewietrzać. Wzdłuż okien górnych piątr ciągną się żelazne balkony, na których mieszkańcy Pary przepędzają większą część dnia w bezczynności.

W rozmaitych stronach miasta znajdują się pla-

ce publiczne zwane *largos*. Największym z nich jest „pałacowy“ *Largo da Palacio*. Tu i owdzie wznoszą się gmachy publiczne, których wielką ilość i ogromne rozmiary z zadziwieniem widzimy w mieście mającém tylko 16,000 ludności. Zdaje się że ony zostały zbudowane w nadziei pomyslniejszych czasów, gdy miasto Para spodziewało się zostać miejscem składowém wielkiego handlu. Już w r. 1685, gdy jego ludność nie przewyższała liczby 500 głów, była tu katedra, kollegium jezuitów, franciszkanów, karmelitów, dwa kościoły, kaplica i szpital. Kollegium jezuitów przerobione zostało na seminaryum, a klasztory zmieniły także pierwotne swoje przeznaczenie; jeden został pałacem rządowym, w drugim pomieszczono komorę, a w trzecim arsenał.

Oberż nie znają tu wcale. Krajowcy i cudzoziemcy po przybyciu udają się do swoich przyjaciół lub osób do których mają listy polecające i zawsze bywają przyjęci nader gościnnie.

Stan miejski składa się z Brazylijczyków i Portugalczyków, odznaczających się zwykle dobrém wychowaniem, pojętym umysłem i nadzwyczajną grzecznością. Pomiedzy gminem znajdują się także Portugalczycy i wielka liczba Żydów, którzy jak wszędzie tak i tu utrzymują się z handlu.

Rzemiosłami zajmują się po większej części Portugalczycy. Brak wszelkich sposobów sztucznych czynitupracę daleko dłuższą i trudniejszą niż w Europie, choć go robotnik w części zastępuje cierpliwością i rzadkiem wytrwaniem.

W mieście Para nie używają ani koni ani powozów. Wszystkie ciężary wielkie i małe przenoszone bywają na głowie. Dwa oddziały Murzynów, regularnie uorganizowane, skuteczniają w ten sposób ładowanie i wyładowanie okrętów. Indyanki również noszą po ulicach naczynia ze świeżą wodą, żywność wszelkiego rodzaju i ciastka robione delikatnemł rączkami swych pań, które sprzedają na ich korzyść.

Zwyklém pożywieniem niższej klasy ludności jest ryba solona i mąka z manioku. Maniok jest to roślina znana przez botaników pod nazwiskiem *jatropha manihot, kassawa* Indyj zachodnich. Łodygi jej wątłe i lekkie składają się z wielu pręcików, które rozdzielone i zasadzone w ziemię wypuszczają korzenie i rozrastają się. Dobrze dojrzałe i włożone pod prassę wydają sok lotny, silną podobno

stanowiący truciznę. Sok ten, wysuszony w żelaznych rondelkach, daje mąkę koloru brunatnego, z której krajowcy chleb wypiekają. Tapioka, służąca za przyprawę do naszych zup europejskich, pochodzi również z tej rośliny. Jest to osad tego samego soku.

Najglówniejszymi zaletami miasta Pary są: jego miły i zdrowy klimat, niebo bezchmurne odbijające się w szerokiej rzęce i płody wszelkiego rodzaju, zadziwiające różnaitością i powabem. Tu w ogrodach *rosiny*, pod zielonemi gałęziami drzew pomarańczowych, pośród złoconych ananasów, męczennica (*passiflora*) otwiera swój wspaniały kielich; tam u stóp tęznego kokosu mieszają się lekkie łodygi krzewu kawy, szerokolistne banany, kaktusy z pokręconemi łodygami i palmy na wytwornym wierzchołku kolorowemi wieńcami gronami.

O kilkanaście mil od Pary znajduje się rodzaj lasu dziewiczego, którego poetyczny opis przytacza nasz podróżnik. Tam, podług słów jego, wznoszą się drzewa trudnej do uwierzenia grubości i tak wyniosłe, że ptak żartuje sobie na nich z pocisków myśliwca. Wokoło tych pniów olbrzymich okręcają się rośliny podobne do gałązek winokrzewu, a puąc się z gałęzi na gałąź, z jednego drzewa na drugie, zwieszają się do ziemi, zapuszczają w nią korzenie i znowu czolgają się w górę. Tym sposobem cały las tworzy ogromną sieć, i niepodobna prawie ściąć pojedynczego drzewa, nie uszkodziwszy zarazem innych. Liany łączące je z sobą mają giętkość i siłę sznura. Na tych odwiecznych pniach utrzymuje się mnóstwo roślin pasożytnych; jedne z nich podobne są do lilij, drugie należą do rodziny trawiastych.

Przy końcu pory deszczów rośliny te kwitną, a kwiat ich, łącząc się z mchem i liśćmi drzew, tworzy widok trudny do opisania. W epoce tej las nowym jaśniejącym blaskiem wydaje się jak świątynia obwieszona wonnemi festonami. Gromady zwierząt i ptaków ożywiają tę obszerną pustynię. Małpa igrając czepia się giętkich lianów; *koati* (1) skacze po ziemi zasłanej liśćmi; zwierzątko *anguti* (2) tu i owdzie szybko przebiegają; leniwiec drapie się na wierzchołki, gdzie go nic nie poruszy

w jego bezwładnej nieczynności, a młody jelonek pędem strzały przebiega samotne polanki.

Ze wszech stron przelatują jasnobarwne ptaki. *Trogon* siedzący w gniazdku żałośnie woła na swą samicę; *motmot* dźwięcznym głosem powtarza dwie zgłoski od których nadano mu nazwisko; *tukany* z wierzchołka drzew owocowych wydają smutny odgłos *tukano, tukano*; żwawy i wesoły pelzacz przeskakuje z gałęzi na gałąź, a od czasu do czasu zatrzymuje się i spogląda na przechodnia; gdzieś tam słychać wołanie drozdów; tam znów papugi mieszają szczebiotania ze śmiechem; tu przelatują gołębie z prądkowatemi pierściami i bażanty różnego gatunku. Pośród tego powietrznego świata oko ludzkie z przyjemnością ściga najłżejszego i najpiękniejszego z ptaków, kolibra, zwanego w Brazylii *pocalunkiem kwiatów*. To błyszczy w powietrzu jak brylant, to nurza się w wonnym kielichu kwiatu, to gniewnie napada na pszczołkę wdzierającą się w jego państwo. Tu i owdzie motyle szerokości dłoni ludzkiej rozpościerają pośród gromady błyszczących owadów swe skrzydła metalowego połysku. Na piasku bojaźliwa jaszczurka z szyją złotawo-zieloną przesuwają się pośród mrówek bezustannie zajętych swą pracą.

Wieczorem po tej hałaśliwej scenie następuje inna, pełna czarodziejskiego uroku. Kwiaty, rozwinięte w blasku słońca, zamykają swe kielichy i zdają się usypiać snem miłości; śpiewy i krzyki ustają, lecz szmer łagodny wciąż brzmi w powietrzu. Miriady istot, które rano tak wesoło biegały, skakały, latały, teraz zasypiają w trawie lub pod liściem, a w ich miejsce tysiące innych budzą się i zaczynają swe życie. Ogromne ćmy rzadkiej piękności zastępują motyle dzienne; *lampiry* rozpoczynają swój taniec płomienisty. Nagle ukazuje się światło błyszczące i szybkie jak połysk meteoru: to owad latarnik. Jednocześnie ptak nocy rozciąga swoje skrzydła, *armadilla* wychodzi z kryjówki za zdobyczą, *opossum* drapie się na drzewa, a mrówkojad nielitościwie rozpoczyna swe dzieło zniszczenia. Mrówkojad (*anteater*) jest zaciętym prześladowcą pewnego rodzaju mrówek, które zwykle osiadają na drzewie pomiędzy połączeniem dwóch gałęzi. Odkrywszy takie gniazdo, mrówkojad okręca swój ogon o najbliższą gałąź, za pomocą ostrych szponów robi szeroki otwór w wątlém mieszkaniu swych

(1) Zwierzę wielkości kota.

(2) Rodzaj myszy amerykańskiej.

ofiar, a potem zagłębia weń swój pyszczek i długie lepki języczek. Biędne stworzenia, tak pochwycone w swém schronieniu, nie mają żadnego środka ratunku. Mrówkojad nie przebacza ani jednej, i wszystkie pożera. Żarłoctwo jego jest jednym ze środków zaradczych jakie natura zawsze umieszcza obok złego. Mrówki w tym kraju są plagą, którą porównać można tylko z szarańczą egipską; dostawszy się do ogrodu, częstokroć w przeciągu jednej nocy objadają najpiękniejsze drzewa.

W miesiącu maju p. Edwards najmuje galiotę trzydzieści stóp długą a sześć szeroką, wybiera sternika, dwunastu wioslarzy, przysposabia zapas cukru, kawy, wina, soli i rozpoczyna wyprawę po rzecę Amazonek.

Wspaniały ten obszar wody nietyle jeszcze nosi śladów przemysłu co rzeki Ameryki północnej; inżynier nie wyciągnął jeszcze na jej brzegach żelaznej drogi; statki ładowne towarami nie przerzynają jej nurtów; poczty, obszerne magazyny, hotele pełne podróżnych, nie odbijają się w jej falach. Gdziekolwiek tylko ukazują się to małe, nieznaczące portugalskie miściny, to kilka chat dzikich Indyan, resztek licznych pokoleń, rozproszonych lub zniszczonych przez zabory Europejczyków. Pośród ruchu handlowego, przemysłowego i rolniczego, którego nie wstrzymują ani stepy ani pustynie, który wszędzie zmienia postać zawładniętej przez się ziemi, rzeka Amazonek zachowała jeszcze całą piękność pierwotną, i jak władczyni niezmiernego państwa, zgromadzając w swym szybkim biegu wszystkie rzeki, wszystkie potoki gór, które łączą się z nią jak lennicy, idzie w tysiącmilowej odległości połączyć swe nurty z głębiami oceanu.

Niech ci, których wyobraźnia unosi się na myśl o naturze dziewiczej, którzy pragną widzieć dzieło przyrody nieskalane ręką ludzką, niech mówią spieszą nasycić się tym widokiem, — bo przyjdzie dzień gdy on zniknie pod działaniem prozaicznego przemysłu, który grozi światu przeistoczeniem go w sieć kolei żelaznych i linii statków parowych. Przyjdzie dzień gdy topór drwala powali te odwieczne drzewa okrywające cieniem swych gałęzi brzegi starożytnego Maragnonu; gdy geometra zniweluje wyniosłości jego brzegów; kilka tonnów bawełny strzelniczej rozsada skały wodospadów, czynny

John Bull lub awanturniczy Yankee zapelni te wyspy sklepami szynkowemi, a żegluga na rzecę Amazonek zostanie urządzoną w dniach stałych, podług cen ogłoszonych w *Livret Chaix* i doniesieniach *Lloyd'u*.

W oczekiwaniu tej nieszczęsnej reformy, którą ekonomici zowią błogosławieństwem, p. Edwards płynął w górę rzeki bardzo wolno i z wielkim trudem, lecz zachowując swobodę turysty zajmującego się każdym wypadkiem, każdym nowym widokiem i przyjmującego z spokojną filozofią małe nieprzyjemności podróży.

W dwa dni po rozpoczęciu wyprawy wpłynął na Tokantin, jedną z największych rzek wpadających do Maragnonu. Rzeka ta ma szerokość zatoki morskiej; powierzchnia jej okryta jest zielonemi wysepkami. Mnóstwo miast handlowych wznosi się nad brzegami Tokantin'u, między innemi Kameta, które samo jedno oparło się powstaniu roku 1835. Na horyzoncie widać góry bardzo wysokie, drzewa kąpiące swe korzenie w falach rzeki ożywają czerwone i białe papugi, tudzież mnóstwo innych ptaków znanych tylko w tej okolicy.

Dalżej nieco leży miasteczko Gurupa, liczące tylko kilkaset mieszkańców. Głównym przedmiotem jego handlu jest salsaparilla. Tu zamiast drzew palmowych, rosnących na południowym brzegu rzeki, wznoszą się krzewy bawełniane niesłychanej wysokości i rodzaj drzew które dla koloru swój kory otrzymały nazwisko *drzew-mulatów*.

Po mieście Para najznakomitszym z grodów Brazylii północnej jest miasto Santarem, noszące nazwisko wslawione za naszych czasów przez szlachetnego i uczonego Portugalczyka. Ma ono piękny kościół, fortecę zbudowaną silnie i w dobrém położeniu i około 4000 mieszkańców. Przyległe pola są bardzo żyzne i służą za pastwisko licznym trzodom bydła. Jeżeli żegluga parowa, mówi pan Edwards, zostanie zaprowadzoną na Maragnonie, Santarem będzie miejscem bardzo handlowym. Pomiedzy tém miastem i Gurupą rzeka ma 12 do 15 mil francuzkich szerokości. Od obydwóch tych miast, na przestrzeni 600 mil francuzkich, oficerowie brygu francuzkiego który zwidzał przed niejakim czasem te okolice, naliczyli 1200 wysp; prawda że niektóre z nich bardzo są małe, lecz inne dość obszerne i dogodne dla kolonizacyi.

W około Santarem grunta na kilkaset mil kwadratowych zajęte są przez plantacye kakao. Kakao zwykle miéwa 15 do 20 stóp wysokości, a odznacza się szarawą barwą swych liści. Łodygi jego zasadzane bywają o 12 stóp jedna od drugiej; od upału słonecznego dają im zaslonę szerokie liście bananu. Po upływie trzech lat nie wymagają już te plantacye żadnego starania. Owoc ich ma kształt ostrokągowy, 18 cali długi a 5 szeroki. Z początku bywa on barwy jasno-czarnej, potem ciemno-żółtej, zawiera miękisz biały i kwaśny, oraz 30 do 40 ziarn wązkich i płaskich. Te to ziarna znane są w handlu pod nazwiskiem kakao. Dojrzałe owoce zbierają na kupy, starannie oddzielają ziarna od okrywającego je miękisza i wysyłają do Pary. Prześliczna to rzecz plantacya kakao; corocznie bowiem wydaje dwa obfite zbiory. Ukończywszy zbiór, właściciel może już spokojnie kołysać się w hamaku, oczekując na drugi; śpiąc robi on majątek.

Okolo Rio Negro zamiast kakao uprawiają tytuń. Roślina ta jest tu w najlepszym gatunku. Wysyłają ją za granicę w długich zwitkach, ozdobionych przez Indyan różnobarwnymi piórami. Wszyscy krajowcy, mężczyźni i kobiety, palą tytuń z glinianych fajek, osadzonych na cybuchach trzy do czterech stóp długich.

Tak więc wybrzeża Maragnonu co chwila przedstawiają inny widok: to żyzne równiny, to górzyste bogate w kruszcze okolice. Tu rzeka rozléwa się szeroko jak pyszne jezioro, tam ściśnięta pomiędzy dwoma skalistemi wałami, a wody jej uwięzione w tém wązkim łożysku mają sto stóp głębokości. Niebo rozciągające się nad tą cudną okolicą jest niebiesko-lazurowe, głębokie, błyszczące; żaden obłoczek nie zaciemnia jego powierzchni. Księżyc tu świetniejszy, gwiazdy z niezwykłą jasnością wspaniałością. Szczególniej piękny widok przedstawia krzyż południowy, odpowiadający północnej wielkiej niedźwiedzicy. Krzyż ten składa się z czterech świetnych gwiazd; wyżej nieco znajduje się błyszczący Centaur, Orion ukazujący się w całym przepychu i Skorpion wlekący za sobą swój długi brylantowy ogon.

Ziemia okryta jest płodami wszelkiego rodzaju: olbrzymie drzewa, pięćdziesiąt do sześćdziesięciu stóp obwodu mające, wyborne owoce, rośliny południowe, rozwijają się z łatwością i dostarczają ludziom, bez wymagania uprawy, dostatecznego poży-

wienia. Wszystkie lasy, wszystkie pola zaludnione są mnóstwem czworonogów, ptaków i ziemnowodnych zwierząt. W okręgach leżących przy wyższej części Maragnonu sam żółw wystarcza do zubożenia kolonij. W czasie posuchy idzie on w górę rzeki i składa swe jaja w piasku; wtedy Indyanie z kilku mil w okrag zbiegają się na ławy piasku, zbierają te jaja i wyciskają z nich olej, którym następnie napełniają naczynia mające sześć gallonów objętości. Dla zapełnienia jednej takiej miary potrzeba dwunastu tysięcy jaj, a ponieważ corocznie zbierają sześć tysięcy naczyń, ztąd wynika że dla ich napełnienia niszczą rocznie 72 miliony jaj; a mimo to tysiące młodych żółwi po 50 dniowym lęgnięciu przebija skorupę jaj i rusza w wodę, spotykając tam nieprzyjaciół daleko straszniejszych od ludzi. Toż samo dzieje się na każdym ramieniu rzeki. Uniknąwszy wszystkich niebezpieczeństw i dosięgnąwszy naturalnej wielkości, żółw waży 60 do 80 funtów. Podczas lata stanowi on główne pożywienie dla ludu.

Wróciwszy po czteromiesięcznej żegludze do Pary, p. Edwards stara się wyjaśnić dla jakich przyczyn obszerna i żyzna ta kraina nie dosięgła dotąd stopnia pomysłności do jakiej się wznieść była powinna. „Północnym prowincjom Brazylii, rzecze on, zbywa głównie na pracowitych kolonistach. Rząd portugalski nigdy nie umiał zachęcać tu kolonizacyi obcej, i tak z braku współzawodnictwa cudzoziemców królestwo portugalskie, zdobywszy najpiękniejsze okolice świata, zubożało i zostawiło w oplakaném spustoszeniu ziemię tak łatwe do uprawy. Starożytni Portugalczycy, którym historia nie oddała może zupełnej sprawiedliwości, do najszlachetniejszych uczuć łączyli płaskość umysłu. Brazylijczycy podobnież nie są zupełnie wolni od przesądów swych przodków, bo zachowali uczucie zazdrości względem cudzoziemców. Szczególniej nienawidzą i obawiają się Portugalczyków, którzy z wrodzoną sobie zręcznością i zwykłym wyrachowaniem robią prawie zawsze w bardzo krótkim czasie ogromne majątki.“

Rząd brazylijski chciałby się opiekować osiadającymi w kraju cudzoziemcami. Daje on im bezpłatnie w pewnych okręgach grunta na własność, dozwala wolnego wprowadzania narzędzi rolniczych i maszyn. Ziemię łatwo tu karczować, gdyż korzenie drzew nie zapuszczają się głęboko, a kli-

mat sprzyja pracy człowieka. Grunt jest nadzwyczaj żyzny, sprzyjający uprawie cukru, kawy, bawełny, kakao, i wielu innych plodów, a jednocześnie zbierać można po lasach gumę tudzież mnóstwo roślin mających wartość w handlu. Pojętny i pracowity rolnik otrzyma w tej ziemi wszystko co tylko zechce. Co więcej, potrzeby najniezbędniejsze dadzą się opędzać bardzo małym kosztem, a klimat jest rozkoszny.

Oto korzyści jakie północna Brazylia przedstawia temu coby się chciał w niej osiedlić; lecz są przeszkody które się sprzeciwiają zaprowadzeniu kolonizacyi. Objawiając nader korzystne usposobienie dla cudzoziemców, rząd brazylijski odmawia im jednak prawa obywatelstwa, lub udziela je pod bardzo trudnymi warunkami. Na mnóstwo zagranicznych plodów nakłada cło, wyrównywające prawie zakazowi; a co gorsze, trudniejsze do pojęcia i smutniejsze, to podatek na każdy przedmiot przeznaczony do wysyłki za granice kraju. Mężowie stanu mniemają że podatek ten ponoszą kupcy cudzoziemscy, gdy przeciwnie uciska on sprzedającego, i zmusza go do znacznego obniżenia ceny. Bez tego niedorzecznego podatku Brazylia przewyższyłaby Stany Zjednoczone we wszystkich niemal plodach. Jej ryż i bawełna zalévają targowe place Nowego Yorku; jej tytuń lepszy od najlepszego wirgińskiego, a roślina ta w Brazylji ogromne wydaje zbiory. Do tego dołączyć trzeba dziesięciny kościelne i inne ciężary, przez które położenie klass roboczych staje się bardzo przykrém; i w nich głównie téż leży przyczyna zaburzeń które już miały miejsce w rozmaitych epokach, i których się jeszcze można spodziewać.

Cło oplaca się nietylko od przedmiotów wysyłanych za granicę, lecz nawet od przesyłających się z jednego miasta do drugiego. „Kawa, mówi pan Edwards, którąśmy otrzymali z jednego miasteczka nad Rio Negro, została w Santarem ocloną.“ Kapelusze z Chili oplacają cło na granicy, potem w Para, a następnie jeszcze raz w Rio Janeiro.

Jeszcze jedna zawada przeszkadza ruchowi handlowemu, a tą jest niedostatek monety, składającej się ze sztuk miedzianych i assygnatów przez rząd w obieg puszczonej. Najmniejszą monetą jest real, najmniejszą assygnacją 1000 realów, mających wartość pół-dollara. Za obrębem miast nie widać ani złota ani srebra. Liczba assygnat

w prowincyi i Para nie jest odpowiednią potrzebie ludności; po wsiach nawet mało ony kursują, a co najgorsza, to zmienność wartości jakiej moneta ta pod różnemi pozorami ulega.

Prowincya Para zajmuje przestrzeń 950 mil kw., to jest prawie połowę rozległości Stanów Zjednoczonych. Z wyjątkiem części bardzo małej, grunt jej jest nader łatwy do uprawy i wszędzie nadzwyczaj żyzny. Najpiękniejsze rzeki łączą jedne jej części z drugimi i pokrywają kraj cały jakby ogromną siecią. Obliczono że rzeka Amazonek, wraz z wpadającymi w nią, tworzy masę wody zdolnej do żeglugi w przestrzeni 40 lub 50 tysięcy mil (francuzkich). Cały okrąg Para jest o tyle wyższym od doliny Mississipi, o ile ta ostatnia od doliny Hudson.

Kilka lat temu zawiązało się towarzystwo zaprowadzenia na rzecę Amazonek żeglugi parowej, lecz przedsięwzięcie to upadło. Obecnie inne towarzystwo ma wznowić te usiłowania pod opieką rządu.

W końcu swego dzieła p. Edwards oświadcza, że gdyby towarzystwo to zarządzane było przez ludzi zręcznych i posiadało dostateczne kapitały, w takim razie niezawodnie mogłoby się powieść. Wyjawszy dwa punkta, pod Marajo i Limoeiro, choć i tam łatwo usunąć naturalne zawady, cała rzeka jest splawna. Prędzej więc lub później niechybnie rozległy ożywi ją handel, a miasto Para stanie się jednem z najpiękniejszych miast kuli ziemskiej.

Pan de Montravel, jeden ze znakomitszych oficerów marynarki francuzkiej, towarzysz Dumont d'Urville'a w wyprawie do bieguna południowego, zwidził także wspaniałe okolice rzeki Amazonek, i to nie dla kapryśnej fantazyi turysty, ale z obszerną myślą naukową. Mając sobie poleconém przez ministra marynarki dalsze prowadzenie na północnym brzegu Brazylji robót hydrograficznych, rozpoczętych przez admirała Roussin, chciał on poznać rzekę Amazonek, tę olbrzymią arteryą handlową, z którą przez wiele innych rzek łączą się: Peru, Boliwia, Venezuela, Gujana i wewnętrzne prowincye Brazylji. Powodowany szlachetnym uczuciem narodowości, chciał on pierwszy ponieść chorągiew Francyi w te strony, do których nieufna polityka rządu brazylijskiego już od trzech wieków zabrania Europie przystępu.

Po długich usilowaniach otrzymał wreszcie pozwolenie wykonania swego przedsięwzięcia. Wyruszywszy z Pary na okręcie *la Boulonnaise*, naładowanym żywnością na 4 miesiące, płynął z początku przy północnym brzegu wielkiej wyspy Marajo, zwidził miasto Makapan, a następnie zatrzymał się w Santarem. Tu złączyła się z nim goletta brazylijska, najęta do żeglugi po rzekach wpa-

dających do rzeki Amazonek. Dotarł wreszcie do Obidos, leżącego o 200 mil (franc.) od ujścia tej rzeki, lecz tu brak żywności zmusił go do powrotu.

Życzyćby należało aby p. de Montravel ogłosił opis swjej podróży do Obidos. Wiadomo że go pisał, a musi zawierać nad tą mało znaną okolicą Maragnonu spostrzeżenia szacowne dla uczonych, ciekawe dla czytającej publiczności.

STARY WIARUS.

Obrazek lubelski,

PRZEZ ANTONIEGO WIENIARSKIEGO.

Zwidzając Lubelskie, miasto od miasta, wieś ode wsi, prawie chata od chaty, zabłądziłem do Bychawy, małego miasteczka położonego między Turobinem a Belżycami, dziś prawie do miejskiej osady zbliżonego, a przedtém najbardziej słynącego z szewców, którzy wyroby swoje na kilkadziesiąt mil w około rozsylali. Śladów tego lepszego bytu nie widać w lichych domostwach otaczających kwadratowy rynek, w niskich chatkach zajmujących boczne ulice, w ubogiej odzieży mieszkańców; ale jeżeli wyjdiesz cokolwiek za miasto, spostrzeżesz mury wyniosłego pałacu, otoczone znaczną liczbą domków, zapewne dla pomieszczenia pańskiego dworu budowanych. Pałac, oddawna opustoszały, świeci nagimi poszczerbionymi murami, dach z niego opadł, sklepienia się porysowały, kolumny podpiérające niegdyś krużganki pozbyły się swego ciężaru, schody pogniły. Pomimo tego jednak znać wszędzie umiejętną rękę która gmach cały wznosiła, gust który umiał ubrać go w szlachetne kształty. Domki nawet rozsiane w podwórzu świadczą że stawiano je z równą o ich powierzchowność dbałością. Choć dziś niejednemu nie staje połowy dachu, albo jak tandeciarz jedną połowę pokrył nowymi gontami, a na drugiej trzyma jeszcze starą opadającą dachówkę, choć ściany się popaczyły, a przez tynk poopadany, jak przez dziury lachmanów żebraka, świecą cegły, jednak baczne oko spostrzeże pomiędzy temi widmami zmiennych losów

dziwną zgodność, jakieś niby podobieństwo rodzinne, wiążące je między sobą i łączące z patryarchą pałacem. Bychawa kiedyś należała do rodziny Scypionów, i ostatni z zamożnych niegdyś jej dziedziców wybudował ów pałac, urządził prześliczny ogród i w upodobaném przez siebie miejscu zamieszkał. Powiadają że głównym powodem do tego była przyjaźń z dziedzicem Wysokiego, księciem Maciejem Jabłonowskim, który dostawszy Wysokie po owój głośnej pani Kocka i Siemiatycz, o której Krasicki powiedział:

Wszystkim chłopom, mieszczanom tego losu
życzę,

Jaki mają Wysokie, Kock i Siemiatycze,

i złożywszy urząd prefekta departamentu lubelskiego, osiadł także w Wysokiem, otworzywszy progi gościnnego domu bliższym i dalszym sąsiadom.

Kto wie jednakże czy te stosunki nie wyszły na złe dziedzicowi Bychawy. Książęca fortuna była znacznie większa, nie tak łatwo zachwiać ją mogły zbyteczne wydatki; gdy przeciwnie dziedzic Bychawy, chcąc sprostać zamożności książęcego dworu, wyczerpywał oszczędzone przez przodków fundusze i szybkim krokiem dążył do zguby. Budowa pałacu i świetne jego utrzymanie wpłynęły znacznie na majątkową ruinę; przyczyniły się do niej jeszcze krytyczne czasy, i po kilku latach świetności, Bychawa zaczęła się chylić do upadku.



W tój tedy Bychawie, w drugiej połowie czerwca 1844 roku, przechodziłem przez podwórze pałacowe zasłane stertami gruzów, odłamkami kolumn, gzymsów, ram okiennych i t. p. cząstek wspinałój niegdys całosci, wzniesionój kosztem rozlicznych prac i znojów. Przyglądałem się resztkom niedogniłych posadzek, po których stapały drobne nóżki ówczesnych piękności, trzymałem się poręczy, które obejmowały rączki z zapalem do ust przyciskane, wyglądałem przez okna, któremi niejedno tęskne lub urocze spojrzenie biegło w świat szukać urzeczywistnienia powabnych ideałów, i śmiałem się ze wszystkich ludzkich dzieł, marzeń, widoków i nadziei, śmiechem dzikiego mieszkańca sfer podrównikowych, tańczącego na grobowisku. I podobno że uśmiech najstosowniejszym jest w podobnych miejscach. Młodzieniec bez doświadczenia! poeta z gorącą wyobraźnią, człowiek co nie stapał po cierniach, będą nad nimi płakać. Starzec znękany życiem, filozof patrzący na świat bez uprzedzenia, spotkają je tylko uśmiechem.

Naśmiawszy się więc do woli, gdy już cała przeszłość tego miejsca przesunęła się przed moją wyobraźnią i niepozostało ani jednego szkiełka przez które bym nie spojrział w jej serce, poszedłem do ogrodu odetchnąć wolniej, odświeżyć myśl cudnymi widokami natury. Obszedłszy cały ogród, bardzo starannie utrzymany i zachwycający położeniem, wracałem znów na pałacowe podwórze, przechodząc koło owych domków rzędem u stóp pańskich rozłożonych.

Przed jednym z tych domków na ławeczce pod murem siedział starzec otoczony dziećmi. Na łysój głowie powiewało kilka tylko białych włosów, a długie białe wąsy starannie przyczesane, kapota z kołnierzem mundurowym i medal wojskowy na amarantowój wstążeczce wskazywały dawniejsze jego powołanie. Twarz poważna, łagodna i miła zwrócona była ku licznój rzeszy dzieci, różnego wieku, płci i stroju, słuchającój z wielkiem zajęciem jego opowiadania. Zbliżyłem się ku tój malowniczej grupie. Starzec przerwał swoję powieść, dzieci zwróciły na mnie ciekawe spojrzenia.

— Przepraszam was, stary żołnierzu, że wam przerywam zatrudnienie, rzekłem uchylając czapki przed sędziwą jego głową, ale chciałem i ja posłuchać co tóż dziatkom prawicie.

— Małe rzeczy, łaskawy panie, odpowiedział,

niezmieniając postawy, tym samym głosem łagodnym i czystym, małe rzeczy. Ot aby mi czas prędzej schodził gwarzę, z dziatkami, a ony rade mnie słuchają.

— Bo tóż śliczne rzeczy gadacie, odezwał się chłopiec brunet z ogorzałą twarzą i silnymi kształtami. Jak was nie słuchać, kiedy opowiadacie o wojnach, o żołnierzach, o dalekich krajach, gdzie w polu rosą takie żółte jabłka, jak te co u naszego ogrodnika rosą w drewnianych cebrzykach i co je zawsze na zimę za szkło chowa.

— Albo o takich dziwach, co z płomienistemi oczyma siedzą w lochach wielkich pałaców i nie dają nikomu przystąpić, ozwała się czarnooka i czarnowłosa dziewczyna.

— Albo nas uczycie takich ślicznych modlitw i pieśni, że nawet organista takich nie umie, rzekła druga blondynka.

— Oj pleciugi, pleciugi, rzekł starzec, z uśmiechem klepiąc po tłustych policzkach chłopaka. No o czémże tam jeszcze więcéj?

— A ktoby spamiętał, kiedy codziennie co nowego znajdziecie.

— Bardzo chwalebnie, mój pocciwy starcze, rzekłem podchodząc bliżej, że takiem zatrudnieniem zajmujecie dnie swojego wypoczynku po trudach i znojach przeszłego życia; niewątpię bowiem że każda wasza powieść jest nauką dla tych młodych pokoleń, które się kiedyś na naszych miejscach rozsiądą.

— A juźci coby znaczyła powieść, gdyby się ją plotło na wiatr, niby prądka przy kądzieli. Takim młodym głowom potrzeba koniecznie coś wymyślić aby je utrzymać w ciekawości, a potem ciekawości tój użyć na dobre, na pożytek tych giętych pręcików, aby w dobrém wzrosły i zmeźniały. Zaczynam tóż zawsze od pacierza, mówię im różne modlitwy których się po świecie nauczyłem, potem śpiewam pieśni, najprzód pobożne a dalej świeckie.

— I tę o żołnierzu, co to:

Idzie żołnierz borem lasem,
Przymierając głodu czasem.

przerwał chłopiec.

— Albo tę o trzech siostrach, co zamieniły się w zuzule i wołały:

Brateńku, brateńku,
Daj wieści o sobie.
Siostry moje, siostry,
Ja już leżę w grobie.
Brateńku, brateńku,
Czy grób twój głęboko?
Siostry moje, siostry,
Jak jawor wysoko.

rzekła brunetka.

— Albo tę o Matce Bożkiej:

Witaj Pani!
My poddani
Do nóg Twoich padamy.
Wszak nie insze
Mamy czynsze
Które składamy,
Tylko duszę i ciało.
Przyjmij i to, choć mało.

odezwała się blondynka.

— Cicho, cicho, terkotki, rzekł wiarus, wyciągając rękę jak gdyby do komendy. Cicho, bo niedacie mi dokończyć. Otóż, mówił do mnie dalej, po śpiewach opowiadam im jaką powieść, o tém co się widziało po świecie, co się doświadczyło w życiu; jak Pan Bóg nieraz wiódł człowieka przez grady kul, po stosach trupów. Dziaćki jakoś rade słuchają moich gawęd, i wrastają im ony w serca i zajmują pamięć, tak dalece że nieraz popłaczą się w końcu, a i ja z niemi, ale z radości, że Bóg daje taką moc moim słowom.

— Z radości że gotujecie sobie wielką zasługę, przerwałem.

— Zasługę jak zasługę, odrzekł, ale może Bóg pozwoli że tém spłacę swój dług jaki u młodych dziątek zaciągnąłem.

— Jaki to dług? zapytałem ciekawie.

— O i wielki, bo panie od początku mego życia małym dziatkom winienem wiele przyjemnych chwil, a teraz chleb powszedni, że nie potrzebuję omdlewającymi od zgrzybiałości rękami imać się ciężkiej pracy, albo żebrać pod kościołem.

— Ale to dla mnie niedosyc, jabym chciał wiedzieć szczegóły.

— Zaraz je pan usłyszy: bo przecież to nie sekret i tacić się z tém nie będę. O mojej młodości niemam co wspominać. Lubilem zawsze dzieci, i ony mnie téż kochały, a ztąd nieraz miałem takie ukontentowanie, że aż pamiątki o tych chwilach jeszcze się dotąd po starém sercu kołaczą. Drobnie to je-

dnak były zdarzenia, i znudziłbym tylko pana długim ich wywodem.

Ale posłuchaj pan tego co mi się już w czasie mojej żołnierki trafiło, a co, jak powiedziałem, zapewniło mi terazniejszy mój byt i spokój aż do grobowej deski.

Wiadomo zapewne panu że po bitwie pod Novi marszerowaliśmy dzień i noc z największym pośpiechem, aby połączyć się z oddziałem wojsk francuzkich mającym wzmocnić nasz korpus. Świtem dnia któregośmy tak upragnienie wyglądali, przedziéraliśmy się małą drożynką mijającą się kręto w wąwozach. Dopiero co zaczynało szarzyć; o parę kroków od siebie niemożna było nic rozpoznać, a zarośla były tak gęste, że nieraz trzeba było kolbą karabina torować sobie drogę. Szedłem zafra-sowany, z głową pochyloną, głód i utrudzenie diabelnie mi dokuczały. Przeklinałem śmierć że mnie na polach Novi oszczędziła. Wtém zdało mi się że posłyszałem płacz dziecięcia; płacz dziecka zawsze mnie bardzo obchodził, mnie który tysiąc razy deptałem po broczących krwią ciałach kolegów i przesypiałem noc najsmaczniej obok jęczącego z boleści towarzysza. Stałem, posłuchałem chwilkę: na prawdę płacz dziecka doleciał mnie z boku. Nie tracąc czasu skoczyłem w wąwóz, i przedziérając się przez zarośla w stronę z kąd płacz wychodził, znalazłem siedzącego na ziemi dwuletniego chłopczykę, ubranego czysto a nawet bogato, zachodzącego się od płaczu. Choć upadałem ze znużenia, jednak jakoś znalazły się siły. Uspokoilem trochę chłopczykę, wsadziłem go na plecy na moje bagaże i połączyłem się z towarzyszami. Co zaznałem trudu nim stanęliśmy na pierwszy wypoczynek, niepotrzeba panu wspominać. W czasie wypoczynku odjętém sobie pożywieniem pokarmiłem dziecinę i wyprosiłem u kapitana pozwolenie umieszczenia jej na wozie który wiozł kassę pułkową. Potém powierzyłem swego wychowawca markietance, żonie żołnierza Polaka, poczciwój kobiecie, i z wielką moją pociechą chłopiec chował się dobrze i zdrowo. Kiedym go wziął na ręce, to obejmował mnie za szyję i drobne usteczka przyciskał do mojej ogorzałej zarośniętej twarzy; płakałem wtedy z radości i prosiłem na miłość bożką towarzyszków aby mnie zastąpili w razie gdybym zginął, o co, jak panu wiadomo, wcale wówczas nie było trudno.



W trzy kwartaly po bitwie pod Novi przysłał pułkownik abym zaraz stawił się przed nim. Pobiegłem co tchu, rozumiejąc że poszła mnie z jaką depeszą; ale zdziwiłem się niemało zastawszy go przy butelce i kieliszku, trzymającego wręku gazetę.

— Czyś to ty znalazł dziecko drugiego dnia po bitwie pod Novi? zapytał mnie pułkownik.

— Ja, panie pułkowniku.

— Jak mu imię?

— Nie wiem.

— A czy niema jakich znaków?

— Właśnie ma brodawkę na lewym policzku, blisko ucha.

— Chłopiec czy dziewczyna?

— Chłopiec.

— Przynieś no tu swojego wychowanka.

Zeszli się do kwatery pułkownika wszyscy oficerowie, i obejrawszy chłopczynę, jednozgodnie uznali że to ten sam którego poszukują przez gazety.

— Masz szczęście, rzekł pułkownik. Ocaliłeś życie książątka piemontskiego. Spodziewaj się sutęj nagrody.

Ja byłbym najchętniej skwitował i ze szczęścia i z nagrody, bo przewidywałem że mi wkrótce trzeba będzie rozstać się z chłopczyną.

Pułkownik napisał list. W kilka dni przybył z okazałym orszakiem książę L*, a kiedym mu podał dziecię zdrowe i wesołe, to rzucił mi się na szyję i omało mnie nie zdusił z radości.

RYŚ GNIADY (FELIS RUFA). ⁽¹⁾

Ryś gniady jest gatunkiem rysiów mniejszych; odróżnia się od innych cienkim, na końcu i z pod spodu białym, ogonem, mającym z wiérczu pierścienie od spodu przerwane, oraz krótkimi, niekiedy znikającymi kitkami usznymi. Maść sierci miéwa w zimie czerwono- popielatą; włos spodni wełnisty jasno- czerwony w każdej porze roku; włos dłuższy, czyli górujący, zimą szaro i czarno obrączkowany, z końcami białymi; spód ciała i strona

Dowiedziałem się że książę, uciekając z rodziną z okolic bitwy, zablądził w wąwozy; że ścigany przez bandytów za ledwie zdołał umknąć z żoną i starszą córką, straciwszy z oczu powóz gdzie była umieszczona niania z młodszym dzieckiem.

Chłopczyna nie poznał ojca i wydziérał się gwałtem do mnie, a ja beczałem jak baba, aż cały pułk trząsał się od śmiechu.

Książę L* złożył zaraz w ręce pułkownika obligację zapewniającą mi dożywotnią pensją, i dotąd ani jednego miesiąca w przesyłce nie chybił. Mój wychowawiec pisuje do mnie listy, które zbieram jak najdroższe skarby, aby z niemi kiedyś kazać się pogrzebać.

Otóż, łaskawy panie, jakie to cuda Opatrzność boska wyrabia, choć głupi ludzie mówią że teraz niema cudów. Gdyby nie przywiązanie do dzieci dane mi od małości, byłbym na stare moje lata nie miał kąta, a o kawałek chleba musiałbym dobijać się w pocie czoła. Ręka Wszechmocnego rzuciła w moje serce ziarno, które wzrosło i wydało żniwo. Takich ziarn tyle, ile ludzi na świecie; ale nie każdy umie je pielęgnować i nie każdy idzie za głosem od niemowlęctwa do niego przemawiającym. W tém niebrak cudu, ale wiary; wina nie Boga, ale ludzi.

Starzec skończył, łzawe spojrzenie zwrócił ku dzieciom patrzącym w niego jak w tęczę, uściśnął je po kolei i rzekł:

— Na dzisiaj będzie dosyć; jutro, da Bóg doczekać, znów o czém inném pogadamy.

wewnętrzna członków białe, czarno centkowane, wiércz zaś i zewnętrzna strona członków małymi ciemno-brunatnymi plamkami i niewyraźnymi kręśkami upstrzona; okolice oczu i warg białe; szczęki kilka czarnymi paskami oznaczone; uszy zewnątrz czarne, z białą, połyskującą wewnątrz plamą. La-

(1) Fr. Cuvier, Mammifer. III, livre 58. Richardson, fauna I p. 408.

tem, kiedy włos wierzchni jest krótszy i niema białych końców, kolor czerwony włosów wełnistych staje się wydatniejszym, plamki więcej odznaczonymi, i linia centek wzdłuż grzbietu widoczniejszą. Ubarwienie to rysiów niejednakowego bywa natężenia w różnych indywidualach; kolor główny wpada już w szaro zajęczy, już bardziej w czerwony. Rośniejsze egzemplarze miéwają 2 stopy 10 cali długości, z czego na ogon 5 cali przypada.

Rys gniady przebywa w Stanach zjednoczonych i Meksyku. Richardson za miejsce pobytu jego podaje wybrzeża rzeki Kolumbii; w Kanadzie go niema. Obyczaje jego mało jeszcze są znane; przebywa w miejscach bagnistych lub zaroślach; na zdobycz, którą stanowią króliki, szczury i t. p., poluje

lub chytrze czatuje. Gdy wody z gorąca wyschną żywi się rybami i żabami. Przed pogonią, według opisów, stara się ubiedz w zarośla lub bagna, gdzie usiłuje zagmatwać trop przed goniącymi psami, biegnąc wprost, a potem w poprzek, i we wszystkich kierunkach drogę przecinając. Napotykamy także wzmiankę iż ratując się od natarczywej pogoni, zbacza w miejsca bagniste i zapuszcza nogi w muł, aby po wyjściu na ląd zgubić trop ścigającemu nieprzyjacielowi.

Krótką tę wiadomość o rysiu gniadym podajemy z uwagi iż handle futer skórami jego obficie zaopatrywane bywają.

Ks. Józef Wyszyński.

WYPRAWA D^{ra} VOGEL

NA POŁUDNIE JEZIORA TCHAD W AFRYCE ŚRODKOWEJ.

Doktor Vogel wybrał się z Tripolis w podróż do Afryki środkowej na początku roku 1854; ale zaledwo zdążył przesłać p. Herrmann, konsulowi angielskiemu, niektóre spostrzeżenia swoje, gdy silnie dotknięty żółtą febrą, śmiertelnie zachorował w Kuka, stolicy krainy Bornu, na brzegu zachodnio-południowym jeziora Tchad. Przez dziesięć dni leżał bez przytomności i prawie bez pomocy; aż wreszcie szczęśliwa konstytucja, choć niezbyt silna w ogólności, zwalczyła chorobę, i odtąd już podróżny niepotrzebował lękać się zabójczego klimatu tych okolic. W końcu marca Dr. Vogel o tyle odzyskał siły, że mógł towarzyszyć szejkowi Bornu na wielką obławę niewolników w stronie południowo-wschodniej od Kuka.

Pan Vogel w tej wycieczce dotarł do 9° 30' szerokości północnej, to jest o jakie trzydzieści mil ang. dalej aniżeli poprzednicy jego, doktorowie Barth i Overweg. Armia szejka składała się z 20,000 jeźdźców, 3,000 wielbłądów i 5,000 wołów prowadzonych przez 15,000 przewodników. Było to, jak mówiono, najsilniejsze wojsko jakie od czasu szejka El-Kanemy wyprawilo się z Kuka. Niezmier-

na ta zgraja, zagrzana żądzą zabójstwa i grabieży, posuwała się zwolna ku krainie Musgów i Tuborisów czyli Tufurisów; bo nieszczęśliwe te plemiona oddawna już są celem pustoszących wycieczek mieszkańców Bornu. Północna część kraju Musgów, którą Dr. Barth nazwał Adishen, położona między 11° a 10° 40' szerokości północnej, przed niejakim już czasem została zdobyta i wcielona zupełnie do Bornu; lecz dalej na południe wszystko co żyje drży przed napaścią okrutnych sąsiadów. W miarę jak nieprzyjaciel się zbliżał, ludność ustępowała w głąb kraju, unosząc z sobą całą swą własność. W opuszczonych osadach znajdowano tylko *gafaly* (rodzaj zboża) i tytoń. Dopiero pod 10° szer. półn. i 14° 35' dług. wschod. według południka Greenwich armia spotkała się z oddziałami Musgów pędzących trzody bydła. Dr. Vogel i tam również ujrzał obszerne jezioro, rozciągające się w niezmierzonej okiem przestrzeni ku południowi. Podróżnik nazwał je jeziorem Tubori.

Musgowie schronili się na brzeg przeciwny jeziora, sądząc się tam bezpiecznemi; ale na wielką ich trwogę jazda szejka rzuciła się w pław, w miej-

scu gdzie woda miała tylko około trzech czwartych mili szerokości i sześć stóp głębokości. Mnóstwo jeźdźców i koni zginęło w przeprawie; reszta wszakże, wylądowawszy, zabrała z półtora tysiąca niewolników, same kobiety i dzieci do dwunastu lat co najwięcej, oraz do 2,000 sztuk bydła. Wziętych w niewolę mężczyzn prawie wszystkich zabijano na miejscu; małą tylko liczbę uprowadzono do obozu, dla zadania im śmierci w wyszukańszych męczarniach. Kobiety tego plemienia niebardzo są cenione, bo je oszpeca niezmiernie kawałek okrągłego drzewa, mający półtora cala średnicy; którym przedziurawiają sobie wargi. Można więc nabyć te nieszczęśliwe istoty po cenie 250 franków za głowę, a dzieci za 50—150 franków.

Od brzegów jeziora Tubori plemięcy Bornu zwrócili się na północ ku rzęce Shary, niszcząc wszystko i pustosząc. Pociągnawszy mil kilkadziesiąt brzegiem rzeki, przebyli ją w wąskim miejscu, tracąc i tym razem w przeprawie znaczną ilość jeźdźców i koni. Dopadłszy brzegu wschodniego, schwytali w kilku godzinach 2,500 Musgów i przeszło 4,000 sztuk bydła. Z wyprawy tej trzydziestu sześciu mężczyzn przyprowadzono do obozu, gdzie każdemu z nich tępemi narzędziami siecznymi ucięto prawą rękę do łokcia i lewą nogę do kolana. W tym stanie porzucano ich na śmierć powolną. Ale ta sroga męczarnia nie była jeszcze szczytem okrucieństwa z jakim nad nieszczęsnymi pastwiono się jeńcami. Musgowie chodzą nago, a niezmiernie są drażliwi na chłód i wilgoć, od których ubezpieczać się starają w dobrze zbudowanych chatach. Nadeszła już pora deszczów, gdyż przytoczone zdarzenia miały miejsce na początku maja. Co nocy straszne bywały burze, a raczej uragany, o których, jak mówi dr. Vogel, Europejczyk niema i pojęcia. Deszcz lał potokiem, a biednych jeńców zostawiono pokotem na ziemi, która skutkiem ulewy w błotnistą wkrótce zamieniła się kałużę. Leżeli tam na pół stopy zanurzeni w wodzie, wystawieni na działanie sloty, i dzwoniąc zębami, najsroźszych doznawali cierpień, a nie podano im nawet choć lichęj szmaty dla okrycia członków wskrós zimnem przenikniętych. To też biegunka i ospa zjawily się zaraz między nimi w postaci tak gwałtownej, że z czterech tysięcy indywidualów zaledwo pięćset przyprowadzono żywych do Kuka.

Gdy w obozie okazały się choroby, dr. Vogel, cierpiący także, wyprzedził armią i pospieszył z powrotem do miasta; już bowiem od trzech tygodni nie miał na sobie suchej odzieży, i w całym tym czasie ani razu dostać nie mógł zdrowej i posilnej żywności.

Wypadki tej podróży uczonego doktora bardzo są zajmujące. Rzeczywiście, oprócz badań astronomicznych i botanicznych będących jego pracami fachowemi, żaden fakt jakiegokolwiek ważności naukowej nie uszedł jego uwagi. Najznakomitszym może jest pewnik że cała okolica zwidzona przez dra Vogel, rozciągająca się na dwieście mil geograficznych ku południo-wschodowi od stolicy szeika, mało bardzo jest wzniesiona nad poziom morza. Prawda że już Barth i Overweg wyrzekli iż to równina nieprzerwana, ale zbywało dotąd na dokładnym oznaczeniu jej wysokości. Wielka ta płaszczyna Afryki środkowej, z wyjątkiem kilku tylko szczytów granitowych tu i owdzie po niej rozrzuconych, aż do 9° 30' szer. półn. nie przedstawia wyższego wzniesienia jak stóp dziewięćset. Dr. Vogel donosi nam także iż na 120 mil od Kuka, znalazł w głębokości 20 stóp pod powierzchnią ziemi takiż sam pokład wapnisty złożony ze skorupiaków wody słodkiej, jaki odkrył pod Kuka w głębokości stóp sześciu. Wnosi ztąd że cała przestrzeń rozciągająca się na przeszło 100 mil od tego miasta w kierunku południowo-wschodnim, musiało kiedyś zajmować jezioro Tchad, w epoce kiedy granice jego nierównie dalej sięgały od dzisiejszych.

Oprócz tego przypuszczenia, sam fakt sprawdzony małego wzniesienia tych okolic, wypadki dawniejszych spostrzeżeń hypsometrycznych drów. Vogel i Overweg i pomiary dokładne dra Barth, szacownym są nabytkiem dla nauki ziemioznawstwa, i obalają zupełnie dotychczasowe wyobrażenia o geografii tej części Afryki. Wiadomo że do tej pory najlepsi autorowie pustynią Sahary i całą prawie Afrykę północną uważali za ogromną równinę słabego bardzo wzniesienia. Natomiast podawano za pewnik niezbity, że zaraz na południe od jeziora Tchad zaczynają się pasma góryste dochodzące kilku tysięcy stóp wysokości. Otóż z obserwacji członków wyprawy do Afryki środkowej wypływa przekonanie że rzecz ma się zupełnie przeciwnie. Sahara rzeczywiście jest obszerną pla-

szczyzną górną, wzniesioną na 1000 do 2000 stóp nad poziom morza Śroziemnego, gdy tymczasem okolica jeziora Tchad i rzeki Shary tworzy niezmierną kotlinę, której najniższym punktem jest samo jezioro. Nowe te wiadomości o względnym wzniesieniu Afryki środkowej rzucają także światło niemałe na kształt jej fizyczny, klimat, florę i faunę.

Kraj cały otaczający jezioro Tchad właściwie nie jest czém inném jak rozległym odsepem. Po opuszczeniu oazy Agades, położonej o 250 mil od Kuka, Dr. Vogel aż do Wazy, odległej na 100 mil ku południo-wschodowi od stolicy Bornu, nie napotkał ani jednej skały, ani jednego głazu. Za Wazą dopiero grupa odosobniona szczytów granitowych wybiega prawie pionowo śród równiny i wznosi się do wysokości 400 stóp nad poziom przyległy.

Co do hydrografii tych okolic, dr. Vogel śledził bieg rzeki Shary, głównego ich strumienia, w przestrzeni dość rozległej. Pod 10° szer. półn. rzeka ta miała w przecięciu do 2000 stóp szerokości, a 15 stóp głębokości; ale to było w początku pory deszczów. Podług śladów jednakże znalezionych na opoczystém jej wybrzeżu Dr. Vogel przypuszcza, że w czasie największego przyboru dosięga ona wysokości podwójnej, to jest 30 stóp głębokości; a wtedy, jak obliczył, wielka ta rzeka przelęwa do jeziora Tchad na sekundę około 140,000 stóp kubicznych wody. Pomiedzy 10° i 11° szer. półn. krajowcy nazywają ją Arreh. Mieszkańcy Bornu nadają jej powszechnie nazwę Loggeneh.

Jezioro Tubori, wyżej już wzmiankowane, ciągnie się od 10° szer. półn. i 14° 35' dług. wschod. w kierunku południowym, aż poza 9° szerokości. Ma kształt zbliżony do trójkąta. Szerokość jego i głębokość zwiększa się ku południowi, tak iż pod 9° 30' szer. półn. dochodzi mil czterech. Jezioro to obejmuje mnóstwo wysp podłużnych, gdzie mieszka gęsto skupiona ludność Musgów i Tuborisów. W krańcu północnym otoczonym bagnami głębokość jego nie przenosi 5—6 stóp; pod 9° 30' szer. półn. wynosi ona stóp 20. P. Vogel mniema że długość całą jeziora Tubori obliczyć można na 60 do 80 mil geograficznych.

O ile wiadomo ani Barth ani Overweg nie oznaczyli tego jeziora, chociaż kraina Tufuri czyli Tubori objęta jest mapą Bartha. Możliwy więc przy-

puścić że wielkie to wód zbiorowisko, tak małej stosunkowo głębokości, jest natury peryodycznej, że wzrost swój, jeśli nie bytność, winno ulewom pory deszczowej, jak wiele innych jezior afrykańskich, a nawet jezioro Tchad. Zgadza się także na to wszyscy trzej podróżnicy, że całą tę okolicę corocznie dotykają powodzie. Dr. Vogel donosi iż brzegiem-północnym jeziora Tubori jest łańcuch granitowy niewielkiej wysokości, którego podstawa wznosi się na 940—980 stóp nad powierzchnią oceanu.

Kraina Tubori albo Tufuri leży pomiędzy 9° i 10° szer. półn. i między 14° i 15° długości wschodniej, stanowiąc równinę bogatą, żyzną i dobrze uprawioną. Armia szejka Bornu postępowała niekiedy bez przerwy przez cztery do pięciu godzin łańcami gafaly i tytoniu. Tę ostatnią roślinę niezmiernie lubią krajowcy, szczególnie kobiety, które prawie ciągle palą krótkie fajeczki z gliny i słomy zgrabnie ulepione. Każda też niemal chata posiada zapas kilkudziesięciu funtów tytoniu. Jezioro Tubori otaczają rozległe lasy, złożone po większej części z gatunku palmy zwanej w Nubii *dereb*. Wspaniałe to drzewo ma koronę rozłożystą i żywej zieleności, pień gładki. Owoce 8—9 cali długie, a 6—7 szerokie, koloru ciemno-żółtego, ważą do pięciu funtów i w smaku przypominają ananasy.

Tuborisowie płci obojg za całe ubranie noszą wąską przepaskę skórzaną na biodrach, do której kobiety przyczepiają jeszcze z tyłu gałąź palmową. Mężczyźni do obrony używają tylko drzewców ostró zakończonych i maczug, rzadko kiedy włóczni. Zamożniejsi posiadają małe koniki, na których jeżdżą oklep. Podróżny nasz o jeźdźcach Tuborisów dziwny opowiada szczegół: gdy ciągną na wojnę, mają zwyczaj rozdrapywać sobie części ciała zostające w zetknięciu z koniem, mówiąc że krew uchodząca bezpiecznie zapewnia im siedzenie.

Mieszkania Tuborisów są kształtu okrągławego, pokryte bardzo gęstym dachem słomianym i otoczone wałem ziemnym na pięć stóp wysokim. Naokoło tych chat, postawionych zwykle grupami po kilka lub kilkanaście razem, bywa miejsce otwarte otoczone krzakami, gdzie Tuborisowie składają swe zapasy zboża, słomy, drzewa i innych przedmiotów. Każdy z nich miéwa po kilka żon, a w razie niedostatku żywności dzieci swe sprzedaje w niewolę. Pożywienie tych plemion stanowią po



Stich, Druck u. Verlag d. Lit. Art. Anst. in Stuttgart.

F. Schultzeiss sc.

Pasterze karpaccy

większej części ryby i gafaly. Bydła nie zabijają nigdy, ograniczając się na zjedzeniu sztuk padających przypadkowo; ale za to nie gardzą żabami i węzami, a proszę najwyszukańszym dla nich jest przysmakiem. P. Vogel pod 10° szer. półn. znalazł pospolitą świnię europejską.

Niezależnie od raportów i kart geograficznych na wielką podziałkę skręslonych, które uczony doktor złożył angielskiemu ministerstwu spraw zagranicznych, przesłał on tą samą okazją bogate zbiory geologiczne i botaniczne p. p. Roderykowi Murchison, W. J. Looker i dr. Brown.

Co do projektów jego na przyszłość, zamierzał

on opuścić Kuka w lipcu 1854r. i udać się do Adamawa, w nadziei spotkania tam wyprawy wracającej z Yakoba rzeką Tszada. W końcu tegoż roku zwrócić się miał do Uadaj, i dotrzeć, jeśli się uda, do oceanu indyjskiego; w przeciwnym zaś razie postanowił powrócić do Europy w końcu 1855 roku przez Kordofan, Darfur i Egipt. Ale ktokolwiek ze współczuciem śledzi przedsięwzięcie nieustraszonego podróżnika, ten pragnie bezwątpienia aby szanowny doktor przyspieszył swój powrót drogą jaknajkrótszą, nie narażając zdrowia i życia w trudach siły ludzkie przechodzących.

PASTERZE KARPACCY.

PRZEZ DR. T. TRIPPLINA.

Pomiędzy ładnymi akwarellami włoskiego penzla przechowanymi w galeryi zamku niedzickiego w Węgrzech, znajduje się jedna przedstawiająca młodego pastuszka i młodą pasterkę, pogrążonych w tkliwej, jak się zdaje, rozmowie. Nicopodal widać się srebrny Dunajec pomiędzy polami i łąkami karpackiego Przedgórze, a księżyc przyświeca swą bladą kosą krajobrazowi, w tém miejscu dość jednostajnemu. Całe malowidło niezmiernie udatne i prawdą tchnące, pomimo pieszczotliwych rysów młodej pasterki i młodego pastuszka, pomimo niezwykłego ubioru tego ostatniego.

Wiedziałem zresztą że malarka włoska podczas pobytu swego w zamku hrabi Pałoczaja wzory swoje najwięcej z natury zbierała; więc i temu zapewne utworowi prawda służyć musiała za podstawę. I tak było w istocie: żyli tu w bliskości przed kilką laty owi dwaj pastuszkowie wyobrażeni na malowidle niedzickim (którego załączona rycina wierną jest kopią), a historia ich życia tyle ważnych nasuwa myśli, że skręslam ją tutaj tak zupełnie. Jakem ją posłyszał z ust miejscowego wikaryusza.

* * *

Za życia starego hrabi Pałoczaja wszystko inaczej się działo w dobrach niedzickich jak teraz. Nieboszczyk pan jenerał służył dość długo w woj-

sku; nie wiem czy się stał bardzo straszny nieprzyjacielowi, ale to wiem, że za każdym powrotem z wojny Afrodyta wynagradzać musiała wojakowi trudy poniesione w usłudze brata jej Marsa.

Więc raz po powrocie hrabi z obozu do swego zamku trafiło się jakoś w rok, że najpiękniejsza wieśniaczka jednej do klucza niedzickiego należącej włości urodziła ślicznego synka, z bystremi oczyma i smagłą kibicią; a znów we dwa lata później zdarzyło się że jakaś ładna bardzo chłopka w innej wsi dóbr Pałoczaja powiła córeczkę przedziwnej urody, z tęskniami oczyma i drobnymi rączkami.

Ojcowie owych cudownie od przyrody uposażonych dzieci, włościanie do majątniejszych należący, skrobali się w głowę, zdumieni że Bóg ich obdarzył tak niespodzianie potomkami; kumoszki zaś potrzęsały głową, mówiąc: „Nie wychowają się tu na naszym chlebie takie delikatne dzieci, oj nie!”

Tymczasem jakaś niewidzialna opieka czuwała nad Jaśkiem i nad Teklusią, i przeprowadziła ich cudownym sposobem przez wszystkie niebezpieczeństwa grożące życiu niemowlęcia w chacie urodzonego, przez wszystkie choroby, głody, przednówki, biędzy, zimna i rozliczne gorycze towarzyszące od kolébki do grobu żywotowi kmiotka słowackiego.

Prawda że się ojcowie tych dzieci, dufni w owę niewidzialną opiekę, rozpili; aleć to propinacyi dochód czyniło, i można powiedzieć że tu się sprawdziło przysłowie francuzkie: „*Ce qui vient par le tambour, revient par la flûte.*“ (Co z bębna przychodzi, to diabli biorą przez piszczałkę, czyli przez kieliszek, bo to w tym razie zupełnie równoznaczne).

Rozpili się i zubożeli; dzieci zaś dorastały, i po śmierci starego hrabi zostały pastuszkami, bo siły ich nie wystarczały na pełnienie trudniejszych czynności gospodarskich.

Stary pan hrabia umarł dość nagle, kiedy syn jego Janusz, jedyna odrośl Pałoczajów rodu, był na uniwersytecie; ale coś na godzinę przed zgonem długą miał rozmowę ze spowiednikiem swoim, nader godnym kapłanem, a nawet mu napisał list jakiś, który miał być doręczonym młodemu hrabiczowi dopiero gdy dostąpi pełnoletności, to jest po dwudziestym czwartym roku życia.

Pastuszkowie nasi wzrastali i krzepili się w siły, pomimo słót, wezbrań Dunajca, ulew, gromów karpackich, głodu, febr, zimna i cholery. Teraz już Bóg tylko jeden czuwał nad losem dwojga pacholąt.

Pleban miejscowy, ten sam który był spowiednikiem ś. p. jenerała, zajmował się wprawdzie niemi po trosze: czasem im sprawił jakie okrycie, wysłuchał ich pacierza, nauczał katechizmu; ale że sam był w wieku sędziwym, więc wszystkiego doglądać ni mógł, i poleciwszy ich szczególnym względem nauczyciela wiejskiego, sądził że jakoś wszystko, przy pomocy Najwyższego, pójdzie dobrze.

Trzeba oddać sprawiedliwość szlachcie węgierskiej: szkółki pozakładała we wszystkich prawie gminach, nie lękając się żeby ją kiedyś chłop wyprzedził rozumem. Na małym wprawdzie poprzestają w owych szkółkach: uczą katechizmu, czytać, pisać i czterech działach arytmetyki; ale i to posłuży niejednemu prostaczkowi do wydźwignienia się z ciemnoty, już i to skąpe światło dla wielu staje się dobroczynnym.

Uczęszczali więc do szkółek Jasiek i Teklusia, tylko że nie do téj saméj, bo wioski w których się zrodzili do osobnych gmin należały. Jeszcze się wtedy nie znały owe dzieci, zbliżone do siebie przyczyną życia i horoskopem fatalności; ale już w szkółce odznaczały się przed innemi pojętnością i zamiłowaniem w naukach. Matki je także pobudzały do

dobrego, wszczepiając w ukochane swe dzieci uczucia nieklamanej religijności.

W takim to otoczeniu prostém i pocziwém spędzili pierwsze lat kilkanaście śmiały Jasiek i tęskna Teklusia. Kształcąc się ile stało sposobności, mimo wiedzy prawie wykarmili w sobie pojęcia poetyczne, tém więcej że on gdzieś znalazł przypadkiem starą księgę o bohaterach swego kraju i w jej czytaniu, pilnując stada koni, zatapiał całą swą duszę; a ona od sędziwego kapłana dostała żywoty świętych, i pasąc swe owieczki, przemyśliwała o rzeczach tak pięknie i budująco tam opisanych.

Poznali się z sobą na cmentarzu, na grobach swych matek, które w jednym dniu padły ofiarą straszliwej zarazy, przebiegającej wtedy po raz pierwszy struchlałą Europę. I od téj chwili Jasiek i Teklusia, liczący już po lat kilkanaście, pokochali się w sobie, i zawsze tak trzody pędzili na pastwiska, żeby się jaknajczęściej spotkać, żeby z sobą przepędzać nietylko dnie, ale nawet i nocy; w owych bowiem stronach nie zdołasz oderwać bydła od paszy, gdy po długim i głodnym przednówku piękna zablýśnie wiosna i w dni kilka bujną wyludzi z łona ziemi roślinność. Więc w cieniu drzew i krzewiny czytali sobie jaką książkę pożyczoną Tekluni przez starego plebana, w nocy zaś, kiedy światła nie było, rozmowami czas sobie skracali.

Nikt w okolicy nie wiedział że znany z bystrości i odwagi Jasiek widuje się z Teklusią już sławną z pobożności i urody. Parę lat coś potrwało to lubie, miłosne pożycie: Jasiek tego dorastał, Teklunia ślicznie rozkwitała.

Aż naraz zjawia się przecież w swym zamku od lat dziesięciu niewidziany młody dziedzic dóbr niedzickich. Z obawy żeby go nudy nie zabiły w tym barbarzyńskim zakątku, pan hrabia przywiózł z sobą młodą malarzkę włoską, naturalistę niemieckiego i całą orkiestrę złożoną z Czechów.

Stary pleban, upatrzawszy stosowną chwilę, zmierza do zamku i wręcza dziedzicowi ów list napisany przez nieboszczyka hrabię na łożu śmiertelnym.

W liście tym ojciec, błogosławiąc syna, przyznawał się do pewnych słabości, których liczne skutki pozostały po wsiach okolicznych; wymieniał nawet owe skutki po imieniu i nazwisku, zaklinając prawego swego syna i spadkobiercę aby czuwał nad ich losem.

Hrabia Janusz posiadał, i do dziś dnia posiada, serce bardzo dobre; więc też niemało się rozczulił widząc z listy załączonej że tak liczném otoczoną jest pokrewieństwem, i zaraz, nie mówiąc nikomu co właściwie pismo zawierało, siadł na koń i wziął się do odszukania skutków płochości starego ojca.

Już większa połowa wymienionych skutków stała się ofiarą głodu i powietrza; inni byli w wojsku, lub gdzieś, drutując garnki, po obcej tułali się ziemi; z dziewcząt niektóre powychodziły za mąż i nową już generacją świat cieszyły. Słowem że w tej chwili przedmiotem opieki poszukującego stać się mogli tylko Jasiek i Teklusia, niemało zdziwieni że pan hrabia raczy się o nich dopytywać, i niemało tém strwożeni.

Polubił oboje dobry hrabia Pałoczaj zaraz na pierwsze wejrzenie. Wziął ich ze sobą do zamku, gdzie Teklusię przeznaczył do usług signory Fiametti malarki włoskiej, a Jaśka na hajduka oddał panu Frydrychowi Buttler naturaliście niemieckiemu, który się zobowiązał strzelać i wypychać zwierzęta, zbierać i zasuszać rośliny, kopać i obłamywać minerały, słowem urządzić w zamku najzupełniejsze muzeum naturalistów miejscowych.

Młoda signora Fiametta, pomimo lekkości z jaką się poddawała natchnieniom bujującej wyobraźni i ogniściego temperamentu, tyle miała serca ile talentu, to jest bardzo wiele. Szczerze pokochała swą góralkę karpacką, tak rozgarnioną, ładną i pełną naturalnego wdzięku; nie mogła się nacieszyć jej naiwnością, i zaraz ją ubrała w piękne, ale kroju góralskiego, suknie. Teklusi było obowiązkiem towarzyszyć swęj pani na wszystkie miejsca z których piękne przedstawiały się widoki; z początku nawet pan hrabia wymagał żeby Teklusia nosiła sztalugi za signorą Fiamettą; ale później, gdy młoda góralka coraz się lepiej rozwijała w towarzystwie żywej i serdecznej Włoszki, przeznaczono jakieś popychadło do noszenia sztalug, a Teklusia awansowała na pannę i wdziała strój szlachecki. I tak jej było do twarzy w tym stroju, jak dawniej w góralskim; bo idąc za wrodzonym instynktem estetyczności, nabrała już układu zupełnie szlacheckiego, i zaczęła wyglądać w rańtuszkach i gorseciku góralskim jak przebrana na maskaradę. Signora Fiametta zajmowała się nawet umysłowem wykształceniem swęj towarzyszkki; nauczyła ją co-

kolwiek po włosku, ucząc się od niej po słowacku, i niezadługo doskonale się rozumiały te młode kobiety, chociaż łamanym przemawiały językiem.

Ale zato musiała się czasem Teklusia odwiedzować swęj pani w sposób trochę dziwny dla gór wychowanki. Włoszka namiętnie lubiła rysować z natury, nietylko widoki, zwierzęta, ale i ludzi; ćwiczyła się zaś najwięcej w rodzaju mitologicznym, w którym się plastyka najlepiej uwydatnia. Otóż biedna Teklusia musiała swęj pani służyć nieraz za model, pomimo wstrętu do tych posiedzeń obrażających skromność jej dziewczęcą.

Włoszka nikomu nie dała pokoju, gdy jej szło o wykonanie jakiego mitologicznego rysunku. Na jednym z jej obrazów pozostałych w galeryi zamku niedzickiego znajdujemy Amora i Psyche, wystawionych w ubiorze nadzwyczaj lekkim. Amor, nadobnych kształtów młodzian ze skrzydłami, to nasz Jasiek, a biedna wstydliva Psyche, to Teklusia. Tylko że w jednym czasie oboje nie schodzili się nigdy u Włoszki. Teklusia nie wiedziała że na obrazie Jasiek stać będzie przed nią, a Jasiek nie wiedział że Teklusia siedzieć będzie przed nim; — a gdy się po skończeniu malowidła ujrzeli tak podobnemi i w takim stroju, wówczas Teklusia rozplakała się i przez trzy dni i trzy nocy płakać nie przestała, a Jasiek się przeżegnał i klął na Włoszkę przez miesiąc cały.

Nie zaniedbywał się i nasz hajduk w zamku niedzickim. Już daleko lepiej strzelał od swego pana, zwierzęta wypychał tak dobrze jak on, a nazwiska i własności wszystkich roślin okolicznych znał najdokładniej. To też z hajduka został wkrótce pomocnikiem, i sam hrabia Janusz, uznając że wyższa dusza tkwi w jego poddanym, sprawił mu czamare i uczyć go kazał po madziarsku i po niemiecku.

A nikt się nie domyślił że Jasiek i Teklusia znają się od dawna, że się kochają w sobie namiętnie, że się widują pokryjomo.

Taki stan rzeczy trwał tylko półtora roku, bo zwolna jakieś zmiany fatalne zaszły w położeniu mieszkańców zamku niedzickiego. Kapela pana hrabi rozpiła się; na czeskich nosach drezdeńskie wykwitły narośle; pan Buttler rozpał się na zwierzynie i nie chciał już botanizować; signora Fiametta zbyt często się rozmiłowała w plastyczności jednego modelu; hrabia Janusz nareszcie, widząc co się dzieje, zatęsknił do Londynu, Paryża i Rzy-

mu, rozpuścił nauki i sztuki piękne, dobra wydzierżawił Żydom, i pożegnał się na długo z krajem swym rodzinnym.

Lecz wyjeżdżając nie zapomniał o Jaśku i Teklusi, których pokochał tak szczerze i serdecznie, jak tylko znudzona dusza nowożytnego magnata pokochać coś może. Więc każde z nich obdarzył wolnością i trzema tysiącami reńskich, z warunkiem że Jasiek wstąpi do wojska i służyć będzie przynajmniej aż do dwudziestego czwartego roku życia, a Teklusia wejdzie do klasztoru i tam zostanie do lat dwudziestu jeden skończonych. Dopiero wówczas darowana kwota miały być wręczoną jednemu i drugiemu; na kosztą zaś pobytu w wojsku i w klasztorze hrabia Pałoczaj przeznaczył oddzielny jeszcze fundusz.

Odwołania żadnego nie było od tego wyroku.

— Więc ty, Teklusi moja, pozostać musisz w klasztorze o jeden rok dłużej jak chce hrabia, to jest do lat dwudziestu dwóch, aż ja się dosłużę oficerstwa i skończę rok dwudziesty czwarty; a potem ja z wojska wystąpię, pobierzemy się i weźmiem jaką dzierżawę tu blisko kolébki swojej.— Tak mówił stroskany Jan Nurek do Tekli Młeczko.

— Tak będzie, da Bóg doczekać, bo tak być powinno po tém co zaszło między nami, z westchnieniem odpowie Teklusia.

* * *

Pierwsze to było rozstanie od czasu jak się poznali Jan z Teklą, rozstanie na całe lat cztery. On wtedy miał lat dwadzieścia, ona zaledwo ośmnaście, ale pod względem rozsądku i hartu duszy oboje wiek swój prześcigli. Więc Teklę odwieziono do Koszyc i umieszczono jako pensyonarkę w klasztorze Urszulinek, których ksienią była jakaś ciotka hrabi Pałoczaja; a Jana odesłano do Pesztu i oddano jako kadeta do ósmego pułku huzarów, którego właścicielem był wuj Janusza, zacny feldmarszałek-porucznik Legedicz.

Tekla, pomimo nieśmiałości i mniej starannego wychowania, umiała podobać się wszystkim, kształciła się w naukach i robótkach kobiecych z pensyonarkami, z zakonniceami zaś chodziła do chóru na pacierze i śpiewy, jak prawdziwa Urszulinka. Tak szczerą ją duch pobożności ożywił, że poczeiwe zakonnice już w niej odgadywały przyszłą koleżankę, i niezmiernie się cieszyły z tak pięknej zdo-

byczy. Zakonnice wszystkich krajów chętnie zwabiają w swoje grono najmilsze córki Ewy, i zazdroszczą światu ich posiadania. Ale Teklusia pozostała wierną swój miłości, i może w części dlatego tak się rzewnie modliła, żeby Bóg czuwał nad losem kochanego Jaśka.

Jan Nurek, prześliczny huzar ze śmiałą twarzą i wysmukłą giętką kibicią, zachwycał swych starszych zwierzchników statecznością postępowania, młodszych dzielnością w męztwie i w jeździe konnej; rówieśnikom zaś imponował znajomością służby, zdobytą teoretycznie i praktycznie w książkach i na rewiach. Nie było lepszego żołnierza w całym pułku, ale też nie było lepszego kolegi. Sam żyjąc skromnie, wydawał dla przyjaciół większą część wyznaczonęj mu przez hrabiego Pałoczaja pensyi, a w sprawach honorowych zawsze się stawiał roztropnie i mężnie. Uznał w nim prawego huzara dzielny Legedicz, powoływał go często do siebie i w drugim już roku posunął na junkra. W półtora roku później Jan Nurek, za odznaczenie się w walce ze zbuntowanymi mieszkańcami Werony, został mianowany podporucznikiem, i sam feldmarszałek właściciel pułku wziął go na swego adjutanta, nie zważając na gminne nazwisko i nizkość urodzenia.

Otóż takim sposobem upłynął dla naszych kochanków termin czteroletniego rozłączenia. Jan Nurek podał się do dymissyi; lecz feldmarszałek Legedicz, zawsze pełen dobroci i rozumu, wysłuchawszy powody jakie go do kroku tego skłaniają, nie dał mu uwolnienia, tylko go odkomenderował na czas ograniczony i z pełnym żołdem do komitatu spiskiego, dla werbunku ochotników. Było to istotnie daleko więcej niż podporucznik Nurek mógł się spodziewać; bo taki fawor spotyka tylko starych, wysłużonych oficerów.

Z Lombardyi nasz bohater spieszy do Koszyc, ale z sercem bijącym, bo żadnej od lat czterech nie miał wiadomości od swój Teklusi; nie wie nawet czy żyje, a tém bardziej czy została mu wierną.

Ujrzał ją w rozmównicy klasztoru Urszulinek, piękniejszą i więcej kochającą jak kiedykolwiek; a gdy się zakonnice dowiedziały że ów wysoki, prześliczny huzar z czarnemi wąsami jest od lat dziesięciu kochankiem nieśmiałej tęsknookiej Tekli Młeczko, wówczas przejęte zgrozą nazwały ją skrytą obłudnicą.

W towarzystwie swój opiekunki, żony pełnomocnika hrabi Pałoczaja, puszcza się Tekla z Janem ku miejscu urodzenia, aby tam metryki wyjąć, ogłosić zapowiedzi i wziąć jaką dobrą dzierżawę.

Nie spieszcie się, ach! nie spieszcie, biedni kochankowie! Używajcie ostatnich chwil szczęścia! Opóźniajcie swe przybycie, bo nie wiecie co was czeka!

* * *

Już są w plebanii; przyjmuje ich ten sam sędziwy proboszcz, co kiedyś ich chrzczył, nauczał katechizmu i spowiadał. Czcigodny kapłan potężnie zaszedł w lata, i już przydany mu wikary zwykle go zastępuje w pełnieniu obowiązków duchownego.

— No i zkadże to Pan Bóg prowadzi? A mój Ty Wszechmocny Boże, jakże to ślicznie wyrosły owe biedne pastuszki! A któżby się był spodziewał że tu jeszcze wrócą, i to razem? No i cóż mi powiecie, moje dzieci kochane? Ale przedewszystkiem po kieliszku wina. Oh, już możecie w tym wieku; nie wstydzicie się dzieci wina.

Słowem przyjął ich proboszcz szczerze i gościnnie, prawdziwie po sławiańsku.

Nareszcie, po półgodzinnéj o rzeczach potrzebnych rozmowie, Jan mógł obznajmić księdza z przedmiotem swoich życzeń.

— Jakto? pobrać się chcecie? wy z sobą? Jasiek z Teklusią? krzyknie proboszcz, zrywając się z krzesła i łapiąc się za głowę.

— A cóż w tém dziwnego, dobrodzieju? spyta Jan Nurek.

— Co w tém dziwnego? A bogać nie dziwnego. Toć to jest rzecz najdziwniejsza jaka mi się w życiu przytrafiła! Nie, moje dzieci, wyperswadujcie sobie tę żeniączkę! Otóż wam powiem po prostu, tylko tam tego nie rozgadujcie, że już i tak łączą was nierozdzielne, ręką natury skojarzone węzły.

— Nie rozumiem, księżo proboszczu, nic z tego nie rozumiem, rzecz huzar, blednąc jak ściana.

— Nie rozumiesz? Jakto, więc nie domyślasz się wcale czemu pan hrabia tak się czule losem waszym zajmował? No, jedném słowem, po co obwiązać w bawełnę? Prawo kościelne zabrania ślubów pomiędzy rodzeństwem, a wyście brat i siostra.

Okropny, przerażający był widok cierpienia tych dwojga istot kochających, strąconych nagle z nieba swoich marzeń, a strąconych bez nadziei! Pleban już sobie wyrzucał, że nierozważném wyrze-

zeniem stanowczego słowa zbyt srogo, zbyt niespodzianie wychowawców swoich dotknął, i właśnie przemyślał nad tém jakby ich pocieszyć, — gdy młody wikary, niemy dotąd świadek téj sceny, odezwał się głosem uroczystym:

— Dzieci, nie poddawajcie się rozpacz! Czyż nie wiecie że zastępcy Chrystusa na ziemi służy prawo przebaczenia, prawo rozwiązywania i zawiązywania wszelkich węzłów łączących ludzi? Udajcie się do podnóża papieżkiego tronu, a smutek wasz może zamienić się w radość!

Głos wikarego wlał jakąś ufność w serca biednych kochanków, zwłaszcza gdy i proboszcz, przestraszony skutkiem słów swoich, zaklinał się na wszystkie świętości, że nieraz już papieże zezwalali na połączenie rodzeństwa węzłem ślubnym i zaręczał że to nie grzech śmiertelny przecież kochać się w sobie, nie wiedząc o zachodzącém pokrewieństwie.

— Wszystko jest przewidziane w prawodawstwie kościelném, rzecze wikary, i na wszystko jest rada. Ty, bracie Janie, pospiesz do Rzymu, rzuć się na kolana przed ojcem świętym, wyznaj mu wszystko, i w końcu na poparcie swéj prośby przypomnij mu, że niegdyś, właśnie przed dwustą laty, surowy papież Innocenty X Pamfili zezwolił na związek małżeński między Stanisławem z Kunowy Oświecimem, dworzaniem króla Władysława IV, a siostrą jego przyrodnią, słynną z wdzięków Anną Oświecimówną (1). Dodaj jeszcze że oprócz nas tu obecnych i hrabi Janusza Pałoczaja nikt nie wie że między wami zachodzi pokrewieństwo, przeto łaska wyjątkowa Jego świętobliwości nikogo nie zgorszy, a wam powróci szczęście i spo-

(1) Patrz „Starożytności galicyjskie“ Żegoty Paulego. Lwów 1838. W Krosnie znajduje się wspomniały grób brata i siostry Oświecimów i ich wizerunki, podobno przez Van-Dyka wykonane. Napłs łaciński na grobowcu najwyraźniej przemawia o wzajemnej miłości Stanisława i Anny.

Patrz także „Starożytną Polskę“ Balińskiego i Lipińskiego, Warszawa 1844. Tom II str. 687 i 688, oraz „Listy z podróży archeologicznej“ drukowane w Gazecie Warszawskiej z r. 1852.

Karol Szajnocha w swych „Szkicach historycznych“, Lwów 1854, inaczéj rzecz przedstawia, dowodząc że Stanisław i Anna byli dziećmi jednego ojca i jednéj matki, i że wzajemne ich uczucia nie wychodziły nigdy z granic przywiązania rodzinnego. Powyższe jednak podanie istnieje między ludem okolicznym.

kój sumienia. Nie wątpię o skutku pomyślnym tego kroku, bo ojciec święty, dopiero nam od półroku panujący, anielskie ma serce, i snadniej się pewno ulituje nad tobą, grzesznikiem mimo wiedzy, jak kiedyś Innocenty X nad pożądaniem magnata polskiego, za którym aż król i prymas wstawiać się musieli.

Podporucznik Nurek poszedł za radą światłego księdza wikarego: wrócił do Włoch i uzyskał od swego dowódcy, feldmarszałka Legèdycz, list polecający do jednego z kardynałów, który mu ułatwił posłuchanie u Jego Świętobliwości. Ojciec święty wybaczył to co zaszło, i udzielił proboszczowi w Niedzicy pozwolenie połączenia węzłem ślubnym Jana z Teklą.

Spieszmy nasz bohater, upojony radością, do Niedzicy i znajduje Teklę tęskniącą, pozbawioną prawie nadziei.

— Tekło! żono moja! Oto podpis samego ojca świętego! krzyknie Jasiek, klękając przed Teklusią.

Lecz biedna Tekla uległa gwałtownemu wzruszeniu. Jak kwiat po nocnym przymrozku ogrzany słońca promieniem, pochyliła się, omdlała i umar-

ła z radości,— umarła w najpiękniejszej chwili życia, zupełnie tak jak przed laty nadobna Anna Oświecimówna.

Widać że to nie musi być zgodne z wyrokami Opatrzności, iżby krew jedna i ta sama łączyła się z sobą w małżeństwie. Szczególniej w naszym kraju, którego przeszłość nosi charakter tak surowo moralny, sam Bóg nie dopuszcza, jak się zdaje, związków kazirodnych. Że zaś przyroda je potępia, o tém wiedzą lekarze, naturaliści, gospodarze, myśliwi i ptasznicy.

W rok może po zgonie Tekli Mlęczko przywieziono do Niedzicy rotmistrza huzarów Jana Nurka, ciężko rannego pod Welencze w bitwie przeciw Kroatom, dnia 29 sierpnia 1848 roku. Umarł w miejscu rodzinném, i pochowanym został obok Tekli na tym samym cmentarzu, na którym spoczywają ich matki.

Skromny pomnik wznoszący się nad ich mogiłami jest dzisiaj celem pielgrzymek nieszczęśliwych kochanków z okolic sąsiednich, podobnie jak w Paryżu grobowiec Abelarda i Heloizy.

DWIE NOWE PODRÓŻE DO CHIN

odbyte w latach 1843—1846 i 1848—1850

PRZEZ ROBERTA FORTUNE.

Uczony z którego podróży zamierzamy tu zdać sprawę, podwakroć odbył drogę z Londynu do państwa Niebieskiego, nie w celu spekulacyjno-handlowym lub w missyi dyplomatycznej, ani też wiedziony gorączką ciekawości współrodakom jego właściwą. Wyprawa jego miała dążność nierównie poetyczniejszą: p. Robert Fortune wybrał się do Chin dla zbierania kwiatów.

A nie sądźcie, czytelnicy, aby podróżny nasz w missyi tak skromnej, tak pełnej uroku, poprzestał na dotknięciu gdzieś stopą tej odległej krainy Wschodu, jak to zwykle czynią turyści angielscy, którzy pobywawszy przez dni kilka w każdym

z pięciu portów otwartych dla Europy, wracają do domu z głębokim przekonaniem że poznali Chiny. Nie, nasz botanik goniąc za nieznanymi kwiatami, których korony i kielichy wyobraźnia jego w najcudowniejsze przyodzięwa barwy, przeniknie aż w serce kraju; żyć będzie nie z hurtownikami portów nadbrzeżnych, których wspaniała gościnność olśniła tylu cudzoziemców, nie z mandarynami słusznie uznanymi za największych w świecie kłamców, ale z ludem, z ogrodnikami, rolnikami i bonzami; zmuszony przywdziać tradycyjny strój chiński, nie wyłączając przyprawnego warkocza, by dostać się niepoznany w głąb państwa Niebieskiego; zmu-

szony żyć jak Chińczyk i używać przy stole, aby nie umrzeć z głodu, owych pałeczek, tak niedokładnie w ręku niedoświadczonego Europejczyka zastępujących łyżkę i widelec.

Widoczna więc że opis p. Fortune musi być pełen zajęcia i prawdy, bo schwycił życie Chińczyków, iż się tak wyrazimy, w czynie, mimo ich wiedzy i woli, a zatem najtrafniej i najprawdziwiej. Przekonywamy się z niego że Chińczycy koniec końcem są ludźmi tak jak wszyscy, że w kraju ich znaleźć można i niezłe oberże i bardzo poczciwe zasady, że drogi i rzeki przebywa się tam z mniejszą wprawdzie szybkością, ale z równym bezpieczeństwem i z większym urozmaiceniem jak w wielu krajach szczyjących się wysoką cywilizacją.

Pan Robert Fortune w dwutomowym swém dziele poświęcił kilka rozdziałów specjalnemu przedmiotowi swojemu: botanice, ogrodnictwu, uprawie roli, herbaty i t. p. Geograf znajdzie w niém opis prowincyj: Kuang-Tung (Kanton), Fu-Kian, Tsze-Kiang, Kiang-Si, Kiang-Nan i An-Hoei, wzbogacony ciekawemi wskazaniem o fizyognomii miast wewnętrznych.

Pierwszą swą podróż p. Fortune rozpoczął w r. 1843, a trwała ona trzy lata. W tym czasie nasz uczonego przebiegł znaczną część państwa Środkowego, czyniąc badania pod względem ogrodnictwa i botaniki, a powróciwszy do Anglii, wydał jako owoc swojej pracy dzieło pod tytułem: „*Trzy lata wędrówek po Chinach północnych.*“ W r. 1848 przedsięwziął drugą podróż, w której, według instrukcyi biura kompanii wschodnio-indyjskiej, obznajmiać się miał szczególnie z hodowaniem i przyrządzaniem herbaty. Powtórnej téj wyprawie poświęcił dwa lata, i ogłosił w r. 1852 rezultat jęj pod tytułem: „*Okolice herbaciane w Indyach i Chinach.*“

Dziela te zaraz po wyjściu zwróciły na siebie uwagę prasy angielskiej i zagranicznej, i w krótkim czasie dostały zaszczytu przetłumaczenia na kilka języków europejskich. Jedno z nich, ogłoszone przez p. Hachette w Paryżu, obejmuje głównie (z pominięciem rzeczy czysto naukowych) część malowniczą podróży, opisy zwyczajów, obyczajów i charakterów, sumiennie i zajmująco przez autora skrócone, i to właśnie służy za podstawę niniejszego sprawozdania.

Dawne przysłowie chińskie, przytoczone przez

ojca Du Halde, mówi: „Raj jest wysoko, lecz prosto pod nim są miasta Su-Chao i Hang-Chao.“ Zwiódźmy je więc w towarzystwie p. Fortune, w którym wybornego mieć będziemy przewodnika.

„Kto tylko sam był w Chinach, albo się bliżej obznajmił z ich historią, temu obce być nie może nazwisko miasta Su-Chao-Fu (Tszu-Tszu), stolicy departamentu tegoż nazwiska w prowincyi Tsze-Kiang. Wejdźmy do pierwszego lepszego sklepu w Hong-Kong, kantonie, lub którémkolwiek inném mieście południowém, i zapytajmy o cenę jakiego przedmiotu, to niezawodnie przekupień zachwalając go wtrąci, że sprowadził go z Su-Chao-Fu. Załadajmy czegoś droższego, wykwintniejszego, a odpowiedzą nam niechybnie że trzeba to zapisać z Su-Chao-Fu. Jest to raj ziemski Chińczyków, i nie znajdzie pomiędzy nimi ani jednego któryby dał się przekonać, że istnieje coś na świecie równie pięknego..... W śliczny wieczór letni, 23 czerwca 1844 r., ujrzałem poraz pierwszy mury tego miasta. Księżyc w pełnym przyświecał blasku, a mały mój statek, potrącany lekkim powiewem chłodzącego wiatru, ślizgał się szybko po powierzchni wody dwojącej jego maszty i żagle. Po kanale mnóstwo uwijało się łodzi; domostwa po brzegach coraz częstsze, okazalsze i ludniejsze, latarnie noszone przez mieszkańców migocą jak robaczki świętojańskie. W kilka minut stajemy pod murami słynnego grodu Su-Chao, i przedsięwziawszy wszelkie jakie tylko obmyśleć można środki ostrożności przeciw złodziejom, (1) usnęliśmy wszyscy czterej: ja, mój służący i dwóch przewoźników.

„Nazajutrz zerwałem się równo ze świtem, i ubrawszy się bardzo starannie przy pomocy służącego krajowca, posłałem go za wyszukaniem ogrodników i kwiaciarzy. Sprytny Chińczyk powrócił wkrótce z adresami, a ja z nim razem udałem się do miasta. Wyznaję że w chwili opuszczenia statku dosyć byłem niespokojny o wypadek téj wycieczki; bo lubo przebyłem już znaczną część kraju bez żadnej przykrości, uchodząc wszędzie za Chińczyka, wiedziałem przecież że mieszkańców miast wielkich nierównie trudniej podejść jak wieśniaków. Jedna tylko okoliczność dawała mi otuchę na samym zaraz wstępie: psy miejskie nie zdawały

(1) Podróżnik nasz niedawno przedtém okradziony został ze szczętem w nocy pod murami miasta Kading.

się poznawać we mnie cudzoziemca; zwierzęta te bowiem, bardzo w Chinach złośliwe, dziwny wstręt mają do obcych, ścigając ich szczekaniem i kąsaniem daleko poza obręb wsi swojej lub domu.

„Gdym wszedł na most prowadzący do wnętrza miasta, zastałem tam mnóstwo ludu przypatrującego się próżniaczo ruchowi statków. I ja się zatrzymałem, spoglądając na tłum ten radosny i szczęśliwy z uczuciem jakiegoś dumy, z tryumfem spowodowanym myślą że jestem w najwykwintniejszym mieście państwa Niebieskiego, gdzie jeszcze nie postąpił Europejczyk. Nikt na mnie nie zwracał uwagi, mogłem więc wnosić że niczym nie różnię się od innych. Jakżeby wielkiem było zadziwienie przechodniów, gdyby im kto był powiedział w tej chwili iż Anglik znajduje się między niemi!

„Miasto Su-Chao w ogólnych swych zarysach podobne jest do innych miast północy, widoczna jednak że to stolica zbytku i bogactwa. Wspaniały kanał, tak szeroki jak Tamiza pod Richmond, bieży równolegle od murów, posługując zarazem czystości i handlowi. Podobnie jak w Kading i Ta-Tong-Tseu mnóstwo dżonek do żeglugi niezdatnych służy tu za mieszkania, bardzo jak mniemam, przyjemne dla ludu tak lubiącego pobyt na wodzie. Kanał ten na liczne rozdziela się odnogi, które najodleglejszych sięgają dzielnic, zapewniając tym sposobem mieszkańcom możność sprowadzania towarów aż pod progi swych domostw. Dżonki i statki różnego kształtu i rozmiarów krążą po nim bezustannie, a całe miasto przedstawia widok zamocności i ruchu, jaki znaleźć chyba można w Kantonie i Shang-Hai. Okalające je mury, wysokie bardzo i dobrze utrzymane, podobne są do murów Ning-Po i tworzą ogromny równoległobok. Strona którą wszedłem do miasta jest może najniepozorniejszą; ulice tu ciasne, brudne, i ludność zdaje się należeć do niższych warstw społeczeństwa; ale w części zachodniej i domy i ulice nierównie okazalsze, a sklepów wykwintnych mnóstwo; słowem wszystko dowodzi że tam jest gniazdo arystokracji pieniężnej. Bram miejskich pilnują żołnierze, a nadto ulice i uliczki poprzegradzane są w pewnych odległościach baryerami zamykanemi codziennie między dziewiątą a dziesiątą wieczorem. W Su-Chao mieszka także gubernator jeneralny prowincyi, utrzymujący wyborną policją.

„Kobiety miasta Su-Chao uchodzą za najpię-

kniejsze w całych Chinach, i jeśli sądzić mi wolno z próbek jakim widział na ulicy, to rzeczywiście zasługują na tę sławę. Ubiory ich w ogólności strojne, pełne wdzięku i smaku; zarzucić im tylko muszę, jako niepojmujący podobnych zalet barbarzyńiec, powszechne w państwie Niebieskiem krępowanie nówek i malowanie twarzy. Ale te, w moich oczach, wady najwyższy właśnie powab stanowią dla Chińczyków.

„Su-Chao zdaje się być składem towarowym prowincyj środkowych, i położenie téż jego bardzo temu sprzyja. Handel Ning-Po, Hang-Chao, Shang-Hai, Chin-Kiang-Fu, Nankinu i samego nawet Pekinu skupia się tu za pomocą wielkiego kanału i licznych jego odnóg łączących wszystkie te miasta.“

W powtórnej dopiero swój podróży p. Robert Fortune zwidził Hang-Chao (Hang-Tszeu), niegdys stolicę kraju Song czyli Chin południowych, a dziś stolicę prowincyi Tsze-Kiang.

„Zbliżyliśmy się do najpiękniejszej części kraju, mówi nasz autor, do ogrodu cesarstwa, bo takby nazwać trzeba okolice Hang-Chao-Fu, jednego z pierwszych miast najbogatszej prowincyi chińskiej.

„Wieczorem dnia 22 października 1848 r. łódź nasza zatrzymała się pod murami miasta, gdzie przepędziliśmy noc pośród floty niezliczonych statków różnego rodzaju i rozmiarów. Nie miałem koniecznej potrzeby wylądować w Hang-Chao, a żem się poprzednio nasłuchał niemało o czujności tamecznych mandarynów, nie pragnąłem więc pokusać się o przebycie tego miasta. Przed opuszczeniem jeszcze Shang-Hai przewodnicy zapewnili mię że łatwo bardzo ominiemy Hang-Chao, a nawet wręcz mi radzili bym nie narażał się na próżno, ale puścił się raczej ku jezioru Si-Hu, gdzie zostawiwszy naszą łódkę, mieliśmy najać tragarzów co by nas w krzesłach zanieśli do Tsien-Tiang-Kiang czyli rzeki Zielonej, celu tegorocznej méj podróży. Naturalnie więc, skorośmy wpływali w przedmieścia Hang-Chao, sądziłem że to Si-Hu, bom się domyśleć nie mógł że mnie podeszli przewodnicy, z którymi i słudzy moi byli w zмовie.

„Nazajutrz, najawszy krzesło i tragarza, puściłem się w drogę, spodziewając się lada chwila wyjść na otwarte pole; ale z największym zadziwieniem mojem coraz głębiej zapuszczaliśmy się w labirynt

ulic, należących widocznie do miasta ludnego i zamownego. Zaczynałem przeczuwać prawdę, lecz nie czas już było cofnąć się; rad nierad musiałem zdać się na Opatrzność.

„Bram wewnętrznego miasta, do któregośmy wkrótce przybyli, strzegły oddziały wojska, jak zwykle w miejscach ważniejszych; ulice były ciasne, w porównaniu do miast europejskich, ale czyste i porządnie brukowane. Hang-Chao téż pod względem politycznym i handlowym niepoślednie ma znaczenie. Jest stolicą prowincyi Tsze-Kiang, siedziskiem naczelnych mandarynów i kupców najznakomitszych; słowem dla Tsze-Kiang gród ten taką samą ma ważność, jaką dla Kiang-Nan ma Su-Chao.

„Mury tego *raju ziemskiego* zajmują, według podania, czterdzieści *lis* rozległości (*lis* równa się 250 metrom), lecz zamykają w sobie wiele ogrodów i placów niezabudowanych. Z tém wszystkiém liczba domostw i mieszkańców mnsi być bardzo znaczną. Sir Jerzy Staunton utrzymuje że Hang-Chao razem z obszernymi przedmieściami równa się wielkością Pekinowi.

„Uważałem w kilku miejscach łuki tryumfalne wzniesione dla sławnych ludzi, świątynie budystowskie świetnie przyozdobione; ale jakkolwiek ciekawe to pomniki pod względem starożytności i stylu, twierdzić przecież mogę bez zarozumienia, że ani je porównać do arcydzieł europejskich w tym rodzaju.

„Sklepy tak są urządzone, że przechodzący widzieć mogą dokładnie wszystkie w nich towary; spostrzegłem szczególnie mnóstwo wyrobów złotniczych i jaspisów rzeźbionych. Dużo jest także magazynów bławatnych, i jeśli sądzić wolno po liczbie indiwiduów noszących suknie jedwabne, to handel tkaninami tego rodzaju musi być bardzo kwitnący. Mieszkańcy Hang-Chao kochają się w przepychu, a mianowicie w wykwintném ubraniu. Służba nawet moja zwracała uwagę na różnicę zwyczajów w Hang-Chao i kraju ich rodzinnym. „U nas, mówili, wielu jest bogatych, lecz ubierają się skromnie, gdy tymczasem w Hang-Chao wszyscy noszą hafty, atlasy, krepy i jedwabie. Trudno tu poznać kto bogaty a kto ubogi, bo ludzie noszą nieraz na grzbiecie cały swój majątek.“

Udajmy się teraz za naszym podróżnikiem do chińskiej oberży.

„Przybyłem nareszcie bez wypadku do Kan-Du. Przez całą drogę nie widziałem swojej służby, i okoliczność ta zaczynała mię niepokoić. Tragarze mówili narzeczem zaledwo dla mnie zrozumiałém; to jedno tylko pojąłem z ich gawędy, że niosą mię do *hong-li*; ale co znaczy *hong-li*, tego zgadnąć w żaden sposób nie mogłem.

„Nakoniec ujrzałem *hong-li* zapowiedziany, i przekonałem się z wielką radością że to nie mniej ani więcej tylko prosta oberża, wcale nawet czysta i okazała na oko. Zsiadłszy z krzesła udałem się do wspólnej sali, gdzie w stosie różnych pakunków spostrzegłem i swoje rzeczy, przyniesione tu przez służących. Odetchnąłem swobodniej, bo już je prawie miałem za stracone.

„Oberża w której stanąłem był to gmach starożytny, obszerny, w przyjemném położeniu nad brzegiem rzeki Zielonej. Dolną salę zajmowały pakunki podróżnych i towary, a w jednym jej końcu umieszczono stół ogromny, przeznaczony na wspólne biesiady. Siedziało przy nim ze sześciu Chińczyków, kurząc długie fajki bambusowe i rozmawiając o sprawach handlowych. Zająłem przy nich miejsce, i aby nie wyróżniać się niczém, zapaliłem także fajkę. Nikt téż nie zwracał na mnie uwagi: miałem minę prawdziwego Chińczyka i czułem się swobodnym jak w domu.

„Jedna tylko okoliczność, o której dziś wspomnieć nie mogę bez śmiechu, nabawiła mię trochę kłopotu. Nadeszła godzina obiadowa, a ponieważ nic nie jadłem od rana, czułem więc wilczy apetyt. Ale na ten raz, niestety, musiałem go powściągnąć, i zrobić sobie przykrość bardzo wielką, dla fraszki bardzo małej. Od trzech lat nie używałem pałeczek chińskich do jedzenia; wątpilem przeto słusznie czy będę umiał zręcznie niemi władać. Nie pamiętałem o téj drobnostce, bo byłbym się wprawiał na statku w drodze z Shang-Hai do Chang-Chao. Teraz, odwykły zupełnie od obracania tych dowcipnych narzędzi, obawiałem się zwrócić uwagę sąsiadów swoich przy stole, których naturalnie widok Chińczyka niby, a nie umiejącego jeść po chińsku, w najwyższym stopniu musiałby zadziwić. Zmuszony więc byłem z żalem wyrzec się zupełnie obiadu.

„Dano na stół i przyzywano biesiadników po nazwisku. „Sing-Wa, Sing-Wa! (takie było moje imię przybrane) zawołano, prosimy do obiadu!“

Miałem wielką ochotę poprobować szczęścia, ale roztropność przemogła; odrzekłem więc spokojnie: „Dziękuję wam, będę jadł później, gdy powrócą moi słudzy.“

„W godzinę po tém zdarzeniu byłem już na statku najętym przez służących, którym nazajutrz ze świtem popłynąć miałem dalej.“

Widziemy z powyższych przytoczeń że książka p. Fortune napisana jest zajmująco i przystępnie, że odpowiada w zupełności trudnemu do spełnie-

nia zadaniu, by razem nauczać i zabawiać. Radzi-
byśmy jeszcze obznajmić czytelników z częścią spe-
cyalną tego dzieła, a mianowicie z uprawą i przy-
rządzeniem herbaty; lecz założenie to za dalekoby
nas powiodło. Wspomnimy więc tylko jeszcze, iż
według twierdzeń naszego podróżnika, opartych
na niezbitém doświadczeniu, herbata zielona i czar-
na są jedną i tą samą rośliną, ostatniej zaś barwę
ciemniejszą i własności drażniące nadaje domię-
szanie błękitu pruskiego.

JASZCZURKI.

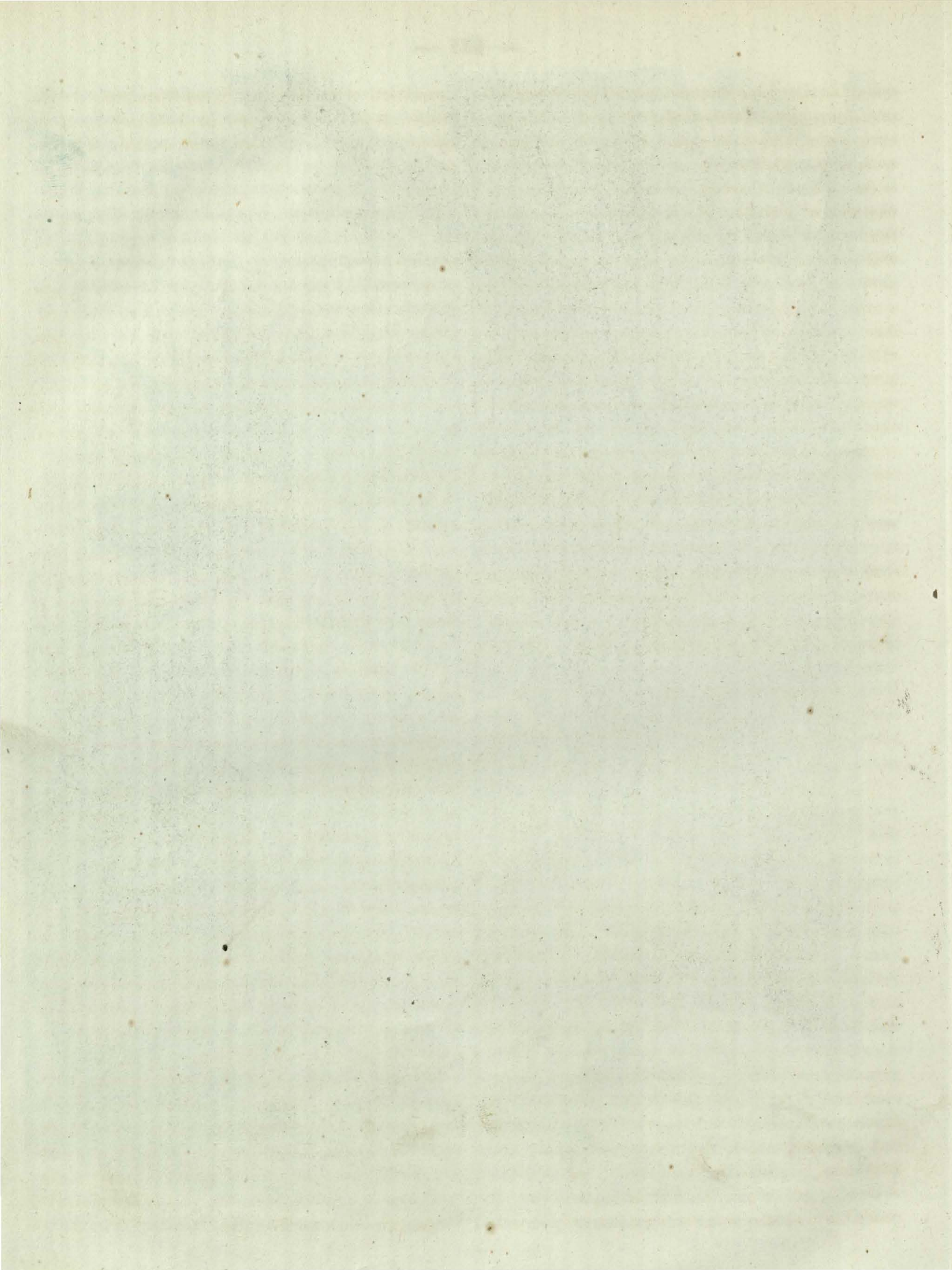
Daleko wcześniej nim pierwsze posłanniki wio-
sny, przelotne ptaki, się ukażą, nim wabienie wie-
czorne bekasów zacznie się rozlegać w mroku wie-
czornym, nim pierwsza jaskółeczka, siedząc na
dachu, swoim świegotaniem śpiocha rozbudzi,
nim melodyjne gwizdanie wywielgi rozwijającą się
zieloność powita,—wychodzą miluchne jaszczurki
ze swoich kryjówek. Zaledwie słońce zniszczyło na
południowej pochyłości wzgórzka twardą pokrywą
zimy, alisci skowronek i świegotliwy szpak wyszu-
kują pożywienia na miejscach wolnych od śniegu,
a zięba i trznadel ich smutne wabienie się śpiewem
urozmaicają. W téj wczesnej porze, kiedy natura
zaledwie poczyna rozbudzać się z zimowego uspie-
nia, i jaszczurki odcykają z chwilowego letargu,
porzucają swe łoża i wygrzewając się promieniami
południowego słońca, czatują na wątłe komary, któ-
re właśnie z poczwerek wychodzą.

Przypatrując się tym objawom życia organiczne-
go, które z początkiem wiosny w całej przyrodzie
się nam przedstawiają, doznajemy niewysłowione-
go uczucia rozkoszy i najsilniej utwierdzamy się
w téj tak błogiej dla każdego szlachetnego serca
myśli, że i my kiedyś rozbudzimy się z czasowego
uspienia, że i my kiedyś zmartwychpowstaniemy.
Pierwsze odżywianie się roślin, skromne przyłascz-
ki, woniejące fijołki, najobojętniejsze w innéj
porzez wierzęta, począwszy od zimowego pająka
(Wolfspinne), który opiérając się słońcu, wiatrom,
i dęszczowi, przelazi śniegowe wysepki, aż do wę-

drownych gości, przelotnych ptaków, wszystko nas
zachwyca i czią ku Najwyższemu Stwórcy napeł-
nia. Tegoż samego uczucia bezwątpienia dozna-
my gdy usłyszemy wtedy szelest pierwszój jaszczur-
ki przesuwającój się po suchej trawie na miedzy
i opadłych z krzewów liściach. Trzeba bowiem
wiedzieć że jaszczurki należą do zwierząt naj-
wcześniej pokazujących się na wiosnę, a nawet
niekiedy w czasie łagodnej zimy, w dniu jasne
i ciepłewychodzą ony ze swoich kryjówek,
gdzie znowu na jakiś czas przed mrozem chronić
się muszą.

Zwierzątka te mają głowę małą, nad oczami roz-
szerzoną; na jój wierzchu znajdują się tarcze, któ-
re do rozróżniania rozmaitych gatunków służą.
Urządzenie oczu jest prawie takie same jak u pta-
ków. Otwory słuchowe są wyraźne, lecz nie mają
słuchowej małżowiny, a bębenek leży równo z gło-
wą; jama bębenkowa jest niedokładnie odgrodzo-
na i łączy się szeroką szparą z tylną jamistością
gęby, której zdaje się być przedłużeniem tylko; sło-
wem przyrząd słuchowy jest daleko mniej zupełny
niżeli u zwierząt ssących a nawet ptaków. Jamy
nosowe słabo są rozwinięte, a zmysł smakowania
zdaje się być u nich dosyć tęp. Język jest bar-
dzo miękki, łatwo wysuwalny i na końcu rozdwo-
jony. Ogon u wszystkich gatunków przenosi dłu-
gość całego ciała. U nóg mają po pięć wolnych,
nierównych palców, uzbrojonych w ostre pazury.
Palce nóg przednich nie tak wydatnie różnią się





w długości jak tylnych. Całe ciało ich jest wysmukłe, miernie długie. Oddychanie ich jest powietrzne; lecz płuca uorganizowane w sposób nie bardzo sprzyjający wielkiej ich czynności. Komórki bowiem są bardzo wielkie, a zatem naczyniowa powierzchnia, z którą styka się powietrze, mało ma rozległości. Nie leżą one w jamie osobnej, ponieważ nie oddziela tułwa od odwłoka muszkuł przepony, a powietrze odnawia się wewnątrz nich z mniejszą łatwością niżeli u zwierząt wyższych. Jaszczurki, podobnie jak wszystkie gady, są zwierzętami o krwi zimnej i nie wyrabiają dość ciepła, ażeby ich temperatura wznosiła się nad atmosferyczną. Całe ich ciało ogrzewa się lub oziębia razem z powietrzem otaczającym, a te zmiany w temperaturze przeważnie wpływają na wszystkie ich funkcje. Ciepło dochodzące do 40 lub 50° zabija je, a zimno wstrzymuje w nich wszystkie zjawiska żywotne. W zimie, nie mogąc trawić materji nabranych do żołądka, nie przyjmują pokarmu, a niżenie się temperatury sprawia u nich letargiczne odrętwienie. Ich krew niezamożna jest w materje stałe, a jej eliptyczne kulki znacznieszą mają objętość niż u innych zwierząt. Skład przyrzędu do krążenia krwi jest tego rodzaju, że zachodzi zawsze bezpośredni związek pomiędzy układem naczyniowym krwi tętniczej, a układem naczyniowym krwi żylniej, tak iż te dwa płyny mieszają się i organa biorą krew niedokładnie utlenioną (ukwasorodnioną) pracą oddychania.

Teraz zwróćmy uwagę na ich cechy powierzchowne.

Skóra na jaszczurkach całkowicie jest pokryta łuskami, które różnią się wielkością i kształtem, stosownie do części ciała na której są umieszczone. I tak: grzbietowe, szyjowe i kadłubowe są małe, bardzo foremnie prążkowane; idąc ku ogonowi coraz bardziej się powiększają, tak że w końcu przechodzą w długie, wąskie łuski ogonowe. Łuski te są zakończone piórzastymi włoskami, co z powodu iż dachowato na siebie zachodzą, nadaje całemu grzbietowi aksamitny połysk. Po bokach ciała są one małe, okrągłe lub wielokątowe i nie mają piórzastych końców. Podobnie jak od głowy ku ogonowi, tak od grzbietu ku brzuchowi, łuski te powiększają się, i nareszcie na brzuchu mniej więcej w sześć wielkich szerokich rzędów przechodzą. Po bokach głowy znajdują się małe i wielkie wielokątowe

łuski, a pod spodem jej są właściwe wielkie tarcze. Szyja otoczona jest wokoło jakby obrózką z szerokich łusek, które się nie stykają z łuskami mniejszemi na brzuchu i na podgardlu leżącemi.

Spodnia część ogona ma podobne łuski jak wierzchnia, z tą różnicą że przy osadzie ogona nie są one piórzaste, dopiero przy jego końcu opatrzone piórzastymi włoskami. Przednia część nóg posiada wielkie, różnokolorowe, tylna zaś małe, ziarkowate łuszczyki. W górnej i dolnej szczęce, a u niektórych gatunków na podniebieniu, dają się widzieć ciemne, gęsto ustawione zęby. Na wewnętrznej części uda znajduje się szereg gruczołków potowych, zwanych porami goleniowemi. Gruczołki te są haczykowate i ukryte otworami rodzaj tłuszczy skórnej wydzielają. Ogon składa się z obrączek tak ułożonych, że środkowa przykrywa połowie dwóch przyległych. Jest on bardzo kruchy i łamie się na tyle części, z ilu krążków się składa. Skoro go oderwiemy przy osadzie, ujrzymy na oddzielonej części ośm twardych, mięsistych, wystających narostków, przy pośladku zaś ciała ośm takichże koniuszczków, które przedłużenie pierwszych stanowią. Gdy jaszczurka straci ogon, nowy jej natomiast wyrasta, który lubo przechodzi go niekiedy w długości i grubości, różni się jednak od pierwszego tem, że zamiast składać się z wielu chrząstek, stanowi jeden pasek chrząstki, a nadto jest nierówny, innego koloru. Jaszczurki nie mają wymion i podobnie jak ptaki z jaj się rozmnażają, które składają w ziemi, gdzie wpływem ciepła naturalnego w krótkim czasie zostają wylęgane. Jaja te są białe, delikatne, podługowate, z elastyczną, przejrzystą skórą. Liczba ich prawie nigdy 12 nie przechodzi. Niektóre gatunki, jak np. jaszczurka górna (*Lacerta montana*) bardzo późno je znoszą, tak że niekiedy w ich łonie się wylęgają.

Młode, jak skoro z jaj się wylęgną, wychodzą na wierzch, i żywią się same przez się, niezależnie od rodziców,

Mieszkaniem ich są trawą zarosłe miedze, zwaliska murów i kamionki, gdzie same sobie grzebią, albo też osiedlają się w norach poprzednio przez myszy zajętych. Wdrapują się one często na małe pochyle krzaki, a nawet szczególne południowe gatunki często na drzewach znaleźć można. Prawie nigdy nie oddalają się od swoich kryjówek, i lotem

błyskawicy uciekają do nich w razie grożącego niebezpieczeństwa. Można je wszakże łatwo ztamtąd wyprowadzić, wsuwając kłos słomy lub trawy. Wyskakują wtedy z nich natychmiast, czy to dlatego że obawiają się zasadzki, czy też że rozdrażnione tem niepokojeniem, chcą stawić opór napaśnikowi.

Są ony dosyć porywcze i kłują skoro je podrażnimy; ukąszenie to jednak nie jest zupełnie szkodliwe, gdyż zęby ich stoją tak gęsto i tak mało wystają z dziąseł, że kaléczyć niemi nie są w stanie; co najwięcej mogą uszczypać. Od małych gatunków żadnego śladu takie ukąszenie nie pozostawia, od większych jednak może być bolesnym. Niektóre gatunki są bardzo skłonne do walki, i z téj to zdaje się przyczyny można widzieć jaszczurki, szczególnie samce, z urwanemi ogonami; przekonanie więc ludu o ich złośliwości nie jest czczeniem uprzedzeniem, i porównywając z niemi złego a słabego człowieka, nie popełnia on wcale błędu.

Zabawnym jest bardzo widzieć podobną walkę; w tym celu robiono wiele doświadczeń, z których jedno dla wyjaśnienia charakteru jaszczurek przytoczymy.

Przez kilka dni utrzymywano w wielkim dzwonie szklanym samca z gatunku jaszczurek pospolitych. Następnie wsadzono do niego innego, świeżo złapanego, który natychmiast został pochwycony w łapy od pierwszego. Napaśnik zwolna podsunął się bliżej i dał najprzód nowemu przybyszowi kilka uderzeń głową. Gdy ten żadnej chęci do walki odporniej nie okazywał, ale starał się tylko jakimś sposobem uwolnić, pierwszy ponawiał ataki z taką natarczywością, że zmusił go do walki, która była tak zapalczywą, iż po chwilece obydwaj potracili ogony. Rozdzielono ich wtedy, lecz gdy po kilku dniach, chcąc się przekonać czy już ich gniew wzajemny ominął, puszczone je razem do tego samego dzwona, walka była ponowiona z podwójną zaciętością. Natarcie z obu stron było tak szybkie i zawzięte, że widzowie byli zdumieni; lecz jak przeszłym tak i tym razem później złapana jaszczurka była zwyciężoną. Chciała ona się zagrzebać w mech i ziemię, na dnie dzwona umieszczone, aby uwolnić się od starć zapalczywych; lecz wszystko to nic nie pomogło, pierwszy posiadacz był nieubłagany. Takie walki trwały przez dni kilka z małemi przerwami, dopóki ich wreszcie na dobre nie rozłączono.

Pożywienie jaszczurek stanowią muchy, komary, szarańcza i chrząszcze, które bardzo zręcznie nawet w czasie ich lotu chwytają. Gdy ujrzą jakiś owad z daleka siedzący, zwolna przyczolgują się doń na odległość jednego skoku, i wtedy lotem błyskawicy rzucają się na bezbronnego i niespodziewającego się napaści nieprzyjaciela, a tak są sobie pewne że rzadko kiedy chybiają celu. Nawet na daleko większe od siebie zwierzęta śmiało rzucają się i zwycięstwo nad niemi odnoszą. Chcąc zauważyć jak sobie radzą w podobnej okoliczności, robiono takie doświadczenie. Do skrzyneczki w której hodowano wielką jaszczurkę wpuszczono wierzchnim otworem wielką szarańczę. Jaszczurka, usłyszawszy szeslest, wysunęła głowę ze swojej kryjówki, a skoro ujrzała tak ponętny przysmaczek, bezzwłocznie się nań rzuciła. Lecz szarańcza jednym zręcznym skokiem uniknęła napaści. Nie ocalała przecież tém swego życia, bo jaszczurka ponowiła zaczepkę i to z takim powodzeniem, że najpierw jedną, potem drugą nogę jej złamała. Tak rozbroiwszy, schwyciła ją za łeb i bez ceremonii pożarła.

Gdy jaszczurka otwiera pysk, chcąc ukąsić, wydaje rodzaj syczenia, a pożarłszy jakiś owad, oblizuje się w taki sposób jak zwierzęta ssące.

Utrzymując i żywiąc jaszczurki przed długi przeciąg czasu, można je przyswoić a nawet do pewnego stopnia obłaskawić, tak że w godzinach w których zwykle otrzymują pożywienie zbliżają się do otworu i cierpliwie nań oczekują, a niekiedy nawet z ręki przyjmują pokarm. W niewoli trzeba im często świeżą wodę dostarczać, którą chciwie liżą. Na wolności dęszecz i rosa zastępują im wodę.

Mają ony wielu nieprzyjaciół tak pomiędzy zwierzętami ssącymi jak ptakami i gadami. Do zwierząt ssących które je tępią należą: *lis, tchórz i lasica*, ta ostatnia nie gardzi nawet jej jajami; z ptaków zaś: *orzeł myszolów, bocian, kania, kruk, sroka i sójka*, a z gadów: *wąż gładki, wąż wodny i żmija gzygzak* najwięcej ich niszczą.

Zdaje się nawet że same siebie zjadają, zdarza się bowiem widzieć niekiedy w ich żołądkach szczątki innych jaszczurek.

Na dołączonej tablicy są przedstawione trzy gatunki jaszczurki europejskiej, z których jeden mianowicie, *jaszczurka zielona*, i u nas się znajduje. Oprócz tych trzech opiszemy jeszcze jaszczurkę

pospolita, której rysunku nie zamieściliśmy, z powodu iż jest powszechnie znaną.

Jaszczurka pospolita (L. agilis) żyje prawie we wszystkich okolicach Europy. Natrafia się w różnych kolorach, szczególnie zaś siwa, siwo-brunatna, lub zielonawa. Przez grzbiet i ogon ma nieco ciemniejszą pręgę, plamy czarno obwiedzione i niewiele białych kropek. Spód ciała zwykle jest żółto-zielonawy lub jasno-siwy, po większej części z czarnymi plamkami. Dają się także widzieć, lubo dość rzadko, z podwójnym na grzbiecie rzędem plam, lub żółtymi, podługowatymi smugami. Samice mają niekiedy brzuch żółty. Żrenica oczu jest złocisto-połyskowna; opaska na szyi odstaje, łuski wzdłuż grzbietu leżące są podłużne, krawędziaste, boczne okrągławe, ogonowe zaś ostrokończyste. Długość ich nie przechodzi 5—6 cali.

Lubią przebywać pod płotami, krzakami, w kamionkach, w gruzach murów, między liśćmi na mchu i t. d. Na słońcu są bardzo wesole i żwawe. Żywią się owadami, zjadają także małe żabki a nawet niekiedy własne dzieci. Przed ludźmi nie bardzo uciekają. Przed nadchodzącą zimą zrzucają z siebie skórę i kryją się w wypróchniałe drzewa, rozpadliny murów, skał, i tam odbywają sen zimowy; obudziwszy się na wiosnę, znowu się lenią.

Samiczka znosi 5—8 jaj brunatno-białych, okrągławych, prawie tak wielkich jak jaja wróbli. Wylęgają się z nich młode w sierpniu ciepłym słońcem.

Wytepiają one wiele szkodliwych owadów; w niektórych okolicach bywają jadane i używane jako lekarstwo na trąd. Niekiedy napadają na ule pszczół nisko stojące.

Jaszczurka zielona (L. viridis) (fig. 1 i 2). ma pomiędzy uszami i oczami trzy wielkie, szerokie łuski, bezpośrednio przytykające do tarczy wierzchniej głowy. Pozostała przestrzeń między oczami i uszami jest pokryta wielą szczególnymi, mniejszymi łuseczkami. Długość nóg przednich równa się połowie długości kadłuba. Łuski grzbietu są mocno piérzaste i bardzo wąskie.

Jaszczurka zielona bywa rozmaitych kolorów; najpospolicij przytrafiające się samce (fig. 1) mają przez grzbiet szarobrunatny pasek, pokryty wielką liczbą jasno-brunatnych, okrągłych, czarno obwiedzionych plamek. Ogon szaro-brunatny, pyszczek, boki głowy i ciała są jasno-zielone; na tém tle są rozrzucone pojedyncze czarne łuseczki. Spód zielony.

Samica (fig. 2) jest szaro-brunatna, na grzbiecie i po bokach ma czarno-brunatne i żółtawe plamki; spodnia część jest słomiano-żółta lub zielono-żółta. We Włoszech znajduje się czerwono-grzbietna i jabłkowo-zielona odmiana, w Niemczech miedziano-szara, prawie jednokolorowa. Mieszkaniami jej są: Niemcy, Francya, Szwajcarya, Włochy, gdzie na miedzach, w krzakach i chróstach przebywa; u nas także w niektórych okolicach widzieć ją można.

Jaszczurka górna (L. montana) (fig. 3 i 4) ma na całej przestrzeni między oczami i uszami same małe, prawie równej wielkości łuski, które niekiedy jedna na drugiej są umieszczone. Długość nóg przednich wynosi $\frac{1}{3}$ długości kadłuba. Łuski grzbietu są słabo piérzaste, podłużne, ale nie tak wąskie i wielkie jak u jaszczurki zielonej. Bywa także rozmaitych odmian. Samiec przy głowie jest orzechowy. Ze środka grzbietu wychodzi pas ciemniejszy, tu i owdzie punkcikami rozjaśniony. Po bokach idą dwa paski nieco jaśniejsze, z miedziano-czerwonych plamek składające się, które ku głowie jasno-żółty kolor przybierają. Spodnia część żółta ze stalowym połyskiem. U samicy cała część wyższa jest ciemna, spodnia zaś szafranowo-żółta. Fig. 3 przedstawia samca z odłamanym ogonem, Fig. 4 samice.

Jaszczurka ta zamieszkuje górzyste okolice środkowych Niemiec; szczególnie lubi przebywać na wyniosłościach gór, w młodych lasach jodłowych. Ogon jej jest długi i gruby. Jaja składa bardzo późno, przed samem wylęgnięciem się młodych, i często zdarza się że w jej łonie się wylęgają.

Jaszczurka murowa (L. muralis) (fig. 5). Na przestrzeni między oczami i uszami ma bardzo wielką łuskę, która od tarczy głowy przez inną długą a wąską jest oddzielona. Wszystkie inne łuski tej przestrzeni są bardzo małe, wyjąwszy długą, wąską łuskę na przedniej części ucha umieszczoną. Długość nóg przednich wynosi $\frac{2}{3}$ części długości kadłuba. Łuski grzbietowe są okrągłe, bardzo małe, niepiérzaste. Jest ona najpiękniejsza ze wszystkich tu opisywanych gatunków. Samiec (Fig. 5) ma grzbiet szarobrunatny, z czerwono-miedzianym, metalicznym połyskiem. Przez środek ciągnie się podłużny, z punkcików złożony pasek. Cała górna powierzchnia wydaje się jakby wodą oblaną; po bokach znajduje się czerwono-brunatny pa-

sek, z czarnemi, siatkę tworzącemi prążkami, który ku ogonowi w białe i czarne plamy jest upstrzony. W Szwajcaryi i Wirtembergu mieszkająca odmiana, na załączonym rysunku przedstawiona, ma na bokach brzucha przepyszne lazuruwo-błękitne plamki.

Samica jest szarawa, nie tak połyskująca i paski ma mocniej odznaczone, w skutek czego nie można dostrzedz tego stopniowania kolorów jakie u samców widzieć się daje.

Gatunek ten jest najwysmuklejszy, najzwagszy i najzręczniejszy. Daje się najczęściej spotkać na murach winnic, na sterczących skałach, po których z wielką łatwością biega. Zamieszkuje południowe Niemcy, Szwajcaryą i Włochy.

Jest jeszcze wiele gatunków jaszczurek w innych krajach Europy mieszkających, lecz te, jako bardziej od nas odległe i rzadko się przytrafiające, mniej nas obchodzą, i dlatego opisywać ich tu nie będziemy.

Fr. L...ki.

O ROŚLINNOŚCI PRZED-ADAMOWEJ. (1)

I.

Tak samo jak skorupa ziemna zawiera w swém łonie szczątki przed-adamowych zwierząt, tak również znajdujemy pochowaną pod naszymi stopami przed-adamową roślinność. Przypatrując się kawałowi węgla kopalnego surtarskiego Islandyi (2), poznajemy wyraźnie że to jest drzewo (używa się nawet do palenia), lecz znajdujemy go na przemian z warstwami skał. W drzewie skamieniałym poznajemy jeszcze jego włókna; znaleziono całe pnie z ich gałęziami, zamienione jednak w twarde kamień, dający często przy krzesaniu ogień (chalcedon, opal, rogowiec). W glince łupkowej znajdujemy liście tak dobrze zachowane, iż poznać można rozgałęzienie ich żyłek.

Przykłady te nie są wzięte z roślin współczesnych; szczątki te należą do rozmaitych periodów

(1) Artykuł ten, pióra znakomitego naturalisty duńskiego Schouw'a, podajemy czytelnikom Księgi Świata w tłumaczeniu jednego z młodych zwolenników nauki ziemioznawstwa, pana T. A. W.....

(Przyp. redak.).

(2) Szczególny ten rodzaj węgla kopalnego, właściwego tylko Islandyi i wyspom Faroer, tworzy ogromne pokłady na stronie zachodniej Islandyi. Według Hornemanna i von Froila składają je głównie *populus tremula*, *populus takamahaka* i *pinus abies*. Porównaj Ebenezera Hendersona opis Islandyi T. II, str. 423 i następ.

(Przyp. tłumacza).

dziejów ziemskich, bo warstwy je przedzielające zawierają konchy morskie, muszle i ryby, i wskazują iż jako rośliny dawniejsze (głębiej położone) musiały uleść zniszczeniu, nim utworzyły się te które znajdujemy w nowszych warstwach.

Nie możemy się tutaj zapuszczać w opisy zupełnie różnych roślinności następujących po sobie w rozmaitych periodach. Mogłoby to tylko wtedy nastąpić, gdyby wiadome były tak warstwy skał, jak i główne kształty roślin. Ograniczymy się tedy na najdawniejszym periodzie, témbardziej że on właśnie najlepiej jest zbadanym i zarazem najwybitniejszym.

Badając rozmaite warstwy leżące na sobie, znajdujemy iż spodnie z nich, pomimo iż są osadzone z wody, niezawierają w sobie żadnego śladu ani zwierząt ani roślin, np. łupek ilowy; nazywamy je pierwotnemi, zaliczając zarazem do nich te które powstały przez ogień, i tém samém nie mogą zawierać żadnych szczątków organicznych. Ztąd wnosimy iż niebyło żadnych zwierząt ani roślin w periodzie w którym tworzyły się te rodzaje skał.

Na opoce pierwotnej leży kilka rodzajów skał zawierających z królestwa roślin tylko morszczyzny, lecz za to wiele zwierząt morskich; są to tak zwane skały przechodowe, bardzo rozpowszechnione i wszędzie podobne do siebie ze składu i sposobu warstwowania się. Zdają się ony należeć wszystkie do jednego periodu. Otrzymały miano

skalisk kamiennie-węglowych, periód zaś w którym powstały nazwano dawniejszym periódem węgla kamiennego. W skaliskach warstwowych tego periódu znajdujemy wielką bardzo ilość szczątków roślinnych i zwierzęcych. Węgla kamienne leżą warstwami, naprzemian z pokładami piaskowca i glinki łupkowej. Szczątki roślinne znajdują się najwięcej w glince łupkowej i kamieniu żelaznym. Lecz i piaskowiec zawiera podobne resztki, i znajduje w nim pnie dochodzące do 40 i 50' długości, często nawet prostopadle stojące. Dalej i węgle kamienne same uważać należy jako zmienione części roślinne, chociaż dotąd niepewny jest sposób ich przemiany. Mamy bowiem pod tym względem dwa przypuszczenia: albo że pokłady węgla kamiennego powstały z wielkiej masy pni naniezionych zalewami, lub też że wzrosły na tych miejscach w których je znajdujemy obecnie i przemieniły się sposobem takim jakim się dziś torf tworzy. Te wody znoszą pnie w wielkiej ilości; mamy tego przykłady na drzewie spławioném rzekami północnej Ameryki i Azji. Widzimy dalej na rzece Missisipi jak takie drzewo spławiane tworzy spójne pokłady na spodzie brzegów rzecznych, jeżeli ich nie ruguje następnie pęd wyższego stanu wody. Drzewo to nawet często porośnięte jest ziołami i krzewami. Przeciw temu przypuszczeniu przemawia jednak ta okoliczność, że znajdujemy pomiędzy warstwami niejednokrotnie liście i gałęzie bardzo dobrze zachowane, i dlatego sądzić należy iż węgle kamienne powstały na miejscu w którym je znajdujemy. Lecz którekolwiek przypuszczenie przyjąć zgodzimy się, zawsze przyznać trzeba że ciśnienie górne i podziemne ciepło potrzebne są do spalania tego drzewa.

Badając rośliny zawarte w licznych szczątkach glinki łupkowej, otrzymujemy w wypadku że przeważająca większość ich, może $\frac{2}{3}$ wedle rodzajów, $\frac{4}{5}$ wedle egzemplarzy, należy do jednej bardzo wybitnej familii *paproci*.

Paprocie, tam gdzie je dziś spotykamy, odróżniają się liśćmi zwiniętymi spiralnie przed swym rozwojem, jako i tём że pomimo bardzo rozwiniętych liści nieposiadają właściwego kwiatu, i że mieszczą na dolnej stronie swego liścia pewien rodzaj bardzo małych owoców zawierających nadzwyczaj drobne nasiona najprostszego składu. W klimatach zimnych paprocie zostają ziołami, ukazując się w ciepłych

jako znaczne drzewa, z wysokimi, na sposób palm, nierozdzielniemi pniami; pnie te pokryte są osadami odpadłych liści, nadających im podobieństwo do łuskowatej powierzchni.

W glince łupkowej znajdujemy nietylko zieleń paprociową, dającą się łatwo poznać kształtem swym i rozgałęzieniem żył, lecz również i pnie całe osadzone z resztkami liści i nierozszczepione, tak jak to widzimy w dzisiajszej strefie gorącej ziemi.

W roślinności dzisiajszej paprocie zajmują podrzędniejsze miejsce, stanowią ony zaledwie $\frac{1}{35}$ — $\frac{1}{40}$ części wszystkich poznanych dotąd rodzajów roślin, a ze względu na liczbę egzemplarzy, ilość nie większą całej roślinności.

Drugą cechującą familią formacyi węgla kamiennego jest familia lycopodiów czyli rodzajów niedźwiedziej lap. Rośliny te pokazują znacznie większą różnicę od dzisiajszych pod względem ich znaczenia. Obecnie są ony małe, podobne do mchów, tak nieznacznej wielkości i liczby, że prawie ogólnie w przyrodzie tylko jej badaczów zwracają uwagę. Składają się ony z małych rozrastających się łodyg z łuskowatemi liśćmi. W gronie szczątek świata przed-adamowego ukazuje się ta familia znacznie częściej niż teraz, należy bowiem do niej prawie $\frac{1}{4}$ poznanych dotąd rodzajów. Ukazują się ony zarazem jako drzewa z rozszczepionemi pniami od 60—70' wysokości. Są to prawdziwe olbrzymy w stosunku do terażniejszych roślin tej familii.

Trzecią familią zawartą w periódzie węgla kamiennego są ekwisetacye. Mają ony łodygi członkowane i żłobione, z ramionami podobnie członkowanemi i żłobionemi, promieniowo osadzonemi; liście są małe, podobne do łuski, i zrosnięte w rodzaj pochwy. Rodzaj ten odznacza się brakiem właściwego kwiecica i owocem osadzonym pod spodem wyrostów podobnych do sitowia. Są to powiększej części zioła średniej wielkości; największe z nich dochodzą do kilku stóp, i nie cieszą się też ony większym znaczeniem. Formacya węgla kamiennego pokazuje nam wielkie do drzew podobne pnie, które w szczególności, bardzo regularny sposób dowodzą tożsamości tej rodziny. Są nim żłobki naprzemianległe w następujących po sobie członkach. Pnie te dochodzą do 10' wysokości i 5—6' grubości. Rodzina ta jednak mniej jest liczną niż dwie poprzednie; teraz przedstawia ona osamotnio-

ny i bardzo odrębny od innych kształt; niewiedzia-
no nawet i zachodzono w głowę, jakie jęj przezna-
czyć miejsce pomiędzy innymi roślinami.

Trzy te rodziny stanowią $\frac{3}{4}$ rodzajów periodu
węgla kamiennego i znacznie większą jeszcze liczbę
indiwiduów. Reszta należy do nagonasiennych
roślin dwulistnych (drzewa iglaste i t. p.). Innych
dwulistnych nienatrafiono, tak samo jak brak jest
zupełny, lub ilość tylko bardzo mała, roślin jedno-
listnych.

Lecz, zarzuci kto może, z kądże wiadomo że nie
było takich roślin które zupełnej uległy zagładzie,
których niepozostało szczątków? Rzeczywiście nie-
możemy na poparcie nasze postawić żadnego nie-
zbitego dowodu, lecz jest to wysoce prawdopodo-
bnem że innych niebyło roślin; z jednej bowiem
strony nieznajdujemy w zieleni i pniach paproci za-
dnych utworów, któreby ukazywały na to że im
łatwiej było się zachować niż liściom innych roślin
lub drzew; z drugiej strony znajdujemy w now-
szych warstwach wiele pni i liści należących do
dziś panujących kształtów roślinnych, a nieznajdy-
wanych w pokładach periodu węgla kamiennego,
choć niemożliwym jest znalezienie przyczyny
dla którejby się miały łatwiej zachować w now-
szych warstwach niż w starszych.

Możemy więc przyjąć jako rzecz dowiedzioną,
lub przynajmniej wysoce prawdopodobną, że trzy
wymienione rodziny, należące wszystkie do jednej
pewnej przyrodzonej grupy, z której posiadamy
z czasów periodu węgla kamiennego przynajmniej
300 rodzajów, stanowiły przeważną część ówczes-
nej roślinności. Obecnie rośliny te stanowią zaledwie
 $\frac{1}{30}$ dzisiajszej roślinności, przedstawiającej
kilkaset rodzin czyli różnych kształtów głównych.

Jako pierwszą cechą główną ówczesnej roślin-
ności wypada tedy wymienić wysoki stopień jedno-
stajności; wychodząc z tego stanowiska porównać-
by ją można z dzisiajszemi lasami iglastymi lub
dyrwanami, z tą jednakże różnicą że tam większa
rozmaitość się pokazywała w rozdziałach podrzę-
dnych; porównać ją więc trafniej możemy z lasami
iglastymi północnej Ameryki lub dyrwanami przy-
ładku dobrej nadziei. Jednostajność ta pokazuje
się także jeszcze i w innym względzie, bo jedne i te
same rośliny znalezione zostały w periodzie węgla
kamiennego w Anglii, Belgii, nad Renem i północ-

nej Ameryce, to jest w krajach znacznie pomiędzy
sobą odmienną teraźniejszą roślinnością.

Drugą cechą główną roślinności periodu węgla
kamiennego jest brak właściwego kwiecica (1); jest
to cechą tém więcej odznaczającą, gdy wspomniemy
że nietylko zioła pól naszych, niw i bagien, lecz
nawet krzewy naszych zarośli, i drzewa naszych
lasów obdarzone są niemi. Wyradzanie kwiecica
słusznie uważanem jest jako znak wyższego roz-
winięcia rośliny; liczymy dlatego rośliny bezkwie-
ciowe do mniej zupełnych, nawet wówczas gdy
inne części dochodzą do znacznego rozwoju, np.
liście, jak to widzimy właśnie w paproci. Gdy tym
sposobem period węgla kamiennego zawiera tylko
rośliny bezkweciowe, periody zaś nowsze mieszczą
w sobie i kweciowe, przybywa nam więc jedno
nowe potwierdzenie tego faktu, osnutego na bada-
niu szczątków zwierzęcych, jako twory żyjące
z postępem czasu rozwijały się do coraz wyższej
doskonałości.

Również odróżnia roślinność ówczesną od tera-
źniejszej brak owoców mięsistych i soczystych,
i jeszcze brak roślin trawowych, bo szczątki roślin
znalezione z rodziny traw są wątpliwe i przytęm
bardzo rzadkie.

Widziemy tym sposobem że roślinność owoczesna
bardzo była jednostajną, nieposiadała właściwego
kwiecica, żadnych mięsistych owoców, żadnych
traw, lecz przeważnie paprocie i kilka z niemi spo-
krewionych roślin.

Wspomnieliśmy już że paprocie zajmują dzisiaj
tylko bardzo małe miejsce w liczbie roślin. Nadmie-
nić jednak wypada iż to się tylko stosuje do całej
roślinności razem wziętej; są bowiem niektóre oko-
liczności miejscowe nadające paprociom większe
znaczenie. Tak np. na wyspach Jamaice, Isle de
France i Bourbon zajmują one $\frac{1}{8}$ część całej roślin-
ności, na wyspach Towarzyskich nawet $\frac{1}{6}$; na No-
wej Zelandyi paprocie znacznie przeważają inne,
pokrywając ziemię zamiast trawy, a na małych wy-
spach Wniebowstąpienia, Tristan d'Acuncha i St.
Heleny paprocie stanowią wraz z dwiema innymi
wyżej wymienionemi rodzinami, prawie połowę ca-
łej szczupłej i jednostajnej roślinności.

(1) Wprawdzie znajdujemy u tych rodzin ślady orga-
nów zapłodniania, lecz w żadnej nie są one zupełnie
rozwinętemi.

Ponieważ wszystkie wymienione miejsca są wyspami i leżą w ciepłej strefie, uprawnieni więc jesteśmy sądzić że i w okresie węgla kamiennego roślinność ta znajdowała się na wyspach, i to ciepłego klimatu. Do tego ostatniego wniosku dochodzimy też jeszcze inną drogą. Widzieliśmy że pomiędzy paprociami przed-adamowemi wielka ilość była drzewowa; obecnie znajdujemy takie paprocie tylko w ciepłym klimacie.

Zwracając się do świata zwierzęcego przed-adamowych czasów, znajdujemy niezliczoną ilość koralu, promieńczaków i mięczaków morskich (spokrewnionych z konchami i muszlami morskimi, cefalopodami i czernicami, ostatnie znacznie liczniejsze i więcej rodzajów w stosunku do dzisiejszych olbrzymiej wielkości). Znajdujemy też dużo stworzeń podobnych do raków i ślady ryb. W zamian zato brak jest zupełny szczątków zwierząt ssących i ptaków, a nawet gadów. Lasy więc nie miały ptastwa, nieposiadały małp, tak licznych dzisiaj w krajach ciepłych, ani węzów.

Tą drogą możemy sobie utworzyć dość dokładny obraz przyrody w czasie dawniejszego periodu węgla kamiennego. Sterczały wyspy ponad rozległemi morzami, ciepłego klimatu, z jednostajną roślinnością leśną, szczególnie paproci, bez kwiatów i trawy, bez mięsistych owoców, bez węzów i jaszczurek, lecz także bez śpiewu ptastwa, głosu zwierząt lub ludzi. Na tém trzeba nam poprzestać. Przedstawiono nam wprawdzie kilka krajobrazów przed-adamowych czasów, lecz wyszły ony z pod rąk badaczy przyrody dzisiejszych czasów, ręczyć więc niemożna za podobieństwo.

Możeby się kto zapytał: dlaczego ciepły klimat tych wysp i bujna choć jednostajna roślinność nie były przeznaczone służyć człowiekowi? Moglibyśmy odrzec, że pierwój dom cały musi być gotowym, nim pan się do niego wprowadzi, i że kraj bez zwierząt domowych, lany bez kwiatów, lasy bez ptastwa i klimat choć ciepły lecz prawdopodobnie niezdrowy, niemogły stanowić pożądanej siedziby człowieka. Lepiej jednak pytanie to zostawić bez odpowiedzi, przyznając że jakkolwiek niejednokrotnie zdolni jesteśmy w szczegółach poznać celowość istniejącą w urządzeniach przyrody, jednak wnioski nasze i domysły stają się dziecinnymi gdy chodzi o wielki rozkład jaki stworzył prawnodawca przyrodzenia, i lepiej nam uznać że po-

mimo całej mądrości naszej, co do tego jesteśmy tylko domacywującemi się dziećmi.

II.

Powyżej usiłowaliśmy skreślić obraz najdawniejszej roślinności. Niemożemy wprawdzie o nim powiedzieć jakoby był niezaprzeczoną pewnością, lecz zdaje się jednak że najdawniejsze pomniki (szczątki roślin i zwierząt wydobyte z wnętrza ziemi) i wnioski dające się z nich wyprowadzić posuwają prawdopodobieństwo do granicy pewności, i niezawodnie przyznać trzeba, że względem tej części najdawniejszych dziejów roślinnych doszliśmy do wyższego stopnia jasności niż to zdołano względem najdawniejszych dziejów rodu ludzkiego.

Lecz ta powyżej przedstawiona roślinność przypada tylko w najdawniejszy period. Pomiędzy nią i teraźniejszą jest ich jeszcze kilka, może wiele nawet roślinności, różnych od tamtej jak i od obecnej. Jak to się nieraz zdarza w dziejach rodu ludzkiego lub pojedynczego narodu, że period dawniejszy lepiej znacznie jest wyjaśnionym niż inny bliższy nas, tak i na obecnym stanowisku nauki lepiej bez porównania poznana jest roślinność periodu węgla kamiennego, jak innych nowszych periodów ziemi. Ponieważ w ogólnym poglądzie na zdobycz nauki wskazać tylko możemy co jest pewnego i niezbitego, ograniczyć więc nam się wypadnie co do następnych periodów na podaniu kilku ogólnych uwag.

Dzisiejsza roślinność zawiera cztery główne grupy roślin. Pierwszej grupie, którą tu nazywamy niemającą liścia, brak nietylko kwiecica i nasienia, lecz nawet powiedzieć niemożna jakoby miała łodygi, gdyż albo części rośliny, np. u gąbek, żadnego niemają podobieństwa z owemi częściami innych roślin, lub też, że tak powiemy, liście i łodygi zrosły się w jedno, jak to widzimy w morskich znach. Drugą grupę możemy tu nazwać bezkwieciovą. Znamy ją już częścią z poprzedzającego ustępu; należą do niej paprocie i rośliny spokrewnione z niemi. Mają one korzenie, łodygi, liście i części podobne do nasienia, lecz nie zupełnie rozwinięte kwiecica.

Dwie ostatnie grupy zgadzają się w tém z sobą, że wszystkie rośliny posiadają kwiaty i nasiona, lecz odróżniają się tém od siebie, że w jednej, do której należą trawy, lilie i palmy, panującą liczbą w kwiecie i owocu jest liczba 3, w drugiej liczba

5; pierwsze bowiem mają w kwiecie 3 lub 6 listków, 6 lub 9 pręcików, często bardzo owoc na 3 lub 6 podzielony przedziałów; drugie zaś w ogóle 5 lub 10 liści koronowych, 5, 10 do 20 pręcików i często owoc o 5 przedziałkach, jak np. róża. Dwie te grupy odróżniają się także liśćmi, będącymi w pierwszej prawie zawsze długimi, wązkimi, nierozdzielniemi, i posiadającymi tylko żyłki podłużne, gdy w drugiej znajdujemy liście szerokie, rozszczerzone pokryte siatką żyłek. Pierwsza grupa nazwana jest jednolistną, druga dwulistną. Na ogół biorąc uważać trzeba grupę ostatnią jako najbardziej rozwiniętą.

Grupa główna pierwsza zawiera po większej części rośliny ginące łatwo przy jakiej gwałtownej przemianie przyrody; jest to zapewne powodem dla którego mało jój bardzo znajdujemy szczątków w warstwach ziemi, chociaż niemała jest liczba znalezionych morskocyzn. Druga główna grupa ukazuje się jako panująca w okresie węgla kamiennego, którego rośliny przeważnie do tego należą oddziału. W nowszych okresach dopiero pokazują się rośliny dwulistne, gołonasienne, jako: cykadee, drzewa iglaste i kilka innych dziś nieistniejących rodzin. W późniejszych okresach ukazuje się także reszta dwulistnych, i liczba ich zwiększa się powoli, tak iż w ostatnim przed dzisiejszym okresem, odpowiada obecnemu stosunkowi liczbowemu.

Zdaje się więc że roślinność, tak samo jak świat zwierzęcy, rozwijała się powoli do coraz zawilszego, coraz doskonalszego składu.

Ponieważ mniej rozwinięte kształty nie ginęły po ukazaniu się doskonalszych, pojmujemy więc łatwo że z każdym nowym okresem zwiększała się rozmaitość roślinności.

Im okresy bliższe są teraźniejszego, tym więcej zachodzi podobieństwa pomiędzy szczątkami pochowanymi w pokładach ziemi, a roślinnością obecną, tak iż ostatniego jój okresu niepodobna prawie już odróżnić od roślinności tegoczesnej.

Przejrzawszy po krótko w jakim następstwie powstały różne kształty roślinne, pozostaje nam jeszcze w dziejach roślinności do rozwiązania jedno wielkie zagadnienie, a mianowicie jakim ony powstały sposobem. Lecz jest to jedno z zagadnień które zapewne zawsze przewyższać będą siłę pojęcia ludzkiego. Stworzenie samo jest jeszcze wielką

zagadką, której nikt nie rozwiązał, a chyba i w przyszłości niezdolą rozwiązać. To co się dziś przed naszymi oczami, nieprzedstawia nic podobnego z czegobyśmy mogli sądzić z niejakim prawdopodobieństwem o przeszłości, i obydwie przypuszczenia jakie w tej mierze zrobiono opierając się na tém co dziś widzimy, są równie dla nas niepojęte.

Pierwszem przypuszczeniem jest jakoby wszystkie jestestwa organiczne (rośliny i zwierzęta) powstały bezpośrednio z ciał nieorganicznych (wody, ziemi, powietrza lub z pojedynczych pierwiastków wchodzących w skład ich ciał). Drugim jakoby tylko niższe stworzenia powstały w ten sposób, zaś więcej rozwinięte brały swój początek w zmianach i przekształceniach niższych, np. tak iż z gąbki zrobił się mech, z mechu zieleń, owad z robaka, ryba z mięczaka i t. p. Niemamy żadnego pewnego dowodu czy z ciała lub pierwiastku organicznego niemógł powstać choćby najniższy twór organiczny, tak samo jak niemamy dowodu żeby się jaki rodzaj zwierzęcy lub roślinny przerodził na inny; nieprzedstawiają też ku temu żadnej osnowy znalezione skamieniałości zwierząt i roślin. Tak widzimy że wielka ilość zębów zaginionego słonia (mamuta) jako i kości zawsze do siebie są podobne, niepokazując żadnego zbliżenia się do składu dzisiejszego przedstawiciela tego rodu. Tak samo nieznajdujemy przejścia pomiędzy zaginionym a żyjącym nosorożcem i t. p. Niemożemy więc nic o tém innego powiedzieć, jak że naówczas działały siły jakieś, których dziś nigdzie nienapotyamy.

Lecz zapytać by się można czy się tworzenie skończyło? Czy w czasach historycznych żadna nieukazała się nowa roślina, czy nieukazują się może i teraz jeszcze nowe ich rodzaje? Zdaje się że i na to pytanie, o ile mieć nie będziemy na myśli odmiany spowodowane wpływem ludzkim pośrednim lub bezpośrednim, przecząco odpowiedzieć wypada.

Najdokładniejszym sposobem rozwiązania tego zagadnienia jest zbadanie jakim sposobem powstała roślinność w miejscach gdzie jój dawniej niebyło. Następuje to np. gdy strumienie lawy, które spłynęły z kraterów przy wybuchach wulkanicznych, zaczynają porastać roślinami; dalej napotyamy to zjawisko na wyspach wulkanicznego pochodzenia, wydźwigniętych z głębin morza; na wy-

spach koralowych, wynoszących się powolnie nad powierzchnią morską i na obszarach spodu morskiego ujętych i wysuszonych za pomocą tam.

Stojąc na szczycie Etny, olbrzymiej góry tworzącej jeden tylko ostrokrag, którego podnóże ma 20 mil obwodu, a którego wysokość 10,500' wynosi, widzimy wzdłuż jej stoków strumienie lawy w najrozmaitszych kierunkach, które podobnie do potoków spływały, a wyraźne szczególnie na początku pasa lesistego otaczającego środkową część góry, który lawa przerznęła. Strumienie te są bardzo różnego wieku. O początku nowszych posiadamy historyczne wiadomości i podania. Badając i porównując te strumienie lawy, mamy sposobność zobaczenia jakim sposobem powoli powstaje roślinność; niektóre jeszcze są zupełnie nagie, inne mają tylko gdzieś w zagłębieniach i szczelinach pojedyncze rośliny, a na innych jeszcze warstwa gnijących roślin zaczyna tworzyć czarnoziem, w którym coraz więcej wkorzenia się roślin. To samo zjawisko przedstawiają nam strumienie lawy Wezuwiusza na wyspie Jschia i na innych wulkanach. Roślinami nasamprzód pokrywającymi nagą lawę, o ile sam to zdołałem zbadać, są tak zwane porosty. Kilka roślin soczystych i mięsistych, żywionych po większej części parą powietrzną je otaczającą, za pośrednictwem łodygi i liści, także należą do tego rzędu. Na Etnie przytrafia się to szczególnie z tak zwaną figą indyjską (*opuntia vulgaris*), a nawet zasadzaną ona umyślnie bywa przez mieszkańców dla prędszego użyczenia lawy. Lecz rośliny tym powstające sposobem nie są nowymi rodzajami; znajduwane one bywają nie tylko na starszych strumieniach, lecz nawet i na obszarach niewulkanicznych; figa indyjska jest nawet rośliną obcą Sycylii, wprowadzoną tam dopiero z Ameryki.

Tak samo rzecz się ma z wyspami koralowymi oceanu południowego.

Z początku wyspa taka jest naga; powoli pokrywa się roślinami, znajdującymi się na dawniejszych wyspach lub stałym lądzie Azji. Dwoma głównymi roślinami na tych niskich koralowych wyspach są palma kokosowa i *Barringtonia speciosa*; bo też owoce tych drzew pływają w wielkiej ilości po powierzchni morza, będąc szczególnie ku temu sposobne, bo nasienie palmy kokosowej otoczone jest włóknistą i drugą twardą skorupą, chroniącą

jądro od wpływu powietrza i ułatwiającą pływanie; nasienie drugiej równie jest lekkie i dobrze schronione. Dziwne ubóstwo kształtów, panujące na wyspach południowego oceanu, w porównaniu do bujnej roślinności stref klimatu gorącego a wilgotnego, w części przynajmniej przypisać należy tej okoliczności, że przyrodzenie nie wydaje już więcej nowych rodzajów.

To samo zjawisko widzimy na różnych małych wulkanicznych wyspach południowej części oceanu atlantyckiego, które zapewne w nowszych periodach wystąpiły z morza, np. na Tristan d'Acuncha i St. Helenie. W czasie przybycia Europejczyków mało one bardzo posiadały roślin, lecz rośliny wprowadzone i chwast im wszędzie towarzyszący rozmnożyły się ogromnie, tak jak tego niema my przykładu w krajach których obszary zajęte już są innymi roślinami.

Nareszcie powtarza się to zjawisko i przy zajęciu części morza przez pociągnięcie tam i wysuszenie. Zajmujący tego przykład mamy na wyspie Fühnen, gdzie odgradzoną została przed 30 kilką laty zatoka odnogi Odenseefiordu. Jednym z mieszkających tam ziemian jest zasłużony botanik Hofmann. Śledził on pilnie zarośnięcie odciętego lądu; prowadził nawet dziennik o zmianach powoli następujących na obszarze tym zajęty od morza. Powstał pomiędzy nami spór naukowy, czy rośliny powoli ukazujące się powstały z nasienia, przeniesione jakimkolwiek sposobem na odciętą ziemię, czy też zawdzięczają swój początek tak zwanemu samodzielnemu powstaniu (*generatio aequivoca*), co właśnie utrzymywał Hofmann. Lecz jakkolwiek przyjmujemy teorię, zawsze to pewna że nie powstał tam żaden rodzaj nieznan. Nowy to dowód że dzisiaj już czynne siły przyrodzenia nie są w stanie wydać nowych kształtów.

Drugą drogą, którą przynajmniej zbliżyć się możemy do rozwiązania tego pytania, jest porównanie roślinności teraźniejszej i czasów dawniejszych, z zachowaniem się w granicach historycznych.

Przed 160 kilką laty, za czasów Chrystiana V króla Danii, żył w Kopenhadze biegły botanik Piotr Kylling. Odwizdał on pilnie las Szarlottenlund, odległy o milę od miasta, i spisał wykaz roślin tam się znajdujących. Porównując ten wykaz z dzisiejszymi roślinami tego lasu, znajdujemy zupełną tożsamość. Bo chociaż obecnie są tam niektóre

rośliny niepodane przez Kyllinga, lecz takie tylko które do tego stopnia podobne są do innych policzonych rodzajów, że łatwo można było niedostrzedz różnicy, lub są tak małe i tak mało wpadające w oczy, że to mogło być powodem ich opuszczenia, albo wreszcie podług wszelkiego prawdopodobieństwa, wprowadzone zostały przez ludzi.

Do tego samego wypadku dochodzimy, porównując Kyllinga wykaz roślin znajdujących w Danii, z botaniką Hornemanna, pisaną 150 lat później lub przepatrując najdawniejsze zbiory roślinności niemieckiej i włoskiej, sporządzone przed 200-250 laty, obok wykazów roślinności tegoczesnej tych krajów.

Możnaby jednak powiedzieć na to, że przeciąg ten czasu jest za małym. Możemy więc cofnąć się jeszcze bardziej, udając się do botaników starożytności, co do najważniejszych roślin różnych wówczas znanych krajów. Z pomiędzy tych zasługuje szczególnie na uwagę Teofrast z Lesbos, żyjący na 300 lat przed Ch., ponieważ opisy jego są najdokładniejsze, a podania najwięcej zasługują na zaufanie. Porównania podobne wielorakie przedstawiają trudności; starożytni niedołączali do swych opisów rycin, a opisy same niebyły tak dokładne i pewne, jak w czasach dzisiejszych. Ztąd częstokroć wielka zachodzi wątpliwość jaką opis ich ma oznaczać roślinę. Trzymając się wszakże roślin większe mających znaczenie czy wielkością swą lub ilością, albo ważnych z powodu zastosowania, niepewność tę znacznie zmniejszymy, i mamy powody sądenia że o ile przyroda zostawioną była samej sobie, roślinność starożytności dziwnie się zgadza z obecną.

Podług Teofrasta i Herodota rosły w Egipcie: drzewo gumowe, Sicomorus, Papyrus, roślina Lotus i palma daktylowa, charakteryzujące kraj ten do dnia dzisiejszego. Tak zwana palma tebajska (Cucifera Thebaica) godna uwagi ze względu swego pnia rozłożystego, rosła dawnymi czasy w górnym Egipcie, nie schodząc do dolnego, tak samo jak i dziś to ma miejsce.

Jako rośliny cechujące Indye wymieniali starożytni trzcinę bambusową, krzew bawełniany, drzewo cynamonowe, ryż, pieprz, kardamom, drzewo bananowe i kilka innych, które wszystkie i dziś jeszcze to samo zajmują miejsce. Pomiedzy płodami Arabii podawali starożytni myrrhę i drzewo balsamowe, cechujące i dziś jeszcze owe okolice.

Roślinność Europy południowej mocno się różni od północnej; Bałkan, Alpy i Pireneje stanowią tu granice przyrodzone. Do roślin odróżniających Europę południową od północnej należą tak zwane wiecznie zielone drzewa liściowe, jak: dąb (quercus robor), drzewo korkowe, mirt, wawrzyn, jeżówka włoska, oleander i t. p. lecz te same wymieniane są także przez pisarzy greckich i rzymskich jako cechujące kraje położone nad morzem śródziemnym.

Na pewnej wysokości ponad morzem napotykamy w Apeninach i górach greckich drzewa i krzewy, odpowiednie zimniejszemu klimatowi. Po większej części są to te same jakie napotykamy w Europie północnej: buki, świerki, jodły, brzozy, cisy, ostrokrzewy, jarzębiny, jałowce i leszczyny. Czytając Teofrasta i Pliniusza, szczególnie pierwszego, znajdujemy powyżej wymienione rośliny podane jako drzewa rosnące na górach.

Jako dowód niezmiennego stanu roślinności i to jeszcze przytoczyć można, że w grobach egipskich znaleziono dobrze zachowane żyto, granaty, winogrona, daktyle i gałazki drzewa oliwnego, zgadzające się zupełnie z dzisiejszemi. Tak samo znaleziono w Pompei oliwki, niedające się odróżnić od teraźniejszych.

Pomimo że starożytni badacze przyrody nieprzyłączali rycin do opisów, jednakże ich kilka posiadamy, mianowicie malowidła na zabudowaniach w Pompei i Herculanium, w dawnych kąpielach rzymskich, i w grottach elytejskich Egiptu. Choć malowidła te nie były robione dla celów badań przyrodzonych i nie więcej nas uprawniają do wniosków jak malowidła ścian dzisiejszych, to przecież na nich niektóre rośliny łatwe do poznania wskazują że ówczesna roślinność była taka sama jak dzisiejsza; szczególnie tyczy się to wielu malowideł znalezionych w pokojach Pompei.

Jeżeli więc na ogół biorąc roślinność w ciągu lat 2000 i więcej pozostała niezmienną, najprawdopodobniejszą jest rzeczą że i dalej wstecz się cofając zmiany podobnej niebyło, i pokazuje się tą drogą, chociaż niedowodnie, ale z wysokim prawdopodobieństwem, że w czasach historycznych niepowstały żadne nowe rodzaje roślin.

Jeżeli roślinność została niezmienną, to tak samo być musi z klimatem, bo oboje tak ściśle z sobą powiązane, że zmiana klimatu koniecznie za sobą pociąga zmianę w roślinności, zupełną przy

znacznej odmianie klimatu, częściową zaś przy mniejszej. Ale prócz tego inne jeszcze powody przemawiają za niezmiennością klimatu.

Zmiany jakich powierzchnia ziemska doznała od wybuchów wulkanicznych, trzęsień ziemi, osuwów gór, zmienionych biegów rzek i wpływów morza na wybrzeża, są na ogół biorąc zbyt małe w stosunku do całości przyrodzenia, by zasługiwały na bliższy rozbiór.

Doszliśmy więc do godnego uwagi wniosku że przyrodzenie dziś nas otaczające tém samém jest jakie przed tysiącami lat otaczało przodków naszych; że roślinność która zdobiła w starożytności Egipt, Grecyą i Włochy i dziś je przystraja; że przyroda materialna została niezmienną zupełnie lub téż mało tylko bardzo, gdy ród ludzki czy w całości, czy po szczegółach jego plemion tak ogromnym uległ przemianom; że przyrodzenie stało nieruchomie, gdy duch ludzki ciągle się posuwał aż do dzisiejszego rozwoju.

Niemyślimy tém jednak zaprzeczać, iż przyrodzenie materyalne także przebyło rozwój, owszém staraliśmy się dowieść że tak roślinność jak świat

zwierzęcy przedstawiają nam ciąg rozwoju czasowego w postępie ku coraz wyższej doskonałości. Lecz rozwój ten potrzebował znacznie dłuższych periodów, i dokonywał się w ten sposób, że każdorazowy szczebel rozwoju przyrody zachowywał się przez czas pewien; gdy przeciwnie duch ludzki w jedności wzięty niepowstrzymanie postępuje naprzód. Przeciwiństwo jednak upada gdy zwracamy uwagę na pojedyncze plemiona; są bowiem szczepy które tak samo jak przyroda w czasach historycznych wcale się lub prawie wcale nierozwinęły, np. ludy archipelagów Notazyi, Bottokudy w Ameryce południowej; inne zatrzymały się niewzruszenie, doszedłszy do pewnego kresu, jak Indianie i Chińczycy.

Jeżeli powiedzieliśmy wyżej że przyroda została niezmienną w czasach historycznych, to ma się rozumieć o tyle tylko, o ile sama sobie była zostawiona; bo człowiek może ją zmienić do pewnego, dość nawet znacznego stopnia, a totym wyższego, im sam stoi wyżej. Lecz badania tego wpływu ludzi na przyrodę są takiej obszerności, że szczegółowego wymagałyby rozbióru.

JAN LORENZO PAPAGODA.

(Obrazek z XVI stulecia).

PRZEZ ANTONIEGO WIENIARSKIEGO.

Zygmunt I, zwany Starym, skończył życie, głos powszechnego żalu, zmieszany z trwożliwą o dalszy los kraju myślą, rozbiegł się od granic do granic obszernego państwa, wszystkich oczy zwróciły się ku Wilnu. W Wilnie był Zygmunt August, jedyny potomek zmarłego króla, ostatnia latorośl męzka jagiellońskiego szczepu. W nim wszystkich nadzieje, do niego garną się wszystkie serca, wyciągają wszystkie dłonie.

W Krakowie królowa Bona wdziwała wdowią zaslonę; rzekomo płacze nad ciałem zmarłego męża, łamie ręce gdy obce oczy na nią patrzą, a na ustroniu przy zamkniętych drzwiach, przy zaslonie-

tych oknach, z wypogodzonym czołem, z uśmiechem na ustach, radzi ze swojemi ulubieńcami, między którymi rej wodzi Neapolitańczyk Jan Lorenzo Papagoda; radzi, o czém? może o interesach publicznych, o utorowaniu synowi wstępu do udzielonego już mu wolą narodu tronu? może zapobiega burzy jaka z powodu krążącej wieści o tajemnych ślubach nad nim się unosi? Nie, ona myśli o owocach dawno zasianych zamiarów; chce owoładnąć wychowanym przez siebie wśród niewiast synem, chce podesłać pod jego nogi wszystkie pońety dworu, otoczyć go rozkoszami, a w zamian *tylko panować!*

Ona w tych tajemnych naradach gromadzi pioruny na głowę syna, aby spadły w samą porę, gdyby niekłamaly wieści, gdyby on śmiał bez jęj wiedzy i woli pójść za własną skłonnością.

Jan Lorenzo Papagoda, to jęj prawa ręka; jęj myśl jego myślą, jęj wola jego wola.... Uniżony aż do podłości, chytry aż do zdrady, kłamie wszystko i wszędzie, nawet miłość! Na stopach Bony wyciska gorące pocałunki, tuli jęj łono drżącemi niby od wzruszenia rękami, a serce jego zimne jak lód, a w myśli siedzi obrzydzenie, przekleństwo!

To cudzoziemiec, Neapolitańczyk; on osiadł na polskim dworze aby się z bogacić, i nieprzebięra w środkach. Miłość i niewinność, otwartość i zdrada, lekarstwo i trucizna, dla niego wszystko jedno; gotów prawą ręką uścisnąć, a lewą zabić, i to z jednakowem biciem puls, z jedną myślą, z jednym wyrazem twarzy.

Zygmunt August w Krakowie! Zygmunt August żonaty! Zostawił żonę w Radomiu, a spieszy oddać ostatnią posługę zmarłemu ojcu, włożyć na głowę koronę Piastów, uspokoić troskliwy naród, oznajmić że dla bliższego z nim zespolenia się nieszu. kał żony u obcych tronów, ale wziął ją z pośrodku swego ludu!

W ślad za tęp uroczystęp oznajmieniem spadają przygotowane gromy, a w miejsce zadowolenia spotyka Zygmunt August niechęć. Nie może zrozumieć głosu narodu, który z taką pracą wznosił budowę bliższych z swemi królami stosunków; i dzie do matki, chce w niej przynajmniej znaleźć pociechę, i spotyka w progu Papagodę, a on z niskim ukłonem oznajmia mu że królowa matka nie chce się widzieć z synem, który poniżył *swoję godność i powagę tronu!*

Trudności w dwójnasób podnoszą siłę dzielnego serca. *Tak być musi*, powiada sobie Zygmunt August, i na sejmie do powstających przeciwko sobie mówi: „Jakże możecie się spodziewać żeby wam dotrzymał wiary, kiedy chcecie abym jęj małżonce własnej uchybił?” Ta siła, ta dzielna wola, zwycięża opór; chwieją się najzagorzalsi przeciwnicy, i wkrótce Papagoda przynosi Bonie, oczekującej w zamku goślickim pod Piotrkowem skutku swoich intryg, wiadomość, że Barbara uznana zo-

stała za małżonkę Zygmunta Augusta i niezadługo koronowaną będzie.

Złowrózby uśmiech z jakim Bona przyjęła tę wiadomość, wskazywał jęj zamiary. Jedno tylko słowo wysliznęło się z jęj ust; porwał je Papagoda i zaniósł pomiędzy Włochów otaczających dwór młodej królowej.

* * *

Dwudziestego siódmego marca 1551 r. szczególny gość pojawił się w komnatach choręj Barbary. Był to franciszkanin Włoch, posłaniec królowej Bony, przynoszący od niej słowa pojednania. Przyjął je król z uległością syna, przyjęła je biedna Barbara z poddaniem się swemu losowi. August odwiedził nawet matkę, ale sam opisując te odwiziny mówi: „że włożył na ręce rękawice, aby gołą ręką nie przyjąć pierścienia jaki mógłby mu być dany!”

Tymczasem Barbara nikła coraz widoczniej; wszystkie środki zostały wyczerpnięte, poradzono jęj jeszcze wiejskie powietrze jako ostatni ratunek. August każe sporządzić wóz wygodny, aby przewieźć ukochaną małżonkę do Niepołomic. Przychodzi wyznaczony dzień 8 maja; probują: wóz nie chce się zmieścić w zamkową bramę. Chwile są drogie,... niema czasu do przerobienia wozu... król każe rozwalać bramę. Wznoszą się w górę młoty, kruszą mury, a wtęp dają znać że Barbara skonała.

Wiadomość ta przejmuje rozpaczą Augusta, a żalem wszystkich, nawet najgłówniejszych jęj przeciwników. Wszyscy łączą się w jedno żałobne koło i jeden głos powszechny oskarża Bonę o morderstwo królowej; wszyscy ją odstępują, uciekają od progów skalanych tak okrutnym czynem;... zostają tylko ulubieńcy, zostaje Papagoda.

On pośród tak nieprzyjaznego usposobienia umysłów podaje Bonie myśl opuszczenia Polski.

— Tu cię już nic nie wiąże, królowo! syn cię unika, lud odstępuje. Ci nawet, których złotym łańcuchem przykułaś do siebie, zrywają jego ogniwa; ale tam na południu, w rodzinnych stronach, szczęście i władza cię czeka,... skarby uturują ci drogę, a najmiłościwszy król Filip II przyjmie cię z otwartymi rękoma. On, władzca Hiszpanii, potrzebuje aby ktoś zastąpił go w Neapolu. Kto wie czy łaska jego nie zwróci się ku tobie!...

Bona przyjęła tę myśl ze skwapliwością spragnionego, co niesie do ust napój, nie pytając kto mu go i w jakim celu podaje. Sama przewrotna, zaufała przewrotniejszemu jeszcze człowiekowi, i od tej chwili nie spuściła już z oczu zamiaru wydalenia się z Polski.

Sprzeciwiał się temu Zygmunt August, sprzeciwiały się stany; córki, zalane łzami, na kolanach błagały matkę aby ich nie opuszczała. Ale Bona oparła się wszystkim prośbom i przeciwnościom; synowi i córkom wystawiła że zdrowie jej nadwątłone tylą cierpieniami potrzebuje rodzinnego klimatu, opierających się senatorów pokonała jednych prośbą, drugich złotem, aż wreszcie zezwolono na wyjazd, pod warunkiem że skarbiec zostawi nieknięty.

Pozornie przystała i na to: lecz potajemnie za pomocą Papagody uprzętnęła ogromne skarby i wyprawiła je na 24 wozach, pod dozorem Wilgi starosty ostrołęckiego; sama zaś, pożegnawszy się bez łzy w oku z synem i córkami, opuściła Kraków w r. 1555, w towarzystwie kilku senatorów dodanych jej od króla.

Przybyli do Baru.... Włoskie powietrze owiało Papagodę, sądził że stanął u mety.

Bona była sama, a wszyscy co ją otaczali bliżej byli jemu podobni!....

Filip II król hiszpański i rejent Neapolu przyjął łaskawie ulubienca królowej polskiej, i wkrótce 320,000 dukatów przeszło do jego skarbu. Pożyczył je i obiecał Bonie rządy, których tak gorąco pragnęła; ale gdy ona oczekiwała skutku obietnicy, on do Hiszpanii wyjechał.

Zawód rozjątrzył dumną kobietę, zaczęła wyrzucać Papagodzie zdradę, królowi niedochowania wiary. Uspokoił ją przebiegły Neapolitańczyk, ale słowa jego nie wywarły już wpływu jakiego się spodziewał.

— Wróć do Polski, rzekła raz Bona do klęczącego przed nią Papagody, tam mi syn przynajmniej nie da krzywdy wyrządzić.

Słowa te przejęły lodem Papagodę. On sądził że już jest u mety, a tu jeden rozkaz Bony: *jadę do Polski*, zniweczyć mógł wszystkie nadzieje.

Nie było czasu do stracenia; grom mógł lada chwila uderzyć. Papagoda znał Bonę i wiedział że wola jej była niezmienną, że chęć powrotu, którą podsycił Fanelli kuchmistrz Zygmunta Augusta

przybyły z Polski, ovladnęła jej umysł, że tylko gwałtowne środki mogły dopomóc jego zamiarom.

W tym czasie Bona lekko zasłabła, Papagoda radził jej użyć lekarstwa.

— Czy mogę wam zaufać? rzekła. Wy chcielibyście mnie zatrzymać, a ja wracać muszę do Polski.

— Nie ufaj królowo, jeśli na wierność naszą nie liczysz; ale jest przecie sposób. Niech doktor Antonio zażyje połowę tego lekarstwa które ci poda.

Bona przystała, Papagoda porozumiał się z Włochem Janem Antonio z Maczerety, i wkrótce podano jej lekarstwo.

Włoch wypił połowę, myśląc: znam różne sposoby, potrafię zapobiedz skutkom.

Tymczasem za ledwie wyszedł za próg, Papagoda kazał go zatrzymać i uwięzić.

Kiedy Jan Antonio z Maczerety, z przekleństwem na ustach, z wściekłością na twarzy, konał w więzieniu, Bona wśród strasznych męczarni umierała w zamku.

Spełniły się na niej słowa pełne prawdy, że kto jakim orężem wojuje, od takiego ginie, i śmierć jej jest widoczną oznaką sprawiedliwości boskiej.

Bo co się wówczas działo, to zgroza wspomnieć! Papagoda, przy pomocy księdza Pawła nadwornego kapelana, wynalazł testament dawniej sporządzony, zniszczył go, a spisał nowy. W nim nazначył wprowadzić spadkobiercą Zygmunta Augusta, ale księstwo Baru zapisał królowi hiszpańskiemu i tyle porobił legatów, że spadkobierca nie miał się czego spodziewać.

Dla dopełnienia formalności, konającej w wielkich boleściach Bonie czytano ten nowy testament, a wychowanka jej, mniszka Maryna, poruszała głową królowej, co miało być znakiem zezwolenia. I wtenczas właśnie kiedy najsroźsze konwulsye wyprężały ciało umierającej, Maryna, ukryta za wezgłowiem, najsilniej popychała drgającą głowę, aby stało się zadość ułożonej przez Papagodę komedyi.

Po śmierci Bony Papagoda, oszukawszy współników swojej zbrodni, zabrał wszystkie gotowe pieniądze i klejnoty jakie się znajdowały w skarbcu królowej, i wyjechał do Hiszpanii, gdzie Filip II obsypał go łaskami, nadał godność margrabiego, a nawet powierzył mu rządy Baru.

Jaki był koniec Papagody, nie można znaleźć pewnych wiadomości; podanie tylko mówi że w ośm lat po śmierci Bony, w tym samym zamku

zmarł Jan Lorenzo Papagoda od trucizny zadanej mu ręką Maryny, która tym sposobem zemściła się za jego obłudne i kłamane przysięgi.

KABARDYŃCY.

(Szkic z obyczajów Kaukazu).

Posępna noc okryła rozkoszne niebo Wielkiej Kabardy chmurami czarnemi jak ziulfy (1) Persa. Wiatr nagiął do ziemi gęste zarośla ciernistych krzaków i huczał posępnie w głębokiej przepaści. W darialskim aule (2), siedlisku rozbójniczych góralów, błysnęło mdłe światelko przez szczeliny drzwi i okna jednej z licznych sakli (3). W tej samej chwili na skałach, jakby służących Darialowi za przedmurze, ukazał się jeździec.

Tylko Kabardyniec mógł mieć tyle odwagi, aby się puścić w tę straszliwą porę i na tak niebezpieczną drogę. Koń jego, zmęczony długą podróżą, chrapał bez ustanku, bacznie i z ostrożnością stąpając po nierównym, kamienistym gruncie; to jak wąż spuszczał się z góry przysiadając na tylnych nogach, to znów odetchnąwszy i wstrząsnąwszy jedwabistą grzywą, wijącemi ścieżkami wznosił się nad przepaścią. Jeździec, okręcony burką, z nasuniętą na oczy kosmatą czapką, zachęcał czasem konia łagodnym słowem. — „No, mulla, jeszcze ze sto kroków, a dojdziem do wygodnego noclegu; czy widzisz ogień w sakli Murreta; tam przyjaciel nas oczekuje. Bądź ostrożny i baczny, jak te rozbójniki, co to w imieniu Allaha i jego proroka Alego pochwycili moje barany i uprowadzili mi żonę. Ach w Derbencie, to było życie! ale i tu jeszcze nie najgorsze.“

Tak mówił góral do konia, a tymczasem ciemność stawała się coraz głębszą, tak że jeździec nie mógłby już dostrzedz nieprzyjacielskiej lufy, chociażby na kilka tylko cali odległej od jego szerokiej piersi. Na domiar przeciwności gęsta mgła

zasłoniła nawet ognie niezbyt już odległego aulu. Tylko przeciągłe, smutne wycie zgłodniałych psów ostrzegało o bliskości zamieszkałego miejsca. „Stój, mulla! szepnął góral. W taką ciemność łatwo można wpaść na kogo, a jak szejtan jeszcze zacznie swoje sztuki, to chwytaj się wtedy tej przeklętej mgły, jak będziesz leciał w jaką przepaść piekielną.“ Potem zeskoczył z siodła i przyłożył ucho do ziemi. „Tak, mówił dalej, przepaść niedaleko, słysząc wyraźnie szum potoku. A to utrapienie! nie ludzie, to niepogoda, a wszystko na przekór.“ I wzięwszy wiernego towarzysza za uździenicę, góral zwolna ruszył naprzód, macając przed sobą drogę osadą gwintówki.

A w darialskim aule, w sakli Murreta, dokąd spieszy nasz nocny wędrownik, na wpół rozwalonym kominie buzuje się wielki ogień, podsycany ciągle pękami chrustu, w miedzianym zaś kociołku kipi baranina.

Koło niej kręci się stara kobieta, a półnagie dzieci z krzykiem i piskiem przewracają się po ziemi. Stary Murret w tej chwili czyścił zardzewiałą gwintówkę, a córka jego Ara, dziewczę rzadkiej piękności, jak każda prawdziwa Czerkieska, smarowała tłustością kindżała i szaszki ojca.

— Ara! rzecze starzec do córki, weź pletnią i uspokój te niegodziwe wilczęta; ot jak się rozwrzeszczały, jak baby u studni.

W jednej chwili dzieci ucichły.

— Aha! mówił ojciec dalej, boicie się pletni!.. No ja was nauczę! Gura, słyszysz ty, stara czarownicol... do ciebie mówię.

Stara porzuciła robotę i podniosła głowę.

— Czego się kłóca? zapytał Murret.

(1) Ziulfy, loki które Persowie zakładają za uszy.

(2) Auł — wieś. (3) Sakla — dom.

— A to twój ulubieniec, twój Charrabet, ukradł kawałek baraniny.

— Zkąd ukradł?

— A zkadżeby, z kotła przecie.

— Jakto z kotła, gołemi rękami?

— Tak, gołemi rękami.

— Charrabet! pójdz tu.

Mały czternastoletni chłopiec, ukryty w kącie, w kupie kukuryzowych liści, wysunął głowę, nie ruszył się jednak z miejsca.

— Tu! plemię tygrysie, krzyknął stary góral.

Chłopiec jednym skokiem stanął obok ojca.

— Pokaż, jak ukradłeś baraninę.

Charrabet poszedł do kotła, napelnionego kipiącym warem, i z zadziwiającą zręcznością porwał kawał baraniny.

Głośny pochwalny śmiech ojca był nagrodą zręczności dzieciaka.

— Dzielnie, Charrabet! zawołał starzec, dzielnie, dostaniesz za to moją starą gwintówkę.— Tęgo dzigid Charrabet! No, dodał zwracając mowę do starszej, mów dalej, cóż potem?

— Więc gdy ten ladaco....

— Ciszéj, szakalicol! Jaki ladaco? Powieźdz dzielny chłopak. No, mów!

— No, no, niech i tak będzie. Więc gdy ten dzielny chłopak porwał baraninę z kotła, a Murchom i Regot rzucili się aby mu ją odebrać....

— I cóż, Charrabet ustąpił?

— Ustąpić, on! gdzie tam. Patrz, ile krwi upuścił z braci, i nie ustąpiłby baraniny, gdyby nie pletnia.

— A to niedobrze. Charrabet boi się pletni i dlatego ustępuje zdobyczy! . Pfe, to niedobrze! Pójdz tu, mówił dalej Murret do syna. Zato że kradniesz tak gładko i zręcznie, nie bojąc się oparzenia, daruję ci gwintówkę, bij się dzielnie i nie ustąp zdobyczy, choćby ci nawet całe piekło i tysiące bagnętów zastąpiły drogę! Ale żeś stchórzył przed pletnią i puścił zdobycz, to muszę ci zganić. A dla lepszej pamięci, oto masz!

I zaczął nahajką okładać syna po plecach.

Oczy Charrabeta błysnęły jak dwa żarzące węgle, a muszkuły twarzy wyteżyły się i zadrżały ze złości i bólu.

Chłopak szarpnął się raz i drugi, i uwolniwszy się z rąk ojca, wybiegł z sali. Rozżarty góral szyb-

ko pochwycił pistolet wiszący na ścianie i rzelił na traf w stronę w którą uciekł Charrabet.

— Żebyś tak zawsze trafiał, jak teraz. Szejtan zamówił ci kulę! wrzasnął szyderczo zbieg i z głośnym śmiechem znikł w ciemnościach nocy.

Murret, blady, półmartwy ze złości, stał w progu swojej sakli, w której po ścichnięciu wystrzału i słów dzieciaka długie panowało milczenie, przerywane chwilowo trzaskiem palącego się chrustu i głębokimi westchnieniami młodej Ary. Łzy zakręciły się w oczach dziewczęcia, lecz gdy Murret, wyszedłszy z osłupienia, zatrzasnął drzwi sakli, Ara niepostrzeżenie otarła wilgotne oczy i śliczne purpurowe usteczka ukraśniała przymuszonym uśmiechem.

— Nie powróci do ojcowskiej sakli! rzekł smutno Murret. A potem, jakby pokonywając wzruszenie, rozkazującym dodał tonem: Stara, jeść!... prędko!...

W parę godzin po wieczerzy, do sakli Murreta wszedł góral. Krew płynęła strumieniem ze zranionej jego twarzy, odzież na kawałki była podarta.

— Medzi Jussuf! krzyknął gospodarz. Niech Allah błogosławi chwilę twego przybycia i przynieś do mego domu wiadomość o niezawodnej zdobyczy.

Gość nie rzekł ani słowa, i upadł bezsilny na ławkę.

— Co to! tyś skrwawiony!... gdzie twój koń, gwintówka, szaszka?

Medzi Jussuf, smutno kiwnąwszy głową, machnął ręką, jakby powiedzieć chciał: wszystko przypadło!

— Czy być może?... Tyś raniony, zrabowany!... Nie sądzę żeby to w naszym stało się aule? My gościa nie rabujemy, chociażby on był naszym wrogiem, chociażby krew jego była nam tak niezbędną jak proch i kule....

— Daj mi wody... szepnął gość... Teraz będę mógł mówić, dodał, orzeźwiwszy się nieco.

— No, opowiadaj co ci się przytrafiło? pytał niecierpliwym Murret.

— Wiész o tém dobrze, zaczął Medzi Jussuf, że dzisiaj miałem do ciebie przyjechać.

— Jakże nie mam wiedzieć? Jak na żarzących węglach czekałem twego przybycia. Nasze dzigidy puszczają się na wyprawę, oczekując tylko na

ciebie i na uzdenia (') Dżemchała... Cóż się z nim dzieje?

— Przybędzie on tu jutro o północy. Ten dzielny chłopak namówił do wyprawy nietylko swój aul, ale i sąsiednie.

— Ot to lubię! zawołał starzec, zaciągając rękę. Ale nie powiedziałaś mi co za czart tak cię poturbował.

— Nie sam czart, ale czartowskie dziecko... twój syn!

— Przeklęta niech będzie chwila w której się urodziła ta żmija! Tak, tak, przed dwiema godzinami uciekł z domu. Ale nie pojmuję jakim sposobem takie szczenię mogło pokonać walecznego Medzi Jussufa!

— Ach, przyjacielu! czy możesz przewidzieć chwilę kiedy pies wściekły cię ukąsi? Tak też i tu się stało. Słuchaj,... opowiem ci wszystko. Byłem już na skałach blisko aula; ogień twojej sakli błysnął mi już w oczach, gdy nagle mgła i ciemność zbiły mnie z drogi. Nie znając jeszcze dokładnie waszych ścieżek, bałem się wpaść w jaką przepaść, i dlatego też, nie spuszczać się na konia, zsiadłem i prowadziłem go za sobą. Wtém zdało mi się że odgłos ludzkich kroków doszedł do mego ucha; staje i słucham... Wistocie ktoś spiesźnie ku mnie się zbliża. — Wróg czy przyjaciel? krzyknąłem, mierzając z gwintówki.— Czy to ty, Medzi Jussuf? — Kto tam? — Charrabet, syn Murreta.— A chwała Allahowi! pomyślałem sobie, Charrabet wyprowadzi mnie z tego odmetu. I takim się ucieszyłem, że pocałowałem to przeklęte szczenię; a przyznam się, rzadko całowałem najulubieńszą nawet z żon swoich. — No, rzekłem, prowadźże mnie do ojca.— Rozumię się że cię poprowadzę; czyż nie domyślasz się że jedynie w tym celu wyszedłem?— No, to dobrze, rzekłem, i poszliśmy.— Ostrożnie, Medzi Jussuf, mówił twój syn; niedaleko jest przepaść, pozwól mi prowadzić swego konia i zdejm gwintówkę i szaszkę.— Chociaż ony nie ciężkie, jednak przez długą drogę ucisnęły ramiona. Zawierzyłem dobrym chęciom Charrabeta, oddałem mu konia, gwintówkę i szaszkę, i poszedłem za nim.— Stój, rzecze Charrabet po kilku minutach, zdaje mi się że zbłądziłem.— Zatrzymaliśmy się: lecz w tej samej chwili twój syn, przeklęte niech będzie jego imię, tak gwałtownie w bok mnie ude-

(1) Uzdeń, rycerz, szlachcic w górach.

rzył, że bez przytomności wpadłem w przepaść, zaczepiając się o ciernie i zostawiając na nich kawałki odzieży, a nademną rozległ się głośny, złowieszczy śmiech chłopca. Nie pamiętam jak długo leżałem bez przytomności; zimny wiatr mnie ocucił, i zebrawszy ostatki sił, dowlokłem się do twój sakli. Widzisz, bracie, jaką wychowałeś gadzinę!

Starzec, zamiast odpowiedzi, smutnie pokiwał głową.

— Z jego łaski, mówił gość dalej, muszę teraz siedzieć na progu sakli, wtedy gdy nasze dżigidy kindżałem będą zdobywać złoto i dziewczęta. Przekleństwo! Ale niczego tak mi nie żal, jak szaszki. Prawdziwa stall... prawdziwa dagestańska, roboty najlepszego majstra z Derbentu!... a prócz tego to pamiątka po bracie i na rzeszocie wyrznięte jest jego imię: Mufet Ali.

— Podzielam twój smutek, kochany Medzi Jussuf. Allah świadkiem, rzekł Murret, kładąc rękę na sercu, że chciałbym ci wszystko wynagrodzić. Ale poczekaj, jak wrócimy z wyprawy, może będę mógł zadosyć uczynić twojemu i własnemu życzeniu. Ach Charrabet, ty żmijo, strzeż się mnie teraz!

II.

Północ, ognie już dawno pogasły w oknach lepianek S...skiej stannicy, położonej u stóp stromej skały na brzegach Tereku i zajętej wtedy przez czarnomorskich Kozaków. Chwilami dawał się słyszeć przeciągły okrzyk straży rozstawionych na linii. W jednej z lepianek skrzypnęły drzwi, a na ich progu ukazało się dwóch Kozaków.

— Bądź zdrow, kumie Styćko! niech ci Bóg da zdrowie i wszystko dobre, mówił jeden z nich, przeprowadzając widać gościa.

— Bądź zdrow, bracie Osipie, bądź zdrow i szczęśliwy.

I drzwi lepianki, skrzypnąwszy, zamknęły się za odchodzącym.

Styćko nasunął czapkę na uszy, pokręcił węża i chciał jeszcze coś przemówić do kuma, lecz ziewnąwszy raz i drugi, poszedł w swoją drogę.

— No, mówił sam do siebie Styćko, zataczając się trochę, Osip dobrze mnie dziś poczęstował! A cóż to, czy mi oczy wylazły? nic nie widzę... choć arbuzem w łeb palnij., a to gorzałka!...

Tak mówiąc ciągle sam do siebie, nie spostrzegł nawet jak minął kordon straży, i ocknął się dopiero na krętym przepaścistym brzegu Tereku. Tymczasem jakiś jeździec, spuściwszy się zręcznie na koniu ze spadzistej skały, nagle wpadł na zblakaniego.

— Stój! Czerkies czy Kozak? krzyknął Styćko, chwytając konia za uździenicę.

Jeździec, w miejsce odpowiedzi, rzucił czapkę do góry, co znaczyło: „przyjaciel.“

— Hej, Kozaki, do mnie! do mnie bracia! Jakiegoś czarta złowiłem w rzęce! wołał z całych sił Styćko.

Tymczasem nieznajomy nie ruszał się z miejsca i spokojnie siedział na koniu, jakby czekając odpowiedzi na wołanie Kozaka.

W stannicy uderzono na trwogę. Zabłysły ognie. W kilka minut tłum zbrojnych Kozaków otoczył jeńca. Byłto zbieg Charrabet. Zarzucono Kabardyńca pytaniami, lecz nie wydobywszy zeń ani pół słowa, poprowadzono do esauły.

Esauł Kurdeńko znany był kabardyńskim i czeczeńskim rabusiom z nadzwyczajnej odwagi. Od dwóch lat, to jest od czasu objęcia dowództwa w stannicy, dokazywał cudów, porażając najeźdźców w każdej potyczce. Biada Czerkiesowi co się chciał zmierzyć z esaułą na szaszki; nie wrócił on już nigdy do swój sakli. Dlatego też rabusie, ostrząc tajemnie kindzały, czekali tylko sposobnej pory, ażeby zapłacić nienawistemu wrogowi za wszystkie swoje nieszczęśliwe napady. Wiedzieli oni że stannica bogata w oręż i bydło; ale wiedzieli także że u Kozaków szaszki ostre, odwaga niepospolita, i że niełatwo swego ustępują.

Góralom pozostawał jeden tylko środek: napaść na stannicę nagle, prędko i w całej sił swoich masie. Dlatego chytry napastnicy przez cały rok cicho siedzieli, mniemając że tym sposobem uspią czujność esauły i jego Kozaków, a potem spadną na nich raptem jak śnieżna lawina.

W samej rzeczy Kurdeńko mniemał że się upamiętali, i często w kółku swych zuchów mawiał: „A wraże dzieci! a wilcze plemię, nie wamto mnie igrać po nosie!“ Lecz podstępny nieprzyjaciel nie drzymał i zbierał młodź do najazdu na nieprzystanną stannicę. W tym właśnie celu Medzi Jus suf jeździł do uzdenia Dzemchała z poselstwem od staro Murreta, przywódcy najodważniejszych ra-

busiów i najzaciętszego nieprzyjaciela wszystkich Kozaków w ogólności, a Kurdeńka w szczególności. W tej właśnie chwili gdy małego Kabardyńca prowadzono do esauły, Dzemchał na dzielnym koniu pędził z najeźdźcą drużyną do aulu Murreta.

— A co tam nowego? zapytał Kurdeńko, spostrzegłszy przybywających. Co to za jeden?

— At baćku, bies jego wie, pytaliśmy go, ale milczy; znać po naszemu nie gada.

Przywołano tłumacza i zaczęto badać jeńca, którego pierwsze słowa były, że chciałby widzieć dowódcę.

— Ja jestem dowódcą, rzekł esauł, czego żadasz odemnie?

— Przynoszę ci ważną wiadomość. Czy przyrzekasz natychmiast wypuścić mnie na wolność, skoro ci ją objawię?

— Ha, zobaczymy potem!

— To nie powiem ani słowa. A jednak lepiej wziąć dobrowolnie co dają. Biierz orlę gdy jeszcze nagie, bo jak porośnie w pióra, nie uchwycisz go pod niebiosami.

— Mały rozbójnik, a wart więcej niż dziesięciu starych! No mów młody wilczku!

— Więc słowo uczciwego dżigida, że mnie uwolnisz?

— Niech cię czart porwie... uwolnię! krzyknął Kurdeńko, brzęknawszy ręką po szaszce.

— Jutro o północy, mówił Charrabet, jak tylko ciemność okryje brzegi Tereku, bądź ostrożny jak lis. Trzy kabardyńskie auly, Karabat, Dżemat i Darial, pod dowództwem uzdenia Dzemchała i mojego ojca Murreta, przygotowują napad na waszą stannicę; jutro siadają na koń.

— Więc jesteś syn Murreta?

— Tak, jestem jego synem.

— I zdradzasz ojca?

— Zdradzam.

— Cóż cię skłoniło do tak strasznego czynu?

— On bił mnie pletnią.

— A czy ty prawdę mówisz? zapytał esauł.

— Jeżeli moje słowa jutro się nie sprawdzą, każesz mi zaraz powiesić.

— A jeżeli przeciwnie, jakiej spodziewasz się nagrody?

— Nagrody?... żadnej.

— I znów ucichło w stannicy, i ognie znowu pogasły.

Na drugi dzień niebo, zasunione deszczowymi chmurami, zapowiadało noc ciemną i niepogodną. Kozacy S...skiej stannicy oddawna czekali na przyjęcie nieprzyjaciela, i rozdzieleni na oddziały zasiedli w gęstej trzcinie nad brzegami Tereku. Deszcz lał strumieniem, Terek szumiał i przewracał burzliwe fale; w trzcinach było cicho, jakby wszyscy wymarli. Około północy dał się słyszeć daleki tentent, a w kilka minut wyraźne stąpanie koni na drugim brzegu rzeki. Nieustraszeni rozbójnicy już mieli się powierzyć bystrym falom, gdy w téjże samej chwili zagrział wystrzał. Za nim huknął drugi, trzeci, zabłysły smolne beczki i oświeciły tłum przybyszów, którzy zdumieni odkryciem napadu, stali przez chwilę w osłupieniu; a gdy kule kozackie, przeleciawszy przez Terek, raniły z nich kilku, wystrzelili wzajemnie i z okrzykiem wściekłości czwaleń puścili się pod górę.

Kozacy, skupiwszy się, chcieli zrazu puścić się w pogoń za uciekającymi; lecz zważywszy że przeprawa o téj porze przez wzburzoną rzekę nie będzie łatwą, że górale tymczasem ujdą, zaczęli się dopytywać kto z nich niewczesnym wystrzałem zniweczył plan, którego wykonaniem można było wytepić od razu przeciwników. Żaden z Kozaków nie przyznał się do tego; podejrzenie więc padło na Charrabeta. Rozbiegli się wszyscy aby wyszukać i ukarać zdradzieckiego Kabardyńca, ale ten znikł bez śladu.

Charrabet, ukryty nad brzegiem rzeki, czekał skutku swéj zdrady; lecz gdy usłyszał tentent koni zbliżających się Kabardyńców, żal, trwoga i zgryzota ścisnęły mu serce. Oddałby teraz pół życia, gdyby ich mógł uwiadomić o grożącym niebezpieczeństwie. Wtedy umyślił obudzić przedwczesną trwogę, dla ostrzeżenia napadających; strzelił, i w zamieszaniu skoczywszy na konia, rzucił się w Terek, płynął czas jakiś z biegiem rzeki, a potem, skierowawszy zmęczonego bieguna ku brzegowi, szczęśliwie wy dostał się na ląd i schronił w nieprzebytéj gęstwinie olbrzymiego lasu.

III.

Pięć lat upłynęło po wypadkach dopięro co opisywanych. W skwarny dzień letni w rozpadlinie skał wiszących nad Terekiem i rozdzielających wielką Kabardę od Czechni, przy rozłożonym ogniu, na

którym piekł się szaszłyk (1) siedziało czterech góralów. Ich nędzne ubranie przedstawiało dziwną mieszanię bogactwa i niechłujności; tylko jeden z nich, młody i piękny, odróżniał się od towarzyszów wytwornością stroju. Na boku stały cztery piękne konie.

— A co, Trama? zapytał jeden, czyś słyszał jak Rosyianie zwyciężyli, niedawno twoich i rozproszyli na wiatr ich auly?

— A ty, Rumet-Sadek, krzyknął zapalczywie młody góral, odpowiadając zamiast Kabardyńca Tramy, czyś słyszał jak chan twój został pobity?... My, bracie, wiemy o swojej biędzie; ale gwintówka kabardyńska, choć bije ołowiem, pewniejsza jednak niż miedź awarska.

— No, beku, rozgniewałeś się bez powodu; ja tylko tak zapytałem; chciałem powieścić nowinę.

— Schowaj tę nowinę dla siebie.

— Cóż dziwnego że Rosyianie biją Kabardyńców? nie piérwszy to raz przecie, dodał trzeci, jak widać trzymający stronę Rumet-Sadeka.

Wyrazy jego i złośliwy uśmiech nie uszły uwagi zaczepionego.

Kabardyniec spojrział znów tak ognistemi oczyma, że zdawało się iż spali niemi szydercę jak błyskawicą. Kindzał błysnął w jego rękę.

— Cyt! szepnął Trama, pokazując palcem w dolinę, odłóżcie tę sprawę na później! Patrzcie, ot inna robota dla kindżałów! Nie zapominajcie że już dojadamy ostatniego kawałka baraniny i że w kieszenie nasze nie zabłąkało się ani pół abaza (2).

Sprzeczką ustała i cała uwaga obróciła się na dwa objuczone konie, prowadzone przez zmęczonych podróżników, którzy palili tytuń z króciutkich fajek. Jeden z nich zatrzymał się, obejrzał na wszystkie strony i rzekł do towarzysza:

— Medzi Jussuf, odpocznijmy trochę; tu i konie znajdą paszę, i woda niedaleko.

— Oj prawda, Murrecie, czas, dawno już czas odpocząć!

Tak rozmawiając, podróżni rozjuczyli konie, i rozesławszy burki, położyli się pod cieniem wiązu.

— Oby nam Allah dopomógł wy dostać się z tych

(1) Szaszłyk, drobne kawałki mięsa, pieczone na drewnianym rożnie.

(2) Abaz, najdrobniejsza miedziana moneta.



przepaści i zakrętów! Tu patrzeć tylko jak się zetkniesz z zuchami, co się gnieźdzą jak sępy na tych skałach niedostępnych, rzekł Murret. Zapłaciliż nam Rosyanie, mówił dalej po chwilowém milczeniu, zapłacili z lichwą za wszystko! Niewielu uszło z naszych aulów.

— Cóż robić? taka wola Allaha i jego proroka, spokojnie odpowiedział Medzi Jussuf. Ale poczekaj bracie, dobierzem się przecież do mego miasta rodzinnego Derbentu; tam zapomnisz o smutku. Niech licho porwie rozbój i gwintówkę! Handluj w mieście jedwabiem i tytuniem, to i głowa i kieszeń będą całe.

— Prawda, prawda, Medzi Jussuf. Ale kto mi powróci moje biedne dzieci?

W téj chwili zagrzmiał wystrzał; kula gwiżdząc przeszła czapkę Murreta i uderzyła w drzewo.

— Głośno, ale nie trafnie, trzeba było o włos niżej! rzekł niezmiészany starzec, a widząc biegnących ku sobie rozbójników, dobył szaszki i oparł się plecami o gruby pień wiązu. Medzi Jussuf poszedł za jego przykładem.

Czterej rabusie, dobywszy kindżałów, z dzikiém wołaniem rzucili się na podróżnych, gotowych już do obrony.

— Poddaj się, lub zginiesz! krzyknął młody Kabardyniec, mierząc z pistoletu.

— Kłamiesz, młokosie! odpowiedział Murret spokojnie, i pociągnął za cyngiel gwintówki.

Napastnik zachwiał się i z jękiem upadł na ziemię.

Pozostali niedługo walczyli. Zginęli wszyscy od strzałów i ostrza Murreta i Medzi Jussufa.

— Allah jest wielki! i wielka pomoc naszego proroka! szeptał Medzi Jussuf, ociérając kindżał połą swego czekmena (1). A to co? krzyknął, zdejmując szaszkę z zabitego Kabardyńca. Patrz, Murret, szaszka mojego brata! Czytaj napis: Mufet Ali!

Starzec pochylił się nad zabitym młodzieńcem, chcąc rozpoznać rysy skrzywione konaniem.

— Tak, Medzi Jussuf, rzekł cicho, to szaszka twojego brata. A pierś ta, przeszzyta moją kulą — to pierś mego syna Charrabeta!....

(1) Czekmen, zwierchnia odzież góralów.

Ł A S I C A.

Łasice mają ciało wysmukłe, przedłużone, grzbiet wypukły, pysk krótszy od czaszki, nos wystający, na końcu tępy; język gładki, konchy uchove małe, zaokrąglone, sierć długą, miękką; nogi pięciopalcowe, palcochodne, pazury krótkie, ogon mierzny, cyce umieszczone na brzuchu i przy otworze odchodowym gruczoły wonne. Charakterystyczną cechą téj familii stanowi: jeden ząb brodawkowaty, poza zębem mięsożernym szczęki wierzchniej umieszczony. Wszystkich zębów liczą im od trzydziestu dwóch do trzydziestu ośmiu. Brakuje im kieszki ślepój (kątnicy), nie zasypiają na zimę.

Łasice należą do zwierząt mięsożernych; naturalisci dzielą je na pięć familij, to jest: kuny, psy, zające, hieny i koty. Każda familia dzieli się jeszcze na podrodzaje, każdy podrodzaj na liczne gatunki, z których więcej interesujące opiszemy.

Łasica pospolita (*mustela vulgaris*). Z wierzchu

jest koloru jasnobrunatnego, z podspodu białawo-żółta; cały ogon jest tego koloru co grzbiet, nie ma więc czarnego końca, który u innych gatunków, mianowicie u gronostaja, widzieć można. Biała rzadka u nas, i tylko podczas zimy się pokazuje. Długość wraz z ogonem, który ma 1 1/2 cala, wynosi 7 1/2—8 1/2 cali.

Łasica i gronostaj znajdują się w jednych i tych samych częściach Europy, z tą różnicą że pierwsza jest bardzo pospolitą w krajach umiarkowanych, a ostatni jest w nich rzadkim, głównie bowiem zamieszkuje okolice zimne. Łasica nie oddala się wcale od mieszkań ludzkich; chyba w bardzo pięknej porze roku wychodzi na pola, ponad brzegi strumieni i małych rzeczek. Lubi przebywać w płotach ogradzających łąki suche i małe doliny, w wydrążeniach skał i stosach kamieni, niekiedy nawet w szkieletach zwierząt zdechłych i ich

trupach nawpół przegniłych (1). Szczególniej są jój ulubione nory wykopane przez krety i myszy polne, i wypróchniałe pnie drzew. Wejrzenie żywe, chód śmiały nadają jój postawę czelną, szczególnie zwracającą uwagę, kiedy sądząc się być wolną od niebezpieczeństwa, siedzi na gałęziach drzewa i spogląda z tryumfem na myśliwego. Szybka jest do zadziwienia, a jój ruchy są tak swobodne, tak wdzięczne, że zdaje się iż najtrudniejsze skoki żadnego wysilenia jój nie sprawiają. Z powodu swój żywości prawie nigdy nie chodzi, ale w ustawicznych jest skokach; jednym rzutem dostaje się na drzewo do pięciu lub sześciu stóp jego wysokości, i skacze z gałęzi na gałąź z równą szybkością jak wiewiórka. Sposób jój życia i polowania na inne zwierzęta jest taki sam jak innych gatunków; poluje na krety, myszy polne, ptaki, szczury wodne, jaszczurki i węże. Opowiadają z tego powodu, że gdy mocując się ze żmiją zostanie od niej ukąszona, wytarza się natychmiast po pewnym gatunku trawy, zjada kilka jój listków i wraca zdrową do dalszej potyczki. Dzisiaj to fałszywe twierdzenie nie potrzebuje nawet zbijania.

Odwaga tego zwierzątka jest nadzwyczajną; walczy ze szczurami polnemi dwa razy od siebie większemi, otacza je swém giętkiem ciałem, ściska pazurami i prawie zawsze pokonywa. Porywa się nawet na zająca siedm do dziesięciu funtów wążącego. Jeden z uczonych francuzkich przytacza fakt następujący: „Na odkrytej równinie zoczyłem zająca pędem wybiegającego z kotliny, który zrazu wielkie, następnie coraz mniejsze, zakręślał koła i widocznie słabł co chwila. Ten manewr, którego nie mogłem sobie wytłumaczyć, nie pojmując jego przyczyny, trwał siedm do ośmiu minut, nakoniec zając padł, tarzając się po ziemi i krzycząc, tak jak kiedy przez psy jest schwytanym. Przybliżyłem się spiesznie i ujrzałem go konającym. Łasica wdrapała mu się na szyję i powoli robiła mu dziurę w czaszce, pomimo nadzwyczajnych usiłowań które czyniło biędne zwierzę, chcąc się od niej uwolnić. Słyszałem opowiadających, mówi tenże autor, że łasica, przypięszy się do szyi bażanta lub innego równie silnego ptaka, prędkiej pozwoli unieść się w powietrze, niż porzuci swą zdobycz.“

Buffon utrzymuje że łasica poluje tylko w nocy,

(1) Buffon.

lecz myli się w tym względzie; nie ma bowiem myśliwego, któryby nie miał sposobności zauważyć ją jak w biały dzień czatuje i zręcznie podchodzi ptaszki na płotach. Gdy wróbel ją wtedy spostrzeże, trwożliwym krzykiem zwołuje swoich towarzyszów, którzy ją otaczają i hałasem prześladują. Lecz ona, zamiast przestraszać się tém i uciekać, jak to czyni kuna i tchórz, korzysta z tej sposobności, by najśmielszego a zarazem najnieostrożniejszego z pomiędzy nich schwytać.

Na wiosnę, w maju lub czerwcu, wydaje na świat 4—7 młodych. Składa je w gnieździe, które wcześniej ze słomy, siana, suchego liścia i mchu w wydrążeniu wiérzby lub jamie ziemnej sobie przygotowuje. Młode rosną bardzo prędko i wkrótce towarzyszą matce na polowanie. Gdy nastaje brzydka pora, cała familia udaje się do najbliższego ludzkiego mieszkania, i osiada w spichrzu lub stodole. Wtedy to jest szkodliwą dla ziemian, gdyż giętka budowa dozwala jój wciskać się w najciaśniejsze otwory, a jeśli dostanie się do gołębnika lub kurnika, zrządza tam takie zniszczenie jak tchórz i kuna. Rzadko jednak napada na koguty i stare kury, nie dlatego, jak niektórzy naturaliści sądzą, że dziobaniem mogłyby jój się obronić, ale dlatego że przekłada nad nie drób młody, a szczególnie kurczęta. Jeżeli przypadkiem dostanie się do ich gniazda, zabija je wszystkie i wynosi jedno za drugim. Podobnie jak wszystkie zwierzęta jój rodzaju, zawsze od głowy zapoczyna swoją ofiarę, przebija jój czaszkę powyżej szyi i przez ten mały otworek mózg jój wysawszy, często pozostawia trupa, nie naruszając go więcej.

Buffon utrzymuje że łasica nigdy się nie przyswaja, i że trzebaby ją ciągle trzymać w klatce zamkniętej, chcąc hodować w niewoli. Jednak pewną jest rzeczą że przyswaja się łatwiej niż każde inne zwierzątko z jój rodzaju, byle tylko była bardzo młodo złapaną i traktowaną z jaknajwiększą łagodnością. Niekiedy nawet do tego stopnia się oswaja, że na głos swego pana przychodzi z ręki jego odbierać pożywienie. W niewoli wiele czasu przepędza na spaniu; przez resztę dnia, w braku szczurów i myszy, poluje na muchy i komary, plądrując przytém wszystkie zakątki mieszkania. Zbliżenie obcych osób pospolicie zatrważa ją trochę i ucieka natychmiast do swojej kryjówki; jednak nie stara się nigdy wydostać na wolność, chociaż

widzi drzwi otwarte. W niewoli żywi się ją chlebem maczanym w mleku i mięsem.

Panna Laistre wychowywała sobie łasicę, która swoim oswojeniem wszystkich w zadumienie wprawiała; żywiła ją mięsem i mlekiem, które według jej zdania łasica chętniej spożywała z jej ręki, aniżeli z jakiegokolwiek naczynia.

Oto szczegóły które p. Laistre o swój łasicy podaje: „Trzymałam ją w swoim pokoju, a jej mocną woń rozpędzałam kadzidłem. We dnie spała ona w sukni, kryjąc się w miejsce niezaszyte; albo też gdy siedziałam w pokoju układała się przy moich nogach. W nocy sypiała w klatce, gdzie z wielką wchodziła niechęcią. Gdym wstała i uwolniła ją z niewoli, wyprawiała tysiące zabawnych figielków, wskakiwała na łóżko i spała na moich rękach. Gdym wstała wcześniej jak zwykle, pieściła się za to ze mną przynajmniej przez godzinę, igrała jak pies z moimi palcami, wskakiwała mi na głowę, szyję, ramiona z taką lekkością i delikatnością, jakiej nie zdarzyło mi się widzieć pomiędzy innymi zwierzątkami. Gdym trzymała ręce na trzy stopy od siebie odległe, przeskakiwała z jednej na drugą, ani razu nie chybiając. Okazywała wiele dowcipu i przebiegłości jeżeli chodziło o dopełnienie jakiegoś zamiaru, a wszelkie zakazy zdawała się tylko za żart uważać. We wszystkiem co przedsiębrała starała się usilnie widza zadowolić i zwrócić na się jego uwagę. Przy każdym skoku i obrocie oglądała się na niego, chcąc się przekonać czy jest widziana. Ponieważ nigdy nie zasypiała mocno, odyskiwała więc swoją wesołość, jak skoro ją obudzono, i ponawiała natychmiast dawne śmieszne figielki. Nie okazywała złego humoru, nawet gdy surowo była połażaną i ukaraną; w tym razie objawiała swoje niezadowolone przez rodzaj mruczenia, różny od tego jakie dawało się słyszeć wtedy, gdy była zadowolona.

„Pomiędzy dwudziestą osobami rozpoznawała mój głos, wyszukiwała mnie natychmiast, przeskakiwała przez wszystko co było na jej drodze i przybiegała do mnie. Pieszczoty jakie mi okazywała były równie żywe jak czule. Igraszki jakie z moją twarzą czyniła były w taki sposób wykonywane, że zdaje mi się jej samej sprawiały przyjemność. Tysiące podobnych objawów jej przychylności dowodzą że ona prawdziwie mnie lubiła. Skoro spostrzegła że się ubieram aby wyjść, nie pozwalała mi tego uczynić i kosztowało mnie to niemało trudu, nim

się od niej uwolniłam. Ukrywała się wtedy poza drzwi, i gdym przechodziła obok niej, wskakiwała na mnie tak szybko, że tego dojrzeć nie mogła.

„W żywości, głosie, zręczności i mruczeniu zdawała się być podobną do wiewiórki. W lecie pisała ona i biegała w kółko prawie przez całą noc, czego podczas zimy nie czyniła. Równie gdy ze mną się bawiła, a słońce na nią padło, kręciła się pewien czas w kółko i jakieś szczególne mruczenie wydawała.

„Z zadowolenia jakie okazywała pijąc mleko z mej ręki i ze sposobu w jaki zlizywała krople wszelkich płynów, możnaby wnosić że na wolności równie chciwie rosą się uracza. Niechętnie jednak i z wielką ostrożnością brała się do wody, i wtedy jej tylko używała, kiedy wcale nie dostała mleka, co daje nam się domyślać że wstręt do niej czuje. Chciałam jej raz wlać do pyska wody deszczowej i zmusić ją do połknięcia, ale daremnem było moje usiłowanie, chociaż powietrze było gorące. Wtedy zmoczyłam kawałek płótna i położyłam obok niej, co jej widać wielką przyjemność sprawiało, bo przez znaczny przeciąg czasu naokoło niego w kółko biegała.

„To zwierzątko okazywało nadzwyczajną ciekawość; nie mogłam butelki otwartej, talerza odkrytego zostawić, na kawałek papieru spojrzeć, gdyż natychmiast to wszystko musiała obejrzeć. Gdy ją chciałam z kądem odprowadzić, brałam kawałek papieru lub książkę i z zajęciem na nie patrzyłam. Łasica wtedy natychmiast przybiegała do mnie, wskakiwała mi na ręce i równie ciekawie przeglądała to co w nich trzymałam. Miałam wielkiego psa i kota, z którymi bardzo lubiła ona igrać; wskakiwała im na szyję, na grzbiet, na bez uczynienia im najmniejszej przykrości, i nie wywoławszy z ich strony żadnego oburzenia za tę poufałość.“ Na tém się kończy sprawozdanie p. Laistre.

We Francyi znajduje się odmiana łasicy żółta-wa i rzadziej nieco zupełnie biała, która tylko w zimie się pokazuje.

Łasica zamieszkuje całą Europę, Syberję, Persję i Amerykę północną.

Gronostaj albo łasica śniegowa (*Mustela nivalis* u Lin. vulgaris) przez jednych była uważana za odmianę łasicy, przez drugich za odmianę gronostaja. Zdaje się że to drugie mniemanie na większą zasługuje wiarę, gdyż ma ona zawsze koniec ogona

czarny, co służy za cechę odróżniającą gronostaja od łasicy. Zamieszkuje całą północną Europę, można ją także widzieć na Litwie i w Polsce.

Lasica gronostaj (*mustela erminea*, v. *mustela alba*, v. *roselet*). Latem cynamonowo-czerwona, pod spodem żółtawo-biała; ogon ma na końcu czarny, szczękę dolną białą, wtedy Francuzi zowią ją: *roselet*. W zimie jest całkiem biała, koniec tylko ogona ma czarny; w krajach zimnych mieszkająca odznacza się piękną białością, nosi wtedy nazwę: *hermine* v. *ermine*.

Gronostaj jest trochę większy od łasicy, do której zresztą jest bardzo podobny. Ma on zwykle długości od ośmiu do dziewięciu cali, licząc od końca pyska do osady ogona, który jest długi na pół czwarta cala. Zwierzę to nie znajduje się w ciepłych krajach, w umiarkowanych zaś o tyle jest rzadkiem, o ile ich klimat więcej zbliża się do strefy południowej. Mieszka w Europie północnej i umiarkowanej Azji i w północnej Ameryce. Przebywa w wielkich lecz zwartych lasach, szczególnie lubi lasy brzoźowe. Znajduje się w królestwie polskim, rzadziej nieco na Litwie i Ukrainie. Polowanie na nie połączone jest z ogromnymi trudnościami i dowodzi nam tej niezaprzeczonej praw-

dy, że każda choćby najmniejsza zabawka bogacza, okupiona być musi łzami i nędzą ubóstwa.

Gronostaj żywi się wiewiórkami, popielicami, szczurami i innymi zwierzątkami ssąciami; często także robi wycieczki na łąki i w trzciny, w celu wyszukiwania jaj przepiórek, kuropatw i kurek wodnych, na które jest bardzo łakomą. Podobnie jak łania, daje się hodować w niewoli, a nawet lepiej się oswaja; jednak włos jego nie bieleje podczas zimy tak jak na wolności, ale zawsze pozostaje ciemnym i niepołyskliwym.

Futro gronostaja używa się do ozdób ceremonialnych ubiorów monarszych i do przystrojenia sukien dam zamożnych; z tej przyczyny jest ważnym przedmiotem handlu. Liczy się ono pomiędzy najdroższe, szczególnie jeżeli posiada połyskliwą białość, którą starzejąc się pospolicie traci.

Jest jeszcze kilka innych gatunków łasicy, jak: *bokamela* (*mustela boccamela*), która żyje w Sardinii; *sniada* (*m. fusca*), która mieszka w New-Yorku; *afrykańska* (*m. africana*), której ojczyzną Afryka; *brazylijska* (*m. brasiliensis*), która zamieszkuje Brazylią. Opisać ich tu nie zamieszczamy, gdyż w życiu praktycznym nie mają one dla nas żadnego znaczenia.

F. L...ki.

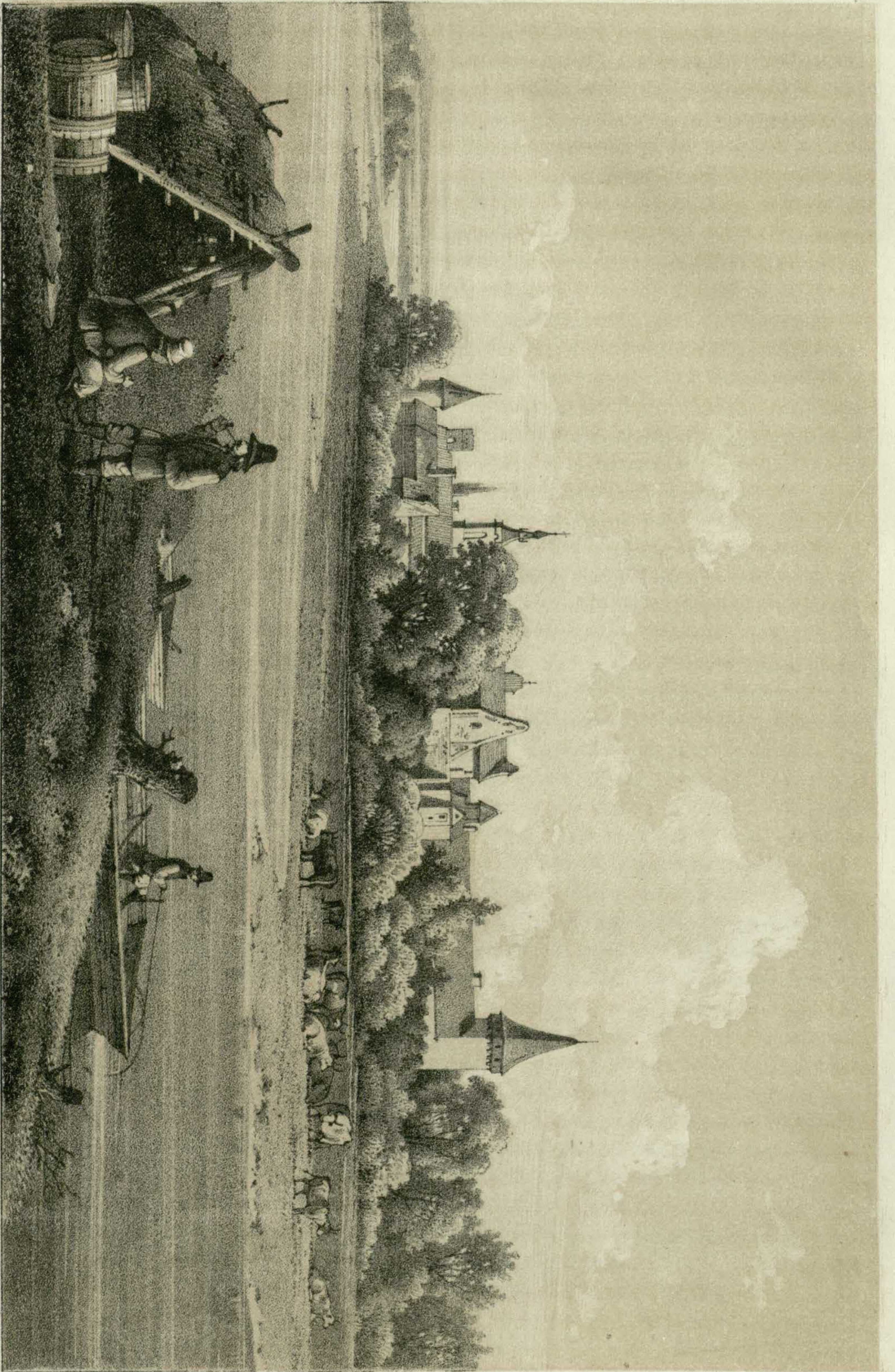
SULEJÓW.

(Wyjątek z „Wędrówek po kraju“).

Abdankowie, od czasu jak tylko wiadomości z najdawniejszych lat zasięgnąć możemy, władali Sulejowem i całą okolicą. Dwaj z nich przedewszystkiem mieli wielkie zachowanie u dwóch władców krakowskich, u Hermana i u wnuka jego Kazimierza Sprawiedliwego: byli to Lambert syn Michała z Góry i hrabia Rusław. Lambert zacny i pobożny, został obrany następcą biskupa Stanisława na katedrze krakowskiej; szczerze się przywiązał do Władysława Hermana, a kiedy król razem z małżonką trąpili się że niemają potomstwa płci męskiej, pierwszy podobno Lambert królowej Judycie wspominał o św. Idzim, i wysłany przez nią z ofiarami do Narbonne, modlił się u grobowca świętego do póty,

aż Polsce uprosił Bolesława Krzywoustego, za co dla katedry swojej dostał Pabianice. Umarł biskup na rok przed Hermanem, ale u młodego królewicza trwała pamięć zasług Lamberta i cudu św. Idziego. Jak wprzód ojciec, tak i syn teraz wiele budowali kościołów, które na cześć poświęcali patronowi Narbonne. Pomędzy innymi dowodami tej czci w Sulejowie naszym cło rzeczne nad Pilicą zapisał Bolesław kościołowi św. Idziego w Inowłodzu (1), co następnie syn jego Mieczysław Stary, zatwierdził jako uposażenie klasztorowi w Trzemeszynie (1145). Drugi Abdank, hrabia Rusław, służby swoje, jak powiedzieliśmy, poświęcił Kazmi-

(1) Kodeks Rzymszczyński T. II, str. 588.



an illustration by J. B. B. B.

SULEJOW.

rysunek z widokiem na spocisk i kościół

rzowi Sprawiedliwemu. Tutaj w okolicy Sulejowa obszerne posiadał włości, ale zdaje się nadane mu tylko były dożywociem, niby jako późniejsze starostwa. Rusław ten, umierając bez potomstwa, mówi Niesiecki, „Chrystusa dóbr swoich dziedzicem uczynił; w dziedzicznej włości swojej Sulejowie nad Pilią klasztor ojcom Cystersiensem wystawił, który potem Kaźmirz książę polskie sowicie nadał i ubogacił.“ Mowa tutaj o Kaźmirzu Sprawiedliwym, ale fakt sam przywieziony przez Niesieckiego cokolwiek inaczej się ma w rzeczywistości. Rusław mógł mieć kapitały i własny jaki majątek który na kościół podarował, ale Sulejów Cystersom podarował sam książę; jak tego dowodzi przywilej niedawno w archiwum gnieźnieńskim wynaleziony, a w kodeksie Ryszczewskiego wydany. Obszerne dobrami nadał nowy kościół książę Kaźmirz, a były te wszystkie włości w posiadaniu dotychczasowem Rusława; książę temi samemi prawami również nadał kościół, na jakich trzymał jego włości Rusław, *sicut comes Resceslaus tenuit*, wyraźnie jest w przywileju. Prócz włości i nadań, książę Kaźmirz zapisał dla Cystersów co rok trzynaście bałwanów soli sprowadzonej z Rusi bez opłaty cła w Sandomierzu i jeszcze bałwan z Krakowa i jeszcze dziewięciu bobrów corocznie. Od sądów wszystkich te włości wyjął do siebie appellacyi we wszelkich sprawach pozwolił. Od uciążliwości także wojennych i różnych podatków dobra te uwolnił, owszem zakonnikom nadał obszerne sądownictwo w podarowanych włościach, cywilne i kryminalne. Zachęć eni przykładem księcia, jednocześnie Piotr arcybiskupi gnieźnieński i Pełka biskup krakowski, pozapisywali dziesięciny kościołowi. Działo się to wszystko w roku 1176, w miesiącu sierpniu.

Właściwie zatem nie Rusław, ale książę Kaźmirz Sprawiedliwy był założycielem klasztoru sulejowskiego. Rusław najprędzej pierwszą ku temu dał przyczynę, namawiając księcia, a włości swoje które dożywociem posiadał, na kościół ofiarując. Książę dopiero wyznaczył fundusze Cystersom, żeby mieli z czego budować się, *ad claustrum construendum*, jak mówił w dyplomacie; więc zdaje się żadnego wtedy jeszcze kościoła w Sulejowie nie było. Ale Helcel w opisie historycznym klasztoru je-drzejowskiego wątpi o dacie tych nadań; podług niego założenie kościoła w Sulejowie niemogło być wcześniejsze od roku 1186 (stron. 15). Nie

zdaje nam się ta uwaga, bo przeciw niej świadczy nasz dyplomata i przyczynienie się do fundacyi Piotra arcybiskupa, który umarł już 1182.

Prędko widać powstał z niczego kościół sulejowski, bo odtąd nowych znajduje dobroczyńców po wszystkich stronach Lechii. Książęta, biskupi, panowie, bogacą go na wyścigi, a każdy nadaje coś, każdy coś do pierwotnego, acz już i tak bogatego, uposażenia klasztoru dorzuca. Po Kaźmirzu, Leszek Biały pamiętał o tym kościele, za sprawą albowiem biskupa Wincentego, sławnego kronikarza, darował dwie wioski Cystersom i dał im na to przywilej, który podpisał kanclerz Iwo Odrowąż z Końskich (1) w roku 1214—1217. Książę sulejowscy byli kapelanami Leszka białego; ztąd poczuwał się ten pan dla nich do wdzięczności, a sypiąc dobrodziejstwa, spełniał razem obowiązek chrześcijański, bo kazał im modlić się za swoje zbawienie i za dusze swoich rodziców. Już książę z bogacili się tak, że sami skupowali wioski w okolicy. Pomagał im książę, i tak połowę swoją wsi kupionego w drugiej połowie, Święciechowa, na kilka lat przed śmiercią podarował tym kapelanom (1221). Mieli książę sulejowscy, sami zapewne Niemcy, dobra rozrzucone po ogromnej przestrzeni kraju; ztąd niewygodą. Dlatego, myśląc o lepszym gospodarstwie i prędszym dozorze roboty, wchodzili w układy z różnemi sąsiadami i zamieniali wioski odległe na bliższe. Książę np. mazowiecki Konrad nadał im w Kujawach dwie wioski, to jest Lubotyń i Zakrzewo, pozwoliwszy je na prawie niemieckim osadzić; ale że to niebyła tak bardzo dogodna darowizna dla klasztoru, zrobiono natychmiast zamianę. Nastręczył się zakonnikom sławny Michał Godziemba, biskup kujawski; za Lubotyń dał opatowi sulejowskiemu Willermowi Barkowice, wieś położoną pod samem miasteczkiem Sulejowem, ba nawet do jego parafii należąca (1231). Opat nie robił tej zamiany naturalnie bez pozwolenia i upoważnienia klasztornych braci i nie bez wiedzy Konrada. Że zaś barkowiccy osadnicy oddawali z dawnych czasów właścicielowi ziemi, to jest książęciu, daniny z miodu i krów i powinności odrabiali z gruntu, biskup przeniosłszy się do swój dyecezyi, ciężary ich przyjął na siebie w drugim zobowiązaniu się piśmiennem, które zrobił w Łęczycy podczas poświęcenia na arcybiskupstwo Pełki (1232). W tymże roku do-

(1) Helcel, stron. 30.

stał Sulejów kościół i wieś w Dobrowie (1), i od Władysława Odonicza inną wieś, leżącą w okolicy opactwa. Zdaje się że był wtedy w naszym Sulejowie zakonikiem wielebny ksiądz Chrystyan, apostoł i pierwszy biskup pruski; on przynajmniej kościół dobrowski dostał na utrzymanie swoje z dóbr stolarowych od arcybiskupów gnieźnieńskich, a przywiązany do zakonu i do Sulejowa w szczególności, uprosił zaraz dobroczyńców, żeby po śmierci jego kościół ten zostawili na uposażenie klasztoru sulejowskiego. Inny książę, Bolesław sieradski, syn Konrada mazowieckiego, pozwolił zakonnikom łowić bobry po obydwóch brzegach rzeki Neru pod Bałdrzychowem (1233) i sprawy graniczne Sulejowa z sąsiadami rozsądzał (1237). Potem Pełka arcybiskup klasztorowi podarował wieś Kępino, leżącą pomiędzy Rozprzą a Milejowem (1239), którą Konrad mazowiecki od wszelkich ciężarów uwolnił (1241) i osobno jeszcze wszystkie przywileje klasztoru od poprzedników nadane zatwierdził (1242). Syn Konrada, Kaźmirz kujawski i łęczycki książę, naśladował przykład ojca i stryja, bo nie tylko sam nadawał klasztor, ale go od nieprzyjaciół bronił; a wiele ich miało opactwo sulejowskie pomiędzy możniejszą szlachtą, która sobie ostrzyła apetyt na bogate dochody zakonników. To jakiś pan Myślbor, czy może Mścibor, chciał oderwać od opactwa wieś Łęczno, twierdząc że ta jego rodziny jest własnością i tylko dostała się drogą zastawu klasztorowi; to znowu cały jakiś związek, złożony ze trzech spiskowych spekulantów, dwóch jak widać braci a jednego synowca, wpięrał w klasztor że nieprawnie posiada ich dziedziczną włość Bałdrzychów. Książę złożył sądy, i przekonał się najprzód co do Myślborza, że Leszek nadał wprawdzie Łęczno za pewne zasługi Chocimirowi z Chelma, ale że Chocimir zrzekł się po jakimś czasie tej włości, bo wzięwszy od klasztoru sulejowskiego zato 80 grz. czystego sr. na opatów zlał wszelkie prawa swoje, i że wtedy ks. Leszek, który pozwalał na te zamiany, na mocy zrzeczenia się dawnego pana, całą włość podarował klasztorowi na wieczne czasy. Myślbor zapewne był jakimś dziećciem owego Chocimira i spróbował czy nie uda się sztuka, ale przegrał sprawę (1251). O Bałdrzychów mniej jeszcze miał klasztor kłopotu i utrzymał się przy dawnych nadaniach (1261). Książę Kaźmirz

znał osobiście biskupa pruskiego Chrystyana. W ten czas kiedy jeszcze trzymał zamek łędzki, w posagu po żonie swojej Konstancyi, biskup wstawiał się u niego za Sulejowem, i hojny książę z własnej pobudki nadając Dobrów klasztorowi, liczne jego włości i łany od wszelkich uwolnił podatków (1252), a nadanie Władysława Odonicza zatwierdził (1260). Książęta Bolesław Wstydlivy i Leszek Czarny niczego do bogactw klasztornych nieprzydali, bo w innych stronach kraju sypali święte ofiary na ołtarze; w Sulejowie tę jedynie po sobie zostawili pamiątkę, że zatwierdzili obydwaj przywileje temu miejscu od poprzedników swoich nadane, Bolesław w r. 1262, Leszek zaś w r. 1279.

Szereg tych dobroczyńców pierwotnych kościoła zamykają dwaj bracia rodzeni, ostatnie prawie potomki Piastów przed ich upadkiem w Polsce: Władysław Łokietek i książę Kaźmirz łęczycki. Kaźmirz w przywilejach dla klasztoru sulejowskiego, wyraźnie przyznawał się, że po ojcu odziedziczył nabożeństwo i przywiązanie do tego miejsca. Jakoż w istocie opata sulejowskiego wziął sobie do dworu na kapelana, owszem wszystkich zakonników sulejowskich nazywał po dyplomatach swojemi wyłącznemi i szczególnemi kapelanami (speciales capellani nostri). Dalej zapisał klasztorowi trzy wioski i pozwolił je osadzić na prawie niemieckim, na takim jakim się jego własna stolica książęca rządziła (1292). Osobnym przywilejem, w kilka miesięcy potem wydanym, trzem tym wioskom, Górze, Pustkowiom i Kępie, nadał wszelkie wolności, a osadników niemieckich którzyby na zaludnienie tutaj przyszli, na lat szesnaście oswobodził od podatków (1292). Łokietek zaś jeszcze raz sądzić musiał sprawę owego Myślbora czy Mścibora, który dochodził praw swoich do Łęczna. Trzej synowie niefortunnego komesa, Krystyn, Stefan i Przedborz, raz jeszcze probowali drogi procesu. Niespokojna to była szlachta i długo już sprawę prowadziła, zaczęła wciskać się do sprawiedliwości Leszka Czarnego. Książę ten częste wyznaczał na rozsądzenie tego sporu roki, ale mimo to do końca jakoś trafić nie można było. Tymczasem umarł Leszek, i sądy przypadły Łokietkowi, jako dziedzicowi brata na księstwie sieradzkim. Łokietek roki wyznaczył; stanął na nich opat, ale trzech bracia nie stanęli; padł więc na nich

(1) W czerwcu 1232 u Damalewicza.

wyrok zaoczny na zjeździe panów, a nadto Łokietek, chcąc raz przeciąć tę sprawę i pieniactwo, nowy przywilej nadawszy na Łęczno, dał go klasztorowi, a trzem braciom i ich dzieciom wieczne nakazał milczenie (1291). Łokietek pozwolił jeszcze wieś Straszów klasztorowi prawem niemieckim osadzić (1295) (1).

Na tych nadaniach kończy się pierwsza, a już świetna, epoka Sulejowa. Kiedy kraj, podzielony na drobne księstwa, miał wielu razem władców, wszyscy się znali nawzajem. Każdy książe znał całą Polskę, świadczył gdzie mógł, gdzie go większe nabożeństwo albo ważniejsze stosunki pociągały. Najwięcej Sulejów otrzymał darów od książąt panujących na Sieradzu, a potem na Łęczycy; ale też do skarby klasztornej znosili chętnie skarby swoje książęta krakowscy, mazowieccy i kujawscy. Łokietek, to jeszcze ostatni władca na dawną stopę i o wszystkich stronach kraju pamięta. Ale wtem Polska urosła na potężne państwo; granice jej rozciągają się na wszystkie strony, królom nowe natają kłopoty, nowe zadania, interes już nie w części małej czysto polskiej kraju kupi się, ale obejmuje szeroko i daleko gałęziami swojemi jak zasiały ziemie litewskie, ruskie, i naturalnie dla klasztorów przecinają się te częste nadania i przywileje, których dotąd jeszcze tak wiele. Dawniej takie miejsca jak Sulejów, jak Łęd, jak Czerwińsk zwracały uwagę wszystkich książąt; w tych klasztorach odbywały się sejmy, narady uroczyste; tutaj biskupi odbywali nabożeństwa. Ale po Łokietku już nie tak: wszystko drobne wpada w zapomnienie; Sulejów i Łęd już nie są stolicami, są to sobie tylko bogate opactwa, które posiadają wspaniałe kościoły, a do których ledwie czasem w przejeździe prodrodze wstąpi król jaki. Dawniej bywał tutaj jak-

(1) W kodeksie Rzyszczewskiego T. I, str. 36 Władysław Odonicz daje klasztorowi wieś *Strasowiz*: Łokietek teraz pozwala wieś *Straszów* osadzić prawem niemieckim 1295 (T. II, str. 134, tamże). Widocznie tu i tam o jednej wsi mowa, a jednak w T. I wydawcy mówią że *Strasowiz* jest *Straszkowek* (wieś w Łęczyckim, parafii kłodawskiej), tutaj zaś domyślają się że mowa o *Straszowej Woli* w Opoczyńskim Przestroga, jak ostrożnym być potrzeba w objaśnianiu miejsc wspomnianych po dyplomatach; w żadnym razie o *Straszowej Woli* mowy tu być niemoże, bo to wieś była *Odrowążów* prywatna i od najdawniejszych czasów jedna z gałęzi tego domu, od tej wsi *Straszami* z *Białaczewa* (do tego miasta należy parafia) pisała się.

by mieszkańcem, dzisiaj jako gość chyba, i to na chwilę, zawita. Świetności, jak mówiliśmy, dużo miał Sulejów za tej pierwszej swojej epoki. Przez kilka wieków ciągle zbierając, rozległe naciulał sobie włości. Posiadał do kilkudziesięciu wsi, w których rządził udzielnie z władzą książęcą. Miał tyle osad na niemieckim prawie, miał całą hierarchią urzędników swoich, sołtysów i wójtów. Po jego dobrach przepływały rzeki, w których naturalnie wolne miał rybołówstwo, a nad rzekami posiadał gony bobrowe. Ogromne dochody zbierał klasztor. Opaci mieli wpływ i poważanie u książąt; w czasach rozerwanj Lechii niejednen książę był uboższy i słabszy od opata sulejowskiego, choćby dlatego samego, że zależał od losu oręza, kiedy dobra kościoła zasłaniały opieka Boska i pobożność mieszkańców. Jednym z najpiękniejszych wspomnień Sulejowa z tej epoki będzie, że mieszkał tutaj czas jakiś biskup pruski Chrystyan. Mieli opaci i w Rzymie zachowanie. Kiedy powstał spór pomiędzy biskupem krakowskim (Wisławem) a proboszczem strygońskim w Węgrzech (Marcinem) o diecezję które sobie ten ostatni nieprawnie przywłaszczył, i spór oto wytoczony oparł się aż o Rzym, papież przeora sulejowskiego i archidiakona polskiego z Gotfrydem kanonikiem wrocławskim wyznaczył, żeby zjechali się razem i rozpatrzyli załobę biskupa krakowskiego (1).

Dowodem wziętości Sulejowa było w swoim czasie to całe archiwum przywilejów, jakie w różnych czasach i od różnych osób otrzymał klasztor. Rozbiegły się po świecie przywileje; dzisiaj próżno szukać ich w miejscu gdzie być powinny. Te co luźno się wałęsają, zbierają uczeni w dyplomatarjusze. W samym kodeksie Rzyszczewskiego jest przeszło dwadzieścia kilka przywilejów wydrukowanych, a w nich ślady wielu innych, zatraczonych już może. Byłoby z czego ułożyć nowy kodeks, który, na wzór *Miechowii* i *Tynecyi*, *Sulejowię* ochrzciłoby należało.

Dzisiejsza budowla średniowieczna opustoszałego kościoła i klasztoru jest jakoby żywym pomnikiem, pozostałością z owych ubiegłych czasów, w których książęta tutaj z komesami swojemi na zjazdach przebywali i dla zakonników spisywali przywileje. Kiedy się podróżny z poza lasu od Piotrkowa jadąc wychyli, ujrzy nagle wspaniałą,

(1) 1235. U Gładyszewicza, *Żywot Prandoty*, str. 235.

i rozległy w dolinie klasztor, już przez samą naturę obronny, czysty zamek jakiego feudalnego barona. Rzeczywiście nie tu nie psuje złudzenia: jest woda podmywająca opactwo, a niemała to woda, bo jedna z głównych rzek polskich, Pilica, są i grube mury ze strzelnicami, zębate baszty narożne z wysokimi wieżami i brama obronna. Cały ten ogrom klasztorny imponuje podróżnemu, który go pierwszy raz w życiu ujrzy, to złamaniami swojemi i nieregularnością, to jaskrawym kolorem murów. Kościół z ciosowego kamienia jest cały starożytnością; w obszerne półkole obejmują go murowane zabudowania gospodarskie, przeznaczone na mieszkanie dla czeladzi i na różne składy. Baszt sześć, a każda odmiennego kształtu; to rzeczywiście opactwo średniowieczne stanęło przed nami w całym majestacie poezji swojej. Minęły te czasy! Ten klasztor kiedyś taki ludny, taki dumny, tak wrzący życiem, dzisiaj jest pustką. Dawniej Polska знаła tu tejszego opata, *abbatem sulejoviensem*, braci i klasztor błogosławionej Maryi i św. Tomasza, *conventum et fratres de Sulejow*, a dzisiaj kto wie o tej niedawniej sławie, o tej wielkości?

Nim pomkniemy dalej myślą ku czasom późniejszym, jeszcze chwilka. Za patryarchalnych Piastów, kiedy to jeszcze Polska nie w bławatach i aksamitach chodziła, ale w guniach i wieśniaczych siermięgach, tak panowie jako i kmiecie, kiedy to jeszcze nasi rajcy koronni nie w pałacach ale w prostych chałupach mieszkali, kiedy nie w izbach poselskich ale w kościołach i pod namiotami obradowali, w polu gdzie ponad rzeką, przy zamczysku z owych to patryarchalnych czasów Sulejów był wielkiego znaczenia siedzibą. W polu pod namiotami nad Pilicą król i jego panowie *comites* odbywali tutaj swoje, że tak powiemy, sądy sejmowe. Łokietek ostatni takimi sądami upamiętnił Sulejów. Na jednym z nich wyznaczył roki dla zabójców króla Przemysława w Rogoźnie. Przypozwani Nałęczowie stanęli; na ich czele obwiniony hrabia z Czarnkowa, który niewinności swojej tém dowodził, że właśnie podczas śmierci Przemysława podróżował do Jerozolimy, a potem już tłumaczył się że Czarnkowscy nie z tych Nałęczów idą którzy Nałęcz zawiązany w herbie noszą, ale od Dzierżkrajca księcia na Człopie, którego Bolesław Chrobry do chrztu trzymał i nałonię za herb

mu nadał, co się potem w Nałęcz zamieniło (*). Czy te sądy królewskie jakie tutaj sprawiał Łokietek pod namiotami, zwyczajnie odbywały się w Sulejowie, a król szedł tylko za dawnym zwyczajem? czy też złożył je pierwszy raz Łokietek? o tém nie wiemy; a mógł je składać gdzie zechciał, to żadnej nieulega wątpliwości. Jakkolwiek bądź, że znakomity ów król lubił Sulejów i nieraz może zjazdy w klasztorze z panami swemi odprawiał, na to mamy nawet urzędowe dowody. W czerwcu 1318 r. np., a więc przed samą koronacją swoją, Łokietek tutaj gościł w Sulejowie razem z trzema wojewodami, trzema pieczętarzami różnych ziem swoich i z magistrem krakowskim, może z marszałkiem Franciszkiem. Ślad tej królewskiej bytności pozostał w przywileju jaki tutaj król nadał Gerwardowi biskupowi kujawskiemu (**). Możem przypuścić na pewnej zasadzie że te zjazdy i sądy odbywały się tutaj częściej; jeżeli nie szedł Łokietek za zwyczajem, sam ustanowił zwyczaj. Sulejów był pogranicznym miastem dla wielu księstw leskich które się pod berłem Łokietka zwały w jedno państwo. Dotykały tutaj dawne księstwa, wtedy województwa, krakowskie, sieradskie, sandomierskie, łęczyckie. i Łokietek na króla polskiego, to jest Wielkiej Polski, koronował się w Krakowie, to jest w Małej Polsce; zatém wybierając sobie Sulejów na zjazdy, chciał zbliżyć do siebie różnych ziemian swojego państwa, dotąd nawet dosyć może obcych i obojętnych dla siebie, dawnych wrogów, a od niedawnego czasu sprzymierzeńców i rodalisów. Wszakże później jeszcze Warszawa dostąpiła tego zaszczytu, jako punkt znowu pośredni pomiędzy całą już Polską, to jest Koroną a Litwą. A król Łokietek był bardzo mądrym królem, musiał godzić narodowości, musiał zlewać różne interesa swojego państwa w jedną narodowość i w jeden interes. Jeżeliby się dowieść dało że Sulejów był i przed Łokietkiem miejscem zjazdów i sądów, zyskałby na patryarchalności; jeżeliby zwyczaj ten wprowadził Łokietek, Sulejów miałby w dziejach znaczenie polityczne.

Z Jagiellonami nowe jak dla całej Polski, tak i dla Sulejowa następują czasy: przecinają się dawne patryarchalne, familijne stosunki królów i książ

(*) Niesiecki pod Czarnkowskimi.

(**) Rzyszczewskiego T. II, str. 213.

żąt z opatami. Opaci już nie kapelanują po dworach; miejsce ich pozajmowali krakowscy i gnieźnieńscy kanonicy i prałaci katedralni. Zato udzieleność książęca opatów i władza lepiej wygląda. Niemieszając się w sprawy doczesne kraju, rządzą jak chcą w dobrach swoich, nadają przywileje, urządzają miasteczka, a w nich cechy, piszą prawa dla poddanych i samowólnie na nich nakładają podatki, ile płacić mają dla Sulejowa na polepszenie dochodów klasztoru i opisują powinności różnej klasy mieszkańców. Tak w roku 1475 Marcin opat urządził miasteczko do klasztoru należące, Mogielnice i przyległe włości, oznaczył opłatę jaką mieli dawać klasztorowi z łanu rolnicy i rzemieślnicy, opisał daniny jakie ogrodnicy składać mieli w kogutach i konopiach, obrachował ilość pańszczyzny jakiej się domagać miał prawo, a rozporządzenie takie królowie potem zwykle przywilejami swemi potwierdzali (Staroż. Pol. I. 568). Niebyło tak jedynie w dobrach sulejowskich, było tak w całej Polsce, we włościach opactw, póki najprzód reforma religijna, a potem potrzeby nowo powstałe kraju do zmiany tych stosunków patriarchalnych prosto niepoprowadziły.

Królowie już tylko przypadkiem zawadzali o Sulejów; ale w późniejszych czasach, kiedy sejmy zaczęły się z urzędu odprawiać w Piotrkowie, przypadek ten dosyć często się zdarzał, dlatego że droga z Krakowa do Piotrkowa szła właśnie przez Sulejów. Tylko tutaj już nie stawali dłuższym pobytom jak dawniej, a spieszyli jeżeli nie do Piotrkowa, to do Wolborza, gdzie ich biskup, a więc senator rplitej, nie prosty już opat, z całą serdecnością polską podejmował. Jednakże król Jagiełło, wyprawiając się na sławną wojnę grünwaldską, a po drodze święte zwiedzając miejsca, przyjechał umyślnie do Sulejowa z Łysej góry, w sam dzień św. Jana Chrzciciela, i modlił się w kościele tutajszym, błagając Boga o pomyślność dla oręza polskiego (24 czerwca 1410); poczem do Wolborza odjechał, gdzie sprawiał całe rycerstwo małopolskie z działami wojennymi i zaciężne chorągwie czeskie. Czasami się też zdarzało że niekonicznie po drodze z Krakowa na sejm leżał królowi Sulejów. Kaźmirz Jagiellończyk jechał tedy z Grodna przez Radom i Opoczno do Piotrkowa przed samymi Zielonemi świętami 1451 roku (Wap. t. III, stronnica 85). Za czasów tegoż króla dzieje

przechowały nam pamięć brata Piotra z Sulejowa, który w akademii krakowskiej w roku 1464 został bakałarzem (1).

Zamiast wspomnień o królach, Sulejów teraz chętnie gromadzi wspomnienia nuncyuszów papieżkich, którzy tutaj często zaglądali jeden po drugim, niewiemy już dlaczego, bo juźcić nie dla sejmów piotrkowskich, (lubo i to bywało) kiedy się sejmy przeniosły do Warszawy. Może dlatego jeździli tutaj, na dłuższy pobyt nawet, nuncyusze, że mieli tu spokojność, że tutaj właśnie chcieli odpoczywać po trudach i pracach dyplomatycznych. Sulejów do tego jakby stworzony był; schowany gdzieś w piaskach, zdala od głównych gościńców, które już innemi stronami pobiegły, był rzeczywiście schronieniem najwłaściwszem dla pobożnych; rozmyślenia religijne, nabożeństwa nigdzie tak dobrze odprawiane być niemogły. Może baczość nuncyuszów ściągała na Sulejów ta okoliczność, że kilku z opatów było biskupami i sufraganiami gnieźnieńskimi, jak Mikołaj z Wierchowisk, jak Stanisław Fałęcki, który nawet na soborze trydentskim zasiadał, a więc szerszej był nieco znany poza granicami rplitej. Wprzódty jednakże, zanim się nuncyusze pojawiają w Sulejowie, trudno nam niespostrzedz jak się przez nasze miasteczko przesuwają zgiełkliwy orszak szlachty i awanturników, przyjaciół onego Stanisława Orzechowskiego, którego Osoliński sprawiedliwie bardzo przezywał warchołem. Biegł on tedy na sejm piotrkowski w początkach 1552 r., na ten sejm który to ograniczył powagę kościelną biskupów; lecieli za nim czterej bracia Herburtowie. Do Sulejowa przybywszy, jak sam o sobie powiada, skreślił za radą przyjaciół do Wolborza, gdzie znalazł opiekę u Drohojewskich (2).

Za Orzechowskim widzimy tutaj w Sulejowie nuncyusza kardynała Commendoniego, który po kłopotach sejmowych, chcąc wolną chwilę Bogu poświęcić, wybiegł w Zielone świętki na kilka dni z Piotrkowa do Sulejowa (8—10 czerwca 1565). Był już na wyjeździe do Włoch ksiądz kardynał, ale wybierał się jednakże jeszcze w podróż pruską. Jeden tylko z bardzo ważnych w ogóle dla historii naszej jego listów datowany jest onego czasu w Sulejowie (10 czerwca 1565). Ale zważywszy że

(1) Muczowski statuta, str. 64.

(2) Wydanie Włyńskiego z r. 1767 str. 126.

kardynał bardzo często i bardzo długo przesiadywał w Piotrkowie na sejmach, łatwo można przypuścić że te jego wycieczki do Sulejowa musiały być częstsze, tylko że śladów po nich niewiele pozostało. Po Commendonim gościł w Sulejowie czas krótki Annibal z Kapui. W czasie bezkrólewia po Batorym, nieukontentowany z elekcji Zygmunta Szwe- da, zjechał tutaj, i to w Sulejowie, to w pobliskim Witowie oczekiwał wypadków (1). W kilka lat po- tęp kardynał Gaetano, który przyjechał namawiać króla do wojny krzyżowej z Turcją, wracając do Włoch, z Łowicza jechał na Sulejów. Odwiz- ny te ważniejsze są dla nas jak wszystkie inne, bo sekretarz kardynała, ksiądz Mucante, w opisie swo- jego pobytu w Polsce i o Sulejowie zostawił kilka szczegółów. Gaetano przyjechał tutaj z wielkim orszakiem prałatów włoskich i licznym dworem, szumno, wspaniale. Było to w końcu marca, wpo- śród gęstego śniegu; umyślił więc nocować w Su- lejowie (1597). Opat naturalnie zaprosił zaraz kardynała i prałatów do pałacu swego, reszta dworu została w mieście. Był więc i pałac w Sulejowie, a opaci nie mieszkali jak widzimy w klasztorze. Na wieczery jednak nie znajdował się kardynał, bo był słaby „lecz my wszyscy jedliśmy z opatem,“ mówi Mucante. Nazajutrz, że to była niedziela kwie- tnia (30 marca), udali się wszyscy włosi kardyna- nalscy i orszak do kościoła Panny Maryi. Szesna- stu wtenczas znaleźli benedyktynów. Po wielkiej mszy noszono różgi z jakichś łóz, bez gałęzi i li- ści, mające tylko małe nierozpęknięte jeszcze pącz- ki, „bo w kraju tym niema ni palm ni drzew oliw- nych,“ opowiada znowu Mucante. W poniedziałek, że kościół był oddalony, kardynał słuchał mszy świętej w pokoju i wyjechał w dalszą podróż na nocleg do Kurzelowa. Bawił więc przez trzy dni w Sulejowie (2).

Pałac opacki był przeto w Sulejowie i znajdował się w pewnej odległości od klasztoru, kiedy kardynał Gaetano nie mógł w kościele przed odjazdem słuchać mszy świętej, a słuchał jej zapewne w ka- plicy pałacowej. Fakt ten jednoczesny jest z seku- laryzacją opactw, to jest z rozdawaniem opactw biskupom i wyższemu duchowieństwu świeckiemu,

(1) List jego z Sulejowa z d. 10 lutego 1588 r. wydał Aleksander Przędziecki str. 116.

(2) Zbiór pam. o dawniej Polsce J. U. N. T. II, str. 152 wydanie lipskie.

czemu początek położył król Zygmunt III. Dotąd zakonnicy obierali sobie opatów, którzy naturalnie mieszkali w klasztorze, stanowiąc władzę zakonu. Kiedy król zaczął dobra opackie rozdawać świec- kim księżom, nastąpiło rozdwojenie funduszów; dwie trzecie części dochodu szły na tak zwanych komendataryjnych, to jest świeckich opatów, a je- dna trzecia na klasztor. Zakonni opaci, wybierani także jak dawniej, odtąd dla różnicy od biskupów utytułowanych urzędem opackim, zaczynają już przezywać się przeorami. Jeżeli więc przeor miesz- kał w klasztorze, biskup opat świecki stawiał sobie pałace, i to nam tłumaczy zagadkę dlaczego teraz w Sulejowie znajdujemy wzmiankę o pałacu opac- kim, oddalonym od miasta i klasztoru. Zdaje się że pierwszym komendataryjnym opatem był ksiądz Otto Schenking, biskup inflantski i że on to przy- mował Gaetana u siebie, a nawet że zbudował pa- łac w Sulejowie, dlatego żeby częstą obecnością swoją w klasztorze niepsuć nabożeństwa pobożnym zakonnikom.

Sławny bicz na różnowierców, a mimo gorli- wy i zacny biskup Jędrzej Lipski, był za tego pa- nowania wielkim przyjacielem klasztoru sulejow- skiego. Mieszkał blisko Wolborza, więc częsty by- wał gość z niego w opactwie. Wiele świadczył dla kościołów, nie bez tego więc, żeby i Sulejowu nie okazywał czasami swojej szczodrobliwości. Chciał nawet, złożony dostojeństwo biskupie, osiąść tu- taj na dewocyi i Cystersem zostać. Powziąwszy tę myśl, pojechał do Rzymu, a tak gorliwie zabiegał o pomyślny skutek prośby, że aż papież wziął tę rzecz do rozwagi. Było to w czasie wielkiego ju- bileuszu. Miesiąc strawiono w namyśle; wreszcie papież, pod zaklęciem na święte posłuszeństwo, kazał biskupowi wracać do diecezji i przeniósł go potem na biskupstwo krakowskie (1).

Smutne wspomnienie z czasów pierwszej wojny szwedzkiej zachował kościół sulejowski. Opuści- wszy Warszawę, król cofał się na Wolborz i Su- lejów. Kiedy nasi wstręt dzielny pod Opoczmem dawali Szwedom, Jan Kaźmirz modlił się w Sule- jowie przez dni kilka i pomocy walczącym nie na- desłał, a nawet gorzej zrobił, bo skoro się pokazali Szwedzi, cofnął się zaraz z rycerstwem swoim na Straszową Wolę i Żarnów w stronę Krakowa. Za

(1) 1630. Niesiecki i Łętowski, T. II, str. 184.

zwycięstwo bez skutku naszych pod Opoczmem zapłacił Sulejów, bo zdaje się że wtenczas nastąpił ów sławny napad szwedzki na kościół, o którym ksiądz Jaroszewicz wspomina. Naszli na opactwo ludzie elektora brandenburskiego, którzy służyli w wojsku Karola Gustawa, a od rabunków wojnę rozpoczynali. Słyszeli o bogactwach kościoła i wiedzieli że król stał tutaj przez dni kilka; więc przez dziką zemstę mordowali księży, krwią zleli pawiment kościelny i ściany. Powylękali się zakonnicy i chyłkiem jeden za drugim zmykali do lasu; ale i tam śmierć ich znalazła. Historia przekazała nam imiona i nazwiska tych męczenników: podprzeor Floryan doścignięty i zamordowany, Jan Pakrсынski ksiądz okrutnie zbity, w kilka dni potém umarł; Remigian Rzeszewski dyakon, siekierą w głowę cięty, od razu poległ; zabici prócz tego jakiś malarz, nowicyusz, młody profess, i starszy konwers; temu ostatniemu głowę powrozami, kneblami, kłóciami aż do wyjścia na wierzch oczu ścisano; umarł w wielkich męczarniach. Zabójstwa te miały miejsce w kościele, w klasztorze, w lasach i na polu. Wszystkie ciała potém bracia poznosili, i w jedną trumnę je złożywszy, w małym chórze pochowali, każdego imię i opis śmierci wygotowawszy. Świadkiem tych zabójstw naocznym był doktor medycyny Stanisław Hercius, i od niego fakt ten, ustnie przekazany, przeszedł do Pruszcza (1). Można w nosić z tego obrazu jak na pobycie kilkodniowym Szwedów wyszło opactwo i dobra kościelne.

Następnie opaci musieli naprawiać sprawioną przez najście obcych nędzę. Ale niewiele to pomogło, bo cały kraj nie ku lepszemu, ale ku upadkowi się kłonił. Klasztor sulejowski rozpoczął procesować się z klasztorem witowskim; jedno opactwo graniczyło z drugim, jedno drugiemu ustąpić niechciało, i ztąd obydwia pieniały się i włóczyły po trybunałach. Charakterystyczna ta cecha upadku, która tu i owdzie i wszędzie się powtarzała, objęła cały kraj. Sprawy od pokolenia do pokolenia przechodziły dziedzictwem, rozpoczął dziad, a wnuki kończyć musiały, przekazując je znów odległym potomkom. Tutaj w grę jeszcze wchodziła duma osobista opatów, którzy biskupami i prałata-

mi bywali. W Sulejowie od tego czasu cisza, zwłaszcza po ostatniej wojnie szwedzkiej, a słychać tylko obrady kapituł cysterskich, spory graniczne, śledztwa, skrzywienie piór; czasami pożar, przejazd panów lub popisy wojenne przerywają tę jednostajność i cichość.

Kapituły zakonu walne tu bywały jeszcze za Jana III i za pierwszego Sasa. Na tle historyi tych kapituł rysuje się dosyć wyraźnie postać zacnego księdza Pawła Sapielhy, którego społeczeństwo nazywali mężem wielkiej świętobliwości, *vir magnae sanctitatis*, ojcem ubogich, *pater pauperum*. Przez Jana III opatem paradyskim mianowany, po śmierci już tego króla upomniał się na kapitule sulejowskiej o głos i miejsce w zakonie, którego mu uporczywie zaprzeczali nie cystersi, bo ci go sami wybiérali, ale postronne i nawet zagraniczne intrygi. Złożył wszystkie beneficya świeckie, przywdział sukienkę zakonną, chciał w zapomnieniu przeżyć ostatnie chwile; a tutaj spotykały go takie zawody i nieprzyjemności. Wzywał więc kapitułę żeby mu pomogła w tej sprawie swoim wdaniem się do Rzymu. Później, obrany kommissarzem zakonu, po sześcioletnich dla dobra prowincyi dokonanych pracach, w Sulejowie także, w samą rocznicę swojej elekcyi, składał urząd, z którego niespodzianie przeszedł na biskupstwo żmudzkie (1).

Oto uroczystości z jakimi w Sulejowie odbywały się kapituły cystersów. Zgromadza się np. kapituła 4 lutego 1738 r. Wotywą o Duchu świętym rozpoczyna ją ksiądz Wojkowski kanonik pułtuski, autor słynny w owym czasie na całą Koronę z rozległej nauki i mądrości; wydawał dawniej kazania, katechizmy, rekolekcyje, kontrowersyje, a teraz nie może pominąć sposobności, żeby się nieopisać z wymową. Po wotywie prawil tedy długie kazanie do zgromadzonych opatów, *orationem dedicatorem*, i tę mowę im ofiarował, podobnie jak nowe dzieło swoje z kontrowersyami polskimi, do których dołączył przydatek o niewierności i ślepotcie Żydów i o płonnej ich nadziei z powodu oczekiwania messyasza. Dzieło świeże, tylko co wyszłe z pod prasy, kosztowało trzy tynfy; bo też na podobnego rodzaju uroczystości zwykle występowano z takimi podarkami, i książki w świat nie

(1) Pruszcz str. 248. Jaroszewicz Matka świętych, pod d. 16 sierpn. str. 398.

(1) Mowy jego w tych okolicznościach miane znajdują się w Swadzie Danejkowicza, T. I, str. 280—4.

puszczano, aż się wprzód rozeszła po rękach osób dla których piérwiastkowo przeznaczoną była. Na takie powitanie od razu, bez przygotowania się żadnego, (a i to wielka rzecz była, zdradzająca niepospolite zdolności mówcy), odpowiedział Wojkowskiemu ksiądz komisarz jeneralny zakonu, opat oliwski, i na ucztę najprzód obecnych zaprosił (1). A oto w lat dwanaście później druga w Sulejowie jeneralna kapituła (1750). Prezyduje na niej ksiądz Stefan Turno opat przemęcki, komisarz jeneralny. Przeor sulejowski powitał go przyjeżdżającego działami, bo teraz każdy klasztor w Polsce, każdy zamożniejszy szlachcie ma działa, nie na wroga, ale dla obchodów rozmaitych uroczystości narodowych i prywatnych. Zjazd liczny: jest opat oberiski Łoka, bledzewski Konarzewski, pepliński, Czapski, cyryński (szczyrzecki?), Pastoriusz, jest koadjutor łędzki Hłowiecki i drugi koadjutor koprzywnicki ksiądz Konarzewski i przeor jędrzejowski Rapacki, prócz wielu innych dygnitarzów zakonnych. Piérwszego dnia zebranych ojców podejmował gospodarz, to jest przeor sulejowski ksiądz Stefanowicz, drugiego Turno, trzeciego dnia już się zakończyła kapituła, bo niedługo zwykle trwały te sejmy zakonne, tak samo jak synody prowincjonalne lub diecezjalne. Na zakończenie więc Te Deum zaspiewano w kościele, a dzwony i działa ozwały się, echo radości zanosząc aż do Piotrkowa. Na pożegnanie przeor Stefanowicz dał jeszcze dla ojców biesiadę; rozjechali się wszyscy potem. Turno na lat trzy dalszych obrany został na téj kapitule luminarzem jeneralnym, a opat bledzewski wysłany do nowego księcia prymasa z hołdem od całego zakonu cystersów (2).

Mało co przed śmiercią Augusta drugiego, za Piotrkowem do szczytu pogorzało całe miasteczko Sulejów. Klasztor uratowano, bo murowany i za rzeką; ale pożar był ogromny, bo nawet przepłynął płomienną falą na wioskę klasztorną i zniszczył ją także. Było to przed południem 29 sierpnia 1731 roku (3). Nie tak prędko podniosło się pewnie miasteczko, ile że bezkrólewia i wojny rychło zaraz nastąpiły. Kiedy potem w lat kilka podskarbi wielki koronny Czapski tędy przez Sulejów przejeżdżał

z trybunału radomskiego do Częstochowy, i przez całe świątki bawił u opata (w czerwcu 1740), Sulejów może wynurzał się z popiołów (1). Takby w nosić należało, bo w roku zaraz następującym wielkie rzeczy odbywały się pod Sulejowem. Mówiono w kraju o jakichś konfederacyach, a hetman miał je zbrojną ręką popierać. Rzeczywiście hasło do konfederowania się rzucono w Chełmie, a pod Sulejowem hetman gromadził wojska z party wielkopolskiej i krakowskiej. Szły ony ku Wiśle niby na Ruś, i pod Sulejowem jakiś czas obozowały. Wojsko polskie, cudzoziemskiego zaciągu, zajęło miasteczko i całą okolicę. Dowodził niem naczelnie kasztelan przemyski Sołtyk, surowy przestrzegacz karności, a było na 8000 zbranej téj sily. Spodziewano się więcej jeszcze przyjaciół; czekano na stolnika litewskiego Piotra Sapiechę; nowe wojska były w marszu do Sulejowa. Nadjechał wreszcie sam hetman z Józefowa (16 września), przegląd sprawił, długo wysiedział się w Sulejowie i skierował nareszcie do Bodzencina, w odwiedziny do księcia kardynała krakowskiego, z którym wszedł w układy, żeby temu gotującemu się pożarowi jako zapobiedz. Hetman zgodził się zebrane pod Sulejowem wojsko rozpuścić, bez odmiany dawnych regimentów, nowe oddziały w marszu wstrzymać, rozpuścić wojowników na leże i Romanowskiego uspokoić, co się też stało (2). Za pożogą wojenną zjawiała się i dla klasztoru różeczka oliwna pokoju; dwaj bowiem księcia deputaci trybunalscy, którzy często do Sulejowa zaglądali z Piotrkowa w dni święte na celebry, postanowili pogodzić obydwie niezgodne opactwa, Witów z Sulejowem. Nazwiska tych zacnych ludzi trzeba zachować dla potomności. Byli to ksiądz Jeżewski kanonik i deputat kujawski i ksiądz Kliński dziekan i deputat z Chełmna. Byli w Sulejowie, a ukończywszy rzecz tutaj, pobiegli do Wito-wa na zakończenie sprawy granicznej. Dzięki ich staraniom, porozumienie zupełne i zgoda nastąpiła w lutym 1742 r. (3).

Wygrzebał się klasztor z jednego kłopotu, wpadł w drugi, bo znalazł przemożnego wroga w osobie jednego ze starostów piotrkowskich. Pod koniec

(1) Kuryer polski 1738, Nr. 87.

(2) Kuryer polski 1750, Nr. 698 i 700.

(3) Kuryer polski z t. r. Nr. 89.

(1) Kuryer polski, Nr. 185.

(2) Kuryer polski 1741, Nr. 250.

(3) Kuryer polski z t. r. Nr. 272 i 273.



panowania Augusta III Paweł M. ni ztąd ni zowąd urażony o coś, usadził się na zakonników, nękał ich różnemi sposobami. Mówią że nawet dobra klasztorne chciał sobie przywłaszczyć. Był to pewnie drugi nowy spór graniczny kościoła sulejowskiego ze starostwem, w genialnej głowie wroga cystersów zrodzony; boć do jego czasów klasztor zawsze dobrze był ze starostami i z Piotrkowem. Niebezpieczeństwo oddaliło się kiedy pan starosta poszedł na wojewodę; ale ślady jego złej woli pozostają po aktach assesorskich. Jednakże miał zawsze nowy wojewoda czy nienawiść czy jakiś rodzaj dziwnej (przychylności ku klasztorowi, bo kiedy potem za czasów barskich ubrdano się mu zostać marszałkiem jeneralnym konfederacji, uniwersalami z dnia 21 grudnia 1769 r., których rozrzucać nie miał prawa, zwolywał szlachtę pod Sulejów, niby to jeszcze jako starosta piotrkowski i sekularyzowany opat sulejowski, jak go nazywano. Zwolywał rycerstwo na swój niby grunt, ale nikt go nieposłuchał. Jednakże w czasie wojen barskich dużo klęsk spadło na klasztor i na Sulejów. Gościli tutaj po kolei i królewscy i konfederaci, jedni unikając drugich, a gnębiąc lud wiejski. Stał tutaj Drewicz, stał Zaremba; Drewicz ztąd wyruszył pod Piotrków bić Zarembę; Zaremba zaś nieraz przez Sulejów tam i nazad po kraju spacerował.

Skończyło się opactwo processować z Witowem,

ze starostą, z panami; zaczęto teraz processować z własnemi poddanemi. Miasteczko wydało wojnę opatom; niedość na tém, urządziło nawet rodzaj propagandy, bo w tym celu połączyły się Sulejów z Mogielnicą i zaniósł skargę do assessoryi na swoich władców. Zdaje się że chodziło tutaj o uciek, wybiła godzina dla swobód szlacheckich. Opatem klasztornym czyli przeorem był w tedy Alberyk Antoni Łodzia Wyganowski. Sulejów potrafił sobie nawet przeciw niemu wyrobić list żelazny (11 lipca 1774); ale za wiele widać sobie pozwalał, kiedy niedługo potem, bo w rok, napomnienie dano z kancelaryi królewskiej do miasta Sulejowa i Mogielnicy, żeby opatom aż do końca sprawy posłuszne były i oddawały tymczasem wszelkie powinności (9 października 1775). Jednocześnie na sejmie delegacyjnym zapadło prawo pozwalające mnichom sulejowskim nabyć miasteczko Skrzywno (1). Z Sulejowem niewiemy jak się skończyło; ale Mogielnicę z przyległościami, oraz trzy wioski w pobliżu samego opactwa leżące, to jest Woźniki, Błogie i Małe-Końskie, w zamian za inne dobra klasztorne, wziął od opactwa na własność Walewski wojewoda rawski.

W roku 1793 Sulejów dostał się pod panowanie pruskie i hussary Frankego zajęli opactwo; jeden ich batalion stanął w Makowisku, drugi w Rozprzy, trzeci w Sulejowie (w marcu).

(1) Vol. leg. VIII, 258.

8 wrześ. 1855.

Julian Bartoszewicz

O POWSTANIU TERAŹNIEJSZEJ ROŚLINNOŚCI. (1)

Dzieje ziemi zrobiły w upłynionej połowie wieku kroki prawdziwie olbrzymie. Liczne fakta i wnioski na nich oparte, zajęły miejsce dowolnych teoryj. Wspomnieliśmy już (2) że częstokroć tak samo jak w dziejach rodu ludzkiego lepiej wy-

jaśnionym bywa periód odleglejszy niż inne bliższe, tak podobnie i w dziejach ziemi lepiej poznanym jest periód dawniejszy od nowszego. Mamy dosyć dokładne wiadomości o stanie ziemi, jej roślinach i zwierzętach w periodzie węgla kamiennego, a bardzo niedostateczne co do czasu jaki przedziela periód dzisiajszy od periodu wyżej wymienionego. Dopiero w nowszych czasach zaczęli geognosci i zoolodzy obrabiać to pole, na którym mały tylko jest przyczynek botaników. Do najważniejszych zagadnień tego rodzaju należy niezawodnie pytanie

(2) W rozprawie o roślinności przedadamowej, ustęp II.

(1) Artykuł niniejszy jest dalszym niejako ciągiem rozprawy zamieszczonej w poprzednim zeszycie Księgi Swiata, na str. 152 i nast., pod tytułem: „O roślinności przedadamowej,” tegoż autora i tłumacza.

(Przyp. redak.).

o powstaniu i rozszerzeniu się roślin pokrywających obecnie skorupę ziemną; następczą się jednak tutaj pytania osnownicze, wymagające przedtamtém rozstrzygnięcia.

1. Należy zbadać czy każdy rodzaj roślin pierwotnie powstał w jedném miejscu (tak zwaném centrum) z którego się później rozprzestrzenił po większych lub mniejszych obszarach, lub czy przyjąć można że ten sam rodzaj od razu w wielu pojawił się miejscach, częstokroć bardzo od siebie oddalonych. Z powyższém łączy się pytanie czy przypuszczać należy że wystarczającym jest przyjęcie jednego indiwiduum, (lub dwóch przy rozdzielonej płci) czy wielu.

Okręślając pojęcie rodzaju, że on jest zbiorem indiwiduów pochodzących od jednego, opieramy się na przypuszczeniu mającém dopiéro być dowiedzioném, bo nie mamy żadnego dowodu na podobne wspólne pochodzenie. Biorąc na uwagę faktu następczone obecném rozprzestrzeniem geograficzném, przypuszczenie to staje się wysoce nieprawdopodobném, w wielu przypadkach nawet zupełnie niemożebném. Chcąc dowieść wspólność pochodzenia z jednego środka dla każdego rodzaju, wypada wykazać środki przeniesienia się jego. Łatwém jest jednak do poznania, że chociaż te ostatnie w wielu przypadkach mogły być czynnemi, wytłumaczyć jednak nie mogą znajdowania się tychże samych roślin w krajach bardzo od siebie oddalonych. Środkami temi rozprzestrzenia są właśnie ludzie, którzy bądź z umysłu, bądź przypadkowo przenoszą rośliny z jeduego miejsca na drugie; dalej strumienie morskie, unoszące owoce od jednych wybrzeży do drugich; rzeki spławiające, wiatr roznoszący nasiona i owoce, mianowicie obdarzone włosem, lub tak zwanemi piórami, i ptastwo przyczyniające się do rozrzucenia nasion. Dalej przyjąby można, w miejscach gdzie geograficzne rozprzestrzenie przedstawia trudności, zapadnięcia się obszarów lądu (pas de Calais, morze Śródziemne), które poprzednio łączyły kraje, dziś je rozdzielając.

Nietrudno jednak poznać jak środki powyższe są niewystarczającemi, biorąc na uwagę wspólność rozmaitych rodzajów roślin w Alpach i Pyrenejach, lub Skandynawii i Szkocyi, wówczas gdy ich brakuje dolinom je przedzielającym. Podobnież równą prawie znajdujemy roślinność

w Islandyi i Skandynawii. Tak samo posiadają Europa i Ameryka północna, szczególniej na wyższych jej równoleżnikach, roślinność wspólną a nieprzeniesioną ręką ludzką. Jeszcze większe trudności napotykamy w wytłumaczeniu téj teoryi, poznawszy że około cieśniny Magelańskiej i na wyspach Falkland znajdują się rodzaje właściwe roślinności podbiegunowej północnej, np. *Phleum alpinum*, *Erigeron alpinus*; że rośliny Nowej Zelandyi mieszczą w sobie różne rodzaje właściwe Europie, nieznanym w przedzielających je krajach między-zwrotnikowych, a które w żaden sposób nie mogły tam być przeniesionemi. Szczególniej tycze się to rozmaitych roślin słodkowodnych, jak trawy mannowej, zwyczajnej trzciny, żabieńca, sitowia *Aira flexuosa* i t. d. Podania co do tych rodzajów wspólnych krajom podbiegunowym północnym i południowym, pochodzą nietylko z dawniejszych czasów, kiedy podziały niebyły tak dokładne, lecz i z najnowszych, mianowicie od Dr. Hooker, towarzyszącego angielskiej wyprawie do bieguna południowego, który nietylko że je potwierdził, lecz jeszcze pomnożył nowemi przykładami. Liczba wspólnych roślin powiększa się jeszcze biorąc na uwagę i rośliny skrytopłciowe; dostarczają ony nam przykładów wspólności rodzajów w najodleglejszych okolicach, bez znajdowania ich w krajach pośrednich; a przecież niema żadnego powodu do sądzenia jakoby te rośliny szczególniej sposobne były do przenoszenia się, gdy łatwém do pojęcia jest pojawienie się tych niższych organizmów niezawisłe, współcześnie w różnych okolicach. Nie przekonano się także by owoce lub nasiona szczególniej sposobne do łatwego przeniesienia, miały pociągać za sobą częstszą wspólność w różnych miejscowościach niż to widzimy u innych rodzajów roślin. Przeciwi się także uznaniu zasady przenoszenia się ta okoliczność, że roślinność przedadamowa zgodniejszą była z sobą w różnych miejscach niż roślinność tegoczesna; chociaż naówczas mniej było lądu, prawdopodobnie same tylko wyspy, a przez to utrudnione było przenoszenie się. Równie i teraz zgodność lub niezgodność roślinności nie jest w żadnym związku z większą lub mniejszą łatwością przenoszenia się, chociaż ten ostatni wpływ zaprzeczonym być nie może, bacząc szczególniej na ubóstwo roślinności małych wysp oddalonych od stałego lądu. Na-

wet co do takich obszarów, na których nie nieprzeszkadza przenoszeniu się, dziwném by było przyjmować, np. pomiędzy wybrzeżami zachodnimi Francji i Uralem, iż obszar ten wielki pustym był dopóty, dopóki nie zeszyły się w środku, na drodze swego pochodzenia, wspólne rodzaje, lub póki rozprzestrzenienie się ze środka nie dosięgnęło krańców.

Pilnując się pojęcia jednej *piérwszej rośliny* dla niczliczonej ilości indywiduów tegoż rodzaju, zdajemy się zapominać, iż takie pojęcie rodzaju z trudnością dałoby się zastosować do najniższych szczebli roślin i zwierząt, np. do porostów, morszczyń i zwierzkorzewów, bo nawet przy więćej rozwiniętych kształtach roślin (a może i zwierząt) oznaczenie rodzaju zawisło od indywidualnego pojęcia badacza. Przyjęciu kilku miejsc piérwotnego pochodzenia roślin nie przeciwi się także i ta okoliczność, że podobne tłumaczenie trudném byłoby co do zwierząt ssących, że nie zgadza się z tém brak wspólności rodzajów w Ameryce i na lądzie starożytności, że Irlandya nie posiada zająców, kretów, wiewiórek i t. p., że więćszej części gadów Anglii brakuje Irlandyi; bo tak samo jak widzieliśmy że rośliny bezpłciowe częćciej uatrafiane są w odległych krajach niż rośliny obdarzone kwieciami, tak przyjąc téż możemy że zwierzęta doskonalsze z trudnością, lub może wcale się niepojawiły samodzielnie i piérwiastkowo w kilku miejscach razem.

Rzecz ta może stanie się zrozumialszą w przykładzie. Forbes, zasłużony angielski autor, badający to zagadnienie i wychodzący z przypuszczenia jednej piérwszej rośliny, stara się wyjaśnić pochodzenie roślinności angielskiej. Znajdywanie się kilku roślin hiszpańskich w zachodniej Irlandyi skłania go do przyjęcia że kiedykolwiek ląd rozciągał się nietylko po dzisiajszym obszarze głębokiej zatoki biskajskiej, lecz sięgał nawet wysp morskich i wchodził daleko w ocean atlantycki. Kilka roślin wspólnych południowej Francji, południowej Irlandyi i południowo-zachodniej Anglii rozpostarły się tam podług niego w czasach w których niebyło jeszcze kanału. Rośliny alpejskie (podbiegunowe) wspólne Szkocyi, Westmorlandzkiej ziemi, Walisowi, i gór Skandynawii, wkroczyły podług niego z północy, w czasach w których klimat na wybrzeżach był równie zimnym jak dziś go znajdujemy na szczytach gór. Sądzi on że prze-

niesienie się dokonane zostało za pomocą wysepek lodowych, lub wielkiego północnego lądu pomiędzy Szkocyą, Skandynawią i Islandią, zapadłego późniejszymi czasy. Nareszcie twierdzi iż w nowszych periodach wydzwigniętym został spód morza niemieckiego, i skutkiem tego nastąpiło lądowe połączenie Anglii z Niemcami i Danią, a rośliny wkraczające z Niemiec miały wyprzeć z prawej strony skandynawskie do Szkocyi górnej, gdy inne pojedyncze znalazły przytułek w Walisii, Kumberlandzie i Westmorlandzie; ze strony zaś lewej rośliny południowe wytępione zostały przez rośliny niemieckie, które zajęły tym sposobem więćszą część lądu (1). Podług niego roślinność podbiegunowa graniczyła dawniej z roślinnością morza Śródziemnego, co się zupełnie niezgadza z prawdopodobieństwem.

Wychodząc zaś z przypuszczenia kilku roślin piérwotnych w różnych miejscach, wyjaśnienie roślinno-geograficznych stosunków wysp Wielkiej Brytanii staje się bardzo prostém. Podług tego przypuszczenia Irlandya zachodnia i południowo-zachodnia Anglia posiadały, tak jak teraz, bezprzykładnie łagodny klimat w stosunku do swój geograficzej szerokości, a szczególniej ciepłą zimę: tym sposobem rozwinęły się tutaj rośliny rosnące w podobnym klimacie Hiszpanii i południowej Francji. Góry Szkocyi i Anglii posiadały, tak jak i teraz, klimat podbiegunowy, a ztąd prawie te same rośliny jakie natrafiamy w Laponii i na górach Skandynawii.

Przy tém przypuszczeniu kolonizacya roślin z Niemiec staje się zupełnie zbyteczną.

2. Drugim pytaniem jest, *czy powstają jeszcze nowe rodzaje, czy téż skończoném już jest stworzenie teraźniejszej roślinności?*

Znajdujemy wprawdzie, jak to już nadmieniliśmy (2), w nowszych wykazach roślin w pewnych krajach, lub pewnych okolicach, wiele rodzajów niepodanych w wykazach dawniejszych. W dawniejszych bowiem czasach więćszych wymagano różnic dla stanowienia oddzielnego rodzaju niż to dziś ma miejsce; bo dziś badając nowoprzybyłe rodzaje, znajdujemy zazwyczaj takie kształty, któ-

(1) Przypuszczając takie pomosty, mogłyby przecieć tak samo rośliny Anglii wkroczyć do Niemiec.

(2) Porównaj „O roślinności przed-adamowej,” ustęp II.

re dawniejsi botanicy oznaczali, lub byliby oznaczyli, tylko jako odmianę znanych już rodzajów. Częstokroć znajdujemy je nawet w starych zielnikach lub rycinach dawniejszych czasów. Rzeczywiście zdarza się niejednokrotnie że znajdujemy rośliny których nie było dawniej w daném miejscu, lecz natenczas rzecz chodzi nie o nowe rodzaje, lecz o nowe miejsca znajdowania się dawno istniejących rodzajów. W inném piśmie (Brewster Edinburgh Journal of Sciences) starałem się dowieść, że rośliny panujące i cechujące, podług starożytnych pisarzy greckich i rzymskich, kraje mianowicie nad morzem Śródziemném położone, temi samemi są z których się składa roślinność terazniejsza tych krajów. Sposobem najłatwiejszym pojęcia powstania nowego rodzaju byłoby przypuszczenie wyrodzenia się przez zmiany klimatu i gruntu, lub utrwalenia skutkiem osamotnienia przypadkowych zбочzeń i przejścia ich w stan normalny. Tym sposobem powstają stałe odmiany, zasługujące czasami na uwagę należną rodzajowi. Lecz przypadki takie najczęściej spowodowane bywały uprawą ludzką. Stosunki przyrodzenia, o ile dotąd wiadomo, nie przedstawiają nam nic podobnego. Owszém zdaje się nawet dużo przemawiać za tém, że rodzaj prędzej ginie niż się przetwarza przy zmienionych zewnętrznych stosunkach, jeżeli to nie są rośliny istniejące w różnych kształtach, pod wpływem odmiennych okoliczności, np. tak zwane rośliny amfibijne, lub takie które inny mają kształt w cieniu, a inny w miejscu nieocienioném. Przy wysuszeniu torfisk giną powoli, *Primula farinosa*, *Andromeda polifolia*, *Scheuchzeria*, rodzaje rośniku i t. d., nie przekształcając się w nowe rodzaje. Przy wykarczowaniu lasu giną *Anemone nemorosa*, *Hepatica tribola*, szczaw polny etc., nieprzetwarzając się w nowe rodzaje. Przy wysuszeniu jezior nikną strzałka, grzybień i inne bez przekształcenia. Przeciwi się także myśli o powstawaniu nowych rodzajów, jak to już podano, zjawisko nastroczające się przy zarastaniu roślinami obszarów dawniej pustych. Przy osuszaniu bowiem spodu morskiego przez odgradzenie tamą nie pokazują się żadne nowe rodzaje, ale zajmują obszar ten rośliny sąsiednich wybrzeży. Tak samo się dzieje przy zarastaniu nagich strumieni lawy, lub wynoszących się nad poziom morski małych wysp koralowych. W tym ostatnim przypadku znajdujemy, jak się

zdaje, tylko rośliny których nasienie mogło być przyplawioném przez morze, mianowicie palmy kokosowe; owoce ich bowiem szczególniej są sposobne do przeniesienia strumieniem morskim bez uszkodzenia. Dlatego podobne wyspy, mianowicie w razach ich odosobnienia, bardzo ubogie są w rodzaje, jak to np. podaje Charles Darwin o wyspach Keeling, na południo-zachodzie od Jawy, albo Chamisso o kilku innych w oceanie południowym. Tę samą zapewne przyczynę przypisać należy popolitość żadnego niemającą piętna roślinności pokrywającej rozległe obszary napływowe, powiększające się jeszcze nieustannie. Jako przykłady mogą służyć dolina Nilu, Lombardia i Holandia.

Po wyluszczeniu powyższych powodów uważam za słuszne, chociaż nie pewnikowo dowiedzione, twierdzenie iż obecnie nie powstają już więcej nowe rodzaje roślin.

3. Trzeciém osnowniczém pytaniem jest, *czy terazniejsza roślinność pojawiła się odrazu, czy też powolnie się rozwijała?*

Zdaje mi się że dużo przemawia za ostatniém. Wszak powoli sposobila się powierzchnia ziemi, w skutek rozmaitych wyniesień, ku wzrostowi roślin, własności jej i klimat różne były w rozmaitych okolicach, i przypuszczać należy, jako najprawdopodobniejsze, że każda roślinność ukazywała się piérwotnie bądź w jedném, bądź w kilku miejscach, tam gdzie ku temu najprzyjaźniejsze były warunki. Dalej pamiętać należy że istnienie niektórych roślin poprzedzoném być musi innemi, ukazanie się więc ich musiało być późniejsze od tych piérwotnych. Rośliny pasożytne nie mogły się ukazać przed czasem w którym rozwinęły się rośliny je karmiące; rośliny potrzebujące cieniu, np. terazniejsze leśne, niemogły powstać przed istnieniem drzew; rośliny torfowe nieprędzej aż utworzyły się torfiska ze zgnicia mchów i innych roślin. Tak samo niemogły się pokazywać rośliny gnojowe przed istnieniem gnoju. Na nagich skałach roślinność poczyna się porostami i mchami (lub roślinami soczystemi, zawdzięczającemi pożywienie swe parze wodnej powietrza), które zatrzymując nieco ziemi nasypowej i wody, służą do kielkowania innym drobnym roślinom. Dopiero później i stopniowo ukazują się większe rośliny, krzewy i drzewa. Jest więc zupełnie nieprawdopodobném by przy piérwszym ukazaniu się roślin miały po-

wstać i takie, dla których nie było jeszcze spełnionych warunków żywotnych, i przyjąć wypada powolne, stopniowe ich ukazywanie się.

4. Zapytać się jeszcze należy, czy pomiędzy *teraźniejszymi roślinami są takie, które się utrzymały z czasów przed istnieniem człowieka?* Pytania tego jednak geognozya rozstrzygnąć nie może dostatecznie, bo dotąd nieznaleziono stałej granicy przedzielającej period obecny od uprzednich dziejów ziemi. Prócz tego i o tém pamiętać należy, że chociażby znalazły się przykłady *teraźniejszych* rodzajów napotykaných w dawniejszych pokładach, te nie stanowiąby dowodu przetrwania gwałtownych przemian przyrody; bo przyjmąwszy raz możliwość pojawiania się ich w jednym czasie w kilku miejscach, przyznaćby także trzeba iż ukazywać się mogły dla tychże powodów i w różnych czasach.

5. Przypuszczając, tak jak mi się zdaje że to czynić winniśmy, ukazanie się *teraźniejszej* roślinności różnemi czasy, moglibyśmy się zapytać, *które rodzaje roślin są starsze, a które późniejsze?*

Zadanie to wymaga podziału roślinności na formacje, podobne do tych jakie znajdujemy w geognozyi. Dla wyjaśnienia tego zagadnienia możemy się uciec częścią do zewnętrznych stosunków pod któremi ukazały się owe różne roślinności *teraźniejsze*, częścią do składu ich i własności. Dla próby przejdźmy najprzód roślinność alpejską t. j. tę którą znajdujemy w Alpach powyżej pasu drzew i poniżej granicy śnieżnej. Jest to roślinność mająca mocne oddzielne piętno, odróżniająca ją bardzo od roślinności płaszczyzn środkowej Europy. Za przedstawicielkę tego ostatniego typu weźmiemy roślinność Niemiec, tak jak ją biorą botanicy, mianowicie z Littoralu, Istrii i Tyrolu południowego. Mamy więc tu do porównania dwie dzielnice podnóża Alp i niższych gór, z pasem wysokich Alp.

Rozbierzmy najprzód zewnętrzne stosunki tej roślinności. Z geognozyi wiadomo że podług Elie de Beaumont główne pasmo Alp młodsze jest od reszty europejskich górzyisk, ponieważ wystąpiło dopiero przy ostatniem wyniesieniu, t. j. po formacji potopowej. Tak samorzec się ma z tak zwanymi Alpami zachodnimi. Ta późniejszość pochodzenia prawdopodobnym czyni późniejszy początek roślinności, jeżeli nie całej, to tej przynajmniej części której nieznajdujemy gdzieindziej. Przyczy-

ną tego była ta okoliczność, że najpóźniej wydzwignięta część, najpóźniej także sposobną była do rozwinięcia roślinności. Tak samo dzieje się ze strumieniami lawy, z których najnowsze najpóźniej zarastają. Bo gdzież zresztą możemy sobie wyobrazić rośnięcie roślin znajdujących się na wysokości 6000—9000', podówczas gdy niebyło żadnych podobnie wysokich gór? Chyba przypuścić przeniesienie się z odległości trudnej bardzo do przebycia, a więc niemogącej wyjaśnić pochodzenia wielu roślin właściwych wysokim Alpom, a nieznajdowanych w dawniej wydzwigniętych Apeninach i Pirenejach. Przyznać jednak musimy że późniejsze wydzwignięcie Alp niedaje jeszcze stanowczego dowodu, dopóty dopóki nie zbadamy do jakich sięga wstecz czasów *teraźniejsza* roślinność, i o ile ona mogła przetrwać wielkie przemiany które wywołały wydzwignięcie gór tak olbrzymich.

Drugim powodem przypisywania niedawnego początku roślinności alpejskiej jest zmniejszające się ciepło ziemi. Jeżeli ziemia stygła stopniowo, to koniecznie rośliny wymagające najniższej temperatury, musiały też ukazać się najpóźniej, bo pierwój niebyło odpowiednich im warunków przyjaznych. Temu wnioskowi przeciwi się teoria Agassiza (1). Podług niej przed *teraźniejszym* periodem był czas w którym nie tylko Szwajcarya ale i Francya i Niemcy pokryte były stałą pokrywą lodu, tak jak teraz strefy pod samemi biegunami. Lecz, niewymieniając wielu innych zarzutów jakim słusznie podlega ta teoria, zrobię tę uwagę, że przeciwią się jej mocno ślady drzew w północnej Europie, z czasów nowszej i najnowszej trzeciej epoki kształtowania się ziemi. Istnienie takie wielorakich szczątków roślinności drzewnej w najdawniejszych warstwach torfisk i w lasach podmorskich wskazuje, że w czasie periodu potopowego, lub bezpośrednio po nim, rosły drzewa w północnej Europie, co byłoby niemożliwem przy pokrywie lodowej lub śnieżnej. Nakoniec przeciwią się temu jeszcze skamieniałe słonie i nosorożce Syberyi; bo chociaż poprzednio mylnie sądzono że istnienie tych zwierząt dowodzi ciepłego niegdyś klimatu, to jednak niepodlega wątpliwości że ony nie mogły żyć w okolicach nieustannie pokrytych lodem, a koniecznym

(1) Autor ten zmienił *późniejszymi* czasy swą teorią. Przyp. tłumacza.

przecież byłby klimat taki w tamtych stronach, gdyby Europa środkowa mogła być nań wystawioną.

Tak więc i stosunki klimatyczne przemawiać się zdają za późniejszością roślinności alpejskiej. Jednakże i tém rzecz jeszcze nie jest dowiedziona.

Ważniejsze jeszcze możemy czerpać dowody z piętna własnego roślinności alpejskiej. Jest to prawdą dostatecznie potwierdzoną skamieniałymi resztkami roślin, że niższe rozwojem swym rośliny wcześniej się ukazywały od zupełniejszych, t. j. że dzieje ziemi przeszły pod względem roślin, tak samo jak pod względem zwierząt, przez szczeble rozwoju, poczynając od organizmów prostszych, a idąc ku zupełniejszym. W najdawniejszym okresie (węgla kamiennego) panowały rośliny bezkwieciovowe (plantae vasculares cryptogamae), w średnim okresie (węgla kamien.) drzewa iglaste i cykadee należące do dwulistnych bez korony, (Dicotyledoneae apetalae). Gdy jasno pojmiemy tę prawdę, przyznać będziemy musieli że podobny stosunek, chociaż w mniejszym stopniu, zachodził także i w terażniejszej roślinności. Z tego wynika że z dwóch roślinności terażniejszych ta będzie młodszą, w której przeważa znacznie ilość roślin więcej rozwiniętych. By zbadać czy przypuszczenie to zgadza się z rzeczywistością, porównałem roślinność obecną Alp i Niemiec, z ich roślinnością przedhistoryczną i doszedłem do następujących stosunków liczbowych.

Roślinność przedhistoryczna. Terażniejsza.

	Przed kredą.	Po kredzie.	Niemcy	Alpy.
bezkweciowych.	0,81	0,02	0,02	0,02
jednolistnych.	0,06	0,13	0,21	0,16
dwulistnych:				
bez korony . . .	0,12	0,45	0,08	0,04
z koroną	0,01	0,40	0,69	0,78

Podług tego roślinność alpejska zawiera 78% dwulistnych z koroną, roślinność niemiecka tylko 69%, przedhistoryczny po kredzie 40%, a przed nią tylko 1%. Tymczasem dwulistne bez korony zajmują w roślinności alpejskiej tylko 4%, zaś 8% w Niemczech, (właściwie 7%, odliczając rośliny wybrzeżne) gdy w przedhistorycznym świecie liczba ich wynosiła przed kredą 12%, a po kredzie 45%, (wliczając cykadee). W stosunku do bezkweciowych iloraz jest równym, bo stosunki są zupełnie różne od tych jakie panowały w świecie przedhistorycznym. Niemożemy się jednak

ograniczać tylko na stosunkach liczbowych, lecz winniśmy i na to zwrócić uwagę jakie grupy panują i cechują Alpy, rozwijając tam całą swą rozmaitość. Pod tym względem zasługują na uwagę: Ranunculaceae, Rosaceae, Saxifragae i Cruciferae, panujące tam szczególnie i ukazujące się w odrębnych kształtach i rodzinach, należących do najwięcej rozwiniętych. Tymczasem z jednolistnych i dwulistnych bez koron nieznajdujemy w Alpach żadnej rodziny odgrywającej tam ważniejszej roli, a tém mniej jeszcze rodziny ukazującej się w odrębnych kształtach. Rośliny alpejskie należące do tej grupy są tylko przedstawicielkami kształtów znanych w Niemczech.

Porównywając w podobny sposób roślinność lapońską, czyli równą jej skandynawską, ukazującą się na górach, z pozostałymi roślinami Skandynawii, otrzymujemy, podług wykazu Hartmanna, następujące stosunki liczebne.

	Skandynawia.	Laponia.
bezkweciowych.	0,03	0,05
jednolistnych.	0,26	0,31
dwulistnych:		
bez korony	0,08	0,09
z koroną	0,63	0,55

Geogności przyjmują że góry Skandynawii starsze są od Alp. Tymczasem znajdujemy że roślinność Laponii, czyli co to samo znaczy gór Skandynawii, więcej zbliżoną jest do roślinności przedhistorycznej; bo stosunek liczebny roślin bezkweciowych jest nieco większy, stosunek dwulistnych bez koron nieco mniejszy, a dwulistnych z koroną o wiele mniejszy niż w Alpach. Dalej znajdujemy, porównywając jeszcze roślinność Laponii i równą jej skandynawskich gór, z roślinnością gór alpejskich, większe zboczenie w stosunku liczbowym wielkich grup, niż pomiędzy Alpami a Niemcami, Skandynawią i Laponią, pomimo że uwzględniając zwyczajne cechy tej roślinności, tudzież rodziny gatunki i rodzaje, zgodność alpejskiej i górnej skandynawskiej roślinności jest znacznie większą niż ta jaką znajdujemy pomiędzy odpowiednimi niskimi krajami, i jaką byśmy znaleźć powinni w skutek podobnych stosunków klimatycznych. Porównywając powyższe podania liczebne, poznajemy to jaśniej jeszcze:

Czasy przedhistoryczne:						
	Przed krédą	Po krédzie.	Niemcy.	Alpy	Skand.	Lap.
bezkwieciowe	0,81	0,02	0,02	0,02	0,03	0,05
jednolistne	0,06	0,13	0,21	0,16	0,26	0,31
dwulistne:						
bez korony . .	0,12	0,45	0,08	0,04	0,08	0,09
z koroną . . .	0,01	0,40	0,69	0,78	0,63	0,55

Drugą właściwością pewnej części roślinności alpejskiej jest dziwna nieoznaczoność stosunków rodzajowych, rażąca niepewność kształtów, utrudniająca niezmiernie oznaczenie rodzajów, z kąd pochodzi że jeden badacz podaje wiele rodzajów jednej rośliny, a inny natomiast małą tylko liczbę. Zwracam tylko uwagę na gatunki *Draba*, *Arabis*, *Hieracium*, *Gentiana*, *Salix*. Brak ten oznaczoności kształtów jest tu tém dziwniejszy, że rośliny alpejskie rozmnażają się przez pączki, nie przez nasienie, a sposób ten, jak wiadomo, najlepiej właśnie zachowuje cechy rodzajowe. Jeżeli prawdziwem jest mniemanie, że rośliny pochodzą nie od jednej pierwotnej, lecz od wielu współczesnych, koniecznym będzie przyjąć powolne tworzenie się rodzajów, przez utrwalenie blizkich sobie kształtów zapomocą rozmnożenia pączkami i nasieniem. Jeżeli tak się rzecz ma, natenczas dawniejsza roślinność winna mieć stalsze kształty niż młodsza. Jeżeli wpływ ludzki tworzy odmiany, to ony, podług powyższego rozumienia rzeczy, będą tylko powrotem do pierwotnych przyrodzonych stosunków. Jednakże wypadek ten traci wiele na swój siłę dowodności, ponieważ ukazuje się i w roślinach gór skandynawskich, będących dawniejszego pochodzenia, wielka nieoznaczoność kształtów, do tego stopnia iż przyczynę tej niepewności przypisywać by można wielkiej różnorodności stosunków miejscowych.

Chociaż sądzę że drogą powyższą doszliśmy, z powodów których niemożna nieprzyjąć, do uznania roślinności alpejskiej jako młodszej od roślinności Europy środkowej i gór Skandynawii, to przecież żadną miarą sądu tego niemożna nazwać niewątpliwym. By w rzeczy tej dojść do pewności, trzebaby massy wyjaśnień geognostycznych zbierających nam zupełnie, żeby zaś wnosić z wewnętrznych piętn roślinności, trzebaby jeszcze przez porównanie kilku lub wielu zyskać dowód znaczenia stosunków liczebnych, jakie znajdujemy pomiędzy ich głównymi grupami i cechami. Jedynie przez

wspólną gorliwą pracę botaników, geologów i zoologów możemy pewnego wyglądać rezultatu. Tutaj chodziło tylko o wskazanie stron z których w obszernym zakresie badać można dzielnicę geograficzno-roślinną, co do różnych jej cech, tudzież geognostycznych i fizycznych stosunków w których się ona znajduje. Powyższe wyniki uważane być winny jako wymagające bliższego jeszcze rozpatrzenia; dlatego kilka jeszcze w tym względzie udzielię wskazówek. Wiadomym jest wysoki stopień rozwinięcia kształtów roślinności Nowej Hollandyi i południowej Afryki, i wielka ich przytém odrębność, podczas gdy roślinności poza zwrotnikowej Ameryki południowej nie dostaje tej różnorodności i oddzielności, przy jednoczesnym zbliżaniu się do roślinności Europy i Ameryki południowej. Owa różnorodność nie może mieć powodu swego w przeniesieniu się tam obcych roślin, których dostarczyć nie mogły ani Nowa Hollandya, ani południowa Afryka, bo pierwsza cała otoczona jest morzem, druga z trzech stron, a od czwartej odgradzają ją wysokie góry i pustynie niepłodne. Niemożna mieć także przyczyny w klimatycznych stosunkach, ponieważ te właśnie, w skutek większego wpływu morza na południową półkulę, mniej się od siebie różnią. Czy niewypadałoby więc tłumaczyć dziwnych stosunków tych trzech lądów półkuli południowej historycznymi zjawiskami? Także i w Nowej Hollandyi i południowej Afryce rodzaje zdają się mniej stałymi, i tam także dochodzą do wielkiego rozwoju rośliny uważane za najzupełniejsze, jakimi są akacje i *myrteae*. Jeszcze jedno: największa część roślin solowych (*Halophyty*) należy do najmniej rozwiniętych dwulistnych t. j. do bezkoronnych, a zatem do tej grupy, która większą odgrywała rolę w czasach przedhistorycznych niż teraz. Nie miałoby to wskazywać, że rośliny te należą do dawniejszej formacji roślinnej, i że właśnie z powodu wyrastania swego przy wybrzeżu morskim najlepiej zdołały przetrwać ostatnie gwałtowne przemiany?

Znajdą się może tacy, którzy powyższe poszukiwania uważać będą za bezowocne i nieprowadzące do żadnych wypadków. Lecz biorąc na uwagę czém była nauka o skamieniałościach przed 50 laty, i czém jest teraz, uprawnieni jesteśmy do cieszenia się nadzieją że z czasem poszukiwania w tej mierze dojdą do czegoś pewniejszego. Praw-

da że zatknięte są dla rozumu ludzkiego pewne granice, lecz tylko badaniem dowiedzieć się możemy o ich kresie, tykło badaniem możemy dociec co wolno człowiekowi przeniknąć, a co wieczną

dla niego pozostanie tajemnicą. Badacza przyrody niepowinien niemy przestraszać sfinks, bo jeśli zechce, zniewoli go do mówienia.

BIGNONIE.

Dziewicze lasy Ameryki, w swoim ogromnym obszarze, obejmują mnóstwo precudnych roślin, które dopiero po upływie może wielu wieków zostaną poznane przez mieszkańców starego ładu. Srogie lwy, drapieżne tygrysy, zatrważają naszych wędrowców, a nietknięte ręką ludzką gęstwiny, gwałtowne strumienie, szerokie rzeki stawiają im nieprzebytą zaporę w ich szlachetnym dążeniu poznania płodów bujnej tamecznej wegetacyi, w szlachetnym dążeniu, bo wiele z tych roślin mogą być u nas aklimatyzowane i służyć do ozdoby lub pożytku w naszych ogrodach.

Tym sposobem rodzaj bignonia, który można policzyć do najwytworniejszych roślin Ameryki, zamieszkujący kraje podrównikowe, został od niedawnego czasu w Europie znacznie upowszechniony, mianowicie dwa jego gatunki *Bignonia Venusta* i *Bignonia Catalpa*, odznaczające się pięknnością kwiatów, można widzieć dość często w ogrodach ozdobnych.

Bignonie odznaczają się następującymi cechami. Liście pospolicie przeciwległe, niekiedy potrójne. Kwiaty u wierzchołka gałęzi, albo w kątach liści umieszczone, w rozmaitych postaciach ugrupowane. Kielich jednolistny, pięciopłatkowy. Korona jednopłatkowa, pięćdzielną, mniej lub więcej nieforemna. Pręciki cztery nierówne, niekiedy dwa lub też pięć. Związek owocowy o jednej lub dwóch komórkach wieloziarnowych, osadzony na krążku podsłupkowym. Słupek pojedynczy, bliźna dwukłapkowa. Owoc torebkowaty o jednej lub dwóch komórkach; ziarno na całym obwodzie otoczone skrzydełkiem błoniastym. Zarodek prostopadły, ogołocony z *endospermum* (albuminu, bielma).

Jednym z najpiękniejszych gatunków w tym ro-

dzaju jest, jak powiedzieliśmy, *Bignonia Venusta*, która zapewne dla tej właśnie piękności nazwisko swe gatunkowe otrzymała. Wijsie się ona aż do wierzchołka olbrzymich drzew, rozpościerając po ich konarach swoje odnogi, i tworząc jakby fantastyczne girlandy, których wasy i przepyszne kwiaty, unosząc się w powietrzu, pieszczą oko cudzoziemca. Wszyscy naoczni świadkowie zgadzają się że nie ma nic bardziej zachwycającego nad widok tych kwiatów kołyszących się w powietrzu, tém bardziej że pospolicie są one pokryte niezliczoną ilością pysznie ubarwionych motylów i świetnie błyszczących kolibrów, które na nich szukają swego delikatnego pożywienia. Ażeby dopełnić obrazu, dodajmy sobie w myśli mnóstwo gadatliwych papug, zręcznych małp, które skaczą, przesuważają się z miejsca na miejsce, żywiąc się owocami i nasionami drzew, a będziemy mieć czarowną całość, jaką niektórzy szczęśliwcy, po ciężkich trudach, ujrzeli.

Rozkosz jakiej oni bezwątpienia wtedy doznali z niczém porównać się nie da, lecz słusznie im się ona należała, gdyż zdobyli ją tysiącnymi trudami, walcząc z głodem i niebezpieczeństwem życia. My zaś, co nie jesteśmy zdolni do takich poświęceń, cieszyć się musimy tém, co dzięki ich pracy, zostało u nas aklimatyzowaném; a i ta cząstka przyjemności, nie dla każdego jest przystępną, bo *Venusta*, lubo jeszcze w 1815 roku do Europy sprowadzona, nie jest jednak dotychczas dosyć upowszechnioną. Sądzono bowiem najniesprawiedliwiej że w cieplarniach utrzymywana, bardzo trudno swoje cudowne kwiaty wydaje. Rzeczywiście na małą skalę hodowana nie jest w stanie dostatecznie się wykształcić, co jest koniecznym do wydania kwiatów. Chcąc ażeby pięknie zakwitła, potrzeba ją

umieścić w cieplarni wolno, na grzędzie, gałęzie jej rozpiąć na umyślnie do tego przyrządzonej kracie, a wtedy niewątpliwie pokryje się bukietami promienistych, purpurowo-pomarańczowych kwiatów, tak jak ją załączony rysunek przedstawia. Lecz sztuka ogrodnicza tak olbrzymiemi krokami na przód postępuje, że może kiedyś, chociaż to zdaje się nam dzisiaj niepodobnym, przez odkładanie, (ablegowanie) kwitnących gałązek, albo przez uszlachetnienie pokrewnych mniej wysoko rosnących gatunków, roślinę tę, nawet na mniejszą skalę, ró-

wnie dogodnie jak obecnie na wielką, można będzie hodować.

Bignonia Catalpa należy do najpiękniejszych drzew ozdobnych. Odznacza się szczególnie ślicznymi białymi kwiatami, ułożonemi w przepyszne, wiszące kity. Liście jej nawet są bardzo okazałe, i dla nich samych byłaby już godną upowszechnienia. Pochodzi z Karoliny, dzisiaj w całej Europie, a szczególnie we Francji, jest doskonale aklimatyzowana.

Fr. L....ki.

DOMY GOSPODY W LONDYNIE.

(Jedno z wrażeń dwumiesięcznej wy cieczi).

Wszyscy w ogóle, co w swych podróżach lepiej się zapoznali z Londynem, zgadzają się na to, że nie tak boleśnie nie razi w tym Babylonie nowego świata, jak kontrast niezmierny między zbytkiem szalonym, niesłychanemi bogactwami jednych, a nędzą drugich; między świetnością mieszkań arystokracji, a okropnością przerażającą siedzib w których lud się kupi gromadnie. Kontrast ten témbardziej jest uderzającym, że dwie wspomniane ostateczności znajdują się od siebie prawie tylko przez drzwi, iż tak powiem. Uszedłszy kilka kroków za Strand, nie można wyjść z podziwienia na widok błędniaka splątanego uliczek ciasnych, wąziuchnych, brudnych, dusznych, do których ani jeden promyk słońca zakraść się nie ma któredy, uliczek zwanych tam *courts*.

Te *courts* są zbiorowiskiem starych, wałających się rumowisk, w których pourządzano hotele, nibyto domy gościnne, dla biédactwa z pracy rąk żyjącego. P. H. Roberts, członek instytutu architektów angielskich, wydał zdanie sumienne, iż żadna z tych rudér nie zdałaby się nawet na stajnię lub psiarnię, i że nikt porządny nie ścierpiałby jej u siebie w podwórzu. Każda z nich podzielona zwykle na trzy do czterech izb, a w każdej izbie znajduje się pięć do sześciu brudnych, lichych posłań, przeznaczonych każde na dwie osoby, ale w potrzebie mieści się na nich i po sześć do ośmiu

osób, bez żadnej uwagi na pleć tłoczących się jak śledzie w beczce. Mężczyźni, kobiety, starzy, młodzi, chorzy, pijani, wszystko to się wali i rzuca do snu jak groch z kapustą; a ci jeszcze się liczą do bardzo szczęśliwych, co mają tyle w kieszeni, (2 do 3 pensów) że mogą sobie kupić prawo przepędzenia nocy w tak piekielnej jaskini. I to więc nie dla wszystkich jeszcze, i to dla wybranych! Kilkanaście tysięcy naliczy się w Londynie takich ludzi, co nie są w stanie zarobić dzień-tyle, aby mogli zapłacić za nocleg, i tacy przepędzają nocy pod gołym niebem, po kątach domostw, po ogrodach, w ulicach, kryjąc się jak mogą przed bystrym okiem policmena. I żeby to choć angielskie niebo było takie jak włoskie, a przynajmniej choć trochę doń podobne, i żeby biédak londyński, pracujący krwawo dzień cały, mógł się za dwa *sous* najeść tak smakowicie i potężnie makaronem jak szczęśliwy lazarion! Ale w Anglii rzadko pogoda, rzadko jasne świecą gwiazdy. Kto zatem ma uciulany grosik na lepszy nocleg pod dachem, spieszy do takiego hotelu o jakim mówiliśmy dopiéro, i zapłaciwszy, kładzie się co prędzej w łóżko; drugi, co przyszedł po nim, kładzie się obok niego, i tak to idzie ciągle, dopóki wszystkie łóżka się nie przepełnią. Kiedy już ich tam tyle się zbierze, że aniby szpilki między nich nie wetknął, drzwi się zamykają i przybywający kwaterują się

w taki sam sposób w drugiej, przyległej izbie. Spotykają się tu zwykle dobrzy znajomi, co za dnia z sobą się widzieli, rozmawiali: zamiatacze ulic, kuglarze, żebracy, zręczni ściągacze kieszonkowi, wydrwigrosze, oszusty, kobiety najostatniejsze, aktorowie teatrów ulicznych (po 1 penny bilet), pisarze publiczni, czyściciele zlewów, dzieciaki własnym już żyjące przemysłem, słowem prawdziwa to wieża Babel istot zepsutych i w przepaść zraty straconych.

Znajdując się w Londynie, zdziwiony opisami scen strasznych, jakie codziennie w gazetach wyczytywałem, postanowiłem własnymi przekonaniem się oczytnie, czy też to wszystko prawda co te dzienniki podają. Znałem już jako tako miejscowość, na pewno więc kroki kierować mogłem. Poszedłem prosto na Fox-Court (lisia ulica), gdzie hotele takie dla biédaków się znajdują. Ulica ta nie różniła się wejrzaniem od innych jej podobnych. Sławny hotel którego szukałem łatwo poznałem po gromadzie ludu przed drzwiami się tłoczącego i po mnóstwie żebraków, co się tam i napowrót pod oknami włóczyli. Lokator jakiś tamtejszy, pijany porządnie, a obdarty jak Łazarz, Irlandczyk, poprowadził mnie przez salę do zgniłych i trzęsących się schodów, które wiodły do podziemia, przez policyą kuchnią złodziejską przezwanego.

W życiu swoim niezapomnę nigdy widoku jaki się wtedy oczom moim przedstawił. Podziemie, a raczej piwnica, dzieliła się na dwie części, nie większe jak pokój zwyczajny. Znajdowało się tam czterdziestu do pięćdziesięciu ludzi wszelkiego wieku i płci, niedołężnych, chorych, w łachmanach najstraszniejszych; a wszystko to porozkładane po stołach, ławach, kawałkach pognitych i połamanych łóżek. W kącie palił się ogień, przy którym nędzne to biédactwo starało się jak mogło przeziębłe grzać członki. Nikt prawie nie zwrócił na mnie uwagi, bo wszyscy bezmała byli pijani. Kilku spojrzęło na mnie wzrokiem wygrażającym, ale że policya zawsze pilne ma oko na tę straszną jaskinię, jakoś spokojnie się skończyło. Powietrze dusi w tym zabójczym wądole; gaz się tam pali wprawdzie dzień cały, ale światelko jego czerwone ledwie że się da dojrzyć wśród gęstej i ciężkiej atmosfery. Słońce nie zna wcale tego przybytku nędzy, ani on też słońca.

Co noc, jak to raporta urzędowe stwierdzają,

zbięra się w tym podziemnym lochu do dwustu indywiduów. Towarzystwo to takie same jak i w innych tego rodzaju hotelach. Jakież to okropności dźbiać tu się muszą w nocy! Rzućmy co żywo zasłonę na czarne te plamy pozłocistej cywilizacji naszej!

Od niejakiego czasu rząd angielski zwrócił uwagę na owe gospody nędzy i przedsięwziął środki dla zniesienia ich zupełnego. Ale to niedość zwalić i z ziemią zrównać walące się domy, w których za nędzny grosz biédacy mogli przytułek znaleźć na noc; trzebaż im koniecznie za te same pieniądze, bo oni więcej nie mają, dać się gdzieś przespać w podobnymże zakładzie. Mieszkanie w Londynie kosztuje okropnie drogo. W czasie zwykłym za izdebkę niewielką, bardzo skromnie umeblowaną, płaci się do trzech rubli na tydzień. Drożyzna ta ztąd pochodzi, że podatek bardzo wysoki obciąża domy, a bardziej jeszcze, że własność takowych w niewielu skupia się rękach.

Żeby więc biédnemu ludowi zapewnić przytułek zdrowszy jak w owych strasznych hotelach o których mówiliśmy, próbowano rozmaitego rodzaju zakładów.

Najprzód są *Refuges for houseless* (schronienia dla niemających zamieszkań). Domów podobnych jest trzy, i wniście do nich bezpłatne; ale cóż z tego, kiedy pomieścić ony mogą na noc zaledwie sto indywiduów, a pretendentów zawsze się znajduje kilka tysięcy, którzy nie mają gdzie złożyć głowy na spoczynek. Potem Anglik, żeby najbiédniejszy, zawsze jest bardzo dumny i nie lubi szukać dobroczynności. W najostatniejszej chyba potrzebie wstąpi do *work-house*, rodzaju domu pracy dla biédnych, którzy *bastyllami* je nazywają. Cudzoziemcy bardzo często się pytają: „Dlaczego ubodzy nie idą do *workhouse*’ów? Czyż nie lepiej szukać przytułku w tych domach, jak umierać z głodu?“ Ale biédak angielski woli tysiąc razy brudny swój hotel, gdzie pędzi nędzne życie, lecz gdzie mu nikt nie przewodzi, gdzie się czuje panem siebie samego. A gdy raz przestąpi próg *work-house*’ów, musi zostawić za sobą osobistość; nie wolno mu wyjść bez pozwolenia, a pozwolenie dostać trudno; musi ulegać karnośći twardej, surowej; nakoniec musi nadziać na grzbiet odzienie przepisane, którego boi się bardziej niż śmierci. Słowem biédacy nienawidzą te domy pracy; przekładają nad nie więzienia, bo

z więźniami lepiej się obchodzą. Kiedy więc nędza im doskwierzy do żywego, wołają przeskrobać, tak żeby ich wsadzono do ciupy, jak iść z dobrej woli i z dobrą sławą do *work-house*'u.

Trzecim rodzajem domów urządzonych dla wygody biędnych są *model-lodging-houses*, domy wzorowe, czyli gospody niemające nic wspólnego z *Refuges houseless* i z *work-houses*. Te domy najskuteczniej i najlepiej zastępują dawne hotele. Dla niezona-tych szczególnie są wygodne, choć i rodziny bynajmniej z nich nie są wyłączone. Ale nie sami tylko wyrobownicy zamieszkują gospody *wzorowe*; znajdziesz tam ludzi należących do klas nieco wyższych, jak na przykład: urzędników z marynarki, studentów, nauczycieli języków, sklepowych i t. d. Dla takich cena komornego była z początku siedm złotych na tydzień, a dla wyrobników tylko cztery złote i pół. Ale robotnicy, urażeni tém rozróżnieniem, wszystkimi siłami starali się, żeby ustanowiono cenę ogólną, i właściciele oznaczyli 7 złotych dla wszystkich. W gospodach tych kilkaset osób zamieszkuje razem; każdy czuje się niekrepowanym w swój indywidualności, a jednak zręczne urządzenie zapewniło wszystkim dobrodziejstwa wspólności.

Anglicy nie są wynalazcami tych zakładów, których myśl pierwotna pojawiła się w Szkocyi. Pierwsza tego rodzaju gospoda stanęła w Edyburgu 1842 r. Z początku była tylko jedna na piętnastu lokatorów; potem zakład powiększono i liczbę łóżek do pięćdziesięciu pomnożono. W latach 1847 i 1848 towarzystwa dobroczynności zaczęły liczenie takie domy zakładać. Płaci się tam zwykle trzy pensy za łóżko na dwie osoby; dając zaś sześć pensów, można mieć łóżko wyłącznie dla siebie. Wykazy statystyczne, urzędowe nauczają nas, że w ciągu r. 1850 ogółem w gościnnych domach edyburgskich znajdowało się 56,665 osób, a w tej liczbie mężczyzn 45,924, kobiet 8,741, dzieci zaś 2,000; z czego biorąc średnią, wypada na noc każdą od 160 do 170 lokatorów. W Londynie gospód takich istnieje już dwadzieścia kilka, a z każdym dniem ilość ich się powiększa.

Chcąc jaknajlepiej obznajmić się z życiem ludu londyńskiego, sam postanowiłem wziąć dla siebie mieszkanie w takiej gospodzie wzorowej. Polecono mi zakład znajdujący się w bardzo dobrej dzielnicy, na Westend. Pojechałem z rzeczami swemi

wieczorem, a zapłaciwszy z góry za tydzień, prosiłem aby mnie oprowadzono po całym domu.

Pokazano mi najprzód wielką salę bawialną (*parlour*), która zarazem służy za jadalnią. Zostałem tam towarzystwo bardzo przyzwoite, złożone w większej części z ludzi podeszłego już wieku. Na stolikach leżało mnóstwo dzienników, przeglądów i t. d... Rozmawiano po cichu, aby nieprzeszkadzać czytającym; oświetlenie gazowe nie nie pozostawiało do życzenia; sprzęty odpowiadały wszelkim wymaganiom *comfortu*. Z sali téj wyszedłem do pokoju obok, stanowiącego czytelnia, zastawioną szafami pełnemi dzieł wyborowych; tutaj nie wolno rozmawiać głośno, tam bez zakazu grzeczność tylko ogólna do tego samego doprowadza rezultatu. W głębi domu znajduje się pokój dla palących tytuń i cygara (*Smoking-room*); jestto jedyne miejsce z całego gmachu, gdzie wolno dymem się zabawiać. Gdym wszedł, pełno było ludzi młodych, bardzo przyzwoicie ubranych, bawiących się rozmową, czytaniem lub grą w warcaby i szachy. Kartki są zakazane.

Najciekawszy wszakże widok czekał mnie w podziemiach na kuchnie przeznaczonych. Ku wielkiemu zdumieniu swojemu zastałem tu ze dwudziestu jegomościów bardzo porządnie ubranych, krzątających się około komina, a każdy z czém inném: jeden smażył sobie bifszyk, inny gotował jaja, tamten znów kurczę, ów herbatę sobie przyrządzał. Zakład daje wszystkim na ogólny użytek kominy, na których mogą sobie gotować co im się tylko żywnie podoba. Kto zaś nie lubi się kłopotać zachodem kuchennym, ma przy wspólnym stole, *à la table d'hôte*, pożywienie bardzo dobre. Żądając potrawy dodatkowej, i tę mieć można za drobną dopłatą.

Dla nowo przybywających do Londynu prawdziwie miłą jest niespodzianką ten niezmierny zasób wody, jakim, ku wielkiej mieszkańcow wygódzie, domy na wszystkie strony są zaopatrzone. W swojej gospodzie wzorowej, gdzie przyznać muszę wszystko mi bardzo do smaku przypadło, wszędzie wodę miałem pod ręką. Na najwyższym piętrze możesz jaknajwyborniej kąpać się i prac, kiedy ci się tylko podoba. Pokoiki sypialne ciągną się długim rzędem, jak celki poprzedzielane przepierzeniami; stoją w nich: łóżko i kufer i zresztą tyle tylko pozostaje miejsca, że się ubrać można.

Przepierzenia nie sięgają sufitu, przez co powietrze swobodnie krążyć może, a przez noc całą sala jest oświetlana.

W dniu mego przybycia znajdowało się w zakładzie przeszło dwieście osób, a porządek mimo to panował największy. Nigdy prawie nie zdarza się aby ktobądź przestąpił przepisy, które administracya starannie na każdych drzwiach rozlepia.

Mieszkańcy gospody wspólnej zbierają się niekiedy w kluby, na których w uroczystych rozprawach roztrząsają wszelkie kwestye bieżące. Mówcy nie starają się nigdy podniecać namiętności; każdy owszém przedmiot rozbięra się na tych zebraniach poważnie, spokojnie. Znać tu że każdy myśli, bada i stara się coraz lepiej zgłębić kwestyą zadaną, a nie uwodzi się powziętymi z góry, lub narzuconemi pojęciami. Często-kroć kluby podobne biorą sobie za przedmiot rozpraw rzeczy literackie; czyta się tam utwory Shakespeare'a, które objaśnia znawca, każdy otwiera swe zdanie, a ogół kształci się i zyskuje śród miłej zabawy skarby wiadomości i światła.

Jestem przekonany, że chcąc poznać życie ludu angielskiego w całej jego rozległej różnaitości, niemożna nic lepszego uczynić, jak zamieszkać w jednym z takich *lodginghouse*'ów. Ocierasz się tu o tysiące najróżnorodniejszych powołań, przestajesz z ludźmi z najprzeciwniejszych krańców świata przybyłymi; napotkasz tam wyrobników z rozmaitych fabryk i rękodzielni, ludzi pracujących w domach handlowych; tu rolnik wracający tylko co z osady na przylądku dobrej nadziei rozpowiada dziwy o zwyczajach i życiu Kaffrów, których własnem widział oczyma; tam marynarz prawi o przygodach wyprawy swęj północnej na odszukanie zaginionego Johna Franklina; owdzie inny podróżnik opisuje Chiny i ich ciekawości, a inny znów połowy wielorybów; ten siedział długo na pięknych wyspach jońskich, tamten wojował z Sykami i Afganami; słowem cały niemal świat staje ci tu przed oczyma w żywych opowiadaniach, których obrazy dopełniają się pytaniami i uwagami

otaczających. Rzadko niezawodnie znaleźć tak liczny zbiór ludzi najrozmaitszych powołań, coby wszyscy twardą pracą i trudami na życie zarabiali, a tém samem dokładne o niem w każdym niemal względzie dać mogli wyobrażenie. Żadna książka, żaden opis nie byłyby w stanie dać mi tyle poznać Anglików, tyle mię nauczyć w ogóle.

System domów-gospód nietylko w miastach się zaprowadza; przeszedł już i na wsie angielskie, gdzie zastępuje nędzne chaty wieśniaków, *cottages* zwane. Niesłuszne tworzyłibyśmy sobie pojęcie o siedzibach prostych rolników brytyjskich, gdybyśmy ich *cottages* uważali za coś bardzo różnego od naszych chałup chłopskich. Nędza, nieczystość, niewygoda i pozór siedzib bardziej zwierzęcych jak ludzkich, tak samo jak u nas ogólny ich charakter stanowią, choć wszystko nieco odmienną przyprzetrzone jest powłoką. Niejedni, malując wsie angielskie, wystawiają nam je jako pieścidełka, jako śliczne cacka, z czystemi, ozdobnemi domkami dla wieśniaków, z których każdy na letni pałacyk zamożnego obywatela wygląda, z aleami piaskiem wysypanemi, z ogródkami zielenią i smakiem nęcącemi. Prawda są wsie i takie; ale z nich wnosić nie należy o stanie ogólnym. Byłoby to samo, co u nas sądzić o położeniu klasy wieśniaczęj i powszechnym jej bycie z jakiego folwarku wyjątkowego, dla przyjemności i przez szczególne zamiłowanie pana ozdobnie i porządnie zabudowanego. Niema wątpliwości że w Anglii liczba podobnych wyjątków daleko jest większa, ale zawsze sąto tylko wyjątki; a te najczęściej cudzoziemcom widzieć się tylko zdarza, bo rzadko kto po całym kraju podróżuje, a dumny Anglik nierad pokazać obcemu nic takiego, za coby się mógł powstydić. Zwyczajne Anglików *cottages* nie różnią się niczém od nędznych mieszkań wyrobników w Londynie, w Manchester, Birmingham lub Liverpool. Od niedawnego dopiéro czasu wielcy właściciele ziemscy, widząc złe tak rażące, zaczynają mu czynnie zapobiegać, budując po wsiach domy podobne do wyżej opisanych gospód. K. W.



Rys z natury i lit J. Cegliński

ZŁOTY POTOK.

(Wyjatek z notat podróżnych).

.... Droga od Olsztyna ku Złotemu Potokowi coraz to powabniejszą się staje. Okolica w półświatle zstępującego wieczora przybiera barwy których brak na palecie malarza, a których dostatecznie niepodobna słowami określić. Tu i owdzie z boku, za nami i przed nami odrzynają się dobitniej fantastyczne grupy skał, co jak kurhany wśród pobojuwiska bieleją wysokimi ścianami, strojne w zielone gałęzie bluszczu, kamionki, agrestu i dzikięj porzeczki. Na wyższych i z obszerniejszymi szczytami osiadły w cudne bukiety sosną, bukiem lub jodłą cieniowane lasy, między którymi wynurza się osiwiała wiekiem zielonolistna korona stuletniego dębu, lub karłowaty krzak bzu koralowego. Tam dalej, w mgłę już kończącej krajobraz, ciekawie wychylają się baszty starożytnego Olsztyna, świecąc nagością gruzów i pustkowiem, ale dumne wielkością ubiegłej chwili.

To też, idąc obok skromnego parą rączych koników zaprzęzonego wózka, co krok prawie zatrzymywaliśmy się, to dla obejrzenia botanicznej, mineralogicznej lub zoologicznej ciekawości, to podziwiając piękność widoku, tak iż dopiero o późnej nocy, tej nocy letniej, górskiej, co tak silnie działała na rozbudzoną młodzieńczą wyobraźnię, stanęliśmy w powabnej dolinie Złotego-Potoku, starożytnego gniazda rodziny Potockich.

Doznawszy najgościnniejszego przyjęcia ze strony mieszkańców Złotego Potoku, zabawiliśmy tu dni parę; to też obszerniejsze naukowe plony, wzbogaciły skromny nasz zbiorek osobliwości naturalnych, notaty zaś i szkice ubogą dotychczas tekę podróżną. Dolina Złotego Potoku, pomiędzy dwoma szeregami skał juraicznego pochodzenia położona, i przecięta w całej długości wartkim strumieniem od którego zapewne swe miano nosi, jest bez zaprzeczenia jednem z najpiękniejszych miejsc, tak pod względem widoków, jak pod względem osobliwości naukowych, zwłaszcza gdy w ostatnich czasach poodkrywano w okolicznych skałach jaskinie napełnione szczątkami przedpotopowych

zwierząt. To też w roku 1853 najznakomitsi nasi krajowi naturalisci kilka dni tu zabawili, zebrawszy niemało ważnych spostrzeżeń o faunie tej pięknej doliny, tak ciekawej dla estetyka i naturalisty.

Ujawszy w dłoń podróżny kosztur, pod miłym i uprzejmie ofiarowanem przewodnictwem PP. M.....skiego tamtejszego praktykanta a byłego ucznia Marymontu i Gniewosza zamilowanego w swęj sztuce artysty malarza, udaliśmy się na ogólny przegląd okolicy, na szczegółowe bowiem badania zostawiono nam dni następne. Droga wiodąca do Żarek, poczynając się przy skromnym ale pełnym gustu pałacyku, niedawno przez miejscowego architekta wzniesionym, rozszczepia się na dwie gałęzie, biegnące po obu brzegach strumyka dolinę przepływającego. Lewa jej odnoga snuje się tuż u podnóża zamszałych skał w dziwaczne pogiętych kształty; dla turysty przeto szukającego wrażeń i cudnych widoków, jest ona najwłaściwszą. Lecz i naturalista postępując nią znajdzie niejedną szczegół godny bliższych badań, zwłaszcza iż najpierwsza z tych malowniczych kamienistych mass, otulona bukowym i świerkowym lasem, mieści w sobie największą grootę, w której ostatnimi laty wykryto szczątki przedpotopowych mieszkańców. Na rysunku przez p. Ceglińskiego z natury zdjętym, a w litografii dołączonym, widzimy wnętrze podziemia, do którego prowadzi wąziutka ścieżka zbaczająca nieco od głównej drogi pod górę. Postąpiwszy zaś tą ścieżką jeszcze wyżej, przybieramy do rozkopenej mniejszej, kształt jamy mającej i także kości zawierającej jaskini. W roku 1853, pomimo ulewnych deszczów, roboty w pewnym porządku, pod przewodnictwem światłego rządcy tamtejszego pana Kotarbińskiego, a w obecności szanownego profesora Wagi wykonane, najpomysłniejszym plonem uwieńczone zostały.

Pierwsza jaskinia, której geologiczną ważność zwiastowały kości mamuta i nosorożca kopalnego, a do której właśnie powiedliśmy swe kroki, dziś

przedstawia obszerne wydrążenie, na kilkadziesiąt stóp szerokie i przeszło na 16 stóp wysokie. Otwór wchodowy z początku na 8 tylko stóp przestrony, następnie rozszerza się w śmiały łuk, który z samorodnych brył piraicznego wapienia złożony, zaczyna półkolistą regularną sklepienie, podparte w prawym końcu 3 łokciowym naturalnym filarem, po którym wydrążenie przechodzi w coraz ciśniejsze przesmyki, kształt czeluści o rozmaitych załamaniach, zwężających się a zarazem zstępujących na dół, mające. Podstawę tej groty, do bardzo widnych liczyć się mogącej, wyściela glina, muł kostny (limon ossifère) ułamki stalagmitów, z szczątkami kości i gałęzi. Massa ta, przez rozkład chemiczny zjednoczona, niekiedy bardzo twarda, lecz zawsze różną naturą i złożeniem od skał ściany groty stanowiących, zatykała całą jamistość podziemia; dziś systematycznymi robotami wybrana, użytą została z rozkazu obecnego dziedzica, hr. Krasieńskiego, do naprawy dróg wiodących w piękniejsze miejsca okolicy, aby zaś pozostawić materialne ślady poszukiwań geologicznych, niewybraną zupełnie przy wspomnianym filarze pozostawiono w dość znacznej ilości. W massie tej odsłoniętej dla oka zwidzających, jednym końcem tkwi olbrzymi piszczel mamuta, pamiątka przedwiekowych mieszkańców.

Zbadawszy dostatecznie całą naturę miejscowości, uczeni naturaliści uznali jaskinią za „meat, którym gwałtowny wód potok szorując, dla dojścia i wylania się innych wodobiorów, w szalonym swym pędzie niósł co zdołał porwać: muł, złomy skał, połamane gałęzie drzew, porozrywane trupy zwierząt, a najwięcej jaskiniowego niedźwiedzia (*Ursus spelaeus*), i te tłoczył do koryta ścianami ściśniętego, dopóki go całkowicie nie zatkał.“ Znajdując się na miejscu, przyznamy prawdę i trafność powyższemu zdaniu. Co się zaś tyczy samych szczątków zwierząt przedpotopowych w jaskini znalezionych, tyle tu o nich podajemy, ile mogliśmy zasięgnąć bądź z ustnego opowiedzenia osób które je od początku naukowo badały, bądź też z tego co w naszych czasowych pismach o tym ciekawym przedmiocie już oznajmiono.

Terazniejszy światły dziedzic Potoka, po nabyciu przed kilku laty tego majątku, bawiąc w nim podczas lata, spostrzegł u spodu jednej odwiecznymi bukami okrytej skały wapieniowej łukowatą

szczęrbę, nasuwającą myśl że ona może być wstępem do obszerniejszego wydrążenia wewnątrz skały. W rzeczy samej przekonano się, że otwór ten tak szczupły iż ledwie przychylnemu człowiekowi podejść dozwalał, jest przysionkiem obszerniej jaskini, do której wstęp wylamano, a spodem grunt pagórka, na którym wznosi się skała, rozkopywać zaczęto. Tu więc odkrył się ów tajemniczy, już przedtym w wielu innych krajach znajduwany skład kości zwierząt zwykle przedpotopowymi zwanych. Reszty te, w miarę ich odkopywania, z rozkazu dziedzica przywożono do Warszawy, gdzie zajął się ich naukowym oznaczeniem i uporządkowaniem professor Waga, mając te badania w piśmie obszerniejszym ogłosić. W odkopanych resztach znalazł on kilkanaście odmiennych gatunków zwierząt ssących, jakoto: mamuta czyli słonia przedpotopowego, nosorożca, konia, wołu (*Bos primogenitus*) trzech jeleni (między temi renifer i sarna), świni, niedźwiedzia jaskiniowego, a przytym niektórych dziś istniejących, jako to: psa, i kota domowego, kuny, zająca. Kości te leżały w pokładzie rozrzucone w całym znaczeniu tego wyrazu, nie odkrył się żaden szkielet całkowity, lecz było wiele czaszek, po większej części z zębami, jak np. prawie zupełna niedźwiedzia, zająca, kuny, psów i kota. Co do jeleni, podobowano całe ramiona szczęki dolnej z trzonowemi zębami, tudzież ułamki reniferowych rogów. Z bardzo młodego mamuta dochowały się cztery pojedyncze zęby, dwa trzonowe i dwa kły (te ostatnie tylko do 7 cali długie a mało co więcej nad cal średnicy mające), prócz innych kości jego szkieletu. Co do nosorożca, ułamek górnej szczęki z dwoma trzonowemi zębami i wiele innych kości jego szkieletu. Co do wołu i konia, zęby ich trzonowe i mnóstwo rozmaitych kości. Z wielkości zębów konia przypuszczać należy wzrost jego tylko taki jak dzisiejszego osła, lubo wiele kości innych, jak np. kopytowa, okazuje że był nieróżniący się wzrostem od terażniejszych koni. Najwięcej okazało się kości niedźwiedzia, którego kły i zęby trzonowe, po całej massie cementu zapelniającego jaskinie rozrzucone, zewsząd się odkrywały i odkrywają. Te odosobnione kości różnego nabyły usposobienia, stosownie do głębokości i do natury minerału w jaki się dostały. I tak w górnej części pokładu dochowały zadziwiająca całość i świeżość, ale z większej głębokości wyko-

pywane okazują widoczniejszą cechę dawności, a niekiedy zepsucia, nawet w najdoskonalszych częściach tkanki. W glinie zatrzymały nierównie więcej ze swęj dawnęj natury, niżeli w samém wapieniu. Ułamek rożka sarniego, okazujący zwierzę nie różniące się od dzisiajszego, ze stalagmitu wybity, przeszedł zupełnie w naturę kamienia wapiennego, czyli węglanu wapna. Geologowie niezgodzili się jeszcze na to, czy znajdowane w szczątkach pomiędzy kopalniami, takie zwierzęta jakie i dziś istnieją, np. sarna, kot, pies, kuna, zając i t. p. odnieść należy do epoki geologicznej do której należą mamut, nosorożec i t. p., czy też przyjąć że one w historycznym dopiero czasie dostały się pomiędzy szczątki tamtych. Na którą stronę więcej dowodów przedstawiły badania jaskini w Potoku, oczekujemy wyrzeczenia ze strony profesora Wagi. Niema wszakże wątpliwości, że jaskinia ta w odległych wiekach znaną już była owoczesnym mieszkańcom téj okolicy. W głębokości kilku stóp, pomiędzy kośćcami nosorożca i w zwykłym mule kościowym (limon ossifère) znalazła się zardzewiała odłamana połowa nożyc żelaznych, jakie się używają do strzyżenia wełny na owcach, a przy samęj skale, prawie na wstępie do groty, odkryto liczne urny, te znane archeologom naszym zabytki z przedchrześcijańskich wieków, prawie wszędzie w kraju naszym rozrzucone. Żałować doprawdy należy iż prace tak piękną początkowo korzyść dla nauki przynoszące czasowo zawieszonymi zostały; mamy jednak nadzieję że wkrótce rozpoczęte na nowo, z bogacą niejednym zbiór osobliwości krajowych ciekawymi nabytkami.

Obecnie jedynymi mieszkańcami téj pustelniczęj groty są nietoperze z rodzaju podkowca. Toż samo zwierzętko, o którego znajdowaniu się w kraju naszym najpierwszą wiadomość przywieźli pp. J. Aleksandrowicz i K. Jurkiewicz z odbytej przed czterema laty podróży, daleko obficie napotykanego bywa w dziuplach ojcowskich skał, gdzie z całą usilnością badał je i opisał pan Taczanowski. Według zdania powyższego ornitologa potockie podkowce różnią się znacznie od spotykanych w innych miejscach kraju, i dlatego godne są bliższej wzmianki. Oprócz wspomnionęj groty kościodajnej wskazano nam nieco dalej i wyżej położoną dziuplę, między dwiema nachylonemi ku sobie skalami, gdzie podkowce w znacznej ilości znajdować

się miały. Nie bez trudności dostaliśmy się niemal do samego otworu rozpadliny, którą w wielu miejscach zacieśniają odłamy skał, tak jednakże iż nietoperze z miejsca na miejsce przelatywać mogą. Wszystkie prawie te zwierzętka, a było ich ze 40 sztuk, w familijne niejako kółko zebrane, wisiały tylnemi łapkami przyczepione do skały, a główkami ku dołowi zwrócone, co im jednakże wcale nie przeszkadzało w wykonywaniu najrozmaitszych poruszeń. Są one nader ostrożne i za najmniejszym szelestem chronią się w głąb dziury, w najciemniejsze i najniebezpieczniejsze miejsca. Skutkiem ich lęklivosti wszystkie nasze usiłowania skończyły się na ubiciu dwóch samców przeszłorocznego pomiotu. Usiłowania następnych dni niemniej były bezowocne, tak że niechcąc pozbawiać czytelników znajomości z temi ze wszech miar godnymi zastanowienia zwierzętkami, jesteśmy zmuszeni przytoczyć uwagi które nauka winna p. Taczanowskiemu. Zuczonych badań tego ornitologa i naturalisty widzimy iż podkowce tutejsze należą do gatunku *mniejszego* u systematyków oznaczonego łacińskim synonimem *Vespertilio hipposideros* v. *Rhinolophus bihastatus*. Co do wielkości i wymiarów ciała liczyć się może do drobniejszych gatunków nietoperza, lecz rozmiarami skrzydeł największym wyrównywa; u dorosłego bowiem podkowca skrzydło wyciągnięte 5 cali trzyma, całe zaś ciało od końca ogona do końca pyszczka 3½ cala jest długie. Włos na ciele długi, delikatny, lecz rzadki, ciemniejszy z wierzchu niż pod spodem. Wierzchem jest dwubarwny, przy nasadzie białawy lub popielaty, w górnej zaś połowie popielato-brunatny lub jasno-rudy; spodni zawsze płowy, z połyskiem nieco jedwabistym. Podkowce które nasi uczeni znaleźli w Złotym Potoku w skale nietoperzy, są wszystkie niemal rude, lekko brunatnym powleczone odcieniem, tak samce jako i samice, które nieco tylko różnią się od samców wielkością. Błony spinające nagie, przezroczyste, brunatno-popielate, po śmierci zwierzęcia kolor czarniawy przybierają. Zdaleka błony wydają się jak krepa, tak iż zwierzętka te, a szczególniej nietoperz myszak, którego siedliskiem są groty Jerzmanowskie, mają w locie podobieństwo do złych duchów krążących po otchłaniach przedpiekła. Uszy podkowca są krótkie, szerokie, przy końcu zastrzone, cokolwiek ku środkowi zagięte; nie mają wstawki, ale tylko

z przodu szeroką, nieco u góry wyciętą, włosistą klapę, do zamykania otworu usznego w razie potrzeby służącą. Odmienność budowy nosowej narosli najwidoczniej odróżnia gatunek mniejszy od większego. „U naszego liść przyczółowy jest włóczniowaty, na dwie połowy rozdzielony, i w każdej z nich dwa razy w poprzek wyżłobiony głęboko; chrząstkowaty słupek, który srodkuje między tym liściem a samą podkowiastą narosłą; z przodu opatrzony wklęsłością, ma u góry błoniaste albo śpiczaste wywyższenia. Ta część narosła, równie jak i przyczółowy listek, posiana jest rzadkimi włosami, pomiędzy którymi tu i owdzie dłuższe i ostrzejsze sterczą kończyny. Górna warga zarosła jest całkiem białemi, nadół spadającymi włosami, zasłaniającymi tak zwane wonne gruczoły, całej rodzinie nietoperzy właściwe.“ Oto co o zewnętrznej postaci tego stworzonka wyrzekli naturaliści nasi. Nie jest to kompilacja cudzych, zwykle dla krajowych zwierząt niewłaściwych opisów, ale słowo żywe, przez usta uczonego wygłoszone, pełne znaczenia i prawdy. To też w części najtrudniejszej powyższego rysu woleliśmy pożyczyć słów znakomitego ornitologa, niż własnym a może niedokładnym opisem w błąd czytelników wprowadzać.

Gdyby nie obawa obrażenia estetyków, możnaby powiedzieć że podkowiec nosi na sobie cechę piękności, którą natura szczodrze wszystkie swe dzieła uposażyła. Bo proszę przypatrzeć się tylko ich pękatym pyszczkom, zmarszczonemu czole i małym ślipkom, nadającym ich fizyognomii wyraz powagi i zamyslenia, a niezawodnie przyznacie że mają i ony jakąś właściwą sobie piękność.

Lud okoliczny uważa je za złowrogie stworzenia, wkręcające się w włosy chodzącym z odkrytą głową, podczas gdy w cieniach wieczornych małe i nieszkodliwe te ptaki na żer wylatują. W biegu podnoszą ony ogon, która to cecha odróżnia je na pierwszy rzut oka od nietoperzy innych gatunków i pozwala je rozpoznać nawet w czasie lotu. Najulubieńszem dla podkowców położeniem w stanie spoczynku jest to, w którym widzieliśmy je w Potoku, to jest tylnymi nóżkami przyczepione do skały, błonami otulają się do koła, tak iż im tylko keniec pyszczka widać; ogon ich podczas snu dziennego wykręcony jest w górę, i tym sposobem z innymi błonami dopełnia okry-

cia ciała. Ujęte, szczupleją i niszczeją, a parę dni trzymane, tracą nieledwie trzy części swęj objętości, włos bieleje, a błony stają się ciemniejszymi.

Ale podobno już dosyć o tych stworzonkach, żeby nas kto niepomówił iż zajmą dla innych osobliwości Potoku rozwodzimy się nad podkowcem. Idźmy więc dalej, pnijmy się coraz wyżej i wyżej na szczyty skał, łańcuchem ogradzających dolinę, bo w istocie z tej najwyższej cudowny musi być widok na okolicę. Troskliwości dziedzica dziękować należy iż niezbyt dogodna droga naprawioną została, tak iż w czarowne to miejsce z niewielkim trudem dostać się możemy. Przybywszy na wierchołek niepożalujem fatygi. Cóż za przepyszna przed nami rozwija się panorama! Tu u spodu, jak szafirowa wstęga, snuje swe wody wartki strumień; nad nim dumają stuletnie buki, jawory i klony, których cieniste wieńce, porozrzucane na szczytach lub załomach skał, przeglądają się w dolinie, albo też mistrzowską ręką uformowane w kłaby i bukiety, zalegają długi brzeg strumienia, który około pałacu zasila obszerny staw, i dalej szumiącymi kaskadami rozbity w tysiące strumyków, zrasza ogród z najpiękniejszymi w kraju rywalizować mogący. A jaka cisza uroczysta panuje w dolinie! Zda się że tylko lekki szmer źródła i szelest lasu, łącząc się w jeden harmonijny dźwięk, którym natura wygłasza swe tajemnice, przerywają miarowo ciszę doliny. W miejscu gdzie się znajdujemy olbrzymie ściany skał tworzą rodzaj salki, zacienionej konarami jaworów i świerków, podstawę zaś jej wyściela kobierzec, utkany w najcudniejsze wzory z pięknych mchów, jak: *Neckeria viticulosa*, *Jungermannia viticulosa*, między którymi zielone rozpościęra gałązki *Neckeria undulata*. Na samych ścianach przymila się prawidłową pierzastością delikatnego liścia *Asplenium trichomanes*, lub też je stroi modrawą zielonością do ruty podobieństwo mająca *Asplenium ruta muraria*, obie rośliny nie ze zwykłych dzierzaw Flory pochodzące. Gdybyście, czytelnicy, byli botanikami, poznalibyście jaka to niewysłowiona i czysta radość uczonego, gdy mu przyjdzie determinować rzadko spotykane lub też całkiem nieoznaczone gatunki, o których poprzednicy nie jeszcze niewiedzieli. Niesądźcie jednak abyśmy mówili to do siebie; dla nas dość było gdy nam się

udało odszukać znaną przez innych roślinę i właściwem mianem ją oznaczyć.

Gdybyśmy się nie bali znużyć waszjej uwagi, możebyśmy i zabrali się do wymienienia całego szeregu ciekawości botanicznych. Lecz wolimy zostawić to innym podróżnikom, aby i oni mogli cośkolwiek nowego o tém czarownem miejscu powiedzieć, a z tém większą czynimy to ochotą, iż cudowne i urocze widoki nęcą nas dalej.

Spiąwszy się po skalistej ścieżce piętrem wyżej, znajdziemy się znowu w podobnym jak poprzednio opisane ogrodzeniu, wprawdzie nieco mniejszem, lecz także pięknościami natury bogatém. Sam szczyt tej skały dźwigał przed wieki mury obronnego zamku, czego dowodem są szczątki gruzów i wałów ziemnych, ręką ludzką wzniesionych, a ręką czasu spożytych i obalonych. Gdzie dawna ta świetność? gdzie wspomnienia dziejowe? Milczy historia, milczy tradycja, a głosu skał, co z rozwartemi źrenicami tak przed wieki jak i dziś spoglądały, co

.....w mchów i drzew szeleście,

Łomów huk, zdrojów szumie szepcą sobie zwierzenia i wspomnienia ubiegłej chwili, podobno nieusłyszemy, bo w duszy zbyt jeszcze tętni szum i gwar świata i jeszcze nie wyczailiśmy się chwycić dźwięki, któremi natura do wybranych tylko przemawia. Zostawmy te mury, co może niejedno wypielegnowały pokolenie i nie jeden czyn przeszłości, ukryty w niknących popiołach zgasłego blasku! Zwróćmy się w bok.

Oto skała! Matka natura twarde jej dała łono, szczyt wieńczy zbawienia godło—krzyż—z szeroko wyciągniętymi ramionami; opromieniony to jutrenki wschodem, to zachodem wspaniałej dnia gwiazdy, króluje nad okolicą. Dla ludzkich posągów obłamki tych skał, dla świętych pomników całe góry za podstawę służą! W istocie, tylko emblemata wiary godne są podobnych piedestałów!

Ze skalistego wzgórza, gdzie starożytne rozposcięrało się zameczysko, schodzimy na dół, uwielbiając widok na skałę krzyża; lecz z nią kończą się już estetyczne obrazy tej części drogi; spieszym więc, po dość długiej wędrówce, spocząć przy kółbce strumienia, w cieniu stuletnich buków, klonów i jaworów.

Źródła zwane Zygmuntem są liczniejsze i położeniem górę biorą nad źródłami Elzbięty, niedaleko sączącemi swe wody. Lekki piasek zaściela kamie-

niste dno strumienia, kryształowa zaś przezroczystość wód pozwala ciekawemu i bacznemu spostrzegaczowi zajrzeć w tajnie państwa Neptuna. Brzegi strumienia licznemi skał odłamami najeżone, tworzą głębokie czeluście, z których tryskają orzeźwiająca żyła wody, będące schronieniem zamieszkałych tam pstrągów (*Salmo fario*).

W położeniu jak tylko można najdogodniejszym, spoczywając w chłodzie przy jednej z żył wody, tryszczącej z małowniczej rozpadliny między dwoma omszałemi wapiennemi głazami, byliśmy widzami jednego z tych dramatów, które bezprzestannie odgrywają się w naturze na naszych polach, łąkach, gajach, wodach, i wszędzie gdzie tylko istnieją warunki rozwoju jestestw organiczno czułych czyli zwierzęcych. Początkowo naszą uwagę zwróciło drobne stworzonko, do małego raka nieco podobne, a do rodziny czerwiów należące, zwane kielżem lub zdrojowcem (*Gammarus pulex*). Nieskończenie szybkie jego zwroty zaciekały nas mocno; przypatrując się mu uważnie, odkryliśmy, iż cała ta zwinność służyła mu do zdobycia sobie pokarmu. Ażeby zrozumieć dostatecznie scenę której byliśmy świadkami, zaznajomić nam się należy ze stworzonkiem czynny udział w niej biorącym. Zdrojowiec czyli kielż, o którym mówimy, ma ciało ściśnione, łukowate, twarde listkami pokryte, od 8 do 9 linii długie, czerwono-żółte lub nieco zielone, za życia zwierzęcia w czerwony kolor wpadające. Głowa, wątpimy czy kardynalną część tego stworzenia stanowiąca, opatrzona jest czterema wąsikami, albo jeżeli chcecie różkami stawowatemi, oraz wypukłemi, zaokrąglonemi, czarnemi ślipkami, w których odbija się cały charakter tych liliputów rakowych. Na całej długości ciała rozłożone ma 7 par nóg, które, stosownie do celu jaki im natura przeznaczyła, mają rozmaite ukształcenia. I tak dwie pary przednie, grube chociaż krótkie, służą do chwytania pożywienia, a ztąd kończą się narzędziami chwytanemi; dwie środkowe pary dłuższe, kończystsze, na dół zwrócone, przeznaczone też są do wykonywania poruszeń, gdy zwierzę zapędzi się na jaki kamyk z łona wód wystający; nakoniec trzy pary ostatnie, od poprzednich jeszcze dłuższe, szczuplejsze, na boki i ukosnie w tył wykręcone, ułatwiają pływanie. Ogon tych małych trytonów zakończony jest sześcią

widelkowatemi pręcikami, któremi posługują się z wielką zręcznością w sterowaniu przy swoich łowieckich wyprawach. Otóż kilka tych rabusiów, nieosobliwej jak widzicie postaci, odłączyło się od głównej hordy rozbijającej jawnie w pobliżu, zapędziwszy się za swą ofiarą, małą wypławką (planaria torva) podobną do pijawki, zręcznie im się wymykającą. Lecz siły były nierówne, trzech na jednego; wkrótce też biedna schwytaną została. Tu następuje nowa scena zabójczego turnieju, schwytaną zdobycz miała być pożartą, lecz pytanie przez którego z tych małych rabusiów; każdy z nich równo rościł sobie prawo, żaden ustąpić nie chciał, a wszyscy trzej przecież posiadać jej całkiem nie mogli. Z zapalem więc uderzają na siebie; jeden pilnuje jeńca, gdy dwaj zwodzą krawą walkę. Wtém nagle z pod skalistego brzegu wysuwa się olbrzymi łeb złotoskrzelnego pstrąga, paszcza jego otwiera się szeroko i za jednym zamachem pochłania walczących zaciekle rycerzów, wraz ze struchlałym stróżem i jeńcem. W tej samej chwili ręka jednego z naszych przewodników zanurzyła się w wodę i uchwyciła żarłocznego rozjemcę, pstrąga.

Mówiąc nawiasem, pstrąg piękna to rybka, choć niewielka. Przedewszystkiem zamieszkuje wartkie i chłodne o kamienistych brzegach strumienie, gdzie igrać lubi wśród gwałtownych pędów fal. Mieszkaniec tutejszych wód, to igrając, to zwodząc boje których byliśmy świadkami, ubrany w świetną srebrno-złotą z kraśnymi centkami łuskę, dostarcza wybornego pożywienia. Jest on nadzwyczaj lekliwy i ostrożny, a za najmniejszym szelestem chroni się w dziury przybrzeżne; pomimo tego jednakże łowią go tutaj rękami, do czego szczególnej potrzeba wprawy. Zimową porą w przeręblach łatwo je kijami zabijają.

Pstrąg należy do rodzaju *lososia*, pływa bardzo prędko, co mu ułatwia pęcherz ciągnący się przez całą długość klatki brzusznej, jest bardzo zwinny i zręczny, tak iż widziano te rybki w bardzo wysokich wodospadach, puszczające się z pędem wody i wychodzące zawsze bez szwanku. Pożywienie tych ryb, jak powiedzieliśmy, stanowią kielże i wypławki, o czém łatwo można się przekonać, rozbiérając ich żołądek długi i wązki, kilką grubymi kiszkaami opatrzony.

Zródła Elżbięty sączą się przez małe otwory

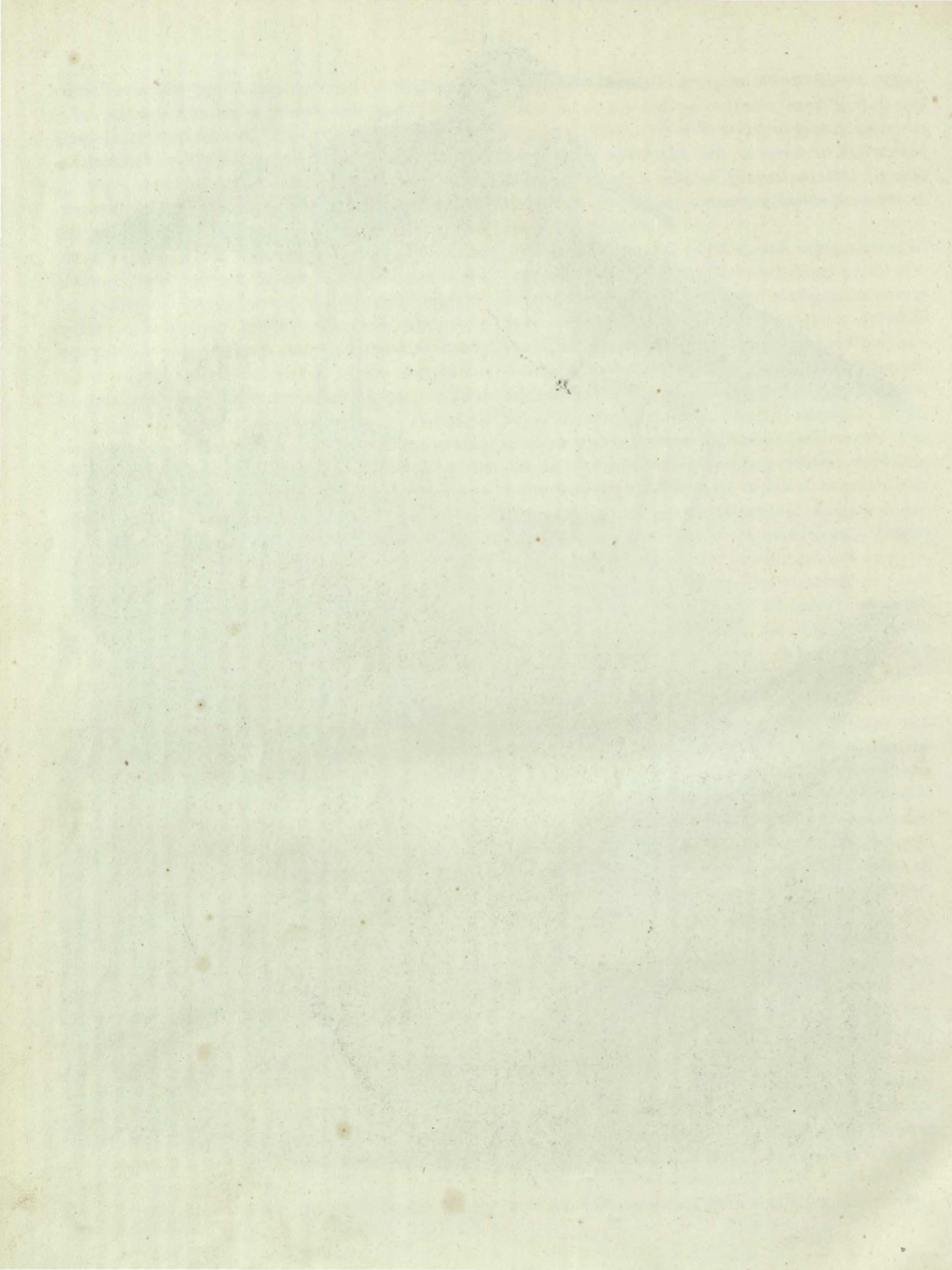
w kamienistym dnie strumienia wyźłobione. Miejsca te łatwo poznać po wrzeniu czyli kotłowaniu się piasku, jakie sprawia wypływająca z mniejszą lub większą siłą woda; siła ta niekiedy bywa dość znaczną, tak iż w jedném miejscu widzieć się daje słup wody tryszczący z dna strumienia przeszło na stopę nad poziom.

Wypocząwszy jak tylko można najdostateczniej przy wspomnionych źródłach, udaliśmy się do ciekawego miejsca nieopodal ztąd leżącego, a noszącego miano *ostrzężnik*. Jestto piękne skupienie skał, dźwigające resztki stariej baszty, służącej podobno w dawnych czasach walk do ostrzegania mieszkańców wspomnionego wyżej zamku o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Nadto skała ta mieści w sobie piękną, widną i obszerną jaskinią. Po drodze do tego miejsca oglądaliśmy ciekawe źródło, które jednych lat obficie się wyléwa, tworząc wartki, wśród drogi płynący strumień, drugich stanowi tylko dół kamienisty wodą napelniony. Zródło to, słusznie *przerzywaniem* zwane, miejscowy gmin uważa za wyrocznię pod względem urodzaju: gdy źródło nie płynie, spodziewać się należy urodzaju, a tém większego nieurodzaju, im obficie się wyléwa. W tym roku źródło dość obficie sączyło swe złowrózbné wody. Zbliżywszy się do jaskini, znaleźliśmy jej otwór wchodowy malowniczo ustrojony i opięty pięknymi gałązkami mchu *Neckeria viticulosa*, które jakby stroniąc od światła, w głębi jaskini kryją swe powaby, czepiając się sklepienia i ścian, co tym ostatnim szczególny nadaje powab.

Tu stanęliśmy u krańca doliny Złotego Potoku, a z nią i u krańca dóbr z tej strony położonych. Wracając nazad tą samą drogą, nasycaliśmy się raz jeszcze pięknosciami tego miejsca, zatrzymując się co chwila nad nowemi ciekawosciami botanicznemi i entomologicznemi. Idąc ścieżką koło źródła, znaleźliśmy olbrzymiej wielkości *Vaenessa populi*, z precudnie ubarwionemi skrzydłami, tudzież *Cychnus attenuatus* i t. d.

...Trzeciego dnia swojego tutaj pobytu mieliśmy sposobność obejrzyć ciekawą jaskinią, albo raczej przepaść, w poblizkim folwarku Siedlec, do Złotego-Potoku należącym. Głęboka ta jama zrazu zaczyna się szerokim nienakrytym dołem, prawie prostopadle obniżającym się. Postąpiwszy na dno po kilku schodkach, znaleźliśmy się na niezbyt obszernym tarasie, ocienionym skalistém sklepieniem,





Taras okrąża otwór przepaści idącej ukośnie, w głębi najeżonej sękami i odłamami skał, utrudniającymi, a nawet czyniącymi niepodobnym, postąpienie w tej ciemnicy. Na dnie tego dołu, który przed kilką laty zawalony był jeszcze ogromnymi odłamami skał, a dziś z rozkazu dziedzica został uprzętnięty, spostrzegliśmy przez naszych naturalistów wzmiankowane rośliny: *Mercurialis perennis*, *Brachypodium sylvaticum* i inne. Na tarasie zaś wiecznie ocienionym i wilgotnym innego rodzaju krzewią się rośliny, jak: *Marchantia polymorpha*, *M. conica*, *Neckeria undulata*, *Rubus saxatilis*, *Saxifraga aizoon* i wiele innych pospolitszych, których tu nie wymieniamy.

W folwarku Zalesice, bardziej ku wschodowi posuniętemu, widzieliśmy mnóstwo brył granitu tudzież kwarcowe głazy kształtów kulistych, łudzące niekiedy podobieństwem do połamanych bałwanów pogańskich. Ciekawe to zjawisko, gdyż skoro

wśród formacji jurajskiego wapienia spostrzegamy głazy narzutowe, dowodzi to że aż w te okolice wdzierały się bałwany morza, pokrywającego w ostatnich czasach geologicznego periodu północno-wschodnią część Polski.

Pan Gr. tutejszy oficyalista pokazywał nam piękne okazy skryształizowanego wapienia i bryłkę siarczynu żelaza, które to minerały pochodzą z szybu nieopodal w lesie wykopanego. Szyb ten obecnie zalany jest wodą.

.....Droga nasza szła na Żarki. Żegnaliśmy te piękne miejsca ze smutkiem, gdyż kilka dni spędzonych zdala od świata, wśród cudnej natury, miłą zostawiły pamiątkę piękności miejsca, gościnności i szczerości, z jaką nieznanym podróżnym przyjęto. Unosiliśmy z sobą wiele plonów naukowych, i obraz okolic Złotego Potoka na zawsze utrwalaony wspomnieniem.

A. W.....i i S. L.....d.

BRODZIEC (TOTANUS).

Tyzenhauz zalicza ten rodzaj do rzędu *Podkaszylowych*, a Górski w swojej zoologii do *Błotnych* (*Gralae*), i nazywa go *Łęczakiem*.

Cechy brodzieców są następujące: dziób miernie lub mało przedłużony, cienki, ku końcowi na dół nieco zgięty, szczeka wierzchnia dłuższa niż dolna, obiedwie odznaczone po obu stronach rowkami, w których są umieszczone wązkie nozdrza. Te stosownie do potrzeby mogą się zamykać lub otwierać. Nogi wysokie, cienkie, palce u nich długie, wązkie, zewnętrzne z wewnętrznymi nierówno spięte. Palec tylny krótki nie dotyka ziemi. Skrzydła miernie długie, bardzo zaostrome, mają kształt półksiężyca. Ogon krótki. Piérze bywają rozmaitych kolorów, pomiędzy którymi biały jest przemagającym.

Wszystkie brodziece, w Europie spostrzegane, są ptakami przelotnymi, utrzymują się na błotach i należą więc do strefy zimnej i umiarkowanej aniżeli do ciepłej. Ich lot jest nadzwyczaj szybki i wytrzymały, chód kroczący, także bardzo szybki.

Wchodzą niekiedy aż po brzuch w wodę, po której mogą wybornie pływać. Głos ich składa się z niewielu ale dźwięcznych, miłych, melodyjnych tonów. Za pożywienie służą im owady, małe rybki, oraz zwierzątka ziemnowodne. Samica znosi 3—4 jaj różnokolorowych, mających postać gruszki.

Brodziec pręgowany (*T. Calidris*). Gatunek ten ma od czola aż do końca ogona 9—10 cali długości; loty jego wynoszą 20—21 cali; dziób 1 cal i 9—10 linii długi; przy osadzie pięknie czerwony, a przy końcu przechodzi w czarność rogową. Nogi ma wysokie, u starych koloru czerwonego, u młodych zaś żółtawe. W ubarwieniu samce nie różnią się od samic; w wielkości podobnie są sobie równe. Pora roku bardzo na nie wpływa, tak iż w zimie mają inne ubarwienie aniżeli w lecie.

Brodziec pręgowany w porze letniej (fig. 1) ma głowę czarną z żółto-brunatnymi paskami, boki zaś jej bardzo gęsto, czarno-brunatno nakrapiane. Przednia część gardła biała, pokryta gdzieś czarno-brunatnymi centkami, które ku pier-

siom w liczbie i rozmiarach się powiększają. Pióra podbrzusza i spodniej części ogona są białe, rzadko centkowane, sam zaś ogon biały, lecz wpada w brunatny kolor i jest przyozdobiony z wierzchu czarnymi, poprzecznymi, od spodu strzałkowatymi centkami. Grzbiet i wierzchnia strona skrzydeł na żółto-brunatnym tle są pokryte wielą rozmaitej wielkości i rozmaicie ukształconymi plamkami.

W zimie (fig. 2) miejsce jasno-brunatnego koloru na wierzchniej części zajmuje brunatno-szary. Gardło, brzuch i paski naokoło oczu są zupełnie białe, niecentkowane; podobnie pióra grzbietu, wierzchu głowy i piersi niemal całkowicie pozbawione centek; reszta charakterów taka sama jak w porze letniej.

W młodym wieku nogi i początek ogona są koloru żółto-pomarańczowego. Wierzchnia część głowy czarno-brunatna, z jaśniejszemi podłużnemi paskami, tył zaś jej szary z brunatnymi centkami. Piérze grzbietu ciemno-brunatne, mają na sobie obwódki przerywane, koloru żółtego. Ogon na tle białym pokryty czarno-brunatnymi, poprzecznymi paskami.

Gatunek ten zamieszkuje nie tylko środkowe kraje Europy, ale wielką część Azji, Afryki i północnej Ameryki. Szczególniej jest upowszechnionym na wyspach morza północnego i bałtyckiego, w Hollandyi, w północno-zachodnich Niemczech i tam tylko się gnieździ; w innych nieprzyległych morzom krajach jest tylko przelotnym.

Najmilszym dla niego miejscem pobytu są okolice błotniste, bagniste, niską trawą zarosłe. Takich też starannie wyszukuje i najchętniej w nich przebywa, a przeciwnie w położeniach górzystych i piaszczystych prawie nigdy nie zamieszkuje.

Bardzo wczesnie, bo w czerwcu i lipcu, porzuca miejsce w którym się gnieździ, przelot jednak trwa aż do października. Powraca w marcu i kwietniu do swoich siedzib, gdzie niezadługo przygotowuje sobie gniazdko. Układa je z traw wysuszonych w naturalnym zagłębieniu w ziemi. Znosi cztery jaj bardzo podobnych do sójczych; tem się one od ostatnich różnią, że są nieco mniejsze, mętniejsze i więcej na żółto zafarbowane. Kolor ten wszakże bywa dość zmiennym; srodkuje pospolicie między blado-żółtym i czerwono-żółtym. Na tem tle dają się widzieć liczne czerwone i brunatne plamki. Po 14 dniach siedzenia wykałają się młode, które z początku kryją się w niskiej trawie, lecz po trzech lub czterech tygodniach już są zdolne do lotu.

W obyczajach swoich nie różni się ten gatunek od innych brodzieców, którym to nazwisko zapewne z tej przyczyny zostało nadane przez Tyzenhauza, że lubią brodzić po miałkiej wodzie, chociaż pływają także doskonale. Lot ma szybki a chód prędko i żwawy. Jest brzebiegły i ostrożny, dlatego ze strzelbą trudno go podejść, i chyba przy wylocie z gniazda można go zrzucić. Młode są bardzo towarzyskie i odprawiają wędrówki po 20—30 sztuk razem, stare zaś pojedynczo tylko albo parami widzieć się dają. Wabienie ich jest bardzo miłe, i szczególniej po rosie daleko się rozlega. Za pożywienie służą im w ogólności wodne żyjątka, których sobie wyszukują zanurzając głowę pod wodę, a nadto małe owady i delikatne roślinki wodne.

Innymi gatunkami tego rodzaju są: Brodziec brunatny (*Totanus fuscus*), Brodziec błotny (*T. stagnatilis*), Br. pensylwański (*T. semipalmatus*), Br. leśny (*T. glareola*), Br. zielonogi (*T. Glottis*) i t. p.

Fr. L....ki.

K O N I E C.

SPIS RZECZY.

CZĘŚĆ I.		<i>stron.</i>			<i>stron.</i>
Syon.	1	Podróż po Szwecyi południowej i Danii	160		
Amsterdam.	2	Zawilec.	166		
Bursztyn.	4	Rodzina Herschlów	169		
Trzęsienie ziemi w Anglii	7	Drewnik elektryczny.	189		
Obrazy Ameryki:		Bitwa morska.	193		
Meksyk i góry skaliste.	9	Śliwki	199		
Wiązka gałęzi.	17			CZĘŚĆ II.	
Franciszek Karpiński	22	Wspomnienia z Konstantynopola	1		
Brzydota w zwierciadle nauki.	30	Warszawa w końcu r. 1701.	5		
Żmija ruda.	31	Bieluń	9		
Wit Stwosz i jego prace	35	Wody w Gastein.	12		
Łabędź	52	Norymberga	20		
Polowanie w Afryce.	55	Sprawiedliwość meksykańska	23		
Nowe zastosowanie elektryczności do bez- pieczeństwa dróg żelaznych	60	Kuropatwa	26		
Świszcz.	62	Obrazy Ameryki:			
Poruszenie mięśni jako wyraz wewnętrz- nych uczuć.	64	Hawana i wyspa Kuba.	29		
Ludwik Beethoven.	69	Rzeka Amazonek.	123		
Len i konopie.	85	Biała Radziwiłłowska	37		
Zima w Korsyce.	88	Mieszkańcy Algierii	46		
Rzut oka na historią zegarów	95	O instrumentach smyczkowych.	50 i 73		
Dzięcioły.	100	Uczony i krokodyl.	57		
Chęciny.	101	Ofiary z ludzi na zachodnich brzegach Afryki.	65		
Wpływ zmysłów na duchowość.	105	Bagienko (Azalea)	68		
Helgoland	108	Antoni Van Dyk	71		
Renety	112	Jeleń.	79		
O Kozakach	114	Grzegorz Piramowicz	83		
Linz.	119	Patmakhandu, sceny z podróży po Indjach.	88		
Podatek od rzeczy zbytkowych w wieku XVI.	120	Bakczysaraj	96		
Szczypawki.	124	Agrest	99		
Polowanie na słoniów w Sumatrze.	128	Lublin	102		
Brzeźnica	131	Morze i wpływ jego na klimat ziemi	114		
Stefan Czarniecki	135 i 171	Wąż okularnik	118		
Gołębie.	154	Stary wiarus	132		
Złudzenia zmysłowe.	156	Ryś gniady.	135		
Esslingen	159	Wyprawa Dra. Vogel na południe jeziora Tchad w Afryce środkowej	136		
		Pasterze karpaccy.	139		

Dwie nowe podróże do Chin.	144	Sulejów.	170
Jaszczurki.	148	O powstaniu teraźniejszej roślinności.	179
O roślinności przed-adamowej	152	Bignonie.	186
Jan Lorenzo Papagoda.	159	Domy-gospody w Londynie.	187
Kabardyńcy	162	Złoty Potok	191
Łasica	167	Brodzic	197



Podróże po Szwecji południowej i Danii 160

Amsterdam 166

Brasylja 169

Trzęsienie ziemi w Anglii 183

Opisy Ameryki 199

Meksyk i góry skaliste 199

Wąska galax 199

Franciszek Karpiński 199

Brzydota w zwierciadle nauki 199

Żmijowidła 199

Wit Stwos i jego prace 199

Łabedy 199

Polowanie w Afryce 199

Nowe zastosowanie elektryczności do bez- 199

Przebiegu drogi żelaznych 199

Szwecja 199

Poruszenie muszleńców jako wyraz wewnętr- 199

nych uczuć 199

Ludwik Beethoven 199

Len i konopie 199

Zima w Korycie 199

Rant oka na dystrofię 199

Dzielnicy 199

Chiny 199

Wpływ myślow na duchowość 199

Hololand 199

Benety 199

O Kozakach 199

Linia 199

Podatek od twejzy zbytkowców w wsiem XVI 199

Szczypanki 199

Polowanie na słonów w Samarze 199

Brzeźnica 199

Stefan Czarniecki 199

Goldie 199

Złobienie żurawowe 199

Bestię 199

Wypława Dra. Vogel na południe jeziora 199

Tehad w Afryce środkowej 199

Pastorze karpatcy 199

Opisy Ameryki 199

Wąska galax 199

Franciszek Karpiński 199

Brzydota w zwierciadle nauki 199

Żmijowidła 199

Wit Stwos i jego prace 199

Łabedy 199

Polowanie w Afryce 199

Nowe zastosowanie elektryczności do bez- 199

Przebiegu drogi żelaznych 199

Szwecja 199

Poruszenie muszleńców jako wyraz wewnętr- 199

nych uczuć 199

Ludwik Beethoven 199

Len i konopie 199

Zima w Korycie 199

Rant oka na dystrofię 199

Dzielnicy 199

Chiny 199

Wpływ myślow na duchowość 199

Hololand 199

Benety 199

O Kozakach 199

Linia 199

Podatek od twejzy zbytkowców w wsiem XVI 199

Szczypanki 199

Polowanie na słonów w Samarze 199

Brzeźnica 199

Stefan Czarniecki 199

Goldie 199

Złobienie żurawowe 199

Bestię 199

Inst. Zool. PAN
Biblioteka

P. 2790.